

2232,7 20

DANUTA MOSTWIN

AMERYKO! AMERYKO!

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1961

ANITA MONTANA

AMERYKO! AMERYKO!

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom LXIV

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”

12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris, 4^e

DANUTA MOSTWIN

AMERYKO! AMERYKO!

*Matce mojej,
Irenie Pietruszewskiej*

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1961

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001004649770

*O beautiful for pilgrim feet...
Thy cities gleam undimmed by human tears...
AMERICA! AMERICA!...*

*(O jakżeś piękną gdy dotkną
[Cię stopy pielgrzyma...
Blasku twych miast nie
[zaćmią ludzkie łzy...
AMERYKO! AMERYKO!)*

Z pieśni: „America the Beautiful”.



232.730

*Zarówno akcja powieści jak i osoby w niej
występujące są fikcyjne i nie są związane
w żadnym stopniu z wydarzeniami, które
mogły mieć miejsce w rzeczywistości.*

Copyright by „Kultura”, Paris 1961

1961 W 850 | 1

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Przybliża się, rośnie. Wyskakuje ku górze Statuą Wolności, ledwo widoczną w grudniowej szarości dnia. Cisną się ciekawe drapacze. Wyciągają jeden przez drugiego kwadratowe szyje:

— Witajcie w Wolnej Ziemi Waszyngtona! Sięgamy nieba i od niego uczymy się górnołotnych słów powitania. Ulice, nasz zrab i podpora, są twarde i ślepe. Nie ufajcie ulicom!

Andrzej Bask taszczy w jednej ręce walizkę, drugą trzyma Pawła. Ciało nawykłe do kołysania się okrętu z trudem odzyskuje równowagę. Jeszcze przelewa się w głowie wczorajsza burza, jeszcze wargi spękane słonym wiatrem, a już na stopach przyjacielski uścisk ziemi.

— Boga! — woła — Boga, nie zgub się!

Stoi zapatrzona.

Niby garść kolorowych serpentyn leży przed nimi świąteczny Manhattan. Bezwstydne bogactwo ulic, reklamy, połyskliwe gąsienice samochodowych dachów. Gorący oddech miasta przylgnął do twarzy.

— Taxi! — krzyczy Józef Żuławski — taaaxi!

Jego głos jest tubalny, ginie w chaosie ulicy, Żuławski nie może przezwyciężyć ulicy. Zmiata go, porywa.

— Taaxi! Taaaxi!

— Józiu — szepcze Helena Żuławska — tam są taksówki, nie wrzeszcz tak... tam są taksówki!

— Gdzie Marek? — przeraża się Boga. — Mamo, gdzie Marek?

— Ależ uspokój się, tutaj, nie widzisz? — Żuławska trzyma Marka na lejcach.

- Siusiu! — kręci się Marek.
 Paweł wtóruje natychmiast: Siiuuusiiuuu!
 — Taksówka! Mam taksówkę! — nawołuje Andrzej.
 — Wy z dziećmi do tyłu, my z Józkiem zmieścimy się z przodu.
 — A bagaż, gdzie bagaż?
 — Bagaż z nami, nie róbcie paniki. Taksówkarz zgodził się za dwa dolary, a tragarz żądał dziesięć. Widzicie go? — oburza się Żuławski. — Cwaniaki amerykańskie! Nabierać Europejczyków. Czekać-no, poznać Europejczyka.
 — Czy musisz się zaraz awanturować? — uspakaja go Żuławska.

2.

Jest wigilia Bożego Narodzenia. Otoczeni kuframi, bezdomni i oczarowani przygodą pierwszego dnia uśmiechają się do choinki na Rockefeller Center. Jest dla ludzi takich jak oni, którzy nie mają własnego domu. Wzrok przychwycony węzłem reklamy wzbija się rakieta pod skapę, wciśnięte między drapacze niebo.

— Witajcie w Wolnej Ziemi Waszyngtona! Imigranci? Ależ naturalnie. Kolorowa, podłużna reklama: Bohater „komiksów” Joe Palooka, wita nowoprzybyłych. Zbłąkani, niepewni, a on barczysty, wyrosły, rozpromieniony. I napis:

„Od czasów Mayflower imigranci pomagali w stwarzaniu Wielkiej Ameryki”.

— Nowe życie — myśli Andrzej. Jest rozmarzony. Joe Palooka z afisza mrugnął na Boga:

— *Hi girl!*

Józef Żuławski powiedział:

Cholera, oni mają rozmach! Z moją businessowską żyłką ho... ho!

Oczy Heleny Żuławskiej wilgotnieją: Ameryka!

Dwaj bliźniacy, Marek i Paweł, wysiusiali się i zamilkli. Ich czteroletnie nóżki stąpają niepewnie: uczą się chodzić na nowej ziemi. Przezorni.

— Uczcie się chodzić! — napominają ulice.
— Ostrożnie! — wyją klaksony.
— *Be careful, face the fact!* — przestrzegają reklamy.
— *Jingle Bells! Jingle Bells!* — naśmiewają się głośniki.

— Oprzytomnijcie! — radzą kamienice.
Nie słyszą. Oboje Żuławscy, Andrzej i Boga nie słyszą.

— Ameryka! — modlą się — Ameryka ziemia Kościuszki i Puławskiego!

— *New York Times!* — chrypi gazeciarz.

Zachwycony wzrok parabolą opada w ulice. Jakżeż są swojskie! Każda okno wystawowe lśni niby kolorowy cekin.

— Chodźmy — szepcze Boga.

Warkocze potargane, rozpięte palto, Narkotyk działa. Idą z tłumem, który gęsto przylega do chodników. Optymizm podrzuca ich ponad głowy przechodniów. Spacerują odważnie podtrzymywani nastrojem wigilijnego wieczoru. I dopiero gdy wjeżdżają windą na siódme piętro zatęchłego kuchennymi wyziewami hotelu, bladą barwy serpentyn, a przechodnie z ulic obrastają realnym ciałem lokatorów „hotelu z używalnością kuchni”. Ich oczy są obojętne, głosy szorstkie, ruchy kanciaste. Ktoś potrącił Żuławskiego, mężczyzna przysadzisty w kapeluszu wciśniętym na oczy.

— Hej, you! — obruszył się Żuławski. — Ostrożnie!

— Józiu... — syknęła Helena.

— *What?* — burknął zaczepiony.

Helena nastąpiła mężowi na nogę.

— Józiu, cicho!

Andrzej wzruszył ramionami: Ten człowiek wszędzie szuka awantury

— Mamusiu — powiedział Paweł — ja chcę kolacyjkę.

Marek targnął na siebie lejce.

— Weź to! Weź to!

Oczy ludzi rozbiegane przywędrowały, przywarowały przy gromadzie mówiącej obcym językiem.

— *French?* — zagadnął ktoś.

— *No, Polish.*

— Oh, *Polish*...

Andrzej czuje: stoją na wyspie.

— Widać od razu, że nie Europa! — pochyla się ku żonie Żuławski. — Nawet nie powiedział *sorry*.

— Czy długo jesteście w Ameryce?

— Tylko kilka godzin! — entuzjazmuje się Boga. Narkotyk jeszcze krąży we krwi.

— *Good luck!*

Drzwi windy zatraskują się. Oświetlone pudło podjeżdża dalej w górę. W pustym tunelu windy, ciemnym, niezbadanym, bez dna pozostają słowa; *good luck*. Opadają w dół, cichną. Boga pochyla się, kraty zatrzymują wzrok. Wyciąga rękę, kraty powstrzymują rękę. Słowa opadły, słowa zamilkły. Podnosi głowę do góry. Przed nią drzwi hotelowego pokoju. Portier, Murzyn, nieobecny, skrzywiony — kaszle. Podtrzymuje na wózku bagaże.

— *This way*...

Andrzej naciska klamkę. Pokój jest duszny, zakurzone stare firanki, żarówka pod sufitem, cienki dywan, nic niezbędnego, hotelowy pokój.

— Duszno! — woła Boga. Odsuwa firanki, otwiera okno.

W czarnym kwadracie wieczoru sklep z owocami: szczodrze wyrzucone na ulice kosze pełne jabłek, bananów, pomarańczy. Dosyt, przesyć, soczystość. A obok w oknie cukierni: choinka. Lampki kwitną kolorowymi bułdenezami. Wzrok przywykły do światła odkrywa szczegóły, prawdę ukrytą wstydliwie, nieopatrzenie dostrzeżoną — rzeczywistość: druty rozprowadzające czarnym zygakiem elektryczne lampki. Bledną kolory. Boga widzi tylko czarne zygaki drutu i obrzmiałą twarz portiera hotelowego.

— Nie! — otrząsa się. Mruży oczy: znowu światła. — Jestem w Ameryce — szepcze — Z narożnego głośnika: kolęda „*Jingle Bells*”.

„Brzęczą dzwonki, dzwonią dzwonki, dźwięczą całą drogę...”.

Dźwięki kolędy natarczywe — wirujące sztuczne ognie nocy. Kolęda ulic rwących naprzód, naprzód, nabrzmiałe powodzą potoki, tańczą drapacze, wirują szaloną karuzelą:

„*Oh what fun, Oh what fun!*”.

Boga wyciąga ramiona do miasta.

Pokój jest ogromną sześcienne komórką niewidoczną w potężnym cielsku miasta. A oni? Nie widać ich nawet przez szkło powiększające. Jak się skryli, uszarzylili. Europejczycy! No, dalej, zamieniajcie waszą europejską kulturę na *American experience*! Zbladły serpentyny ulic i nie ma już choinki na Rockefeller Center. Rano, ci sami przechodnie, nad których głowami spacerowali do niedawna, wsia-kają w otwory kolejek podziemnych, spieszą do przystan-ków autobusowych, idą w oznaczonym kierunku. A oni?

— Wolnego — mówi Żuławski — tylko się nie go-rączkować. Mamy czas. Oznaczyłem sobie termin...

Tym tonem uspakaja sam siebie. Najważniejsze, uci-szyć wewnętrzny niepokój. Hipnotyzuje się, skutecznie ujarzmia strach.

Co ja? Bać się? No, chyba żartujecie! Ja z każdej sytuacji znajduję wyjście.

— Poczekaj no, ja ci jeszcze pokażę! — zwraca się do żony.

Żuławska z bańką na brzuchu pojekuje na tapczanie. Najadła się za dużo wędzonej ryby. Cała wystawa sklepu zalśniła, zamigotała starym złotem: skórki wędzonych ryb. Żuławska o mało nie rozbiła szyby. Wędzona ryba i chał-wał! Prędko, prędko kupować! Przypędziła do hotelu ze zdobyczą.

— Patrzcie, co ja mam! Wędzona ryba i chałwał! Ile tu jedzenia, co za bogactwo, co za wybór! Czuła się, jak zaproszona na bogate przyjęcie. Nowy Jork wytwornie kła-nia się przed Żuławską: *Madam, would please...*

Leży z bańką na brzuchu, wstydzi się swoich instyn-któw człowieka niedożywionego.

— Boli mnie wątroba, mam wzdęcie — pojekuje.

Dzień dzisiejszy, projekty na przyszłość — wszystko roztopione w tej rozgrzanej warstwie pomiędzy gorącą gumą bańki i skórą brzucha.

— Bo po co żeś się tak najadła — strofuje Żuławski.

— Twoje łakomstwo!

— Zostaw mnie — jęczy Helena — idź lepiej szukaj pracy.



Pracy! Psiakrew — myśli Żuławski — ja im powiem tym Amerykanom, no! Ja im pokażę! Czy wy wiecie co to znaczy Europa! Ja jestem Europejczyk, E u r o p e j - c z y k ! — Przydusza papierosa w popielniczce.

— Andrzej słuchaj, czy skończyłeś już z ogłoszeniami w gazecie? No to poproszę cię o jedną stronę!

Pawełek śpi zwinięty w kłębek przy rozgrzanym bańką brzuchu Żuławskiej. Jakie to dziecko spokojne, łagodne, diabła wywołuje w nim tylko Marek. Andrzej oparty łokciami o stół czyta ogłoszenia w gazecie, zakreśla je atramentem. Od czasu do czasu wykrzykuje:

— Słuchaj Józiu, to byłoby dobre dla ciebie!

Rozchodzą się z wycinkami gazety w kieszeniach, każdy w swoją stronę. Andrzej wybiega na ulicę. Jej obcość onieśmiela.

Do diabła — uzbraja się w odporność — jestem młody i silny. Dam sobie radę! Obcość ulicy kłuje ostrą igłą. Wiatr nawiewa kurz w oczy, spojówki swędzą, drażnią. Ludzie skuleni, kołnierze podniesione, uciekają przed zimnem.

Andrzej myśli: Dlaczego skończyła się wojna? Wolałbym być na froncie, atakować nieprzyjaciela, jestem stworzony do niebezpieczeństwa. Dam sobie radę! Ja? Do diabła, dam sobie radę!

Sprawdza adres na ogłoszeniu. Gdzie plan miasta? Plan, coś uchwytnego, konkretnego, coś co przypomina wypady w teren. Tak jest, panie poruczniku, idziemy z panem. To były cudowne chłopaki. To byli towarzysze! Jeśli pan poprowadzi, panie poruczniku!

Fabryka jest na szóstym piętrze: zbrukane, zaplute schody. Podejrzliwe oczy w drzwiach.

— Gdzie pracowałeś w Ameryce? — Przeczący ruch głową. — No, no openings!

Andrzej zbiega po schodach, wstępuje na nowe. Schody, schody, schody... wprost z ulicy, ukryte z podwórza, zakonspirowane z bocznej klatki schodowej, szerokie betonowe, zdarte wieloma stopami drewniane, kręcone żelazne schodki. Po każdym zejściu ze schodów, przy każdych następnych — rezygnacja, zmniejszone aspiracje. Już nie domaga się pracy „pattern maker’a”, każdą pracę...

W restauracji-automacie pije kawę. Nogi ciężą, spojówki podrażnione pieką, niewygoda w karku. Jutro

zacznę na nowo — myśli. Wraca do hotelu. Ach wojna — marzy — wojna! Dosiada konia. Galopuje wstecz. Ciało znów nabiera elastyczności.

— No i co, i co Andrzejku? Znalazłeś? — Badawcze spojrzenie Bogi, ufne spojrzenie Bogi.

— Nie bój się — uspakaja. — Nie dziś, to jutro, znajdę!

— Tatusiu! — przerywa Marek. I już zagarnął Andrzeja.

— No przecież powiedz mi do końca! — denerwuje się Boga. — Gdzie byłeś? Nic ci nie zaproponowali? Ja tu z Markiem oblędu dostaję. Paweł źle się czuje.

Andrzej biegnie do drugiego syna. Pawelek leży na tapczanie. Czy nie ma gorączki?

— W takim razie ja... — decyduje się Boga.

Narzuca płaszcz, zjeżdża windą na dół po *New York Times*. Ostatnie strony są najważniejsze: *Help Wanted-Female*.

W drodze powrotnej spotyka Żuławskiego.

— Jak tu gorąco w tym hotelu — narzeka. — Przegrzewają!

— No i co? — pyta Boga.

— Poczekaj!

— No i co? — wita go Żuławska.

Józef zdejmuje płaszcz.

— Daj mi najpierw jeść!

— Ale co załatwiłeś?

— Wolnego, wolnego! Staram się nawiązać pewne kontakty. No a ty, Andrzej?

Andrzej siedzi na brzegu tapczanu, myśli: Wojna, telegram: Porucznik Andrzej Bask — wzywamy pana do służby specjalnej — Ameryka potrzebuje ludzi odważnych! Czołem! Prezydent Stanów Zjednoczonych. Andrzej: Tak, ale jeśli to nie zaszkodzi sprawie polskiej. Prezydent odpowiada: Nic podobnego. Rozumiemy że jest pan człowiekiem honoru. Król angielski wydał o panu opinię, najwyższe odznaczenie brytyjskie. Tego się nie zapomina! Otrzymuje pan zadanie...

— Andrzej, do jasnej cholery! — irytuje się Żuławski. — Czy nie możesz odpowiedzieć?

— A tak... No więc zastanawiałem się. Nic mi nie odpowiadało, a właściwie im... chcą *American Experience*

— No to łap pierwsze lepsze z brzegu bylebyś zaczął! A potem masz ich w nosie i oglądaj się na co innego. W międzyczasie ja po nawiązaniu pewnych kontaktów...

4.

Ameryka... Ameryka... cóż ją obchodzi nowy imigranci-ki element. Potężny, worowaty brzuch smoka! Ogromna paszcza kłapnęła zębami i wlaźcie! No już dalej, dawać sobie radę!

A oni nabożnie, z przymkniętymi oczyma, błędzą pomiędzy literami słowa *A m e r y k a* niby pomiędzy kolumnami świątyni. Litery-kolumny z gładkiej stali okrecone nagimi drutami o wysokim napięciu. Trzeba opanować specjalną sztukę wspinania się po nich. Wydawałoby się, że bez najmniejszej trudności przeskoczą z wierchołka. A na szeroki grzbiet *M.* A tymczasem co to? Stoją u podnóża, nogi ślizgają im się niezgrabnie. Czyżby nie umieli chodzić? Nie tylko to. Nie umieją nawet czytać! Tuż pod słowem *A m e r y k a* mały, ledwo widoczny napis:

You have to crawl before you can walk.

(Ażeby nauczyć się chodzić trzeba najpierw umieć raczkować).

5.

Boga wypakowała z walizki swoją wielką amerykańską nadzieję. W nowym świecie dopełniają się rzeczy trudne i wystarczy przepłynąć Atlantyk, aby znaleźć życiowe przyjęcie na uniwersytecie, który uzna absolutorium polskiej szkoły medycznej.

— Boga, — powiedziała Żuławska — dlaczego mizdrzysz się przed lustrem? Gdzie idziesz?

Boga walczy z swoim odbiciem w wąskim lustrze hotelowego pokoju. Człowiek obcy w lustrze to nie ona. Płaski obraz młodej kobiety. Dziesiątki, setki podobnych przewijają się ulicami Nowego Jorku. W jaki sposób można je odróżnić? To co odróżnia to promieniowanie wnętrza: ukryty radioaktywny związek o znaku chemicznym jedynym i różnym dla każdego. Boga stara się wydobyć siebie. Mizdrzy się. A jednocześnie usiłuje upodobnić się do tłumu młodych kobiet na ulicach: ta sama pomadka, ten sam puder, podobnie skrojona sukienka, płaszczyk. Boga stara się być jak inne — mizdrzy się. Nieustanna walka pomiędzy własną osobowością, a chęcią naśladowania. Niepewność: jak ja właściwie wyglądam. Inaczej? Ale przecież chcę właśnie inaczej i chcę tak samo. Jak znaleźć drogę pośrednią?

— Boga — powtarza Żuławska — mizdrzysz się przed lustrem od pół godziny. A co z dziećmi?

— Mówiłam ci — denerwuje się Boga — że idę do Profesora, telefonowałam. — Czy dasz chłopcom kolację?

Żuławska zgadza się, ale natychmiast dodaje:

— A co byś zrobiła beze mnie?

— Bardzo dobrze, mogę zrezygnować! — wykrzykuje Boga.

— Ale idź, idź!

— Kup mi książkę do malowania! — prosi Paweł.

Ach jakie to dziecko mizerne! Ta myśl jest bolesna. Powinnam z nim pójść do parku. Nie, muszę zobaczyć Profesora. Sprzeczności. Bezustanne rozpękanie się, rozpadanie na pierwiastki.

— Jak dostanę posadę kupię wam obu dużo książeczek do malowania.

W myśli dodaje: I kupię sobie tę nylonową halkę wystawioną w oknie.

— Dostań posadę! — woła Marek i wpada na nią. Mały byczek wali Bogę głową w brzuch.

— Ach ty niezdolny łobuzie, pomiełeś mi bluzkę!

Boga myśli: Muszę odszukać Profesora. On mi pomoże.

Początek był łatwy, nie wymagał nowych kroków i innej sztuki stąpania. Jazda, szukanie ulicy i domu należą do ważności całego zdarzenia. Pomyłką było to, że każdy krok na ulicy prowadził wstecz, albo osadzał na miejscu.

Profesor przyjął ją w swoim gabinecie. Wyjęty z panoramy szpitala, szerokobary olbrzym pozbawiony katedry i słuchaczy, nie uzbrojony w zapach eteru zmalował, przypłaszczył się i był niby papierowa figurka wycięta z kolorowej okładki magazynu i przyklepiona na reklamie nowoczesnego gabinetu.

— Czym mogę pani służyć?

Pomyślała: Sobą, tamtym dawnym o ile on jeszcze jest. Powiedziała:

— Czy pan mnie poznaje, panie profesorze?

— Na pewno jej nie poznał. Cóż mógł zapamiętać? Głowę pochyloną nad notatkami? Ręce ugniatające jamę brzuszną pacjenta? Czubki palców wyczuwające opuchnięcie torebki stawowej? Kształt w białym fartuchu? Twarz ukrytą za strzępkiem gazy? Oczy śledzące nabożnie ruchy jego dłoni ponad rozwartą jamę brzuszną pacjenta?

Pan profesor operuje! Pan Profesor! Gorąco sali operacyjnej, krótkie energiczne rozkazy, brzęk narzędzi, chrapliwy oddech operowanego. Puls!? W porządku panie profesorze. Panie profesorze, panie profesorze...

— Poznaję! Co mogę zrobić dla pani?

Potem rozłożył ręce.

— Nie mam żadnych możliwości, każdy próbuje sam. Zauważyła, że się postarzał, że mówi z trudem, jakby przygarbiał i osłaniał słowa. Milczał. Patrzyła na jego ręce. Niegdyś miały skrzydła. Położył je bezradnie na kolanach. Ręce mówiły: No idź już prędzej! Czy nie widzisz, że tamto minęło?

— Niech pani próbuje — odezwał się.

Skrzywił się w życzliwym uśmiechu.

Czekała, bała się unieść ciężar. Czekała.

— Przykro mi... — zaczął. Wtedy podniosła się. Rozłożył bezradnie ramiona. Ramiona nie miały rąk. Sterczały jak dwa kikuty.

Coając się tyłem, uciekła. W bramie zatrzymała się. Brakło jej oddechu, dyszała, jakby przeszła, przebiegła tysiące mil. Wyciągnęła przed siebie obie ręce. Wydawało jej się, że pociesza pacjenta; fizykoterapia wróci pani chwilowy niedowład mięśni, spokojnie, spokojnie, cierpliwości, odwagi!

Szła z trudem. Przystanęła. Z nagłą energią zrzuciła

ciężar, który jej ugniatał plecy. Upadł z głośnym hukiem, roztrzaskał się na kłujące drobiny.

— Szkoda — pomyślała — był to cenny przedmiot tkliwie i ostrożnie przechowywany.

Chciała odwrócić się, zbierać z chodnika potłuczone kawałki. Chwyciła ją rozpacz tak dojmująca, że zaczęła płakać na głos. Nikt jej nie słyszał. Zapędzeni przechodnie wdeptywali skarb w ziemię.

— Ażeby nauczyć się nowej sztuki wspinania, trzeba pozbyć się wszelkiego bezużytecznego balastu — postanowiła.

W kiosku z gazetami, tuż u wejścia do kolejki podziemnej, kupiła *New York Times*.

— I co ten twój profesor?

— Nic. — Poczuli ciężar nowojorskiego powietrza na obu ramionach.

— Jakto nic? Nie idziesz na uniwersytet?

— Nie idę! Medycyna nie jest dla mnie. — Kryła twarz w wielkiej płachcie gazety. Tandetny wachlarz — chłodziła nim policzki.

— Nie dla ciebie? — nacierał Żuławski. Nigdy nie umiał czytać z twarzy przesłoniętych wachlarzem. Dyploma, odgadywanie — to nie była jego dziedzina. Równy krok, otwarta przyłbica, strzelanie do celu. „Tak jest panie pułkowniku, rozkaz panie pułkowniku!”.

— Odlóż tę gazetę! — irytował się. — Porozmawiaj porządnie! Mówisz, nie dla ciebie? Przez tyle lat też nie była dla ciebie?

— Nie była, nie była! Nigdy nie byłabym dobrym lekarzem.

— To czym chcesz być?

— Nie dręczcie jej! — zawołał Andrzej.

Z stopami uczezionymi mocno podłogi hotelowego pokoju, wróciła. Na klęczkach zbierała z ulicy odłamki, resztki potłuczonego szkła. Wpychała je sobie garściami w usta. Odpowiadała zduszonym głosem raniąc sobie język i dziąsła:

— Nie znoszę szpitala i zapachu eteru! Nie mogę pa-trzeć na śnierz i jak ludzie cierpią i jak ludzie...

Uciekła w kąt pod okno. Reklamy były o jezdnię. W sztucznej nocy miasta lśniły kule pomarańcz przed otwartym dniem i nocą sklepem owocarza. Chodnikiem posuwali

się ludzie, ludzie. Niech sobie idą, niech sobie niosą swoje obce troski i cierpienia. Nic mnie to nie obchodzi, nic mnie to nie obchodzi! Będę sobie żyła ot tak, zwyczajnie. Po prostu jestem nie potrzebna. I tak nic nie zmienię, i tak nic nie poprawię.

— A pamiętasz, zawsze myślałaś o medycynie społecznej i że lekarz powinien iść pomiędzy ludzi, że trzeba leczyć nie tylko ciało, ale i psychikę, a teraz...

— Nie dręczcie jej! — zawołał Andrzej.

Milczeli. Gnębił ich niepokój. Dni uciekały prędko, narastały w tygodnie. Ani Andrzej, ani Józef Żuławski nie mogli dostać pracy. Boga wyprostowywała na stole wielkie arkusze *New York Times'a*. Zakreślała ogłoszenia: *Help Wanted-Female*.

List od Wojtka nadszedł dopiero po dwóch tygodniach. Właściwie nie oczekiwali niczego, ale Boga pytała każdego dnia:

— Wojtek nie pisał?

Żuławski upewniał się na dole u portiera:

— Czy nie było do mnie listu? Na pewno? Niech pan jeszcze raz sprawdzi. I Andrzej: Z Waszyngtonu nic? A może nie dostali naszej kartki, może list zaginął?

Żuławska uspakajała:

— Napisze, ależ napisze. Ewa w ciąży, on zagoniony.

Żuławski dodawał ironicznie:

— Mój kochany syn nie lubi pisać, Ameryka już go przerobiła.

Wojtek przeproszał, że odpisuje późno. Cekał na Prezesa, rozmawiał z Prezesem i Prezes powiedział, Prezes się zgodził, Prezes prosi niech przyjeżdżają, Prezes nie ma nic przeciwko temu, aby chwilowo...

— Do jasnej cholery! — ryknął Żuławski. — Mój jedyny syn sprzedał duszę Prezesowi. Ani mi się śni jechać!

— To nie o to chodzi, nie o to chodzi — mówiła Żuławska. — Tylko gdzie my się tam będziemy zwałać. Oni sami: Wojtek, Ewa i dzieci mieszkają kątem u Prezesa...

— Mówię, trzymać się wielkiego miasta. Waszyngton to nie dla nas: dyplomaci, gryzipiórki i hołota wisząca u

pańskiej klamki. Ja się na to wypinam. A właściwie to nic konkretnego nie proponował.

— Bo czy on ma jakieś możliwości? Józiu, czego ty się od niego spodziewasz! Dopiero rok temu przyjechali z Anglii. Sam ma stypendium *Free Europe*.

Boga odpisała:

„Kochani Ewo i Wojtku, dziękujcie Prezesowi za zaproszenie. Nie możemy wam robić kłopotu, damy sobie radę w Nowym Jorku”.

Żuławska poszła na spacer z chłopcami do Central Parku. Pawełek trzymał się kurczowo jej ręki, Marek wyrwał się, biegł naprzód. Przed pomnikiem rycerza na koniu, Żuławska stanęła pochlipując.

— Babciu, nie płacz! — pocieszał Pawełek.

— To król Jagiełło — tłumaczyła przez łzy.

Rycerz na koniu z wyciągniętym mieczem galopował ponad trawnikami i ludźmi. Obchodzili go tylko Krzyżacy. Pierwsza tęsknota, która zrodziła niepewność.

Ach ci spacerowicze naokoło, te szare wiewiórki, wiosna w barwie pierwszego krokusa na nagim trawniku — nikt ani nic nie wie o Grunwaldzkim rycerzu. Zbłąkany, samotny król na emigracji.

— Królu — myśli Żuławska — przetnij mieczem niepewność.

Marek ocenia posąg krytycznie. Kurczy się król Jagiełło kurczy, kurczy do małej, niepozornej zabawki.

— Phi! — woła Marek. — No to co, babciu, no to co, że król!

Pawełkowi drgają usta. Podświadomy niepokój. Szuka, nadśłuchuje, śledzi twarze przechodniów.

— Ta pani chyba mówi po polsku — odgaduje.

Pani mówiła po polsku. Pokój hotelowy poszerza się o Central Park, wiewiórki, Jagiełłę walczącego z Przeszłością — wydarta kartka z podręcznika historii, którą potrącają Amerykanie nie umiejąc przeczytać. Wieczorem Paweł nie mógł zasnąć, kręcił się długo w łóżeczku. Usypiali go. A wreszcie gdy zasnął i gdy byli już bardzo zmęczeni, śmieli się. Ich wyciągnięte ku miastu, opadające ramiona podtrzymywał śmiech.

Żuławski pomyślał: No to pójdę do tego Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej, ostatecznie jestem żołnierzem, może co poradzą. Wyczekał się w szarym pokoju na plastikowym fotelu. Prezes wszedł ważny i uczynny. Żuławski zebrał się w sobie, raz, dwa, trzy! Przypiął odznaczenia, order, czapki obydwie na głowę: polską rogatywkę i angielski czarny beret z czerwonymi literami *Poland*.

— Przyjechałem z Anglii — ruszył do ataku — i chciałbym i prosiłbym...

— Pożyczek nie udzielam — syknął granatem prezes.

I Żuławskiego zaraz poszarpało w kawałki. Odpowiedział całą armią Żuławskich:

— Ja do was nie po pożyczki, po informacje.

— Ja, proszę pana, moją karierę w Ameryce jak zacząłem to szczury trułem i inne różne robactwo, a teraz jestem generalnym adiutantem.

Stali na wprost siebie: dwie wrogie armie. Żuławski poczuł, że jest partyzantką. Wracając chował odznaczenia, czapki, mundury, przysypywał naftaliną.

Schody prowadziły w górę: brudne, zaplute, zaśmieczone niedopałkami.

— To tu — pomyślał Andrzej.

Sprawdził adres w ogłoszeniu. Za zamkniętymi drzwiami terkotały maszyny, ryczał głośnik radiowy. W progu potknął się o stertę materiałowych skrawków. Było gorąco, pocił się w grubym płaszczu. Mężczyzna, rękawy koszuli podwinięte do łokci, spojrzał. Uniósł brwi w górę: zdziwienie i dezaprobata:

— Yes?

Andrzej poczuł suchość w gardle, nie przemówił ani słowa. Język angielski dotknięty akcentem zaszeleścił.

— Ben, ej Ben! — ryknął mężczyzna przekrzykując maszyny. — *A guy here for you!*

— Czego chce? — odpowiedział głos.

— *Looking for a job!*

— Eh?

— Pyta się o pracę „*pattern-maker'a*”!

Zawołany wynurzył się spoza długich stołów i wieszaków pełnych kolorowych płaszczy i kostiumów. Były podobne do nieżywych ptaków z głowami opadłymi pomiędzy obwisłe skrzydła.

Andrzej wyprostował się. Mężczyzna był w jego wieku. Barczysty, łysawy, policzki czerwone, duży wystający nos.

— Przecież wiem — pomyślał Andrzej — przecież pracowałem z Żydami.

— Chodźmy do biura — uśmiechnął się Ben.

Biuro było niewielkim kantorkiem tuż przy terkoczącej maszynami pracowni. Na ścianach poprzypinane szkice modeli.

— Gdzie pan pracował ostatnio?

Andrzej zaczął wyjmować z portfela angielskie świadectwa.

Powstrzymał go ruchem ręki:

— Nie, nie! Gdzie pan pracował w Nowym Jorku? Nigdzie? Sorry! — uśmiechnął się. — Bez nowojorskiego *Experience...*

Andrzej szedł wolno po schodach. Myślał:

Gdy profesor zawołał mnie do swego gabinetu, powiedział: Wybrałem pana na swego asystenta z kilkuset kandydatów.

To wielki zaszczyt, panie profesorze...

Andrzej wyszedł na niewielkie, ściśnięte między kamienicami podwórko, potem na ulicę zaśmieconą papierami. Na rogu przystanął przed kioskiem z gazetami.

— *New York Times* — powiedział — popołudniowe wydanie.

Wąskie schodki prowadziły w dół do gabinetu lekarza. Korytarzyk, poczekalnia, mały, niechlujny pokój z leżanką, probówki z moczem, z krwią, strzykawki, stetoskop. Wszystko znajome, ale jakby nie to. Twarz lekarza bez wyrazu, zmęczona i znudzona.

— Czy umie pani prowadzić kartotekę? A analizy? A wygotować strzykawkę? A zastrzyk jak potrzeba? Dożyłne robię sam.

Boga kiwała głową, ale buntowała się: To nie to, nie to! Nie chcę tego skraweczka życia. Co zrobię z sobą i tym co nagromadziło się we mnie?

— A czy pani zdaje sobie sprawę — powiedział — że to jest dzielnica mieszana? Spojrzał na nią, badał wyraz twarzy, wyczekiwał.

Ale ona nie wiedziała co to jest „dzielnica mieszana” i dlatego wzrok jej nie odpowiedział mu. Spuścił głowę.

— Mam kolorowych pacjentów — szepnął, jakby się tłumacząc — naturalnie, ta lepsza klasa, ale niektórzy..

— To mnie nie przeszkadza — przerwała.

Nie wiedziała, że dotyka problemu. Podniosła go lekko i bez onieśmienia.

— Przecież chory... — zaczęła.

Spojrzała w twarz lekarza i przestraszyła się. Nie wierzył jej. Nie wierzył i podejrzywał.

— Będę z panią szczerą — wstał — cudzoziemcy często zmieniają miejsca pracy.

Idąc ulicą przyglądała się mijającym ją Murzynom. Nie знаła ich. Czy cierpienie ich jest inne? Czy odwróciłyby się z odrazą od ich chorego ciała? Czy musiałyby walczyć z niesmakiem nakładając opatrunek na czarną skórę?

— Boże — szepnęła — Boże, a może oni mnie nienawidzą, za to, że jestem biała? Jaki naprawdę jest ten człowiek o błyszczącej skórze, grubych wargach i oczach wilgotnych i wypukłych?

Mijali ją pogrążeni w swoich własnych myślach. Wysoki, czarny wyrostek w kapeluszu zsuniętym z czoła, splunął. Murzyniátko z włosami splecionymi w dziesiątki

cienkich warkoczyków, siedziało na ziemi, tuż u podnóża betonowych schodów.

— Hi! — zawołała.

— Hallo! — odpowiedziała Boga.

Drapacze skruszyły się i pokryły miasto grubą warstwą pustynnego piasku. Szła sama. Żadnych śladów. Szukała niezgrabnie własnej drogi. Cały ładunek, który przywiozła ze sobą okazywał się za ciężki, bezużyteczny, wyrzucała go poza siebie zrezygnowana.

— Tu trzeba inaczej — postanowiła.

Ale nie miała dość siły ani odwagi. Później, później!

Wiem zaraz znów wyrosły drapacze. Jak dobrze, wygodnie iść w ich cieniu. Cieszyła się, że ma swoją komórkę na siódmym piętrze w hotelu z używalnością kuchni. Odgrodzić się, odizolować, zamknąć hermetycznie.

— Co tam! — wzruszyła ramionami. — Nie jestem Amerykanką!

Uniosła podbródek w górę: Boją się mojej odrębności! Cudzoziemcy często zmieniają miejsca pracy! Idiota! Boją się, boją — stukała obcasami w żelazne schodki prowadzące do tunelu kolejki podziemnej. Boją się świeżej transfuzji krwi! — Śmiała się i gryzła wargi.

Na stacji kolejki podziemnej weszła do budki telefonicznej. Wyjęła z kieszeni płaszcz zmiętą gazetę. Palce, gdy nakręcała numer drżały. Połączyła się ze szpitalem. Poszukiwali asystentki w dziale bakteriologii.

Józef Żuławski i Andrzej wrócili do hotelu. Obliczali pieniądze.

Na ile tygodni? Na ile dni?

— Może w takim razie ja? — zaproponowała Żuławska.

— Nie rób paniki! — huknął Józef — Nic się nie dzieje.

Słuchawka drżała w ręce Bogi.

— Hallo?

— Czy mogę mówić z profesorem Wajsmannem?

— Przełączam.

— Matko Boska Częstochowska! — szepnęła.

Idąc szerokimi schodami szpitala Boga myślała o rozmowie telefonicznej z profesorem doktorem Wajsmannem. Każdy stopień wydawał się klawiszem, przywracał znany ton, a jednak melodia, w którą łączyły się była inna. Wiele

w niej było półtonów i niedomówień muzycznych. Akordy zamierały w połowie, a bojąc się, aby nie przebrzmiały uzupełniała je sobie na prędce tonami zasłyszczanymi dawniej, które jednak teraz zdumiewały ją innością brzmienia, dziwacznością nowych harmonii. Od wieków ludzie operują tą samą ilością dźwięków, skąd więc tyle nowych melodii?

Szła na spotkanie profesora doktora Wajsmiana niepokojna, a mimo to pełna nadziei. Głos jego, który dotarł do niej w słuchawce, miał akcent cudzoziemski. Głos był osobną istotą. Przyglądała mu się i oceniała. Podchwytывał słowa właściwe, celował w nie natychmiast, bez zastanowienia, był równy, nasycony, opierał się w słuchawce pewnie, a jednak z dystynkcją, nie podrywał się nagle, przekonywał łagodnie, a stanowczo — to był głos naukowca. Boga czuła, jak pod wpływem działania głosu rozpłaszcza się otoczką jej komórki, jak się cała rozpręża, jak gdyby po raz pierwszy przeciągnęła się wygodnie. Tylko pod koniec głos nabrał rumieńców, stał się bardziej powszedni i odrzucił profesorską togę, a schodząc z katedry zatrzymał się tuż przy Bodze.

— Kto panią uczył bakteriologii?

— Profesor Hirszfeld — odpowiedziała.

— Profesor Hirszfeld! — rozpromienił się głos.

Przez chwilę zlekceważono jej obecność. Tylko dwa słowa: *Profesor Hirszfeld* drgały w powietrzu i do nich mówił głos. Przemawiał ciszą, która nagle zapanowała w słuchawce.

— Niech pani przyjeżdża natychmiast! — zakomenderował krótko.

Odłożyła słuchawkę, podniosła gazetę z posadzki. Przez całą jej szerokość biegły ozdobne, grube litery.

La science n'a pas de patrie.

Gdzie ja to widziałam? — zastanawiała się. — Mniejsza z tym, nie mam teraz czasu. Sprawdziła na planie miasta położenie szpitala. Kolejka szybowała w powietrzu. Boga starała się powiązać nitką dwa światy. Tą nitką było nazwisko profesora Hirszfelda.

Myślała: Czyż ludzie nie są podobni do komórek bakterii? Tak samo reagują na odczynniki, na tych samych rosną pożywkach. A jeszcze pół godziny temu myślałam inaczej. Uważaj! — przestrzegała sama siebie — bakterie zmieniają swoje formy, dostosowują się do otoczenia. Wy-

daje ci się, że odkryłaś wielką prawdę chcąc sprowadzić wszystko do wspólnego mianownika. Jakie to byłoby łatwe i niebezpieczne. Łatwe i przeraźliwe, aż do mdłości nudne. Uważaj, uważaj, nie zawsze udawały ci się doświadczenia bakteriologiczne. Ile to razy bakterie nie chciały „rósć” na ciemnej pożywce krwi. I wtedy barczysta postać i siwa, bujna czupryna profesora Hirszfelda pochyłała się nad okrągłą płytką. On znał tajniki „przyjmowania się”, ale student nie umiał manipulować platynową pętlą i tajemnica była przed nim zakryta.

La science n'a pas de patrie. Nauka czego? Nauka o czym? Czego może nauczyć mnie nowy kraj? Jaka wiedza nie ma ojczyzny? Medycyna?

Wstępowała po szerokich stopniach szpitala. Wyrastał, jak pałac ponad płaską dzielnicę. Onieśmiał. Gdy znalazła się w hallu znajomy zapach, zapach dezynfektorów i krochmalonych fartuchów pochwycił ją przyjacielsko za rękę. Szła ostrożnie. To było królestwo. Należało stąpać miękko, aby nie potrącić cierpienia. Przechodząc mimo otwartych drzwi sal oddziałowych obejmowała zachwyconym spojrzeniem emaliowane rzędy łóżek, kształty unoszące biel prześcieradeł, niewyraźne twarze ludzi, zawoalowane, na pół tylko świadome, odgródzone od rzeczywistości barierą szpitala. A ona szła świadomie, jakby dopiero tu zaczęła się rzeczywistość, a tamto miasto w którego rozhułkanym, niespokojnym brzuchu łomotały, trzęsły się rozepchane jelita *underground'u*, było kliniką chorych, potężnym szpitalem gdzie nikt nikogo nie leczy, nikt nie stawia diagnozy, nikt nie zażywa lekarstwa. Wciągała z lubością mdławy odór potu i wydzielin, rękami odnajdującymi dawną sprawność rozdzielała zasłony ciszy szpitalnej, tej ciszy, która jest krzykiem zamarłym u progu zeschniętych warg. Syciła się atmosferą cierpienia i choroby, witała ludzkie nieszczęście, jak rzecz bliską i upragnioną. Poprzez nie zbliżała się do misterium człowieka. Tylko wtedy potrzebowali jej.

Tylko wtedy, gdy na świeży kikut ramienia zakładała opatrunek, oczy chorego przejaśniały się bólem i mogła spoglądać w ich głębię. Tylko wtedy, gdy zwolna naciskała tłok strzykawki, a lekarstwo równym strumieniem sączyło się w żyłę, człowiek opierał spocone i niespokojne palce o jej przedramię i w dotknięciu tym była ufność i prośba

o pomoc. Ogarniało ją ciepło przejmujące, a łagodne, w którym krańcowości uczuć, radość i współczucie, uśmiech i łzy stapiały się w związek surowy o wyglądzie i zapachu głębokiej, otwartej rany — w sens życia. Myślała wtedy, że samarytanizm nie jest cnotą, jest egoistycznym szczęściem — braniem w momencie dawania.

Szła na wysokich koturnach półpijana, w stanie dźwięcznego rozradowania, w którym fantazja realnie łączy się z rzeczywistością. Wszystko było giętkie, dające się formować twórczemu dotknięciu pragnącej wyobraźni. Różowa plama tuż przed nią zaostrzyła się i nabrała wyrazu. *May I help you?*

Prędko odrzuciła koturny i odpowiedziała trzeźwo na pytanie sekretarki.

— *Your name?*

— Mrs Bask.

Sekretarka wskazała ręką gabinet profesora.

Profesor był istotą dziwną. Był jak nieudana fotografia. Stał przed Bogą niewielki o siwiejącej, ściętej „na jeża” czuprynie, w białym nieco za krótkim fartuchu, ale w nim i jakby poprzez niego wyrastał inny. Ten drugi był tęższy, czuprynę miał zupełnie siwą i przerastał pierwszego o głowę. Obydwaj siedli i wskazali Bodze krzesło. Obydwaj zaczęli mówić naraz. Boga poczuła zawrót głowy, gdyż w tej poplątanej przemowie w której słowa angielskie tłoczyły się i popychały polskie, niby samochody na przepełnionej jezdni w czasie *rush hour*, — nie mogła niczego zrozumieć. Odczuwała więc niepokój pośpiechu, obecność kilku spraw jednocześnie i dopiero po chwili zorientowała się, że ten drugi jest profesorem Hirszfeldem i że właściwie przyszła do niego. Ściskając w rękach torebkę starała się sobie przypomnieć najprostszy sposób barwienia metodą Gram'a. Był to próżny wysilek. Gdyby chociaż udało jej się skupić, zebrać myśli. Wszystkie Cocci i Bacilli wzbity się nad nią w barwną, wirującą chmurę — nie potrafiła ich rozdzielić. Grupy krwi poplątały się w dziwaczne znaki chińskie.

— Nie jestem przygotowana do egzaminu! — krzyknęła.

Znikł natychmiast. Oprzytomniała.

Przecież nie przyszłam tu na egzamin, muszę dostać pracę.

W tym samym momencie profesor doktor Wajsman zabębnił palcami w blat biurka i zapytał prędko:

— *How much experience do you have?*

Było to pytanie retoryczne, albo też zwrócone do tego drugiego, który zniknął przed chwilą, gdyż nie czekając na odpowiedź, profesor uderzył rozpląszczoną dłonią o biurko i zauważył spokojnie, że Boga na pewno nic nie umie i nie posiada żadnego *experience*.

Odetchnęła głębiej i spojrzała odważniej na profesora.

Wiedza jej równała się wydolności gołego oka podczas gdy oni obaj uzbrojeni byli w wysokoczułe soczewki. Promień światła jednak który załamywał się w ich soczewkach uderzył ją niegdyś iskrą elektryczną i będąc porażona siłą wysokiego napięcia liczyła się i miała wstęp w zakres ich świata. Profesor wychylił się nieco z krzesła, spojrzał na nią badawczo. Zmieszała się. Teraz będzie mnie egzaminował — przeraziła się.

— *Do you like bacteriology?* — zapytał.

Wstał i z założonymi w tył rękoma zaczął się przechadzać po gabinecie. Nie nalegał, dawał jej czas do namysłu. Śmieszna, niewielka figurka — nosił swoją ważność w kieszeniach białego fartucha.

Gabinet był wąski, półki na ścianach z probówkami i szklanymi cylindrami; w głębi okno i szare, ciężkie, styczniowe niebo. Na stole pod oknem tuż obok grubych, oprawnych w skórę tomów — mikroskop. Był to model, którego nigdy przedtem nie oglądała. Podeszła i nieśmiało wyciągnęła rękę. Cofnęła się zażenowana. Profesor przystanął. W uśmiechu twarz jego była przestępniejsza, łatwiejsza.

— Chodź — powiedział — reguluj sama śrubą mikrometryczną. Patrz na godzinę piątą.

Boga przyłożyła oko.

— No i co? — nalegał profesor. — Patrz na godzinę piątą!

— *Streptococcus?*

— Streptokoków masz pełno. Ale na godzinie piątej!

Przecież widzisz!

— *Limfocyt?*

— *Sure* — przytaknął — *sure*. I to jaki limfocyt!

— To bardzo ciekawy model mikroskopu.

— *O yes, yes, — very interesting*. Tego mikroskopu używamy do „*research*”. — I po chwili: *I can give you*

VON fifty for the beginning. „VON fifty” nie doszło do jej świadomości.

— Akceptujesz?

Kiwnęła głową. Gdyby otworzyła usta zaczęłaby krzy-
czeć. Była dumna, dostała posadę.

— No to chodźmy — powiedział profesor — pokażę
ci laboratorium. Musisz nosić miękkie pantofle, za bardzo
stukasz obcasami.

Pchnął drzwi do korytarza.

Boga zatrzymała się w progu. Korytarza nie było.
Zamiast niego od brzegu gabinetu, aż do sąsiednich drzwi
na prawo i na lewo rozpościerała się jak gdyby woda.
Gdyby postąpiła krok naprzód, stopa jej natrafiłaby na
przestrzeń niebieską. Profesor powiedział niewyraźnie:

— To jest Atlantyk, dlaczego się cofasz?

Po czym przeszedł najspokojniej przez ocean. Naśla-
dując jego kroki dotarła do laboratorium. Kręciły się tam
dwie postacie w białych fartuchach.

— Hilda! — zawołał profesor.

Szczuplejsza postać pochylona nad wirówką drgnęła,
podniosła głowę. Duże, ciemne oczy w wychudłej twarzy
wyszły na spotkanie Bogi, potem uśmiech przekreślił fałdy
policzków i Hilda wyciągnęła rękę.

— Nice to meet you.

— Jak ci na imię? — pochylił się profesor. Był już
tylko starszawym lekarzem, który zatroszczył się o pacjenta.

— Boga.

Hilda uściśnęła jej rękę mocno i zatrzymała przez
chwilę w swojej dłoni. W wyciągnięciu ramienia było
zapytanie i wyzwanie. Zorientowała się dopiero o co cho-
dzi, gdy zauważyła na gołym ramieniu Hildy ciemny
numer. Hilda powiedziała, że jest Węgierką. Jako Ży-
dówka dostała się do obozu koncentracyjnego. Ucieszyła
się bardzo, że język Bogi kulał dziwacznie pod brzemie-
niem akcentu.

Bardzo zabawne, języki profesora, Hildy i Bogi za-
przyjaźniły się. Było to koleżeństwo tragarzy, albo nieme
porozumienie i sympatia ludzi chromych.

Natomiast numer na ramieniu Hildy oczekiwał na
odповідź. Boga nie miała numeru. Przez moment prze-
niknęło ją potworne podejrzenie: pomyślała, że tylko
ludzie numerowani mogą przejść przez korytarz-Atlantyk,

że to jest karta wstępu do laboratorium. Nie miała czasu martwić się dłużej, gdyż profesor przedstawiał ją drugiej postaci. Zwrócił się do niej: Miss S. Była starsza niż Hilda, nieduża, przysadzista, w okularach. Spojrzała niechętnie na Bogę i pytająco na profesora. Profesor bardzo zmałał i nawet nie był już doktorem. Tłumaczył się i starał się być bardzo uprzejmy. Wysunął nawet argument numeru, widocznie nie wyobrażał sobie, że Boga mogła go nie mieć. Miss S. jednak nie miała wątpliwości. Jej okulary zatrzymały się na twarzy Bogi.

— *Where are you from?*

Gdy usłyszała słowo „Poland” cień padł na jej policzki. Policzki uciekły w głąb, okulary poza którymi chowały się oczy, ziębiły twarz Bogi. Poczowała drżenie w kolanach. Słowo stało w powietrzu i rzucało cień. Boga wyprostowała się, podniosła hardo podbródek do góry, zgarnęła prędko litery, zrobiła z nich opaskę i założyła ją sobie na ramię. Miss S. wzruszyła ramionami. Podeszła do stołu pod oknem i wskazała Bodze wysoki taburet.

— To będzie twoje miejsce od jutra.

Zapytała czy Boga umie łamać rurki szklane nad płomieniem. Chwyciła długą rurkę, rozgrzała nad palnikiem gazowym, w pewnym momencie szarpnęła mocno oba końce, pośrodku utworzyła się włosowata nitka szklana, szarpnęła — nitka pękła. Miss S. spojrzała na Bogę pytająco.

— No i co? Potrafiisz?

Odpowiedziała, że nie umie, ale nauczy się.

— Ona — Miss S. — wskazała na Hildę — też nie umiała.

Profesor przywołał Bogę kiwnięciem ręki. Chciał jej jeszcze pokazać laboratorium chemiczne. Czowała się nieswojo wobec Miss S.

Hilda uśmiechnęła się.

— *It will be nice to have you here.*

Idąc przez korytarz, który nie był już Atlantykiem, profesor opowiadał o planie „research”. Hilda jest bardzo zdolna i dużo mu pomaga.

— Jeśli okażesz się zdolna, będziesz mogła brać udział w „research”.

Chciała spytać profesora o możliwości studiów na uniwersytecie, ale onieśmielał ją brak numeru i.. „re-

search". „Research” wydawało się być ważniejsze niż uniwersytet. Poza tym profesor mógłby się rozmyśleć i nie dać jej VON fifty. Nie mogła zastanowić się nad tym co znaczy VON, gdyż profesor mówił bez przerwy o „research”. Opowiadał, że na dole w piwnicy są zwierzęta, których używa się do doświadczeń i że pozwoli jej robić sekcje. Planował także, że po kilku tygodniach puszcza ją na oddział do pacjentów.

— Będziesz pobierała krew.

Odprowadził ją aż do windy.

Schodziła po schodach szpitalnego budynku. Przy każdym stąpieniu natychmiast odzywał się ton. Gdy znalazła się na ulicy, schody grały niby organy. Odwracała się kilkakrotnie. Obietnica profesora „o puszczeniu na oddział” była głównym motywem melodii. Były tam także słowa Hildy „nice to have you here”. Ogarnęła spojrzeniem szpital. To jest Ameryka, której chcę się nauczyć: ludzie potrzebujący mojej pomocy. Czy jednak zrozumie ich łamiąc nad płomykiem rurki szklane? Może. Różne są drogi poznawania.

Puściła się pędem, przeskakiwała żelazne stopnie prowadzące na peron kolejki. W wagonie, wyciągnęła lusterko z torebki i umalowała usta.

— Dostałam pracę — szepnęła do siebie.

Odpowiedział jej przeciągły gwizd kolejki, a potem zapadli w tunel i aż do Broadway’u jechała nie zupełnie przytomna, stęskniona za dniem, który utwierdziłby dopiero co odkrytą prawdę.

9.

W południe ulice są lekkomyślne. Odpoczywają po pierwszym zgiełku dnia, i przed wieczorną gorączką powrotu. Zatrzymują i kuszą. Wtedy kupuje się najlepiej i najłatwiej wydaje się pieniądze. Boga szła Broadway’em, a wystawy — nowojorskie kokoty w czarnych halkach i sztucznej biżuterii dygały przed nią wdzięcznie. Odgadywały jej napuszoną dumę i starały się jej przypodobać.

— Poczekajcie — odpychała je delikatnie — jeszcze nie teraz. Dopiero, jak dostanę VON fifty.

— Co to jest VON? — zastanowiła się.

Ale nagle ulica zafalowała, złamała się, pomknęła w przestrzeń, jak rakieta i wróciła z powrotem do normalnego położenia. Natomiast postać, która posuwała się na wprost Bogi, szła cały czas, nawet wtedy, gdy nie było ulicy i wtedy, gdy znowu wróciła. Zbliżały się ku sobie. I dopiero zupełnie blisko, Boga przytomniejąc po niespodziewanej eksplozji i jeszcze nie dowierzając, zawołała:

— Regino! Regino!

Poznała ją po wełnianym szalu na głowie i po nieco skurczonych ramionach. Ale poznanie to nie było zupełne, gdyż prawdziwa i jedyna Regina, która istniała poza ulicą i na ulicy, żyła w oczach postaci.

Regina spojrzała. Najpierw przemówiła oczami, które poszerzyły się, ściemniały jeszcze bardziej i zwilgotniały... Potem wyciągnęła ramiona aż wełniana chustka opadła i kiwając obnażoną głową wyszeptwała:

— Boga, co za spotkanie, a ja ja jaj...

Wyższa od Bogi, stanowcza, jakby bardziej na swoim miejscu, wzięła ją pod ramię i natychmiast przyjęła rolę przewodniczki.

— Chodź, chodź do nas. Gdzie idziesz? Ja cię odprowadzę. Tędy. A matka? A Andrzej? A ojciec?

— Dlaczego wyjechałaś Regino?

Uniosła brwi w górę. Wzruszenie ramionami, ręce wywinięte bezzadnie dłońmi ku górze, westchnienie.

— Dużo by trzeba mówić — wahała się — tutaj jest spokojniej, lepiej. Już tyle przeszłam przez te lata w Warszawie. — Sciszyła głos. — Znowu zaczynali. — Przerwała. — Co ja ci mam mówić... Już. Stało się. Niech będzie. Lepiej! A Helena? — W głosie jej zabrzmiała obfitość troski i uczucia. — Zdrowa? Muszę ją zaraz zobaczyć! My chodziłyśmy do jednego gimnazjum, wiesz? A gdzie mieszkacie? Takie spotkanie... — zawodziła.

— Mam dwóch synów, Regino.

— No i co ty powiesz, co ty powiesz moja kochana. Ojciec zdrowy i Andrzej. To kochany chłopak, kochany chłopak. Ja mam wnuczki, zobaczysz! Wszystko zobaczysz. No i co ty powiesz na takie spotkanie?

Skreśliły w boczne uliczki hałaśliwe kolorową dzieciarnią. Murzyn poganiał chudego konia, który ciągnął wózek pełen bananów. Przystawał i darł się ochryple:

— Banaaaaanas!

Boga nie patrzyła na banany tylko na konia, gdyż koń ten nadawał jej spotkaniu z Reginą cech prawdopodobieństwa i jakby usprawiedliwiał tę niemożliwość. Gdy przechodziły koło kościoła przylepionego na rogu do rzędu bliźniaczych kamieniczek, Regina przystanęła.

— Może pójdziemy do kościoła? — spytała patrząc na Bogę wyzywająco.

— Chodzisz teraz do kościoła Regino?

— Bóznica czy kościół — wzruszyła ramionami. — Bóg jest wszędzie ten sam. Nie patrzyła na Bogę tylko przed siebie. Jej dolna szczeka drgała. I po chwili nieśmiało, jakby w zażenowaniu, jakby w tajemnicy przed samą sobą:

— To mi przypomina Polskę.

10.

Żuławski wszedł do pokoju, jego nos nosił ślady triumfu.

— Przypominasz sobie Gertza?

Żuławska podniosła głowę znad gazety.

— Gertza?

— Ten właściciel dużych fabryk w Polsce. Pamiętasz co to jeszcze opowiadałem ci, że we Francji...

— No tak, tak...

— Wyobraź sobie jego syn jest tutaj, inżynier.

— Co ty mówisz? Myślisz, że przez niego?

— Nic nie myślę, nawiązuję pewne kontakty. Ostatecznie jego ojciec zawdzięczał mi wiele. Rozgadaliśmy się o starym Gertzcu.

— Widziałeś go? — poderwała się Żuławska — Józku, widziałeś go? No i co on mówi, co on radzi?

— Wolnego. Nie chcę dwa razy powtarzać. — Żu-

ławski czuje na nowo opinający go w talii pas munduru.
— Gdzie Andrzej i Boga?

Andrzej siedział przy stole w drugim pokoju. Myślał: Jeśli puszka z konserwą byłaby jednocześnie piecykiem, jeśli nabój załadowany w niej przy odpowiedniej manipulacji zagrzalby konserwę... Cholera, to trzeba opatentować.

Bliźniaki bawiły się na podłodze wycinając obrazki z magazynów.

— Andrzej! — zawołał Żuławski.

Wstał ociężale, niechętnie.

— Andrzej, chodź zaraz! — nalegała Helena.

Przeszedł niewielki hall do którego otwierały się drzwi hotelowych pokoi. Marek i Paweł poderwali się natychmiast i ruszyli za ojcem.

— Nie dotykaj! — krzyknął Żuławski na Marka, który zabierał się do otwierania walizki. — Nie otwieraj, nie twoje!

Paweł wskoczył na tapczan.

Żuławskiego ogarnęła rozpacz.

— A teraz ten mi rozwała łóżko! No przecież to przechodzi ludzkie pojęcie! Czy nie możecie bawić się jak dzieci?

— Nie zwracaj na nich uwagi.

— Jak mogę nie zwracać, kiedy dewastują, mieszkanie.

— O co chodzi? — zapytał Andrzej.

— A, nie ma o czym mówić!

Żuławski słabnie w obliczu zdarzeń, które są „nie tak, jak być powinno”. Andrzej, Żuławska i bliźniacy na baczność, wszystkie sprzęty w pokoju wyrównane — wtedy dopiero można zaczynać. Ale w tym bałaganie? W tym harmidrze? Ogarnia go zniechęcenie.

— Ja też bym chciał z tobą pomówić — odzywa się Andrzej. — Mam pomysł.

— To może po kolei.

— Przecież czekam...

— A więc rozmawiałem telefonicznie z pewnym panem... — Helenko, proszę cię, weź Marka! Popatrz, wypadnie z okna! A idziesz ty smarkacz! Jak Bożę kocham kiedyś na łeb jeden z drugim spadnie i nie będzie co zbierać. Przecież to jest siódme piętro.

— Marek, bo dostaniesz w tyłek, Paweł zwałaj z łóżka. — Andrzej przygotowuje grunt pod przemowę Żuławskiego.

— No więc, proszę ja ciebie, poszedłem do tego Stowarzyszenia Weteranów. Niech ich jasna cholera! Pożyczek nie udzielamy. To ja się po nich solidnie przejechałem i taaaki się zrobił malutki. Myślę sobie tak: kto mógłby być w Nowym Jorku ze znajomych? Wspominali mi, Gertz. Za książkę telefoniczną i buch! Jest: Zygmunt Gertz. Wałaj! Panie Zygmuncie mówi pułkownik Żuławski.

— No a on? — niecierpliwi się Helena.

— No strasznie serdecznie, żeby na obiad z nim. Więc mówię: nie, ale jutro prosimy do nas.

— To ciekawe — szepcze Andrzej — to syn tego przemysłowca?

— Ba! To byli w Polsce milionerzy! Stale zapraszani na Zamek. Z ojcem znałem się dobrze. Pan całą gębą i to gentleman.

— To ciekawe — powtarza Andrzej — on, mając tu koneksje żydowskie...

11.

Winda posuwała się wolno. Boga chciałaby ją unieść w górę rękoma. Miała tyle siły. Wpadła do pokoju zadyuszana. Nie powiedziała nic, niech zgadują.

— Andrzej otwieraj kufer, muszę wyprasować mój biały fartuch!

Wszystkie spojrzenia przy niej.

— Co się stało? Dostałaś pracę? Co, mów, co?

Trajkotała szybko polykając słowa: szpital i profesor, ogłoszenie, Hilda i Miss S., nadzieje i obawy i wreszcie dobrnęła do VON.

Debatowali nad tym długo.

— Jak mogłaś nie spytać się wyraźnie? — denerwował się Żuławski. — VON może oznaczać *four*, a może oznacza *one*.

— Czy możliwe, aby zaofiarował jej *one fifty* — sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc! To wydaje się śmiesznie mało! Z jej wykształceniem. No więc pewnie *four*.

— No, ale dostała posadę! — cieszyła się Żuławska.

— W każdym razie jakiś początek — stwierdził Żuławski. Podświadomie wierzył w prawo serii: dzisiejsza rozmowa z Gertzem, posada Bogi, coś się zaczyna, coś się zaczyna kręcić.

Andrzej spojrzał z nadzieją na zegarek. *New York Times* można było otrzymać późno wieczorem około godziny jedenastej. Zegarek i czas były strzałkami na drodze nowych możliwości. Gazeta wieczorna kryła niewiadome i możliwe do spełnienia. Wczoraj ukrywała laboratorium, profesora, Hildę i Miss S. Boga uczuła chłód w końcach palców — drętwiały. Nigdy, drżała, nigdy nie potrafię utrzymać gorącej rurki szklanej nad gazowym płomykiem.

Andrzej tłumaczył Żuławskiemu projekt wynalazku.

— Wyobrażam to sobie jako puszkę-kuchenkę do użytku żołnierzy na froncie w warunkach gdy nie ma możliwości zagrzania jedzenia.

— No, no, ale to jeszcze wszystko w chmurach, a w rzeczywistości...

— Poczekaj! Wyobrażam sobie tak: na zewnątrz jest umocowany lont, pocierasz go zapalką, substancja bezdymna wewnątrz ogrzewa się...

— Może — zastanawia się Żuławski. — Ja coś niecoś powiem Gertzowi. W razie czego korporacja, zamówienia i przystępować do produkcji, ale najpierw trzeba zmontować i wypróbować puszkę... Kto wie? To jest kraj ludzi odważnych.

Twarz Andrzeja rozpromieniona, a w głowie tylko ta puszka. Puszka z konserwą, na zewnątrz lont, we środku substancja ogrzewająca zupę grochową, gulasz. Puszeki... puszeki... puszeki. Wynalazek młodego emigranta zmienił całkowicie zaprowiantowanie armii amerykańskiej! Żołnierz Stanów Zjednoczonych ma o każdej porze, na każdym froncie gorącą zupę dzięki wynalazkowi niejakiego Andrzeja Baska. Prezydent Stanów Zjednoczonych przyjuje młodego wynalazcę w Białym Domu. Prezydent wyraził...

— Andrzej, Andrzej — denerwuje się Boga — czy nie mógłbyś wykąpać chłopców, ja jestem zmęczona, ja już z nimi nie mogę dać rady.

12.

Regina ukazała się w drzwiach. Promieniała uśmiechem. Trzymała za ręce obie córki. Jola wysmukłała i wypiękniała. Nosila czarne, ciężkie warkoczki upięte w tyle głowy. Jej oczy miały słodycz gęstego, starego wina. Irena wydorosłała. Jej twarz wzbogaciła się o coś nowego, czego nie można było odczytać. W oczach zgasło dzieciństwo, a na miejscu jego przezroczystego płomienia uformowało się nieprzeniknienie.

Położyły na stole paczki z ciastkami, a Regina wyciągnęła torbę papierową z długim bochenkiem chleba.

— Żeby wam chleba nie zabrakło.

Prędko we trzy ogarnęły ich swoim ciepłem, szczodrobliwością miękkich, czułych słów, obietnicami pomocy, chęcią pomocy, przestrogami, radami i radością. W ich łatwej, giętkiej przyjaźni, w przyjaźni pomimo wszystko, w naturalności z jaką rzucały ją garściami, leżało ich bogactwo. Cofały się same w cień i pozwalały im błyszczeć. Wpływali znów do portu pożądani i ważni, a uniesieni ponad *Empire State Building* promienieli rakieta nowych możliwości.

— Musicie przyjść do nas, może zaraz, dzisiaj? Nie? No to jutro. To my przyjdziemy. Poznacie męża Joli, męża Ireny i dzieci...

— A twój mąż Regino? — pytała Helena.

Regina skuliła się i chociaż nie miała chustki, wydawało się, jakby przesłoniła sobie nią twarz. Obie córki pochylili się nad nią.

— Nie wiemy — mówiły prędko — nie wiemy...

Siedziały przytulone do siebie, skupione, odległe. Ugodzone pytaniem poczuły nagle swój ból, który sprowokował udczucia nowe, dziesiątki drobnych, zapomnianych

już bólików, wyodrębniły się, przygasły i widać było jak ciężko i z przymusem wracały do niedawnej chwili entuzjastycznego powitania. Pierwsza zaczęła mówić Irena.

— Jola i mamusia były w Warszawie, widywałyście mamusię. Ja pracowałam jako służąca. Mnie też nikt nie brał za Żydówkę, ale tatuś...

Jola podniosła się.

— Pokaż mi swoich synów! — zwróciła się do Boga.

Głos Joli melodyjny, uważnie podtrzymujący każdą sylabę, każda litera wypieszczona jej długimi, delikatnymi palcami. Głowa pochylona pod ciężarem włosów, z oczu półprzymkniętych słodczy kroplami spływa na policzki, ruchy okrągłe, wydaje się jakby stąpała na palcach.

— Jaka ona śliczna — pomyślała Boga.

Jola pochyla się nad chłopcami popychającymi się na tapczanie.

— Rozkoszni, piękni, czarujący, och jakich rozkosznych masz synów.

W Bodzie kielkuje podejrzenie: Ona się ukrywa, ona się ukrywa, nie przestała się ukrywać.

Jola mówi: Wiesz, Irena dziwna jest, prawda? Zakochała się jeszcze pod okupacją, już byli zaręczeni, ale kiedy się później dowiedział, że jest Żydówką... no i nie może tego przeboleć, nie może tego zapomnieć. Ja myślę, że to nie on, że to jego rodzina. A ty?

Boga obserwuje Irenę: Irena jest inna. Roztyła się w biodrach, śmieje się szeroko i wtedy widać jej złoty ząb.

— Na obrzezanie mego syna sprosiliśmy masę gości. I co za prezenty! Mówię wam, tutaj się oplaca robić przyjęcia. No, bo ile wydasz na takie przyjęcie? A to ci się wszystko zwróci. Mam ubrań dla dziecka na cały rok.

Potrząsa swoją uondulowaną głową.

No więc jestem Żydówką — wydaje się mówić — amerykańską Żydówką. No i co z tego? Bardzo dobrze się czuję, mam wszystko w nosie, nareszcie mogę być sobą. Poza tym dostaję wspaniałe prezenty.

A Regina pomiędzy nimi dwiema: Regina smutna i jakby rozdarta. Wyciąga rękę do Heleny: Przyjdź do mnie. Pochyla się nad Heleną i całuje ją.

— Do zobaczenia, przyjdź!

Gdy odchodzą Helena zwraca się do Żuławskiego:
— Wspólne lata szkolne, wspólny język, to już zostaje na całe życie.

A Żuławski odpowiada:

— Może przez nich uda mi się nawiązać jakieś kontakty.

II.

Zygmunt Gertz przywędrował do Nowego Jorku z Polski poprzez Francję i Brazylię. Nie miał szczęścia do pieniędzy: zjawily się i znikaly nagle. Czy można utrzymać masło w ciepłej ręce? Niektórzy ludzie mają ręce lodowate i węż. Trzeba umieć węszyć na odległość. Ojciec miał szczęście do interesów, Zygmunt nie. Ale miał kontakty. To nie pozwala człowiekowi zginąć. Siatka oplatająca świat. Trzeba być zgrabnym linoskoczkiem, wiedzieć kto, do kogo i niespodziewanie pewnego dnia podskakuje się wysoko. A jeśli spada się z góry na łeb, siatka podtrzymuje niby elastyczny materac.

W Brazylii dostał w skórę, poradzono mu Nowy Jork. Europa krwawiła się, tysiące ludzi ginęło w krematoriach. Gertz prędko nawiązał kontakty. Nazwisko jego nie było obce niektórym, inni go polecili, założył fabrykę części składowych do amunicji artyleryjskiej. Poszło. W krótkim czasie zarobił około pół miliona dolarów.

Ojciec mówił mu zawsze, że na wojnie można zrobić interes. Głupcy biją się. Za kogo chcesz iść na front? Za kilku fircyków co siedzą w rządzie? Ludzie rozsądni zostają na tyłach. Kto ci zapłaci za utraconą nogę albo rękę? To lepiej, żebyś ty płacił. Będziesz dobroczyńcą. Pokój trwa dłużej niż wojna. Ale to jeszcze nie było najważniejsze, ta wojna była inna. Gertz czytał gazety i ogarniała go rozpacz. Co mogło by się stać z nim, gdyby nie wyjechał w porę? Świadomość pochodzenia żydowskiego, o którym prawie że zapomniał, dojrzała w nim bolesna, dająca o sobie znać na każdym kroku. Kim był

właściwie? Nigdy nie czuł się związany z Żydami. Był Polakiem, elitą inteligencji i nagle zagranicą poczuł przynależność do nowej grupy. Byli to Żydzi, emigranci z Europy. Współczuli sobie nawzajem w swojej tragedii, łączyli się, wspierali. Ale Zygmunt Gertz za bardzo był Polakiem, aby czuć się zupełnie szczęśliwym w swojej nowej formie. Zdawał sobie dobrze sprawę, że jest inny. Przeciwwstawienie własnej inności współnikom, polski romantyzm, który silniejszy okazał się w nim niż żydowska przezorność, kosztowały go utratę majątku.

Gdy w roku 1945 wspólnicy zażądali likwidacji fabryki, Gertz zaprotestował. Wierzył w wojnę z Rosją.

— O głupcy — myślał Gertz. — Co wy wiecie o wschodzie Europy? Będzie wojna. A po tej wojnie Polska...

Wykupił udziały, przejął fabrykę, nie zwalniał załogi Czekał.

Zamówienia nie nadchodziły, pieniądze wyczerpały się na wypłaty tygodniówek. Zbankrutował. Fabrykę zlicytowano. Gertz został w Nowym Jorku bez grosza.

Co robi człowiek, który miał pół miliona dolarów i nagle zostaje bez grosza? W Waszyngtonie jest „Most Samobójców” zawieszony wysoko w parku wśród drzew. Można bez pieniędzy dostać się z Nowego Jorku do Waszyngtonu zatrzymując zgiętym palcem samochody na szosie. Można więc przyjechawszy do Waszyngtonu na *hitchiking* wleźć na most, skoczyć i rozwalić sobie głowę. Można w samym Nowym Jorku rzucić się pod kolejkę, albo skoczyć z okna drapacza, chociaż policja pilnuje. Można objeść się aspiryn — śmierć tania, przykra, ale i niepewna. Można, ale nie Zygmunt Gertz.

— Pieniądze to g... — mawiał stary Gertz — pogardzaj nimi Zygmuncie, a nie wiesz kiedy wdepniesz znowu. Najważniejsze trzeba mieć węch i kontakty. Zygmunt Gertz chodził ulicami Nowego Jorku. Chodził, nie jeździł. Samochód w reperacji, nie miał go za co wykupić. Cholerny samochód, tak dobrze jeździł, a ostatnio zaczął się psuć. Rzeczy martwe wyczuwają słabość człowieka.

Gertz myślał gorzko: Straciłem państwo, straciłem ojczyznę, a teraz straciłem pieniądze. Ogarniała go nostalgia. Tam każdy go znał: „Moje uszanowanie, panu dyrektorowi, szacunek dla pana dyrektora, powitać kochanego dyrektora”.

— Moje miasto — roztkliwiał się. Tęsknił.

Zaczął szukać kontaktów z ludźmi, z którymi dzielił bogactwo przeszłości. Na Long Island, willowej dzielnicy Nowego Jorku, jeden z emigrantów otworzył elegancki pensjonat. Jako kucharza zaangażował pułkownika R. Czasy, gdy do pułkownika można się było dostać tylko przez dobre stosunki z jego adiutantem, minęły. No to co? Mówi się: trudno. Pułkownik zawsze lubił dobrze zjeść. Niektórzy smakosze mają wyjątkowe zdolności kulinarne. Pułkownik okazał się wysoce uzdolnionym kucharzem. Ale ta praca Polaka u Polaków! Tylko się powiesić. Wykorzystują, nie dopłacą, a wymagania, a fochy!

— A możebyśmy zmontowali spółkę na własną rękę?
— zaproponował Gertz.

— Kochany panie dyrektorze.

— Zygmuncie...

— Kochany panie Zygmuncie to jest niezła myśl!
Ucieszył się pułkownik.

— Ale pracy nie rzucać!

— Ale skąd! Wieczorami!

Pułkownik, Gertz i jego żona zaczęli wyrabiać w domu sałatki, paszteciki, kanapeczki. Gertz rozwoził to wszystko do małych restauracji. Poszło! Ale jak! Nędzna amunicja do napychania ludzkich brzuchów nie dawała wystarczających dochodów. Pułkownik zniechęcił się. *Overtiny* przy wieczornych sałatkach nie przyniosły oczekiwanych pieniędzy. Gertz myślał, szukał, węszył, wpadł na pomysł. Będzie wyrabiać szynki z indyków. Nowy Jork ma wszystko, podniebienie zepsute frykasami. Ale taka szynka z białego, indyczego mięsa! To jest dopiero interes! Poprzez kontakty pożyczył pieniądze i założył wędzarnię. W międzyczasie odszedł pułkownik. Dostał posadę w dużym hotelu. Naturalnie przy gotowaniu. Reklamowano go: nasz francuski kucharz.

Przybył natomiast Inżynier. Stary znajomek z Polski. Zaczepił się najpierw w fabryce wafli, ale spotkawszy Gertza przeszedł do niego. Wędzili razem indyki. Przedsiębiorstwo kulało. Gertz marzył o wielkich dostawach. Znowu popsuł się samochód, oddał go do warsztatów, ale nie miał za co wykupić.

Zanim Józef Żulawski zatelefonował do Gertza, odezwał się do niego ktoś inny, niejaki Fink.

— Inżynierze — powiedział — gruba ryba wpadła do sieci. Nie chcę mówić nic więcej przez telefon. Wieczorem w Chińskiej. Pogadamy. I zaraz potem Żuławski: Cześć panie dyrektorze.

Gertz rozpromienił się, rozjaśnił. Oto kontakty — pomyślał — Siła ludzkich więzi, człowiek nie czuje się sam.

2.

Helena Żuławska była podniecona.

— Powiedz mi dokładnie jak wygląda ten Gertz.

Żuławski chodził po pokoju ważny, napuszony.

— Zobaczysz go.

Okno pokoju półuniesione do góry. Wpada przez nie wiosenny, wieczorny szum miasta. Wiosna. Tak wcześnie, dopiero początek lutego. Rozgrzane kaloryfery, otwarte okno. Reklamy niby naręcze kwiatów.

— Czy chcesz mu dzisiaj powiedzieć o puszcze? — pyta Andrzej.

— Zobaczymy — uważnia się Żuławski.

— No bo jeśli o puszcze, to już lepiej żebym ja to zrobił.

— Mój Andrzeju, chcesz? Proszę! Ja cię nie trzymam!

— Czy musisz się zaraz obrażać? Czy nie można niczego przedyskutować spokojnie?

Gertz sprawdza adres hotelu. Zagubiony w tłumie popychających się ludzi jest małą, szarą figurką. W pokoju Żuławskich urasta już do rozmiarów olbrzymia. Gertz! To dopiero kontakt! Zygmunt Gertz jest w nastroju pogodnym. Gdyby jeszcze miał samochód wszystko byłoby dobrze. Ten Fink! W jaki sposób wywachał? Spotkali się w Chińskiej na obiedzie i Fink, rodak, ta sama rasa, to samo pochodzenie, ta sama krew, z tą wiadomością do niego.

Fink powiedział:

— Po co wam wiedzieć więcej, inżynierze? Wystarczy to: Ktoś robi siuchty w Kanadzie, milionowe kombinacje. Przekazał część pieniędzy swojemu przyjacielowi, tu w Nowym Jorku. Ten przyjaciel, uważacie, Żyd rosyjski,

nie wie co z forszą robić, chce lokować, ale sam po angielsku ani be ani me. Zaraz wiedziałem, że sprawę czuć. Ale dlaczego my nie mamy skorzystać? Dlaczego np. nie może ulokować w waszej wędzarni? Co wy na to? Tylko zaraz, zaraz, trzeba go odpowiednio podejść. Przedstawiłem was jako właściciela wspaniale rozwijającej się wędzarni. Dobra lokata. Nie ma o czym mówić, inżynierze. Ja mam swoje na pośrednictwie. Podjedźcie po niego samochodem, samochód musi być extra klasa, wypastowany, to ludzi bierze. Zaprosicie go na kolację do tego pensjonatu, gdzie usługuje autentyczny książę rosyjski...

Gertz posuwa się Broadway'em w stronę hotelu Żuławskich. Samochód — martwi się — samochód... sto trzydzieści dolarów za reperację samochodu, a mycie, a wypastowanie!

Wspaniałość hotelu to długi daszek brezentowy, baldachim. Maszeruje się pod nim z nadzieją, że wewnątrz budynku okaże się treścią odpowiednią do przedmowy. Kurz i stęchlizna. Dywany, które niegdyś były dywanami. Zmęczeni ludzie, ludzie na co dzień o twarzach wypranych, wyblakłych.

Gertz myśli: A więc to tu wylądowali?

Wszedł do pokoju: olbrzym, co za bary! Głową natychmiast przebił dach hotelu. Jego oczy zapaliły się, jak dwie reklamy i oświeciłwszy całą skromność urządzenia, zgasły zaraz dyskretnie. Był bardzo delikatny. Był także wzruszony. Spotkania zbliżają — lustra w których się ogląda samego siebie. Potem można odejść, nie obojętnie się. Jakże był inny od Reginy. Nieśmiały, jakby mówił: przepraszam.

— Panie dyrektorze ? powiedział Żuławski. — Co w tej Ameryce można robić?

— Nareszcie! Uśmiechnął się. — Ktoś mnie nazwał dyrektorem.

Wpatrywali się w niego pełni nadziei, ale już wyczuwając jego smutek. Ta nuta smutku przybliżyła go im.

— Nie jest łatwo, ale będziemy kombinowali — powiedział.

Postanowił opowiedzieć im o sobie uczciwie, od początku. Doświadczenia nie kupuje się w tandeciarni *Five and Dime* dostępnej wstrzemięźliwej kieszeni emigranckiej. Rady, przestrogi — to nic nie kosztuje i w niczym nie po-

maga. Ilustracja własnego życia, prawda obdarta nawet ze skóry, jeśli można się na nią zdobyć przewyżając własny wstyd i ból obnażania się — pomaga. Słuchający przymierzy ją do siebie i nie zapomni.

Żuławski słuchał uważnie. Przy wzmiance o pułkowniku-kucharzu, uśmiechnął się.

— W Anglii myją naczynia u Lyons'a — powiedział.

Gdy Gertz doznał do szynek indyckich zatrzymał się, westchnął.

— Zamówienia, dostawy... Gdybym się mógł dostać do takiego „A and P”.

Nie zrozumieci.

— To są milionowe koncerty — tłumaczył. — Mają swoje ogromne hale żywnościowe w każdym mieście amerykańskim. Starałem się, latałem, a w międzyczasie trzeba było sprzedawać towar, żeby żyć. No i jak przyszło narzeczcie to zamówienie z „A and P” nie miałem pieniędzy, a żeby zainwestować w surowiec, a towar przejedliśmy.

Myślał: Po co ja im to opowiadam? Stop, stop, dość!

Ale już tama otworzyła się. Intymne koło serdeczności, w które wstąpił, ściany pokoju pochylone życzliwie. Gertz opowiada o telefonie od Finka, o rozmowie w restauracji chińskiej, pomniejsza się, pomniejsza.

— Jestem niczym tu w Ameryce, jestem niczym.

Jaki skromny — myślał. — A jednak! Fabryka jedna i druga, samochód, „A and P”, szynki z indyków. Gertz wypłynął, Gertz pływa. A oni w klatce na siódmym piętrze. Gdyby chociaż rzucił koło ratunkowe.

— Chodzi o to — kończy Gertz — a żeby ostatecznie ubić interes. Jeśli ten pan, o którym wspominałem, ulokuje swoje kapitały w mojej wędzarni, będzie ją można rozszerzyć, albo też przerwucić się na inną produkcję. To są ogromne kapitały. Tamten w Kanadzie ucieka od pieniędzy, a ten, tutaj musi co prędzej lokować. Będziemy kombinowali. Tylko, że w tej chwili nie mam nawet na wykupienie samochodu.

— Ile panu potrzeba, panie Zygmuncie? — spytał Żuławski.

— Nie ma o czym mówić.

— Pytam się, ile panu potrzeba?

— Sto trzydzieści dolarów — westchnął Gertz.

Bardzo był miły i bezbronny w tym westchnieniu. Jego inteligentna, delikatna twarz nie zatraciła jeszcze śladów chłopięcości. Cechowała go wewnętrzna złożoność, z której mało sobie zdawał sprawę. W tej chwili był najczystszym Słowianinem. O jego profilu można było powiedzieć: szlachetny. On sam czuł się pusty. Wypowiedział wszystko. I po co? Był zniechęceniem i zwątpieniem. Teraz trzeba się będzie podnieść i odejść z obietnicą powrotu. Żuławski wyjął z kieszeni książeczkę czekową.

— Sto trzydzieści? — spytał. — Proszę, czek na dwieście.

— Panie pułkowniku! — poderwał się Gertz.

— Spokojnie — powstrzymał go Żuławski. — Ja panu pożyczam.

Gdy się żegnali w progu i jeszcze później w windzie Gertz czuł się nieswojo. Zwolna ogarnęło go roztkliwienie. Gdy wszedł do kolejki podziemnej, uśmiechnął się. Najpierw z rozrzewnieniem, a potem z triumfem.

— Nie należy lekceważyć żadnego kontaktu — szepnął do siebie.

3.

— To jest wariactwo! — zawołała Boga — pożyczać pieniądze teraz, kiedy ci się pieniądze kończą! I to jest świństwo, to jest świństwo przyjmować pieniądze od człowieka, który dopiero przyjechał do Ameryki!

— Uspokój się! — krzyknął Żuławski. — Stary Gertz mi pomógł we Francji, jak byłem bez grosza

— To nie jest czas na spłacanie długów!

— Jakim ty tonem mówisz do mnie? — Żuławski poczerwieniał.

Ta awantura wisiała w powietrzu. Stąpali od początku niby po polu minowym: najpierw ostrożnie, uważnie, jak zahipnotyzowani, ale już pierwszy nieopatrzny krok — iskra, wybuch.

— Komu chcesz imponować? — irytowała się Boga. Jej oczy zwęziły się, między brwiami pionowa zmarszczka, policzki drgają.

— Po co się wtrącasz? — powiedział Andrzej.

— Ależ on odda, on odda — uspakajała samą siebie Żuławska.

— Do jasnej cholery, do jasnej cholery! — ryknął Żuławski. — Jeszcze nie jestem na niczym utrzymaniu!

— Czy nie mógłbyś się liczyć ze słowami? — przerwał Andrzej. — Twoja sprawa, możesz dawać pieniądze komu chcesz, ale licz się ze słowami wobec dzieci.

— Dzieci śpią.

— Ale gdzie tam. Widzisz! — Otworzył drzwi. Bliźniaki wypełzły z łóżka i podsłuchiwały pod drzwiami.

— A wy gówniarze spać! — krzyknął Żuławski.

— Nie wyładowuj się na dzieciach! — oburzyła się Żuławska.

— Spać! — powtórzył Żuławski.

— D... — oświadczył Marek.

— Proszę, czy to ja ich tego nauczyłem? Idziesz mi ty stąd!

Paweł rozplakał się.

— Ja mam tego dość! — krzyknęła Boga. — Mieszkamy w hotelu, liczymy się z każdym groszem i przychodzi ktoś pierwszy lepszy, a ty wielkopańskie gesty! Ja wiem dlaczego! Żeby mu zaimponować!

— Boga, chodź stąd!

— Nie pójdę, powiem co myślę!

— A ty egoistko! — szydzi Żuławski. — Spójrz w lustro jak wygląda jędra! — Boga zaciska pięści. Za nic nie podejdzie do lustra, boi się własnej złości. Ale już ją poniosła, nie umie jej opanować. Chwyta opierających się synów za ręce. Klaps w jeden tyłek, klaps w drugi.

— Do łóżka — krzyczy histerycznie. — Do łóżka.

— Dlaczego bijesz dzieci? — goni ją głos Żuławskiej.

W pokoju o zgaszonej lampie na wprost reklam, Boga płacze.

— No i po co — martwi się — po co?

Czuje się osamotniona, nie zrozumiana, winna. Łzy kapią teraz na głowę Pawła. Chciałaby go obudzić, przeprosić za klapsa. Ale Paweł śpi, a Marek szepcze obrażony:

— Wynoś się, d...

Żuławski mówi do Andrzeja: — Wasze pomysły z wyjazdem do Ameryki!

A Andrzej rozgoryczony, poirytowany: — Nikt cię nie ciągnął, mogłeś zostać.

— Może ja bym poszła do pracy? — wtrąca Żuławska.

Andrzej patrzy na zegarek.

— Pójdę na dół po gazetę.

Na Broadway'u jest tłok. Ile tu ludzkich spraw! — myśli Andrzej. Myśli jeszcze: Kto to jest Gertz? Oszuka Żuławskiego czy też okaże się dobrym kontaktem? Przypomina sobie twarz Gertza i stara się ją przeniknąć. To wykończony człowiek, ale odda, mam przeczucie, że odda. Ja pewnie zrobiłbym to samo, pożyczylbym. Powinienem dostać pracę. Boga już dostała. VON fifty, Von... VON? Boga dostała pracę. No dlaczego nie miała dostać? Medycyna jest międzynarodowa. Boga dostała pracę. W szpitalu kręci się zawsze pełno tych szczeniaków w białych kitlach. Panowie lekarze! Myślą, że zjedli wszystkie rozumy! Gdyby nie wojna, byłbym... Przyjdzie taki jeden z drugim idiota i zawróci jej w głowie. Przecież ona o niczym innym nie myśli tylko: szpital, szpital, szpital... Kto to jest ten profesor? Ona kokietuje, podświadczy, ale kokietuje. Jak ja wyglądam? Powinienem pójść do fryzjera.

4.

Z tarasu szpitalnego widać dachy Nowego Jorku: stłoczone kapelusze chorych, trujących grzybów. Walczą o lepszy dostęp do światła. To tło na którym wyrastają sekwoje drapaczy i... dym.

Miss S. ułożyła się wygodnie na leżaku.

— Dlaczego nie wyjedziesz na prowincję? Nowy Jork nie jest dobrym startem dla cudzoziemca.

— Na prowincję? — powtarza Boga.

Prowincja wydaje się stepem, który otacza Nowy Jork.

— Gdzie na prowincję?

— Pełno jest małych, spokojnych miasteczek. Cisza. Można się urządzić wygodnie.

Boga czuje się uczipiona gzymsu trzydziestego piętra drapacza. Ręka Miss S. huśta nią w powietrzu. Zaraz palce Boga zdrętwieją, straci równowagę, wyląduje na prowincji. Zginie w trawie, zagubi się. Och nie, nie! Trzymać się kurczowo gzymsu, trzymać się Nowego Jorku. W tym mieście, niezbadanym kolosie nikt jej nie znajdzie, nie dotknie. Każde dotknięcie, myśl o dotknięciu przenika przerażeniem. Prowincja zaraz otoczy, podejdzie z bliska, przypatrzy się, rozpozna, nazwie po imieniu, wydzieli.

Po przerwie na „lunch” wracają do laboratorium. I znów: mocz, plwocina, kał. Probówki z moczem, płytki z plwociną, kał w pergaminie w pudełeczkach. Badania osadu moczu, wyszukiwanie jajek pasożytów w kale, bacilli i spirochety w plwocinie. Krew jest nieosiągalna. Miss S. jak Cerber broni krwi.

— *Not yet, not to-day...* Naucz się łamać rurki. Skończyłaś? Nie masz co robić? Bierz książkę, czytaj bakteriologię. Dużo ci jeszcze brakuje dużo.

— A krew?

— Powiedziałam już, że nie.

Niekończący się stos szklanych rurek. Boga przepala je nad płomieniem.

— Żle! — woła Miss S. — Nie umiesz pracować! Boga czyta bakteriologię.

Profesor wzywa ją do swego gabinetu. Półprzytomny w letargu „*research*” przeciera okulary, wraca do normalności.

— Gdybym mogła być ciekawym okazem bakterii — myśli Boga.

Czeka. Oczekiwanie na słowa profesora, wylęknione oczekiwanie: Nie da mi *VON fifty*. Zrobiłam coś złego, zrobiłam coś nie tak, jak trzeba.

— Siadaj.

Boga siada na brzeżku krzesła.

— Moja droga — mówi profesor — do pracy trzeba być zaprawionym, jak do sportu. Ja nie mówię, że ty nie umiesz, ja stwierdzam, że nie jesteś przygotowana do pracy. Po prostu nie umiesz pracować z dnia na dzień. Tu trzeba cierpliwości, wytrzymałości, treningu. Nie tylko tu, w każdej pracy. To już nie studia. Ucz się techniki pracy! Nauczysz się, nauczysz się — dodaje łagodnej. Jest mu przykro.

Boga wraca do laboratorium. Ręce drżą. Usadawia się na taburecie przy stosie rurek szklanych. Brzęk! Rurka wypadła z drżących palców.

— Niszczysz sprzęt laboratoryjny! — irytuje się Miss S.

Hilda pochyla się nad Bogą:

— *Don't worry!* — szepcze. — Nauczysz się.

Jeden dzień podobny jest do drugiego: poranne nadzieje, wieczorne zniechęcenia. Boga przebiera się rano w ciasnej szatni w grupie jasno-czekoladowych dziewcząt. Portorikanki. Mają smukłe nogi, czarne halki z szeroką koronką.

Pewnego dnia Boga rozwiązuje zagadkę VON. Dzieje się to w drodze do piwnicy. Przechodzą przez nie-dużą salkę. Hilda mówi:

— Te piece to krematorium szpitalne. Na miejscu, wygodnie — śmieje się. Prosektorium tuż! Jak będziesz chciała to pójdziemy tam kiedyś. Wiesz, ja też studiowałam medycynę. Trzy lata medycyny. No i co z tego? Siedzę w tym laboratorium.

Posuwają się wąziutkim korytarzem, który kończy się obszernym, ciemnym pokojem. Pachnie zwierzyńcem, eterem i krwią. Hilda oprowadza Bogę wzdłuż klatek ze zwierzętami, dotyka puszystych futerek królików. Morskie świnki odbiegają przerażone w głąb klatek. Czerwone oczka białych myszy wypatrzyły obcy kształt. W panice, gromadnie czepiają się prętów klatek. Hilda sprawdza napisy na klatkach, wyjmując białego, ogromnego królika. Drży przerażony, drgają jego sztywne, białe wąsy.

— Jaki on ładny, prawda? — uśmiecha się Hilda.

Boga głaszcze mięciutkie futerko, wyczuwa przebiegające pod skórą dreszcze. Boi się, nie dowierza.

— Hilda — pyta Boga. — Ile ci płacą?

Spogląda na nią zdziwiona.

— Płacą? Za co? Myślisz jaki czek dostają?

— Tak.

Hilda trzyma mocno królika. Przechodzą teraz do salki sekcyjnej. Dozorca zwierząt wbiega za nimi.

— Nie trzeba było brać samej królika! Mógłby podrapać. Zaraz, niech mi go pani odda! Już się wyrzywa. Za uszy go! O, mam cię!

W rogu salki, przy stoliku naciągają gumowe rękawiczki i Hilda mówi przyciszonym głosem:

— Nikt tu nikomu nie opowiada jaki czek dostaje. Ty też nic nie mów. Ale ja ci powiem. Mam sto siedemdziesiąt pięć dolarów. Już dwa razy dostałam podwyżkę.

— Na miesiąc?

— A coś ty myślała? Przecież dostajemy za darmo lunch i kolację. A ty?

— Powiedział mi VON *fifty*.

— To nieźle.

— Powiedział mi VON.

— *No von, one*, jeden! Nie rozumiesz?

— *Oh I see, I see...*

Hilda zgrabnie rozpina królika na desce. Przecina skórę. Królik kwili, jak dziecko. Prędkie śmiech Hildy podskakuje nad płaczem królika.

— Nie dawaj za dużo eteru. To dosyć! Nie trzeba! To jest wiwisekcja.

Królik płacze rozdzierająco, tragicznie, bezbronne. Na pomoc! Ratujcie, na pomoc! Cóż warte jest VON wobec tej rozpaczki? Cóż wart jest królik wobec „*research*”? Przerazenie ogarnia zwierzęta w klatkach, kręcą się niespokojnie. Ach nie, nie rozumieją, zwierzęta są nieczułe. Ale instynkt życia jest ten sam.

— Dam mu więcej eteru — myśli Boga. — Czy ja oszalałam, przecież to doświadczenie! Boga gładzi długie, sztywne uszy królika. Biedactwo... — szepcze.

— Ty wiesz, ja mam córkę — opowiada Hilda. — W dzień jest w przedszkolu, wraca sama, czeka na mnie wieczorem w domu. Rozeszłam się z mężem, to było takie wojenne małżeństwo, zaraz po wyjściu z obozu, wiesz? Podaj mi ten skalpel! Profesor chciał jajniki i nadnercza.

— Zaraz dam mu więcej eteru, już zaraz koniec, już zaraz...

— Czy ci jest niedobrze? — pyta Hilda. — To prawda, tu jest duszno. Popatrz, widzisz ten powiększony jajnik!

Bodze nie jest niedobrze, jest jej strasznie, jakby ten nieważny krzyk rozcinanego zwierzęcia był jej krzykiem. Plamy krwi królika na fartuchu. Gładzi miękkie, ciepłe futerko. Już niedługo ostygnie, ale teraz jeszcze wszystko walczy w nim o życie. Walczy myśląc, że zwycięży, a

my? Każdy z nas wie dobrze, że w końcu przegra, i jednak walczymy. Dlatego Boga drga cała cierpieniem królika, gdyż w tym momencie wie i współczując jemu, użala się nad sobą. To odczucie dzieli ją i Hildę. Hilda to cynizm i rezygnacja. Czy nie widzicie numeru na jej ramieniu? A jednak mówi z ulgą: No już! A więc nie wszystko stracone. Walka w niej ucichła, ale trwa. Hilda żyje.

Boga przyciska watę nasyoną eterem do nosa królika i zwolna krzyk jego milknie, ale nie ginie zupełnie. Boga zabiera go z sobą. Gdy wraca na górę do laboratorium, gdy śledzi pod mikroskopem amebę w rozcieńczonej kropli moczu — płacz królika wibruje w niej. Profesor wchodzi do laboratorium i pochyla się nad mikroskopem.

— Zobacz na godzinie trzeciej, doskonały okaz!

I za chwilę:

— Nie powiedziałś mi na jakim uniwersytecie wykładał profesor Hirszfeld po wojnie.

Boga oddycha głęboko, tak głęboko, że cichnie w niej płacz królika. Miss S. zaatakowała znienacka. Poszło wcale nie o rurki, rurki to tylko pretekst. Jak można się było od razu nie domyśleć! Boga zaczyna się trząść słysząc jej kroki poza sobą. Stara się, stara się tak usilnie, że wreszcie Miss S. musi ją pochwalić. Ponuro i krótko, ale pochwaliła.

— *That's the girl!*

Boga triumfuje, nie spodziewa się zasadzki. Hop! Jedna rurka za drugą. Jak łatwo, jak lekko!

Miss S. wkłada probówki z krwią w otwory wirówki. Zaraz puści w obrót maszynę.

— A co wiesz o antysemityzmie w Polsce — zwraca się do Bogi.

Boga nie odpowiada.

— Nie mów mi, że nie wiesz o pogromach, o getcie, o egzekucjach i pacyfikacjach.

— To było w okresie okupacji hitlerowskiej.

— Co ty mi będziesz mówiła! — Miss S. podchodzi bliżej, siada na stołku, wyciąga papierosa. Pali wolno i wpatruje się w Bogę. Furkocze wirówka.

— Na przykład, moja rodzina. Musieli uciekać z Polski. Moją siostrę zgwałcili polscy żołnierze. Zgwałcili,

rozumiesz! Złamali życie młodej dziewczynie! Bestie bez serca, bez rozumu! Tyranizowali, bili, męczyli!

Żal i niechęć Miss S. wypełniają laboratorium dymem tak gęstym, że Boga zaczyna się dusić.

— To nieprawda — woła. — To kłamstwo.

— Teraz — śmieje się. — Teraz mówicie inaczej. Ale myśmy tu dobrze wiedzieli o wszystkim!

Boga milczy. Cóż ma jej odpowiedzieć? Że ona nie prześladowała Żydów? ONA? Ależ to nie ważne! Ważna jest tylko jej biało-czerwona opaska na ramieniu, która tak mocno przepaliła skórę, że podobna jest do ciemnego numeru, którym naznaczono Hildę w obozie koncentracyjnym. Boga więc spogląda na Hildę. Gdy Miss S. wychodzi na chwilę z laboratorium, Hilda pochyla się nad Bogą:

— Nie przejmuj się starą małą! Ona pod każdym dołki kopie, boi się konkurencji. Zwariowana stara panna! Miss S. wróciła, odkryła przymierze.

— Nie rozumiem — powiedziała — jak kobieta, która ma małe dziecko może pracować zawodowo. Miejsce matki jest w domu.

Hilda wzrusza ramionami.

— Oszalałabym w domu.

Boga uważnie wpatruje się w preparat pod mikroskopem. Do diabła, kim ja jestem? Ile ról społecznych muszę dźwigać na sobie? Ile odpowiedzialności? Za przeszłość i za przyszłość. Wszystkiego się we mnie dopatrują, wszystko widzą, tylko nie to jedno: ciekawość, żądę dotarcia do krwi. Miejsce matki jest w domu! Najpierw wypuścili matkę spod klucza, zaszczepili jej emancypację, a teraz: wracaj! Cofaj się, rozpuszczaj włosy i poruszaj się po domu z anielskim uśmiechem. O do diabła z tym wszystkim!

Wpada do hotelu podniecona.

— Dlaczego prześladowaliście Żydów w Polsce?

— O co ci chodzi? — odwraca się Żuławski.

— Prześladowałeś czy nie prześladowałeś?

— A czyś ty oszalała? Czyś ty oszalała dziewczyno?

— Nie idę więcej do pracy! — krzyczy Boga. A do Andrzeja: Utrzymuj mnie! Mąż powinien utrzymywać żonę! No powiedz, powinien czy nie powinien?

— Jeśli nie chcesz... — zaczyna spokojnie Andrzej.

Ale Bogę denerwuje jego spokój, miota nią bunt wściekły na wszystko. Teraz odpowiada Miss S., teraz broni się przed zarzutami profesora.

— Mam dość — płacze — mam tego dosyć!

— No to rzuć pracę — mówi Andrzej.

— Taaak! To ty byś chciał, żebym siedziała w domu! I kto zarobi?

— Twój zarobek!

— A ile ty-żeś zarobił dotychczas?

Andrzej wychodzi z pokoju.

— Spralbym ją — myśli — spralbym ją.

5.

Narożny dom na ulicy Dziewięćdziesiątej, niedaleko Broadway'u. Na parterze jest bank. Z boku wchodzi się na klatkę schodową, gwar ulicy przycicha. Na drugim piętrze mieszka Regina. Żuławska przyszła pierwsza. Przycisnęła dzwonek, dwaj chłopcy drepczą koło niej. Jola otwiera, przesłania sobą długi, ciemny, wąski korytarz. Marka i Pawła onieśmiela obcość mieszkania, nie puszczają ręki babki. Jola obejmuje Pawła, unosi go do góry.

— Ach, słodki, kochany!

Paweł zeszywniał, boi się, zaraz się rozplacze.

Narożny pokój jest największy. Tam Regina i jej córki urządziły *sitting room*: telewizja, fotele, kanapa, niski stolik, lampy. Marek już dostrzegł ekran telewizji. Wyrwa się, podskakuje, ciągnie Pawła:

— Widziałeś? Widziałeś?

— A gdzie Regina? — pyta Żuławska.

— Mamusia jest w kuchni.

— Po ciemku?

W kuchni, przy zapalonych świecach siedzi Regina.

— Wejść — zaprasza. — No proszę, wejść!

Zuławska wsuwa się ostrożnie, zamyka za sobą drzwi.
— Palisz świece?

Półśmiech, cmoknięcie. Regina bez chustki, grube, ciemne warkocze, jak u Joli.

— Rocznicą śmierci mego ojca.

— Nigdy dawniej nie paliłaś świec...

— Dawniej... A co mi teraz zostało? Siądź, siądź... Przyjdzie tu dzisiaj jeden znajomy. On ma bardzo duże stosunki. Mówiłam z nim o Andrzeju. Ten Andrzej to taki porządny chłopak. Ale ja ci mówię, nie martw się. Urządźcie się.

— A twoi zięciowie?

Marek usiadł w kucki na dywanie, wpatrzył się w obraz telewizji.

— Podoba ci się? — pyta mąż Ireny.

Jest barczysty, ciemny i ma łeb, ma łeb! Regina jest z niego dumna.

Marek nie dosłyszał pytania.

— Widziałeś? — szepcze do Pawła. — Widziałeś?

Mąż Ireny pochyła się teraz ku niej:

— Zdrowe dziecko! — poklepuje jej szerokie plecy.

— Czekaj, Dzidek, twój też będzie taki!

Mąż Joli jest cieniem nie zauważanym przez nikogo. Szczupły blondyn, okulary zaokrąglają mu oczy. Pół Joli, przeciwieństwo Joli. Przez całą wojnę pracował jako urzędnik i nikt nie domyślił się, że Żyd.

— Henryk — mówi Regina — pochodzi z bardzo inteligentnej rodziny, bardzo dobra rodzina, jego ojciec...

W kuchni jest cicho od światła świec, w *sitting-room*'ie wrzeszczy telewizja. Paweł niepokoi się, nie chce ciastka.

— Gdzie babcia?

— Ależ oni ślicznie mówią po polsku! — zachwycą się Jola.

— Poczekaj, niech-no tu trochę pobędą! — śmieje się Irena.

Ciężkie firanki zasłaniają okna. To już nie hotel, to dom. Meble, jak należy: niski stolik, lampy, fotele, kanapa — prawdziwy amerykański *sitting-room*.

— Alisiu — woła Jola — chodź-no tu Alisiu!

Córka Joli jest chuda i ma długie, jasne loki. Tupie nogami, opiera się, nie chce wejść do pokoju. Regina przysłuchuje się, zapala elektryczność, mówi:

— Alisia jest nieznośna, co my z nią mamy! Nauczycielce w szkole stale noszę prezenty. Inaczej by z nią nie wytrzymała.

— To taki wiek — tłumaczy Żuławska — najgorszy wiek, osiem lat.

— Myślisz?

— A nasz Marek! Skąd się nauczył? Stale mówi d... i d... a Pawelek po nim małpuje.

— Moje nie chcą mówić po polsku. Irena mówi: po co? Czekaj, chodź do sypialni. Pokażę ci.

Regina uśmiecha się tajemniczo. Już wspięła się na palce, do tajemnicy trzeba podchodzić ostrożnie. Żuławska sunie za nią korytarzem.

Andrzej i Boga idą Broadway'em pomiędzy piramidami ciastek, wędlin i owoców. Tłok. Z cukierni „Babka” zapach rumu, wanilii, drożdżowego ciasta.

— Jak dostaniesz posadę, rzucę ten cholerny szpital. No i powiedz, ile oni mi zapłacili! To wyzysk.

— Może pojedę do Waszyngtonu, pogadam z prezesem.

— To ja z tobą! Może Wojtek coś poradzi...

Regina weszła na palcach do sypialni. Lampa pali się na stoliku.

— Widzisz jakie meble sobie kupili.

Meblesy są płaskie, duże, nowoczesne z jasnoszarego drzewa. Łóżko po środku. Pod ścianami dwa łóżeczka dziecięce. Chłopczyk śpi na brzuszku. Regina przykładła palec do ust.

— Sza... sza...

Dziewczynka podnosi się i wyciąga rączki do Reginy, szczebiocze śmiesznie po angielsku.

— Nazywa się Kareen, skończyła dwa latka. *Sleep... sleep...*

Promienieje rozczulona. Ręce, które przed chwilą odstawiały świece, poprawiają kocyk. Duże ciało Reginy pochyla się nad dzieckiem — *Say d... — prosi — Say d...*

— Siadź tu pomiędzy nami, Boga — mówi Irena —

A może napijesz się Coca-Coli, zjesz ciastko? Ja zaraz przyniosę herbatę. A może wolicie kawę?

Kanapa jest pluszowa, miękka, zapada się w nią wygodnie.

— Nie myśl — tłumaczy Jola — że ona dlatego cię tak prześladuje, że nie jesteś Żydówką. Z nami było to samo.

— Mówię ci! — wykrzykuje Irena. — Poszliśmy we dwie z Jolą szyc sukienki do takiego warsztatu. Protekcję trzeba było mieć, co ty myślisz! Ja nic nie umiałam. Zaczęli nas uczyć, ale co się nad nami nawydzierali!

— I już nie pracujesz?

— On zarabia.

— Zjedz coś — namawia Regina. — Zjedz coś, przecież u mnie nie potrzebujesz się krępować. Ale wiesz ci bliźniacy wcale do siebie nie podobni. Pawełek aż za spokojny.

— Bo tyś go nie widziała, jak się rozbryka.

— A pan gdzie pracuje? — spytał Andrzej.

Mąż Ireny, Dzidek, ma kolorową koszulę szeroko pod szyją rozpiętą.

Andrzeja dusi krawat. Ciepło, jak te kaloryfery grzeją! Wyciągnął chusteczkę, przetarł wilgotne czoło.

— Ja, proszę pana, w Niemczech dostałem dyplom i teraz jestem *foreman*em w fabryce.

— Ale już znowu go wyżej przenoszą! — woła Irena.

Mąż Joli przysiadł na brzegu krzesła, jakby za chwilę miał się poderwać, ustąpić miejsca.

— A pan?

Dzidek uśmiechnął się, przeciągnął dźwignął z krzesła, podszedł bliżej do Andrzeja. Ależ on ma biodra, a kark! A jak stapał! Można sobie wyobrazić, jak porusza się po fabryce. Samo zdrowie!

Dzidek chichocze, mruga łobuzersko w kierunku gdzie na brzeжку krzesła niezręcznie uczeplony krzywi twarz zażenowany mąż Joli.

— Ja panu powiem o Henryku! Nie chce się ruszyć z miejsca, nie ma odwagi! Tu trzeba zaczynać od roboty fizycznej, a on chce być *white collar worker*.

— To nie o to chodzi — tłumaczy Boga. — Ja wiem wszędzie się trzeba uczyć, ale ona mi dokucza antysemityzmem.

— Czekaj, ja ci nie powiedziałam wszystkiego — mó-

wi Jola. — Ty wiesz, my nie umiemy po żydowsku i jak usłyszeli, że rozmawiamy z sobą po polsku! Słuchaj! Mało nas nie wyrzucili! Musiałyśmy po niemiecku.

Andrzej myśli: Przyjechali, ustalili się, mają posady, dyplom dostał w Niemczech. Co za dyplom? A ja? Łatam z wywieszonym językiem i przychodzę do nich po protekcję.

— Chodźmy! — mówi. — Dzieci są śpiące, późno!

Ale Regina zatrzymuje, nie puszcza.

— On już idzie, ON tu zaraz będzie, powiedział, że będzie, tylko, że ON długo pracuje, może dopiero niedawno wyszedł z fabryki. Co wy chcecie od dzieci? Dzieci są grzeczne. Niech dzieci popatrzą sobie na telewizję. Niech ON tylko zechce zaprotegować! Ja mu powiedziałam: zrób to dla mnie! Ja ciebie proszę!

— Ja bardzo dziękuję pani Regino, ale byłem już w tylu fabrykach i wszędzie chcą *New York experience*.

— Bo ty, Andrzejku, mów, że jesteś Żyd! Co to ciebie obchodzi? Kto cię będzie sprawdzał?

Irena i Jola nalegają:

— Panie Andrzej, Andrzej, mów, że jesteś Żyd! Tobie zależy na posadzie!

— Czekaj, — śmieje się Regina — ja ciebie nauczę trochę po żydowsku!

Mąż Ireny odwrócił głowę. Jego twarz nie rozstaje się z uśmiechem. Uśmiech jest rysem twarzy. Nie wiadomo: ironiczny, zadowolony z siebie, kpiący?

— Mój ojciec był rabinem, a ja do synagogi nie chodzę. Przesady! I dzieci też nie pośle, żeby mi potem mówiły co mam jeść, a co nie! Henryk spogląda na Andrzeja, jego uśmiech jest pełen treści. Cóż za dziwnych skoków dokonywał w życiu. Salto mortale. Dziadkowie przyjęli chrzest i uwierzył w swoją aryjskość. Podczas okupacji krył się z żydostwem, którego nigdy nie zaznał. Gdyby nie Jola... A teraz każą mu być Żydem, i do tego Żydem amerykańskim, zdobywczym *businessman*'em.

— Panie Andrzej — mówi — Ja pana rozumiem.

— To ON! — zawołała Regina.

Cała rodzina rzuciła się do przedpokoju, aby otwierać.

— Poczekajcie, — odsunął ich Dzidek — nie można tak! Pomyśli, że nam strasznie na nim zależy.

Ruszył majestatycznie. Jego pupa kołowała wolno.

Uśmiech pogłębił się, ale dodawał mu teraz ważności. Z tyłu głowy miał już małą łysinkę. Mógłby być śmiało dyrektorem.

Dzwonek odezwał się po raz drugi.

Gość wszedł, witał się.

— Co za niespodzianka! — cieszył się głośno Dzidek.

Regina skuliła głowę w ramiona. Jej oczy rzucały łobuzerskie błyski. Mężczyzna był nie wysoki, szczupły, w kolorowej koszuli bez krawata i jasnej marynarce. Choć wykonywał ruchy zwykle i zupełnie w tych okolicznościach spodziewane, wydawało się, jakby kręcił się bez ustanku, uwielokrotniał się, napełniał pokój odbiciami swej własnej osoby, był wszędzie. Wrażenie to ustąpiło dopiero, gdy usiadł wygodnie w fotelu. Westchnął.

— Nareszcie, *overtime* skończony.

— A ile płacą? — zainteresował się Dzidek.

— Podwójnie — uśmiechnął się gość.

— No, jak tam, panie Mieciu — zagaiła Regina. -- Jak idzie?

— Żyje się.

— Widziałam panią Gęcką. Pozdrowienia!

— Moje na *vis-à-vis* — skłonił się gość.

— Panie Mieciu -- uśmiechnęła się zalotnie Regina.

— Co z naszym interesem będzie?

Gość uniósł brwi w górę.

— Ja się pytam: tak czy nie? To jest porządny chłopak, jak panu mówię, to jest porządny chłopak!

— Pan z naszych? — zwrócił się gość do Andrzeja.

— Pan się o to nie pytaj! — zaprotestowała Regina.

— Rozumiem. Już... już... Co pan umie?

— Oto jest pytanie! — cmoknęła aprobująco Regina.

— Andrzejku, to jest człowiek co dużo może. On dużo może, jak chce.

— On musi chcieć! — roześmiał się Dzidek.

— Pan rozumie — tłumaczył gość. — Pan tutaj jesteś *green*. Panu nie wolno przebierać. Raz pan jesteś, już pan jesteś. Oni chcą *New York experience*.

— Andrzejku — wtrąciła Regina. — Ty im mów, że masz *experience*. Ty im wszystko mów co oni chcą.

— To tak, jak z nami! — wykrzyknęła Irena. — Pytają się: umiesz szyć? No pewnie, całe życie szyłam!

— Oto jest odpowiedź! — potwierdziła Regina. —

Andrzeju, ty sobie swoją uczciwość schowaj na później. Ty im mów co oni chcą. Ty jesteś inteligentny chłopak. Dlaczego masz nie umieć?

— Tylko trzeba uważać — zaczął gość. — Pan patrzysz na innych, co oni robią. Palą papierosy, pan możesz zapalić. Nie palą — pan uważaj, panu nie wolno. Pan patrzysz na *boss'a*, pan uważasz co *boss* może myśleć.

— O to jest mądre słowo! Ty się ucz Andrzeju, ty się ucz! Nikomu nie wierz, słuchaj, swoje rób, uważaj! Ty bądź mądrzejszy od nich!

— A jak nie będzie umiał? — spytał Henryk.

Porwali się na niego hurmem:

— Żebyś ty miał odwagę, Heniu, to byś nie siedział na jednym miejscu!

— Ale ja...

— Ty Heniu cicho siedź! Kiedyś ty podwyżkę dostał? Ty już lepiej Andrzeja nie ucz! Dlaczego on ma nie umieć? Co to kogo obchodzi.

— A ja umiałem? — krzyknął Dzidek.

Ale natychmiast umilkł.

— Ja panu dam adres — powiedział gość.

Andrzej rozluźnił krawat, przetarł czoło chusteczką, miał ochotę uciekać.

— Pan nic nie mówisz o mnie, pan przychodzisz, pan się pytasz o Mister Be, pan tylko rozmawiasz z Mister Bel

6.

Następnego dnia Andrzej dostał pracę. Przychodził teraz do hotelu zmęczony, przygarbiony, ledwie, że miał siłę dowiec się od przystanku kolejki.

— Co tam robisz? — pytała Boga.

— Kroję *patterny* — odpowiadał.

Nie chciał mówić nic więcej. Myślał natomiast i mówił coraz częściej o swoim wynalazku puscze-samogrzejce. Nawet Gertz zainteresował się puszką. Zapoznał Żuławskiego z Mr. Mc Innis, *brokerem* żywnościowym, a ten miał zabrać plany wynalazku do Waszyngtonu do działu

intendentury. Andrzej i Żuławski planowali i dyskutowali. Żuławski mówił:

— Na posadzie życie stracisz i g... oszczędzisz. Interes jeden, drugi wyjdzie i już siedzisz!

— No to zrób nareszcie jakiś interes! — denerwowała się Żuławska.

— Poczekaj, wolnego, ja już porobiłem pewne kroki.

Kroki Żuławskiego polegały na tworzeniu korporacji, która zajęłaby się rozwojem puszki. Żuławski uwielbiał korporacje, wzdrygał się przed interesami w pojedynkę, potrzebował towarzystwa. W międzyczasie zaadoptował puszkę zapominając po trochu, że była pomysłem Andrzeja. Do korporacji weszli: Gertz, Żuławski, Andrzej, przypadkowo spotkany przez Żuławskiego znajomy inżynier-chemik z Warszawy i Mr. Mc. Innis. Mc. Innis zdecydował się finansować. Chemik wieczorami kreślił plany, wykonywał próby, Andrzej cieszył się, trochę marzył, Żuławski był prezesem korporacji, a Gertz utrzymywał kontakty. Chociaż nie oddał jeszcze pożyczonych dwustu dolarów wtajemniczył jednak Żuławskiego w swoje najświeższe projekty.

— Otóż z indykami koniec. Kropka — powiedział. — To nie daje dochodu. Ale kochany panie Józefie, sytuacja nie wygląda tak czarno.

— No... no... — zainteresował się Żuławski.

— Wszystko się doskonale udało, tak, jak przewidywałem. Wędzarnia — sciszył głos — przejęta przez ogromny, milionowy koncern stworzony właśnie za dolary owego pana z Kanady. I co pan na to, pułkowniku, jestem znowu dyrektorem!

— Pogratiulować!

— Jak tylko dostanę pierwsze pieniądze natychmiast panu pułkownikowi...

— W porządku, w porządeczku panie Zygmuncie — uspakajał Żuławski. — Nie pali się!

— Panie pułkowniku, to jest dług honorowy, mnie to leży na sercu...

— Zapłacicie inżynierze, jak będziecie mieli...

Gertz był wzruszony. Gdyby znalazło się miejsce drugiego dyrektora, prawdopodobnie zaproponowałby je Żuławskiemu, ale ostatecznie Żuławski został już prezesem korporacji. Gertz poprzestał na dalszych zwierzeniach.

— Otóż ten Żyd rosyjski, kolega tego z Kanady, ale, pułkowniku, to tylko między nami...

— No jasne, walcie dalej!

— Więc ten z Kanady musi na gwałt lokować. Zakupili dwa okręty *sea food*. W jednym są między innymi „szrympy”. Chcemy więc naszą wędzarnię obrócić na skład i przetwórnice „szrympów” i homarów. Personel sobie wyrobie...

Mówiąc tak myślał o Inżynierze, który po przejściu z fabryki wafli do wędzarni indyków, nie miał nic przeciwko obrabianiu „szrympów”. „Szrympy”? — powiedział tylko. — Co to za diabeł? A niech go tam, dyrektorze, byle tygodniówka lepsza i *overtim*’y.

Interesy mają to do siebie, że początkowo żrą pieniądze, a dopiero później oddają je wielokrotnie, albo też wcale. Okrutność życia i paradoks leży w tym, że tylko ludzie, którzy mają pieniądze mogą robić interesy. Chudo-palki, goli zupełnie, albo też ludzie z portfelem ograniczonym wirują w koło, jak nakręcone baki szukając bogatych finansistów dla swoich projektów, a dla siebie skromnej, a pewnej posady na co dzień.

Żuławski szukał posady. Przyszła, jak zwykle niespodziewanie, krętymi dróżkami poprzez sklep rzeźnicki i poprzez Reginę. Sklep był na jednej z bocznych uliczek niedaleko Central Park’u. Regina chodziła tam, aby popierać znajomych z Polski — właścicieli, a naprawdę to, aby dostać lepsze mięso i poplotkować. Daleki kuzyn owego właściciela jatki zdecydował się opuścić zajmowaną dotychczas pracę nocnego kasjera w hotelowym barze. Wakujące miejsce Regina natychmiast wywachała i pobiegła z nowiną do Żuławskiej. Sprawę trzeba było załatwić rozważnie, planowo, po kupiecku. A więc zapoznanie obydwu panów: kasjera odchodzącego i kandydata na posadę — Żuławskiego. Następnie obaj panowie udali się do agenta, który dysponował posadami w hotelach i tu Żuławski oficjalnie podpisał zobowiązanie oddania agentowi całej pierwszej tygodniówki za umożliwienie mu objęcia posady. Prezent dla wprowadzającego i prezent dla Reginy to już były rzeczy osobne i w takich wypadkach stosowane.

Wreszcie Żuławski włożył swój „edenowski”, angielski kapelusz, czerwoną muszkę, czarne palto i ruszył krokiem dostojnym do hotelu.

Lustra, czerwone dywany i lśniąca posadzki bardzo dobrze pasowały do wojowniczego nosa Żuławskiego i jego angielskiego kapelusza. Rozejrzał się po hallu, pomyślał:

— Mieć taki hotelik na własność! Człowiek mógłby sobie żyć spokojnie. Palił przy tym papierosa i robił minę znudzonego Ameryką Europejczyka. Być może iż portier wyczuł w nim zagranicznego dyplomata, gdyż natychmiast sam dyrektor wybiegł na spotkanie Żuławskiego, a zatrzymując się na brzegu puszystego dywanu, skłonił się.

— *Sir, what can I do for you?*

— Przyszedłem w sprawie posady — powiedział Żuławski. Miał ochotę odwrócić się i wyjść, ale powstrzymał sam siebie: Co u diabła? Brnę dalej!

— Posady?

— Posady nocnego kasjera w barze hotelowym.

— Czy był pan kiedykolwiek kasjerem?

— Całe życie! — odpowiedział Żuławski.

7.

Już początek marca, a oni jeszcze mieszkają w hotelu. Dwaj chłopcy zaprzyjaźnili się z lokatorami. Spędzają większą część dnia w narożnym pokoju, którego właścicielka ma aparat telewizyjny. Ten zakurzony, ciemnowy, dawno nie odnawiany hotel jest przytuliskiem bezpiecznym, anonimowym. Pocieszająca jest jego tymczasowość, nadzieja że jutro, za tydzień można będzie zniknąć bez zbytecznych likwidacji mieszkania, pożegnań. Po prostu zjechać windą na dół — i odejść. Są tu lokatorzy zadowoleni od lat: pary żyjące z sobą bez ślubu, samotne kobiety, które rano idą do pracy, a wieczorem w kretonowych szlafroczkach wsłuchują się w znajome kroki na korytarzu. Późną nocą, albo nad ranem słysząc oddalające się kroki, szum wody w łazienkach. Są tu starzy, samotni mężczyźni, którym wygodnie jest w hotelu i młode małżeństwa, którym nie wynajęto nigdzie mieszkania. Przesuwają się poprzez hotel grupy spłoszonych imigrantów z

placzącymi dziećmi, obławowani kuframi, wyczekujący z dnia na dzień na zmianę. Są to ci obywatele Ameryki, którzy rzadko kiedy trafiają do wesołych domków na przedmieściach o oknach zawołanowanych białymi firankami, z różowymi azaliami na krótko przyszytych trawnikach. A może powinni się raczej nazywać obywatelami Nowego Jorku?

— Nowy Jork to nie Ameryka — mówiła Miss S. — trzeba zamieszkać na prowincji, ażeby poznać Amerykę. Na Times Square dostaniesz gazety z innych miast. Szukaj ogłoszeń na prowincji, zarobisz więcej.

8.

Dzień był dżdżysty, wietrzny, nagły nawrót przedwiośnia. Andrzej wracał wczesnym popołudniem do hotelu. Skulił się, podniósł kołnierz marynarki, myślał: do domu!

Przyzwyczajał się łatwo, nie był wymagający. To tylko Boga miotala się, złościła, że nie wytrzyma tu, nie wytrzyma tam, że chce nareszcie mieć normalne mieszkanie, inną pracę, dostać się na uniwersytet. Andrzej nie wiele chciał dla siebie samego. Od biedy zostałby i w hotelu, ale przecież szukali mieszkania, rozjeżdżali się kolejkami i autobusami i wszystko było to za drogie, to za dalekie, to wiązało długimi kontraktami, gdzie indziej znowu żądano bardzo wysokiego odstępnego. Więc właściwie można by się jeszcze trochę pomęczyć, przeczekać w hotelu, aż póki coś się ustali, póki nareszcie praca...

Spojrzał na siebie w zmatowiałym lustrze hotelowym. Pomyślał: Wyglądam okropnie, Zbity pies, pory jak wory i do tego ten okropny ciężar, który trzeba nieść z sobą, aż na siódme piętro, jak to dusi, przygnębia.

Zuławska szykowała chłopcom jedzenie. Rozsiedli się na podłodze wspólnej kuchni zajęci zabawkami, które im ofiarowała sąsiadka. Jej syn nie przyjechał do niej z Niemiec. Chowała je dla niego. Więc po co trzymać na próżno? Rodzina męża odebrała jej syna. Właściwie to ona

rzuciła wszystko i zdecydowała się przyjechać za swoim przyjacielem do Ameryki. Ukrywała go w ciężkich czasach, a teraz on ukrywał się przychodząc do niej na noc. O tym wszystkim Marek i Paweł nie mieli pojęcia. Rośli, przyjmowali się dobrze na ziemi amerykańskiej.

Żuławska dostrzegła Andrzeja. Dostrzegła go poprzez zawieszoną na sznurach w kuchni bieliznę.

— Andrzeju! — zawołała wycierając ręce w fartuch.
— Co się stało?

— Co mi przyniosłeś? — krzyknął Marek. — Tatusiu, co mi kupiłeś?

— Chwileczkę — szepnął Andrzej. — Chwileczkę...
Wyszedł z kuchni, rzucił przemokłą marynarkę na krzesło.

— Andrzeju! — niepokoila się Żuławska. — No co? No co?

— No cóż ma być? — uśmiechnął się niezręcznie. — Nic się nie stało.

Chłopcy wbiegli za nimi do pokoju.

— Idźcie się pobawić do kuchni! — powiedziała Żuławska.

Paweł uczepił się ramienia ojca:

— Chodź ze mną do parku — marudził.

— Deszcz pada...

— Chodź, kup mi lody...

— Zostawcie ojca w spokoju, zaraz, zaraz, pobawcie się chwileczkę grzecznie.

— Wywalili mnie! — powiedział Andrzej.

— Taaaak?

Roześmiał się.

— No wywalili, wywalili — powtórzył.

— Nie umiałeś?

— Aaaa!

— No to co? Nie umiałeś wykroić paternu?

— Ja wcale nie kroilem paternów.

— Nieeee?

— Pomagałem Murzynowi dźwigać beł materiału. harowałem. Myślałem: rzucę, odejdę, nie dam rady! To ciężary! Czyś ty kiedykolwiek próbowała podnieść beł materiału? Jedna po drugiej bez końca, cały dzień?

— I nic nie mówiłeś!

— Po co?

— Przecież jeszcze nie umieramy z głodu! Trzeba było rzucić! O psiakość, psiakość, biedaku aleś ty się namęczył! No i co?

Andrzej stanął przed oknem. Na wystawie owocarza grona winogron, żółta piramida bananów, pomarańcze...

— Ubiore chłopców i pójdę z nimi do parku.

— Ale najpierw zjesz! Słuchaj, nie martw się! To było do przewidzenia! Znajdziesz coś! Nie martw się! Pluń na to!

— Tak ci łatwo powiedzieć.

— Andrzej, czekaj, zapomniałam, list od Wojtka! Mają syna, wiesz, mają syna! I zgadnij, jak go nazwali?

— Jak? — pyta Andrzej. — Masz aspirynę? Łeb mi pęka.

— W walizce, o tu, masz! Nazwali go *Mathew*!

— Czy oni zwariowali!

— No właśnie! To już pomysł Ewy! Oportunistka! No ale czekaj, Wojtek pisze do ciebie! Ma być zjazd Stronnictwa w Waszyngtonie. Jedź! Rozejrzyj się! Pomów z ludźmi!

Andrzej idzie z chłopcami na spacer do parku. Myśli: Ludzie! Czy ci, którzy przesuwają się ulicami Nowego Jorku nie są ludźmi? Idą prędko skupieni, nieobecni, nieświadomi swojej przynależności do miasta i do siebie samych. Ach gdyby nie byli tacy zazdrośni! W półprzymkniętych oczach dźwigają ciężar świata. Nie mają odwagi ulżyć sobie nawzajem. A może to tylko ulica? Ulica niczyja, deptana, pluta, zaśmiecana o którą troszczy się poranny zmiatacz chodników i śmieciarz. Nie ufajcie ulicom Nowego Jorku! Stapajcie ostrożnie, jak po wyspie z bajek Szeherazady. Nie wiadomo kiedy okażą się grzbietem potwora, który wciągnie was pod powierzchnię oceanu.

Żuławska zjechała windą na dół.

— Kupię popołudniowe wydanie gazety! — postanowiła.

Wiatr, szaro, dżdżysto. Czy Pawełek się nie zaziębił? Pawełek kaszlał dziś w nocy, cały dzień marudził, popłakiwał, trzeba by z nim pójść do lekarza.

Żuławska pływa w tłumie przechodniów. Zatrzymała się przed wystawą z delikatesami. Biedny Andrzej, biedny

chłopaczyna! A jednak Boga jest sprytniejsza, Boga się nie dała!

Weszła do sklepu, pachniało smacznie wędzoną rybą i chałwą. Och chałwa! Kupiła kawior i chałwę! Co tam! Jakoś to będzie. Szła dalej. Wystawa z dziecinną konfekcją. Ewa nawet się nie dopisała. I czy oni zwariowali! *Mathew!* Nikt w naszej rodzinie nie nazywał się *Mathew!* Co to znaczy? Maciej? Mateusz? Ciekawam do kogo jest podobny? A właściwie Wojtek mógłby przyjechać, dowiedzieć się, zapytać. Syn odchodzi, syn zawsze odchodzi. A Boga to nie? I na stare lata człowiek zostaje sam!

— Wzdrygnęła się. — Sami na stare lata w Ameryce! Nie jesteśmy starzy. Wynajmę sobie mieszkanie, wezmę lokatorów.

Zatrzymała się przed kioskiem, wskazała na grubą plik gazety.

— *This!*

Gdy wróciła do hotelu, chłopców jeszcze nie było. Przerzucała niecierpliwie gazetę. Czytała ogłoszenia pomagając sobie słownikiem. Na kufrach, pod ścianą piętrzyły się stosy gazet. Były wśród nich i gazety polskie. Żuławski kupował je w Domu Polskim, ponurej kamienicy na bocznej uliczce. Wewnątrz było jaśniej: spotykał znajomych i nawiązywał znajomości. Ale spotkania te były jak gdyby na powierzchni — każdy zajęty sobą, swoim kłopotem, swoją przejściową sytuacją, niechętni do zwierzeń, wstydliwi, że nie są tym czym by chcieli. Była tam przeszłość, do której wracano chętnie i przyszłość obiecująca, pełna uroku, podatna do ujarzmienia. Z teraźniejszością rozprawiano się krótko. A przecież gdzieś wrzała teraźniejszość Emigracji. Rodziły się dzieci i już natychmiast po urodzeniu przechodziły na drugą stronę, tę prawdziwą, amerykańską. Rosły wzmocnione anglosaskim imieniem. Gdzieś trwało życie, które można by nazwać emigranckim. W jakim momencie nowy przybysz przedstawiał być *green* i stawał się zadomowionym Amerykaninem? Były przecież domy, w których życie nie dzieliło się na przeszłość i przyszłość jedynie.

Wydawnictwo gazety polskiej rozchodzącej się daleko poza Nowy Jork mieściło się blisko Domu Polskiego. Był to zakurzony, rozpędzony młyn gdzie przerabiano, mielono teraźniejszość emigracyjną. Teraźniejszość to była

POLONIA. Wyobrażali ją sobie z czupryną Paderewskiego, w sukni z samodziła, trochę Dziewicę Orleańską, trochę dyrygenta zgranej orkiestry. Gdzież jednak była? Jak jej dać znać o sobie? A może ukrywa się w redakcji gazety gdzie listy czytelników bezskutecznie czekają na odpowiedź?

Żuławska przeglądała polską gazetę. Na pierwszej stronie spoza czarnych trzcionek wychyla się Polonia: zorganizowana, świadoma obowiązków wobec Kraju i Drugiej Ojczyzny. Na ostatniej stronie ogłoszenia: *Praca dla Mężczyzn*: Mężczyźni potrzebni — doświadczenie nie konieczne; Malarze doświadczeni; Buczerzy potrzebni: *Praca dla kobiet*: Gospodyni, musi lubić dzieci; operatorki do maszyn do szycia; *coat pressers* do pralni, muszą być doświadczone.

Andrzej wrócił z chłopcami do hotelu. Przemokli. Pawełek kichał, przecierał rękami oczy.

— Ciągnie mnie po nogach — powiedział Andrzej. Żuławska nie usłyszała.

— Chodź tu! — zawołała. — Mam pracę dla ciebie. Podszedł niechętnie, niedowierzająco.

— Gdzie?

Chłopcy stali pośrodku pokoju w śniegowcach i płaszczach. Paweł rozplakał się. Andrzej rzucił się do niego.

— Zaraz pójdziesz do łóżka! I jeszcze do tego wszystkiego choroba! Gdzie praca? Co mówiłaś o pracy?

Żuławska była podniecona. W okularach na nosie, obłożona gazetami zakreślała ołówkiem ramę wokół ogłoszenia.

Boga wpadła do pokoju.

— Wyprowadzaliście dzieci! Na taką pogodę!

Chwyliła rękę Pawła, badała puls.

— Ma gorączkę! — wykrzyknęła. — Ma gorączkę! Zaraz do łóżka! Termometr! Rzuciła się po pokoju powiewając płaszczem deszczowym. Przystanęła, spojrzała na Andrzeja.

— Przyszedłeś wcześniej!

— Stracił pracę! — zawołała Żuławska.

— No i po co? — skrzywił się Andrzej.

— Straciłeś?

— Wyrzucili mnie.

— Ach to wstrętne typy! — wybuchnęła Żuławska.

— I wiesz co robił?

— Po co jej mówisz Helenko?

— Jak to po co? Niech wie!

Paweł rozplakał się.

— Do łóżeczka — marudził — do łóżeczka...

Marek wskoczył w kaloszach na tapczan.

— Marek, ty diable! Pawelku chodź kochanie, chodź mamusia cię położy do łóżeczka. Andrzejku, rozbieraj łóżko! Boże, Boże, dlaczego cię wywalili? Co się stało?

— Później ci powiem. Położmy dziecko do łóżka.

— Ale już mu znalazłam posadę! — zawołała Żulawska. — Boga, słuchaj, Wojtek ma syna!

Boga rozbierała Pawła, otulała go w koc.

— Syna? — powtórzyła półprzytomnie. — Oni tak chcieli mieć syna. Pawelku już kochanie, już idziesz do łóżeczka.

Siedzieli przy sobie na tapczanie. Stojąca lampa odsunięta daleko w róg pokoju. W wypiętej pupie Pawła sterczy termometr.

— Andrzejku, co się stało?

— Nie myśl teraz o tym, zobaczymy co z Pawłem. Może trzeba będzie zawołać lekarza.

— Skąd lekarza? Nie znamy żadnego lekarza.

Leżał w za dużym hotelowym łóżku, małe, rozpalone ciało; tylko termometr sterczał obronnie. Na ulicy zapaliły się światła, miasto szumiało. — Skąd o tej porze dostanę lekarza? — myślała Boga. Wiedziała, to nie chodziło o „dostanie jakiegoś lekarza” — chciała lekarza polskiego. W momentach trudnych instynktownie zwracała się do spraw i ludzi znanych, bliskich, chociażby przez pochodzenie, przez język. Ameryka! Można ją smakować, w gryzać się w nią, można jej stawiać czoła odważnie, ale ufać? Ufać obcemu miastu? Nieznanym ludziom? Boga coła się prędko w podziemne, stare ścieżki. Myśli, kombinuje. — Już wiem — mówi. — Zatelefonujemy do Reginy. Wspominała, że mają pediatrę-Polaka.

Józef Żuławski śpieszył się. O godzinie wpół do dziewiątej zaczynał pracę, a już dochodziła siódma. Chciał jeszcze wpaść do domu i opowiedzieć Helenie o swojej rozmowie z Mr. Mc Innis.

— Ale mu dałem szkołę! — cieszył się. — Teraz już nie będzie zwlekał i pojedzie z planami puszki do Waszyngtonu. Ja jestem E u r o p e j c z y k . Mr. Mc Innis, i my w Europie trochę inaczej podchodzimy do interesu. Panu się nie śpieszy z wyjazdem? Pan mówi, że finansowanie wystarczy? Drogi Mr. Mc Innis, pan nie jest jedynym finansistą w tym kraju. Ja mam swoją *experience* Mr. Mc Innis, ja jestem *businessman*!

Rozmowa właściwie miała przebieg nieco inny, ale to przecież było w języku angielskim, a w tłumaczeniu polskim nabierała nowych barw.

Żuławska usłyszała zgrzyt windy, wybiegła na spotkanie męża.

— Józiu, Pawełek chory!

— Masz tobie! Co mu jest?

— Lekarz zaraz będzie! Przeziębził się.

Żuławski otrząpał swój angielski „edenowski” kapelusz i położył go ostrożnie na kufrze. Miłosne zerknięcie w stronę kapelusza: No tak, nie stracił fasonu, bo ja umiem szanować ubranie.

— Bo mówiłem, ostrzegałem! Chłopcy latają boso, stale przy otwartych oknach, no i doczekali się! Ma gorączkę? — zatroszczył się.

— Sto trzy!

O cholera! To ile to właściwie?

— Boga mówi, że to wysoka gorączka, dziecko rozpalone! Znasz doktora Kubkofa?

— To Kubkof tu jest? Znam! Skąd on tutaj?

— Przez Reginę!

— To dobry lekarz! Dasz mi herbaty? Albo czekaj, nie, ja już zjem w hotelu. Psiakość z tym Pawłem!

— Józiu, wyobraź sobie...

— No? — Żuławski rozwiązywał muszkę przed lustrem, przyglądał się szczotką resztki włosów.

Andrzej stracił pracę!

— Co ty powiesz? — odwrócił się gwałtownie. — Ojo joj! No i co?

— Zrozpaczony.

Żuławski zapalił papierosa.

— Tu nie ma co rozpaczać! Nie ma się co załamywać! Gdzie on jest?

Marek niespostrzeżenie wślizgnął się do pokoju. Ukradkiem sięgnął po kapelusz Żuławskiego.

— Zostawisz mi to smarkaczul — pogonił za nim.

Marek wymknął się i już uciekał z kapeluszem na głowie. Żuławski za nim czerwony i gul... gul.. gul! Marek zaczepił nogą o dywan, kapelusz potoczył się do przedpokoju, a Marek rozplaszczony na podłodze zanosi się od płaczu.

— Cicho, cicho! — uspakaja wnuczka Żuławska.

Żuławski podniósł kapelusz, otrzepując go natknął się w przedpokoju na wysiadającego z windy doktora Kubkofa.

— Kopę lat! — jęknął doktor Kubkof. — Kopę lat pułkownikul — wyciągnął ręce.

Żuławski otrzepywał kapelusz.

— Witam, witam! Przed chwilą żona mi mówi: Znasz doktora Kubkofa? Kubkofa, tego com go we Francji miał w szpitalu? Kubkofa bym nie znał? — Czekaście, ja zaraz zięcia zawołam. Mój wnuk chory. Skóry tam nie zedrzyjcie, doktorzel

— Oooo!

Kubkof jest nieduży, pulchny, trzyma w ręku walizkę — legitymacja. Od razu wiadomo, że doktor. Boga i Andrzej stanęli w otwartych drzwiach. Z sąsiedniego pokoju słyszeć płacz Marka.

— Gdzie chory? — pyta zdezorientowany doktor.

— Tamten powinien dostać lekarstwo na pewną część ciała. Jak doktor zbada, to chodźcie do mnie na chwilę.

Ale doktorowi nie śpieszy się badać.

— Młodo pułkownik wygląda!

— He... he... he! Wersalczyk!

Żuławska wyszła do korytarza trzymając Marka za rękę.

— Jak się nie uspokoisz — szepnęła. — Pan doktor zrobi ci zastrzyk. A do Kubkofa: Młodo wygląda, a piąty wnuczek mu się urodził!

— Doktorze, moja żona! Co? Wojtek pisał?
— Ma syna!
— Co rok prorok! Umiaru nie mają!
— Urodził się, powinienes się cieszyć!
— To ja przepraszam — powiedział Kubko — do zobaczenia.

Wszedł za Bogą do pokoju.

— Andrzej, chodź-no — szepnął Zuławski. — On nie powinien nic wziąć!

— Ja nie chcę za darmo.

— Słuchaj-no ty się tą stratą pracy nie przejmuj! Dużo ci płacili! Wypnij się na nich! Znajdziesz inną! Grunt się nie dać, grunt się nie dać!

Andrzej wzruszył ramionami.

— Jak ty myślisz, że mnie to załame, to mnie jeszcze nie znasz!

— Panie doktorze — szeptała Boga. — Czy to czasem nie polio?

— Niee! Nie ma objawów, żadnej sztywności karku. Wirusik! Damy zastrzyk penicyliny.

— A mój drugi syn?

— A to nic nie jest powiedziane, może się nie zarazić.

Zuławski przyglądał się krytycznie kapeluszowi.

— Mało człowiek ma kłopotów, jeszcze ten Wojtek!

— Ja ciebie nie rozumiem, Józiu, powinienes się cieszyć!

— Cieszyć? Chłopak się zmarnował! Po diabła sprowadzał tę dziewczynę! Troje dzieci! Wisi u klamki prezesa. Mieszkania nie mają, pieniędzy nie mają. Taki zdolny inżynier i bawi się w politykę! Bo to — wskazał palcem na żonę — twoja wina!

— Moja wina? — odskoczyła. — Co moja wina? Że mają dzieci?

— Nie o dzieci chodzi. Niech sobie mają, chcieli syna, no dobrze, bardzo się cieszę, pošlę im telegram. Ale Wojtek się marnuje! Tyś go pchała do polityki.

— Ja? Stuknij się w głowę człowieku!

— Oboje mieliście fioła na punkcie tego Stronnictwa! A mówiłem, a mówiłem. Żenić mu się zachciało! Ministrem chciał zostać! Zamiast iść na praktykę! Ja w ogóle już mówić nie chcę! Odmawiałem sobie wszystkiego, łoży-

łem na niego! A Boga! To są rezultaty! To są rezultaty, że Polską rządzą tacy panowie prezesi, że nas sprzedali! A teraz muszę się poniewierać w Ameryce jako nocny kasjer!

— Cicho bądź, sam nie wiesz co pleciesz! Dziecko chore!

Żuławski skrzywił się, wcisnął kapelusz na głowę.

— Nazwali go...

— Nie chcę słyszeć!

— Nazwali go *Mathew*!

— No proszę, no proszę, to są skutki! Ja sobie z Wojtkiem porozmawiam, ja go sobie wezmę na rozmówkę!

— Ależ Józiu!

— Kobito nie zatrzymuj mnie, ja muszę iść do pracy. Ty dobrze śpisz, jak ja haruję.

— Ile jesteśmy winni panu doktorowi? — spytał Andrzej.

Kubkof zamyślił się.

— Dla państwa, wizyta siedem dolarów i trzy dolary zastryk. Razem dziesięć dolarów.

W windzie doktor Kubkof dogonił Żuławskiego.

— Urządziliście się — powiedział.

— A doktor?

— Ot tak, powolutku, powolutku...

— Toście tam z nich skóry nie zdarli?

— Niech się pułkownik nie boi!

Wyszli z hotelu w przyjaznej komitywie.

To jednak porządny człowiek ten Kubkof — myślał Żuławski. — Co tu dużo gadać. Gdybym go nie ukrył przed Niemcami w szpitalu w Marsylii...

III.

Szary Chart pędził asfaltem. Pruł ponad siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. Był wysoki, piętrowy, w jego obszernym brzuchu kołysali się pasażerowie. Nie można go nazwać zwyczajnym autobusem. Autobus to opieszałość, nie kończące się przystanki. Był autobusem póki nie przedarli się przez przedmieścia Nowego Jorku: Uliczki zakręty, ciasnota, natłok aut prywatnych w sobotnie porano. Dopiero, gdy minął tunele, gdy wdarł się gardzielą *hit way'u* na przestrzeń swobodną, jak głęboki oddech — pomknął. Wizerunek szarego charta objął w posiadanie autobus. Daleko, poza strzępiastą, młodą zielenią drzew różowiało niebo. Jechali na południe. Boga i Andrzej siedzieli tuż za szoferem. Szosą płynął milczący, wartki, połyskliwy strumień samochodów. Ludzie znikli. Ich niespokojnie, wrzaskliwe mrowiska przycupnęły daleko na uboczach odepchnięte nagim, gładkim ramieniem szosy. Czasem mignęły czerwone dachy osiedli, kominy fabryk, wieżyczka kościoła i uciekały prędko przerażone pędem i przestrzenią. Nie tamowane cywilizacją, czerwone i ogromne biegło za nimi słońce.

Andrzej uśmiechał się. Oddalenie pomaga, łagodzi, ruch uspakaja.

— W Waszyngtonie pogadam z Wojtkiem. Może pomogą mi w uzyskaniu stypendium.

— A ogłoszenie? Masz ogłoszenie?

— Czekaj! — Szukał w kieszeniach marynarki, w portfelu w teczce. — Zapomniałem!

— Poszukaj jeszcze raz!

— Mam!
— I co?
— Mogę się zapytać.
— To po drodze?
— Wiesz przecież, sprawdzaliśmy na mapie.
— Jak się nazywa to miasto?
— Monumental City.
— Co to za miasto?
— Wiem tyle co i ty. Jeśli Wojtek dostał stypendium Free Europe...

— Myślisz, że ci dadzą?
— Może... Chociażby na początek.
— Myślisz, że się urządzimy? — Boga spogląda na Andrzeja. Jaka buńczuczna była w Nowym Jorku! Energia pierwszego zrywu opuściła ją, dałaby się chętnie prowadzić za rękę. Senność. Podniecenie podróżą, oczarowanie przestrzenią mija. Senność.

— Naturalnie, że się urządzimy! — mówi Andrzej. — Dostanę pracę, ty się zajmiesz domem, chłopcami. — Andrzej czuje swoją przewagę. — Ty się zajmiesz domem...

Boga przymyka oczy, chciałaby zasnąć, ale teraz dopiero przenikają do jej świadomości odgłosy autobusu. Tuż obok nich, tylko po przeciwległej stronie, mężczyzna w kolorowej koszuli i marynarce w aksamitne prążki. Jego usta nie zamykają się, bez przerwy odwraca uwagę szofera. Co za natarczywy gaduła! Za nimi Murzynka z dzieckiem na kolanach. Wyciągnęła butelkę z papierowej torby, dziecko cmoka i przełyka głośno. Młody chłopak w mundurze oparł głowę o poręcz siedzenia — chrapie. Z górnego pokładu ktoś zeszedł do ubikacji na parterze. Trzasnęły drzwi. Boga przymyka oczy. Otwiera. Mężczyzna w aksamitnej marynarce gada bez przerwy. Teraz wyciągnął z kieszeni fajkę. Zamkniesz ty się nareszcie! Nie można się zdrzemnąć!

Andrzej myśli: Spróbuję, dowiem się, zobaczę co to za miasto. Może jednak trzeba by wyruszyć na prowincję? Jeśli dali ogłoszenie do polskiej gazety, to widocznie nie mogą nikogo znaleźć. Ale czy ja potrafię kroić maszyną? Boga! — szepnął.

Nie odpowiedziała. Popadła w stan niespokojnej, męczącej pół-drzemki. Miss S. pochylała się nad nią. Dym

jej papierosa owiewał twarz. Na prowincji łatwiej dostaniesz się na uniwersytet. Ale gdzie masz swoje papiery uniwersyteckie? Te świstki? Te kartki? A gdzie dyplom? Widzisz, nie masz dyplomu! Kobieta powinna siedzieć w domu! Zajmij się domem, zajmij się domem!

Boga otwiera oczy. Mężczyzna w aksamitnej marynarce pali fajkę. Dym fajki dusi. Boga czuje wzbierające mdłości. Stara się skupić uwagę na szosie. Dym fajki atakuje, ślina podpływa do ust.

— Niedobrze mi! — mówi.

Autobus kołysze się. Szczelnie pozamykane okna. Boga oddycha głęboko, to nie pomaga.

— Nie dobrze ci? — troszczy się Andrzej.

— Powiedz mu, żeby przestał palić fajkę! W autobusie nie wolno palić! Niedobrze mi, zwymiotuję!

— Masz chusteczkę.

— Nie chcę chusteczki! Powiedz mu, żeby przestał palić fajkę! Wstrętny gbur! Puszcza mi dym prosto w twarz.

Andrzej podnosi się niechętnie, pochyla się nad palącym fajkę pasażerem. Szepczą. Mężczyzna w aksamitnej marynarce wyciąga fajkę z ust, przeprasza:

— *Honey, I am so sorry.*

— Idź do diabła! — myśli Boga.

Cóż to za okropny typ! Ledwo wypuścił fajkę z ust i już zaczyna gadać. Ale teraz zarzucił wędkę na Andrzeja.

— *Where are you from?* — Przechylił głowę, bębni palcami po kolanie, teraz wyciąga rękę:

— Nazywam się Ben Kagan. Możecie mnie nazywać po prostu: Ben. Ach moi drodzy! — rozczuła się. — Zaraz was zauważyłem! Pana twarz! Ta wrażliwa, inteligentna twarz filozofa! Jak panu na imię, mój drogi? Przepraszam za moją bezpośredniość, jesteście oboje uroczymi ludźmi. Czy pozwoli mi pan na tę drobną poufałość, aby zwracać się do pana po imieniu? Andrew?

Andrzej nie ma czasu na pozwolenie, topi się cały, grzęźnie w nagłej, niespodziewanej serdeczności. Czego on chce ode mnie? A więc jednak zauważył, że mam twarz filozofa!

— Nie myli się pan, Mr. Kagan, jestem prawnikiem, ale specjalizowałem się w filozofii prawa.

— Ben, Ben, drogi Andrew...

Boga czuje nowy przypływ młodości. Dlaczego Andrzej wdaje się w rozmowę z tym podejrzanym typkiem? Czy tak się ubiera człowiek zrównoważony? Wszystkie kolory naraz! I co za krawat!

— Gdzie jedziecie? — pyta Ben.

Andrzej od dawna chciał się wypowiedzieć, a tu taka zapraszająca serdeczność.

— Monumental City? Ależ to jest najpiękniejsze miasto w Stanach Zjednoczonych! Uroczel! Moje rodzinne miasto! Do Nowego Jorku jedzie się robić interesy, w Monumental zakłada się i wychowuje rodzinę. To jest dopiero Ameryka! Co tam chcesz robić Andrew?

Boga słucha przerażona, jak Andrzej mówi. Ale przecież kiedyś musi się wygadać!

— *Pattern maker*? — dziwi się Ben. — Wy tłumacz mi co robi *pattern maker*?

— Skończyłem specjalną szkołę w Anglii — rozgaduje się Andrzej — tnę z papieru formy, które służą jako wzór i potem w setkach i tysiącach przycinane są z materiałów.

— *Are you Jewish*? — pyta Ben. — Nie? No więc w jaki sposób trafiłeś do tego przemysłu? Nadzwyczajnie!

Andrzej rozwodzi się jeszcze bardziej, szerzej. Błyszcz. Rumieńce na policzkach. Ben pochylony ku niemu, wymachuje pustą fajką.

— Nie rozumiem — wybucha Ben — dlaczego chcesz się marnować w tym zawodzie? Ty jesteś urodzony psycholog! Jedź ze mną do Nowego Jorku! Nie potrzebujesz licencji, przepowiadam ci nadzwyczajną karierę!

Kim jest Ben Kagan? Teraz kolej na niego. Niech opowiada! Co to za zwariowany człowiek! Czy nie jest czasem członkiem jakiejś szajki?

— Czy zatrzymacie się w Monumental City?

— Pewnie nie! — odpowiada Boga niemal wrogo. Myśli: Co mu do tego!

Ben Kagan namawia: Stanowczo trzeba zobaczyć to miasto! A może się jednak tam urządzić? Ludzie są tacy, jak ja — *friendly*! Jeśli nie zdecydujesz się na psychologię Andrew, próbuj w Monumental!

— Idź sobie do diabła! — myśli Boga. — Potrzebuję Andrzeja, jest mi niedobrze! Zastanawia się: A może w Monumental dostanę się na uniwersytet?

— Co za uroczą masz żonę! — rozpływa się Ben.

Andrzej kiwa głową:

— Tak... tak.. ale w Monumental nie ogłaszają pracy *pattern maker'a*. Chodzi im o *cutter'a*, takiego, który by umiał operować maszyną tnącą gruby stos materiałów.

Andrzej milknie. Już niedługo Monumental — możliwość pracy. Przecież ja nie potrafię obsługiwać maszyny! Regina powiedziała: Ty im mów, że umiesz, ty im mów wszystko co oni chcą! Zamyśla się.

Ben Kagan atakuje Bogę:

— *Honey...*

Że też ten Andrzej nie widzi! — myśli Boga. — Cóż to za pstrokaty gaduła-adorator!

2.

Słońce stało wysoko, blade i niewielkie, gdy wjechali na przedmieścia Monumental City. Szosa zwęziła się, autobus stracił elastyczność charta. Zatrzymywał się, jechał ostrożniej. Po obu stronach drogi tłoczyły się zajezdne gospody reklamujące kraby, kurczęta smażone na sposób południowy, włoskie *Pizza Pies*, pamiątki, piwo. Mijali przydrożne motele, ogromne transparenty ogłaszające miejskie restauracje i hotele i wreszcie napis:

Welcome to Monumental City.

Tu i ówdzie migwały skupiska parterowych domków — odpryski miasta — nowe, kielkujące załążki wielkiej grzybni, która nie ukazywała się jeszcze, albo czasem tylko na horyzoncie rozlazła i nieforemna.

Niespodziewanie wjechali w uliczki wąskie, po obu ich stronach tłoczyły się drewniane i ceglane domki. Miasto wydawało się ciasne, nie rozplanowane, jakby ktoś budował je na prędce, niby rzędy letnich, leśnych szałasów, które i tak się kiedyś porzuci. Ludzi, pomimo soboty, było na ulicach niewiele, głównie Murzyni posuwający się opieszale, albo kolorowe dzieci, które ciekawie spoglądały za autobusem. Ta pustka, po ruchu Nowego Jorku, przynębiała. Brzydota przedmieść, beznadziejność smutnych kamieniczek przeraziła Bogę.

— Andrzeju — szepnęła. — Nie wysiadajmy! Nie pytaj się nawet o pracę! Ja tu nie wytrzymam, ja tu oszałeję!

Andrzej przyglądał się miastu krytycznie.

W tej dziurze mogę mieć szansę dostania pracy. W tej dziurze.

Ben Kagan milczał, wzrok rozmarzony, wchłaniał w siebie miasto.

— Chodźcie... — szepnął.

— Ja nie wysiadam! — upierała się Boga. — Jedziemy wprost do Waszyngtonu!

Andrzej był niezdecydowany. Pomyślał: Pieniądze kończą się, a jeżeli nie dostanę stypendium Free Europe...

Autobus wjeżdżał na stację.

— Chodźcie! — zachęcał Ben. — Wstąpimy do małej restauracyjki, poczekamy na Andrew, fabryka jest niedaleko.

— Ja nie wysiadam!

— Ale, *darling*, to jest najpiękniejsze miasto na świecie!

— *I do not like it!*

— Bo go nie znasz! — przekonywał Ben. — Zobaczcie śródmieście, zobaczycie północną dzielnicę! I czyż tu nie jest czysto, spokojnie, zacisznie?

— Pasażerowie do Monumental City, proszę wysiadać! — zawołał szofer. — Za piętnaście minut odjazd do Waszyngtonu!

Stali w przejściu autobusu niezdecydowani.

— Chodźcie! — nalegał Ben.

Boga czuła zawrót głowy, mdłości nasiliły się.

— Chodź! — zdecydował Andrzej. — Zaryzykuję!

Wyszli. Na dworze było gorąco.

— Dowiem się o następny autobus do Waszyngtonu — powiedział Andrzej.

Z dziedzińca, gdzie zatrzymywały się autobusy poprzez niedużą poczekalnię wyszli do miasta. Znaleźli się w centrum handlowym. Wysokie domy towarowe, sklepy, kina — poprzyklepiane jedno do drugiego bezbarwne i obojętne. Ulicami, ocierając się o mury budynków, wlekła się nuda. Weszli do najbliższej restauracji.

— Pozwólcie, że was zaproszę na obiad! — Ben wyprostował się, wsunął pustą fajkę między zęby. Znał wi-

docznie dobrze personel restauracji: witał się głośno z kelnerkami, klepnął po ramieniu właściciela przy kasie, kłaniał się tu i tam.

— Co nowego? Co nowego? — dopytywał.

Boga wzięła do ręki menu. Same nazwy tylko potraw — mdliły. Ohydna, prowincjonalna dziura.

Pozbawieni ruchu autobusu zaczęli znów odczuwać niepewność. Jak długo będą mogli wytrzymać w hotelu? Czy Andrzejowi uda się dostać pracę w Nowym Jorku i to pracę, która pokryje wydatki? Dlaczego nikt ich nie uprzedził jaka naprawdę jest Ameryka? A jaka jest naprawdę?

— To ja już pójdę. — Andrzej podniósł się. — Zaraz będę z powrotem.

— *Good luck and God bless you!* — uśmiechnął się Ben.

Patrzyła za nim, gdy odchodził. Drzwi restauracji trzasnęły, zabrzęczała szyba. Żałowała teraz, że nie powiedziała mu czegoś zachęcającego. Trzymaj się! albo: Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Wiedziała: Nie przyjmą go.

Na wprost niej twarz Bena rozczulona, życzliwa. Co ja tu robię z tym człowiekiem? Czego on chce ode mnie? A jeżeli to jest pułapka? Jeżeli on nas tu na umyślnie sprowadził?

Rozglądnęła się podejrzliwie po restauracji, była niemal pusta.

— Pan się pewnie śpieszy! Niech pan się nie krępuje, zostanę sama.

Ale nie, nie, skąd nie zostawię pani samej. Zaczekam! — Chciał ją pogłaskać po rękę.

Cośnęła się.

— Przepraszam.

— Gdzie tu jest *ladies' room*? — spytała kelnerki.

Weszła do toalety, zamknęła drzwi na klucz. Lustro odbiło jej przerażoną twarz.

Andrzej zatrzymał się przed narożną, ośmiopiętrową kamienicę. To tu.

Sprężył się w sobie, jak przed skokiem. Do stu diabłów, dlaczego mam się bać?

Wszedł do halu. Chłodno, ciemnawo, elektryczne światło. Rozejrzał się. Portier chudy, niewielki zalaatywał alkoholem.

— Sir?

— Biuro fabryczne.

— *Second floor.*

W windzie przyglądali się sobie nawzajem.

— *Good luck* — powiedział portier — biuro jest tutaj, na lewo.

Wszedł do do rozległej hali. Większą jej część zajmowały wieszaki z gotowymi już ubraniami. W głębi biurko. Dziewczyna podniosła się zza biurka.

— *May I help you?*

— W sprawie ogłoszenia, posada *cutter'a*.

— W tej chwili.

Zapukała do drzwi ukrytych za wieszakami. Zniknęła. Wróciła, uśmiechnęła się.

— Dyrektor, Mr. Goldfreder, prosi.

Wysoki, barczysty mężczyzna o potężnym nosie, siwe brwi zwisające nad oczami.

— *How are you?* — wyciągnął rękę. — Proszę, niech pan siada!

Uciadł. Rozejrzał się po pokoju. Na ścianie, tuż nad biurkiem — kalendarz. Na nim wykalfigrafowany ozdobnymi literami napis:

Niech Bóg zapomni o tobie, jeśli ty zapomnisz o swoim drzewie.

Napotkał oczy Goldfredera: ciemne, przenikliwe, sympatyczne.

— Pan w sprawie posady *cutter'a*? Pan jest z zawodu *cutter*?

— *Cutter* — skłamał Andrzej.

Specjalną maszynę, przystosowaną do cięcia stosu materiałów, miał w rękę tylko przez kilka minut w fabryce w Nowym Jorku. Obsługujący ją *cutter* chciał Andrzeja

nauczyć, ale natychmiast zagroziła mu Unia. Ktoś w tym samym momencie, w którym Andrzej dotknął maszyny, doniósł funkcjonariuszowi Unii Cutter'ów. Wybuchła awantura. Pozwolono mu tylko pomagać Murzynowi w dźwiganiu sztuk materiałów.

— Cutter — powtórzył Goldfreder. — A jakie ma pan doświadczenie? *Experience?*

— Przyjechałem z Europy.

— Europa! — dyrektor wstał. — Skąd? — zawołał.

— *Poland.*

— *Polish Jew?*

— Nie, *Polish.*

Goldfreder nie odpowiedział. Chodził po pokoju, trząsł głową.

— Ach on przeszedł przez to wszystko! — zawołał.

Stał przy Andrzeju. Położył swoją potężną, spracowaną rękę na jego ramieniu.

— Pochodzę z Mińska. — Wychowałem się w Niemczech. Gdy przyjechałem tu nie miałem nic. Nic... — przerwał. — Pan pozwoli, że oprowadzę pana po fabryce. Zaraz, zaraz! Zawołam mego siostrzeńca. Z Polski! — roześmiał się. Otworzył drzwi. Ryknął: Feliks, Feliks, Feliks! Chodź mi tu zaraz!

Zza wieszaków wysunął się Feliks. Był młody, ciemny, przystojny.

Rozmawiali z sobą przyciszonymi głosami, weszli do gabinetu. Andrzej wstał. Mierzyli się oczami. Feliks uśmiechnął się niezręcznie.

— Był pan w Polskiej Armii?

— Byłem — odpowiedział Andrzej. Pomyślał: Dobrze mówi po polsku, ale czego on chce ode mnie?

Uśmiech Feliksa pogłębił się skrzywieniem. Goldfreder obserwował, starał się z mimiki twarzy wywnioskować o czym mówią.

Feliks przysiadł na brzegu biurka, wsadził ręce w kieszenie spodni. Nie patrzył na Andrzeja, patrzył na czubki swoich butów.

— Co on chce ode mnie? — zastanawiał się Andrzej.

— Hm — mruknął Feliks — był pan w Polskiej Armii, to pewnie był pan w armii Andersa? — spojrzał na Andrzeja szybko i odwrócił się.

Goldfreder palił cygaro.

Andrzej wzdrygnął się: to jednak Boga miała rację.
— Nie byłem w Armii Andersa — powiedział po angielsku. — Nie wiem o tym, aby jakiś generał polski posiadał Armię Polską na własność.

Goldfreder zmarszczył czoło, brwi sterczały groźnie. Andrzej podniósł się. To już skończone, wiedziałem.

— Jeśli panom to przeszkadza... — głos jego zabrzmiał sucho.

— O co chodzi? — ryknął Goldfreder. — O co chodzi Feliks? Co TOBIE przeszkadza? — A do Andrzeja: Proszę bardzo, może by pan jednak obejrzał fabrykę. Proszę przyjść od poniedziałku na próbę! Feliks, pokażesz panu *cutting room*. Do Andrzeja: Do widzenia! *Delighted to meet you*.

— Gentleman — pomyślał Andrzej.

— Chodźmy! — mruknął Feliks.

Pojechali windą na szóste piętro. *Cutting room* był halą zajmującą całą szerokość i długość budynku. Pomimo sobotniego popołudnia ludzie pracowali pochyleni nad stołami. Długie, drewniane stoły, pył ciętych materiałów. W smugach słońca padających przez niezasłonięte okna wiruje kurz. Rozmawiali półgłosem po polsku. Wysoki, przystojny mężczyzna odwrócił się ku nim. Pociągła twarz, łobuzerskie oczy, przyjazny uśmiech.

— Polski? polski? — spytał żartobliwie.

Andrzej przystanął, skinął głową.

— Zit parchaty? Zit parchaty? — śmiał się nieznajomy.

Andrzej miał ochotę uścisnąć mu rękę. Co za wesoly kumpel!

— To on! — wskazał na pochylonego nad sąsiednim stołem grubasa. On tak zawsze do mnie mówi. Ma żonę Polkę.

Grubas milczał.

— Ja też umiem po polsku! — nieznajomy zastępował drogę Andrzejowi. — Mój *grandfather* był z Polski. Słuchaj! — uśmiechnął się szeroko, duży nos podrygiwał wesoło, jak chorągiewka. — Słuchaj! hop! Skoczył w śmieszna, kulejącą polszczyznę:

— Sieczkie w głowie? Sieczkie w głowie? *See?* No co nie umiem? Umie!

— *Are you all right?* — kelnerka zapukała do drzwi.

— Tak, tak! — odpowiedziała Boga. Przekręciła klucz. Z kuchni sąsiadującej z ubikacją zapach smażonych kartofli.

Restauracja jest wąska, pod ścianami stoliki poodgradzane od siebie drewnianymi przepierzeniami, które służą jednocześnie jako oparcia dla ławek. Ben Kagan pali fajkę, rozmawia przy kasie z właścicielem. Kelnerka spojrzała na Bogę.

— *Coffee?*

— Tak, proszę.

— Pierwszy raz w Monumental? — uśmiechnęła się życzliwie. Białe fartuch opinał się na jej szerokich biodrach, mocno przyczerwione brwi narysowane tak, że nadawały jej twarzy wyraz nieustannego zdziwienia.

— Pierwszy raz. Co to za ulica?

— Morwowa, tam dalej jest ulica Katedralna.

Uśmiech kelnerki złagodził niepokój Bogi.

— Dlaczego ja się właściwie boję?

Ben dostrzegł ją, wyjął fajkę z ust, i wrócił do stolika.

— Niech się pani nie denerwuje — powiedział — wszystko będzie dobrze.

Spojrzała. Nie wyglądał groźnie: był łysawy, jego szeroka twarz przypominała dużą rzodkiewkę.

— Jestem nauczycielem — westchnął. Spojrzał na nią niepewnie czy słucha.

— O jest pan nauczycielem! — ucieszyła się.

— Jestem nauczycielem w szkole dla chłopców, ale to nie wszystko. Wiezorami studiuję psychologię na Columbii. Pasjonująco! A nocami piszę.

Dlaczego się go bałam? — myślała Boga. Bojąc się nie zrozumieć nikogo. Oto jak przyjmuję ludzką serdeczność!

Ben zapalił papierosa, puszczał kółka dymu, bawił się nimi, opowiadał o swoich chłopcach. Jego twarz przestała być podobną do rzodkiewki, nabrała innego wyrazu. To jeden z tych nieco zwariowanych nauczycieli matematyki, który w przerwie między lekcjami gra z swymi uczniami w piłkę.

— Nigdy się pan nie ożenił?

Spuścił oczy, patrzył na stolik, jego twarz łamiąca się drobnymi pół-uśmiechami, prześwietlona zażenowaniem wysubtelniała.

— Moja żona opuściła mnie.

Zabrnęłam za daleko! — przeraziła się Boga. — Teraz zacznie mi się zwierzać. Spojrzała na zegarek.

— Niech się pani nie denerwuje — powiedział Ben. Opanował już chwilowe wzruszenie, nie miał najmniejszej ochoty do zwierzeń. — Niech się pani nie denerwuje, z pewnością go zatrzymali.

— Co pan pisze?

— Historię mego życia. Mam czas wypełniony: rano szkoła, poprawianie zadań, potem Columbia, nocami piszę.

Wychyliła się i śledziła ulicę poprzez oszklone drzwi restauracji. Na wprost był sklep z książkami: gazety i magazyny leżały na chodniku przed wystawami. Miała ochotę wyjść i kupić gazetę, ale bała się ruszyć. Nie wiadomo z której strony nadejdzie Andrzej, mogą się minąć. Ulica była spokojna, przechodniów mało, nikt nie wchodził do restauracji. Dlaczego Andrzej się spóźnia, powiedział: Niedługo. Ben obserwował ją, otrząsnęła z siebie jego spojrzenie. Powiedziała prędko:

— Pisz pan historię swego życia?

— Właściwie nie. Piszę historię życia, które chciałbym przeżyć. Jest to moje życie, ale tylko to, które istnieje w mojej wyobraźni. Moja żona, na przykład, zachowuje się w tej opowieści zupełnie inaczej...

Jest nadal zakochany w swojej żonie — pomyślała. Powiedziała głośno:

— Jak się zachowuje?

Spojrzał na nią.

— Przepraszam, jeżeli pan nie chce...

— Och nie, nie! Lubię panią, pani jest taka bezpośrednia. Zaraz... Zmarszczył brwi, namyślał się. Twarz jego cofnęła się, ale z tej perspektywy stała się bardziej zrozumiała. Nie był już autobusowym gadułą, ani też nieco sfiksowanym nauczycielem matematyki, stawał się kimś innym, ale jeszcze zastanawiał się czy warto, czy można. Jego zaufanie i przyjacielskość były więc tylko samoobroną. Nie chciał odsłonić samego siebie.

— Zachowuje się tak, jak ja bym pragnął, aby się

zachowywała. — Roześmiał się. — To nie ważne. Niech się pani nie niepokoi o Andrew. Ja wiem, że to pania i tak nie obchodzi.

On potrzebuje mojego niepokoju, aby się upewnić i pocieszyć, że nie on jeden. Dlatego był przyjacielski. Jesteśmy mu bardziej potrzebni niż on nam. Szyba w drzwiach brzęknęła — To Andrzej! Ben podniósł się. Drgał cały drobnymi uśmieszkami, spoglądał pytająco na Andrzeja, gotowy jednocześnie do gratulacji i pocieszeń.

— Dostałeś! — zawołała Boga.

— Od poniedziałku na próbę! Płacą dwa razy tyle co w Nowym Jorku.

— Czy nie dobrze zrobiłem, że namówiłem was do zatrzymania się tutaj? — promieniał Ben.

Był już nie potrzebny, ale nie chciał jeszcze odejść.

Wyszli. Ulica w słońcu nie była już zupełnie obcą, miała swoją nazwę — ulica Morwowa. Wiadomo, jest na niej restauracja i sklep z książkami, *parking* dla samochodów i dalej restauracja chińska o podejrzanie pustym oknie wystawowym. Nie daleko stąd jest stacja autobusowa i fabryka do której przyjęto Andrzeja na próbę. To wszystko — reszta miasta pogrążona w głębokim cieniu. Ben Kagan cofa się w cień, za chwilę będzie zwykłym przechodniem. Potrąci kogoś na ulicy i powie: *pardon* albo *excuse me*. Jest nieuważny i potrąca wielu, gdyż porusza się w obrębie życia, które chciałby mieć na własność, a którego jeszcze nie zdążył napisać i to go odurza, oślepia. Jest także natrętny i nie zna umiaru. Mógłby się już pożegnać. Jego serdeczność jest przesadna. Dawkuje ją na podstawie wskazówek psychologii, wprost z książki, z wykładów Columbii do życia. Boga myśli: Idź-żesz sobie nareszcie stary nudziarzu! Nie zastanawia się: jest to pierwszy Amerykanin, który zatroszczył się o nich. Łatwo jest myśleć: Ludzie! Wyciągać do nich ręce. Niech-no tylko rozspią się na jednostki, ręce opadają. I jak tu ich poznać?

5.

Większość osób była im obca. Goście siedzieli pod ścianami salonu i pokoju stołowego, kręcili się w hallu,

zbiegali po schodach, wchodzili na schody. Byli bardzo przejęci — zebranie Stronnictwa.

Ewa Żuławska przesuwiała się wśród nich z miną gospodyni uprzejmej, a jednak świadomej swojej ważności. Wiadomo przecież, czyniła honory pani domu, nie w swoim domu, u prezesa, ale to nie ważne. Każdy zwracał się do niej: Pani Ewo, Ewusiu, czy można? Czy pani pozwoli?

— Pokaż mi nareszcie mojego bratanka; — zawołała Boga. — I czekaj, może ja ci coś pomogę?

— Nie, nie — protestuje Ewa. — Ty jesteś tu gościem, odpoczywaj! Wszystko gotowe, widzisz? Naharowałam się wczoraj, pastowałam podłogi na kolanach, aż do po północy piekłam torty.

Odsuwa Bogę na dalszy plan. Bardzo mi miło, że przyjechałaś, ale trzymaj się swego miejsca.

Wojtek ledwo, że spytał o rodziców, roztargniony, zalatany, pod pachą sterty papierów.

— Poczekaj, teraz jest zebranie, zostań tam z gośćmi na dole.

Boga przygląda się bratu: schudł, zmizerniał od czasu, gdy go rok przeszło temu żegnała w Londynie. Nos tylko sterczy i w tym przypomina ojca. Oczy zapadłe, policzki wystające — zaganiany, zbiedzony ptak. W uśmiechu są z Bogą podobni: uśmiech nie pełny, nie skory — oczy bardziej uśmiechają się niż usta.

— Jakiś ty mizerny! mówi Boga, myśli: Gdyby można z nim się i porozmawiać, zbliżyć się do brata, który teraz poza granicą ich dzieciństwa oddalił się, stał się kimś innym: mężem Ewy, ojcem jej dzieci.

— No już... już wiem, Ewa też mi to powtarza. Widziałś Macieja? Wielki chłop, co?

Popędził na górę do pokoju, zamknął drzwi za sobą. Tylko Andrzeja od razu zagarnął, dopuścił.

Boga przechodząc koło zamkniętych szczelnie drzwi słyszy stłumione, podniecone głosy. W łazience moczą się brudne pieluszki, a w przylegającej do niej sypialni na łóżku — stopy palt i kapeluszy. Trzeba się przez to prze-dostać, aby dobrnąć do dwóch małych łóżeczek.

Mathew-Maciej śpi. Łysawa główka z ciemnym puszkciem, kciuk w buzi i nos Wojtka. Tak, po tym go można poznać. Ach ta maleńka różowa piasteczka, jaka zachłanna, zamyka w sobie cały świat. Doczekali się syna. W

drugim łóżeczku Helenka — krucha chudzinka, tajemniczy uśmieszek na wąskiej twarzyczce — to uśmiejch Wojtka i mój, ale moi chłopcy są silniejsi. Boga przygląda się, myśli. Za nią w koszulce — Ania, najstarsza. Wymknęła się z łóżka.

— Ty jesteś Boga, moja ciocia, ja wiem. Widziałaś? — pokazuje na Mathew.

I właśnie w tej chwili Mathew otworzył oczy i rozkrzyczał się.

— Trzeba mu zmienić pieluszkę! — myśli Boga. — Gdzie pieluszki?

— Ewo! — biegnie na dół — Ewo!

Ale krzyk dziecka już poruszył gości: pozmieniali miejsca, popodnosili głowy; Mały płacze, pani Ewo dziecko płacze!

Ewa odkłada nóż, którym kroila tort.

— Już idę, idę!

Wojtek wybiegł z pokoju.

— Uspokójcie szczeniaka! — woła, ale sam pierwszy biegnie do syna.

— Drzyj się, drzyj! — podnosi go do góry. — Wyrabiaj sobie płucal — Zdejmuje plastikowe majteczki.

— Wojtek, panie Wojtku, kolego Żuławski! — wołają go poprzez uchylone drzwi.

Wojtek przybliżył nos do twarzy syna.

— Ty łajdaku, toś ty się nie tylko złał, ale jeszcze więcej...

— Ja to zrobię! — woła Ewa. — Wpada zdyszana na schody. — Idź już, kończcie wasze zebranie!

Na palcach jeszcze ślady tortu, ale Ewa już odrzuca pieluszki, wyciera, podsypuje pudrem zadarte w górę nóżki.

— Cały czas tak — skarży się. — Nigdy mi nie może pomóc, bo zawsze go wołają. To Stronnictwo cały czas mu zabiera i co ma z tego?

— O czym oni tak gadają? — Boga wskazuje na zamknięte drzwi.

— Polityka! Nie wiesz? Jedno co go obchodzi na świecie to polityka. Nie wiem po co się w ogóle żenił!

Ewa porusza się prędko, niecierpliwie, wtyka smoczek butelki w rozplakane usta Mathew.

— Helena, marsz do łóżka! Aniu idziesz mi stąd, bo przetrące, słowo daję, spać!

Drzwi otwierają się. Wojtek.

— Ewo, nie mogłabyś ciszej? Prezes przemawia.

— Dooobrze, dobrze, ale przecież późno, nie mogą się bawić na dworze. Czekaj, czekaj Wojtek, zostaw uchylone drzwi, ja też chcę posłuchać!

— Kolego Żuławski!

— Boga, proszę cię... — Wojtek spogląda na siostrę.

— Idź już, ja przypilnuję dzieci, zostaw drzwi uchylone.

Cisza. Ewa odrzuca w tył głowę, ręce pachną tortem i pieluszkami, talk dziecinny na ciemnej sukience, rozchylone usta, półprzymknięte oczy, łowi słowa prezesa. Przez niedomknięte drzwi i dym papierosowy Boga rozpoznaje dużą, kanciastą postać prezesa.

....Podnosiły się i opadały nastroje emigracji i w zależności od tego trwała dyskusja na temat okresu polityki *appeasementu* — *containment* — *liberation* — *coexistence* — wzrastały nadzieje lub przychodziły zawody. Budowano nadzieje w zależności od wyników wyborów w tym czy innym z krajów zachodnich, jakby od tego wyłącznie zależał rozwój sytuacji międzynarodowej...".

Siedzieli blisko siebie. Wojtek oparty łokciem o stół palił papierosa. Wysoki, kościsty, nieodłączny towarzysz prezesa, Jan Tyroń, notował. Ręka biegła prędko po papierze. Jego szeroka, otwarta twarz odbijała każdą podchwyconą myśl. Żył tylko Stronnictwem i dla Stronnictwa, na uboczu, był cieniem prezesa i jego podporą; nigdy się nie ożenił. Obok niego młodszy, ale starszający się już Zbigniew Gawlicki; Stronnictwo wyssało z niego młodość — nigdy nie założy rodziny. Dalej, potężny o nastroszonej czuprynie, Poterba. Poderwał się, głos miał mocny, dźwięczny:

....Polacy pragną pokoju, więcej od innych, chcą żyć w pokoju z Rosją, chcą żyć w pokoju i zgodzie ze wszystkimi swoimi sąsiadami. Ale nigdy nie pogodzą się Polacy z rządami obcych zaborców w swym kraju i ustrojem gwałtem narzuconym przez obcych...".

Siedziało ich kilkunastu, pomiędzy nimi Andrzej, przejęci, zaczerwienieni, podobni z daleka do starej ryciny, którą zapomnienie i czas zatrał, a historyk po obejrzeniu odłożył razem z innymi dokumentami do teki Polskiej Emi-

gracji w Stanach Zjednoczonych. Jakże ważni wydawali się sobie, nierozpoznani, zapomniani w stolicy Ameryki.

„...Łączymy w ten sposób wysiłki nasze w walce o wolność, niepodległość o demokrację i sprawiedliwość społeczną, o postęp i pokój...”.

Boga słuchała, widziała ich poprzez uchylone drzwi. Myślała: Jesteście ludźmi, smutnymi, samotnymi ludźmi, którym obcięto korzenie.

Ameryka tuż, poza progiem, ale wy boicie się nauczyć sztuki chodzenia. Cóż znaczą wasze tajemnicze i wzniosłe hasła wobec tajemnicy człowieka, który przechodzi ulicą? Nigdy nie dotrą do niego wasze hasła walki o sprawiedliwość. Po drugiej stronie oceanu taki sam człowiek posuwa się ulicami zniszczonej Polski — on was też nie usłyszy. Biedne, samotne odpryski zapomnianej planety! Gdy wreszcie spadniecie na ziemię będziecie już tylko zimnymi kawałkami meteorytu. Ewa słuchała. Wydawało się, że za chwilę się poderwie, wpadnie do pokoju-sanktuarium i dołączy swój głos do rozpoczynającej się właśnie dyskusji.

— Ewo — spytała Boga. — Czy wy poznaliście Amerykanów?

Spojrzała na nią półprzytomna.

— Czekaj — szeptała — zaraz... byliśmy na *coctail-party* i dwa razy na przyjęciu w hotelu, ale na to trzeba mieć odpowiednie toalety, trzeba się rewanzować, przecież musimy reprezentować Stronnictwo. Proszę cię, idź na dół i jak te babki pójdą, później po kolacji to sobie potańczymy. Czekaj... czekaj... słyszę, że prezes znów mówi...

6.

Niedziela była szara, niebo ciemniało gwałtownie, speaker w radio podawał możliwość tornado. Czekali na stacji autobusowej niewyspani, niespokojni. Już jeden autobus odszedł natłoczony, inne spóźniały się. Boga myślała: Andrzej wysiadzie w Monumental, wróć do Nowego Jorku sama, będą w Nowym Jorku nad ranem.

Powiedziała:

— Ze stypendium nic?

— Dam sobie radę, to lepiej, nie chce być od nikogo zależny.

W poczekalni i na peronie autobusowym tłok. Ludzie rozpychali się łokciami, popychali jedni drugich.

— Wojtek marnuje się — Boga westchnęła. Myślała — Jak my go niewiele obchodzimy.

— Bo głupi — powiedział Andrzej — dawno powinien się uniezależnić.

Cóż z tego, że dziś rano Wojtek obwiózł ich samochodem prezesa po mieście?

Śródmieście — pokój wzbogaconego bankiera o meblach ciężkich, kosztownych z bukietem kwitnących wiśni wokół ciemnego jeziora. Jezdnie zatłoczone — doroczny *Cherry Blossom Festival*. Posuwali się wolniutko wtopieni w zmotoryzowany tłum. Wojtek mówił: Patrzcie! I gmachy znane z pocztówek wołały: Patrzcie! Byli tylko oczami, udzielało im się podniecenie zwiedzających. Śledzili nalepki, afisze, strzałki kierujące pielgrzymujące na kołach mrowisko do wiśniowego gaju. Wiatr marszczył wodę, gdy przepychali się znów w tłumie brzegiem jeziora. Wojtek pytał: No i jak wam się podoba Waszyngton? Ewa zachwyciła się: Ślicznie, prawda?

Ludzie fotografowali się pod kwitnącymi drzewami, przy policjancie na koniu (Ach koń! — zachwycali się), na tle wody. Deptali delikatne płatki kwiatu wiśni. Przed chwilą podziwiali ich wdzięczną zwiewność. Białą obłok. Za chwilę deptali po obłoku.

— I jak wam się podoba Waszyngton?

— Bardzo — odpowiedziała Boga.

Gnębiły ją inne pytania. Wojtek nawet nie wspomniał nawet się nie zatroszczył.

— Widzicie, my mieszkamy u prezesa i dlatego...

Zaczął padać deszcz. Oczekujący niecierpliwili się. Dlaczego autobus się spóźnia? Dlaczego nie uruchomiono więcej autobusów w okresie *Cherry Blossom*?

— Dobrze, że Andrzej nie dostał stypendium — szepnęła sama do siebie. — Nie, nie nie chcę takiego życia.

— Co ty mówisz? — spytał Andrzej.

— Nic, nic, tak się trochę martwię.

— Nie ma się co martwić! Chciałabyś, żebym był zależny od humorów, od sytuacji politycznych?

Wiedziała: Nie chcieli mu pomóc.

— Nie, naturalnie nie.

— Dam sobie radę sam!

Spojrzała na niego: Jego otwarta, jasna twarz przeciwstawiała się cieniowi, który ją opływał. Rozczarował się i denerwuje się jutrzejszym dniem. Poszukała jego ręki.

— Jak to będzie? — pochyliła się ku niemu. — Nie zobaczysz mnie cały tydzień.

Uśmiechnął się.

Nie zauważyli nawet kiedy nadjechał autobus. Tłum rzucił się do drzwiczek, rozwinął się w ruchliwy, co chwila deformujący się szereg. Miejsca w autobusie zapełniły się natychmiast. Tylko Boga usiadła, Andrzejowi pozwolono stać w przejściu. Blisko, tuż o nich ocierały się zmęczone twarze ludzi. Większość z nich podróżowała autobusem z braku własnych samochodów. Byli bardzo nie-amerykańscy. Uśmiechali się też mało i nie mówili „hallo”. Koniec *week-endu*, za kilka godzin zacznie się długi, nużący dzień pracy.

IV.

Został z dwudziestoma dolarami w kieszeni. Wynajął pokój w Alei Parkowej na trzecim piętrze. Siedem dolarów na tydzień. Aleja Parkowa nie ma ani jednego drzewa. Może dalej, na północy, gdyż jest to ulica bardzo długa, ocieniają ją liście, ale o tym nie wiedział. Znał tylko jej początek. Rozpoczynała się wąską, półkolistą wypustką od ulicy Monumentalnej. Monumentalna opiera się wschodnim końcem o port i ściąga marynarzy do nocnych lokali reklamujących „All Girl” albo „Strip-Tease”. Ale Aleja Parkowa jest spokojna. Na rogu, gdzie przecina ją ulica Morwowa, jest katedra hiszpańska i bliskość modlitwy nadaje temu skrzyżowaniu pewnego dostojęństwa. Dalej na rogu Franklina i Parkowej wznosi się gmach YMCA, a potem ulica jest już nijaka: szare hoteliki z lilipucimi kłitkami — łóżko, stolik, szafa na ubranie wbudowana w ścianę, albo po prostu róg pokoju osłonięty taną kotarą.

Andrzej był zadowolony z pokoju. Chodziło tylko o to, aby się przespać. Obok, poprzez ścianę dochodził kaszel i dźwięki telewizji. Gdy szedł do łazienki, spostrzegł w otwartych drzwiach pokoju swego sąsiada. Siedział półubrany na łóżku, kaszlał i wpatrywał się w ogromny ekran aparatu telewizyjnego.

— *Hi there!* — pozdrowił Andrzeja. — *How do you like my T.V.?*

Chłopak był młody o wąskiej, zapadłej klatce piersiowej.

— Gruźlik — pomyślał Andrzej. — *Good evening* — odpowiedział. — Ładna telewizja i jaki duży ekran.

Chłopak natychmiast podchwycił obcość akcentu.

— *Where are you from?* — zatrzymał Andrzeja.

— *Europe* — mruknął. Chciało mu się spać. A ty?

— Z Virginii — chłopak zakaszłał. — Tam są góry.

Ta zatoka tutaj nie służy mi. Jeszcze dwa miesiące i jadę do domu.

— Gdzie pracujesz?

— W zimie i na wiosnę w stalowni. Na lato wracam do domu, oszczędzę dość. Jak ci się podoba mój aparat telewizyjny. A może chcesz popatrzeć. Proszę bardzo!

Spojrzał na Andrzeja wyczekująco.

— Nie teraz, może innym razem.

— *Help yourself.*

Andrzej myślał o fabryce. Myślał: tydzień próbny. To przejmowało dreszczem i jednocześnie działało, jak zaskrzyk wzmacniający. Nie dam się! Przeszedłem gorsze próby, nie dam się! Za kilka godzin Boga będzie w Nowym Jorku. A jednak ona nie zdaje sobie sprawy, nie czuje tej odpowiedzialności. Wydawało jej się przez pewien czas, że nie potrafię, że nie dam rady. Jak ona ma mało zaufania do mnie. No i zobaczymy, przekona się.

Tornado ominęło Waszyngton i Monumental City, tylko strzębek jego ogona przeleciał obok miasta: porywisty, niespokojny deszcz uderzał w szyby. Nad ranem uciszyło się.

Gdy Andrzej szedł z hotelu do fabryki miasto uśmiechało się do niego umytą, wyspaną twarzą. Wjechał od razu windą na szóste piętro. Było wcześniej, ludzie jeszcze nie pracowali, rozmawiali, palili papierosy. Zauważył wysokiego mężczyznę, który żartował z nim w sobotę.

— *Welcome!* — zawołał uśmiechając się szeroko — *my name is Jack.* Jak się masz? — wyrąbał po polsku. I zaraz odpowiedział sam sobie: Mam się tamsie. Idzie boss! — ostrzegał Andrzeja kierownik *cutting room'u*.

Boss wbiegł prędko do hali, był zadyszany. Szeroko-koścista słowiańska twarz, szerokie ramiona amerykańskie, charakterystyczny nos i okrągła pupa.

— No i tornado ominęło nas! — zawołał — a już się bałem, że odwołają dzisiejszy *base-ball game*. Nowy Jork nas bije, nasze Orliki dostają w de.

— All — zawołał Jack. — Masz nowego *cutter'a*!

— Co ty powiesz? Ach no tak, prawda, naturalnie! A to on! — I do Andrzeja: Hallo! *Glad to meet you!* Co pan powie o rozgrywce naszej drużyny z nowojorską? O ja wiem, pan z Nowego Jorku, to się pan cieszy, Jankesi nas biją. Obecny sezon jest w ogóle do niczego. Ale zaręczam panu, że wśród naszych Orlików nie ma złych graczy. Widzieliście wczorajszą *home run* na stadionie? No dalej, nie ma co tracić czasu, każda minuta droga! Pan jest *cutter*? Tak? Chodźmy.

Andrzej stanął przed okazałym stosem materiałów, tuż przy nim ostry nóż maszyny. Al za nim uśmiechnięty, jeszcze fruwa z Orlikami na stadionie. On to już nie byłby graczem: ta falująca, przyciężka, okrągłejąca pupa, ten brzusek dający znać o sobie balonowatym wyduciem spodni, podbródek miękki, który chętnie oparłby się na drugim.

— Przekłęci Jankesi ale nam dali łupnia!

Andrzej położył rękę na maszynie. Boss nie instruiwał. Patrzył. W jego oczach nie widać było iskry — porozumienia między nim, a maszyną.

— No śmiało, zaczynaj! — zachęcił Andrzeja. — Założę się, że wygrają dziś. Z Czerwoniakami z Cincinnati wyszli górą, nie dali się Olbrzymom z San Francisco, z Piratami z Pittsburgh'a wyszli na pięć-trzy, jedyna nadzieja w Bobie Antonellim. No dalej, nie bój się, zaczynaj!

Andrzej zaczął ciąć. Ruszyło. Ręka ani drgnęła.

— Ho, ho! — śmiał się. — I ja miałbym nie umieć!

— Ach, — mruknął boss. — On jest *cutter*.

Odfrunął.

— Do pracy, do pracy — zapędzał. — Każda minuta droga.

Przy sąsiednim stole pracował ciężki, kwadratowy mężczyzna. Miał twarz byka i bary przegranego boksera. Podniósł w górę kanciastą szczękę. Al spojrzał na niego, wskazał ruchem brody Andrzeja.

— *Cutter*, co? Co Persey? — zaszczębiotał.

Persey wydał wargi:

— A bo ja wiem, nie wiem... — mruknął ponuro, niedowierzająco. Pochylił się nad robotą, ale jego przekrwione oko zostało przy Andrzeju. Andrzej zaczął się wrzynać w stos materiałów. Piła poczęła iść opornie. Przetarł czoło

rękawem koszuli. Zawinał rękawy do łokci. Gorąco! Wszystko się zacina, psiakrew, wszystko się zacina!

Szarpnął krawat, odrzucił. Zaczął napierać całą siłą na maszynę.

— Cholera! Jak się operuje tym g...? Ogarniała go wściekłość. Pchnął z całej siły nóż. Przejechał nim po rękę. Krew! Nie czuł bólu, prędko obwiązał cięcie chusteczką. Patrzą czy nie? Zauważyli? Z drugiego końca hali dosłyszał głos boss'a:

— A zauważyłeś jak chwycił piłkę? Chuck Festrada, to jest dopiero „pitcher”! No dobrze, dobrze, Steve Garbor też, ale...

Krew przecieka przez chusteczkę. Kropla na materiale. Zauważyli?

Prędko, prędko, obwiążę krawatem. Zauważyli?

Całe piętro patrzyło na niego. Al zbliżał się, wzruszył niecierpliwie ramionami:

— No i już się zaciął, ledwo że dotknął!

Kwadratowy człowiek uniósł w górę brodę. Jego barki dygotały ponurym śmiechem.

— No i co? I co Persey? — zaszczebiotał Al.

— To nie jest *cutter*. Ja od razu powiedziałem, że to nie jest *cutter*! Rób sobie co chcesz! Zrujnuje maszynę!

— *Hi you!* — ryknął Al — przestań ciąć, zrujnujesz maszynę!

Andrzej odwinął rękawy koszuli, narzucił marynarkę. Skierował się ku wyjściu.

Al skrzywił się, podrapał po głowie:

— Niech-no pan zaczeka! — powstrzymał go.

Andrzej przystanął. Z czoła spływały mu strużki potu, przesłaniały oczy.

— No — uspakajał Al. — No, no... Jak się nazywasz? Andrew? A może umiesz robić inne rzeczy? Może spróbujesz *spreading*?

Ruszyli razem w drugi koniec hali; dwie dziewczyny rozkładały na długim stole płachty materiałów.

— Zaczniј tutaj! — powiedział Al. — To należy do ciebie! Rozumiesz? To proste! Zaczynaj! — Odszedł.

Andrzej spojrział na dziewczyny; jedna z nich była chuda i miała krostowatą, mocno umalowaną twarz; druga była starsza, w okularach. Zaczął niezręcznie rozkładać

materiał. Czuł, jak obydwie „sprederki” przyglądają mu się krytycznie. Młodsza zaśmiewała się.

— Polak — chichotała — Polak!

— Cicho! — zgromiła ją starsza. — Nie powinnaś się wyśmiewać. Zostaw go! To jest przecież jednak BIAŁY CZŁOWIEK!

— Boże! — szepnął Andrzej. Pomyślał: Boga w Nowym Jorku.

Ręka zaczęła go boleć. Odszedł od stołu. Wyprostował się.

— Mam was w de! Pokażę wam, że mam was w de!
No to już, zaryzykuję!

— Mister All — zawołał.

— Yeah!?

— Tu nie ma dla mnie pracy?

— A co potrafisz?

— Jestem *pattern-maker*.

— Co ty mówisz?

— Nie powiedziałem, bo w Nowym Jorku pytali o *American experience*, i bałem się, że mnie nie przyjmiecie, ale idę szukać pracy gdzie indziej. Jestem ekspertem w robieniu *pattern'ów*, nie będę tu tracił czasu! *Good-buy!*

Al patrzył. Patrzył niedowierzająco. Cała sala patrzyła. Andrzej prostował się, prostował, rósł.

— A mam was w nosie.

— *Pattern maker* mówisz?

— Mogę pokazać referencje.

— Zostaw — powstrzymał go. — Referencjami można się podetrzeć. Masz tu *pattern*, pokaż co umiesz!

Wziął w rękę płat twardego papieru. Rana przestała boleć.

— Przygotuj z tego wzory na wszystkie rozmiary! Znasz rozmiary? Znasz *grading*?

Skinął głową, chwycił sprawnie linijkę, ołówek migał mu w palcach. Odmierzał, obliczał, ciął. Znów odwinął rękawy do łokci, rozpiął koszulę. Pracował bez wytchnienia. Przed wieczorem oddał gotowe wzory.

Al pochylił się nad Persey:

W ciągu sześciu godzin odwalił robotę, z którą inni dłubią się przez dwa dni!

Persey gryzł cygaro.

— Od razu powiedziałem, że to nie jest *cutter*.

— Andrew! — zawołał go Al. — Przyjdź jutro, będziesz robił *pattern'y*.

2.

Zygmunt Gertz był przygnębiony. Nikt nie chciał kupować „szrympów”: nieświeże, nierówny towar. Odbiorcy krzywili się, dyktowali ceny dużo poniżej ceny kosztu. Ale czy to jego wina? Czy to jego odpowiedzialność, że aby lokować cuchnącą walutę wpakowano ją czym prędzej w okręt nadpsutych „szrympów”? Pracował całymi dniami w fabryczce-przetwórni. Razem z inżynierem sortowali „szrympy”. Czuć ich było okropnie, ręce drętwiały im z zimna. Czego to nie robi człowiek, aby żyć! Chociaż „szrympy” to zupełnie niezły interes, lepszy niż indyjskie pasztety. Tylko gdyby dostawa była pierwszej klasy! A tak, ile się tego odrzuca! Nieprzyjemne w związku z tym są spotkania z Żuławskim. Wobec niego Gertz, zrujnowany „szrympowiec” wiszący na skromnej pensji dyrektorskiej staje się uśmiechniętym panem Zygmuntem, którego dręczy pożyczone dwieście dolarów. Takie przeobrażanie boli, wymaga wysiłku. Gdyby to był kto inny! — wzdycha Gertz i idzie niechętnie na spotkanie z Żuławskim. U progu *coffee shop* zatrzymuje się, głęboki oddech i już... pan Zygmunt... dawny pan Zygmunt. Wstyd mi za siebie samego. Postępuje nieetycznie. Ale wszystko wynagrodzę, zrobię coś, muszę coś zrobić dla tego człowieka! — postanawia.

— Drogi panie pułkowniku, drogi panie Józefie, pan mi wybaczy, że jeszcze poczekam ze zwrotem pożyczki.

— Nie ma o czym mówić — przerywa Żuławski. W myśli odlicza już dwieście dolarów na straty.

— Może by pani Helena przyszła sortować „szrympy”?

Żuławski przytakuje: Może, ale jeszcze nie teraz.

Ta Boga — denerwuje się — obarczyła nas odpowiedzialnością za dzieci. Helena mogłaby pracować.

Zwraca się do Gertza: — Co z puszką?

— Mc. Innis jedzie do Waszyngtonu — entuzjazmuje się Gertz. — Zabiera z sobą wszystkie plany.

Uśmiechają się. Przez chwilę obaj wierzą, że zostaną milionerami.

Cóż wobec tego znaczą śmieszne dwieście dolarów?

Dolary, pieniądze to g... — mawiał stary Gertz. — Ale opinia człowieka, ale twój *prestige*...

Pójdę do towarzystwa pożyczkowego, oddam mu te pieniądze — postanawia Gertz. — Dlaczego mam tak zaraz oddawać? Dlaczego mam się zabijać? Oferuję Żuławskiej pracę przy „szrympach”. Nie wykorzystam, zarobi, a pieniądze u mnie nie zginą.

— Czy sądzi pan, panie pułkowniku, że pani Helena miałaby ochotę sortować „szrympy”?

— Porozmawiam z żoną — odpowiada Żuławski. W myśli dodaje: i powiem Bodze niech nareszcie zajmie się dziećmi.

— A pani Boga?

— Pojechała z mężem do Waszyngtonu.

— Do syna pana pułkownika?

— Do syna — mówi Żuławski. Nie chce wspominać o Stronnictwie. Co to kogo obchodzi?

Ze spotkania z Gertzem do pracy w hotelowym barze. Przyjmowanie rachunków i pieniędzy od kelnerów. Trzeba uważać, bo dranie oszukują. Żuławski myśli: A może Wojtek coś zaproponuje? Nie, nie, skądże? On nie ma możliwości. Chłopak ledwo że się sam utrzyma. Ja się i tak nie nadaję na żadne stypendia. To nie dla mnie! Niech on mnie już głowy polityką nie kręci! Ale tylu ludzi się zaczępiło, tylu ludziom pomogli. Może chociażby Andrzej! No Andrzej to co innego! Ale ja nie! Odpiszę mu: Bardzo sobie cenię twoją troskę o nas, ale ja już sobie dam sam radę. A gdyby nalegał: Właśnie taki specjalista jak ty byłby potrzebny! Nie możesz się marnować! Co za głupstwa! Wojtek tak nie powie. Ja mu dopiero pokażę! Niech no Mc Innis przyjedzie z Waszyngtonu! Zatwierdzone? Dostawy są! W porządeczku! Panie Mc Innis, mój syn, inżynier Żuławski, przyjmie kierownictwo techniczne. I do Waszyngtonu: Manatki pakujcie, prezesowi się kłaniaj i do normalnej pracy, która ci da stanowisko i pieniądze. Skoro tylko Mc Innis wróci z zamówieniami na puszkę w kieszeni.

Dobiegała północ, bar był przepełniony. Pijący gęstym kręgiem otaczali kontuar. W przyćmionym świetle twarze ludzkie zamazane, tajemnicze. Skupieni przy sobie — owady nocne. Tylko kasa, przy której siedzi Żuławski, oświetlona, ale reflektor skierowany tak, aby nie roproszyć miękkiego, pół-rzeczywistego nastroju baru. Żuławski przyjmuje rachunki podawane mu przez kelnerów, sprawdza sumy, odbija na maszynie, wydaje resztę.

Wokoło niego nieustanne bzykanie głosów.

Jeżeli Mc Innis załatwi dobrze z puszką...

Kelner pochylił się ku Żuławskiemu. Był stary, ale zęby połyskiwały mu sztuczną emalią, własne zjadł na kelnerstwie.

— Dobry obrót dziś wieczór.

— Widzę, że tłok — powiedział Żuławski. Wskazał głową na kontuar. — I stoliki wszystkie pozajmowane.

— To nie to! Niech pan tu patrzy: koniak! Ona tylko koniak, albo szampan! Ile razy ona przyjdzie przynosi mi szczęście.

— *Charge?* — spytał Żuławski.

— Nie, *cash*. Płacę gotówką.

Kelner nie odchodził, w niepewnym, bladym świetle wcale nie wyglądał staro. Czernił małe wąsiki, brwi i resztki włosów. Nikt o tym nie wiedział, a nawet gdyby... Czyż kelner nie jest po trochu aktorem?

— *Colonel* — szepnął. — Widzisz pan tego tu, w łoży?

Łoża wybita skórą, zaciszna. Mężczyzna siedział samotnie, palił cygaro.

— To co? — spytał Żuławski.

— Opowiada wszystkim, że syn go okradł.

— Okradł go?

— Mówi, nie chodzi mu o pieniądze tylko o syna, że smarkacz, pieniądze go zmarnują.

— *Yeach, yeach* — przytaknął Żuławski.

Pomyślał: polityka zmarnuje Wojtka. I to jaka polityka: Rozpaczliwe walenie głową o ścianę pewnego drobnego odłamu Emigracji.

O godzinie pierwszej po północy zamykano bar. Trzeba było jeszcze obliczyć kasę. Około drugiej Żuławski był wolny, wrócił do hotelu. Po Broadway'u kręcili się ludzie sklep owoczarza i sklep spożywczy otwarte. Wiatr podru-

cał naddarte, rozmiękle strzępy papierów. Ulica nie spała. Czuwała gorączkowo i pół-przytomnie podniecana nieustanną dawką narkotyku. Dlatego też rano wyglądała tak zmięta i zmęczona, tylko reklamy i wystawy odświeżały ją sztucznie podobne tanim kosmetykom na zaniedbanej twarzy starzejącej się prostytutki. Jak zgrabnie umie się malować chora i niczyja ulica nowojorska. Już za kilka godzin pokryją ją niecierpliwe stopy ludzi biegnących do pracy. Żuławski wszedł do pokoju. Boga piła przy stole herbatę.

— Tak późno, jeszcze nie śpisie! Kiedy wróciłaś? Położył ostrożnie na kufrze swój „edenowski” kapelusz.
— A gdzie Andrzej? Został?

Żuławska w szlafroku, włosy potargane, przerwała mu niecierpliwie:

— Poczekaj, Boga właśnie opowiada.

— Nie mogłabyś się uczesać! — skrzywił się Żuławski.

Helena wydeła wargi pogardliwie. Przejechała palcami po włosach.

— E!

— No i co? — Żuławski zwrócił się do Bogi. — No i co? Dali mu stypendium?

— Co ty sobie wyobrażasz!

— Nie? Nie dali mu? Nie zaproponowali mu?

— Nie!

— Po diabła żeście tam jeździli?

— Było zebranie Stronnictwa.

— Kicham na Stronnictwo! Czy to był sens wydawać pieniądze? A co Wojtek?

Wzruszyła ramionami. Przyglądał jej się badawczo.

— Co Wojtek?

— Czego ty się spodziewasz od Wojtka? — wybuchnęła Żuławska. — Czy on decyduje? Ledwo, że się sam utrzyma.

— Wiem. Niczego się nie spodziewam. A co Andrzej?

— Został w Monumental City.

— Wojtek go tam skierował?

— Posłuchaj-no Józiu, czy ty sobie wyobrażasz, że Wojtek jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

— Uczesz się, kobito, jak ty wyglądasz! — A do Bogi:

— To co, Wojtek nawet się nie zapytał?
 — Naturalnie — powiedziała Boga. — Ależ naturalnie! I Ewa i Wojtek prosili, ażeby was serdecznie pozdrowić i...
 — No... no... — nalegał Żuławski.
 — ...i że jak Wojtek tylko będzie mógł to tu przyjedzie, albo żebyście ich odwiedzili.
 — Ani myślę! — burknął Żuławski. — Ja do niego jeździć nie będę. A kto tam jeszcze był?
 — No prezes, generał...
 — Wszystko się we mnie przewraca, jak o tym słyszę!
 — To po co się pytasz?
 — Nie mogę się spytać co robi mój syn?
 — Twój syn politykuje!
 — Zamiast wziąć się do uczciwej pracy! — Żuławski machnął ręką. — Ech!
 Usiadł przy stole. — Dajcie mi herbaty! — Siedział przez chwilę nachmurzony, przekrwione białka oczu. — Powiedz mi co z Andrzejem? — zwrócił się do Bogi.

3.

Było już ciemno. Od dwóch godzin po zjedzeniu kolacji w restauracji na rogu Katedralnej i Parkowej, włóczyli się ulicami. Obcość miasta zespoliła ich jeszcze bardziej. Trzymali się za ręce. Najpierw opowiadał Andrzej: Ten tydzień był trudny. Co wieczór, po wyjściu z fabryki witał go zdziwiony i nieco drwiący uśmiech miasta: A więc jednak! Pomimo wszystko chcesz zostać! Postanawiał: Muszę!

Dopiero w piątek wezwał go Goldfreder. Goldfreder stał silnie na nogach, jak stary, solidny dom fabryczny. Zapamiętał uśmiech Goldfredera, jego spracowaną rękę z sygnetem, na którym ozdobną literę G przecinał cyrkiel i podtrzymywała trójkątna miara. Sygnet nie pasował do palców Goldfredera, ale cyrkiel i miara mogłyby również być symbolem jego zawodu. Powiedział:

— No to masz dobry „job”, będziesz mógł zacząć życie!

Zaraz potem Andrzej zatelefonował do Boga: Przyjeżdżaj!

Boga mówiła: W szpitalu było coraz gorzej, ale myślałam bez ustanku: Wytrzymać! Niedługo odejdę! To będzie dopiero ulga oświadczyć Miss S. — Odchodzi!

Ale nawet na to nie starczyło czasu, tylko list do profesora nieudolną, zbyt ugrzecznioną angielszczyzną. Zaraz po telefonie od Andrzeja zaczęła się pakować. Chłopcy zostaną jeszcze w Nowym Jorku, przyjadą, jak tylko Boda uda się wyszukać mieszkanie w Monumental. Radości wyjazdu nie może było smakować, na dzień jej została gorycz: Nie dotarłam do krwi, nie badałam krwi! I niepokój: Jak to będzie? Spacerowali. Tydzień niewidzenia można było rozciągnąć w nieskończoność. Ulice cichły. Za nimi skradała się noc. Andrzej zlikwidował swój pokój, był tylko wynajmowany samotnym mężczyznom. Bagaż umieścili w przechowalni na stacji autobusowej.

— To wcale nie jest brzydkie miasto — powiedział Andrzej. — Trzeba się tylko do niego przyzwyczaić. Czy widzisz tę wysoką kolumnę, o tam, tę oświetloną! Nazywają ją *Washington's Monument*.

Było cicho, tylko szum przejeżdżających samochodów. Stare, wysokie kamienice obsiadły pomnik prezydenta. Stał na szczycie, tam, gdzie podbiegające z wszystkich stron miasta ulice urywały się tworząc owalny plac. Spokój miasta działał łagodnie, usypiająco. W oknach kamienic paliły się światła, przyćmione kotarami, zaciszne. Ulice nakładały nocne pantofle. Zaparkowane u brzegów chodników samochody spały głębokim, nieżywym snem.

— Jestem śpiąca — powiedziała Boga.

Wrócili na ulicę Parkową.

— Chcieliśmy wynająć pokój na kilka dni, na jedną noc.

Właściciele małych hotelików przyglądali im się podejrzliwie. O tej porze? Bez bagażu? Bez samochodu! No moi drodzy, to jest przyzwoity dom. Na jedną noc! Na jedną noc?

Nie mieli odwagi wejść do jednego z dużych hoteli obok pomnika Waszyngtona. Pieniądze musiały starczyć

do następnej tygodniówki i na zadatkowanie mieszkania.

Ulice wyludniały się coraz bardziej. Z daleka przeraźliwie i długo zawyła syrena ambulansu. Ogarniała ich senność, zmęczenie natarczywe, pragnienie wyciągnięcia nóg, oparcia głowy o poduszkę. Jak mogli być tak nieostrożni, aby zawczasu nie pomyśleć o noclegu.

Objął ją w pól.

— Oprzyj się o mnie! — powiedział.

Na ulicy Parkowej i prezydenta Franklina — gmach YMCA.

Weszli przez oszklone drzwi. W oświetlonym hału, na miękkich fotelach kilka osób czytało gazety. Pokoje były tylko dla mężczyzn, ale mogli zostać w hallu, odpocząć.

Boga wykrzyknęła nagle:

— Wiesz, tu na pewno jest jakaś Polonia!

— No to co? — Andrzej uniósł głowę znad książki telefonicznej. Szukał spisu hoteli.

— To niech nam poradzą! Jesteśmy w kłopotcie, noc, obce miasto! Nie wiemy, jak się ruszać. Niech powiedzą jak i gdzie!

— Może i masz rację! Będę szukał pod *P. Polish Home*?

* — I co dalej?

— *Polish Veterans*? Dobrze, telefonuję! A co im powiem? I czy to w ogóle ma sens?

Czekała zanurzona w fotelu. Cisza wielkiego hallu kołysała. Powieki opadają. Podświadomie, wbrew zmęczeniu — chęć przygody. Polonia! Swoi! Jak tu oni żyją? Poradzą? Andrzej wraca.

— No i co?

Uśmiecha się: Przyjadą!

— Co ty mówisz! A jak nas poznają?

— Nie martw się!

— A kto przyjedzie?

Andrzej rozpromienia się.

— Cała delegacja!

— Co ty powiesz! A więc jednak!

— Powiedziałem im, że jestem weteranem.

— Weteranem?

— Co się tak dziwisz? Czy nie mam za sobą frontu?

A że nie jestem członkiem ich organizacji...

— I przyjeżdża cała delegacja? Samochodem?

— Samochodem.

Wyprostowała się, wyciągnęła z torebki puderniczkę. Andrzej spojrzał na zegarek.

— Późno! Ten co ze mną mówił był jakby trochę podпиты...

4.

Weszło ich troje. Naturalnie, to byli oni! Ich szerokie kości policzkowe sterczały niby drogowskazy: „Tędy do Wschodniej Europy!”. A tak chcieli jej uciec.

Niższy przesłonił twarz rąbkiem szerokiego kapelusza. Wyższy, barczysty odgrodził się od świata okularami w cienkiej, złoczonej ramce. Włosy szpakowate, okazałe uszy niby dwa ziarna olbrzymiej, czerwonej fasoli. Ich koszule i krawaty puszyły się odświeżenie. Kobieta była duża, piersista, długostopa. W zaokrągleniu jej ramion było nigdy nie kończące się pytanie: No i cóż? Wyglądała na gospodynię z zachodnich, dobrze zagospodarowanych obszarów Polski. Budziła zaufanie.

Bogi serce podskoczyło: Swoi!

Andrzej oceniał twarz mężczyzn: Napracowali się w życiu, to widać. Amerykańskość przylega do nich niby sztywny krawat ze sztucznego jedwabiu.

Niższy wystąpił naprzód.

— Well...

— To my! To my! — przerwała Boga.

— No to zabierajcie się, pojedziem! — powiedział wyższy.

— Nazywam się Andrzej Bask, to moja żona, Boga.

— Bardzo przyjemnie powitać! — uśmiechnęła się kobieta. — Moje nazwisko Mrs. Josephine Stokowski, a on — wskazała na niższego — jest prezes Weteranów naszej placówki — jego godność prezes John Placek.

— Nie ma co marudzić, zbierać się jedziem! — nalegał wyższy.

— Co się pan, panie Wrzesień tak boisz o swoje „karę”! — roześmiał się prezes. — Weterana przyszlimi wziąć co aż z Nowego Jorku na nasze uroczystość jedzie.

Co się pan śpieszysz? Kolejkę przepuścisz? Jeszcze tam w barze tego jest, a jest? No nie, prezeska? — zwrócił się do pani Stokowskiej.

— Ludzie czekajom — odpowiedziała.

Samochód błyszczący, o grubym, rasowym nosie, czekał zaparkowany tuż przed wejściem.

— „Tykietu” ci nie dał? — żartował prezes. Był w dobrym humerze. Zalaatywało od niego alkoholem.

— Gdzie oni nas wiozą? — zastanawiała się Boga. Ruch samochodu usypiał. Chcielibyśmy się gdzieś prześpać! — powiedziała.

— Zrobi się tam coś, zrobił — uspakajała prezeska.

— To wy z nowoprzybyłych? — zwrócił się prezes Placek do Andrzeja.

— Tak.

— Czterdzieści trzy lata będzie, jak przyjechałem.

— A pani? — spytała Boga.

— Ja tutejsza.

Już dawno minęli ulice Katedralną i Parkową. Znikły wysokie budynki, miasto falowało nisko małymi kamieniczkami. Wjechali w ulicę wąską i zatrzymali się przed niedużym trzypiętrowym domkiem wciśniętym w rząd bliźniaczych budowli. Prezes Placek wyskoczył pierwszy z samochodu. Andrzej rozmawiał z Wrześniem, podziwiał jego samochód. Wrzesień promieniał, rozglądał się, wyjaśniał, pokazywał. Prezes stał przez chwilę w drzwiach budynku, machnął ręką, odwrócił się, wszedł. Prezeska powiedziała:

— No to już, idziem!

— Teraz nam dadzą pokój! — cieszyła się Boga. — Będzie można odpocząć.

Andrzej oglądał samochód Września. Powoli — uspakajał sam siebie. — Kupię sobie i samochód.

Weszli. Sala była ciemnawa, długa. Po prawej stronie, pod ścianą — bar. Pod drugą ścianą — stoliki. Dym, gorąco, zapach piwa. Przy stoliku ktoś grał na harmonii. Twarz w cieniu, nie słysząc dźwięków. Zagłusza je ryk automatycznej szafy.

— Tu niech sobie pani siada! — powiedziała prezeska.

Zostawili ich samych przy stoliku. Człowiek z harmonią podniósł się ciężko, przyczłapał do nich.

— Bawiom się — wskazał kręcące się pomiędzy stolikami pary. — Same dzieuchy i baby. Chłopom taniec nie w głowie. Piwa się napijecie? Andrzej rozglądał się.

— Co to? Zabawa?

— A co mają robić? Bawią się! — Harmonista miał oczy smutne, zapadłe. — Z Polski? — zapytał.

— Z Polski.

Westchnął, przejechał palcami po klawiaturze.

„Jakem maszerował muzyka graaaaa...” — wtórował sobie ochryple. Spojrzał na nich filuternie. — Inne też znam. Wszystkie znam. Prezes podszedł do nich:

— Napijecie się co?

— Kawy — poprosiła Boga.

Grająca szafa rozmarzyła się smętnym walczykiem:

*„Miałam ja chłopczyka
Za mały był, za mały był!
Ale go kochałam choć mały był
Choć mały był!
Jasiu, Jasiu mój, oczy splakane mam...”*

Andrzej spojrzał na zegarek: Północ. Oczy zwolna przyzwyczajają się do półmroku. Na obdrapanej ścianie, w czarnych, wąskich ramkach: biały orzeł na czerwonym tle i napis:

„Boże, wybaw Polskę z kajdan i niewoli!”

— Gdzie pan pracuje? — spytała Boga.

Harmonista wzruszył ramionami.

— Do zeszłego roku u księdza kopałem groby, ale wilgoć taka, pokręciło mnie. Tak chodzę, gram, na weselach, na zabawach. Placek, prezes, to się ma dobrze. On robi teraz przy szkole, remonty, miasto go wzięło, bo to zawsze prezes Weteranów.

Wrzesień popijał przy barze. Stokowska migiała im to tu, to tam.

— Proszę pani — zatrzymała ją Boga. — Czy tu można wynająć pokój?

— Popytuję się ludzi — kłopotowała się. — Ni ma rady, pójdzicie spać do mnie.

Coraz to inni ludzie przysiadają się do ich stolika. Przynoszą z sobą butelki piwa: poczęstunek, którym chcą ich uraczyć.

— Pijcie! — namawiają.

Mężczyźni mają twarze żłobione głęboko, skórę stwardniałą, w kącikach ust pół-uśmiech wiedzącej, zdeterminowanej rezygnacji, kobiety w binoklach, kolczykach kontrastujących z ich językiem, w którym gwara chłopska łączy się dziwnie z naleciałościami amerykańskiego słownictwa.

Poruszali się w nieświadomym tańcu wokół totemu wspomnień swoich, albo swoich rodziców, unosili go wysoko ponad swe zaokrąglone, przygarbione wysiłkiem barki. Garnęli się do siebie niezrozumiani i nierozumiejący. Amerykanie, oniesmieleni Ameryką, nieślubne dzieci Ameryki i Europy. Ich dobroć była współczuciem, ich tęsknota karmiła się nieszczęściem: Biedna, nieszczęśliwa, ukrzyżowana Polska! Jak dobrze jest płakać nad nią!

— Napijcie się piwa! — prosili. — Napijcie się piwa!
Po raz wtóry grająca szafa żaliła się walczykiem:

*„Za mały był, za mały był
Ale go kochałam choć mały był,
Choć mały był...”*

Któż są ci ludzie? — zastanawiała się Boga. — Polacy? Nie, to nie są Polacy. Amerykanie? Nie — myślała. — Nie! Mniejszość amerykańska?

— Napijcie się piwa!

Biedacy! Jakże wąskim strumykiem przelewa się bezmiar ich nieskomplikowanej serdeczności. Popłakują, rozrzewniają się wsłuchując się w dźwięk języka, który chroni ich niepewną barykadą od ogarniającej ich Ameryki. I w rezultacie dadzą się pochłonać. A gdyby zaatakowali pierwsi! Gdyby udało im się dotrzeć do krwi! Biedacy... czy rozumieją kiedykolwiek kim są naprawdę?

— Spójrz na nich — szepnął Andrzej — czy tak wyobrażałaś sobie Polonię?

— Gdybym mogła im pomóc — myślała Boga — gdybym mogła im pomóc!

Ale tymczasem zjawiała się Josephine Stokowska.

— No to chodźcie — powiedziała. — Prześpicie się u mnie!

Wstali półprzytomni ze zmęczenia i poszli za nią. Pomimo późnej pory trzymała się rzeźko na nogach i głos miała gromki. Podeszła do prezesa popijającego przy barze.

— Wezmę tych dypisów — powiedziała — trza ludziom pomóc. Zawsze to swoje.

— Sure — bąknął Placek. — Sure, gdzie się będą po nocy tłukły! „Kary” to ni ma, czarnuchy, gdzie jakie obrobiją...

— *Good night!*

— *Good nigt!* Prezeska! — Zatrzymał ją.

— Mhm?

— Dziady ni są, zapłacić mogą

Harmonista spojrział na nich, łyknął piwa.

— Przyjechały — powiedział.

Siedząca przy nim kobieta westchnęła:

— Pięćdziesiąt років będzie na wiosnę...

Harmonista nie słuchał.

— Przyjechały! — rąbnął pięścią w stół. — Na zmarowanie! — Wychylił duszkiem butelkę. Rozciągnął harmonię. Zaśpiewał pijackim, trzęsącym się głosem:

„Góralu czy ci nie żal
Opuszczać strony ojczyste...”

V.

Bracia Hermerein przywędrowali do Ameryki z małego miasteczka nad środkową Elbą. Było ich trzech zdrowych, rosnących chłopaków i mieli fach w ręku. Mało tego, mieli złoty fach w ręku: umieli wypiekać chleb. Nie łatwo było zostawiać ojczyznę, ale czy wszyscy mogliby się żywić z małej piekarni ojca? Stryj pisał ze Stanów: Przyjeżdżajcie! Jesteśmy, jak u siebie. Całe, silnie zorganizowane *German Community*. Dorobicie się i możecie wracać. A może będzie mieli ochotę zostać? Jeśli tak, to najlepiej przyjeżdżajcie od razu z żonami. O dziewczęta, porządne, niemieckie dziewczęta trudno. Stryj był rozsądny, wiedział, żona to połowa sukcesu. Rodzina to przystań. Rozglądnęli się za dziewczętami. Dwóch starszych ożeniło się, ale Hans był za młody na żeniączkę. Przyjechali od razu do Monumental City. Stryj tylko się uśmiechał: dziesięć par silnych, robotnych rąk. O mieście mówił prawdę: dobrze zorganizowana grupa niemiecka nadawała mu charakter. Stryj wzbogacił się, był już szanowanym obywatelem i należał do członków *German Home*. Pomagał także w utrzymaniu Domu dla Sierot Niemieckich i brał udział w planowaniu budowy nowego domu dla niemieckich starców. Do Monumental emigrowały przeważnie rodziny niemieckich katolików. Wznosili kościoły jeden po drugim, rozgałęziali się, zapuszczali korzenie, wrastali. Solidny, zdrowy moralnie, zasobny niemiecki element, miasto było z nich dumne.

Bracia Hermerein nie oglądali się na stryja. Wystarczyło, że pożyczył pierwsze dolary, że wynajął im domek,

że wprowadził w życie miasta. Zaczęli od małego warsztatu, pracowali bez wytchnienia sześć dni w tygodniu. Żony zakasały rękawy, stanęły obok mężów. Tylko w niedzielę ruszali odświeżenie na sumę do kościoła, a potem na „Bingo” do sali kościelnej. Po roku przenieśli się do większego warsztatu i najeli robotników. Hans Hermerein, najmłodszy, rozwoził chleb po mieście. Byli uczciwi, używali do produkcji porządnych surowców i zbyt mieli zapewniony. Miasto spodobało im się, dochód z piekarni wzrastał. W Europie rozpętała się zawierucha, a tu dzień jeden podobny do drugiego, pachnie chleb, mnożą się zamówienia, bogaci się, prosperuje piekarnia Braci Hermerein.

Po wojnie, pierwszej wojnie światowej, zdarzyły się dwie rzeczy, które zmieniły bardzo życie Hansa i piekarni: ożenił się i przerzucili się na wypiek „pies”. Niejedna dziewczyna spoglądała na Hansa zalotnie. Przystojny był: rosły, twarz pociągła, zęby ostre. Niejedna dała mu się przydusić na majówce. Ale się z żadną nie związał. Pojechał do starego kraju odwiedzić rodziców i już matka narażała mu żonę: schludną, robotną, zaradną, a silną! Jak rzepa była, jak rzepa. Niemka z krwi i kości. Katoliczka. Hans przywiózł żonę do Monumental City. Zamieszkali w piętrowym domku z drewnianą werandą. Drzewa zaglądały w oświetlone organdyńskimi firaneczkami okna, w *back yard* kwitły wczesnym latem czerwone, pnące róże, a podłogi lśniły pod pracowitymi rękami Mrs. Hermerein. W niedzielę po sumie i po uczciwym obiedzie jeździli na piwo do nowego, murowanego *German Home*. Późnym wieczorem kołysali się na plecionych fotelach swojej werandy. Ale za to w poniedziałek już przed świtem ruszali do piekarni. Mrs. Hermerein miała mądrą, pełną pomysłów głowę. Miasto rozszerzało się, ludzie bogacili, należało rozszerzyć i zmodyfikować produkcję. Zaczęli wyrabiać „pies”. Poszło. Ludzie żądali coraz więcej. Białe samochody Braci Hermerein rozwoziły *paje* po mieście. W okresie depresji, gdy nawet dawniej zamożni obywatele upakarzali się prosząc o zasiłki w biurach dobroczynności publicznej, bracia Hermerein stali mocno na nogach. Wrastali. Hans kupował place, budował domy, wysyłał pieniądze do matki do Niemiec. We wczesnych latach czterdziestych Hans zdecydował się opuścić dzielnicę na Pięknym Wzgórzu i przenieść na północ do nowo-

czesnej willi w ogrodzie. Dom przerobił na dwa samodzielne mieszkania i wynajmował lokatorom. Ulica, na której stał stary dom Hermereina była zamieszkała przez ludność białą. Domki zachowały swój urok podmiejskich rezydencji, stare drzewa ocieniały chodniki, z pobliskiego parku nadlatywały gromady ptaków, trawnikami przemykały wiewiórki, a letnim wieczorem głośno śpiewały ogromne polne koniki. Było cicho, przestrzennie, uroczo. Ale centrum miasta wypychało murzyńską *lower middle class* na peryferie zatrzymując tylko biedotę, która dziedziczyła najgorsze domy w mieście. Ci pierwsi toczyli się bardzo szybko na południowy wschód w kierunku starego domu Hermereina przerażając białych, odległych od nich o kilkanaście mil. O dobrego lokatora nie było łatwo. Murzyni podpływali ze wszystkich stron i to płoszyło białych: wiedzieli, za kilka lat dzielnica na Pięknym Wzgórzu przejdzie w ręce kolorowych.

Mrs. Hermerein ta rzepa, to zdrowie rozkwitłe nad Elbą nie wytrzymała naporu Ameryki. Urodziła syna i córkę. Naharowała się w piekarni i w domu i w czasie, gdy kilkanaście samochodów Braci Hermerein rozwoziło „paje” po mieście, gdy dwie nowoczesne śniadalnie Braci Hermerein nie mogły pomieścić naporu gości, a wóz meblowy wyładował drogą, ręcznej roboty sypialnie w stylu „Early American” przed willą Hansa — umarła.

Syn Hansa Hermereina nie wyjechał już do Niemiec w poszukiwaniu narzeczonej. Ożenił się z dziewczyną, której dziadkowie przywędrowali znad Renu i której rodzice zachowali twardą moralność starego kraju. Cóрка studiowała w *College*. Hans poczuł się samotny. Miał pieniądze, miał stały dochód, czuł się młody. Przemyślał nawet nad wyjazdem do Europy. Kto wie, może by się jeszcze ożenił. Ale nie chciało mu się ruszać, tu było jego miasto, jego ojczyzna. Miasteczko nad Elbą wspominał z łzawą menancholią, ale Monumental City to była rzeczywistość: przyjaciele, praca i życie Hansa Hermereina. Wybudował kościół, popierał Dom dla Niemieckich Sierot, który już od lat przyjmował nie tylko niemieckie sieroty, ale na zawsze zachował nazwę *German*, został wybrany do zarządu Domu dla Niemieckich Starców, należał do niemieckiego klubu, część lata spędzał w swojej willi nad zatoką, doglądał piekarni, administrował domami. Naj-

więcej kłopotu miał Hermerein ze swoim pierwszym domem. Lokatorzy zmieniali się, uciekali, nie płacili. Tylko na pierwszym piętrze mieszkała od lat zdzieciniała wdowastaruszka, prawdziwa niemiecka gospodyni, schludna, nie wadząca nikomu. Parter: dwa pokoiki z kuchnią i łazienką stały puste. Hermerein planował sprzedaż domu, miał z niego więcej kłopotu niż korzyści. Ale ilekroć przyjechał, aby na niego popatrzeć przypominały mu się pierwsze lata w Monumental i tak ciężko było rozstawać się ze wspomnieniem, tak ciężko odgradzać od przeszłości za marne kilkanaście tysięcy dolarów. To jednak nie ma sensu — myślał — sprzedam. Ale jeszcze raz, i teraz już po raz ostatni dał ogłoszenie do gazety:

Wynajmę pierwsze piętro w pięknej ogrodowej dzielnicy: dwie sypialnie, kuchnia, „basement”, łazienka, weranda, ogrodzony *back yard*.

2.

Boga kupiła gazetę w najbliższej aptece i zaczęła przeglądać ogłoszenia *Apartments for rent*.

Pierwszą noc przesпали w domu prezeski Korpusu Pomocniczego Weteranów. Był to mały domek przyklepiony do szeregu jemu podobnych. Sufity były niskie, schody wąziutkie, a większą, frontową część domu zajmował bar, gdzie urzędował Mr. Stokowski. W *back alley* podpartej z obu stron ścianami parterowych domów, sąsiadki skrzykiwały się zamerykanizowaną polszczyzną. Było tu duszno, ciasno, odczuwało się bliskość cuchnącej zatoki.

Rano, gdy Andrzej wyszedł do pracy, Boga postanowiła poszukać mieszkania. Stokowska spojrzała na nią urażona.

— Poczekaj-no pani, wywiem się u jednej co ma *apartment for rent*.

Boga spacerowała ciasnymi uliczkami polskiej dzielnicy, doszła do zatoki, powędrowała aż do zaśmieconej, brzydkiej ulicy Szerokiej. Na szyldach sklepów polskie nazwiska, boczne ulice szczerzą zęby białe malowanych

schodków, w niewielkich oknach sztuczne kwiaty, gipsowe figurki, święte obrazki. Domki przyklekły na jedno kolano nieśmiało, mizerne wobec kościoła-fortecy, kościoła prującego niebo wieżyczką, polskiego kościoła spoglądającego mądrymi, pobłażliwymi oczami witraży.

A w Bodze przekora i bunt i chęć odbicia się od tych uliczek, jak od trampoliny i buch na głowę w gąszcz prawdziwej Ameryki. Nie dać się otoczyć, nie ugrzęznąć w zatoce. Pływać, pływać! Z pełnego morza spojrzeć na nich przycupniętych u brzegu, wtedy wrócić i spryskać ich wodą zaczerpniętą z środka oceanu.

— Nie zostanę tu! — myśli.

Usiadła w aptece przy stoliku nad szklanką „Coca-coli”.

— *Morning Star, please!* — powiedziała.

...Mieszkanie do wynajęcia: dwa pokoje na trzecim piętrze.. Nie to nie dla nas. ...Mieszkanie do wynajęcia w *basemencie* ...Niel ...Mieszkanie tylko dla dorosłych... Mieszkanie w ogrodowej dzielnicy dziewięćdziesiąt pięć dolarów miesięcznie... Nie, nie!

...Wynajmę pierwsze piętro w pięknej, ogrodowej dzielnicy: dwie sypialnie, kuchnia... telefonować do Mr. Hermerein.

— Spróbuje! — postanowiła.

Podniosła głowę znad gazety, rozejrzała się za telefonem. Na wprost niej kontuar: dziewczyna i chłopiec palą papierosy, piją *milk shake* z wysokich szklanek. Dalej dział farmaceutyczny: stopy kosmetyków, gotowych preparatów, medycznych, okulary słoneczne, tanie zabawki dziecięce, u góry, na sięgających sufitu półkach — butle szklane napelnione kolorowymi płynami — symbol sztuki aptekarskiej. Ukryte w głębi dwie, drewniane kabiny telefoniczne.

Hermerein przyjechał samochodem długim, białym, wdzięcznym, jak przegięcie szyi łabędziej. Boga otrząsała ze siebie mdły zapach autobusowych spalin.

— Mrs. Bask? — Hermerein wysiadł z samochodu. zatrzasnął drzwiczki.

— Tak, to ja — odpowiedziała.

Hermerein wyglądał rzeźko, jakby dopiero co wziął kąpiel i przetarł się wodą kolońską.

— *Nice to meet you.* Mam nadzieję, że mieszkanie będzie się pani podobało.

Stali na chodniku, na wprost domu.

Hermerein spoglądał tkliwie na czerwony, spadzisty dach.

— Ile tu ptaków! — szepnął. — Przylatują aż na ganek. Sypaliśmy im okruszyny. Moja żona bardzo lubiła ptaki. *What nationality are you?* — zwrócił się do Bogi.

— *Polish* — odpowiedziała. Pomyślała: Niech-no teraz spróbuje nie wynająć mi mieszkania! Niech tylko spróbuje!

— Ach tak — powiedział Hermerein. — Uśmiechnął się, jego uśmiech nie rozwinął się w pełni, ocieniało go zakłopotanie i jeszcze coś innego: wahanie? — Ach tak! — powtórzył. — Mam jak najlepsze mniemanie o Polakach! — W jego głosie przebrzmiewało dalekie, zapomniane echo akcentu. — *I am of German origin* — powiedział. — Ale jestem Amerykaninem, katolikiem. Pani jest zapewne katoliczką, prawda? No więc widzi pani, mamy coś wspólnego ze sobą!

— To jest Ameryka — myślała Boga. — To jest Ameryka. Hermerein jest sympatycznym człowiekiem!

— Czy w czasie wojny była pani w Polsce?

— Przeszłam okupację niemiecką.

— To okropne.

Oboje byli zakłopotani. Europa leżała pomiędzy nimi, Rozdarty półwysep małej Europy leżał pomiędzy nimi.

Myślała: Muszę mu jakoś pomóc. Ja, nie on mnie, ja muszę!

Powiedziała: To nie było tak łatwo walczyć przeciwko własnemu narodowi. Amerykanie niemieckiego pochodzenia przeciwko Niemcom.

Spojrzał na nią z wdzięcznością, ale czuł się jeszcze bardziej zakłopotany.

— Przeciwko hitlerowcom. To straszne co Hitler zrobił z naszym narodem!

Widziała, jak się męczył szukając nici porozumienia, ale obserwowała go milcząco.

Rozjaśnił się.

— Moja córka ma przyjaciółkę pochodzenia polskiego! Zaraz, jak ona się nazywa! Taka miła dziewczyna! Bardzo cenię Polaków, są solidni, a jacy schludni! Zawsze

chętnie zatrudniam Polaków w piekarni... Zatrzymał się. Spojrzał na nią.

— Czy bardzo ucierpieliście na wojnie?

— Gdyby nie wojna, nie przyjechalibyśmy do Ameryki. Wojna...

Powstrzymał ją.

— Niech pani o tym zapomni! Nie powinienem tego poruszać! Ja wiem, ja sobie zdaję sprawę.

Stali teraz na werandzie przed zamkniętymi drzwiami domku. Hermerein wydawałoby się zapomniał o wynajęciu mieszkania. Dręczyło go poczucie współwiny. Nie mógł się uśmiechnąć w pełni, rozwinąć szerokim uśmiechem. A Boga, jakby zatrzymywała się wpół kroku, chciała wyjść naprzód, ale mocne ręce Europy odciągały ją ku tyłowi. Myślała: Czy kiedykolwiek przewyciężę to w sobie? Czy potrafię spojrzeć na narodowość obiektywnie, a nie tkwić w niej uparcie i ślepo? Hermerein jest Niemcem! Ale przecież jesteśmy ludźmi — buntowała się. — Jesteśmy przede wszystkim ludźmi.

— Teraz jest pani w Ameryce! — Przyglądał się jej, oczekiwał odpowiedzi. — Teraz zaczniecie nowe spokojne życie! Nie wierzy pani?

— Chciałabym... — powiedziała. Dokończyła w myśli: chciałabym nauczyć się tego w Ameryce. To znaczy zdezerterować, odejść, uciec od tego co jeszcze w tej chwili wydaje się świętością narodową. Nie! Nie, chciałabym odsunąć się na krok nie uciekając i dopiero wtedy spojrzeć. Patrzyła na jego spracowane ręce i na białą limuzynę zaparkowaną przed domem. Naprzeciw, w ogródku kwitły brzoskwinie.

— Jak tu ładnie — powiedziała.

Westchnął.

— Mieszkaliśmy tu z Emmą przeszło dwadzieścia lat. Otworzył drzwi.

— Niech pani obejrzy sama — powiedział. — Wstąpę tu obok do bratowej.

Chodziła po pustych pokojach, myślała: Tu będą spali chłopcy, a tu nasza sypialnia, a na dole w *basemencie* zrobimy pokój stołowy. Zaczniemy nowe spokojne życie. A uniwersytet?

Wyszła kuchennymi drzwiami, oparła się o barierę

schodków. Przed nią *back alley* i dziesiątki małych, zie-
Chłopcy ucieszą się, będą mieli gdzie biegać. A uniwer-
sytet? Z dwojgiem małych dzieci w obcym mieście. Ale
spróbuje, spróbuje. Nie teraz! Najważniejsze, że Andrzej
dostał pracę.

W *back alley* bawiły się dzieci: turlały szklane kulki
po asfalcie. Sąsiadki gawędziły oparte o drewniane szta-
chetki furtki. Może jednak nie wynajmować tego miesz-
kania? Wrócić do polskiej dzielnicy, schronić się nad za-
toką? Czula, że opuszcza ją odwaga. Jak tu żyć pomiędzy
obcymi ludźmi? I znów wracała ciekawość: Jacy oni są?

Hermerein czekał na werandzie.

— Co mu powiedzieć? — męczyła się Boga.

Hermerein był dobrym kupcem, zachęcał:

— Wymaluje *basement*, wygląda trochę nieświeżo.

— Muszę przyjechać tu z mężem — powiedziała.

— O.K. Kładę klucz pod słomianką. Odwiozę panią
do miasta.

Hermerein jechał długo zielonymi alejkami przedmie-
ścia. Z okien samochodu Monumental City wydawało się
inne. Tak właśnie trzeba było na nie patrzeć; poprzez dziel-
nice willowe, poprzez parki okalające śródmieście. A może
właśnie nie, może zupełnie inaczej?

— Nikt tutaj nie mieszka w centrum — mówił Her-
merein. — Tam się tylko pracuje, po pracy każdy chce odet-
chnąć świeżym powietrzem. Już teraz odczuwa się róż-
nicę temperatury. W lecie tu, na Pięknym Wzgórzu, jest
dużo chłodniej niż przy zatoce.

3.

Mister Stokowski obsługiwał klientów przy barze. Są-
czyli wolno piwo i wpatrywali się w ekran wysoko umie-
szczonego aparatu telewizyjnego. Andrzej i Boga jedli
kolację przy stoliku. Stokowska przyglądała się im.

— Doktor kazał mi iść na „dajet”, to nie jím; nie jím,
ale skąd to się tyle tego bierze. Nic nie mogę stracić!

— Dlaczego — spytała Boga — Polacy wybrali sobie
najgorszą dzielnicę w mieście?

Stokowska wzruszyła ramionami.

— A bo to ich puścili gdzie indziej? Tera nie jest tak źle. Czysto tu se mamy, ja sobie tu lubię. Chcecie wiedzieć, no to... Panie Baran — zawołała. — Niech-no pan tu pozwoli!

— A bo co?

— Chodź tu pan ino!

— Bo co? Pali się? — Baran odszedł od kontuaru barowego i zbliżył się do stolika. Był siwy, czerwony na twarzy, niebieskie, wyblakłe oczy. Stokowska przysunęła mu krzesło.

— Pytają się, jak było, czego myśmy tu zostali, o tu, przy Szerokiej.

— Bo zostali, i tak...

— Skąd pan przyjechał? — zainteresował się Andrzej. Kiedy?

Baran oparł się o krzesło, wyciągnął nogi przed siebie.

— Z Rzeszowa — powiedział. — W merdysy to było, a rok 1905.

— W merdysy?

— Tak — zachichotał. — W merdysy! Od pomidorów — wyjaśnił — tometysów. To tak już ludzie mówili: Kiedy się twój Jasek urodził? A w merdysy. Abo: W jagody. Bo to w lecie wyjeżdżały całe rodziny na farmy. Wóz taaaki pakowały i jazda! Przy pomidorach robili, abo truskawkach, abo jagodach. Zarobili dobrze, zawsze jakie kilkaset dolarów przywiezły po sezonie.

A mieszkania drogie były: pięć dolarów miesięcznie za trzy pokoje. I tak, jak tylko zarobili, to zaraz wpłacali na dom. Najważniejsze, własny dach nad głową. A domy w tej dzielnicy to dawniej wszystkie były niemieckie. Jak tylko jeden Polak dom kupił, zaraz wszystkie inne Niemcy na gwałt się wysprzedawały i uciekały, jak teraz biały naród przed czarnuchami.

— A jak pluli za nami na ulicy to żeś pan nie powiedział? — wtrąciła Stokowska.

— Yeah, Yeah, pluły psia ich mać aż do końca wojny. Polak, Polak... tfu! Po wojnie się uspokoili.

— Na yeah, jak już ta Polska nastała, to im czy kto powiedział czy jak, to już sobie nie pozwalały, miały naród w większym poważaniu.

— A dlaczego pan przyjechał? — spytała Boga.

Baran uśmiechnął się, przymrużył figlarnie oko.

— Ja blacharz jestem. Po tym wielkim pożarze w Monumental, mówili, potrzebują blacharzy. Młody człowiek był, 23 lata, to i wyjechał. Wyjechał ja z Bremen okrętem. Pracował w niemieckich firmach, oszczędził jakie sto pięćdziesiąt dolarów i do tego Monumental. A tu, pani, błota, łąki, pustkowia. Myślę sobie, tylko na „szyft kartę” zarobić i wracać.

— Ale został pan!

— Zostałem. Przyjechali inni, co uciekli po tym tam strajku, po tej rewolucji w piątym roku. Założyliśmy Towarzystwo Kultury Polskiej, teatr amatorski. Ale tu tak nie było, jak teraz. Wszystko siedziało przy fabrykach, blisko morza, w barakach mieszkali. I tak, zagwiżdże taka gwizdawka fabryczna to już kobiety lecą, gospodarstwa zostawiają i do fabryk, bo gwizdawka to znak: robota jest. Dobrze płacili. W rafineriach, w fabrykach konserw do dziesięciu dolarów na tydzień.

— I nie ruszyliście się nigdzie dalej? — spytała Boga.
— Trzeba było na przedmieście się przenieść, do ogrodowej dzielnicy, stworzyć nowe polskie osiedle, rozwinąć się, wybudować...

— A bo tu źle? — powiedziała Stokowska.

— Ludzie tu lubią — poparł ją Baran. — Dom Polski jest, kościoły.

— A wy gdzie mieszkacie?

Boga spojrzała na Andrzeja.

— Szukamy mieszkania.

Stokowska nie odezwała się. Dopiero po dłuższej chwili powiedziała:

— Ta jedna co miała pokoje na rent, to już wynajęła, ale się jeszcze popytam.

— Tu naród ciężko pracował — westchnął Baran.

— Ciężko!

— A pani znalazła co? — Stokowska spojrzała na Bogę.

— Właściwie to już wynajęłam — powiedziała Boga. — Jutro się wprowadzimy. I nigdy pani nie zapomni, że nas pani przygarnęła na te dwie noce. Uregulujemy jutro cały rachunek.

— Ni ma się co śpieszyć! — uśmiechnęła się szeroko. — Możecie jeszcze posiedzieć.

Wstała i podeszła do męża palącego cygaro za kon-
tuarem.

— Jutro się wyniosą — szepnęła.

— *Good!*

— Mówi, że zapłaca.

— *Yeah?*

— Mówi, że zapłaca.

— *Good!*

4.

Boga tak widzi Amerykę: Gałązka brzoskwiniowego
drzewa kołysząca się pod ciężarem ptaka. Rozwinął czarne
skrzydła, jaskrawo żółto-pomarańczowe upierzenie tułowia.
To oriole. W ogrodzie, po przeciwległej stronie alejki ko-
bieta rozwiesza bieliznę na sznurach. Ogromny, brunatny
motyl przysiadł na żółtym płatkulilii. Girlandy czerw-
nych, pnących róż na białomalowanych płótkach. Skrzyp-
nięcie furtki ogrodowej — to mleczarz. Jego biały samo-
chód naładowany butelkami mleka, soku pomarańczowego
i chlebem stoi zaparkowany w *back alley*.

Boga tak słyszy Amerykę: Ptak zawołał: *Prity...
prity... prity... Good morning!* — powiedział mleczarz. —
Chłodny poranek, ale będzie gorąco. *Weather man* prze-
powiada 90 stopni. — I znów ptak: *Pre-ri, pre-ri... ci-wik...
ci-wik*.

Poranek mgliście otula dzień. Mgiełka szarawa na doj-
rzałym, granatowym owocu śliwki.

Boga spogląda na Amerykę z drewnianego ganeczku
na Pięknym Wzgórzu. Przygląda się kropli odprysłej z
wodospadu; jaka cicha, tęczowa. Wodospad huczy, żre
wściekle kamienie, wali, łaskocze, zmiażdży, porwie, ro-
zerwie przeszkody, uniesie opierających się. A tu, kropla,
wydawałoby się, nie tej samej wody. Zakres patrzenia
Bogi wąski, ograniczony. Dotąd tylko sięga wzrok, to
tylko podchwyci słuch. Tak jest dobrze, to wystarczy, ale
na jak długo?

— *Hi you!* — ciężkie kroki z pierwszego piętra na
parter.

Mrs. Schultze już nie śpi. A krzyczy! Sama jest głucha i myśli, że inni jej nie dosłyszają.

— *Hi you!* Jesteś tam?

Boga otwiera prędko drzwi do hału.

— Mrs. Schultze, chłopcy śpią.

— Co, co, co mówisz? Kiedy przywiozą twoje meble?

— Mrs. Schultze, ja już mam meble.

— Masz meble? Mówisz, że masz meble?

Domek Hermereina podzielony jest na dwa mieszkania. Wspólne wejście. Schody z hallu prowadzą do mieszkania Mrs. Schultze. Jest stara, sztywna, gorset spod piersi aż do ud opina jej sflaczały brzuch. Siwe włosy gładko zaczesane, twarz, jak bielizna dobrze wymoczona w chlorku. Porusza się niby drewniana lalka, nogi w elastycznych bandażach. A jakie ma schludne mieszkanko! Firaneczka tu, serweteczka tam, tapeta w różę na kuchennej ścianie.

— Dlaczego nie przyjdiesz ze mną pogawędzić?

Mrs. Schultze jest samotna. Życie starej wdowy to chleb biały, mdlący. Jednakowe kromki chleba, które Amerykanie używają na grzanki. Życie starej wdowy, takiej, jak Mrs. Schultze.

Córki przychodzą raz na tydzień. Sprzątają mieszkanie i już... odpływają samochodami do swoich domów, do swoich rodzin. Córek nogi szczupłe w kostkach, buciki wąskie na wysokich obcasach. Ledwo dotkną czubkiem buta matczynego życia i już ich nie ma. Mrs. Schultze ma stopy obrzmiałe, czarne, sznurowane półbuciki. Przejdzie się po swojej sypialni obwieszonej świętymi obrazami, przysiądzie w kuchni przy oknie. Nudno. Co też robi ta lokatorka na dole? Mrs. Schultze wali łaską w podłogę jeśli nie podobają jej się hałasy w mieszkaniu Bogi i Andrzeja. Marek krzyczy, Paweł zapłacze i zaraz łup... łup... łup odzywa się poprzez sufit Mrs. Schultze. Co rano schodzi na dół, siada na bujanym fotelu werandy i zapytuje:

— Kiedy przywiozą twoje meble?

— Mam meble.

— To są meble?

I natychmiast zapomina. Jutro zapyta znowu:

— Kiedy przywiozą twoje meble?

— Mam meble.

— To są meble? Te dwa tapczany, stół i cztery krzesła? Pamiętam, jak Jane, moja najmłodsza, wychodziła za mąż. Najpierw wpłacili pieniądze na dom: trzy sypialnie, *dining room*, *sitting room*, kuchnia i łazienka. Jane i jej mąż pracowali i oszczędzali. *Yes sir*, Jane oszczędzała wszystko, mieszkała wtedy jeszcze ze mną i nie potrzebowała płacić renty. Liczyłam jej tylko za utrzymanie. Zadatkowali meble tak, jak trzeba. *Yes sir!* Do *sitting room* kupili *three pieces*: kanapę pokrytą tweedem, dwa fotele, dwa stoliczki — *end tables* — na nich lampy, na podłogę dywan... no a kiedy przywieżą twoje meble?

— Mrs Schultze, już pani mówiłam, mam dwa tapczany, stół i krzesła i to mi wystarczy na początek.

— A potem pójdziesz do pracy i kupisz sobie co będziesz chciała.

Boga zastanawia się: Do pracy? Do jakiej pracy?

— A kiedy zawieszisz firanki w oknach?

We wszystkich oknach na całej ulicy — białe firaneczki. Tylko nie u Bogi. Jej okna obnażają ubogość mieszkania. Prędko, prędko trzeba spuścić papierowe, pożółkłe rolety.

— *Hi you!* Co tam robisz? Chodź-no tu na chwilę!

Boga myśli: Żal mi tej starowiny, pójdę! Myśli także: Dla świętego spokoju pójdę, bo stara mała się rozkrzyczy! Obudzi mi chłopców! Mieszkanie, wyściełone pudełeczko do sztucznej biżuterii: taniutkie, błyszczące. Kanapa, dwa fotele, dwie lampy i łóżko szerokie, gdzie chrapie samotnie Mrs. Schultze.

— Siadaj tu sobie, ot tak! — Mrs. Schultze usadawia Bogę na krześle. Przygląda jej się. No to mam gościa. Podniosła się, sztywną ręką pogładziła Bogę po kolanie. Oczy koloru mętnej, wystygłej kawy. Uśmiezek tajemniczy, teraz powie coś ważnego.

— Mój syn, ho, ho! Spłacił już cały dom, *yes sir*, spłacił już dawno samochód. A ile ma pieniędzy w banku! *Yes sir*, ma pełno dolarów na koncie.

Mrs. Schultze rozprostowuje sztywnymi palcami fałbankę swego fartucha.

— Widziałas Jane? — zwierza się pół-szeptem. — Ona też już spłaciła swój dom.

Boga pamięta syna Mrs. Schultze; duży, wybujały od piwa brzuch, zaokrąglone ramiona, mięśnie przerosłe tłuszczem. Przychodzi czasem wieczorem, a w niedzielę zajeżdża po matkę samochodem.

— *How are you mother?*

— *Fine* — odpowiada Mrs. Schultze — *Fine!* — Teraz kiwa głową. — *Yes sir*, — spogląda na Bogę dumna i zadowolona. — Moje dzieci bardzo dobrze się urządziły! Nie odchódź jeszcze! Może poczęstujesz się cukierkiem! Mam gości — cieszy się. — A może poczęstujesz się cukierkiem?

Siedzą na wprost siebie sztywno. Boga walczy z odrazą i z litością. Litość i współczucie nie mogą pokonać odrazy. Wstrętna starucha, dziś wieczór znów będzie waliła łaską w podłogę. Jutro zapyta o meble. Samotna Mrs. Schultze przebiera twardymi palcami w szeleszczących banknotach swoich dzieci. I poza tym nic... nic... nic! Skończyły się sprzątania i prania, cięża i niańczenia dzieci, prasowanie męzkowskich koszul i wyprawy na *shopping*.

— Zostań jeszcze chwilę!

Ja też będę taka? Ja też? Nie, nie, nie!

Co myśli Mrs. Schultze, co kryje się poza jej mętnymi oczyma? Dlaczego nie mieszka z córką, albo z synem? Dlaczego nie niańczy wnuków? Dlaczego po kolacji nie opowiada im bajek?

Teraz już zapomniała o obecności Bogi, spogląda przez okno.

— Ja już idę, dowidzenia Mrs. Schultze!

Nie odpowiada, drewniana kukła. Jej spokój jest bliski szaleństwa. Zamknięta w pudełku o kwiatowej tapecie — umiera.

W pokoju nie ma chłopców. Rozrzucona pościel na łóżku. Boga biegnie niespokojnie do ogródka. Zagadałam się, zagadałam się z Mrs. Schultze. Gdzie są? A może ktoś ich porwał? Gdzie są?

— Paweł, Marek! Paweł, Marek!

Widzi ich nareszcie, drętwieje przerażona. Przeleźli przez drucianą siatkę, rwą kwiaty w sąsiednim ogródku. Zrywają cudze kwiaty! A z alejki przygląda im się grupa dzieci, wskazują palcami, śmieją się. Dwaj tacy podobni i nie umieją mówić. Rwą kwiaty w ogródku Mrs Bell!

— Chodźcie tu, chodźcie mi tu natychmiast!

Płaczą już w drodze do domu, w zaciśniętych piąstkach zmięte korony kwiatów.

— No, ja wam dam! Ja wam spiorę tyłki!

Mrs. Schultze wali laską w podłogę. Bum... bum... bum! Ciężkie uderzenia, kołysze się sufit. Ile ona ma siły! Ile ona ma siły!

Wieczorem, gdy Andrzej był już w domu przyszedł Mr. Bell. Włókł zmęczone nogi, szedł zwolna, jak za pogrzebem. Na dłoni zwiędłe kwiaty. Mr. Bell pracuje jako listonosz. Wieczorem i w niedzielę cieszy się kwiatami w ogródku. Zadzwoił do drzwi, nic nie powiedział, wyciągnął przed siebie rękę — na dłoni zwiędłe kwiatki.

— *You shouldn't* — mruknął — co komu przyjdzie z tych kwiatów.

— Przepraszam — Andrzej zaczerwienił się.

To już było nie do naprawienia. Wszyscy sąsiedzi, cała ulica była przeciwko nim.

— Dlaczego nie bawicie się z dziećmi? — pytał Andrzej.

Paweł płakał, Marek skulił się przerażony, a potem wlaź pod tapczan.

— Wylaź mi stamtąd! — krzyknął Andrzej. — Nie-nośni chłopcy, nie-znośni smarkacze dlaczego rwaliście kwiaty? Czy nie możecie bawić się z innymi dziećmi?

Marek wysunął potarganą czuprynę spod tapczanu.

— Szczypią nas! Ten duży chłopiec szczypie Pawła.

— Dlaczego? Pytam się dlaczego?

Mrs. Schultze rąbnęła laską w podłogę.

— O do diabła! Nie możecie się obronić? Nie możecie im powiedzieć? — Umilkł, spojrzal na Boga. — Nie rozumieją ich.

— Nauczają się, dzieci uczą się prędko obcego języka.

— Nie rozumieją ich, nie rozumieją ich — powtarzał Andrzej.

Usiadł na tapczanie, zamyślił się: Ech, takie życie! Zaangażowali nowego *cuttera* w fabryce. A więc jeśli przestane być opłacalny zwolnią mnie. Nie zwolnią, nie dam się! Nie dam się! No wylaż spod tego tapczanu, nie będę cię bił! Siadaj tu sobie synku koło Pawła. I słuchajcie głuptasy, słuchajcie! Z tymi kwiatkami zrobiliście brzydko. Mr. Bell zmartwiony, patrzcie, kwiatki nie żyją!

Pójdziecie jutro ładnie przeprosić Mr. Bell. — A do Bogi: Trzeba będzie odkupić flance, zapłacić...

Marek siedzi przy Pawle, niedowierzająco jeszcze, w każdej chwili gotowy dać susa pod tapczan.

— A z dziećmi to tak — mówi Andrzej — widzicie oni was nie rozumieją, ale nauczycie się. Najważniejsze się nie dać! Ale właściwie — zwraca się do Bogi — mogłabyś przypilnować dzieci! Bo co ty robisz cały dzień...

— Co ja robię! No wiesz!

— Poczekaj, My tu jesteśmy obcy, Amerykanie są gospodarzami, trzeba się dostosować...

— Ach tak! To ty uważasz, że my nie mamy żadnego prawa do Ameryki! Czekaj, czekaj, chwileczkę, wysłuchaj! To jest kraj emigrantów i każdy ma prawo mówić swoim językiem!

— Boga, co ty pleciesz, o co się denerwujesz! Opanuj się!

— Ja cię bardzo przepraszam, a Kościuszko, a Puławski...

— Zostaw Kościuszkę w spokoju, w grobie się przewraca!

— Dlaczego, dlaczego? Czy nie walczyli o wolność Ameryki, a Kościuszko był pierwszy, który...

— I takich argumentów używasz, ty, taka niby inteligentna...

— Nie doceniasz mojej inteligencji, tobie się wydaje, że tylko ty!

Mrs. Schultze rąbnęła laską w podłogę.

Hop, hop, hop! — Marek podskoczył na tapczanie. Zwalil się na Pawła, poturlali się po ziemi. Paweł schwycił plastikowy, wodny rewolwer i tu-tu-tu-tu!

Mrs. Schultze waliła laską w podłogę.

— Cicho, cicho! — uspakajał Andrzej. — Czy myśmy czasem nie oszaleli? — Jutro pójdziecie przeprosić Mr. Bell. I co ty wyprawiasz, Boga, dlaczego krzyczysz? Dlaczego się unosisz! Co za histerie! Cicho, cicho!

— *Hi you!* — ryknęła Mrs. Schultze. — Wywędrowała w szlafroku na schody. — Czy uspokoicie się nareszcie? Co za hałasy po nocy?

Poza oknem niebo płonęło pomarańczowym ogniem; seledynowe pasma chmur — odbłask zatoki — chłodziły żar zachodu.

Andrzej otworzył drzwi do korytarza:

— *I am sorry Mrs. Schultze, I am sorry!*

— No to lepiej bądź sorry, bo poskarżę się mojemu synowi — mruknęła.

— Dobranoc, Mrs. Schultze. Co za piękny zachód słońca!

— *Good night honey!* — pisnęła słodko. Zapomniała już o urazie.

Podszedł do Bogi, siedziała nadąsana wpatrując się w okno. Odwrócił ją ku sobie, chwycił ręką za podbródek, spojrzał w oczy.

— Jeszcze się złościsz?

Wzruszyła ramionami.

— No to się uśmiechnij! Czy ty myślisz, że oni będą mieli łatwe życie?

— Kto?

— No Marek i Paweł. Od najmłodszych lat obarczamy ich problemem.

— Chcesz, żeby zapomnieli, że są Polakami?

— Oni nie będą Polakami!

— Dlaczego?

— Będą Amerykanami.

— Co ty mówisz! To nieprawda! Mogą być obywatelami amerykańskimi, ale nie Amerykanami! Skąd! Nasze dzieci!

— To nieuniknione, będą Amerykanami polskiego pochodzenia. Odziedziczą szerokie spojrzenie na świat, instynkt walki, sympatie dla Polski.

— Nie, to nieprawda! Będą Polakami. Mogą kochać Amerykę, mogą...

— No zobaczysz!

— Zobaczysz! I co ty też?

— Z nami nie będzie tak łatwo — w głosie jego była rezygnacja. — My to co innego. Chyba się nigdy nie zasymilujemy.

— To znaczy, że dzieci od nas odejdą?

— Możliwe, to zależy od nas. Bo widzisz my pozostaniemy raczej na brzegu. Kupimy sobie samochód, meble, dom. Czy to ci nie wystarczy?

— Nie mam najmniejszego zamiaru pozostania na brzegu!

— A więc ja ci nie wystarczam?

— Ale Andrzejku, kochanie... ty nie rozumiesz...

— Rozumiem. Dzieci, myjcie ręce, trzeba zjeść kolację, późno!

Mysłał: Niezadowolona, nienasycona. Dostałem pracę, zrezygnowałem ze swoich aspiracji, męcę się...

— Andrzejku — zastąpiła mu drogę. — Kochanie, a gdybyś jednak spróbował nostryfikować studia!

Uśmiechnął się.

— Co ty opowiadasz? Za co? Mówisz, jak małe dziecko. Ciesz się tym co mamy. Źle ci?

— Gdybyś jednak spróbował! Przecież nie będziesz całe życie pracował w fabryce!

— Chodźmy na kolację, dzieci są śpiące.

Z góry, z pierwszego piętra słychać było pochrapywanie Mrs. Schultze. Jej noc zaczynała się wcześniej.

5.

O obchodzie Dnia Polskiego dowiedzieli się z gazety amerykańskiej *The Morning Star*. Wyruszyli rano autobusem. Droga do polskiej dzielnicy była długa, ulice, jak zwykle w niedzielę, wyludnione. Gorąco. Andrzej grzał się w za ciepłej marynarce. Boga wycierała twarz chusteczką.

— Co za upał — narzekała. — Uduśzę się!

Dom Polski stał na ulicy Szerokiej. Weszli po schodach na górę do obszernej sali. W drzwiach — Josephine Stokowska. Przypinała wchodzącym biało-czerwone kokardki, na stoliku obok — koszyczek do którego wkładało się pieniądze.

— No i jak wam się wiedzie? — spytała. — A to chłopacy?

Chłopcy byli zmęczeni i znudzeni. Chcieli siusu, coca-cola i lody.

— Patrzajcie, takie małe i jak to mówi po polsku! Ale nie podobne do siebie!

Koło Stokowskiej kręciła się zażywna dama w kapeluszu. Ruszała się, rozmawiała z tamtym i owym, papiery

pod pachą. Ważna! Migła między grupkami mężczyzn kurzącymi cygara.

— Kto to? — spytała Boga.

— Sekretarka protokularna Związku — mruknęła Stokowska. — Pani Kowalska, niech pani tu idzie!

Kowalska podskoczyła.

— Ja już słyszałam, że państwo nowoprzybyli, — uśmiechała się, starała się mówić poprawną polszczyzną.

— Tak! — potwierdzili jednocześnie Boga i Andrzej.

— A jakich to dwóch ślicznych chłopczków państwo mają! Bliźniacy? A do Związku należycie? Nie? To przecież trzeba się zapisać! Składka nieduża i *insurance* macie. Możecie sobie wziąć tysiąc dolarów *insurance* i na chłopczków po tysiąc...

— Proszę państwo zajmować miejsca! — zawołano przez megafon ze sceny. Pokaszlując, szurając, ociągając się odświeżnie ubrane towarzystwo ruszyło w stronę twardej krzesła.

Na scenie dwa sztandary: polski i amerykański, w głębi, na krzesłach honorowi goście. Wysoki, sękaty, mężczyzna podszedł do mikrofonu. Proszę panów i pań mieć cierpliwość, zara zaczynamy. Tylko czekamy na majora miasta. Mr. De Bordi, major naszego miasta Monumental City telefonował, że zara tu będzie i ino go patrzeć.

Niedługo też, zgodnie z zapowiedzią, major De Bordi wpadł na salę. Biegł prędko zziębnięty i chciał już podchodzić do mikrofonu, ale po zamienieniu kilku słów z witającym go wysokim mężczyzną, przysiadł na krześle ocierając pot z czoła chusteczką.

Boga otworzyła program uroczystości, który otrzymała u wejścia od Stokowskiej. Na okładce: biały orzeł na czerwonym polu i napis „Polish Day”. Na pierwszej stronie fotografia majora miasta De Bordi, na której wyglądał dużo młodziej niż w rzeczywistości i krótka proklamacja Dnia Polskiego oraz słowa: *My best wishes to the Gallant Polish People*.

Dalej ogłoszenia i gratulacje od przeróżnych grup, zakładów: ślusarskich, pogrzebowych, kwiaciarni, piekarni, zakładów rzeźnickich, składu Rzeczy Religijnych, fabryki piwa, Tow. Przyjaciół Żołnierza Polskiego, Delegatów do Kongresu z dodatkiem *Worthy of your support*. Ży-

czenia pomyslnych obrad, szybkiego skrócenia cierpień dla umęczonej Polski, a także podziękowania działaczom i działaczkom społecznym, jak na przykład:

„Wice Prezesce Maryi Kowalsce, co w naszej przynębionej chwili zawsze dodała otuchy i szczerzej swojej życzliwości, wdzięczni jesteśmy składając serdeczne podziękowanie”.

albo:

„Z całego serca dziękuję za współpracę ustawienia pamiętnika. Czołem Panie Prezesie! Za ko-operacje wdzięczność zachowana w pamięci na zawsze”.

Nie spostrzegła się, że na scenie zaczęły się już przygotowania. Barczysty, niewielki, jasnowłosy chłopak usiadł przy fortepianie. Dziewczyna w białej sukni zbliżyła się do mikrofonu.

— *National Item!* — zapowiedziano.

Widownia podniosła się. Frunęły w górę kwieciste kapelusze kobiet, gdzieśmiedzie mignęła chusteczka. Mężczyźni wyjęli cygara z ust.

— *O say, can you see...*

A więc nie śpiewają chórem — pomyślała Boga.

— *...what so proud-ly we hailed...*

Widownia stała uroczyście, ktoś zakaszał, cienki głosik śpiewaczki brzmiał samotnie. Skończyła.

— Proszę nie siadać! — poinformowano. — *Polish National Item!*

Chłopiec przy fortepianie walił mocno w klawisze.

— *Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...*

Boga spojrzała na Andrzeja, uśmiechnęli się.

Hymn śpiewany solo nie łączył widzów. A przecież wiedziała, że gdyby tylko dano im znak, usta mężczyzn otworzyłyby się chórem chropawym, nierównym, dopadłyby ich zawodzące głosy kobiet. Znali ten hymn na pamięć, nie potrzebowali nut, które trzymała przed sobą śpiewaczka.

Usiedli szurając, pochrzäkując, przytwierdzili się na nowo do twardych krzeseł.

Major De Bordi poderwał się żwawo, doskoczył do mikrofonu, spojrział na zegarek, Mówił prędko, sprawnie, gładko. Spoglądano na niego z namaszczeniem. A co to nie płacimy podatków miejskich? Chce żeby na niego głoski oddać, to niech tu gada na naszym święcie! —

Co to tylko dla Italianów będzie robił? Dla Polaków nic?

— Siusiu! — pisał Paweł.

— To chodźcie! — powiedziała Boga.

Wzięła ich obu za ręce.

— Gdzie tu jest ubikacja?

— Tam o tam! — wskazano jej.

Gdy wracała, major kłaniał się okłaskującym go widzom. Potem prędko przemknął się przejściem pomiędzy ławkami, a ścianą, ku wyjściu.

Na scenie, przed mikrofonem popisywali się mówcy. Boga odwróciła się: twarze ludzkie znudzone, Marek i Paweł ziewali, przyprowadzone na obchód dzieci bawiły się w wolnym przejściu pomiędzy ławkami, popiskiwały, goniły się.

— Trzeba wracać do domu — powiedział Andrzej — dzieci są zmęczone.

— Jeszcze chwilę — zatrzymywała Boga. — Czy to ciebie nic nie obchodzi?

— Umieję te slogany na pamięć! Mam dość!

Jasnowłose chłopak usiadł przy fortepianie. Teraz chór przesłonił honorowych gości na scenie. Twarze chórzystów młode, ich ruchy sprężyste, ich głosy poderwały usypiającą widownię. Śpiewali po polsku.

— Kto to? szepnęła Boga.

Śpiewali jedna po drugiej ludowe polskie piosenki. Młode twarze na scenie, spracowane postarzałe, nagle wzruszone twarze na widowni. Chłopak przy fortepianie śpiewał z chórem. Odwracał się, dyrygował, zadzierzyszczył, zawadiackość, młodość!

— Kto to? powtórzyła Boga.

— Studenci! — pochylił się ku niej siwy mężczyzna. Opierał ręce na lasce.

Chór stanął na baczność.

— *O beautiful for spacious skies...*

Widownia zwolna podniosła się.

— Wstańcie dzieci — powiedział Andrzej. — Co to za pieśń?

Boga wzruszyła ramionami. Starła się zrozumieć słowa hymnu.

— *O beautiful for pilgrim feet* — śpiewał chór.

Głosy ogarnęły widownię, opływały ją zwolna, dostojnie i nagle przeszły w forte:

— *They cities gleam undimmed by human tears... America! America!*

Stali urzeczeni hymnem. Należał do tej sali, był wyzwaniem i nadzieją, z jego melodii tryskała młodość. Potrącał ukwiecone kapelusze kobiet, bił w twarz świeżym oddechem i wydawało się, że w takt jego poderwą się do tańca drapacze, że rozbawiony Waszyngton zeszkoczy z pomnika Monumental City.

— *America! America!*

Po uroczystości dopadła ich Kowalska.

— No to co, weźmiecie *insurance*?

— Kto to jest ten młody chłopiec? — spytał Andrzej

— Ach to Kula, to studenci.

— Chciałbym go poznać!

— A o tam stoi, widzi pan!

Andrzej zbliżył się do chłopca. Jasne, proste włosy kosmykami opadały na czoło. Śmiał się.

— Chciałbym panu pogratulować, ślicznie śpiewaliście, nazywam się Andrzej Bask.

Chłopiec uśmiechnął się zażenowany.

— *I am sorry, I cannot speak Polish!*

— Ale — zdziwił się Andrzej — przecież śpiewaliście...

— Tylko trochę umiem, parę słów. *You came from Poland?* — spytał — *From Poland? Welcome to America!*

Uścisnęli sobie ręce.

Poza nimi widzowie rozprostowują się, przeciągają, wpychają znów w usta cygara. Odchodzą.

Boga czeka na Andrzeja przy wyjściu, niecierpliwi się. O czym oni tak długo gadają? Gadają, gadają, zostaje ich tylko dwóch na pustoszejącej sali.

IV.

Podobny buzującej w kotle wodzie pod którą ugaszono płomień, przycichał pierwszy, poranny ruch ulic. Wtedy właśnie, około godziny dziewiętej, Gertz zajeżdżał samochodem przed hotel. Żuławska czekała już w hallu. Przecinali śródmieście i tunelem wydostawali się w dzielnicę miasta spłaszczoną, brzydką. Od głównej arterii biegły małe uliczki o drewnianych domkach. Na pustym, zaśmieconym placu ogromna reklama włoskiego pieczywa i włoskich „Ravioli”. Był to jakby punkt zwrotny, gdyż zaraz poza reklamą skręcali w lewo. Żuławska powtarzała w myśli: *Ravioli, Ravioli, co to jest Ravioli?* i dodawała: No to już zaraz jesteśmy. Dojeżdżamy. Rozpoczynała się dzielnica warsztatów, wolnych przestrzeni do wynajęcia, małych domów fabrycznych z przyczepionymi na murach tabliczkami: *For Rent*.

Gertz zwalniał samochód przed parterowym, długim budynkiem i wjeżdżał wprost do garażu, którego drzwi podnosiły się pod naciskiem kół samochodu. Drzwi w głębi garażu prowadziły do wnętrza budynku, który dawniej był wędzarnią, a teraz zastawiony skrzyniami po „szrympach” pachniał nieprzyjemnie nieświeżymi rybami.

Około dziesiątej zjawiał się Inżynier niewyspany, przeklinając nowojorski transport, niewygodne łóżko, życie pod psem i los emigranta. Był to człowiek dobrze po pięćdziesiątce, duży, pulchny, jakby wzdęty od ośrodka, gdzie stale coś fermentowało się, burzyło się. Wydawało się również, jakby stale był w walce sam z sobą, jakby

obce w nim elementy nie chciały się zespolić i dlatego pewnie te nieustanne sprzeczności uczuć odbijały się na jego twarzy zniechęceniem, zmęczeniem, ale także i pół-uśmieszką wiedzącym i pełnym politowania nad własną słabością. Był to szarmancki malkontent, otyły rycerz, który stracił konia, z którego opadła zbroja, ale który pomimo wszystko nie chciał wypuścić z ręki tarczy i szpady.

W tym samym mniej więcej czasie przydreptywała starszawa, niewielka dama, podobna do zeschniętego, zapomnianego w trawie jabłka, które niegdyś było kwiatem, później dojrzałym owocem, ale którego nikt nigdy nie podniósł, nie ocenił, nie posmakował. Nazwisko jej łączyło się ze znanymi w Polsce kołami literackimi, ale te stosunki rzadko kiedy przydawały się na emigracji. Wdzięczna więc była Gertzowi, że się jednak o nią zatroszczył i umożliwił jej pracę. Gertz przebiegał pośpiesznie hale wędzarni, nakładał gruby, podbity futrem płaszcz zimowy i razem z opatulonym w swetry inżynierem wytaszczali z obszernego pokoju-łódówki skrzynie naładowane tekturowymi pudełkami pełnymi „szrympów”. Potem Zygmunt Gertz otwierał skrzynkę listową zawieszoną u drzwi frontowych, przeglądał szybko jej zawartość zwracając uwagę jedynie na nazwiska nadawców i nawet nie czytając odrzucał na stojące pod ścianą biurko zawałone również nie otwartą korespondencją od upominających się, proszących i wymyślających wierzycieli, a wreszcie zabierał się do sortowania i obierania „szrympów” w czym pomagali mu Zuławska, inżynier i pomarszczona, chuda dama.

Towar był nadpsuty, trzeba więc było przede wszystkim wybierać raczki o pancerzyku szaro-perłowym, a odrzucać różowiejące, albo zupełnie nieświeże o ciemnych plamach. Żadne z nich nie miało właściwie pojęcia o fachowej robocie, toteż męczyli się, kaleczyli sobie palce obierając „szrympy”, a ręce drętwiały im z zimna. Przygarbieni nad robotą podobni byli do owych szarych, niepozornych „szrympów”, które kryją się w piaszczystych nadbrzeżach nie mając odwagi wypuścić się na otwarte morze.

Przesortowane, obrane raczki układali w tekturowych pudełkach: gorsze i mniejsze na spodzie, byle jak, w nieładzie, większe i okazalsze na wierzchu, zgrabnie, jeden koło drugiego. Gertz wiedział: Na tym interesie stracili, chodziło tylko o to, aby wycofać część pieniędzy. Był to

nie jego kapitał, a więc tym nie należało się zbytnio martwić. Jeśli jednak cały koncern zbankrutuje, kto wtedy będzie mu wypłacać dyrektorską pensję? Człowiek, który ma kontakty nigdy nie straci gruntu pod nogami. Trzeba sprawę czyszczenia „szrympów” przeciągnąć, namówić do zakupienia nowych transportów, rozdmuchać interes, znaleźć, szersze rynki zbytu. Ale nie można liczyć na procenty od dochodu, nie można więc spłacić długów, nawet tego nędznego długu Żuławskiego. Trzeba kombinować jeszcze coś na boku. Dlatego około południa wymykał się z przetwórn i jeździł węszyć tu i tam. Spotykał się z pastorem, który chciał ulokować swój kapitałik w intratnym interesie. Gertz był gotów. Dolar powinien pracować. Można dolary pastora użyć do stworzenia małego warsztatu wyrabiającego części do maszyn. Pod Nowym Jorkiem powstała polska fabryka, Gertz znał dyrektora i wiedział, że ten nie odmówi mu zamówień.

Żuławska pracowała najsprawniej. Kupiła sobie książkę kucharską, nauczyła się z niej jak trzeba obrządzać „szrympy” i instruowała teraz inżyniera, chudą damę i Gertza. Myślała: A może by jednak założyć restaurację?

— Restauracja? — zastanawiał się Żuławski. — Może i masz rację.

A ona wtedy natychmiast dodawała:

— No bo przecież nie możemy tak na stałe mieszkać w hotelu, musimy się jakoś urządzić.

— Poczekaj! — uspakajał. — Wolnego! Wszystko w odpowiednim czasie.

Rozporządzał czasem, jak gdyby to była woda, którą można zaczerpnąć wtedy, gdy się ma na to ochotę. A oto czas rozprawiał się z nim nieobecny, nieuchwytny, podrzywający z jego planowań, z jego lekceważenia dni, które się nie powtórzą i nieustannego oczekiwania na nowe, bardziej odpowiednie. Przeszedł więc nie zauważając czasu poprzez upalne wilgotne lato nowojorskie i stanął twarzą w twarz z jesienią i nadciągającą zimą. Prawie rok, pierwszy rok w Ameryce. Gertza nie widywał. Wystarczało, że przyjeżdżał po Żuławską rano, że umożliwił jej pracę w przetwórni. Właściwie po co miał go widywać? Od czasu, gdy Mc Innis zgubił w Waszyngtonie teczkę z planami puszki, korporacja zaczęła stopniowo obumierać i nawet bez rozwiązania przestała istnieć sama. Mc Innis

tłumaczył się niejasno: raz, że mu teczkę ukradli, to znów, że zgubił ją zostawiając na dworcu kolejowym. Trudno było dowiedzieć się od niego prawdy.

— Prawda jest jedna oczywista — powiedział Żuławski — trzeba pożegnać się z marzeniami o milionowym interesie.

Najbardziej zmartwiony był chemik: porobił doświadczenia, sterczał wieczorami w laboratorium, a tu patrzcie, jak go wykiwali!

Żuławska szukała mieszkania w Nowym Jorku. Najpierw przez Reginę — za drogo. Potem przez żonę chemika trafiła do nowojorskiej Polonii.

Jeszcze zanim puszka stała się sprawą przegraną, chemik zaprosił obydwójce Żuławskich na obiad. Żonę miał rosłą blondynkę, wąską w pasie, stożkową u piersi, mięsistą w biodrach. Wszystko, jak należy uładzone, zgrane, wypolerowane wyższymi studiami jeszcze w Polsce. Przyjemnie było na nią popatrzeć, jak się ruszała zgrabnie po lilipucim apartamencie. Ale to nie ona była ważna, tylko pani Kłobusiewicz. Bo czymże byłaby żona chemika bez pani Kłobusiewicz? Umiałyby się tak znaleźć? Umiałyby tak nakryć do stołu?

Pani Kłobusiewicz — wielka, łagodna krowa — siedzi za stołem. Myśli: To ja! I nie żałuję. Przy gnoju ty byś została moje siostrzyczko kochana, gdyby nie ja! — myśli i nie żałuje. — Żydowską służącą byłam żeby ci na kształcenie słać, gówniarko! — myśli i nie żałuje. Tylko się przygląda: Moja siostrzyczka kochana, jaka to dama!

— Pani — zwierza się Żuławskiej. — Pani, jak ja na tę siostrę czekałam. Bo tak, pani, wszystkiego se człowiek odmawiał, żeby Zosi słać do Polski na kształcenie. Już mi się zdawało: nie przyjedzie! Już na Mszę Świętą leciałam dawać, żeby się ten okręt z Anglii, gdzie nie rozbił. Myślałam sobie, nie przeżyję tego spotkania! Pani, po 27-miu latach! Tyle to było, ledwo od ziemi odrosłe, jak wyjeżdżałam. I za niczym tak mi nie było tęskno, jak za nią.

Zosia, żona chemika, nalewała wino do kieliszków.

— Ja tam się Zosiu, piwa napiję — powiedziała pani Kłobusiewicz.

Założyła ręce na brzuch, przyglądała się swojemu dziełu, ogrodnik tak patrzy na kwiat.

Kłobusiewicz — małżonek oczy przymykał, otwierał. Spać mu się chciało, uwierał kołnierzyk i krawat. Całą noc robił w piekarni i teraz go wyciągnęli na ten obiad. Nie ma to pełnej lodówki w domu? Nie ma to co do gęby wsadzić?

— No pójdziem — powiedział do żony. Powieka opadła mu na jedno oko.

Przy stole Zosia i jej mąż chemik zabawiali gości: redaktora i redaktorową, pułkownika Żuławskiego i pułkownikową, a na Kłobusiewicza zstępował sen ciężki, kleisty, jak ciasto.

— Pójdziem już, no pójdziem...

— Jedna matka nas rodziła — pochyla się pani Kłobusiewicz ku Helenie — ale żeśmy inne wyrosły.

Helena patrzy: nie takie znów inne.

Pani Kłobusiewicz, piekarczowa — rzeźba z drzewa zostawiona, zapomniana przez roztargnionego artystę, a Zosia — figura bliźniacza tylko obrobiona, wykończona misternie, ustawiona na postumencie.

— Niech pani do mnie zajdzie — zaprasza. — Mam na Bronx'ie duży apartament. A obok jedna też z Polonii chce wynająć mieszkanie. Ja to nie wynajmuję, mnie nie potrzeba. Siostrze chciałam dać, zmieściłybyśmy się, ale siostra mówi, że sama woli.

— Pójdziem już! — podnosi się Kłobusiewicz.

Jak się ruszył dopiero widać co to za chłop. Potężny, a spracowany, a śpiący.

— Tylko się rzucić gdzie i spać — myśli — tylko się gdzie rzucić na jakie wyrko i spać!

Nigdy nie miał tego snu dosyć, nawet gdy Żuławska przyszła ich odwiedzić, zjadł swoje: miche rosółu z makaronem, mięsa ze trzy funty z ogórkiem kwaszonym i — spać.

Mieszkanie Kłobusiewiczów było obszerne, schludne, meble porozstawiane, jak trzeba. Cichutko, kwiaty w oknach.

— Zawiozę panią do Zoo — powiedziała pani Kłobusiewicz. — Zwierzęta rozmaite, małpy, żyrafy, takich tu już pani w Polsce nie oglądała. I mieszkanie się wynajdzie u jednej tu z Polonii.

— To chodźmy — nagliła Żuławska — to chodźmy zobaczyć to mieszkanie! — Wydawało jej się, że nie wy-

trzyma dłużej w hotelu. Rozpakować walizki, urządzić się, zacząć normalne życie. W hotelu wszystko przypominało Pawła i Marka, tutaj się bawili, tam spali, pod tym tapczanem chował się Marek, tu w tym miejscu upadł i rozbił kolano.

Pani Kłobusiewicz nałożyła kwiecisty kapelusz na głowę. Podmalowała usta, mąż już chrapał. Wskazała ruchem głowy drzwi sypialni.

— On tak zawsze — poskarżyła się Żuławskiej. — Pracuje i śpi, śpi i pracuje. Gada też mało. Ale już lepszy niż tamten pierwszy, co jak się spił to nie daj Boże! Bo ja wdowa byłam i pan Kłobusiewicz też wdowiec. Ujęła Żuławską pod rękę, uśmiechała się. Oto kogo sobie zdobyła na miejsce Zosi.

— Jak to przyjemnie porozmawiać z inteligentną osobą — zwierzyła się Helenie. — Na „Bingo” z nami pani pójdzie. Pójdzie, pójdzie kochana pani! My to czasem co dnia na „Bingo” chodzimy. Różne inne Polki z organizacji przychodzą. Nic nie trzeba płacić, ja pieniądze mam. Tak tylko, żeby towarzyszyć, porozmawiać inteligentnie.

Ogarniała Żuławską, przywłaszczała ją sobie, roztaczała nad nią opiekę. A wprowadzając do znajomej, która miała apartament do wynajęcia, powiedziała tak:

— To jest ta inteligentna pani o której wczoraj mówiłam na telefonie.

Żuławskiej bardzo się *apartment* podobał, a jeszcze bardziej mieszkanie właścicielki. Antyczne meble, porcelanowe cacka, perskie dywany. Zdziwiła się: To tak mieszka Polonia w Ameryce?

Nowopoznana wyjaśniła: Syn mój robi w fabryce Singera, ale nocami to pracuje jako kelner w klubie i handluje antykami. Stąd te meble. Gdy wyszły, pani Kłobusiewicz dodała:

— Ja tam nie lubię obmawiać, ale każdy wie, że się wzbogaciła na prohibicji.

Żuławska wróciła do hotelu rozpromieniona.

— Józiu! — zawołała — Józiu, znalazłam mieszkanie! Żuławski przywitał ją ponuro.

— Latasz gdzieś — mruknął — a Boga telefonowała.

— Że co?

— Marek bardzo chory.

— Jezus Maria, co mu jest?

— Nie wiem, płakała w telefonie, że dziecko umiera-
jące...

— Boże święty, to ja zaraz jadę!

— Jedź!

— No to co, nie chcesz, żebym pojechała, przecież
oni tam zupełnie sami, Andrzej musi iść do pracy...

— Czy ja ci co mówię! Jedź!

— Ale co jest Markowi?

Żuławski cmoknął niecierpliwie.

— Nie wiedzą, nie mogą nawet dostać lekarza.

2.

Zjawienie się doktora Litensteina w mieszkaniu
Andrzeja i Bogi poprzedził łańcuch wydarzeń, który roz-
począł się jeszcze na uroczystości w Domu Polskim przy
ulicy Szerokiej. Zatelefonowała więc najpierw sekretarka
protokularna Związku, Kowalska, a potem przyjechała
sama i zainkasowała pierwsze składki na *insurance*.

— Inteligencja polska z Polonią nie trzyma — skar-
żyła się. — Tylko dostaną dyplomy i już ich nie ma!
„Profesjonałisci” od nas odchodzą, zadzierają nosa w
górze, nawet na uroczystości polonijne nie przyjdą.

— A studenci? — spytał Andrzej — studenci przyszli.

— A tam studenci! — skrzywiła się Kowalska —
nawet po polsku nie umieją. No i co zrobią? Pośpiewają
te swoje piosenki, ale do organizacji to ich nie ma.

— Bo może ich nie dopuszczacie?

— Co pan mówi, panie Bask, nie dopuszczacie? Pe-
wnie, że do zarządu nie wejdą. Oni by zaraz chcieli na
sekretarzów, na prezesów. Ja to całe życie dla Polonii straci-
łam i co mam z tego? Nawet wice-prezeską nie zosta-
łam, a cały rok się starałam!

Kowalska była w wieku nie łatwym do określenia.
Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Może więcej, może mniej?
Czerstwa cera wieśniaczki, naiwne niebieskie oczy i oku-
lary. Nakładała je tylko do czytania, lub pisania. Okulary
te, parawan z którego przezroczystości nie zdawała sobie
sprawy, zaraz po nałożeniu zdradzał jej drugą twarz: sku-

pioną, napiętą, oczy zwęzły się śledząc chytrze i uważnie, w opadłych kącikach ust — zaciętość. I już! Zdejmowała okulary, chowała je do torebki: łatwy uśmiech na źle umalowanych wargach, przyjazne spojrzenie. Nie ta sama. Było w niej, jakby wiele rzeczy zaczętych, których nie potrafiła doprowadzić do końca, zachowywała się, jak gość zaproszony na przyjęcie, który posmakowawszy przeróżnych potraw pamięta ich smak, ale nigdy nie nauczy się nazwy, nie wie dlaczego mu smakowały, i nie potrafi ich w przyszłości odróżnić. Odczuwało się w niej gorączkę chwytania wszystkiego naraz z wyraźnym celem, aby wykorzystać, jeśli nie teraz to w przyszłości. Gubiła się sama w swoim chaosie, zapędzona, roztargniona, trzeźwa jedynie jeśli chodziło o sprawy konkretne: pieniądze i stanowisko w Związku.

— Wspominałam o was mojej dobrej znajomej, Amerykance — powiedziała. — Mrs. Random chce was zaprosić na obiad.

— Ale — roześmiała się Boga. — My nie możemy chodzić na żadne obiady. Kto zostanie z chłopcami?

— To sobie weźmie pani *baby-sitter'a*, tu każdy tak robi.

— Nie, nie! Niech sobie Amerykanki biorą *baby-sitter'ów*, ja z nikim dzieci nie zostawię!

— Nikt by z nimi nie dał rady! — powiedział Andrzej.

— Pani! — zawołała Kowalska — czy pani wie kto to jest Mrs. Random?

— Kto? — zainteresował się Andrzej.

— To jest wielka przyjaciółka Polaków. Do *Minute Women* należy, do *Daughters of Revolution*, senatorom mowy pisze. Co to za rozum! A jej mąż to doktor, profesor na uniwersytecie.

— Taaak? — szepnęła Boga. — Profesor medycyny?

— On taki doktor co tych co na głowę chorzy leczy, tych co rozum postradali.

— Psychiatra?

— O to, to, to! Jatra, ma racje pani, jatra! Już się umówiłam, że przyjdziecie w sobotę na wieczór.

— Niech pani bardzo podziękuje Mrs. Random — powiedział Andrzej — może innym razem.

— No to czekajcie — gorączkowała się Kowalska. — Może ja tu przyjdę, zostanę z dziećmi.

Boga spojrzała na Andrzeja.

— Jak chcesz — powiedział.

— Ja się Pawełkiem i Mareczkiem zajmę, krzywda im się nie stanie.

Andrzej pomyślał: Co za poczciwy człowiek z tej Kowalskiej. Ale dlaczego?

— Jak jej tylko o was powiedziałam, bo my to jak dwie siostry, ja jej wszystko mówię; czasem przyjdę do niej opowiadam, opowiadam, o Polskę zawsze pyta, o Polaków, o nasze organizacje; więc jak jej o was powiedziałam, to ona zaraz: Mary, przyprowadź mi ich!

Andrzej spojrział na Bogę. Pomyślał: To już o nas wiedzą. Zapytał: Chcesz iść?

— Jeśli pani Kowalska zostanie, ale w co ja się ubiorę?

— No przecież mówię, że zostanę.

3.

Andrzej wrócił z fabryki, koszula przepocona, nogi obrzmiałe. Boga coraz to napelniała wannę letnią wodą i zanurzała chłopców. Upał. Stokowska ofiarowała jej całą stertę używanych, chłopięcych ubranek, które ktoś kiedyś miał wysłać w paczce do Polski. Przebierała Marka i Pawła kilka razy dziennie. Odróżniali się od dzieci sąsiadów biegających po *back alley* cały dzień w tych samych *dungaree* i nieświeżych koszulkach.

— Zastanawiamy się, jak długo wytrzymasz z tym praniem i prasowaniem — zatrzymała ją któregoś dnia kobieta wynajmująca mieszkanie w *basementie* sąsiedniego domu. — Szkoda czasu, nie wytrzymasz długo. Mój chłopak bawi się cały dzień w tym samym ubraniu. I pewnie pierzesz w rękę? Wiemy przecież, że nie masz maszyny do prania.

— Póki mogę, będę prała! — broniła się Boga.

Ale w upalne dnie nie mogła. Siadywała w piwnicy, gdzie było najchłodniej, myślała: Gdzie myśmy zawędrowali? Gdyby chociaż Waszyngton nie był daleko! Gdy-

byśmy mieli samochód pojechałabym do Ewy, do Wojtka. Gdyby Nowy Jork nie był tak daleko! Gdyby tu, w Monumental był ktoś bliski kto by zrozumiał... Zrozumiał co? Nie wiem, nie wiem... Na początku wszystko wydawało się łatwe. Ameryka czarowała, perlący się szampan, uderzała do głowy, chodź, chodź, potrzebujemy cię! I nagle wszystko ucichło. Mrs. Schultze, obrażony sąsiad-listonosz, ogrodzony *back yard*, samotność. A może to ja powinnam wyjść im naprzeciw? Ja? Nie oni? Na przyszły rok oddam chłopców do przedszkola, do polskiego przedszkola i wtedy dowiem się o uniwersytet. A może profesor Random?

Rano wychodzi z chłopcami do pobliskiego składu żywności „A and P”. Sadza ich obydwóch na wózku i pchając go przed sobą wybiera towary poustawiane na półkach w długich rzędach biegnących w poprzek i wokoło sklepu. Ludzie zatrzymują się, uśmiechają. Bliźniacy, patrzcie, bliźniacy! I zaraz słysząc obcy język dodają: Francuzi, widzieliście, słyszeliście, mali Francuzi!

Te uśmiechy, przyjazne *hallo*, uprzejmie *how are you* i *where are you from?* są jakby poza szkłem, z zewnętrznej strony szklanego klosza. Wewnątrz: Paweł, Marek i Boga.

A popołudniu chodzą do parku na Pięknym Wzgórzu. Znów ludzkie przyjazne uśmiechy: *Where are you from?*

Ach przestańcie, przestańcie nareszcie! — chciałaby zawołać. — Odpowiada: Poland... Poland... Poland.

Twarze ludzkie widziane poprzez szkło zdeformowane, ich uśmiechy ukrywają złośliwe, drwiące skrzywienie, ich życzliwe spojrzenia, to tylko łaskawa wielkoduszność: No widzisz, pozwoliliśmy ci tu przyjechać. Przysiadają się na krótko na ławce, rozmawiają, odchodzą bez pożegnania. Paweł i Marek huśtają się, bawią się w piasku. Śmiesznie przekręcając, polykając słowa angielskie zaczynają się porozumiewać z dziećmi.

— Pawelek, Marek, idziemy!

— *What language is it?*

— *Polish.*

— Ach jakie interesujące! Jak to dobrze, że udało się pani przyjechać. Szczęście, prawda? Czyż nie czuje się pani szczęśliwa w Ameryce?

— Tak — odpowiada Boga.

Stoi na trampolinie, cofa się, boi się skoczyć. Przybliża się i cofa. Nie! Jak mądrze zrobili tamci zostając na brzegu zatoki. No dalej, skocz! Nie umiem, nie umiem. Gdyby ktoś pchnął mnie od tyłu, albo gdyby ktoś, tak jak profesor Wajsman zachęcił: Nie bój się: Albo gdyby ktoś nagle, rozpaczliwie zawołał o pomoc.

Andrzej wrócił z fabryki.

— Co robiłaś cały dzień?

— Ach nic ważnego, byłam z dziećmi w parku, kupowałam żywność, a ty? Co słyhać w fabryce?

— Nic nadzwyczajnego.

Andrzej myśli: — Co to za człowiek ten Dawid? Do Bogi: — Wiesz, dziś w windzie jechałem z jednym z naszych pracowników, polski Żyd — Dawid. Stałem taki zmęczony, on też. Patrzyliśmy na siebie: No i cóż jak się pan czuje? spytałem. Nie odpowiedział i myślałem: nie zrozumiał mnie. Dopiero, jak wychodziliśmy z windy odwrócił się do mnie. Powiedział:

— W tym dniu jak wyszliśmy z domu, wszystko się dla nas skończyło

4.

Sobotnie rano unosiło się ciężko, niebo jasno-szare, mętne — zapowiedź wilgotnego upału. Gęste, nasyczone parą wodną powietrze przylegało do rozgrzanych murów i chodników Monumental City. Popołudniu upał wzmógł się jeszcze. Ulice przedmieścia opustoszały, dzieci bawiły się w „basementach”, odpoczywające na werandach kobiety poruszały leniwie papierowymi wachlarzami. Dopiero po zachodzie słońca zerwał się delikatny wiaterek i chłodził wyczerpane gorączką miasto.

— No widzicie, przyszłam! — zawołała Kowalska. Była zadyszana, drobne kropelki potu na czole. Co za heat!

Boga prasowała koszulę Andrzeja. To jednak przyszła! — pomyślała. Ucieszyła się. Wyjdziemy gdzieś, poznamy ludzi. Ale czy można ją zostawić z chłopcami?

Można, nie powinnam być taka podejrzliwa. Boże, zostawiam obcego człowieka z dziećmi!

Paweł i Marek pluskali się w wannie.

— No już dość, wylażcie! — powiedział Andrzej.

— Jeszcze, jeszcze troszkę! — prosił Paweł.

Bawili się, puszczając na wodzie plastyczne łódeczki. Marek opryskał Pawła, Paweł rzucił się na niego. Poślizgnął się. Bum! Paweł uderzył czołem o brzeg wanny. Krzyk.

— A mówiłem, wylażcie! I znów nabił guza w tym samym miejscu. Boga!

Placz. Boga masuje kawałkiem lodu guz na czole Pawła.

— Nie płacz synku, nie płacz synku!

— To nie ja — skarży się Paweł — to nie ja, to on pierwszy zaczął.

— Poczekaj, Marek dostanie po tyłku.

Marek wrzeszcząc wyskakuje z wanny, ociekający wodą ucieka z łazienki.

— Uważaj na żelazko! — woła Boga. — Uważaj na sznur od żelazka! Za późno żelazko z hukiem spada na podłogę.

— Pani!? denerwuje się Kowalska — przecież już szósta godzina!

Andrzej biegnie za synem.

— Wracaj mi tu zaraz!

Paweł płacze, guz na czole rośnie.

— Nie płacz synku.

— Boli, boli!

— Nie płacz synku, mamusia przyłoży kompres.

— Nie, nie, nie! Boli!

Andrzej dogonił Marka. Wrzeszczącego, wierzgającego nogami niesie do łazienki.

— Łup... łup... łup... łup! — to Mrs. Schultze wali łaską w sufit.

— Mnie się już odechciało wychodzić — mówi Boga.

— Już nie mam ochoty nigdzie iść.

Zapłakane, niebieskie oczy Pawła, skrzywiona buzia: Nie idź!

— Zostaniesz ze mną Pawelku! — mówi Kowalska — opowiem ci bajeczkę.

— Nie chcę! — krzywi się Paweł. — Nie idź, mamusi nie idź!

— Pani — odciąga ją na bok Kowalska. — Pani — szepcze — powiedźcie, że zaraz wrócicie, a oni zasną, popłaczą się i zasną.

— Nie — kręci głową Boga. — Nie, tak nie można! Marek cichutki już, potulny stoi przy Pawle.

— Nie chciałem.

— Chciałeś!

— Nie!

— Tak!

— Nie, nie!

— Tak, tak!

— No pocałujcie się, no już, zgoda!

— Gdzie mój granatowy krawat?

— Pani, piętnaście po szóstej! — niepokoje się Kowalska.

— Andrzejku — mówi Boga. — Ja zostanę. Idź!

— To ja zostanę, idź sama!

Stoją niezdecydowani.

— Pawełku — Andrzej siada na brzegu tapczanu. — Jak główka?

— Nie idź!

— Musimy iść w ważnej sprawie, ale przyrzekam ci, że wrócę.

— Kiedy?

— Będiesz już spał, za trzy godziny.

— Wrócisz?

— Przecież was nie zostawimy.

— Wrócisz na pewno? Zostań, aż zasnę. A trafisz do domu?

— Zostają.

Oto niepewność, którą przekazaliśmy dzieciom — myśli Boga.

Teraz troszczy się Marek, ułożony obok Pawła na tapczanie powtarza sennie:

— Trafisz do domu po nocy?

— Nie bój się — uspakaja Boga. — Znajdziemy drogę do domu.

Leżą obok siebie: dwie małe, jasne główki. Paweł już śpi, zapłakana buzia, guz na czole, a Marek jeszcze otwiera

oczy, sprawdza: Są! Skoro zaśnie mogą odejść, ale jeszcze nie teraz. Krok pomiędzy świadomością a snem jest taki trudny. Marek przymyka i otwiera oczy: ojciec siedzi przy nim na tapczanie, słysząc krzatanie się matki.

— Jak zasnąć możesz iść, ale jak zasnąć.

Jego mała piątka zaciska się wokół dużego palca Andrzeja. Zwolna uścisk rozluźnia się. Andrzej wstaje, wychodzi na palcach z pokoju.

Kowalska kręci głową: Rozpieszczone dzieci.

Andrzej mówi: Dzieci odczuły nasz niepokój.

— Panie Bask, tu Amerykanie zostawiają zawsze dzieci z *baby-sitter*'em.

— Strach i niepewność! — oto co przekazaliśmy naszym dzieciom — myśli Boga.

Gdy idą w stronę przystanku autobusowego zwraca się do Andrzeja:

— Dlaczego Marek tak zawsze boi się, że nie znajdziemy drogi?

— Odczuwa nasz niepokój.

— My właściwie też szukamy...

— W pewnym sensie tak, szukamy, błądzimy w tym kraju. Pchamy się siłą, bo przecież oni nas nie chcą.

— Miałeś przykrości w fabryce?

— Nie...

Widzę, że miałeś!

— Zaangażowali kogoś innego, niby do pomocy...

— A tak cię serdecznie przyjęli.

— Nie znasz ich, zabijają się o dolara. Ale pracuję, jak maszyna, jestem opłacalny, nie mogą mi nic zarzucić.

— To nie dla ciebie, ty się marnujesz, to nie dla ciebie...

— No już, nie ma o czym mówić.

Z daleka widać nadjeżdżający autobus. Biegną. Autobus jest niemal pusty. O tej porze dnia rzadko kto jeździ do miasta. Ludzie odpoczywają na werandach, piją mrożone piwo i coca-colę z lodem.

Doktorostwo Random mieszkali w śródmieściu niedaleko monumentu Waszyngtona, Ich trzypiętrowa, wąska kamienica ozdobiona od frontu półkolistymi żelaznymi balkonikami, stała w rzędzie jej podobnych budowli zajmujących niewielki odcinek ulicy. Naokoło duże, kilkunastopiętrowe hotele rzucały cień na dom doktora Randoma.

Była to dzielnica zajmowana przeważnie przez lekarzy na ich gabinety, a przyczepione do domów szylidy z nazwiskami, jedne przy drugich, robiły wrażenie rynku, na którym niemi, dostojni, ale niemniej natarczywi kupcy reklamują swój towar. Adres Mr. and Mrs Random był więc adresem eleganckim, chociaż przestarzałym, i właściwie nie licującym z powagą stanowiska profesora. Rzadko jaki z lekarzy mieszkał w śródmieściu. Przyjmowali tu pacjentów, ale po godzinach urzędowych ich wybite dywanami gabinety zamierały, a oni sami odjeżdżali do własnych willi na dalekim przedmieściu. Doktor Random był chyba lekarzem starej daty, albo dziwakiem. Dlaczego pozostał w śródmieściu?

Szli zmęczeni, zgrzani; Andrzej pocił się w swoim welnianym ubraniu nie przystosowanym do amerykańskiego klimatu. Czuli się trochę niepewni, świadomi, że będą musieli zaakcentować swoją inność, że tego właśnie spodziewają się od nich państwo Random. Wiedzieli, że będą obserwowani, oglądani niby eksponat na wystawie regionalnej egzotycznego kraju. Idąc ulicami Monumental wstępowali jednocześnie w swoją przeszłość gotowi, aby jej bronić, nie oddać, reprezentować należycie. Wydzielali się.

Otworzyła im chuda, siwawa Murzynka. Z hallu powiało starością, ciężkie, ciemne, rzeźbione meble, elektryczne światło. Uchyłek hallu tworzył poczekalnię lekarza, rozrzucone w nieładzie pisma, lampa na niskim stoliku, ciemne obrazy na tapetach o przytłumionej barwie, dębowe drzwi prowadzące widocznie do gabinetu doktora, szerokie kręte schody na górę.

Nie było tu nic z jasności i bez troski przedmieścia. Wnętrze domu podobne książce o podniszczonej okładce, pożółkłych, drobno zadrukowanych stronicach, których odczytać niesposób, a których treść jest przecież ważna, opracowana przez kogoś skrupulatnie z licznymi odnośnikami i przypisami.

Stali nieco oszołomieni, zostawieni przez chwilę sami sobie, wyobrażając sobie panią tego domu: surową, staroświecką, w ciemnej niemodnej sukni Purytanki.

Drzwi na górze otworzyły się. Najpierw buchnął zapach perfum, a potem zobaczyli schodzącą ku nim Mrs. Random. Jej włosy wystąpiły naprzód: jaskrawo żółte i lśniące. Jej pulchne, białe ciało bulgotało w obcisłej, let-

niej sukni. Toczyła się po szerokich schodach niby przejrzała brzoskwinia, która za chwilę pęknie i rozleje się zalewając ich swoją soczystością. Kołysała się też w biodrach i uśmiechając się pełną, różową twarzą spod swojej czupryny koloru sztucznego słonecznika, przypominała bardziej podstarzałą *saloon girl* z filmów cowboyskich niż doktorową Random, aktywnego działacza partii republikańskiej, *Minute Woman* i *Daughter of Revolution*.

— *I am delighted!* — sapnęła. Jej głos był niski, nieco schryply. Było to raczej przeciągłe wołanie, zew, niż słowa powitania. — *How do you do?* Proszę na górę! Profesor zaraz będzie.

Weszli do długiego, wąskiego pokoju zastawionego ciężkimi meblami. Tylko frontowa jego część była jako tako uporządkowana. Na kredensach ustawionych wzdłuż ścian sterty gazet i czasopism. Pod szkłem, na potężnych rozmiarów stole — wycinki z gazet. Dwa przepasione jamniki wyskoczyły z kąta i przypadły z wrogim szczeraniem do nóg gości.

— *Hush, hush!* — uspakajała ich Mrs. Random.

Dalsza część pokoju robiła wrażenie mieszkania do którego ktoś się przed chwilą wprowadził w pośpiechu i nie zdążył nic jeszcze uporządkować. Był tam nadmiar masywnych rzeźbionych krzeseł o wysokich oparciach, drewniany kufer, nowoczesny okrągły stolik, półki z kolekcją porcelany, sekretarzyk, zwinięty w rulon dywan, a w samym końcu, w rogu, nowoczesny, półkolisty barek z obitymi skórą taburetami.

Mrs. Random usiadła ciężko na krześle, jej obcisła sukienka podjechała aż do kolan.

— Siadajcie — zapraszała. — Jestem taka szczęśliwa, tak bardzo chciałam was poznać. Od godziny czekamy z obiadem. Profesor zaraz będzie.

— Alta — zawołała — Alta!

— *Yes ma'am?* — spytała Murzynka.

— Powiedz profesorowi, że czekamy i nałóż czepeczek.

— *Yes ma'am!*

— Albo zaraz, zawołam go sama.

Boga spojrzała na Andrzeja. Uśmiechnął się nieznacznie. Obydwoje pełni byli oczekiwania, byli także rozczarowani. Jamnik obwąchał nogi Andrzeja, potem sapiąc i wlokąc brzuch po ziemi powędrował do wyjścia.

nego koszyka w mrocznym kącie pomiędzy kredensem, stosem gazet i portierą.

Światło lampy koncentrowało się na stole; kredensy i dalsza część pokoju były tylko skąpo oświetlone. Ponad kredensem wisiało ogromne w złoconych, rzeźbionych ramach lustro. Nagle spomiędzy sterty papierów rozłożonych na kredensie wysunęła się mysz. Przebiegła szybko, znikła.

Profesor wszedł do pokoju. Pasował do mebli i półmrocznego nastroju mieszkania. Był to starszy, dostojny gentleman, nieco niższy od żony, w ciemnym, skromnym ubraniu. Był niewątpliwie zmęczony, chociaż starał się być uprzejmy, ale uprzejmy poprzez uległość wobec żony, której widocznie obiecał, że będzie, że robi to dla niej, że się poświęci.

— *How do you do?* — wyciągnął rękę.

Jego ciemne, przenikliwe oczy zatrzymały się przez chwilę na twarzy Andrzeja, na twarzy Bogi, uśmiechnął się. Był tak samo zaskoczony, jak oni, tak samo wahał się, oceniał.

— Bardzo się cieszę! — poklepał Andrzeja po ramieniu. — Bardzo się cieszę! Alta dawaj obiad, umieram z głodu!

Poprzez drzwi od korytarza wsunął się wysoki, chudy Murzyn, niósł półmisek.

— *How are you George?*

— George wyszczerzył zęby.

— *Pretty good, sir! Good evening sir* — skłonił się.

— *Good evening ma'am.* Za nim Alta niosła koszyk z gorącymi bułeczkami.

Profesor zawiązał serwetkę pod brodą i zabrał się do jedzenia.

— A więc kiedy przyjechaliście? — spytała Mrs. Random. — I czy chcecie osiedlić się na stałe w Monumental?

— Na razie tak — powiedział Andrzej. — Nie mamy innych projektów.

— To niewątpliwie będziecie współpracować z Polakami, bardzo ich cenię, jako republikanka...

— Pani Random — odezwał się profesor — jest bardzo czynna w polityce. Spojrzał na żonę. Siedziała na wprost niego. Gdyby mógł położyłby ją sobie na talerz.

— *Darling!* — wyciągnęła ramię poprzez stół i pogładziła jego owłosioną rękę.

— Orientuję się w polityce tylko poprzez panią Random. Nadzwyczajny umysł — zerknął na nią łakomie. — Nadzwyczajna pamięć! A jaka pracowita! Potrafi całą noc ślepczeć nad gazetami, notuje, wycina co ciekawsze artykuły. Co do mnie, polityka nie interesuje mnie zbyt. Jestem typowym Amerykaninem, ruszę się dopiero wtedy, gdy mi zagrozą zakłóceniem spokoju w moim własnym *back yard*. Ale interesują mnie ludzie. Pani Random, która tak się przejmuję sprawami polskimi (a przekonacie się, jak doskonale orientuje się w historii waszego kraju), bardzo chciała was poznać. Ja też, ja naturalnie też! Bardzo się cieszę! Alta przyniesie świeże bułki! Bardzo się cieszę!

— Przyznam się — powiedział Andrzej — że szliśmy tu z ciekawością, z obawą. Jesteście państwo pierwszymi Amerykanami, którzy zaprosili nas do swego domu.

— Oh! — powiedział profesor. — Pierwszymi? — zastanowił się. Wstał. Podszedł do barku i wyciągnął butelkę. Rozbijając лёд mruczał do siebie:

— Pierwsze wrażenia są niezmiernie ważne, wpływają na późniejsze ustosunkowanie się, rozczarowanie w takim momencie może doprowadzić do późniejszego *frustration*, które stanie się siłą niszczącą, deformującą życie, uniemożliwiającą zdolność konstruktywnego rozumowania. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że taka niszcząca siła może doprowadzić do psychozy, że również pacjenci cierpiący na paranoję...

— *Honey!* — zawołała Mrs. Random.

— Idę, szykuje tylko *drinki*, specjalne na cześć naszych przemiłych gości.

Ustawiając na stole wysokie szklanki, zwrócił się do Andrzeja.

— Dlaczego powiedział pan „przyszliśmy tu z obawą”?

— Nie znamy Amerykanów...

— I obawialiście się! — zawołała Mrs. Random. — Ja wiem, ja wiem nie mamy dobrej opinii na świecie. Bogaty wujek Sam! — to wszystko co w nas widzi Europa. Dolary! — to tylko widzą, nic więcej. Przekonacie się, że to nieprawda! Amerykanie mają serca! — klepnęła się

upięściowaną, wymanicuiowaną dłonią w źle osłonięty sukienką biust. — Amerykanie są czuli, wrażliwi, ofiarni. Ilu emigrantom umożliwiliśmy przyjazd! Ofiarowaliśmy im lepszy zarobek, wyższy standard życiowy.

— My nie przyjechaliśmy tu dla zarobku — powiedział Andrzej. — Nie jesteśmy emigracją zarobkową.

— Naturalnie! — przytaknął profesor. — Z wami możemy inaczej rozmawiać. Istnieje platforma wspólnego porozumienia. Przecież to od razu widać, od razu zauważyłem. Jesteście inni niż Polacy, których poznałem tu dotychczas, niż grupa polska w Monumental.

Mrs Random spojrzała uważnie na Andrzeja.

— Jako inteligenci powinniście na nich wpłynąć. Co sądzi pan o partii republikańskiej?

Andrzej uśmiechnął się.

— Zbyt krótko tu jestem.

— Pan powiedział, panie profesorze, że my jesteśmy inni — odezwała się Boga.

— Niewątpliwie.

— Ale to nie nasza zasługa.

— Zasługa wykształcenia.

— Nie tylko. Zasługa wychowania w okresie dwudziestolecia niepodległości kraju.

— Bo emigracja zarobkowa — przerwał Andrzej — ma kompleks niewoli. Ci ludzie wyjeżdżali z terytoriów polskich pod zaborami, a my jesteśmy produktem okresu niepodległości, wychowani w szkołach o wysokim standardzie naukowym. Należymy do pokolenia, które się wyzwoliło. Niestety, wyzwoliło się na to, aby zginąć. Jest to stracone pokolenie zagubione pomiędzy okresem niewoli, a drugą wojną światową.

— Tak, tak, my wiemy, przechodziliście tragiczne rzeczy...

Boga otworzyła usta, ale Andrzej podniecony, rozgrzany nie pozwolił jej dojść do słowa.

— Przepraszam cię, daj mi dokończyć!

Tuż obok profesor zajądał. Odłożył nóż i chwyciwszy wygodnie widelec w rękę nabijał na niego duże kawałki mięsa. Boga spojrzała na Mrs. Random — jadła tylko widelcem.

Gdyby Paweł, albo Marek spróbowali tak jeść, dostaliby po łapach — pomyślała.

— ...tak, tak, tragiczne rzeczy, *we are sorry*...

No i jak się zachować w takim momencie? Nie odpowiedzieć, uśmiechnąć się cierpiennie, czy tłumaczyć, że nie o to chodzi, że nie chodzi o współczucie, a zrozumienie. Czy gdybym mu powiedziała, że jestem sorry, gdyż on nie umie jeść nożem i widelcem, zrozumiałby?

Andrzej mówi: Wspominała pani, że Ameryka umożliwia przyjazd imigrantom, że powinniśmy być wdzięczni. Jesteśmy. Ale Ameryka powinna być wdzięczna nam. Imigracja, jak pani wie przecież, wpływa na rozwój ekonomiczny kraju. Imigrant przyjeżdża ze świeżą energią, często z zawodem nauczonym jeszcze we własnym kraju, przyjmuje pracę odrzucaną przez przeciętnego Amerykanina, nie domaga się zasiłków, chce być samowystarczalny. Imigrant jest konsumentem. Zatrudnia waszych lekarzy, kupuje żywność od waszych farmerów, ubrania dla siebie i rodziny, meble i przez wpływ na ekonomię kraju podnosi jego dobrobyt. Przyjeżdżamy więc jako sprzymierzeńcy z całą świadomością tego, że jesteśmy elementem pozytywnym.

— *That's right!* — krzyknęła Mrs. Random. — Ma pan rację! Daj mi rękę! *I want to shake your hand!* Nauczyła was ta szkoła dobrze, umiecie się bronić! — roześmiała się. Ale gdzie teraz jest wasze miejsce? Wy powinniście być tymi, którzy poprowadzą. Republikanie dobrze o tym wiedzą, republikanie doceniają rolę inteligencji imigracyjnej wśród mniejszości narodowościowych.

— Proszę pani, to są ludzie pełni kompleksów, uprzedzeń, żalów. W kraju usuwani byli na bok przez zaborców tutaj początkowo traktowani źle, to stare, stare drzewo, które niestety, zwolna obumiera. Mnie interesują młodzi: trzecie, czwarte, pokolenie...

Profesor Random siedział zamyślony. Odłożył nóż i widelec, bębnił palcami po szklanym blacie stołu patrzył przed siebie. Zanurzone w cieniu lustro odbijało tylko zarys jego głowy.

— Mówiliście o młodzieży, o waszym pokoleniu, a ja myślałem o młodzieży na naszych uniwersytetach. Obserwowałem ich: pokolenie ostatnich piętnastu lat. My jednak, mówię o ludziach w moim wieku, byliśmy inni...

— Bo, panie profesorze — przerwała Boga — każde pokolenie jest inne. My być może nie zrozumiemy naszych synów wychowanych w Ameryce...

— Drogie dziecko — profesor poklepał ją po ręce — nie o tym mówię! Ja wiem czego się obawiacie, ale to nie to! Myślę o obecnej młodzieży amerykańskiej. Jest to pokolenie *without a cause*. Nie interesuje ich polityka, ani sprawy społeczne. Mało odpowiedzialności, wygodne życie, dobry zarobek. My byliśmy nieco inni. *Hero of plenty* — oto kto jest bohaterem obecnej młodzieży amerykańskiej. *Hero of plenty!* — uśmiechnął się smutno. — Jak gdyby zapomnieli o wozach pionierskich, o zmaganiach się o życie, o walkach o zasady demokracji. Nie myślcie, że nie doceniamy imigrantów. Oczekujemy, że obudzicie na nowo ducha pionierów. Bo chociaż w tej chwili mamy najwyższy standard życiowy na świecie, zdaję sobie sprawę, że polityka izolacji prezydenta Wilsona już dawno straciła swój sens. Przekonacie się, że przyjdzie okres w którym Ameryka będzie zmuszona przyjąć przewodnictwo świata, nie materialne, nie zbrojeniowe, ale duchowe. Nasze idee demokracji, cała nasza kultura jest przecież u swoich podstaw europejska. U nas tylko nabrała nowej formy. Gdy Europa zacznie się chylić ku upadkowi, my musimy ją na nowo zapłodnić jej własną kulturą, która przechowała się u nas. Potrzeba nam ludzi takich jak wy, nie zmateralizowanych, borykających się z przeszkodami, o dobrze wykształconym *super ego*...

— Panie profesorze...

— Jesteście nam potrzebn! — zawołała Mrs. Random. — Możecie być iskrą!

Roześmieli się.

— My — powiedział Andrzej — w tym morzu amerykańskim...

— W was jest tyle świeżości...

Śmieli się. No bo skądże! Jacy oni są naiwni: ta kobieta-polityk i ten profesor-psychiatra. Ale wydawało im się, jak gdyby przyjeżdżali po raz wtóry.

Witajcie w wolnej ziemi Waszyngtona! Sięgamy nieba i od niego uczymy się górnolotnych słów powitania. Ulice, nasz zrab i podpora, są twarde i ślepe! Nie wierzcie ulicom!

Szli więc zanurzeni po kolana w chmurach, witani przez tych, którym niegdyś śniły się drapacze. W głębi nierozpoznana jeszcze, ale już odczuwana podświadomością różnica: szumu aut po asfaltowych jezdniach i ucichłego turkotu kół pionierskich wozów wysoko, ponad szczytami drapaczy.

— A gdzie jest nasze miejsce? — zastanawiała się Boga.

Wiedziała: ani tu, ani tam. Miejsce jest na chodnikach. Ale przecież tak mało ludzi spaceruje chodnikami amerykańskich miast.

Alta i George zebrali talerze. George'a zęby wymowniejsze niż oczy. Tego właśnie chcą od niego — uśmiechu. Teraz stawia przed gości mrożoną herbatę w wysokich szklankach. Profesor wycisnął plasterek *lime*. Spogląda na Bogę. Czy nie należałoby jej delikatnie powiedzieć, że *lime* nie wkłada się do herbaty, a wyciska? Ale zamiast tego mówi: A co z pani medycyną?

Boga spogląda na niego.

Czyżby poprzez profesora Random'a?

Na tym się jednak kończy. Rada: Trzeba się zorientować na tutejszych uniwersytetach. On sam już nie wkłada, nie ma żadnych możliwości.

Boga myśli: Przecież wiem doskonale i niczego się nie spodziewam, słowa powitania wystarczą.

— Dziękuję ci, Alta, obiad był doskonały! — Profesor klepie ją po ramieniu. Ostentacyjnie wsuwa dolarowy papierek w kieszeń fartucha. — Dziękuję ci, George, możecie już iść! George wyciąga rękę, że niby nie, ale w pogotowiu. Brunatna pięść zamyka zielonkawy papierek.

— *Thank you, sir! Good night sir!*

— Pokażę wam teraz moją kolekcję porcelany! — mówi Mrs. Random. Podnosi się posapując. Kolekcja filiżanek i talerzy podobna do urządzenia pokoju: obok antyków jarmarczna tandeta.

— No cóż, trzeba obejrzeć! — myśli Andrzej. Podnosi się.

Boga czyta umieszczone pod szkłem na stole wycinki z gazet. Są to wzmianki o Mrs. Random, albo też urywki przemówień, które pisała dla *Congressmen'ów*.

Boga zbliża się do kredensu, wyciąga rękę w stronę stosu gazet. Odskakuje. Ukryta w kącie, spłoszona wybiegła spoza nich szara, tłusta mysz. Przemknęła.

— A to jest polski talerz! — chwali się Mrs. Random.

5.

Marek nie chciał się podnieść z łóżka. Nie chciał jeść śniadania. Leżał cichutko, grzecznie, spokojny, patrzył przed siebie.

— Chory! — przeraziła się Boga.

Dotknęła ręką policzków, pleców, chwyciła przegub ręki, wyczuwała puls. Gorączka! Pobiegła po termometr, ręce jej drżały. Przez otwarte drzwi i okna tłoczył się upał. Wyciągnęła termometr — rtęć dojechała do 102.

Marek zakaszał. Zaziębił się, to zwykła grypa, zaziębienie, dam mu aspiryny. Dziecko oddychało ciężko.

Paweł bawił się w piasku. Od czasu do czasu przybiegał popatrzeć na brata. Dotykał jego ręki.

— Nie chcesz się bawić?

Marek zapłakał. Boga przybiegła.

— Nie dobrze mi! — skarżył się. — Zwymiotuję!

Dotknęła ręką głowy i pleców. Strzepnęła termometr.

— Jeszcze raz! — postanowiła. — Po aspirynie powinna opaść. Gorączka wzrasta. Chwyciła książkę telefoniczną, wyszukała numer.

— Pani Stokowska, — czy zna pani polskiego lekarza?

Stokowska podała nazwisko. Boga połączyła się z lekarzem. W słuchawce odezwał się głos:

— Podaj swoje nazwisko, telefon i adres i powód dlaczego telefonujesz, doktor później zadzwoni..

— Kiedy później? — krzyknęła.

— Podaj swoje nazwisko, telefon i adres...

— Dziecko ciężko chore!

— Doktor później zadzwoni.

— Jakto później, doktor musi przyjść zaraz!

— ...nazwisko, telefon i adres i powód dlaczego...

Oszalałam! Mówię do płyty! Przecież to głos nakręcony na płytę!

Zadzwonił! Kiedy zadzwoni?

Po południu Marek zaczął majaczyć, tracił przytomność. Andrzej wrócił wcześniej z pracy. Lekarz zatelefonował. Rzucili się obydwójce do aparatu.

— Sorry — powiedział — to nie mój *district*. Nie praktykuję w tej dzielnicy.

— Ale pan jako polski lekarz!

— Ni ma rady! — odpowiedział. — Niech idzie do doktora w swoim „dystrykcie”.

— To może być polio!

— To wziąć lekarza gdzie blisko, albo do szpitala.

Boga pobiegła na róg do apteki dowiedzieć się o najbliższego lekarza.

Podano jej dwa adresy, obydwóch lekarzy nie było w domu. Wracała zrozpaczona. Marek oddychał ciężko, pocił się. Pootwierali wszystkie okna, aby umożliwić przewiew.

— Zamykać okna! — ryknęła Mrs. Schultze z verandy — komary wlatują do domu!

Andrzej siedział przy telefonie. Mieli pecha, żadnego lekarza nie było w domu. Gorączka podjechała do 104.

— Trzeba go zabrać do szpitala — powiedziała Boga. — Jesteśmy bezradni.

Szpital! — przerazili się. Boga płakała. Co kilka minut zmieniała kompresy na głowie Marka.

— On mnie nie poznaje, Andrzeju, on mnie nie poznaje! Może jednak trzeba go zabrać do szpitala!

— Zaczekaj! — powiedział Andrzej. — Zatelefonuję do profesora Randoma.

— Czuję się, jak na bezludnej wyspie! — płakała. — Dziecko umierające i nie mogę dostać lekarza, nie mogę dostać żadnego lekarstwa tylko aspirynę. Apteka nie chciała mi nic sprzedać bez recepty.

— Czy mogę mówić z profesorem Randomem?

Paweł bawił się piłką na korytarzu.

— Przestań! — krzyknęła Boga.

Mrs. Schultze wałęsała laską w podłogę. Słysząc było, jak schodzi ciężko po schodach. Dopiero weszła na górę i już schodzi. Rąbnęła laską w drzwi.

— Zamknijcie okna!

— Mrs. Schultze — powiedziała Boga — dziecko jest bardzo chore.

Spojrzała na nią niewidząco mętnymi oczyma. Stało w pół-otwartych drzwiach.

— Zamknijcie okna, mówię, bo zawołam mojego syna!

— Random przysła lekarza! — powiedział Andrzej.

— Mrs. Schultze, dziecko chore, jest mu duszno, dusi się.

— Nie ruszę się póki nie zamkniecie okien. Ale wy wcale nie macie mebli!

— Proszę wyjść! — prosiła Boga.

Mrs. Schultze nie ruszała się.

— Proszę natychmiast wyjść!

Mrs. Schultze ruszyła się obrażona.

— Powiem panu Hermerein, poskarżę się panu Hermerein. Niech wam wymówi mieszkanie!

Andrzej przecierał Marka wilgotnym ręcznikiem. Pot spływał mu po twarzy.

— Kiedy przyjedzie? — szeptała Boga.

— Powiedział, że zaraz.

— Zaczekamy pół godziny i weźmiemy go do szpitala. Powinien natychmiast dostać zastrzyk auromycyny. A jeżeli to Polio?

Chodziła po pokoju tam i z powrotem, podeszła do Marka, liczyła puls: prędkie, nierówny puls. Spojrzała na zegarek. Jeszcze dwadzieścia pięć minut. Za dwadzieścia pięć minut telefonuje po taksówkę. Podniosła słuchawkę.

— *I am calling New York...*

— Tak, to ja — powiedział Żuławski — matki nie ma. Co się stało?

— Marek...

— Co mówi lekarz?

— Nie mamy lekarza.

— Jakto? Nie macie lekarza?

— No nie mamy, nie mamy, nie możemy dostać lekarza.

Doktor Litenstein przyjechał przed upływem pół godziny; mały, gruby, piegawaty, rude zwichrzone włosy, jak u pokracznego amorka.

— *Don't worry mother!* — powiedział.

Toczył się po pokoju tu, tam, od łóżka Marka do rozłożonej na stoliku lekarskiej torby.

— Polio? — spytała Boga.

Pomyślała: I po co przyjechaliśmy do Ameryki? Po co? Po co?

Mamy epidemię — powiedział lekarz — objawy podobne do pierwszego stadium, ale to tylko silna wirusowa angina. Daję zastrzyk antybiotyku. Tu są lekarstwa, łyżeczka co cztery godziny. Rano będę znowu, ale powinno być lepiej. Do widzenia, nie trzeba się martwić... zaręczam wam, że to nie jest polio.

Chwycił walizeczkę, uciekał.

— Panie doktorze — zatrzymał go Andrzej. — Ile się należy za wizytę?

— Nic! — wyrwał się — Nic!

Uciekał korytarzem, biegł do samochodu. Andrzej za nim. Przytrzymał go, przekonywał.

— Nic! — denerwował się lekarz. — Nic od was nie chcę!

— Nie będę miał odwagi zatelefonować do pana — powiedział Andrzej. — I z jakiej racji, dlaczego?

Doktor Litenstein oparł się o swój elegancki, długi samochód. W tym kontraście jego brzydota ujawniła się jeszcze bardziej: był śmiesznie, rozczulająco, nieporadnie brzydki.

— Dlaczego? — uśmiechnął się. — No dobrze, powiedział, dobrze. Trzy dolary nie za dużo? Telefonujcie o każdej porze. Gdyby mnie nie było w domu, jestem w klinice, albo w mieście w moim gabinecie, jeśli tam mnie nie będzie jestem w sanatorium dzieciennym, zostawcie *message* sekretarce. I nie martw się, zaręczam ci jutro będzie lepiej, nie martw się *daddy*.

Przez całą noc siedzieli przy Marku. Noc kleista, wilgotna, grząska niby rozgrzane lepkie błoto. Nad ranem gorączka nieco opadła.

— Nie znamy ich — westchnęła Boga. — Weź na przykład takiego doktora Litensteina.

— Cóż ty chcesz, to nie takie łatwe. Zresztą nie ma jednej Ameryki, jest wiele, wiele Ameryk i nawet jak ich poznamy...

— No dobrze, ale w jaki sposób ich poznamy?

— Czy ja ci nie wystarczam? Masz dzieci, urządzi-
my się lepiej...

— Tak, ale...

— No to co chcesz?

— Nie wiem, nie wiem jak ci to wytłumaczyć.

— Że co?

— Zaczekaj, przetrę Marka rącznikiem, zdaje mi się,
że gorączka opada.

Andrzej myśli: Jutro idę do fabryki. Gdzie tam jutro,
dziś! I ledwo mogłem ustać na nogach w tym upale. Na-
wet się nie spytała. No nic, nic, najważniejsze, żeby Ma-
rek wyzdrowiał.

Oparła mu ręce na ramionach.

— Jesteś zazdrosny — szepnęła.

— O co?

— Są dwie istoty we mnie: kobieta i człowiek.

— Wybieram kobietę.

6.

— To tak mieszkacie? — powiedziała Żuławska.
Zmarszczyła nos.

— A co nie podoba ci się?

— No nie, ładnie... ładnie. Ale ta piwnica! Gotu-
jesz w piwnicy, jedzenie w piwnicy. Czy to zdrowe dla
dzieci?

— Wyprowadzimy się — powiedziała Boga. — Nie
dlatego, że piwnica, tylko że mamy dość tej Mrs. Schultze
na górze. Gdybyś została trochę to mogłabym poszukać
lepszego mieszkania.

— Może zostanę na kilka tygodni. Marka trzeba
odkarmić po tej chorobie. Krytyczne spojrzenie na Bogę:
Za dobrze to wy nie jecie!

Po zgiełku Nowego Jorku Żuławska oddycha w Mo-
numental.

— Prawda, że to niebrzydkie miasto? — pyta Boga.
Chciałaby poparcia, zapewnienia, że nie wylądowali znów
tak źle.

— Może i niebrzydkie — odpowiada Żuławska, ale w dalszym ciągu marszczy nos, jakby ją mierzcił zapach zatoki, a może ulica, może jej własne aspiracje przymierzone do rzeczywistości, w której obraca się jej córka.

— Czy Wojtek was nie odwiedzał?

— Owszem był — mówi Żuławska. — Pokłócili się z ojcem. Ojciec widzisz, radzi mu rozsądnie, aby zerwał ze Stronnictwem.

— No tak, ale ma chociaż jakichś przyjaciół. Weź Andrzeja... Popatrz jak on pracuje! Nigdy się tam z nikim nie zaprzyjaźni, bo o czym mają mówić poza pracę? Więc właściwie jest nas tylko dwoje, ta praca, my i dzieci. Gdyby powiedzmy nostryfikował studia...

— A on nie chce?

— On mówi, że kto utrzyma dom. Ja poszłabym do pracy, ja chętnie poszłabym do pracy. Czekaj, może jak tu jesteś to spróbuję? Nie myślę już nawet o medycynie. Cokolwiek! — zapala się. Pójdę, pokażę mu, że mogę zarobić, a niech on studiuje! A może przeniesiecie się tu? Nie? Ale chociaż teraz, kiedy ty tu jesteś, spróbuj! Zaraz pobiegnę, kupię gazetę.

Wybiega, najbliższy *drug store* daleko, daleko, aż na dziesiątym skrzyżowaniu ulic. Biegnie podniecona, niecierpliwa.

— Więc tak — projektuje. — W przyszłym roku dzieci pójdą do przedszkola, Andrzej zacznie uniwersytet, a ja do pracy! Biegnie prędko, jak gdyby w narożnej małej aptece czekała odpowiedź na pytanie: Jak przeciąć izolującą ich obręcz? Jakby tam, zamiast łyku Coca-coli miała pokosztować smaku Ameryki. Której Ameryki? Wiele jest Ameryk, która z nich prawdziwa?

Boga poznaje już pierwszą. Jest to Ameryka imigranta: samotność.

7.

Zrzucały prześcieradła i stawały przed nią nagie. Stojąc tak wydawały się samotne, niepewne, niemal że pokorne. Pozbawione ubrania — ich parawanu i legity-

macji, wskaźnika ich przynależności klasowej — bose, bez biżuterii i szminki stawały zażenowane swoim ciałem, bardziej ludzkie, zrozumiałe.

Boga oceniała biodra, brzuch i pośladki — to było najgorsze, z tym trzeba było się uporać. Rozścielała prześcieradło na miękkim, obitym ceratą stole. Zaczynała masować twarz, kark, potem palce stóp — drobne kółeczkowe ruchy, coraz szybsze, obydwie ręce ogarniały stopę, chwytaly mięśnie łydki, *Tibialis Anterior i Extensor Digitorum Longus* trudne do uchwycenia, ale za to używała sobie na dwóch grubych brzuchach *Gastrocnemiusa*. Już po kilku pierwszych ruchach zaczynały ją pytać.

— Gdzie się pani nauczyła masażu?

— *Europe!* — odpowiadała.

Była to oczywiście nieprawda. Masażu nauczyła się w domu Mr. Hermereina na Pięknym Wzgórzu z podręcznika szwedzkiego masażu, wypożyczonego w bibliotece publicznej. Jej cudziemski akcent nie tylko nie zniechęcił zarządzającej salonu, ale zaangażowała Bogę prawie że przez telefon. Zakład odchudzający „Jazelle” mieścił się w centrum zakupów eleganckiej podmiejskiej dzielnicy. Już w hallu stopy natrafiały na miękkość dywanu, odurzał zapach perfum, uczucie zapadanie się w miękkie, wygodny fotel.

Było ich cztery: Ann — duża, silna nigdy nie zmęczona Rosjanka, która przenosząc się z jednego zakładu do drugiego ciągnęła za sobą klientki; Francis — chuda, stara i narzekająca; Helen — przyjeżdżająca z daleka, z okolicznej farmy i Boga. Czteroosobowy zespół w białych fartuchach przystępował pracy. Jak w piekarni wałkowały na stołach żywe ciasto.

Zarządzająca siedziała za kasą i rozmawiała z klientkami. Właścicielka, Mrs. Pupon, zjawiała się rzadko. Jeśli przychodziła poprzedzał ją szofer-Murzyn ubrany w granatową liberię. Wtedy wylękniona, wymizerowana Miss Francis wychylała się poprzez szklaną przegrodę swej kabiny i ostrzegała Bogę:

— Mrs. Pupon!

Bała się, wyczuwała, że lada dzień ją zwolnią. Była już za stara do masażu, a dotyk jej dłoni szorstkich, praca jej sztywnych, kościstych palców — odstręczały klientki.

— Gdzie nauczyła się pani masażu? — pytały.

— *Europe* — odpowiadała Boga.

— Och — szeptały znosząc cierpliwie mocne kłapięcia w wydatny *Gluteus Maximus*. — Co za masaż! Nikt nigdy nie robił mi takiego masażu!

Pracowała bez przerwy. Co 45 minut nowa klientka rozgrzana w parówce, natarta solą, obmyta wodą z prysznicu zrzucała prześcieradło w kabinie. Przyglądała im się z bliska: pokrzywionym palcom stóp, opuchłym kostkom, żyłakom zniekształcającym łydki, pośladowanym brzuchom, obwisłym płaskim piersiom. Były zmęczone. Kładły się na stole, przymykały oczy pod zimnymi kompresami z waty.

— Odpocząć — szeptały. — *Relax...*

Wydawało się, jakby wpadły tu wyrzucone z rozpędzonej karuzeli. Pod dotknięciem jej ręki uspakajały się stopniowo, gawędziły sennie o swoich codziennych kłopotach. Leżąc tak nagie, świadome swej nieforemności, brzydoty wiedzącego ciała, której nie mogły ukryć, były zwykłe, łatwe do zrozumienia, bezbronne. Obciążone gorsetami, w sukniach i „*make-up*”, śpieszące do zaparkowanych samochodów, wypisujące czeki przy kasie natychmiast stawały się inne — to były już Amerykanki. Boga myślała: Dotknęłam tylko skóry.

Miss Francis siedziała na stole w swojej kabinie, jadła śniadanie, popijała kawą z termosu, mówiła:

— W Ameryce kosmetyka nie popłaca. Nie znają się. O widzisz na czym zależy tym wszystkim babom: schudnąć, schudnąć! Cieszą się, gdy stracą jedną uncję, ale przecież wiadomo, nie stracą jej od masażu. Gdyby nie żarły tylu *steak'ów*...

Nie lubiła swoich klientek. I może dlatego wymówiono jej. Bez uprzedzenia: z jednego dnia na drugi.

Mrs. Pupon wtoczyła się do zakładu. Była tęga, różowa i złota, na jej palcach tłoczyły się pierścionki. Nie rozmawiała z Francis. Przysłała swego sekretarza. Rozprawa była krótka. Francis zabrała swoje fartuchy, nie powiedziała nawet *good bye* — po prostu wyszła i nie wróciła. Miss Ann i Miss Helen masowały klientki. Uśmiechy na rozgrzanych twarzach, ani słowa o Francis. Nie mówi się o tych, którzy odchodzą. Nie mówi się także z tymi, których wybrała Mrs. Pupon, a Mrs. Pupon wybrała Bogę.

— Poprosiła czy nie zrobiłabyś jej masażu u niej w domu? — powiedziała zarządzająca. Szofer po ciebie przyjedzie, będziesz miała cały dzień wolny. Boga pojechała.

Z rozmów w zakładzie wiedziała o Mrs. Pupon — milionerka.

— Ten zakład to nic! — mówiła Francis — to tylko pretekst, ucieczka od podatków, ale każdy w Monumental zna ją, wiadomo kto to. Jedna z najbogatszych obywaterek miasta. I taka gruba! Przecież ją ten tłuszcz i nadciśnienie wykończy.

Nareszcie, smak Ameryki, tej widzianej oczami Europy z drugiego krańca oceanu: czarna limuzyna, szofer w liberii i gdzie ja to jadę? — myśli Boga. — Do Mrs. Pupon, milionerki z Monumental City. Jadę wytrześć ją umiejętnie w przerosłe tłuszczem pośladki. Masaż, masaż... dwa tygodnie temu nie umiałam masować. Odejdzie tak prędko, jak przyszło. Ale warto jest zostać masażystką, aby przypatrzeć się z bliska Mrs. Pupon i zapamiętać.

Jechali na północ. Szosa zrazu wąska rozszerzyła się, stała się dwustronna.auta miały się z cichym szumem — puchate, miękkie ptaki. Drzewa podbiegały do szosy, goniły ją błękitne krzaki hortensji. Po korze drzew spływała gęsta żywica upału. Białomalowane wille w ogrodach, pałacyki wsparte na kolumnach, bogate, nowoczesne synagogi, trawniki, trawniki, trawniki... Było to samo miasto ciągnące się milami, kapryśne, rozszerzające się coraz dalej, uciekające od centralnego punktu i dawnego splendoru — Monumentu Waszyngtona. Zobaczę jak mieszkają Amerykanie, których wartość określa się walutą. Ach żeby mieć takie auto na własność! Ile to trzeba by zarabiać?

Andrzej tnie twardy papier nożycami, ma już odciski na palcach. O tej porze wczesnego popołudnia upał i zmęczenie odczuwa się najwięcej. Z nowego Jorku przyjechali dyrektorzy zarządzający koncernem fabryk. Fabryka Goldfredera jest tylko jednostką, a on udziałowcem, lokalnym dyrektorem. Dyskutują głośno, przebiegają piętra. Hałaśliwi, elegancko ubrani, wypoczęci. Andrzej przygląda się: Ci mają forszę! Pieniądze przyszły do nich, nawet nie potrzebowali przebijać się przez uniwersytet. Jutro poproszę o podwyżkę! Nie mogę tak harować za pieniądze,

które ledwo starczą na utrzymanie i mieszkanie. Chcę też trochę luksusu! Chociażby zacząć oszczędzać na jakiś używany samochód.

Irena idzie z Reginą Broadway'em. Irena mówi:

— Musimy raz skończyć z chałaciarzami! Zrobię duże, eleganckie przyjęcie i zaproszę tylko tych „lepszych”. Jak już wydam pieniądze, to niech się opłaci!

— To jest myśl! — przytakuje Regina. — Tylko ja nie mogę się z nimi porozumieć po angielsku!

— To idź do szkoły na wieczorne kursy. Nauczysz się, to robi dobre wrażenie.

— Pójdę, dlaczego nie? Pójdę!

— Z dziećmi też będziesz mogła lepiej mówić.

— Pewnie!

— Teraz Dzidek dostał podwyżkę, to zaproszę jego boss'a. Przyjdzie?

— Trzeba mu kupić prezent.

— Za ile trzeba mu kupić prezent?

— Jakie trzydzieści dolarów, będzie dość. A co on chce?

— Dzidek mówi, że on mówi, że jego żona chciałaby samowar.

— A ja ja jaja! Ona ma apetyty! Ile taki samowar może kosztować?

— Ile będzie kosztować naprawa samochodu? — myśli Zygmunt Gertz.

Idzie na spotkanie z Finkiem w restauracji chińskiej.

— Kiepsko wyglądasz! — przygląda mu się Fink.

— Jak „szrympy”?

— Ech...

— Mam dla was kontakt! Pamiętacie tego pastora co się wycofał?

— On się jeszcze nie wycofał...

— Ale ja mam innego, ten jest Baptystą. Chce zainwestować pieniądze.

— Ile?

— Tu macie telefon, zaprosicie go do domu. Małe przyjęcie rodzinne, świece na stole, wasza pani potrafi, o interesach na razie nic... Nie ma co dziękować, ja mam swoją prowizję jak dojdzie co do czego...

— No i nic z tego — powiedział Zuławski. — Nic z tego wynalazku! — Spostrzegł się, że mówi sam do siebie. Kiedy ta Helena wraca? Jak długo ma zamiar siedzieć? Nie ma komu się zwierzyć z fiaska, kompletnego fiaska puszki-samogrzejki. Niby wiedziałem, ale do ostatniej chwili nie mogłem zupełnie uwierzyć w taką przewrotność ludzką, dopiero dziś, jak mi powiedział w oczy. Miał odwagę patrzeć w oczy! I co on mi tu będzie opowiadał, że zgubił papiery! Sprzedał łajdak, przehandlował. Nie trzeba go było puszczać samego! A, żale po niewczasie, już dawno wiedziałem, nie ma co powracać! Ale gdyby można było polegać na Wojtku!

— Wojtek! — zawołała Ewa — Wojtek, chcesz, żebym szła na kolację z tymi przedstawicielami Wolnej Europy, zapraszacie ludzi, a buty? Patrz! Patrz! Chcesz żeby szła w takich butach!

— Co chcesz od tych butów?

— Nie widzisz? Te wykrzywione obcasy! Jak długo mam tak chodzić ubrana? To są buciki?

Łup, łup! — Ewa rzuca buty na środek pokoju.

— No nie mam...

Bo nie chcesz! Idę do pracy! Boga pisała, że pracuje, ja też idę do pracy!

— Ile chcesz na buciki?

Szofer skręcił na lewo, w boczną alejkę. Zielona firanka liści, cień. Zatrzymał się przed długim, różowobiałym *ranch house*.

— Stodoła — pomyślała Boga — wcale mi się nie podoba, nie ma stylu.

Ze stołowego pokoju otwarte drzwi do kuchni. Dwie Murzynki: jedna w niebieskim, druga w białym fartuchu. Trzepią językami przed lodówką.

— Dajcie mi jeść! — powiedział szofer.

Sekretarka przymknęła drzwi od kuchni.

— Chwileczkę — uśmiechnęła się do Bogi. Wróciła do odłożonej na stoliku słuchawki telefonicznej.

— Mrs. Pupon jest teraz zajęta. Za godzinę, dobrze za godzinę.

Proszę iść za mną! — powiedziała do Bogi.

Ciężkie nowoczesne meble i lustra. Wrażenie ściętych pni drzew odbitych w sadzawce. A gdzie smukłość i wdzięk gałęzi?

— Mrs. Pupon kąpie się, proszę zaczekać.

Boga rozejrzała się po sypialni. Jedna jej ściana była oszklona szybą nieprzejrzystą z zewnątrz, ale ta świadomość nie wystarczała. Boga czuła się skępowana, nie otoczona, wydawało jej się, że nie ma żadnej granicy, że sypialnia przechodzi bezpośrednio w ogród i aleje po której kręcił się ogrodnik. I jak tu masować Mrs. Pupon na widoku publicznym? Gdyby chociaż zasunęła firanki.

— *Good afternoon* — powiedziała Mrs. Pupon. — Wyszła z łazienki otulając falujące ciało szlafrokiem. — Jeśli chce się pani przebrać, to proszę powiesić ubranie w szafie.

Szafa była niedużym pokojem. Wzdłuż ścian biegły półki i wieszaki zastawione, zablokowane sukniami i butami Mrs. Pupon.

A oto ona sama leżała przykryta prześcieradłem na ogromnym, złożonym łożu gruba i brzydka.

— Po co tu przyszłam! — wzdrygnęła się Boga. — Ucieknę. — Potężny brzuch wystawał spod prześcieradła. Ona jest ohydna!

— Drogie dziecko — powiedziała Mrs. Pupon — tak się źle czuję. Myślałam, że może masaż mi pomoże. Nie męcz się zbyt wiele, gdybyś tylko mogła wymasować mi krzyż.

Leżała bezbronna. Wielka żaba. Zamknęła swoje nieco wylupiaste oczy, podbródek obwisał worowato. Boga wahała się wiedząc, że leżąc tuż obok kobieta odczuwa jej wahanie i niechęć. Dotknęła rękami skóry — niechęć ustąpiła. Przyglądała się twarzy: Była to twarz zmęczonej, starej kobiety, blada, nalana, bez szminki. Tak wyglądają czasem drugorzędne śpiewaczki, które nie umieją pogodzić się z końcem swojej kariery.

Sekretarka zapukała, weszła do pokoju.

— Czy może pani przyjąć telefon?

— Teraz nie! — jęknęła Mrs. Pupon.

— To ważne!

— Teraz nie. Muszę przecież trochę odpocząć.

Pod wpływem masażu policzki Mrs. Pupon zaróżowiły się.

— Kiedy byłam młoda — powiedziała — jeździłam do Europy. Chciałabym pojechać, ale doktor mi nie pozwala, mówi, że mogę nie przetrzymać. — Odwróciła się na brzuch. Jej wielkie pośladki sterczały ponad niskie oparcie łóżka. Mówiła unosząc głowę, głosem zniekształconym,

— Wtedy, kiedy wydaje ci się, że masz wszystko, właściwie nie masz już nic...

Boga masowała przestrzenie międzykręgosłupowe, dokładnie, starając się wywierać nacisk na korzonki nerwowe.

— Dotykam tylko skóry — myślała — nagiej skóry, ale już przez nią mogę wyczuć mięśnie i pulsowanie krwi.

— Dziękuję pani! — Mrs. Pupon okrywała się teraz wstydliwie prześcieradłem. — Szofer odwiezie panią do domu.

Sięgnęła po torebkę.

— Dziękuję! — powtórzyła podając jej dziesięciodolarowy banknot. — Była nieco zażenowana, ale gdy sięgnęła po telefon wołając sekretarkę, głos jej zabrzmiał arbitralnie.

— Tak wcześnie wróciłaś? — ucieszyła się Żuławska. Siedziała z chłopcami na werandzie.

— Przyjechałaś samochodem! — zawołał Marek. — Kiedy kupimy sobie samochód?

— Masowałam właścicielkę zakładu.

— No i co?

Boga oparła się o poręcz werandy.

— Zarobiłam dziesięć dolarów.

— Co nam kupisz? — zawołał Marek. — Dasz nam też trochę?

— Cicho bądź teraz! — Żuławska podeszła do Bogi.

— Co się stało?

— Nic...

Wpatrywała się badawczo w jej twarz.

— Co się stało? Żle cię przyjęła? Żle się zachowała? Dlaczego jesteś niezadowolona?

— Nie. Tylko to wszystko jest nie to, co ja bym chciała. Chcę czegoś, szukam czegoś i nie umiem znaleźć swego miejsca.

— Nie masz co szukać, bo ja i tak wyjeżdżam.

— A może przyjechałobyście na stałe do Monumental?

— Może... Ale ty mi nie powiedziałaś prawdy. Co się stało?

Nie odpowiedziała. Twarz w cieniu, patrzyła przed siebie.

— Ameryka — uśmiechnęła się wzgardliwie. — Nowa ojczyzna...

Zwinięty rulon gazety upadł na werandę.

— O.K.! — krzyknął gazeciarz. Zniknął za rogiem.

Podniosła gazetę, rozłożyła. Poprzez pierwszą stronę biegły tłuste litery napisu. Początkowo nie mogła go odczytać, litery były dziwaczne, pozakręcane.

— Gdzie ja to widziałam? — szepnęła.

La science n'a pas de patrie.

Gdzie ja to czytałam? Nauka o czym, nauka czego...

Może...

Mrs. Schultze głośno tupiąc zeszła na werandę.

— O już mamy wieczorną *Star* — wyciągnęła rękę.

Co nowego? Jak się czujesz?

Zapomniała już o niedawnych urazach, uśmiechała się swymi mętnymi oczyma.

— Dlaczego nie przyjdiesz kiedyś do mnie na górę pogawędzić?

Nie czekała na odpowiedź. Usiadła ciężko na plecionym fotelu, pochyliła się i zwierzał pół-szeptem:

— Mój syn, oho! — spłacił już swój dom i samochód i ma pełno pieniędzy w banku. Yes, sir! Ma pełno dolarów na koncie.

CZĘŚĆ DRUGA

I.

Aleja Północna przecina miasto na część południową chylącą się ku morzu płataniną coraz to drobniejszych, nędzniejszych uliczek i na część północną obrosniętą zielenią, pnącą się ku górze, bujającą na wszystkie strony świeżymi pędami nowoczesnych osiedli. Z miesiąca na miesiąc, z roku na rok miasto stopniowo przesuwa się na północ. Fala za falą odpływa i jak na wielkim sicie zostają tylko ci najślabsi, najbardziej oporni, najubożsi. Wędrówki ludów. Odchodzą pozostawiając całe dzielnice; kościoły, które przez lata służyły parafianom, pustoszeją. Na północ! Z wygodnych mieszkań, ustabilizowanych domów uciekają, aby wtłoczyć się w nowoczesne klatki osiedli na przedmieściach. Poza tymi, którzy odchodzą i na ich miejscu rozrasta się, rozplywa masa kolorowych. Wystarczy, aby wyciągnęli ciemną, zaborczą rękę w kierunku jednego tylko domu nowej ulicy, aby udało im się odkupić jeden tylko jedyny dom, a już cała ulica wyludnia się w popłochu. Murzyni! Murzyni!

W okresie najgorszym, gdy latem południowy wiatr nawiewa zgniłe powietrze z zatoki, mieszkańcy południowej części miasta przesiadują do późna w noc na schodkach swoich domów, podczas gdy w dzielnicy północnej, która oddycha przestrzenią szerokich alej, rodziny odpoczywają w ogródkach, albo na wysoko wzniesionych ponad ulicę gankach. Nawet zimą śnieg jest bielszy w tej stronie miasta, a jego schludność orzeźwia i nie chłodzi tak, jak cuchnące błoto dzielnicy południowej.

Aleja Północna jest jeszcze neutralna, chociaż już boczne uliczki zaczynają podpływać najpierw białymi wynajmującymi umeblowane pokoje na miesiąc albo tydzień, przybłędami, przybyszami zewsząd, przelotnymi gośćmi miasta, niebieskimi ptaszkami, którzy dziś tu, jutro tam, dziewczętami z prowincji, które chcą w wielkim mieście pokosztować smaku życia, a potem za nimi ciągną kolorowi. Jeszcze nie doszli do Alei Północnej, ale już przyczajają się coraz bliżej... bliżej. Wystarczy przejść kilka ulic. Kolorowy, półnagi drobiazg, nieświadomy jeszcze różnic rasowych, bawi się po rynsztokach. Już przerabiają narożne sklepiki na kościoły i grube ciemne kobiety-kapłanki egzotycznych sekt, wysiadują na plecionych krzeselkach przyglądając się kręcącym się w koło parafianom.

Skąd o tym wszystkim mogli wiedzieć Żuławscy? Czy im kto powiedział? Czy ich kto nauczył? To są sprawy, o których się z nikim nie mówi, milczące porozumienie, które trzeba odczuć, rzeczy, które można zauważyć wrastając w miasto. Wyrzuciło ich tu po prostu. Żuławski dostał najpierw pracę jako nocny kasjer. Pieniądze oszczędzone w Anglii topniały i trzeba było natychmiast je ulokować. Myśleli o zabezpieczeniu kapitału i o skromnym chociażby dochodzie. Nie znali się na niczym, miasto wydawało się obce, świat wrogi, ludzie nieprzystępni. Żuławska umiała gotować, kupili więc restaurację przy Alei Północnej i już... ugrzęźli.

Restauracja? No nie, to naprawdę nie jest żadna restauracja w rozumieniu Europejczyka. Mieści się na niskim parterze narożnego domu przy Alei Północnej i Prezydenta Jacksona. Parter jest tak niski, że trzeba schodzić do niego po trzech stopniach. Uczniowie ze Szkoły Wyższej, po drugiej stronie ulicy, nie uznają tych stopni, ale skaczą wprost w głąb restauracji i wtedy Żuławski chwyta się za głowę i krzyczy, jakby wydawał rozkazy kompanii wojska:

— *Slowly! Be careful!*

A czasem wyrzuca uczniów zniecierpliwiony, czerwony z podniecenia:

— *Get out! Get out!*

Wtedy Żuławska nadbiega z kuchni i uspakaja go:

— Józiu, to przecież są klienci.

Na Aleję Północną wychodzi tylko jedna nieduża wystawa, na której jest reklama lodów z uśmiechniętą krową kiwającą głową przymilnie, jakby chciała zachęcić gości. Dwa długie okna wystawowe są od ulicy Jacksona. Dół wystawy sięga niemal chodnika, trzeba się nieco pochylić, aby przeczytać menu. Żuławski odbija je codziennie na maszynie, po gwałtownych dyskusjach z żoną. Menu przygotowuje systematycznie, ale też wyczynia przy tym przeróżne ceregiele, jakby menu to było Bóg wie co, a błąd w nim — koniec świata. Przez długość szyby biegnie czerwony neon napisu: „Coffee Dan's”, nazwa nie wiadomo skąd przyplątana, odziedziczona razem z restauracją, niezmienna przy nieustającej zmianie właścicieli. Ale na samej górze, równo z wielkimi literami COCA COLA czerwieni się też inny napis *Luncheonette* i to jest właściwa nazwa i legitymacja restauracji Żuławskich. W rozmowach między sobą, albo w rozmowach z Bogą i Andrzejem używają nazwy uproszczonej, łatwiejszej mówią:

Lanczeneta. Idziesz do lanczenety? Byłaś w lanczenecie?

Na szybie drugiej wystawy umieszczono drobnymi, złotymi literami nazwiska właścicieli: Józef Żuławski, a poniżej: Helena Żuławski. Tak trzeba, takie jest prawo. Ale banda wyrostków ze Szkoły Wyższej dojrzała, i teraz Żuławski cierpi.

— *Hi Joe, give me a coke Joe!*

— *I am not Joe for you!* — pieni się Żuławski. — MISTER... mister Joe! Rozumiesz?

— *Sure Joe*, nie denerwuj się. *MISTER Joe!*

— Słuchaj, Józiu, — łagodzi Żuławska — przecież to są klienci.

— Klienci za pięć centów!

Żuławski chwyta czerwona muchobijkę i opęda się od natarczywości uczniaków.

— *Get out!*

Uciekają pokazując mu język.

O piątej rano odzywa się budzik w sypialni Żuławskich. Józef podrywa się. Przywykł do rannego wstawania i wczesnych pobudek. To nie jest najgorsze. Za oknami jeszcze szaro. Jeśli ma czas zerknąć przez szybę, napotyka tam natychmiast swego wroga: ogromny budynek Wyższej Szkoły dla Chłopców.

— Psiakrew — mruczy do siebie — dziś zamknę drzwi na klucz, albo nie, pójdę i porozmawiam z dyrektorem, to już przechodzi ludzką wytrzymałość.

— Helenko! — budzi żonę.

— Co? Co chcesz? — odpowiada półprzytomna.

— Jeżeli Sally nie będzie to zaraz telefonuję.

— Dlaczego nie będzie?

— Wydawało mi się, że widziałem ją wczoraj w barze.

— To wołaj Marian! Daj mi pospać!

— Dać ci pospać! To dobre!

— Człowieku, uszanuj cudzy sen!

— A mój kto uszanuje? Mówiłem, żeby nie jechać do Ameryki.

— To wracaj do Anglii, albo idź już, idź do diabła, daj mi spać!

Żuławski przechodzi cicho do łazienki, aby nie zbudzić wnuków. Robi to nie tyle z ostrożności ile z obawy, że się rozkrzyczą. Golenie przywraca mu spokój i równowagę. W mieszkaniu jest cicho. Przez uchylone drzwi widać dwie śpiące, wypięte pupy bliźniaków. Pomiedzy nimi rozłożony na grzbiecie pies. Otworzył jedno oko, machnął przyjaźnie ogonem i śpi.

— Ty leniu — mruczy Żuławski.

Drzwi od sypialni Bogi i Andrzeja zamknięte.

— Narzekają, a gdyby im przyszło wstawać o tej porze, i to w MOIM wieku! Jeśli Sally nie przyjdzie — myśli i otwiera drzwi na klatkę schodową. Zamyka je ostrożnie sprawdzając kilka razy klamkę. Nigdy nic nie wiadomo. Na klatce schodowej jest mroczno. Żuławski jeszcze raz wraca i sprawdza zamek.

— Śpią tak — mruczy — że można by całe mieszkanie obrabować, albo niech by pożar! Bliźniaki próbowały wczoraj zrobić ognisko pod tapczanem i gdyby nie poczuł dymu, nie spostrzegł...

Na pierwszym piętrze przystaje na chwilę. Jest tu lokal zajmowany przez biuro. Od pewnego czasu urzędnicy skarżą się właścicielowi na hałasy w mieszkaniu Żuławskich.

— Co tam się dzieje? Co za przesuwanie mebli — narzekają — Nie można pracować.

Józef wie dobrze, że to nie meble. Bo jakie tam oni mają meble — stare graty z licytacji.

To bliźniaki, Marek i Paweł, w dniach wolnych od przedszkola harczą z psem po korytarzu. Ale czy można ich oduczyć? Czy można im zwrócić uwagę?

— Wyrzucą ich kiedyś do cholery i już! Po co ja przyjeżdżałem do Ameryki! — denerwuje się.

Ostatnia domowa troska pozostaje za nim w mroku klatki schodowej i zaraz zjawiają się inne.

Jeżeli Sally upiła się wczoraj...

Ale Sally chuda i długa, blade soliter w fartuchu kelnerki, już czeka przed drzwiami „lanczenety”.

— *Good morning colonel.*

Zuławski nie dostrzega jej podbitego oka. Oddycha z ulgą.

— *How are you, Sally?*

— *Very well, thank you, colonel.*

Z nadjeżdżającego autobusu wysiada zadzierzysta Murzynka o szerokim zadzie.

— Hi, Mr. Z. — mruczy.

— *Good morning, Lu* — odpowiada Zuławski.

Jest pewien, że Lu wyniosła wczoraj z kuchni całą paczkę mrożonych kotletów cielęcych. Mało się nažera w kuchni? To wszystko nie! Jeszcze wynosi i karmi kradzionym całą rodzinę. Ale powiedzieć? Odejdzie. Obrazi się. I co? Znowu bez kucharki!

— Ci pracownicy amerykańscy! — przeklina w duchu Zuławski otwierając zamek drzwi. Zdejmuje z szyby napis: CLOSED i zawiesza inny karton z wykalgrafowanym na nim OPEN.

Jest za kwadrans szósta. Niedługo zjawia się pierwsi klienci.

Za kwadrans siódma odzywa się budzik w sypialni Bogi i Andrzeja. Andrzej wyciąga rękę i wdusza guzik. Cisza jest jak łagodny wiatr, ale pełna niebezpieczeństw ponownego zaśnięcia.

— Urodziłem się na to, aby być bogatym — mruczy z cicha — i taki za... los.

Wstaje na palcach, aby nie obudzić Bogi. Jej długie, popłatane we śnie warkocze tworzą ciemną plamę na po-

duszcze. Ostrożnie, niemal unosząc się w powietrzu wsuwa się do pokoju chłopców. Małe pupy w pasiastych pyjamach tkwią nieruchomo w fałdach odrzuconego koca. Andrzej sprawdza ręką prześcieradło.

— Marek nie zlał się. Dzięki Bogu! — uśmiecha się radośnie. Podnosi z podłogi poduszkę i delikatnie wsuwa ją pod głowę syna. Pies otwiera oczy, ziewa, macha przyjaźnie ogonem. Przeciąga się, zeskakuje z tapczanu, wzdryga się otrząsa, jakby wyszedł z kąpieli.

— Nie wstydzisz się? — szepcze Andrzej — nie wstydzisz się Kapitanie?

Pies ziewa szeroko, jego żółtawe u nasady zęby pozostają obnażone w powitalnym uśmiechu. Przytula łeb do ręki Andrzeja.

— Markowi kupię osobne łóżko — myśli Andrzej — w przyszłym miesiącu, nie za dwa miesiące. Za dwa miesiące na pewno.

W kuchni nalewa wodę do imbryka i stawia go na gazowej kuchence. Gdy kończy śniadanie, podrywa go okrzyk Bogi:

— Telewizja! Znowu jesteście przy telewizji!

To bliźniacy zsunęli się cichaczem z łóżka i półprzytomni ze snu, czupryny potargane, siedzą obydwoj w kucki wpatrzeni w ekran aparatu telewizyjnego.

— Dalej, myć się! Marek, Paweł, śniadanie! Spóźnicie się do przedszkola. Prowadzi ich obydwoch opierających się, wierzgających sześciolletnimi, okrągłymi nóżkami, do kuchni. Rozstawia przed nimi w pośpiechu miseczki z suchymi płatkami owsianki.

— No! — opiera się Marek — *I don't want to!*

— Nie po angielsku! — karci go Boga — Powiedziałam, mówiłam tyle razy!

— Słyszeliście? — opiera ją Andrzej — w domu tylko po polsku, bo... Wyprowadzisz Kapitana? — upewnia się. — Ja już muszę uciekać... późno...

— To znaczy ja wszystko... dzieci do przedszkola... i psa i potem „lanczeneta”. Idź już... idź... spóźnisz się. Wyprowadzę.

Zuławską budzi tupot, krzyk i śmiech dzieci, narastający hałas uliczny, ale wyrывa ją ze snu dopiero telefon.

— Allo? — mówi ochrypłym, zaspanym jeszcze głosem. Tak?

— Słuchaj Helenko, Sally nie może sobie dać rady, pomywaczka nie przyszła, Lu gotuje i zmywa... ubieraj się!

— Idę zaraz! — odkrzykuje — idę!

— Wyskakuje bosymi nogami na podłogę wprost na leżący przed łóżkiem wydłużony prostokąt słońca. Przy staje, spogląda przez okno. Szary, masywny gmach Wyższej Szkoły, a nad nim skrawek nieba niby wypływała, niebieska szmata. Ta spełzła błękitność i protokąt słońca na podłodze to zapowiedź pogodnego dnia wiosennego.

— Już niedługo wakacje — myśli Żuławska — i och, nareszcie, nie będzie ich — wzdycha.

Boga gwałtownym szarpnięciem podsuwa do góry szybę kuchennego okna. Pomiedzy czerwonymi ścianami kamienic przezroczysty słup pogody.

— Nie pada, to dobrze.

Trzeba szybko, szybko ubrać chłopców, uczesać i nareszcie chwyciwszy obydwóch za ręce zbiec po schodach i dalej prędko... prędko do tramwaju. Przedszkole jest w dzielnicy polskiej, na południe od Alei Północnej. Tam zdecydowała się ich posyłać, chociaż amerykańskie przedszkola są pod nosem.

Tęga zakonnica otwiera szeroko ramiona.

— Mareczek, mój najukochańszy... i Pawelek — przyciąga do siebie drugiego bliźniaka.

Marek umie zdobywać serca.

— Wie pani — rozczuła się — jaki on dowcipny, a jaki zdolny! Ksiądz kapelan to się dopiero zaśmiewał! Niech-no pani poczeka, powiem...

— Nie pocałujecie mamusi na dowidzenia? — woła Boga.

Najpierw wraca Paweł, już z połowy schodów i zarzuca jej ręce na szyję. Potem dopiero Marek, z impetem, szast, prast, musnął policzkiem. Pobiegli na górę, do zabawek, do innych dzieci.

Zakonnica o twarzy szerokiej, poza którą zgasła nadzieja życia, a ostała się tylko radość ze zdarzeń powszednich, pociąga Bogę za rękę. Jej krok powolny, nieco kołyszący się, jej potężna talia opasana fartuchem, łagodzi przygłusza tempo nawijającego się dnia.

— Niech pani siada, na chwileczkę. Ksiądz kapelan przy kolacji wczoraj woła: Siostra Justyna wie co ten

Marek powiedział? Ja mówię: Nie, proszę księdza kapelana, a co on znowu? To niech siostra lepiej słucha: Gdzie są poszczoły tam jest miód, gdzie są dzieci tam jest smród. Niech-no pani czeka! Pyta się ksiądz kapelan kto go tak nauczył?

— Ja wiem — wzdycha Boga.

— Babcia! — bierze się pod boki siostra Justyna. — Babcia, mówi, mnie tak nauczyła.

— A Pawelek? — ujmuje się Boga za drugim synem

— Dobry, dobre dziecko, deklamuje...

— Ja muszę już iść, siostro.

— Z Bogiem... Niech Pan Jezus...

Boga wypada na ulicę... biegnie do tramwaju. Zielona plama parku zatrzymuje na chwilę oczy i znów kołysanie się tramwaju podczas gdy miasto rozgrzewa się dniem i hałasem.

Kelnerka Sally ma twarz suchotnicy o zapadłych policzkach, sztuczną szczękę i talię tak cienką, że wydaje się, złamie się za chwilę. Jej mąż jest gruzlikiem, ale Sally nie dlatego pije. Rozeszła się, bo nie mógł jej utrzymać, a Sally nie chciała na niego pracować. Zresztą co to za mąż, który pół życia spędza w państwowych sanatoriach. Tylu tam co dzień umiera, że już sam czuje się pół-trupem i nawet w przerwach pomiędzy kuracjami nie potrafi żonie dogodzić. Sally pije, no bo jak można się inaczej zabawić? Atmosfera zadymionego baru niby kadzidło odurza nerwy. Śmiałe ostrze alkoholu drąży głęboko, obnaża prawdę i wtedy jest strasznie, ale na krótko. Zaraz odwaga i buńczuczność — dwa ziarna magicznej fasoli — pęcznieją w niej i rosną, rosną. Ulistniona tak wypełnia sobą cały bar. Mężczyźni też są śmielsi, przymilniejsi. Nie zwracają uwagi na chudość Sally i jej źle dopasowaną sztuczną szczękę. Najważniejsze, że ma spódnice.

Sally i jej siostrę, Marian, przejęli Żułławscy razem z restauracją. Chociaż obydwie ukończyły szkołę wyższą¹, nigdy nie zaznały innej kariery niż kelnerska. Były kelnerkami z urodzenia i jeśli nie leżały pijane w sztok, albo kryjąc pobitą w rodzinnych rozprawkach twarz — obsługiwały gości. Śnieżny fartuch Sally, jej schludnie zaczesane włosy na główce tasiemca, jej spojrzenie łagodne i głos

1. Odpowiednik polskiego gimnazjum.

nabrzmiały troską o dobrze przyrumienioną grzanekę, jej ruchy dostosowane do umiejętnego manipulowania tacą — to skorupka zewnętrzna, sztuczny paznokieć taniej elegancji. Mieszkanie, które zajmuje razem z matką, siostrą Marian i jej mężem — to pokoje niemal puste, gdzie pod nigdy nie zaścienionymi łózkami walają się butelki po dżynie.

Ale teraz nikt by jej o to nie posądził. Uwija się schludna, bezszelestna, duch „lanczenety” pośród zapachów pieczonej wołowiny i prażonych krabów. Bezkostna, wydawałoby się, giętka pochyla się zręcznie ścierając stoliki, przygotowując wszystko przed poranną *rush hour*. Zbliża się godzina ósma trzydzieści.

— *Excuse me!* — woła Boga. Przepraszam, przepraszam! Przepycha się przez tłok w drzwiach „lanczenety”. Wyrostki w kolorowych koszulach z książkami pod pachą, albo workami na książki przewieszonymi przez jedno ramię, palą papierosy, piją coca-cola z butelek, oblegają grającą szafę, tłoczą się wokół oszklonej skrzyni z mechanicznym żurawiem, który po przełknięciu pięciocentówki unosi się leniwie, błądzi przez chwilę niezdecydowanie wśród importowanych z Japonii tandetnych cacek i czasem... czasem uchwyci w metalowe palce skarb: plastyczną bombę na choinkę, ołówek, fajansowy dzbanuszek. Wtedy podnosi się nieopisany harmider.

— *Yahoo!* — ryczy rozentuzjasmowana gromada. — Joe dawaj klucz od skrzyni, chodź, sprawdź, wygraliśmy! Wygraliśmy!

„Europejskie przepraszania” Bogi giną w ogólnym gwarze. Tu nikt nie ma czasu na zabawę w konwenanse. Poprzez hałas nieopanowanych, przenikliwych chłopiących głosów przedzierają się niekiedy słowa przeboju z gardła grającej szafy:

— *„How much is the doggy in the window?”*².

Gromada podchwytuje ulubioną melodię i zdrowy ryk dobrze wypasionych dryblasów rozlega się po Alei Północnej. Gęsty dym tytoniowy gryzie w oczy. Zza kasy wynurza się ramię Żuławskiego. Pełnym upomnienia gestem wskazuje Bodze zegar z wypisaną pośrodku reklamą fabryki wędlin. Dwie czarne, czerwono zakończone wskazówki spotkały się na godzinie dziewiątej.

2. W tłum. polskim: „A ile kosztuje piesek w oknie?”.

— Znowu spóźniłaś się — mruczy gniewnie pod nosem.

— Ależ tatusiu, tramwaj...

Żuławski cmoka niecierpliwie.

— *May I help you?* — zwraca się do gościa za kontuarem. A w stronę chłopców: — *Get out!* Do siebie cicho, głosem umęczonym: Ja oszaleję, ja oszaleję...

Boga opasuje się fartuszkiem kelnerskim.

— *Morning!* — rzuca w przelocie do uśmiechającej się Sally. — *Two eggs up!* — podchwytuje zamówienie i wąskim przejściem za kontuarem biegnie do kuchni.

Żuławska w białym fartuchu, pomiędzy stołem a piecem strofuje Lu.

— Zabieraj się do zmywania, prędko! Boga! — krzyczy do córki — wycieraj! Pomywaczka nie przyszła!

— *Two eggs up!* — Boga powtarza zamówienie.

— *Up?* — dopytuje się Żuławska.

— *Up*, tak, *up!*

Żuławska rzuca na rozpalony blat kuchni dwa jajka — dwa słońca żółtek wśród ścinającego się prędko białka.

— Mrs. Z. — Sally wpada do kuchni. — Przymruża liglarnie jedno oko do Bogi — *two scrambled eggs, one Hamburger on roll, one poshed egg on toast!*

Wymawia słowa wyraźnie, ale pomimo to Żuławska powtarza.

— I co, co jeszcze Sally?

— *Two hot cakes!*

— Lu — woła rozkazująco Żuławska — zostawiaj zmywanie, wyciągaj z lodówki ciasto na bliny!

— No to co mam robić? Co? — denerwuje się Lu.

Jej twardy, masykarny tyłek rysuje się wyraźnie pod niebieskim fartuchem. Wilgotne oczy w czekoladowej twarzy mają wyraz lekceważący, jakby za chwilę miała zamiar wziąć się pod boki i zawołać:

— Mam was wszystkich w nosie!

Ale to wcale nieprawda, to tylko taka maniera, sposób bycia. Ramiona Lu prężne, umięśnione, unoszą się często półgniewnym, pół-pogardliwym gestem ale jej zwinne kawowe na wierzchu, a brudno-różowe pod spodem dłonie nie uznają sprzeciwu. Jest doskonałą pracownicą. Trzeba tylko zauważyć, jak rozprawia się z robotą. Twarz jej za-

chowuje niezmiennie ów wyraz pogardliwego cynizmu podczas gdy mięśnie kurczą się i rozkurczają niby tłoki precyzyjnej maszyny.

Lu ma dwoje nieślubnych dzieci, którymi opiekuje się jej matka, a wieczorem czeka na nią przed drzwiami kuchni szerokobary *boy-friend*, błyskający w ciemności białą zębów i fosforyzującą niebieskością białek.

Gdy mija kelnerkę Sally wydaje się kwiatem egzotycznym o grubych, mięsistych łodygach przysłaniającym nędzny pęd zbyt wybujałej fasoli.

Stoliki obsiedli już zwykli poranni goście: urzędnicy śpieszący się do okolicznych biur, tramwajarze, robotnicy.

Wszystko niecierpliwi się i woła:

— *Prędejj, prędejj!*

Żuławski podrywa się. Powierza na chwilę kasę Bodge i przepycha się do grającej maszyny przeklinając pod nosem chłopców. Udało im się przekręcić głośnik do najwyższego napicia i teraz maszyna wyje tubalnie zagłuszając wszystko. Żuławski manipuluje przy głośniku, ale bezskutecznie.

— *You!* — krzyczy na uczniów nie mogąc znaleźć odpowiednich słów przekleństwa — *get out!*

Marszczy brwi, cmoka ze zdenerwowania, chwyta się za głowę i wreszcie używa sobie głośno:

— Do jasnej cholery!

— *Do you speak Polish?* — chwyta go za rękę jeden z tramwajarzy. — Roz-mawiasz pp... polsky? — powtarza z ustami pełnymi gorących kielbasek.

Żuławski uśmiecha się. Cóż za męki przechodzi! Ten ryk rozsadza mu głowę.

— *Yes... yes...* — potakuje.

— *Dziń-dobry!* — promienieje gość.

— *Dzień dobry* — odjękuje Żuławski. — Boga! krzyczy do córki — Uważaj na lodówkę z Coca-Colą!

Rój chłopców otoczył czerwono-białą skrzynię. Dobierają się do butelek. Boga wpada pomiędzy nich, jak jastrząb.

— Hej, hej pokaż-no co wzięłeś!

Wtykają jej do ręki pieniądze.

— *Prędejj!* — śpieszą się. — Zaraz dzwonek!

Żuławski kłania się odchodzącym od stolików goś-

ciom. Nienaprawiona maszyna wyje koniec ostatniej strofki:

„Your lips of fire!”

— *Good bye Mr. Z., so long Joe!*

Żuławski grozi chłopcom zaciśniętą w pięść ręką.

— Kielbasa! — woła rozpromieniony gość — *I remember, kielbasa! Go-lą-pki! Moja matka była Polką* — rozrzewnia się.

Nawałnica uczniów zakręca się trąbą powietrzną. Biegna z krzykiem, gwizdaniem, nawoływaniem na przeciwną stronę ulicy. Ależ nie biegna, unoszą się, ustępujcie im z drogi! Nie zwracają uwagi na ruch uliczny i światła regulujące. Przystają autobusy i auta, szoferzy przeklinają głośno, zgrzyt hamulców, wariacka muzyka klaksonów. Przesadzają ogromnymi susami szeroką Aleję Północną. Już za chwilę, za chwilę pochłonie ich stateczny gmach Wyższej Szkoły. No nareszcie, nareszcie.

„Lanczeneta” drga jeszcze, pulsuje niby rana zadana młodą, bezwzględną pięścią. Lu ociera wierzchem dłoni pot z czoła. Miotła podskakuje w jej niecierpliwych rękach. Zgarnia stosy niedopałków, podnosi rzucone w pośpiechu brązowe papierowe torby. Tu, na stoliku, zapomniane książki, tam, wala się gruby, wełniany sweter.

Żuławski zapala papierosa, zaciąga się dymem.

— Chodź-no tu, Boga, popatrz!

Otwiera jedną po drugiej porzucone papierowe torby ze śniadaniem. Kanapki z wędliną opakowane w pergamin, banan zawinięty w papierową serwetkę, jabłko.

— Rzucają to co im w domu naszykowała matka — powtarza codzienną formułkę — aby tu kupić sobie *submarine*. Młodzież amerykańska! Sally, chcesz to?

— *No, thank you colonel.*

— Lu?

— Mogę wziąć — zgadza się łaskawie.

— Ile mamy bułek na „submariny” — woła Żuławski.

Żuławski oblicza długie, dwudziestocentymetrowe bułki, które przekrojone posmarowane majonezem, obłożone wędliną, sałatą i wszelkiego rodzaju doprawami staną się popularnym sandwichem amerykańskim zwany „łódź podwodna” — *submarine*.

— Słuchaj Józiu...

Żuławski nachylony nad kasą, brwi zmarszczone, koszula zawinięta do łokci, muszka pod brodą liczy półgłosem pieniądze.

— Jó-ziu... —

— Chwileczkę! — cmoka niecierpliwie.

— Dobrze, dobrze... —

Żuławski odrywa oczy od kasy, spogląda na żonę.

— No?

— Sally mówi, że Marian nie przyjdzie.

— Nie przyjdzie, bo co?

— Wymiotowała rano. To jak? Myślałam, żeby zawołać Kowalską. Tyle razy się prosiła. Nie wybrali jej do zarządu w gminie i jest bez pracy. Zatelefonujesz?

— Kowalską? Tę ofiarę życia? Przecież ja ją będę musiał uczyć wszystkiego. A może ty nauczysz, co?

— Naucz, zawsze będzie swój człowiek... —

— Chwileczkę. Kobito, pomyliłaś mi wszystko. Gotujesz... gotujesz... a czy zysk czy strata to tobie wszystko jedno... —

Sally podparła dłonią brodę, pali papierosa, sący kawę. Poza nią Lu szasta miotłą. „Lanczeneta” pustoszeje. Ostatni gość, gruby, przyciężkawy tramwajarz odsunął za tłuszczony talerz po kielbaskach.

— Dzin-dobry? — zatrzymuje Żuławską. — Mówisz po polsky?

— Yes... tak... tak — uśmiecha się Żuławska.

— Moja matka była Polką — mówi gość po angielsku.

— O! — rozczuła się Żuławska — nauczyła pana po polsku? Oczy jej wilgotnieją.

— Helenko! — woła Józef.

Odrąca go niecierpliwym ruchem ręki.

— Co pan nauczyła?

— *Let see* — przeciąga się gruby gość — dzień-dobry... —

— Tak, tak! — cieszy się Żuławska.

— Gołap-ki, kielbasa — popisuje się gość — Kaśka, Maryśka, mam cię w d... —

Boga nalewa sobie kawę z maszyny, siada na wysokim stołku barowym obok Sally.

— Co jest Marian?

Sally uśmiecha się.

— Wiesz, Boga, w jej stanie, łatwo aby się poczuła źle.

— Który to miesiąc? Nic jeszcze nie widać.

— Szósty, Boga, nie widać, bo ona jest taka szeroka w biodrach.

— Sally! — woła Zuławski.

— *Yes colonel?*

Ach jaka układna ta Sally. Jaki potulny, schludny uśmieszek niewinności. Pomyśleć można, że kładzie się wieczorem do czystej pościeli, a rano szoruje ciało pod prysznicem. A może w popołudnia wolne od pracy chodzi na doksztalcające kursy dla dorosłych w budynku Wyższej Szkoły dla Chłopców? Zaledwie kilka dni temu Boga niemal otarła się o nią na ulicy, a Sally przeszła obojętna, błada i sztywna zalatując mocno alkoholem. Tamtą chwilę należy wyjąć z pamięci, tamtą i wiele innych, gdyż przeskadza swobodnej, ugrzecznionej rozmowie z Sally.

Sally stoi teraz przed Zuławskim w postawie na baczność. Ręce, dwa zwiędłe badyle fasoli, opadły wzdłuż płaskich bioder; w jednej niezręcznie trzyma niedopałek papierosa. Imponuje jej to, że ma za szefa pułkownika i to jeszcze takiej egzotycznej armii. *Poland?* Słyszało się o tym. Ale gdzie, u diabła, jest ten kraik z którego przywędrował jej *boss*? Chowa za siebie papierosa, onieśmielona, jak uczenica.

— Bo widzisz, Sally, u nas w Polsce... — rozpoczyna wykład Zuławski.

Co dzieje się w główce takiej Sally? — myśli Boga.

Przenosi wzrok na rozwarte drzwi „lanczenety”: widać skwerek na który co rano Andrzej wyprowadza psa, skrzyżowanie Alei Północnej i Jackson'a. To tylko wykroiliły drzwi „lanczenety”. Nie ma nawet nieba: jego odbłask leży na jezdni niby rzucony niedbale ochłap.

— Gdzie ja jestem? — myśli Boga. — Gdzie ja jestem? To straszne! Taki dzień po dniu istniejący tylko na to, aby go przeżyć. Zamknięci we własnym kole, pośród obcego miasta. Poza tym nie ma do kogo słowa przemówić. Pewnego dnia oszaleję... pewnego dnia oszaleję. Wyzywam los! — przeraża się — mam męża, dwóch zdrowych dorodnych synków... Mam... i pewnego dnia będę musiała ich oddać. Już ich oddaję stopniowo, z każdym nauczonym nowym słowem angielskim. Wyzywam los?

— Dzień dobry panie pułkowniku!

— Ach to wy! — rozjaśnia się Żuławski — siadajcie!

Kurowski siada przy stoliku pod ścianą. Zapala papierosa. Trzyma go między zepsutymi zębami. Gdy nie widać tych zębów Kurowski jest przystojny. Ciemne włosy przylegają szczelnie do kształtnej czaszki. Pod nią mózg wiejskiego, zdatnego chłopaka, którego oceniło wojsko. W Szkocji sam prowadził kasyno podoficerskie. Marzą mu się wielkie plany. On jeden zwraca się do Żuławskiego: panie pułkowniku.

On jeden — mawia Żuławski — jest żołnierzem wśród tej zbieraniny dla której stworzyliśmy tu z Andrzejem Koło Byłych Żołnierzy. Co za komedia! Zaledwie dwóch z nich wie co to wojsko, a reszta przydupniki. Żadnego oficera. O czym mam z nimi gadać? Z Kurowskim chociaż o woj-sku.

— Przyszedłem se poradzić wedle tej piekarni — szep-cze Kurowski — o tej, co to pan pułkownik wi. Kupować? Nie kupować?

— Ile chcą?

— Napije się pan kawy, panie Kurowski? — pyta Żuławska.

— Jak już tam pani pułkownikowa...

— Zaraz niosę, no a jak żona?

Józef cmoka niecierpliwie, że mu przerwano rozmowę.

Kurowski krzywi usta:

— Żona? A tak...

— A chłopcy?

— Starszy uczęszcza do szkółki polskiej tam — o-j u zakonnic, młodszego myślę też ślać.

Żuławska rozpromienia się:

— O, to bardzo dobrze!

W głębi serca zazdrosna jest o polskość Kurowskie-go, jakby traciła coś najbardziej własnego. Po co on się ożenił z tą Szkotką? — martwi się — szkoda chłopaka, nic z tego dobrego nie wyjdzie i dzieci nie nauczą się nigdy po polsku. Ach ta walka rozpaczliwa o zachowanie języka! Ta walka, tragiczna, przegrana niby nieustępliwy ogienek topniejącej partyzantki. Z czym się na to pory-wać? Kto pomoże? Żuławska myśli: Nauczyła go matka: dzień dobry, kielbasa, mam cię w d... Och, mam to wszy-

stko w de! Byle tylko Marek i Paweł... Przysiada nad filiżanką kawy słuchając nieuważnie wynurzeń Kurowskiego.

No i tak — myśli — to nam właściwie zostało, że wpadnie tu taki Kurowski i zamieni kilka słów, które już niby zanurzone w kwasie, tracą wyraziste kontury polskości.

— Mówił — szepcze Kurowski — pierwszu ratu spłacić w August.

— Kto mówił? Ten agent?

— Yea, ten *Salesman*. Nijak mi nie wychodzi na August. Co pan pułkownik myśli robić? Sklep niczego. Urządzenia, „kastomersów”³ ma.

Żuławska podrywa się i biegnie do kuchni.

— *French fries* przygotowałaś? — woła do Lu.

Murzynka zaciąga się papierosem. Drugą wolną ręką wskazuje na gar pełen pokrojonych kartofli.

— Boga! — krzyczy Żuławska — rozkładaj menu na stołach!

— Co mówią o wyborach do zarządu? — pyta Żuławski.

Kurowski śmieje się.

— Ja panu pułkownikowi zaraz powiem...

— No walcie!

— Mękała pije po barach z różnymi, żeby na niego głosowali. Ja tam na niego nie głosuję.

— Mówiłem — odchrząkuje Józef — każdy po kolei. Niech każdy po kolei zostaje prezesem. Jak kto inny prezesem to wiele krzyczą, „gemby” podnoszą, a nic nie robią.

— Może by jednak pan pułkownik, albo pan porucznik przyjęli...

— Mówiłem już, że nie! — odcina się Żuławski. — Jesteśmy w Komitecie sztandaru. Na uroczystość Pułaskiego trzeba ze sztandarem jechać do Waszyngtonu. Myśleliście o tym?

— Zrobi się.

— A samochód?

— A tak, samochód.

— Trzeba by odkryty, elegancki. No to ja już pomyślę.

— O, jest Mękała!

3. Od *customers* — klienci.

Mękała przetacza się uroczyście przez drzwi „lanczynety”.

— Szanowanie panie Żuławski!

Jego nieforemny, krótki tył opinają jasne spodnie. Kolorowy kołnierzyk wyłożony na worowatą marynarkę. Nie nosi krawata, jest przygruby i posuwa się ciężko. Włosy lśnią pomadą, wystające kości policzkowe, szeroka, krótka czaszka upodabniają go do prymitywnego wodza dzikiego plemienia Indian.

— Jak idzie panie Żuławski?

Żuławski myśli: Różnąłbym go w mordę za to „panie”. Niech-no by był u mnie w kompanii. Uśmiecha się tylko kwaśno wzruszając ramionami.

— Idzie.

— Panie Żuławski, przyszliśmy tu do pana (przez „my” ogarnia już w posiadanie Kurowskiego) żeby pomówić o tych funduszach. Trza będzie za sztandar płacić.

— Wiem. Siadajcie Mękała.

— Można by kawy? — uśmiecha się przymilnie Mękała.

— Boga, daj kawy panu Mękałe.

— Moje szanowanie.

— Dzień dobry panu. Jak żona?

Na twarz Mękały pada cień. Wydyma grubą wargę.

— A ot tak, żyje się...

Mękała już jest jedną nogą w tutejszej Polonii. Ożenił się z Polką urodzoną w Ameryce. Baba potężna, a rozłożysta, jak udała kukurydza przed samym zbiorem. Większa od Mękały. Na oko nieśmiała, ale wiadomo, wali go niezgorzej.

— Nie pracuje pan?

— Rozglądam się za robotą.

Sprzedał się takiej grubej, siarczystej dziewczusze — myśli Boga — no ale co to mnie wszystko obchodzi? Každy robi, jak chce.

— No to, panie Żuławski, co będziemy robić? — Mękała chce okazać się jak najbardziej gorliwy. Niedługo nowe wybory do zarządu Koła Byłych Żołnierzy. Głos Mękały — cienki głosik eunucha — nie pasuje do masywnej, przysadzistej postaci. Tymi krzepkimi, przykrótkimi nogami chce się pięć po szczebelkach władzy. Pokazać się! Raz zdobyty tytuł prezesa otwiera drzwi gdzie

indziej. U „Sokoła” szkoda w ogóle marzyć, aby go wybrali. U Hallerczyków, starych weteranów, nie chcieli z nim gadać; jeden prezes Związku łaskawiej na niego patrzy. Mówi: pchaj się panie Mękała u siebie, u Żołnierzy, to już potem pogadamy, trzeba nam swoich ludzi, nie żadnych przewrotowców, a pan jesteś jak nasz.

Ale właściwie to kim on jest? Teść, teściowa, żona zarzucają mu co wieczór jego beużyteczność sytego trutnia. Pokaże im, o ho, ho, pokaże! Taki Żuławski wypina się swoim pułkownikowstwem. Łatwo mu było zostać prezesem. Ale niech sobie nie myśli, że zostanie „leaderem” Polonii! Pułkownicy się skończyli. Tutaj *free country*. Do diabła z szarżami! Każdy może zostać prezesem.

Siedzą we trzech w kącie „lanczenety”, przy stoliku najbliższym kasy, zarezerwowanym dla właścicieli i prywatnych gości. Pochylają się ku sobie — członkowie konspiracji. Prostokątny stolik przywiera krótszym bokiem do pomalowanej na zielono ściany. Na ścianie uśmiechnięta dziewczyna pije Coca-Colę. Wysokie oparcie ławki tworzy odseparowaną łóżę. Wysepka za niskim oknem wystawy, na którym produkuje się ruchomy, przeżuwający pysk krowy, dojrzewa południe. Jest tu cisza przyczajona, nieprawdziwa niby maleńki, trwożliwie przykurczony uchyłek jelita w rozhukanym organizmie miasta.

— Gorąco! — wzdycha Mękała. — Mówił jeden na telewizji: *summer early this year*.

— Co tam, jeich gadania — wzrusza ramionami Kurowski — ni mają na co językiem mamlać ino ciągiem ta ich pogoda. Napapłają się o niej, no... Myślałem sobie, panie pułkowniku, może jaki odczycik, patriotyczną mówkę i później zakąski jakie, patefon...

— Ale tam, przyjdą! Nasze żołnierze przyjdą — rozumuje Mękała — ale łoni nie! Co tam, powiedz Kurowski, taki jeden z drugim z twojej mówki wyrozumuje? Zabawę zrobić!

— No to niech będzie! — zgadza się Kurowski. — Ale zrobić inaczej, po naszemu, nie tak, jak oni.

— Dobra myśl! — przytakuje Żuławski — ale gdzie? Czyj lokal? Ho... ho, moi panowie — spogląda na zegarek — gadajcie sobie, ja mam zajęcia... jedenasta już... ale gorąco!

Z kuchni dochodzi zapach pieczonego mięsa. Nie wiele już zostało tej ciszy, leniwości, tego bezwładu brudno-zielonego nakrapianego czerwonymi centkami taburetów. Długa kiszka „lanczenety” wymieciona schludnie wygląda nawet zachęcająco i przyjemnie. W samym jej krańcu, tam, gdzie kończy się kontuar, stoi długa oszklona szafa z zimnymi mięsami, sałatkami i wędliną. Żuławska instruuje Bogę:

— Zrób *egg salad*. Weźmiesz majonezu, poszatowany seler, pieprzu, soli. Lu już posiekała jajka, nie rób za dużo, musi być świeże...

— Wydawało mi się, że Pawełek miał gorączkę — denerwuje się Boga — był za spokojny. Może zatelefonuje do przedszkola?

— Mierzyłaś mu wczoraj?

— Mierzyłam.

— I co?

— Nie, nie miał.

— No to co, telefonujesz?

— Nie wiem, poczekam... może mi się tylko zdawało.

— Idź do kasy!

Urzędniczek z biur już zaczynają przychodzić po kawę i „donaty”⁴.

Boga nalewa kawę do papierowych kubków i zakładając pokrywki parzy sobie ręce.

— Czekaj, czekaj, to nie tak! — upomina ją Żuławski.

Boga niecierpliwi się. Ojciec odprawia nabożeństwo przy takich duperelach.

— Wiem, już wiem — mruczy marszcząc czoło.

— Wiesz, ale nie umiesz. Co za kelnerka z ciebie! Nikt inny by cię nie zatrudnił.

— No to nie rób mi łaski! Mam w nosie to wszystko!

— Boga uspokój się — woła przyciszonym głosem Żuławska — nie odpowiadaj ojcu.

Przed kasą uczezione małe gronko oczekujących na kawę. Stopniowo odrywają się od niego jedna po drugiej ufiokowane, w szeleszczących spódnicach urzędniczki.

— *Thank you, thank you very much...*

4. *Doughnut* — rodzaj pączka, ciastko b. popularne w St. Zjedn.

— Nie mówi się „senkju”, tylko „tenkju” — uczy córkę Żuławski.

— Nie mówi się „tenkju”, a ja nie mówię „senkju”.

— Masz ci, ty sobie, a ja sobie!

— To jak będzie, panie Żuławski?

— Róbcie zabawę!

— A występki?

— Może by pani Boga zadeklowała jaki wiersz? — proponuje Kurowski.

— Co do wierszów to ja też mogę. Czemu nie? — poleca się Mękała — Deklowała się.

— Józiu, czy telefonowałaś do Kowalskiej? — szepcze Żuławska. — Sally odchodzi o drugiej, a Marian chyba nie przyjdzie.

— Zatelefonuję z domu.

— No to już idź, prześpij się.

Kurowski podnosi się od stolika. Widziany z boku wydaje się przystojny. Taki smagły chłopiec co tańczy kujawiaka na wiejskich zabawach. Nie tu jego miejsce, nie tu. Zatańczył aż do Ameryki przez Syberię, Egipt i Szkocję, a na partnerkę wziął sobie Szkotkę, którą drażni kujawiak. No i co? Ma dwóch rudzielców synów, którzy prędko skrócą sobie nazwisko, jak tylko oświeci ich świadomość i matka. A teraz chodzą do polskiej szkółki. Za każde pójskie ojciec płaci po 25 centów. — Mówi zaś nadrabiając miną: Mój starszy bardzo chce się uczyć po polsku, ale trudno mu mówić, wstydzi się.

— Kiedy można by zastać pana porucznika? — zwraca się do Bogi.

— Mąż będzie około siódmej.

Boga myśli o Andrzeju: stoi w tej chwili przy stole z maszynami, już zmęczony tą pracą mechaniczną wysysającą mięśnie i energię. No to co? To co? Nie było innego wyjścia. Marzyła mu się nostryfikacja studiów. Z dwojgiem małych dzieci i tą „lanczenetą”, która nie przynosi dochodu? W kraju, który otorbi się natychmiast wokół nich, wessie ich zmiżdżonych, jak drobinę obcego ciała. Powinam mu pomóc. No przecież pomagam! Powinam mu pomóc, aby czuł się szczęśliwy mimo wszystko. Jesteśmy razem, mamy dwóch zdrowych, inteligentnych chłopców. Razem płyniemy pod prąd. Bo tak chcemy. Nie, bo nie ma wyboru. Płynięcie z prądem zgmiotłoby nas, stalibys-

my się masą. Płyniemy pod prąd, ale można rozróżnić nasze głowy uniesione z wysiłkiem ponad wodę.

— No to *bye, bye...* — mówi Kurowski.

— Kurowski, czekaj, ja też! — Mękała unosi ciężki zad z ławki. — Szanowanie!

Żuławski zatrzymuje się na chwilę przed drzwiami „lanczenety”. Mruży oczy od słońca. Gorąco. Idzie równym, miarowym krokiem. Sąsiad, właściciel pralni chemicznej, unosi przyjacielskim ruchem rękę do góry.

— Hi Mr. Ziuski, wczesne lato tego roku.

— Wczesne lato.

— Chłopaki popsuły panu maszynę.

— Wyrzuciłem ich.

— Nie ma lekarstwa na tę młodzież!

— Za dobrze im, za dobrze... w Europie dzieci głodują.

— Powiedz im pan!

— Im tylko w głowie *base-ball*.

— *Sure Mr. Ziuski, you are right*, nie wiedzą co to wojna.

Właściciel pralni chemicznej też nie wie co to wojna. Ale poprzez te przyjazne potaknięcia zdobywa życzliwość sąsiedzką.

— Szczęście, Mr. Ziuski, że pan tu jest.

— Ach! — ucina Żuławski — *so long!*

Posuwa się szerokim, zaśmieconym chodnikiem. Spaliny kwitną tu zamiast kwiatów, zieloność mizernych drzewek nieśmiało przypomina o później wiosnie. Zabłąkany motyl musnął ramię Żuławskiego.

— Szczęście, że pan tu jest — mruczy do siebie ironicznie. — Szczęście może być przeklęte. Po co ja tu przyjechałem? Co chronić? O co walczyć?

W otwartych drzwiach „drugstoru” aptekarz w białym kitlu macha mu przyjaźnie ręką.

— Wsiąkam w tę społeczność. Oni akceptują mnie na niby. Afiszują się tym wobec mnie, a wypierają poza oczami. A ja ich nie chcę, nie chcę! Mam ich wszystkich poniżej kręgosłupa. Tam była jeszcze jakaś nadzieja, pełna sprzeczności, niemożliwa, ale nadzieja. Tu... codzienność. I już tak na zawsze. Gęby nie ma do kogo otworzyć. Mękała: panie... panie Żuławski. Jak to się za każdym razem cieszy, gówniarz, gdy ominie mój tytuł. Nie dostałem

go za darmo. Ciężko zdobyłem, ciężko. Może trzeba było wracać?

Na klatce schodowej chłód nieco stęchły, piwniczny.

— Dobrze im nie jest, ja wiem, ale jeżdżą na wakacje, na wczasy, siadają razem na ławce w parku, zapalają papierosy, mówią... mówią... I ten ich humor, jak gaz rozweselający... nie czuje się bólu wyrywanego zęba. Ten ich humor... o cholera... o cholera...

Za drzwiami skomli pies. Już go rozpoznał, wyczuł.

— Czekaj, czekaj chwileczkę.

Pies wspina się łapami na kolana Żuławskiego, podskakuje, chce polizać po twarzy. Żuławski nadstawia policzek. Ciepły ozór psa na skórze, ciepłe klapnięcie, radość najwyższa bez cienie egoizmu. Ogon wiruje w szalonych nierównych machnięciach.

— No czekaj, czekaj, Kapitanie...

I nagle pies zapiera się przed nim łapami, przekrzywia łeb łobuzersko, szczeknięcie pełne animuszu, okrzyk bojowy niby do dziecinnej zabawy w Indian. Skacze wielkimi susami, jak koza, trąca pościelone łóżko, doskakuje Żuławskiego, zapiera się przed nim łapami. Ogon w górze, jak sztandar.

— Dobrze, dobrze, mam coś dla ciebie. — Rozwija z papieru kość. — Ale daj przedtem łapę. Dasz łapę? Dobry pies, mądry pies, mądry Kapitan.

Doktor Młodecka stanęła w drzwiach, przesłoniła sobą wczesne popołudnie. Była tęga, silnie wspierała się na mocnych nogach. Boga spojrzała:

— To nie jest Amerykanka.

Zza ramienia doktor Młodeckiej wychyla się twarz Sławka. Okrągła twarz, ciemna czupryna nad oczami.

— Sławek!

— Cześć! Przywiozłem wam gości.

Boga wybiega na przeciw, wyciąga obie ręce.

— Bardzo mi miło panią poznać i ja wiedziałam od razu, że pani nie jest Amerykanką.

Żuławska też biegnie truchcikiem cała w drobnych uśmieszkach co ją zdobią niby rodzyнки dobrze wypieczone ciasto. Co tu podać? Czym ich ugościć? Ach Boże, Boże przyszli, przyjechali, ludzie, Polacy, swoi, swój język. Sławek! Chciałaby go pocałować. Jest symbolem tamtych

czasów. Sławkowi się udało. To dzięki Bogu, udało mu się. Zrobił doktorat na uniwersytecie bostońskim, jest tu przejazdem, wstąpił, nie zapomniał, przywiózł im gości. A kto to jest ten drugi pan?

— Doktor Młodecka, profesor Młodecki, pani Żuławska. Mieliśmy kwatere u pani Żuławskiej. W czasie Powstania pani Żuławska...

— Siadajcie państwo... siadajcie państwo... panie Sławku czego się pan napije? Co pan zje?

— Cieszę się, że panią widzę.

— No i co słyhać? Co słyhać w szerokim świecie? Boga, dzwoń po ojca. Andrzej się ucieszy. Zaczekacie, aż przyjdzie Andrzej?

Już ogarnęła ich wszystkich przyjaźnią. Sławek przyprowadził tych ludzi, no nareszcie, ach Boże co ja zrobić? Szynce czy befsztyki?

— Czy pani wie, pani Heleno, że państwo Młodeccy mieszkają tu, w tym mieście, w waszym mieście?

— No proszę... — śmieje się doktor Młodecka. Jej głos jest niski, głęboki, roluje nieco „r”. To zgrubienie, głębia tonu przybliża ją jeszcze bardziej, wywołuje sympatię i zaufanie. — No proszę, a wcale nie wiedzieliśmy o sobie.

— Profesor będzie miał tu wykłady na uniwersytecie, a pani doktor dojeżdża do...

Doktor kiwa głową. Jej ruchy są krągłe, opanowane. Spogląda na Bogę oczami spokojnej, zawodowej dobroci.

— Jest sympatyczna — myśli Boga — bardzo sympatyczna. Sławek?

— Ach prawda, zapomniałabym, Sławku, gratuluję doktoratu!

Serce jej zamiera z żalu nad Andrzejem. Oni tu sobie siedzą, słowa odbijane chyżo przelatują niby ping-pongowe piłki, a on tam... nad maszyną. Na czym polega różnica? Sławek miał stypendium, miał zawsze stypendium. Otacza go atmosfera uniwersytetu. Nawet i tu, teraz w „lanczenie” wydaje się, jak gdyby odgradzały go grube tomy naukowych książek.

Zawsze marzyłem o karierze uniwersyteckiej — mówił Andrzej. Zmarnowałam mu życie. Haruje na mnie. Gdyby nie miał żony i dzieci... Zmarnowałam mu życie...

- A co Andrzej? — pyta Sławek.
- Andrzej...
- Zawsze w tym samym fachu?
- Zawsze w tym...
- A ty? Nie myślisz o kończeniu studiów?

Bogę porywa złość. Zaraz się zacznie. Zaraz wszyscy przeciwko niej. Ojciec powie: no przegapiła. Trzeba się było uczyć, jak mogła...

— Nie wszyscy mogą kończyć studia — ratuje ją niespodziewanie doktor Młodecka — widzi pan, doktorze, że pomaga rodzicom. Bledziutka pani.

Boga czuje w oczach łzy wdzięczności i upokorzenia.

— Z dziećmi... — broni się nieśmiało. Do diabła! — myśli — pomógłby raczej Andrzejowi w uzyskaniu stypendium. Niech się wszyscy wynoszą! Ale dlaczego ja jestem zazdrosna? Nie byłaby może zazdrosna o innych. Ale tu wszystko rozwijało się przed jej oczyma. Tylko Sławek akurat poszedł inną drogą, wspinał się po tomach książek. No to mam za swoje! Trzeba się było uczyć i kończyć studia.

Doktor Młodecka odgaduje jej nastrój.

— Niech tu pani siada bliżej mnie, pogadamy sobie.

— Kiedy muszę teraz przypilnować kasę, przepraszam, zaraz wrócę.

Oczy doktor Młodeckiej w szerokiej białej twarzy wędrują za Bogą. Wydaje się mówić: Ale męczą tę biedną dziewczynę... I Bodze bardzo jest przyjemnie, chciałaby oprzeć się o kasę i zapłakać nad sobą.

Zjawia się Zuławski. Staje przed zarezerwowanym stolikiem przybrany w swoją najsympatyczniejszą twarz dla gości.

— Kłaniam się.

— Czołem panie pułkowniku!

— Niech państwo siadają, proszę, proszę niech państwo siadają.

— Pan pułkownik Zuławski, pani doktor Młodecka, pan profesor Młodecki...

— Bardzo mi miło.

Zuławski w duchu zaklina los, aby nie zesłał chłopaków ze Szkoły Wyższej.

— Chwileczkę, przepraszam, zaraz służę... Helenko — szepcze do żony — Marian nie była?

— Nie.

— Telefonowałem do Kowalskiej, będzie jutro. Pomowię z Sally może zostanie dłużej, a z Marian koniec. Tygodniówka w sobotę i niech idzie na zbity łeb. Kelnerka nie przyszła — informuje gości przy zarezerwowanym stoliku.

— A to kłopot! — mówi uprzejmie Sławek. Ogarnia wzrokiem „lanczenetę”. No tak, tak — myśli — muszą tu robić dobry interes. No to co? Bardzo ich lubię, bardzo ich szanuję... zdrowa emigracja polityczna. Nie dali się. Pochyla się ku doktor Młodeckiej.

Nałożyła okulary na nos. Wydaje się nieco odległa i obca, gdy tak studiuje menu wypisane ręką Żuławskiego na maszynie przywiezionej z Anglii. Gdyby wiedział na co przywozi tę maszynę...

— Dzielni ludzie — szepcze Sławek.

Doktor spogląda na niego roztargniona.

— A tak, tak.. Co zamówimy? — zwraca się do męża.

Profesor młodszy od żony, wciśnięty w kąt pomiędzy jej obfitym ciałem, a zieloną ścianą, „lanczenety” wydaje się kropką przy wielkim znaku zapytania. Dlaczego on się z nią ożenił? Oczy niebieskie, tafla wody poza którą nie można odgadnąć głębi.

— Wybierz, proszę cię, sama.

— Dzielni ludzie — powtarza Sławek. — Zdrowy element.

Myśli: zrzucił odznaki pułkownikowskie i stanął za ladą. Głębiej, w warstwie podświadomości inna myśl, którą upycha na gwałt, aby się nie wydostała na powierzchnię i aby jej nie odczytano: Zdeklasowali się, a ja nie, ja nie.

Boga odczytuje tę myśl ukrytą, jej podświadomość pracuje w wzmożonym, bolesnym napięciu.

— Napijesz się kawy, Sławku? — pyta.

— Dziękuję, chętnie. Wiesz — uśmiecha się dobrotliwie. — Twoi rodzice to dzielni ludzie.

Ale pomimo najwyższego wysiłku nie udaje mu się ukryć całości prawdy.

— Tak — mówi Boga — tak. W myśli dodaje: Ale ty byś tego nie chciał?

Sławek mówi głośno:

— Ja bym tak nie potrafił! Co za odwaga!

Boga przeciera filiżanki, nalewa śmietankę. Jak on to potrafi ukryć! Gdyby wypowiedział, pogardzałby sam sobą. Karminy się kłamstwami. Żuławska przysiadła się do stołu. Profesor miesza cukier w filiżance, pije.

— Bardzo dobra kawa, panie pułkownika.

— A jak pani Helena robi gołąbki! — zachwala Sławek.

Żuławski przełyka pochlebstwa, jak piołun.

Profesor przechyla się ku niemu poprzez stół.

— Tylko tacy ludzie, jak państwo dochodzą do czegoś w Ameryce.

Wychylony tak profesor wydaje się bardzo młody. Jego ramiona są ramionami chłopca. Doktor Młodecka spogląda na nie czule, jakby miała ochotę je poklepać.

— Na szatniarza nie chciałem iść — mówi Żuławski — na windziarza, jak nasi generałowie, też nie, a do Biblioteki Kongresu mnie nie wezmą. Nie mam poparcia. No to chociaż jestem „bossem” u siebie.

— Święta racja, panie pułkowniku — przytakuje Sławek. Jego głos brzmi najszczerzą serdecznością. Lubi tych ludzi — myśli — ale przecież nie mogę im pomóc. Pomóc? Nie potrzebują pomocy. To oni powinni mnie pomóc. Reprezentuję ich na wyżynach społecznych.

— Tak... tak, słusznie — wtrąca profesor. Nie rejestruje goryczy Żuławskiego. Nie jest zaangażowany w grę która zaczęła się już dawno. Co to go właściwie obchodzi? Wojsko, pułkownicy... zawsze lepiej jak najdalej. Nigdy nie był w wojsku... i żyje.

— Siadaj tu Boga, czekaj, dostawię krzesło — proponuje uprzejmie Sławek. — No i co słyszeć u ciebie?

— Nic... nic ważnego... chłopcy zdrowi...

— A prawda, chłopcy! Dwóch dzielnych Polaków. Jak się nazywają?

— Marek i Paweł. Myślałam, że pamiętasz...

— Pamiętam... proszę, co za polskie imiona! Ale czy...?

Zdanie zawisa w powietrzu. Boga przygląda się Sławkowi. Nie ten sam. Stara się zachować dystans. Tak, jakby chciał powiedzieć: bardzo ładnie tańczycie tego krakowiaka, ale to już nie dla mnie, no naprawdę, wybaczenie, ale to nie dla mnie, mam ważniejsze sprawy...

Jestem przekonana — myśli Boga — że gdy się ożeni i będzie miał syna, nada mu imię angielskie. Aby się nie męczył, uniknął konfliktów... To kto zostanie, kto zostanie? Mękała?

Żuławskiej zapracowanej w kuchni latają ręce z niecierpliwości, zdenerwowania, wzruszenia. Szynclę po wiecieńsku z jajkiem.

— Lu, wybierz najładniejsze, nie żylaste!

Sławek lubi dobrze zjeść. Przystaje nagle, zamysła się. Andrzej też.

— Ech! — wali drewnianym młotkiem rozplaszczając mięso na desce — zmarnował ją!

Chwyta ją złość na zięcia. Przecież mógł nostryfikować studia i Boga nie pętałaby się tu jako kelnerka... z tą całą grandą... w tej dziurze.

— Lu, otaczaj szynclę w bułce!

— Mrs. Z., czy mam kroić kartofle na „French fries”, czy przygotowywać „beef sandwich” czy kotlety? Mrs. Z. pani zapomina, że nie ma pomywaczki i wszystko na mojej głowie!

Główka Sally w drzwiach kuchennych.

— Colonel panią prosi, goście chcą panią zobaczyć.

— What?

Sally wybucha małym śmiechem, przykurcza ramiona, zasłania ręką usta. Ach ta Mrs. Z. jaka ona zabawna! Podchodzi bliżej i skanduje:

— Co-lo-nel is as-king you...

— Mam „kernela” w de. — mruczy do siebie Żuławska. A głośno: Yes... yes, Sally, one moment!

Siedzi tam i gada! — rozgrzewa ją oburzenie. — No, ja mu dam. Zostawię go kiedyś samego. Nie ma pojęcia o przygotowaniu sandwicza. Wielkie tony, a cała „lanczeta” na mojej głowie!

Uklepuje szynclę na desce. Ach ta Lu, ofiara, co ona porobiła ze szynclami! Żuławska pracuje sprawnie. Pod złocistą powłoką tartej bułki nie można rozróżnić dwóch skleconych, zbitych z sobą kawałków cielęciny. Na pozór wygląda to jak jednolity, cienki płat. Żuławska roztkliwia się nad sobą: Jak nasze życie — myśli — jak moje życie. — Czuje łyżę w gardle. — Uklepane to na wierzchu, zlepione z dwóch odrębnych części. A kto to jest ta Młodecka?

— Pani Bogo droga, niech pani siądziel! Niech się pani tak nie podrywa co chwila — miękka, biała twarz doktor Młodeckiej łamie się łałdami dobrotliwego uśmiechu.

— A co z Wojtkiem? — Sławek pochyla się ku Żuławskiemu.

Żuławski cmoka niecierpliwie:

— Ach, ja go nie rozumiem.

Jacy oni inni — myśli Sławek — Żuławski ojciec i Żuławski syn.

— Niech pan powie, panie Sławku — wybucha Żuławski — co Wojtek widzi w tej polityce? Skąd jemu do tego stronnictwa! Prezes! Wykorzystuje go. Chłopak haruje dla przegranych idei. Cóż to znaczy trzysta dolarów od Free Europe? Niepewne, mogą mu je odciąć kiedy tylko im się będzie podobało. A tymczasem marnuje swój zawód. Gdyby zaczął pracować jako inżynier... Zdaje mi się jednak, że mądrzeje, chce wyrwać się z Waszyngtonu... czas najwyższy! Pan to zrobił w samą porę, panie Sławku, zerwał pan z prezesem.

— Och, ja to już dawno, jeszcze w Londynie.

— Poświęcił się pan karierze naukowej.

— Tylko w ten sposób mogę coś zrobić dla Polski... moja praca doktorska...

— Tak słyszałem... czytałem fragmenty...

— Czytał pan? — w głosie Sławka brzmi niedowierzanie. Myśli: no, patrzcie, jednak jestem popularny, i nawet Żuławski... restaurator. Trafiło pod strzechy — rozrzewnia się.

— Strasznie tu miło u państwa.

Profesor oparł się wygodnie, oczy półprzymknięte, a na nich słońce odbite od chodnika. Turkot grającej szafy; Sally przerzuca ponad nim swe zamówienia:

— *Two chicken noodle!*

— Która to godzina? Która to godzina? — podrywa się Boga — muszę biec po chłopców.

— Piąta — uspakaja ją Żuławski — masz czas, zdążysz.

— Do widzenia, ale państwo zaczekają na Andrzeja? I proszę przyjść do nas, proszę przyjść do nas koniecznie.

Nad wieczorem, gdy czerwona klamra zachodu zamyka ten dzień, który rozwinął się tak nadspodziewanie, dzień zaczęty powszednim poraniem się z codziennością, dzień zdobyty w kacie „lanczenety” przy stoliku zarezerwowanym dla prywatnych gości, Andrzej pije kawę i dźwięki języka wywołujące gwałtowną potrzebę mówienia, mówienia, wypowiedzenia się.

Żuławska spogląda na zmęczoną twarz zięcia. Boże — myśli — jak ten chłopak tęskni do rzetelnej, normalnej rozmowy, jak nas wszystkich odurza, podnieca dźwięk niby narkomanów, którzy za wszelką cenę, za wszelką cenę pragną tej morfiny słownej i wtedy wydaje się nam, że jesteśmy na właściwym miejscu, w swoim świecie. Sławek opowiada o odczytach, które miał w Nowym Jorku, w Chicago, w Detroit, o planach na przyszłość. Andrzej przeciwstawia mu przeszłość. Wchodząc tu odrzuca wspomnienia fabryki, jak zakurzony *overall*. Nie mówi się o swoich przeżyciach, o swoich planach, to tabu. Do przeszłości tylko można nawrócić odważnie. Byli w niej razem ze Sławkiem. Spotykają się i teraz. Sławek wyrósł z przeszłości i wzrasta niby na życiodajnym nawozie, czerpie bez końca. Andrzej wykorzeniony, zaczyna od nowa. Są chwile, są dnie, okresy, gdy rezygnuje. Niepotrzebnym pudelkiem z orderami bawią się dzieci: Marek i Paweł. Niegdyś śpiewali razem: on i Sławek:

*„A czy ty wiesz mój wnuku,
Twój dziadek był w Tobruku”.*

Sławek przemawiając, wspomni czasem:

— Drodzy rodacy, gdy biliśmy się pod Tobrukiem...

W fabryce Andrzeja słowo „Tobruk” nie wzbudziłoby oddźwięku. Przyłgnęło już, jak stary kurz do ściany zamalowanej nową farbą. Korea... to się tylko liczy. Jesteś weteranem? Której wojny? Nie koreańskiej? Zrobiłeś tyle dla swego kraju, walczyłeś? No to dlaczego TWÓJ kraj nie zaopiekuje się tobą?

Tylko aktualność i wydarzenia dnia budzą zainteresowanie i podziw. Dawni bohaterowie są jak zwiędłe kwiaty. Można się do nich uśmiechnąć, nie starać się o

rozdzielenie barwy i ze współczuciem i ulgą wyrzucić na śmietnik.

Sławek podnosi się.

— Czas na mnie, było mi bardzo miło, jak zawsze staro-polska gościnność.

Andrzej przytomnieje. Stoi na wprost Sławka. Rówieśnicy. Ta sama przeszłość i studia, te same marzenia, emigranci polityczni na dwóch krańcach przepaści. Na jeden tylko moment rozpacz, ciepła gęsta ciecz o posmaku krwi, ogarnia go, opływa całego: jutro taki sam dzień bez jutra. Sławku, — chciałby zawołać — Sławku... chodź, przejdź się ze mną Aleją Północną. Jestem tragicznie sam. Czy pamiętasz, nawet w bunkrach na pustyni nie czuliśmy się samotni. Byłem młody i wszystko wtedy wydawało się możliwe. Sławku, nie puszczaj mojej ręki!

— No więc masz dobrą pracę — uśmiecha się Sławek — i zarabiasz nieźle, co?

— Tak. Nie narzekam — odpowiada Andrzej. Puszczaj rękę Sławka.

W mieszkaniu Boga układa chłopców do snu.

— Prędej, klękać do pacierza! Nie szturchaj Pawelka, Marek!

Dwie pupy w pasiastych pyjamach obok siebie. Pies wyciągnięty przed łóżkiem na dywaniku.

— Boziu, daj zdrowie mamusi, tatusiowi, babci i dziadkowi i daj żebyśmy wrócili do Polski...

— Mamusiu — odwraca się Marek — co to znaczy „żebyśmy wrócili”?

Wracać — tłumaczy Boga — no to jak ty z Pawelkiem wracacie z przedszkola do domu.

— Ja nie mogę wracać!

— Dlaczego nie możesz?

— Ale mamusiu, przecież ja tam nigdy nie byłem, ja tam nigdy nie byłem w tej Polsce.

Ruchliwa reklama „lanczenety” kwitnie blado w szaroliliowym zmierzchu Alei Północnej. Andrzej oddycha głęboko wciągając w płuca kurz ulicy. Wiatr podrzuca papiery na chodniku. Chłodny, wieczorny wiatr porusza gałęzmi mizernych drzew. Przecież to wiosna. Na zachodzie krwiste pręgi roztapiają się w fiolecie. Daleko, ponad pociemniałym budynkiem Wyższej Szkoły dla Chłopców

zapaliła się pierwsza gwiazda. Na szybach zgasły ostatnie odblaski ginącego słońca.

— *Good bye, Mrs. Z., good bye colonel.*

— *Good bye Sally, nie spóźnij się jutro. Jutro o piątej trzydzieści p u n k t u a l n i e .*

— *Yes colonel. Very well colonel. Good night.*

II.

Przychodzili teraz często. Ona była ważniejsza, zawsze pierwsza, rozprzestrzeniająca się, chłonna. Inne decyzje i zmiany toczyły się na ich tle. Byłe świadkami zmian, niejako uczestniczyli w nich i przez to nabierali ciężaru, drążyli w głąb życia Bogi, Andrzeja i Zuławskich. Nie wiadomo gdzie się zaczęli. Początek ich był pewnie w drzwiach lanczenety. Zstąpili stamtąd i włączyli się automatycznie w bieg życia. Ich przeszłość? Nie można jej było uchwycić mocno w rękę. Wymykała się, wyslizgiwała. A może nie było jej wcale? Zresztą czy to ważne? Tyle rzeczy stało się już przeszłością odkąd doktor Młodecka przekroczyła próg lanczenety. To przekroczenie można by nazwać punktem zwrotnym, chociaż nie było przecież żadnego logicznego powiązania pomiędzy pierwszym zetknięciem z Młodeckimi, a decyzją sprzedania lanczenety. Dwie sprawy współistniały z sobą w czasie. W tym samym tygodniu miasto zmieniło kierunek ruchu na ulicy prezydenta Jacksona. Autobusy i samochody udające się do centrum Monumental City nie miały już lanczenety. Ruch płynął teraz ze środka ku przedmieściom. Dochody skurczyły się.

Równocześnie, jakby na zbiorową komendę, miasto ruszyło o krok na północ. Bardziej ustabilizowani mieszkańcy Alei Północnej; drobni urzędnicy, lepiej zarabiający rzemieślnicy chwycili tobołki i uskoczyli w popłochu zarażeni gorączką przeprowadzek i zmian. Fala *HillBilly's* górali-analfabetów z Wirginii, napierała. Dołączyła się do nich murzyńska *low-class*. Szturmem zdobyli pozycje.

Administrator mieszkania przysłał list z wymówieniem. Hałasy w apartamencie nie pozwalały pracować urzędnikom biura.

— No i doczekaliście się — mruknął Żuławski — a ja przepowiadałem!

— Kupimy dom — powiedział Andrzej — dawno trzeba się było na to zdecydować. Przekroczyli równik dzielący miasto i wypłynęli na północ. Kupili dom.

2.

Lanczeneta tonęła. W okół niej zmieniali się ludzie, zmieniały budynki. Pewnego dnia zabrano się do rozbioru starego, murowanego kościoła protestanckiego. Był to szary, narożny budynek przypominający styl romański. Gołębie siadały na gzymsach i spacerowały po chodniku przed kościelnymi wrotami. Pół-rozwalony wyglądał, jak rana, ale prędko uprzątnięto gruz i ludzie zapomnieli. Zanim wzniesiono na pustym placu nowoczesny, barwny kiosk drewniany z hamburgerami po cenach konkurencyjnych i mrożoną Coca-Cola, a tam, gdzie zwykle umieszczano tablice z tematem kazania stanął na wysokich szczydłach transparent *Have a Coke with Gino* (Gino-gwiazda zespołu Orlików) — Żuławscy sprzedali lanczenetę.

Sprzedali? Nie! Uciekli. Było to, jak ucieczka z tonącego okrętu, czym prędzej, wszystko jedno jaką łodzią ratunkową. Sprzedali więc za byle co, aby tylko wycofać część pieniędzy.

— Marnujecie interes! — krytykował Andrzej. — Myślał: Ale ja to mam najwięcej wytrwałości. Dwa lata wytrzymałem w fabryce i utrzymam się.

— Gdybym miał nawet zostawić wszystko i odejść zamykam! — upierał się Żuławski. A potem mówił jeszcze: No tylko przypatrzcie się Amerykanom! Trzeba się od nich uczyć! Weźcie na przykład to kino przy Alei Północnej. Nie szło, zlikwidowali. A teraz zimą jest tam sztuczna ślizgawka. Albo aptekarz! Rozmawiałem z nim. Mówi:

Panie, zwijam interes, a kto by mi kazał siedzieć tu dla kilku klientów i dla tych uczniów co mi demolują aptekę. To nie Europa, tu się wszystko zmienia z dnia na dzień. I po co ja mam zostawać? I po co ja mam u diabła tak harować! Przecież ja tu jestem niewolnikiem ani świata, ani wakacji! Kto mi każe? Czy ja mam małe dzieci?

Andrzej myśli: A jednak ja jestem wytrwały, ja przetrzymam. Józef marnuje interes.

Młodeccy zjawiali się o różnych porach. Zawsze gdzieś jechali, albo skądś przyjeżdżali. Gdy rozsiedli się przy stoliku, czas nie istniał dla nich. Sally poznawała ich już z daleka i jej sztuczna szczeka promieniała:

— *Colonel your friends; Boga, your friends!*

Zasiadali przy zarezerwowanym stoliku i obserwowali, jak lanczeneta tonęła. Sally przydawała jej ciężaru. Białe fartuch unosił się, opinał coraz bardziej. Brzuch Sally okręgał. Przyjmowała to naturalnie. Spodziewa się dziecka! Wielkie rzeczy! Założyła na palec obrączkę. Przecież mam męża. W sanatorium. Nic nie szkodzi, najważniejsze, że jest.

— Ale się pięknie urządziła — mówiła Żuławska. — Jestem pewna, że ojcem jest ten stary, kulawy robotnik, który tu mieszka na rogu i przylatuje kilka razy dziennie na kawę.

— Może wyjdiesz za niego za męża, Sally?

— On ma forszę, Mrs. Ziuski!

— No to na co czekasz, Sally? — woła Żuławski.

— Rozwód kosztuje.

— Ale mówisz, że on ma forszę.

— Ja myślę, że ma.

— To sprzedajecie państwo restaurację? — spytała doktor Młodecka.

— Pozbywamy się, pozbywamy się, proszę pani.

— Ach niech pułkownik nie przesadza.

Wieczorem, po zamknięciu lanczenety, wracali do mieszkania, które już się kończyło, bo za progiem czekał dom. Wiedzieli: zamyka się okres tymczasowości. Stabilizacja upominała się o nich. Za ciężcy już byli, aby żonglować w powietrzu, albo balansować na promie. Bulgotała w nich Ameryka, Pękali, jak napęczniałe nasiona. Niedługo zapuszczą korzenie. Ale teraz jeszcze decyzja ugruntowania się wymagała nieustannego poparcia, przygląda-

nia się ze wszystkich stron, dzielenia jej z innymi. Systematycznie i bezceremonialnie wbrew ich woli i zachciankom, Monumental City zdecydowało się ich zaadoptować.

Zuławski szamotał się:

— Sprzedam lanczenetę i ucieknę, wrócę do Nowego Jorku.

Zamiast tego mówił:

— Pozbędę się lanczenety i...

— I kupujemy dom. A co potem?

— Nie rób paniki, ja ci jeszcze pokażę! Nie martw się, nie zginiesz!

Poranna fala unosiła Andrzeja, z wieczorną przypływał do domu. Miasto powzięło za niego decyzję. Ameryka podpisała się pod nią.

Utrzymałem się. Tego mogę sobie pogratulować. Jestem zamkniętą butelką, którą unosi odpływ, a przypływ rzuca na brzeg. W środku jestem nietknięty. Rzuciłem sam siebie na wodę. Moje zamknięte bogactwo wystarcza mi. Nikt go nie uszczknie, ani nie zmieni.

Boga myślała: Przechodzę mimo zamkniętych drzwi. Wszystko dzieje się obok. Więdnę. Ale nie mogę mówić o tym głośno, gdyż będzie to obraza losu. A jednak czuję, jak ręce moje tracą elastyczność. Nie ma już we mnie walki, ani nawet przekory. Niedługo zadowolę się domem, praniem i prasowaniem ubrań dla chłopców i marzeniami o nowym samochodzie. Chwila takiego zadowolenia, kompletnego pogodzenia się z tym co jest, będzie zgodą na śmierć. Na wpół umarła nie dam mu szczęścia. Chociaż powiedział: wybieram kobietę.

Młodeccy przychodzili także wieczorem, po zamknięciu lanczenety i zostawali długo wysiadując stare, pluszowe, kupione na licytacji fotele. Profesor o przeszłości wspominał niewiele, najchętniej milczał przytłoczony elekwencją żony. Doktor zanurzała się raz po raz w wspomnienia wojenne przeskakując niedawną przeszłość, jak gdyby dopiero tam, poza tamą odgraniczającą obecny pokój od wypadków drugiej wojny światowej, a nie w czasach następujących po niej czuła się bardziej pewna siebie, bezpieczna.

Wracali razem do okupowanej Warszawy we wczesnych latach czterdziestych i zaraz spowijała ich tajemnica tamtych nieomówień, tamta niepewność i ryzykanctwo nadszawały ich obecnym rozmowom cech konspiracji, w której nie

pyta się wiele, wiele zastępuje mimiką, gestami, półsłówkami.

Kim była doktor Młodecka? Znała rzeczy, których oni tylko się domyślali. Wiedziała o wszystkim i wszędzie znajdowała dla siebie miejsce.

— Tu byłam, i tam, i tam także.

Z czego żyli? Kto ich utrzymywał? Profesor wykładał. Gdzie? Niechętnie o tym wspominał, był skromny. Doktor pracowała. Gdzie? *Research*, tajemnica państwowa. Nie podali swego adresu, prosili, aby ich nie odwiedzać, nie dopytywać się. Są pewne powody. Podali tylko swój telefon.

Blizniacy spali już dawno, a Andrzej, Boga, Helena i Józef kofysali się w rytmie starych melodii. Łagodziły. Siedzieli, grono szaleńców na seansie spirytystycznym. W dole budziła się do nocnego życia Aleja Północna.

Sally weszła do baru. *Boy-friend* kuśtykał za nią ciężko, z wysiłkiem.

— *Honey, I am so sorry* — wybełkotała. Świat kręcił jej się przed oczyma. — Jeden kieliszek zrobi mi dobrze, nowa butelka zawsze pomaga mi na przepicie. — Usiedli przy kontuarze. Sally objęła przyjaciela za szyję, położyła mu głowę na ramieniu.

— *Honey* — szepnęła ochryple i nagle zawołała: — Spójrz!

W drzwiach baru dostrzegła ciemny, nieduży kształt. Murzyniátko stało przez chwilę niepewnie, a potem nieśmiało zbliżyło się do kontuaru.

— Czego chcesz? — ryknął barman.

Sally szturchnęła *boy-friend'a* w bok.

— Patrz!

— *Bottle of coke*. — Murzynka miała najwyżej dziesięć lat, była bardzo ciemna, włosy sterczały na głowie — nieporządna, wesół piramida.

— Ach you — krzyknął barman — you *nigger* wy-noś mi się stąd. Idziesz ty! Koniec świata! Teraz już do białego baru zaczynają nałazić!

Sally zachichotała.

— Mam pieniądze — powiedziała Murzynka. Położyła na kontuarze dziesięć centów.

— You, you *nigger*! — Barman wyskoczył z za ogrodzenia. — Idziesz ty!

Czmychnęła szybko, nie wiadomo kiedy. Już jej nie było. Barman stał zasapany na środku salonu.

— Niedługo będą chcieli pić razem z nami! *God damn nigger!*

— *Mister!* — jęknęła Sally — dawaj-no coś do picia!

— *I am sorry, lady!* — barman wtlaczał się podniecony i drżący z oburzenia poza półkoliste zagrodzenie kontuaru.

— Ja idę spać — powiedział Żuławski — bardzo państwu przepraszam.

Młodecka skinęła głową.

— Ach naturalnie.

Żuławska wzruszyła ramionami: Dziwak!

Andrzej i profesor rozprawiali o socjologii.

Żuławski pomyślał odchodząc:

Ten Młodecki to nigdzie w wojsku nie był, nie podobą mi się.

— Kapitan! — zawołał. — Chodź tu, idziemy spać!

Młodecka położyła rękę na ramieniu Bogi.

— Trzeba dbać więcej o siebie.

Jak ja ją lubię — zwróciła się do Heleny. — Jak ja lubię tę Bogę.

Ręka z ramienia przesunęła się na szyję. Boga wstała. Ręka doktor Młodeckiej opadła bezwładnie, dłoń objęła poręcz fotela.

— Jaka specjalność pani doktor?

— Embriologia, embriologia doświadczalna.

— Embriologia doświadczalna — powtórzyła Boga — czy pani doktor robi doświadczenia na zwierzętach?

Żuławski wrócił.

— Nie wychodźcie jeszcze! — zawołał. — Na ulicy awantura.

— Co? — krzyknęła doktor Młodecka. — Co się stało? — poderwała się niespokojnie.

— Niech pani siada, zdaje się coś w barze, zajęchała policja.

Andrzej podbiegł pierwszy do okna, podniósł je do góry, wychylił się.

— Jest, jest samochód policyjny, jest karetka!

— A może Sally! — przeraziła się Żuławska. — Rano trzeba będzie wołać Kowalską.

— Polecę, zobaczę czy Sally — zafiarował się Andrzej.

Grupa spóźnionych przechodniów i okolicznych mieszkańców przystanęła na chodniku. Policjanci wyprowadzali z baru trójkę Murzynów.

— Co się stało? — spytał Andrzej.

— Murzyni zdemolowali bar — odpowiedział przyglądający się mężczyzna.

— A dlaczego?

— Mówią, że właściciel nie chciał sprzedać sody ich dziecku, a inni mówią, że pobił dziecko. Co tu się można dowiedzieć! Co za czasy! — westchnął. — I myśli pan, że im wiele zrobią! Najwyżej dwanaście dni.

Andrzej wrócił na górę do mieszkania.

— To nie Sally. Murzyni zdemolowali bar. Nie zazdroszczę Ameryce tego problemu.

— Bo po co się pchają do białych barów! — zawołał Żuławski. — Oni chcą wszystko na siłę!

— Ale to podobno dziecko, chciało wody sodowej!

— I nie chciał dać dziecku wody? — oburzyła się Żuławska.

— Proszę pani, to jest południe — wtrącił się profesor. — Tu całkowite równouprawnienie nie przyjdzie tak łatwo, to jest nie wejdziesz tak łatwo w życie.

— Czy my nie mamy innych zmartwień! — przerwał Żuławski. — Ja idę spać!

— To jest wszystko okropne, tu jeszcze może dojść do okropnych awantur. Ja już wolałbym się wyprowadzić jak najprędzej.

— Żyjesz w tym kraju, musisz zetknąć się z jego problemami.

— Tak Andrzeju, ale nie w ten sposób, nie poprzez bar, wyprowadzajmy się w jakieś spokojniejsze miejsce, czy nie można przyspieszyć przeprowadzki?

— Przecież się wyprowadzamy — powiedział Andrzej — podpisujemy kontrakt za trzy tygodnie.

— Nie można prędej?

— A kupiliście już ten dom? Już załatwione? — doktor Młodecka przypatrywała im się badawczo. Myślała: Kupili dom, sprzedali lanczenetę. Boga spojrzała. Ona ma ciekawą twarz, ciekawą twarz. Embriologia doświadczalna.

jest pewnie nadzwyczajnie zdolna. To co ona robi? Doświadczenia? Jakie? Co to za tajemnica?

Powiedziała:

— Ja już nie wytrzymuję tych nocnych awantur, nie ma nocy, żeby się coś nie stało. Trzeba się wyprowadzić!

— Pani Bogo — zbliżyła się do niej doktor Młodicka. — Jak pani zbladła! Biedne dziecko, biedne dziecko. Zabierzemy panią kiedyś na przejażdżkę, dobrze? Jak wrócimy. Teraz wyjeżdżamy, powinniśmy wrócić za kilka tygodni.

3.

Budzik nie zadzwonił, przemknął milcząco godzinę piątą dwadzieścia. W parku, po przeciwległej stronie ulicy ćwierkały ptaki. Pierwsze, skośne promienie słońca padły poprzez gałęzie drzew w nieckowato wgłębione, wygolone, wypolerowane maszynami do cięcia trawy, serce parku. Wysokie, okalające parkową polanę latarnie o potrzaskanych głowach odpowiedziały nieśmiałym, niepełnym odbłyśkiem. Co wieczór chuligani celują kamieniami do latarni i co rano naprawia je robotnik miejski.

Promień słońca prześlizgnął się poprzez jezdnię, poprzez osłonięte papierowymi żaluzjami okno i oświetlił tarczę budzika. Czas topił się w słońcu.

Zuławski zerwał się. Ziewnął. Szósta! Szósta? No tak, ale nie ma lanczenety. Mam czas. Czas umykał prędkimi drgnięciami zegarka.

— Helenko, nie wstajesz?

— Mam czas — mruknęła. — Nie budź mnie za wcześnie.

Zuławski wstał, podszedł do biurka. Leżała na nim niewielka, żółta broszurka „Real Estate Law”. Otworzył.

Real estate shall include leaseholds... No tak, tak, dobrze... *...and all other tangible...* Co to znaczy *tangible*? No to zaraz zobaczymy. Sięgnął po słownik. *Tangible* — dotykalny, namacalny, może być także realny. W porządku.

— Józiu!
— No?
— Mówiłeś z nim?
— Przecież wiesz.
— Ale co sądzisz?
— Zgodził się. To znaczy Jan chce, ale Piotr trochę krzywo na to patrzy, bo mogę mu odebrać tłumaczenia i wysyłki paczek do Polski.

— Ale właściwie zaangażował cię?

— Co on ryzykuje? Pensji nie będzie mi płacił. Chwilczkę, widzisz, że się uczę. Niech no ja tylko zdam egzamin i odbędę praktykę.

Budzik zadzwieczał w sypialni Bogi i Andrzeja. Wi-brujący, drażniący dźwięk uderzył w sen Andrzeja. Nasu-nął koc na głowę. Budzik warczał, nie ustawał. Boga od-wróciła się na bok. Westchnęła:

— Czas wstawać.

Zasnęła. Poderwali się jednocześnie.

— Późno! Chłopcy idą do szkoły — krzyknęła. —
Prędejl!

Narzuciła pośpiesznie szlafrok, zaplatała warkocze.

— Kapitan, Kapitan! — zawołała. — Chodź tu, budź dzieci!

Pies zeskoczył z łóżka Żuławskich, podrapał łapą w zamknięte drzwi.

— Kapitaaaa!

— Już idzie! — odezwał się Żuławski. — No leć, dalej, dalej, pani cię woła.

Pies ślizgał się na schodach. Nie mógł przyzwyczaić się jeszcze do nowego mieszkania, ale przestrzeń domu odpowiadała mu. Wskoczył na tapczan chłopców, liznął zaspany policzek Marka.

— Wstawać! — nalegała Boga.

— Kapitan! — krzyknął z góry Żuławski. — Pussi, pussi, bierz kota!

Pies zeskoczył z łóżka, rzucił się z głośnym ujadaniem do zamkniętych drzwi od ogrodu.

— Ko-ta, ko-ta! — podjudzał Żuławski. Schodził już ubrany na śniadanie.

— Józiu, a gdzie ty się śpieszysz? — zatrzymał go Andrzej. — Odpocząłbyś sobie, poleżał.

— A kto będzie za mnie robił?

— Co ty masz do roboty?

— Według ciebie nic.

— Dlaczego się unosisz? Nie wiedziałem, że zaczynasz dziś pracę.

— Co ten Wojtkiewicz?

— Będziesz miał czas, to porozmawiamy.

Żuławska kręciła się po kuchni, co chwila spoglądała na zegarek.

— Zaczekaj Helenko — powiedział Andrzej. — Nie gorączkuj się, odwożę cię samochodem.

— Ach kiedy ty się wygrzebiesz! — denerwowała się Żuławska.

— Marek! — krzyczał Paweł — *come on! You will be late for school!*

— Jeżeli ja jeszcze raz usłyszę! — warknęła Boga.

— Jeżeli ja jeszcze raz usłyszę, że mówicie między sobą w domu po angielsku...

— Brzydko chłopcy! — skrzywiła się Żuławska.

Paweł wyrzwał poprzez niedomknięte drzwi.

— Marek się kopie!

— Nie skarż! A pacierz? Mówiliście pacierz?

— Mówilem! — mruknął Marek.

Siedział w spodniach od pyjamy na łóżku, potargana jasna głowa, oglądał komiksa.

— No teraz! Te głupstwa! Klękajcie! — zakomenderowała. — Obydwaj!

„Wszchemocny Panie, Wiekuisty Boże, kto się Twym sprawom wydziwować może...”

— Marek, Marek — jęczała Boga. — Wolniej! Przecież ty nie rozumiesz co mówisz!

— Marek się kopie!

— *Layer!*

— Kończcie!

„...kto rozumowi, którym niezmierzony ten świat stworzony...”

— Dlaczego wymyśliłaś taki dziwaczny pacierz?

— Kończcie!

Helena stała już przed garażem, niecierpliwiła się. Andrzej zapuszczał motor Chevrolet'a. Był to model z roku 1948, podstarzały, mocno zużyty.

— Siadaj! — zawołał. — Spoglądał z dumą na swój samochód. Myślał: Najważniejsze że koła się kręcą, motor gra, jeszcze pochodzi.

Wjechali na ulicę Uniwersytecką. Odruchowo obydwoje spojrzeli na fronton domu.

Andrzej myślał: Nie jest to zły dom, park, przestrzeń.

Żuławska westchnęła: No to dobrze, że nareszcie u siebie.

Jechali Uniwersytecką, aż do Alei Północnej, tutaj Andrzej skręcił na lewo. Gdy mijali lanczenetę, zwrócił się do Heleny:

— Nie żal ci?

Helena wzruszyła ramionami, było jej żal, ale nie chciała się przyznać.

— Powiem ci, że nie, że...

— Moja droga, przecież ja widzę, że ci żal, zawsze byłeś u siebie, a teraz...

— Poczekaj, poczekaj — przerwała mu — właśnie, że mi wcale nie żal. Józio, teraz widzę, miał rację. Ta restauracja by nas wykończyła. Ciągłe użeranie się ze służbą! No i popatrz, co się zrobiło z tą dzielnicą!

Odwróciła twarz, nie chciała patrzeć na lanczenetę, ale akurat zatrzymały ich czerwone światła. Helena nie chciała patrzeć na chodnik, tuż obok drzwi kuchennych, gdzie na krótko przed sprzedażą lanczenety umarł przyjaciel Sally. Szedł do niej na kawę i upadł. Był to schyłek gorącego dnia. Wielu ludzi chorych na serce nie wytrzymało upałów. Sally wybiegła i natychmiast wróciła, nie mogła patrzeć. Co za rozpacz! I nawet nie zdążył jej nic zapisać! A może wcale nie miał pieniędzy.

— *Colonel* — szepnęła rozdygotanym głosem — to nasz klient, ten kulawy, zaraz trzeba telefonować po ambulans. Ale już z daleka słysząc było ostry, nieprzyjemny ryk ambulansu. Wokoło leżącego zgromadziła się grupa ludzi, nadbiegł rejonowy policjant.

— *Colonel* — Sally gryzła papierosa — a może ja pobiegnę do jego mieszkania i zobaczę czy czego nie zostawił, bo potem, jak przyjdzie policja.

— Twoja sprawa Sally — odpowiedział Żuławski — sama wiesz co cię z nim łączyło i jakie możesz sobie rościć prawa.

— A może on jeszcze żyje, może trzeba mu pomóc
— zawołała Żuławska — Józiu, pobiegnij!

— Tam jest dość ludzi, nie mogę zostawić teraz kasy, ale idź, idź, zobacz!

— Ja nie wyjdę! — krzyknęła Żuławska. — Nie chcę, nie mogę patrzeć!

Och — szepnęła zakrywając oczy. — Och Boże...

Serce łomotało w niej. Był to alarm, znak ostrzegawczy. Wszystko dobrze, mogę iść bez końca, ale nie spychajcie mnie z mojej drogi, nie każcie mi spoglądać na boki.

— No to już, jedziemy! — przynaglała Andrzeja.

— Czekaj, przecież widzisz, że jeszcze nie mogę! Tak masz dość lanczenety, że nie chcesz na nią popatrzeć?

Andrzej wprost przeciwnie. Andrzej mógł patrzeć i nie rozpraszać się. Stworzony był do momentów niespodziewanych.

— A co się stało z Sally? — zapytał.

Lanczeneta została poza nimi. Żuławska odetchnęła.

— Widziałam ją niedawno na ulicy. Ma córkę, mówiła, że wróciła do męża.

— Wierzysz?

— Nie, nie wiem. Prosiła, aby was pozdrowić. Wszystko jedno jakie były, ale zawsze były uprzejme, życzliwe. One są z południa, wiesz?

— Podobno na południu ludzie są uprzejmiejsi. Wydaje mi się, że w okresie wojny cywilnej byłbym po stronie konfederatów.

Żuławska wysiadła przed półokrągłym, parterowym budynkiem. Z lewej strony przylegała do niego wielka hala-sklep z samochodami, nowiutkie maszyny stały na obszernym parkingu. Z prawej strony barak reklamujący najlepsze na świecie używane samochody. Maszyny z poprzyczepianymi do szyb cenami tłoczyły się na parkingu przed barakiem. *Drive In*, w której pracowała Żuławska, umieszczona była w dzielnicy przemysłowo-handlowej przy jednej z szos łączącej północ Stanów z leżącą na południu stolicą.

Dostawca mięsa czekał już przed kuchennymi drzwiami.

— *Good morning Miss Helen, how are you to-day?*

— *Fine, fine* — uśmiechnęła się Żuławska.

Wpadła do kuchni. Kucharz Murzyn rozmawiał z *short-order cook*, Murzynką Lula Mae. Na widok Żuławskiej zamilkli.

Otworzyła drzwi pokoju-lodówki i poczęła sprawdzać, liczyć płyty mięsa i poukładany na półkach drób.

Biorę pół cielaka, dwanaście pudełek mrożonych kotletów cielęcych, dwanaście indyków, dwa *round beef* — zawołała do dostawcy — a jutro chciałabym 10 połędwic i sześć szynek.

Pomyślała: Ciekawa jestem jak Józio da sobie radę.

Dostawca jarzyn stanął w drzwiach kuchennych.

— Zaraz, zaraz! — wołała Żuławska — sześć worków kartofli, niech pan tu wniesie od razu do chłodzi! Worek kapusty! Lula Mae, sprawdź ile mamy sałaty!

Ruszała się po kuchni, zaglądała tu i tam energicznie, sprawnie.

To nie była jej kuchnia, ale wypełniona jej krząta-
niną, zapobiegliwością stawiała się częścią jej samej.

— Ciekawa jestem jak Józio da sobie radę? — pomyślała po raz ostatni.

Nie było już czasu, z restauracji zaczęły napływać zamówienia.

Żuławska dozorowała wydawanie porcji.

— Dobrze, że mogę pracować — cieszyła się. — Dobrze, że dostałam tę pracę. Ruch był jej sprzymierzeńcem. Był takim samym na każdym miejscu drobnym tworzeniem życia. Uczestnictwo w ruchu. Czyż nie była to radość życia, świadomość, że jest się potrzebnym. Po co zbierać razem te wszystkie drobiny i doszukiwać się sensu? Żyję i wszystko we mnie drga życiem, którego celu nie jestem w stanie odgadnąć. Po co myśleć, że czas skrada się niepostrzeżenie?

4.

Andrzej zaparkował samochód na wąskiej uliczce w dzielnicy murzyńskiej. Spojrzał na zegarek: trzy minuty. Biegł. W korytarzu kamienicy fabrycznej ciemnawo.

Smithy, jeden z windziarzy czekał w otwartych drzwiach windy. Kolebał się z nogi na nogę.

— Cóż-żeś się tak uperfumował? — spytał Andrzej.

— Piłem — wybełkotał Smithy.

— I ślepniesz — szepnął współczująco Andrzej. — Pijesz wszystko: denaturat i wodę kolońską. Przecież to zabójcze, Smithy.

— *Yes sir.*

— Kto się tobą zaopiekuje, gdy stracisz wzrok?

— *Yes, sir...*

— Pójdiesz do szpitala.

— *Oh no sir, no sir!*

— Uważaj na siebie Smithy!

— *Yes sir!* — uśmiechnął się szeroko. *You are a kind man, Mister Andrew.*

Andrzej wybił godzinę na zegarze. Ostatnia minuta! — ucieszył się. Zawsze był na ostatnią minutę. Gdyby przyszedł o minutę później, odliczono by mu kwadrans z pracy. Wszedł do hali fabrycznej, zaraz potem odezwał się dzwonek. Andrzej zdjął marynarkę, zbliżył się wolno do stołu, teraz już nie potrzebował się śpieszyć. Od wpół do dziewiątej do szóstej, dwadzieścia pięć minut przerwy obiadowej. Dziewięć i pół godziny — obliczał.

Każdy już stał przy swoim stole tylko jeszcze *Charlie-cutter*, pół Hiszpan, pół nie wiadomo co, całował w kacie nieco zasłoniętym półkami *Lilian-spreaderkę*¹. Andrzej widział. Każdy widział i wiedział, ale nikt nie patrzył i nie reagował. Włosy Charlie'ego czarne, przyлизane pomadą, z przodu podgolone tak, aby podnieść wysokość czoła. Mały, zawodowy garbik i wypięty brzuszec. Charlie ma żonę i synka, a mąż Lilian jest w wojsku. Wieczorami Charlie i Lilian wychodzą razem.

— Charlie! — ryknął Al — nie masz nic do roboty?

Charlie odwrócił się, Lilian czmychnęła.

— Nie wściekaj się Al — mruknął Charlie. — Ja wiem, dlaczego ty się wściekasz, nasza drużyna zbłądziła się wczoraj w Nowym Jorku.

— Durnie! — zaklął Al, — ale twarz mu złagodniała.

— Do ostatniej chwili mieli 3:3. Jak tak dalej pójdzie oddadzą mistrzostwo Jankesom.

1. Od *spreading* — rozkładanie materiału na stołach.

— Krew mnie zalewała — mamrotał Charlie. Wyglądał materiał na stole.

Gruby, ospały Persey podniósł leniwe ślepie.

— Widzieliście tego niezdarę Tony Royer? Wszystko spaskudził.

— Co ty mówisz Persey? — podbiegł do niego Al. — Co ty chcesz od Tony? Ten przekłety Jankes wycisnął z niego całą krew.

— Nie zdobędą mistrzostwa — śmiał się ponuro Persey. — Ostatni raz mieli w 1945 roku i od tego czasu paskudzą.

— Nie kracz, Persey!

Andrzej myśli: Al ma wysokie ciśnienie krwi, wścieka się o byle co.

— Al, telefon do ciebie!

Teraz Al podbiega do telefonu, Purpurowieje. Wiadomo, to wymyśla mu dyrektor Goldfreder.

— Persey! — ryczy Al. — Cała partia rękawów źle przycięta!

Persey podnosi dzikie, przekrwione ślepie.

— Pocałujcie mnie wszyscy... To Charlie — wyje. — To on przycinał!

— Ach ty, ty s...synu, ty zawsze na mnie zwalasz!

Wychodzą sobie na przeciw. Brzuszek Charlie'ego drży oburzeniem.

Persey naciera odważnie, zasapany, rozdrażniony byk. Całe piętro obserwuje. No niech się nareszcie pobiją. Ale gdzie tam, stoją, brak im odwagi, pluą na siebie wzrokiem.

Andrzej pochyla się nad stołem: Jeszcze dziewięć godzin.

Boga stanęła przed narożnym budynkiem z czerwonej cegły.

— No to już idź! — powiedział Marek. — Już idź!

— Mareczku! — zawołała. Odwrócił się niechętnie. Paweł stał jeszcze przy niej, nie puszczał jej ręki. — Mareczku, zaczekaj na Pawła! — Grupa dzieci przystanęła. Spojrzeli podejrzliwie na nią, na chłopców.

— Mark! — zawołał — mały Chińczyk. — Come on, Mark!

— Mareczku, zaczekaj na Pawła! I co, nie pożegnasz się?

Przybiegł do niej zdyszany, niecierpliwy, oglądał się na wszystkie strony, szepnął: Mamusiu, nie mów tak głośno, Mamusiu! *Come on, Paul!* — zawołał.

— Co ja zrobię? zmartwiła się. Na szybach okien szkolnych poprzyklejane dziecinne wycinanki. Dzieci wbiegają po schodach szkolnego budynku. Policjantka gwizdnęła, zatrzymała ruch. Teraz przechodźcie! — krzyknęła do dzieci po przeciwległej stronie ulicy. Boga myślała: Marek się wstydzi. W tyle, poza nią budynek szkolny czerwony, napuszczony, ważny. Co ja zrobię? — szepnęła. — Co ja zrobię? Wracała wolno do domu. To już nie siostra Justyna i ksiądz kapelan. To Ameryka. I nawet nie wiem dobrze jak ich uczą w tej szkole, co te nauczycielki mówią im naprawdę? Co to za ludzie? Odbiorą mi dzieci.

Trwał w niej nieustanny szum, wszystko działo się obok, we mgle. Otworzyła drzwi domu. Tu — pomyślała tu mogę wejść, tylko tu. Może gdybyśmy mieszkali na przedmieściu miałabym znajomych, sąsiadów. To nie prawda, że żyję w Ameryce, żyję obok, jest we mnie ciągły głód, niedosyt. Paweł i Marek to co innego, odpłyną zwolna, a ja zostanę.

— O co ci chodzi? — pytał Andrzej. — No o co, Boga? — Pochylał się nad nią zatroskany. — Mógłbym zamieszkać z tobą na bezludnej wyspie i byłoby mi dobrze. Co się z tobą dzieje? Czy już mnie nie kochasz?

— Nie, nie, to nie ty! — starała się go uspokoić. Tylko wydaje mi się, jak gdyby coś we mnie zamierało. Wyobrażałam sobie wszystko inaczej. Miałam, jakby ci to powiedzieć, tyle do ofiarowania, do przekazania innym, chciałam się uwielokrotnić, chciałam jakoś wejść pomiędzy tych ludzi...

— Takie sny młodzieńcze. Ja już przez to przeszedłem. Ale właściwie to nie wiem o co ci chodzi. Powiedz sama cóż jest ważnego na świecie, istotnego? Dom, rodzina, życzliwość otoczenia, twój życzliwy stosunek do ludzi, twój stosunek do Boga...

— A może ja Go szukam? — spytała nieśmiało. — I teraz kiedy ta dociekliwa, nienasycona część mnie samej zamiera, wydaje mi się, że błędzę, ginę. Bo przecież każdy szuka inaczej.

Zuławski wysiadł z autobusu na ulicy Szerokiej. Jan Wojtkiewicz stał w drzwiach biura, kurzył cygaro. Był niewielki, siwy, miał twarz łagodnego, wiejskiego proboszcza. Na świat patrzył nieśmiało, pokornie, jakby kiedyś wobec niego zawinił. Mówiono, że pił dużo, ale po śmierci żony zmienił się, nawrócił. Dostosowywał się ustawicznie do swojej nowej roli i był zażenowany wobec człowieka, w którego się z wolna przeobrażał. Jeśli nie pracował, stał w drzwiach swego biura i przyglądał się pół-uśmiechnięty ulicy Szerokiej. Było to centrum dzielnicy polskiej i niejednokrotnie słyszało się łamaną polszczyznę, a w okresie Bożego Narodzenia przez głośniki uliczne nadawano „Bóg się Rodzi” i „Wśród Nocnej Ciszy”.

Jan Wojtkiewicz nie brał udziału w życiu Polonii, ale każdy go znał i on znał każdego. Nie lubiano go trochę z zazdrości, że otrzymał od miasta dobre płatną posadę z klucza politycznego, która zobowiązywała go do brania udziału w zebraniach zaledwie kilka razy do roku, a poza tym nie obciążała żadnymi obowiązkami. Nie lubiano go też, gdyż podobno ożenił się z Ajryszką, że nie chciał przyjąć żadnej funkcji w organizacjach, że nie chodził na uroczystości polonijne, a pomimo to musiano do niego przychodzić po poradę, gdyż biuro jego załatwiała niemal wszystko.

Wojtkiewicz dostrzegł Józefa wysiadającego z autobusu i szepnął do siebie nie wyjmując z ust cygara.

— So... — a potem dodał w myśli. — To niech sobie przychodzi i niech tam sobie zarabia. — Wyciągnął z ust cygaro. — So... Piotr się będzie wściekał, ale się jakoś ułoży. Nie ujmie mi. No to już przyszedł. Patrzcie! Chwalić Boga! No to już zajechał, to już idzie! So... Wojtkiewicz uśmiechnął się na powitanie, gdyż nie nawykł do pozdrowień.

— Dzień dobry panie Janie! — powiedział Zuławski.

Wojtkiewicz kiwnął głową, uśmiechał się. Józef podołał mu się.

— A to chodźmy! — zapraszał. — To chodźmy! To biurko niech pan sobie zabierze. Niech sobie pan na tym biurku urządzi.

Roześmiał się. Był teraz bardzo rad, że pozwolił Żuławskiemu pracować w swoim biurze. Nie płacił mu, to prawda. Dochód uzgodnili: *fifty-fifty*. Co Żuławski zarobi połowa dla Wojtkiewicza.

— A to chodźmy — powiedział. I brunatnym, nieśmiałym spojrzeniem poglaskał Żuławskiego.

— To i dobrze — szepnął do siebie. — To i dobrze.

Bardzo się cieszył swoim stanem ucichłej pogody, ale nie na długo. Zaczęła w nim zwolna nurtować podejrzliwość. Żeby tylko nie wchodził Piotrowi w drogę, ale niech tam sobie trochę zarobi. Teraz należało powziętą łagodnym sercem decyzję ugruntować. No bo tak, człowiek chce robić dobrze, ale bez pieniędzy nie wyżyje. Zna język — myślał o Żuławskim — sprowadzi klientów, dochód się powiększy — uspakajał sam siebie. Nic mu przecież nie płacę.

Żuławski usiadł za biurkiem i zaczął wyciągać jedno po drugiej szuflady. Były zapchane papierami, papierowymi kubkami po kawie. Najpierw uporządkuje — postanowił. Ale nie miał czasu, gdyż Jan Wojtkiewicz podsunął mu złożony we czworo, pożółkły papier.

— O to świadectwo — uśmiechnął się — *birth certificate*, do przetłumaczenia.

Żuławski rozprostował papier, wygładził, wyciągnął z teczki słownik i zabrał się do tłumaczenia. Szło mu ciężko, był dokładny, pedantyczny, toteż przekreślał, namyślał się, zmieniał.

6.

Młodeccy przyjechali zupełnie niespodziewanie zanim jeszcze chłopcy wrócili ze szkoły. Zjawili się nagle w drzwiach, bez zapowiedzenia. Doktor objęła natychmiast Bogę spojrzeniem, otoczyła ją, zamknęła. A Boga, jakby aż nieco osłabła z wzruszenia, bo przyjsście to było tak nagłe, tak pożądane, jakby ratunek niespodziewany, podczas, gdy ona potykała się, gubiła. Doktor Młodecka, lekarz, a więc przeszłość odepchnięta wracała, a odrzucona już miała znów rację bytu. I doktor Młodecka użalająca się

nad Bogą, a więc zrozumienie. Jak to spojrzenie podtrzymywało, unosiło. A profesor stał sobie z boku, był dopełnieniem, nie był nawet potrzebny.

— Zmizerniała! — stwierdziła doktor. Rozsiadła się na fotelu, pokój wypełnił się jej obecnością.

Profesor przytaknął: Zmizerniała!

Boga dotknęła policzków końcami palców.

— Ach to nic! — strzepnęła rękami. — To nic!

Doktor rozejrzała się po mieszkaniu.

— A gdzie wszyscy?

— Pracują. Chłopcy w szkole.

— I sama tak się pani męczy! — Zwróciła na męża twarz pełną oburzenia. — No powiedz! Nie, nie dobrze. Pani czy mi się nie podobają. Spojrzenie jej starało się przeniknąć oczy Bogi. Co tam jest poza oczami, głębiej, na dnie oczu.

— No i cóż? Może weźmiemy panią do lekarza? Bo ja się nie narzucam z badaniem. A może by panią zbadać?

— Nie! — krzyknęła. Było to zaprzeczenie wbrew niej samej, jakby krzyk nie jej świadomości, ale instynktu. Bo przecież owszem, chciała. Dlaczego doktor Młodecka miała by jej nie zbadać?

Powtórzyła jednak: Nie, nie! jakby podejmowała czyjś inny głos. Zrywała się w niej chęć walki, oporu, ale natychmiast ustępowała uległości. Zaprzeczenie było tylko krzykiem przez sen, w który zapadła nie wiadomo kiedy i z którego nie mogła i nie chciała się obudzić. Ta dwoistość męczyła, powiedziała więc:

— Właściwie nie czuję się dobrze, może kiedyś pójść do lekarza, może powinnam pójść do lekarza.

— O widzisz! — triumfowała doktor Młodecka. Spojrzała na profesora. — Ja wiedziałam!

Uśmiechnęli się nieznacznie, porozumiewawczo.

— Tak, tak, wiedziałaś. Ty zawsze wiesz.

— Dbać o siebie, trzeba dbać o siebie więcej — doktor poklepała Bogę po ramieniu. — Teraz już znów jesteśmy w Monumental i zajdziemy kiedyś wieczorem!

— O to dobrze! — ucieszyła się. I nawet wtedy, jak wyszli cieszyła się jeszcze i podśpiewywała, a przy kolacji powiedziała do Andrzeja:

— Sieszę się na tych Młodeckich, będzie można z kimś porozmawiać.

III.

Wieczór przyoblekał ich w peleryny, narzucał na głowy kaptury. Wydawało się, że przyjeżdżają z daleka, ze stron już zapomnianych, a że w pelerynach i kapturach wieczoru, więc tajemniczo i pewnie z misją.

Żuławska mówiła: No nareszcie, mamy jakichś znajomych. Wołała Pawła i Marka: Przywitajcie się!

Ale doktor Młodecka spoglądała na chłopców roztargnioną, ledwo że ich zauważała, jakby nie byli ważni, więc Żuławska chłodziła.

— Nie rozumiem — mówiła. — Dlaczego ona nie lubi dzieci.

Natomiast widać było wyraźnie, coraz wyraźniej, że doktor wybrała Boga. Opowiadając zwracała się najczęściej do Boga. Jak dawniej, tak i teraz mówiła o przeszłości.

— Embriologia? — pytała Boga.

Ale doktor omijała temat. Właśnie teraz chciała opowiedzieć coś bardzo ciekawego, coś co zdarzyło się w jednym z obozów koncentracyjnych, albo w jaki sposób znając doskonale język niemiecki przedostała się w czasie wojny na tereny Rzeszy, albo jak to mając zaufanie Gestapowców udało jej się uratować z więzienia kogoś, kto miał duże znaczenie w Podziemiu.

Profesor nie uczestniczył. Skryty w kącie pokoju rozmawiał z Andrzejem. Andrzej rozpromieniał się, po jałowym dniu w fabryce odurzał się rozmową.

Andrzej mówi: A jakby zaanalizował pan, panie profesorze pojęcie chandry?

— Zniechęcenie?

— No nie, chandrę można by zmieścić w ciaśniejszych ramach. Jest to rodzaj nalotu, którego jednak możemy się pozbyć...

— Myśli pan, że w ciaśniejszych ramach niż zniechęcenie. Weźmy na przykład pana chwilowe zniechęcenie do życia w Ameryce, sądzę że w tym wypadku odgrywać rolę będą pewne wątpliwości, zwątpienie, czy damy na to może pan osiągnąć żądany wynik w obecnych warunkach... zaczyna pan wątpić w wartość własnych wysiłków...

Doktor mówi:

— Jedziemy tym samochodem, ulewa, błoto, a tu brzegiem drogi idzie człowiek. Ślania się na nogach, wiadać od razu chory, zatrzymałam samochód, bo ja byłam jedną z nielicznych, którzy wtedy mieli samochód...

Boga przymyka oczy, głos wibruje w niej.

Chłopcy już śpią. Żuławski ziewa. Patrzy na zegarek: jedenasta godzina. Jutro pojedzie znów do dzielnicy polskiej, do biura Wojtkiewiczów: tłumaczenia, czasem paczki do Polski, sprzedaż domu. Wolnego, wolnego, niech-no ja zdam ten egzamin, niech dostanę licencję! Ziewa.

— No to... — podnosi się. — Dobranoc państwu.

— Och już pan odchodzi, panie pułkowniku? — Doktor Młodecka tylko stwierdza, bo przecież nie żałuje. Stwierdza i dziwi się. Już idzie spać? Ot tak, ziewa sobie. I nic nie widzi? Nie spostrzega? A co mógłby widzieć? Co mógłby podejrzewać? Przecież ja nic... nic... nic. Tylko jestem trzeźwa i widzę. Albo wcale nie ja, tylko to we mnie widzi. Temu trzeba się podporządkować, temu zaufać. I jestem trzeźwa, rześka, żywa.

— Już pan nas zostawia, panie pułkowniku?

Żuławski myśli: Wy też już idźcie do jasnej cholery! Uśmiecha się.

— Jedenasta! — Stuka palcem w szkiełko zegarka na przegubie ręki.

— Chodź, Kapitan!

— Dziecinna godzina! — drwi profesor.

— Jak dla kogo! Ludzie którzy wstają rano do pracy... — spogląda na Andrzeja i Helenę.

Profesor jest tak jasny, że oślepia Andrzeja. I Andrzej też nic nie widzi, nic, nic.

— Czy sądzi pan, że można pogodzić sceptycyzm z energią? — pyta. — W moim wypadku, ja jako inteligent używam mojej energii tylko i jedynie, aby zarobić pieniądze i utrzymać za nie rodzinę. Muszę więc ratować się uznawaniem energii jako takiej, chociaż często, jak pan mówił ogarnia mnie zwątpienie...

— To jeszcze napijmy się herbatki — proponuje Helena.

Józef rzuca jej karcąco-drwiące spojrzenie. Ta ma nie-dobrze w głowie. Andrzej do fabryki, ona do pracy i herbatki o północy! Żuławska mignęła tylko. Już jest w kuchni, zapala gaz, nastawia wodę na herbatę i też nic nie widzi, nie spostrzegła, nic, nic. Bodze cienie pod oczami przesłaniają wzrok i też nic nie widzi, nic. Cienie wydobyte rękami doktor Młodeckiej. I profesor nic nie widzi, gdyż głowa jego zbyt jest słoneczna, jasna, a może wie? Skwapliwie porusza się śladem żony? A może po prostu musi podążać za nią?

Nagle podnosi głowę, mówi:

Moja żona ma nadzwyczajną intuicję, nadzwyczajny zmysł. Proszę sobie wyobrazić wchodzi do domu, do czyjeś mieszkania i wyczuwa chorobę.

— Na przykład co? — pyta Boga.

— Na przykład wyczuwa raka.

— Ach to nadzwyczajne — mówi Andrzej. — Ciekawe, ciekawe.

Boga myśli: Wyczuwa? No to już przesada. Jakto wyczuwa? Mówi: Rzeczywiście ciekawe, pewnie ten zmysł wyczuwania pomaga pani w diagnozie?

Doktor Młodecka kiwa głową:

— Tak, tak... tak, tak...

2.

— Czego ona chce ode mnie, Andrzej? Dlaczego ona tak często przychodzi?

— Przecież przychodzi nie tylko do ciebie. — Andrzej uśmiecha się. Jaka ta Boga egocentryczna! Myśli, że tylko

do niej. — Cieszę się, że przychodzi — mówi. — Lubię rozmawiać z profesorem.

— Tak, ale ona czegoś chce ode mnie. Może jestem przewrażliwiona, ale czasem, wiesz, to dziwne, czasem nagle się boję.

— Lubi cię...

— Tak myślisz? Ale ten jej wzrok! Zauważyłeś, jak ona na mnie patrzy?

— Owszem, zauważyłem, ale to ty starasz się wyglądać tak nieszczęśliwie.

— Jak to staram się? — Boga podchodzi do lustra. — Staram się o te podsinione oczy?

— Bo ty się zadręczasz nie wiadomo czym. Przyjmuj życie takie jakim jest. Uśmiechnij się. Czy ty myślisz, że ja mam lekko w fabryce?

— Ale coś robisz, gdzieś idziesz...

— Zaręczam ci, że wołałbym zostać w domu. Zajmij się czymś! I co teraz znowu? Płaczesz?

— Andrzej, Andrzej... ja jestem nieszczęśliwa!

— Boga, na miłość boską, co się z tobą dzieje? Idź do lekarza! Ty masz anemię! Ja już ci dawno mówiłem, tylko ty nie zauważasz, jak się o ciebie troszczę. Dopiero przychodzi jakaś Młodecka, mówi ci, i ty taka podatna, wpływowa zaczynasz się przejmować. Idź do lekarza, zbadaj krew. Masz za mało czerwonych ciałek, albo za niski procent hemoglobiny. Niech ci nawet Młodecka kogoś poradzi. Idź z nią. Wpadłaś w apatię, nic cię nie obchodzi i ja cię nie obchodzę. Mam cię wziąć za rękę do lekarza? Przecież na tyle jesteś samodzielna. Idź z Młodecką!

— Co ty myślisz? — pyta Żuławska. — Dlaczego Boga tak źle wygląda? Młodecka mówi...

— A tam Młodecka, przestań mi z Młodecką — krzywi się Żuławski. — Prosiłem ją, żeby ogłosiła pogadankę na zebraniu żołnierzy, to nie może. Nie wolno jej! Kto to jest? Czy ja ją znam?

— Ale zawsze lekarz...

— Kogo ona tam leczy!

— Mniejsza z tym. Nie obchodzi cię twoja córka! Wojtek cię zapraszał, nie chcesz jechać! Mówię ci, że Boga źle wygląda, a ty... Nie masz żadnych uczuć. Stary egoista, wstydzilbyś się!

Żuławski odkłada pióro. Pomylił się w podaniu, ale argument żony nakazuje odłożenie pióra. I Żuławski prędko szuka przeciwnika. Dlaczego Boga źle wygląda? Kto winien? Ktoś musi być winny?

— Bo czy ona odpoczęła? Czy ona miała wakacje? Czy oni gdzieś wyjadą?

— A my?

— Poczekaj-no, wolnego. Ja ci jeszcze pokażę! A jak pojadę, to chcę z całym luksusem...

— Ech! — wzdycha Helena. Czuję, jak życie przepływa, życie uchodzi, woda prędko bieżąca, zmienna, a ta sama. Rwie naprzód tak szybko, że nie dostrzega się jej ruchu. Żuławska przegląda się w wodzie. I teraz widzi, zauważyła jej ruch: twarz zniekształcona prądem wody. Gdyby ją można zatrzymać, przyjrzeć się dobrze! Nie mam czasu — wzdycha — nie mam czasu, aby spojrzeć na siebie. — A jak w biurze? — pyta. Przykro jej, za ostra była dla męża, a przecież on się stara, robi co może, stara się.

Żuławski krzywi usta, chciałby się uśmiechnąć, ale trudno mu, nie ma czasu na uśmiech, ale przecież się stara, przecież chciałby. Wolnego, — myśli, — wolnego, jeszcze się uśmiechnę!

— No więc nie jest tak źle. Ale, psiakość, nie jedno muszę przelknąć. I żebym jeszcze coś zarobił.

— Póki ja zarabiam — wyprostowuje się Żuławska. — Póki ja pracuję; — rozpromienia się. Przenosi wzrok z twarzy na ręce: Dzięki Bogu! Spogląda na swoje ręce. Ja się tak modłę — myśli. — Rękami, pracą rąk. Wydaje jej się, że w tym momencie zatrzymała czas i uniosła się ponad jego płynność. — Nie martw się, póki ja jeszcze pracuję...

Żuławski przygląda się jej, ale uniesiona wysoko jej twarz jest jakby obca.

— Ameryka — mruczy — a więc tego doczekałem się w Ameryce.

— Boga — powiedział Żuławski. — Źle wyglądasz. Nie podobasz mi się. — Spojrzenie spod brwi nastroszonych obwiniające. Co jej jest? Dlaczego źle wygląda?

— Ach nic mi nie jest, nic mi nie jest! — otrząsa się niecierpliwie.

— Co ty mi będziesz mówiła? Od pewnego czasu zauważyłem, że źle wyglądasz. — Myśli: Od jakiego czasu? Do diabła, od jakiego czasu? Zastanawia się. Od jakiego czasu? I nic... nic... nic... Od jakiego czasu?

— Jestem... zaczyna. — I co to? Nie może mówić. Płacze. — Jestem po prostu wykończona. — Płacze. — Zostawcie mnie, zostawcie mnie wszyscy w spokoju.

— Płacze? — dziwi się Andrzej. — Płaczesz? Dlaczego? — woła za nią Andrzej. Żuławski pochyla się poprzez stół ku Andrzejowi.

— Co jej jest? — syczy głos. Wpatruje się w Andrzeja. On pewnie wie lepiej, on ją lepiej zna.

— Czy ja wiem? Powinna pójść do lekarza. Czy ja wiem? — zastanawia się. Nic jej nie jest — uspakaja się. — Chwilowa histeria.

Ale pytanie nie ustępuje, tylko zmienia się: Co to jest, co to jest? Nic... nic... nic... — Może nostalgia? — mówi głośno.

— A ja ci powiem — podnosi głos Żuławski. — Te dwa małe diabły cały czas na jej głowie, przecież upilnować takiego Marka...

— Nie, nie!

— Nie? Oni jej żyć nie dają! Spralbyś tyłki! Jako ojciec...

— Józiu!

— Jajko mądrzejsze od kury! Ja swoich dwoje wychowałem...

— No i co masz z Wojtką? Prałeś go po tyłku i co?

Żuławski podrywa się, odchodząc czuje w piersiach strzałę. Co mam z Wojtką? Ano cóż? Cóż mam mieć? Wychowałem go na uczciwego człowieka.

Właściwie o co mi chodzi? — zastanawia się Boga. — Życia nie można układać tak, jakby się chciało. Ten mój stan, samopoczucie obecne to może być symptom. Ale czego? Jeden symptom może być objawem wielu rzeczy. Pierwsze, że jestem większą część dnia sama. Nie, to chyba nie wszystko! Nie wiem, nie potrafię sama siebie analizować. Czegoś się boję. Może przeczuwam, że chłopcy odejdą, odbiją się od domu, zapomną języka, a ja zostanę na tym samym miejscu, gdyż nie mogę za nimi podążyć? Może o to? I po co ja się tak męczę z nimi? Po co ten pa-

cierz i bajki po polsku? To przebrzmi, przestanie być atrakcją. O co mi chodzi? A może to jest *breakdown*? Może się załamuję? Co za uczucie! Uczucie słabnięcia, niewygody, niepokoju. Wszystko mnie boli. Boże, Boże co się ze mną dzieje? Ale jeśli mogę się opanować, to nie jest tak źle, jeśli mogę zająć się dziećmi...

— Pawełku, Mareczku, odejdźcie od telewizji! Do łóżka! Pawełku, nie biegaj bos! Włóż te granatowe pantofelki!

W pokoju chłopców zgaszone światło, za oknem ciemność, pomiędzy nikle światła gwiazd wdziera się gwiazda przelatującego samolotu.

— Opowiedzieć wam bajkę? — Boga siada na łóżku.

Paweł unosi się na łokciach. Pół-śpiący wydaje się taki bezbronny, kruszyna, jeszcze przed chwilą skakał, krzyczał U...u...uuu! A teraz:

— Opowiedz! — prosi.

Marek odrzuca kołdrę, siada energicznie.

— Ja chcę radio!

— Nie! — protestuje Boga. — Opowiem wam bajkę!

— Nie chcę! — woła Marek.

— Opowiedz! — prosi Paweł.

— Noo dobrze, niech będzie — godzi się Marek.

Andrzej w drzwiach otwartych troskliwy, niespokojny.

— Połóż się!

— Ale Boga nie chce się położyć.

— Nie, nie! Opowiem im bajkę!

— O.K. — Marek jest zrezygnowany. — Ale jaką bajkę?

— O Tomciu Paluszku.

— A może byś się położyła? — troszczy się Andrzej.

— Nie, nie...

— Mów! — ciągnie ją za rękę Paweł.

„Poprzez trawy gąszcz splątany

Pędzi Tomcio w świat nieznany.

Księżyc śmieje się szeroko...”

— Czytałeś ten komik o wyprawie na księżyc?

— Marek, przestań Marek! Ach, — podnosi się. — Macie wasze radie i śpijcie. Pawełku, Pawełku, nie możesz spać? Paweł nie odpowiada.

— Dobranoc — pochyla się nad nimi. — Dobranoc chłopcy.

Boga wychodzi. W sypialni siada przed lustrem. Co oni we mnie widzą? Widocznie to co się dzieje we mnie odbija się na twarzy? Odwraca się.

— Paweł? Dlaczego nie śpisz? Nie możesz spać?

Stoi przed nią milcząco, spodnie pyjamy opadają na gołe stopy. W kąciu ust półuśmieszek. Patrzy, patrzy, oczy błyszczące, jakby załzawione, patrzy. Jaki to duży chłopiec, jak on wyrósł. Czy przyszedł się poskarżyć? Słabszy, mniej zaradny od Marka, prześcigiwany przez niego na każdym kroku.

— Co się stało kochanie? Marek cię uderzył?

— Opowiedzieć ci bajkę?

— Mnie bajkę?

— Wymyśliłem bajkę.

— Chodź! — wyciąga ręce — chodź, powiedz!

— Ale nie śmieję się...

— Nie...

Podchodzi ociągając się, zażenowany, za długie spodnie płatają się wokoło bosych stóp.

Ale nie będziesz się śmiała? — upewnia się. — Nie mów Markowi, dobrze, nie powiesz? Bo on myśli, że poszedłem siusiu. Zaraz, zamknę drzwi.

— Sam wymyśliłeś? Kazali ci w szkole? Nie, nic nie powiem Markowi.

— To dobrze.

— Czy to wypracowanie do szkoły?

— Nie, tylko tak wymyśliłem, teraz, na przyjemność.

— Mów, no powiedz!

— W granatowym pantofelku idzie nocka po *ma-leńku*...

— Pawełku! Pawełku...

— I dalej też...

— No mów!

— *Idzie sobie, idzie drogą, a jak dzieci spać nie mogą...* To już koniec! Dlaczego ty płaczesz?

— Och Pawełku, synku, synku... I tak sam wymyśliłeś?

— Sam! — uśmiecha się. — Na przyjemność!

— Chodź! — obejmuje go. — Chodź zaraz, powiemy tatusiowi!

— Nie! — broni się.
 — Nie? A może to nie ty? Może ktoś ci powiedział?
 Babcia?
 — Nie wierzysz?
 — Wierzę.
 — Ja sam. Tylko to nie jest takie *wonderfull*.
 — Ależ jest, śliczne, Pawełku.
 — *Shucks!* — skrzywił się. — Tatusiowi się nie
 spodoba.
 — Chodź!
 — Zostaw mnie, zostaw mnie! — rozpłakał się.
 — Dlaczego? — zaniepokoiła się. — Ale dlaczego?
 — *Oh shucks, damn it!*
 — Dlaczego? — powtórzyła i pytała się samej siebie
 po cichu: Dlaczego? Dlaczego?

3.

Wieźli ją do lekarza. Nawet nie spytała do jakiego. Wieźli ją samochodem troskliwi, ucichli spoglądając na nią czule jak przycupnęła obok nich na przednim siedzeniu nieśmiała i zależna. Troszczyli się czy jej nie zimno, a może gorąco, a może boli ją głowa?

— Jestem chora — pomyślała. — Ale nie, nonsens, niemożliwe! Dlaczego miałabym być chora?

Doktor Młodecka bardzo teraz bliska otoczyła ją ramieniem.

— Jak się pani czuje?

— Dobrze, dobrze...

Pogłaskała ją po ramieniu, po twarzy.

— To się zobaczy, to się okaże, moja przyjaciółka zbada panią.

Była zbyt słaba, zbyt senna, aby protestować. Nawet nie zastanawiała się już co jej może być. Chora? Dlaczego? Na co? Zbadają mi krew. Pewnie zapiszą żelazo. To dobrze, że jadę. Sama nie zdobyłabym się na pójście do lekarza. Nienawidzę się leczyć.

Zaparkowali samochód przed kliniką, białym, kilkopiętrowym budynkiem. Wysiedli. Doktor wyciągnęła rękę, jakby chciała ująć Bogę pod ramię.

— Jak się pani czuje?

— Dobrze — odpowiedziała. Pomyślała: Jestem chora.

Nie interesowała się nawet co to za klinika. Zresztą wchodzili bocznym wejściem i nie było nigdzie napisu. W hallu przystanęła. Ogarnęło ją nagle przerażenie: Dlaczego Andrzej puścił mnie samą? Ucieknę! Nie, nie, jestem chora! Im prędzej z tym skończę, tym lepiej. Ale z czym mam skończyć? Nie wiem. Jestem chora.

— A może aspiryny? — zatroszczył się profesor Młodecki.

— Chodźmy! — nagliła doktor.

Szła niby stąpając we śnie, półprzytomna. Troskliwe ręce kliniki wciągały ją coraz głębiej. Stawały się nie tylko troskliwe, ale zachłanne, zaborcze, nie było przed nimi ucieczki. Nie miała siły protestować. Jestem chora, jestem chora, chora. Ochłonęła nieco w gabinecie lekarki. Badała ją dokładnie obojętnymi dłońmi i wreszcie spytała wpatrując się w nią, jakby chciała zajrzeć do wnętrza, gdyż samo zewnętrzne fizyczne badanie było nie wystarczające.

— Co pani jest?

— Nie wiem — szepnęła. Spuściła głowę. — Nie wiem, może jestem chora.

— Gdzie panią boli?

Zastanawiała się. Poczuła nagle, że boli ją wszystko, każdy mięsień wszystkie kości, każdy nerw dawał znać o sobie, jakby spadła z wysoka na jakieś kamieniste dno i dopiero teraz po szoku upadku zaczęła odczuwać ból.

— Wszystko mnie boli.

— Ciekawe — szepnęła. — W tej chwili nic nie wiem, nie widzę, testy wykażą. Czy pani chce, aby doktor Młodecka odebrała testy?

— Tak — zgodziła się. — Doktor Młodecka wie najlepiej.

— Nie ma się co przejmować — lekarka myła ręce nad umywalką. Roześmiała się, zawodowy, skrywający prawdę śmiech. — Nic nie wiadomo. Pani stan psychiczny jest ważny.

— Ale czy ja jestem chora?

— Testy okażą.

Po przyjeździe z kliniki uspokoiła się, ale na krótko. Cóż to może być za choroba? — zastanawiała się. Anemia? Wyczerpanie nerwowe? Nie, nie, to jest coś innego, doktor Młodecka wie. Co ona we mnie widzi? Czego ona chce ode mnie?

— To są życzliwi, sympatyczni ludzie — uspakajał Andrzej. — Nie podejrzewaj zaraz nie wiadomo czego. Odpoczywaj, odpoczywaj jak najwięcej.

— Andrzej, nie można odpoczywać bez końca.

— Jesteś niespokojna, nie potrafisz usiedzieć na miejscu.

— Może... ale może to też nie moja wina.

— Przecież ja...

— Nie, posłuchaj! Twoja i moja młodość zaczęła się w walce. No tak? Ty sam często o tym mówiłeś, prawda? Brakuje ci tego prawda?

— Brakuje — przyznał. — Ale to już przeszło. Trzeba zacząć żyć normalnie. Widzisz tu jest Ameryka. Ludzie cieszą się tym co jest. Walka? Po co, dla kogo? W imię jakich idei? Uznaliby nas za wariatów.

— No tak, ale myśmy zarazili się walką. To tak, jak na przykład z gruźlicą. W okresie dojrzewania, w młodości człowiek jest bardzo podatny na zarazki. Nałapałiśmy w siebie tych zarazków buntu, tworzenia czegoś nowego. Jest w nas jakaś gorączka. Ale ja już nie chcę tamtej walki, nie chodzi mi o tamto. Nas jak gdyby nigdy nikt nie wyleczył. Może gdybyśmy zostali...

— Ja często o tym myślałem, ale teraz to już nie możliwe. Chcieli nas złamać, chcą nas złamać. Nie wiem czy nasza polska historia, czy cały świat, który odebrał nam wiarę w autorytety. Gdybyśmy byli emigracją zarobkową byłoby dużo łatwiej, przyjechalibyśmy po prostu urządzić sobie wygodniejsze życie. A my przyjeżdżamy do Ameryki i chcemy ją cofnąć o trzy wieki wstecz: zdobywać, urządzać, poznawać. I po co? Po co?

— Czy ty nie myślisz, że nam po prostu przerwano młodość? Nigdy nie mogliśmy się nią cieszyć i dlatego trwa w nas nieustannie? Nie potrafimy przejść spokojnie do dojrzałego wieku nasycenia i smakowania życia. Bo mnie wydaje się czasem, że jeśli się poddam i stanę w miejscu i zgodzę się na egzystowanie tylko, a nie na

uczestnictwo w życiu to albo załamie się nerwowo, albo to już będzie śmierć.

Bo wtedy to co przywiozłam z sobą, tę gorączkę, ten bunt stłamszę zamiast skierować ją na inną drogę i skierowując tak wyleczyć siebie. I widzisz, ja się boję, że doktor Młodecka chce coś we mnie zdusić. Czuję to wyraźnie wtedy, jak nie jestem z nią. A może to dlatego, że jestem chora? Może dlatego, że jestem chora nie mam już energii, a czasem nie mam już ochoty do życia.

— Co ty opowiadasz kochanie? — zaniepokoił się. — Co ci też przychodzi do głowy?

— Ja nie wiem. Tak jakoś dziwnie się czuje.

— Sama cieszyłaś się tak niedawno, że Pawełek ułożył wierszyk po polsku, że tak melodia języka do niego trafiła. Czy ty myślisz, że ja się czasem źle nie czuję? Że ja się nie martwię? Nie staraj się wyolbrzymiać spraw, filozofować. Jakies gorączki, bunty, demony! Jesteśmy zwykłymi ludźmi. Najważniejsze, żebyśmy byli zdrowi. Dostaniesz odpowiednie lekarstwa, wydobrzejesz.

4.

Zanim nacisnęła dzwonek doktor Młodecka przyjrzała się frontowi domu.

— Dadzą radę — szepnęła. — Mogą wziąć pożyczkę na dom.

Jej szeroka twarz nabrzmiała współczuciem. Weszła do hallu ciężko, dźwigając decyzję. Był wieczór orzeźwiająco-chłodny, jesieny. Ucichłymi ulicami snuły się poółkłe liście.

— Dobry wieczór — odezwała się. — Mam wyniki testów.

W jej głosie zadźwięczała nuta posępna, ale nikt jej nie dosłyszał.

— Ach tak! — zawołał Andrzej. — Proszę, niech państwo siadają! No i co? Jakie wyniki?

Boga wyciągnęła ręką.

— Czy mogę zobaczyć?

— Nie, nie! — zaprotestowała doktor. — Tego się nie wydaje! Ja tylko zapamiętałam.

Spojrzała na Bogę.

— Nie dobrze jest.

— Taaaak?

— Anemia? — spytał Andrzej.

— Co takiego proszę pani? — wtrąciła się Zuławska.

— Przede wszystkim zwiększona ilość eozynofilów.

— Ach! — roześmiała się Boga.

Napotkała spojrzenie doktor karcące, groźne.

— Nie ma się co śmiać.

Śmiech Bogi zamikł, cofała się, ale jeszcze nie chciała ustąpić.

— Proszę pani doktor o ile ja wiem eozynofilia może być objawem przejściowym. Astmy nie mam. Ale mogę mieć alergię, mogę być uczulona na coś z czego sobie zupełnie nie zdaję sprawy. A jak czerwone ciątka?

— To nie ważne.

— Nie ważne?

Doktor wstała, podeszła do Bogi.

— Wydaje mi się, lepiej, abym była z panią szczerą. Porozmawiajmy w cztery oczy.

— Zostawcie nas! — szepnęła Boga. — Zostawcie! — powtórzyła nakazująco.

Zuławska, profesor i Andrzej cofnęli się. Zostały we dwie w pokoju. Doktor ważna, niecierpliwa pochyliła się ku Bodze, starała się ująć ją za rękę.

— Pani jest bardzo chora, drogie dziecko.

— Proszę! — krzyknęła wyzywająco. — Niech pani wszystko mówi! Ja się nie boję!

Nie mówiła, obserwowała ją, wahała się. Z jej spojrzenia sączyła się ciężka, oszałamiająca czułość.

— Więc cóż mi jest? — powtórzyła sennie. — Co pani sądzi?

— Spokojnie, spokojnie... Trzeba by pójść do szpitala. Ja wszystko już zaaranżowałam.

— Co pani podejrzewa? — zerwała się. Szamotała się przez krótką chwilę i znów siadła obezwładniona. — Co pani podejrzewa? — powtórzyła cicho.

— Ta klinika — powiedziała — to była klinika... spokojnie, niech się pani nie denerwuje... — Ujęła ją za obie ręce.

Boga wyrwała się.

— Wiem! — zawołała. — Uważa pani, że mam raka! Tak? Tak? — krzyknęła.

Doktor milcząco skinęła głową.

— Niestety.

— To tak — szepnęła — to to, to o to chodziło.

Przymknęła oczy, ogarnęło ją zobojętnienie.

— Co takiego? — Andrzej wszedł do pokoju. Był niespokojny. Zbliżył się do Bogi. Przygarnął ją. — Co? Co?

— Potrzebna natychmiastowa operacja! — powiedziała doktor. — Natychmiast!

Kręciła się po pokoju podniecona. — Ja zaraz telefonuje do kliniki. Już zamówiłam łóżko, czekają!

— Co? — nie rozumiał Andrzej. — Dlaczego? Boga?

— Doktor uważa, że mam raka — roześmiała się ironicznie. Śmieszył ją własny chłód, naśmiewała się z samej siebie. — Ale ja nie pójdę na operację!

— Tego pani nie może zrobić! — oburzyła się doktor. Tego pani nie wolno zrobić! — Stała przy telefonie, trzymała słuchawkę w ręce. — Dzwonię do szpitala. Trzeba się przygotować na koszty.

— Boga! — krzyknęła Żuławska. — Nie wierz, to nieprawda! Zaręczam ci, że to kłamstwo.

— Proszę pani, proszę pani! — podszedł do niej profesor. — Niech pani nie obraża mojej żony!

— Pana żona! — krzyczała. — Pana żona mi się wcale nie podoba!

— O co chodzi? — wszedł do pokoju Żuławski. — Co tu się dzieje?

Profesor natychmiast podskoczył, przechylił się ku Żuławskiemu, tłumaczył, wyjaśniał półszepem.

— ...i ja wiedziałem, moja żona zawsze wyczuwa.

Żuławska dygotała, opadła na fotel.

— Nie wierz, nie wierz! — zaklinała Bogę.

— Co? — zawołał Żuławski. — Co pańska żona wyczuwa? A karaluchów nie wyczuwa?

— Nie przejmujcie się — powiedziała Boga. — Nie pójdę na operację.

Doktor Młodecka spojrzała na nią tkliwie.

— Pani ma dzieci, dwóch synów, pani jest młoda...

— Odłożyła jednak słuchawkę telefoniczną, stała oparta

o drzwi wpatrzona w Bogę, nieczuła na krzyki obojga Żuławskich. — Chce pani przecież wychować dzieci?

— Ile mi życia zostało? — zawołała wyzywająco.

— Może, jeśli nie będzie operacji — doktor Młodcka spuściła głowę — to może rok...

— Okey! — powiedziała zimno. — Niech będzie rok. Nie będziecie się rujnować przeze mnie. — Myślała: Mówię tak, gdyż nie wierzę, nie mogę uwierzyć. A właściwie powinnam płakać, rozpaczać. Ona — pomyślała ze złością — chciałaby żebym płakała! Ona! Boję się jej! Boję się jej!

Żuławski powiedział: Tylko im wiercie!

Doktor nie reagowała, profesor odwrócił się.

Boga rozejrzała się po pokoju. Smutne, czułe spojrzenie doktor, profesor odwrócony plecami, przerażone oczy Żuławskiej, zatroskane Żuławskiego i Andrzej, Andrzej...

— Andrzeju...

— Pójdiesz do szpitala — mówi. — Nie martw się, doktor zamówi szpital, nie martw się. Tylko może jeszcze nie dziś...

Andrzej myśli: Muszę to rozważyć, na zimno, spokojnie rozważyć.

— Tylko im wiercie! — powtarza Żuławski.

Boga czuje zawrót głowy. W co ja się dostałam? Co to? Co to się dzieje? Andrzej jej wierzy! Jestem chora! Jakiś wir, wir mną kręci, nie mogę wypłynąć. Jeszcze rok, jeszcze tylko rok...

— W takim razie zamówię szpital — powiedziała doktor. — Im wcześniej, tym lepiej!

5.

Odprowadziła chłopców do szkoły. Kręciła się po domu niespokojnie zaczynając tu i tam jakąś robotę: mycie naczyń, ścielenie łóżek i zostawiała w połowie wszystko nie dokończone. Siadła na fotelu z rękami opuszczonymi bezwładnie wzdłuż ciała. Jestem chora — myślała. —

Jestem chora. Ale co mi jest? Co mi może być? Czy to możliwe? Czy to możliwe co powiedziała doktor Młodecka? Czy to możliwe, aby życie już się kończyło? Więc to wszystko co jest poza mną, ta przeszłość oczekująca, niecierpliwa to wszystko? Tylko tyle? Dlaczego tak mało? Żyłam pod znakiem obietnicy i to było wszystko? Tylko to? A cóż jest przede mną? Bóg? Bóg, którego nie znam, do którego nie wiem, jak się zbliżyć. Myślałam, że poprzez ludzi, ale teraz nikt mnie nie potrzebuje. Jestem chora. A jeśli Boga nie ma i wszystko co się teraz dzieje jest tylko spletem warunków zewnętrznych?

Na dworze ranek październikowy, przejrzysty, wonny kielich białego wina, a w niej wszystko było zamglone i mżył monotonny, ciepławy deszcz.

— To już koniec — pomyślała. — Już koniec — szepnęła zrezygnowana.

Telefon! Poderwała się. Ale zaraz opadła na fotel. Kto to może dzwonić tak rano? Pewnie pomyłka. A może coś się stało z chłopcami? A może Andrzej? Andrzej, Andrzej... jaki on był zmartwiony.

A ja nic! Ja tylko myślę o sobie. Andrzej, gdyby to był Andrzej!

Podbiegła.

— Hallo? — zawołała niecierpliwie.

— Tu Młodecka — zaterkotał głos. — Więc niech się pani szykuje. Za dwie godziny będziemy tu po panią.

— Jakto? — zadrżała.

— Szpital załatwiony — szeleścił głos. — Jest wolne łóżko.

— Ale...

— Niech się pani nie boi...

— Muszę się porozumieć z mężem, ja tak nie mogę, tak nagle...

— Przecież mówiliśmy wczoraj moja droga. Przecież pani wie, jak ja pani dobrze życzę — głos zgrubiał od nagłej, lepkiej słodyczy. — Jak ja panią lubię. Będziemy za dwie godziny.

Rzuciła słuchawkę. Rozejrzała się bezradnie po mieszkaniu. Ściany przyglądały się jej obojętnie i wydawały się przybliżyć, zacieśniać. Dotknęła ręką gardła, czuła, że się dusi.

Uciekać! — pomyślała. Uciekać! — szepnęła.

Ściany waliły się na nią, przyduszały ją, jakby to znów zaczęło się bombardowanie. Dom dygotał, trzęsły się szyby, podłoga drgała konwulsyjnie, ściany waliły się. Zaraz ją przyduszą, zaraz ją przywalą, zaraz, zaraz... Ile mi czasu zostało? Jestem chora... będziemy za dwie godziny... ja panią tak lubię... pani jest bardzo chora drogie dziecko... rok, rok, najwyżej rok!

Ratunku! — chciała krzyknąć, ale nie mogła krzyzczeć, nie mogła wykrztusić słowa. Myślała tylko rozpaczliwie, wciąż to samo: Ratunku, ratunku! I nagle zawołała głośno, nieprzytomnie, rozpaczliwie: Andrzej! Andrzej! — powtarzała — Andrzej, Andrzej! To on był ratunkiem. Zapragnęła tak bardzo jego bliskości, dotknięcia ręki, spojrzenia. Chwiejąc się dopadła telefonu. Palce dygotały jej, nie mogła nakręcić numeru, zapomniała numeru. Jaki to numer? Boże jaki to numer? Nie wiem, zapomniałam. Szukała w książce telefonicznej. Prędejszy, prędejszy! Ściany mnie przyduszą, ściany mnie przywalą! Boże, ratuj mnie! A jeżeli Boga nie ma? Piwnica, piwnica z zawalonym wyjściem. Nie ma wyjścia, dom wali się na mnie! Andrzej, Andrzej ratuj mnie, uciekajmy! Palce drżały jej tak bardzo, że nie mogła nakręcić numeru. Za dwie godziny przyjeżdżamy, łóżko gotowe... prędejszy, prędejszy! Nakręciła zero.

— Operator! — wykrztusiła. — Proszę mnie połączyć....

— Czy numer nie odpowiada? — spytała telefonistka.

— Nie, nie! Prędko proszę mnie połączyć!

Wyczekiwała w słuchawce na jego głos.

— Andrzej! — zawołała. — Przyjeżdżaj! Ja oszałeję! Uciekajmy! Młodecka chce mnie zabrać do szpitala, prędko!

— Dziecko drogie, przecież ja cię nie puszcze, uspokój się...

— Przyjeżdżaj! Przyjeżdżaj!

— Będę natychmiast — zdecydował. — Ubieraj się. Jedziemy do lekarza. Do Nowego Jorku.

Odetchnęła, ubierała się pośpiesznie. Spojrzała na siebie w lustro. Była zupełnie blada, w wydłużonej, przeźrzonej twarzy skurczone dygocące usta. Zwijała włosy byle jak w węzeł na karku. Szpilki spadały na podłogę. Zanim zdążyła się ubrać, usłyszała głos Andrzeja.

— Już przyjechał, przyjechał... — rozplakała się.

Biegła ku niemu. Zarzuciła mu ręce na szyję, przygarneła się. Odczuwała teraz całe jego ciało silne i spokojne, które przejmowało jej strach.

— Boję się — szeptała. — Boję się, boję się...

— Moja kochana — tulił ją — moja najdroższa. Przecież ja bym ciebie nie puścił, jestem z tobą, jestem z tobą. Jedziemy natychmiast do Nowego Jorku, do polskiego lekarza. Zobaczymy. Jeśli będzie potrzebny szpital, to ja cię nie zostawię, będę z tobą. Już myślałem o tym, zaraz telefonuję. I co jeszcze? Telefonuję do Heleny i wyjeżdżamy, uspokój się, wyjeżdżamy!

— A jak oni zadzwonią, to nie odpowiemy, nie otworzymy! — drżała nie puszczając jego ramienia.

— Nie bój się, nie bój się. Taka niby silna, taka odważna, biedna mała dziewczynka.

Stała przytulona do niego gdy nakręcał numer, gdy umawiał się z lekarzem, gdy prosił Helenę, aby przyjechała wcześniej zająć się chłopcami. Potem jedną ręką prowadząc kierownicę, drugą przygarniał ją do siebie splakaną, drżącą, półprzytomną.

— Prędzej — myślał — prędzej! — Zaciskał zęby. Prędzej, prędzej!

Musimy zdążyć przed nocą! Naciskał pedał, strzałka przekraczała 70 mil na godzinę. Prędzej, prędzej, przede wszystkim musimy ją uspokoić. I jak ja mogłem nie zauważyć, jak ja mogłem nie spostrzeć! Jak ja mogłem nie spostrzeć! Jak ja mogłem tym ludziom zaufać!

Przed nimi i po obu stronach cierpliwej, niekończącej się *High way* przeciągała się leniwie w jaskrawym słońcu południa skrząca się, niezbadana Ameryka.

6.

Zuławska wydawała ostatnie dyspozycje Luli Mae — *short order cook*.

— Jak przyjdzie dostawca mięsa, zamówisz tuzin indyków, weźmiesz dwa tuziny kur, powiedz mu, że chcesz

młode, na smażenie. Lula Mae kiwa swoją krótką głową z gładko przyczesanymi włosami. Wydaje mnóstwo pieniędzy na mikstury i jest bardzo dumna, że może utrzymać swą głowę w stanie lśniącej gładkości. Chociaż jej tylna część ciała sterczy kanciasto niby piece kaflowe w starym kraju białych, jej jasno-kawowa skóra odróżnia ją od innych podobnych jej budową Murzynek.

— Yes Miss Helen — powtarza. — Niech pani jedzie spokojnie do domu, wszystkim się zajmę. Niech się tylko pani nie denerwuje. Ja już widzę, że pani ma jakieś zmartwienie w domu. Tak się pani przejęła tym telefonem. Pamiętam co ja miałam z moim mężem, myślałam, że to się nigdy się skończy, ale teraz już siedzi bezpiecznie w szpitalu dla umysłowo chorych.

— Lula Mae ja już...

— Niech pani idzie, niech pani idzie, ale tylko chwileczkę! Coś jeszcze pani powiem. W razie czego trzeba wołać policję. Mój mąż to był trudny, kilka razy uciekał, ale teraz już nie wie gdzie mieszkam. Nawet mało do mnie mówił, opowiada tylko wszystkim, że się źle czuje, bo spodziewa się niedługo dziecka.

Żuławska uśmiechnęła się blado, była niespokojna chociaż starała się siebie samą pocieszyć.

— To dobrze, że pojechali — myślała — to bardzo dobrze. Ja wierzę, że Boga jest zdrowa, ja wierzę... A jeśli? Nie można dopuszczać do siebie takich myśli! — broniła się. Przetykała łyżę zapinając żakiet i nakładając w pośpiechu beret.

W domu zastała nieład, niepozmywane naczynia, niedopite filiżanki po kawie, ale nawet nie zdążyła sprzątnąć, ani nawet rozebrać się, gdy dzwonek u drzwi rozkrzyczał się niecierpliwie.

— To oni! — przeraziła się.

W pierwszej chwili postanowiła nie otwierać. Usiadła na krześle zmuszając się do spokoju. Dzwonek powtórzył się jeszcze bardziej niecierpliwie, raz, drugi, trzeci, a potem gwałtowne kołatanie do drzwi.

Podniosła się. Otworzę — zdecydowała. — Jeszcze drzwi rozwalą. I cóż mi mogą zrobić? Nic im i tak nie powiem.

Młodecka wpadła do przedpokoju. Profesor snuł się za nią. Cień. Smuga.

— Gdzie córka? — krzyknęła podejrzliwie. — Gdzie pani Boga?

— Nie ma jej.

— Co? Dlaczego? No słuchaj! No posłuchaj! — dopadła profesora. — Słyszysz? — W jej oczach palił się nieprzytomny, pożądliwy ogień. Szamotała się po przedpokoj, odsunęła Żuławską, wbiegła do kuchni, stanęła u podnóża schodów.

— Pani Bogo! Boga! To ja!

— Nie ma jej, mówiłam pani, nie ma jej — powtórzyła Żuławska.

Doktor oparła się o ścianę, dyszała.

— Dlaczego? — jej głos był ochrypły. — Co? Czy poszła do sklepu? Kiedy będzie? Nie ma czasu, trzeba natychmiast wyjeżdżać. Mówiłam ci! — wykrzyknęła z nagłą złością. — Mówiłam ci, żeby nie telefonować tylko zaraz przyjeżdżać!

Żuławska przyglądała się im przerażona.

Profesor stał z opuszczoną głową, nieśmiały, zawstydzony.

— Nie unoś się — szepnął.

— Spojrzała na niego wzgardliwie, wzruszyła nieznacznie ramionami, odwróciła się.

— Chodźmy! — szepnął prosząco.

Usłyszała go, ale nie odwróciła się, podeszła do Żuławskiej.

— Gdzie córka? Niech-że pani nareszcie odpowiedź! Gdzie Boga?

— Wyjechali.

— Wyjechali? Wyjechali? Gdzie?

— Wyjechali. Andrzej i Boga pojechali do lekarza.

— Do lekarza! — zachwiała się. — Jej duże, miękkie ciało jakby zwiotczało. Wydawała się przez chwilę ugodzona, bezsilna. — No powiedz! — poskarżyła się profesorowi. Ale natychmiast sprężyła się, jakby do nowego skoku i pochylając się nad Żuławską powiedziała rozkazująco.

— Adres!

— Nie mam.

— Nazwisko lekarza!

— Nie wiem — cofała się tyłem Żuławska. — Co też pani, o co pani chodzi. Nie wiem.

Chwyciła ją za obie ręce.

— Niech mi pani da adres i nazwisko lekarza, proszę, to ważne!

— Muszę tam jechać! Musimy! — powtórzyła.

Profesor krył się w kącie przełękły, nieporadny.

— Chodźmy już, chodźmy! — prosił.

— No coś takiego! — wykrzyknęła. — No widzieliście coś takiego! — powtarzała uderzając zaciśniętą w pięść ręką o ścianę hallu.

— Chodźmy! — powtórzył profesor.

Napotkał jej ostre, wrogie spojrzenie.

— Chodź, chodź... — pogladził ją po ręce, rozprostował delikatnie zaciśnięte palce — uspokój się, uspokój...

Odepchnęła go. Usunął się przerażony. Wybiegła nagle z hallu na ulicę. Profesor z wolna podniósł głowę. W półcieniu hallu oczy jego i Żuławskiej spotkały się.

— Przepraszam — cofnął się — do widzenia pani.

Przed domem doktor Młodecka głośno startowała samochód.

7.

Jan i Piotr Wojtkiewiczowie awanturowali się w ciemnym, odległym kącie biura.

— O co im się rozchodzi, u diabła? — pomyślał Żuławski i zaczął nadśledzać. — E, co tam! — zrezygnował. Pochylił się nad papierami. Wojtkiewiczowie, dwa zaperzone koguty przesunęli się, aż na środek biura nie zwracając uwagi na Żuławskiego. Dobrze, że nie było klientów, że tylko ulica Szeroka leniwie przeżyła się w południowym słońcu, a dwaj obdarci przechodnie, półprzytomni „Łajnosi”¹ podpierali kamienice. Przez witrynę biura widać było ich opuchłe profile. Żuławski spojrzał z dezaprobatą: Znów naciągają ludzi, a potem pójdą do baru na szklankę wina z aspiryną. Z aspiryną mocniejsze. Jutro z samego rana staną w kolejce przed laboratorium

1. Od *wine* — pijący wino.

miejskim, aby sprzedawać krew. Też zarobek! — wzruszył ramionami. — O co ci Wojtkiewiczowie się kłócą?

Jan włożył ręce w kieszenie spodni, stał zaczerwieniony na wprost brata.

— D... na ciebie! — krzyknął gniewnie.

Piotr szczuplejszy, mniejszy i młodszy podskoczył, zapiał:

— Co? Ty tak na mnie? To czekaj! D... na ciebie!

— Panowie, panowie! — podniósł się od biurka Żuławski — małe nieporozumienie, mały *lapsus linguae*! Nie mówi się d... na ciebie, tylko: mam cię w d...

Jan spojrzał na niego.

— Dlaczego panie Żuławski?

— Bo to jest poprawna polszczyzna i to jest polskie biuro, a pan prowadzi sprawy polskie i z tego powodu właśnie dostał pan swoją posadę w magistracie.

— A tam, niech będzie — mruknął Jan. Dostrzegł ironiczny uśmieszek na twarzy brata i ogarnęła go wściekłość.

— Mam cię w d...! — mruknął gniewnie.

— Czy to czasem nie o to tłumaczenie? — spytał podejrzliwie Józef.

— Panie Żuławski — pochylił się nad nim Jan Wojtkiewicz. Był zażenowany. — To co pan wczoraj tłumaczył... to tamte dziesięć dolarów co ja panu dałem połowę... to Piotr mówi...

Żuławski wyjął z portfela pięciodolarowy banknot.

— Proszę!

— Mnie za niego wstyd... mnie nijako — usprawiedliwiał się Jan.

Położył dłoń na pięciodolarówce. — On mi mówi, że z własnej kieszeni daj... Bo to niby do biura należy.

— Nie chcę tych pięciu dolarów — zawołał Żuławski — tylko już mnie o tłumaczenia nie proście!

— Bo to panie Żuławski klient przyszedł do Piotra...

— Ech! — machnął ręką Żuławski. — Co tam będziemy...

W tej chwili zadzwonił telefon.

— Józiu, wyobraź sobie — szeptała Żuławska — Boga pojechała z Andrzejem...

— Co tak nagle? — przestraszył się Żuławski.

Jan zmiał banknot w dłoni i wsunął do kieszeni. Było mu nieco przykro, nieprzyjemnie, ale tylko na chwilę.

— A co on chce? — tłumaczył sobie. — Wpuściłem go do biura! To mało? Klient przyszedł do Piotra, to co mam się dzielić?

Wyszedł na ulicę. Jeden z „Łajnosów” natychmiast podskoczył do niego z wyciągniętą ręką.

— A pójdziesz ty mi! — huknął na niego Jan — a do kościoła! A do spowiedzi!

— Bo ja się Bodze nie dziwię — mówiła Helena — wykończona nerwowo, w oczach nikła, a ta diablica nie odstępowała od niej...

— To pojechali do Nowego Jorku, do tego polskiego lekarza? Dobra! No a jak ci przyjdą...

— Czekaj! — przerwała Żuławska. — Ja ci nie powiedziałam! Wpadli tutaj! Ona! Aż się bałam! Jeszcze jej takiej nie widziałeś! Ach ja się martwię, ja się martwię, denerwuję o Boga!

— Poczekaj, jeszcze nic nie wiadomo! Będzie trzeba, pójdzie do szpitala.

— Przyszedł jakiś list, odpowiedź na twoje podanie, ale nawet nie mogę czytać, wszystko mi z rąk leci!

— Weź sobie aspirynę.

— Aspiryna mi daje kwasy! Martwię się, pojechali, jak szaleni.

— Opanuj się kobito. Jak ja mogę pracować? Co ty myślisz, że ja się nie denerwuję! Mnie się to wszystko od początku nie podobało!

— A co ty myślisz?

— Co ja mogę myśleć? Zrobimy wszystko żeby ją ratować.

8.

Pęd samochodu kołysze, uspakaja. I bliskość Andrzeja. Położyła rękę na jego kolanie.

Myślał: Jak mogłem im zawierzyć, puścić ją samą? Co to wszystko ma znaczyć? Czyżby Boga? Nie, nie! Prę-

dziej, prędzej! Oparła głowę, przymknęła oczy. Wsłuchiwała się w siebie. Ten zegar, ta maszyneria wewnętrzna, nieprzerwana siatka płuc, serca, mózgu, przewodu trawiennego — to ja? Nie, — myślała niemożliwe, aby tylko tyle. Uśmiechnęła się. Trzeba zanurzyć się w sobie, wdrzeć w siebie i wtedy odnaleźć nienazwane i nienamacalne. Trzeba przekonać siebie i to jest najtrudniejsze. O ile łatwiej przekonywać innych, albo innym uwierzyć. Ale wtedy taka wiara z zamkniętymi oczyma, wiara w której widać dno będzie nieuczciwa. Siebie nie można oszukać. Rok — pomyślała. — Może krócej. — Westchnęła: Boże!

— Co ty mówisz, kochanie? — zatroszczył się. — A może nastawić radio?

— Jak chcesz Andrzeju.

Double your pleasure

Double your fun

With double mint, double mint, double mint gum!

— Zamknij! — poprosiła. — Wolę słuchać, jak oddychasz.

— Kochanie moje drogie, nie martw się!

— Nie, ja nawet nie o tym myślę.

— A o czym?

— Że bardzo chciałabym...

— Co byś chciała, kochanie?

Pomyślała: Śmiać się. Przytuliła policzek do jego ramienia: — O już nic, nic...

— A może byś się zdrzemnęła?

Pęd odurzał. Przymknęła oczy, starała się zasnąć. Budziło ją zatrzymywanie się samochodu przy rogatkach drogowych pobierających opłaty za przejazd przez most, albo autostradę. Na horyzoncie szosa godzi wprost w niebo odległe, blade-niebieskie, zanurza się w nim, ginie.

— Już blisko — budzi ją Andrzej.

Boga otwiera oczy. Niebo krwawi, zachód słońca. Ślania się zraniony dzień i oto pierwsze światła elektryczne.

— Lubię widok Manhatanu — mówi Andrzej. — Poezja dwudziestego wieku. A nocą, gdy zapalają się światła i reklamy... albo nawet i teraz. Spójrz na te drapacze, słońce odbija się w oknach, niebo różowe, a tam

wyżej na granicy pewnie trzydziestego piętra seledynowa chmura, z każdego okna niebo wygląda inaczej... śpisz?

Ulicami ciągną gromady ludzkie. Idą potykając się, chwiejąc, dzieci płatają się u kolan matek, dzieci samotne. Nie widać ich twarzy, tylko zarys głowy, ramiona. Niektórzy nie idą sami, ale wspierają się na innych.

— Skąd tyle ludzi?

— Ludzi? Nie widzę. Gdzie?

Boga myśli: A więc jestem chora. Człowiek chory widzi inaczej, dostrzega rzeczy, których inni nie zauważają.

Przygląda się ludziom na chodnikach. Ci, którzy mogą się oprzeć idą wygodniej, spokojniej. Pewnie popsuły się tramwaje, albo jakaś katastrofa. Przechodnie wyglądają na zmęczonych i coraz więcej zbliżają się do siebie, opierają jedno o drugiego.

— Skąd tyle ludzi?

— Nie mogę patrzeć teraz, muszę uważać.

Stary człowiek został w tyle, mignęła tylko jego zrozpaczona twarz, ręce wyciągnięte w próżnię. Widocznie silniejsi odbiegli, wyprzedzili go.

— Dobrze, że jesteś przy mnie — mówi Boga.

— Jestem, jestem...

To nie prawda — myśli. — Że ja, że oni, że my wszyscy to tylko funkcja wewnętrznej maszyny. Najważniejsze jest pragnienie współuczestnictwa, wyciągnięcia rąk, odczuwania siebie w innych i innych w sobie. Jakie to bolesne, jakie pokrzepiające, nieskończone. Bo jeśli nawet ratując się pomyśle: Bóg i ja, to już będzie wydzielanie się, ograniczanie. Ale nie mam czasu, nie mam czasu, jestem chora.

— Co to jest miłość Andrzeju?

— Co ty mówisz, kochanie, miłość? — zastanowił się. — Mówiliśmy o tym nieraz.

— Przypomnij mnie.

— Jest to więc przede wszystkim coś trwałego, jest to skłonność do przeżyć emocjonalnych o charakterze życiowym, przychylnym. Zresztą jest to wyraz wieloznaczny. W wypadku miłości do drugiej osoby jest to skłonność do przebywania razem, nie rozstawiania się. Są różne rodzaje miłości... Co ci jest? Czy ty przypadkiem nie masz gorączki?

Ściemniło się. Zygzaki, węże, kule światła nadlatywały, nadbiegały ze wszystkich stron. Walczyły z sobą o miejsce. Znad Hudsonu, z jego przybrzeżnych bulwarów mokry chłód wieczoru, zapach wody, liści, jakby orzeźwiający przypomnienie.

— No, no, kochanie! Nie poddawaj się, nie załamuj! Życie jest piękne, życie przed tobą.

Podniosła głowę, patrzyła wprost przed siebie na miasto lśniące, przesycone bogactwem światła.

— Ja się nie załamuję, tylko tak sobie myślę: co tu nas jeszcze czeka? I tak się czuję, jakby ta przyszłość była teraźniejszością, jakby mnie już przytłaczała, zamykała drogę, jakbym w jakimś labiryncie ciągle natrafiała na ściany z napisami, których nie mogę odczytać.

— To nie staraj się odczytywać, nie staraj się myśleć, miej więcej zaufania do życia.

— Pewnie masz rację, ale w takich chwilach mam ochotę wracać. Tylko sama nie wiem gdzie...

— Przecież ja nic nie chcę — myśli Andrzej. — Nic innego, tylko żeby ona była zdrowa.

Myśląc tak zaciska ręce na kierownicy, mocno, do bólu. Światła smagają raz po raz szeroko otwarte oczy.

Przecież jesteś, niemożliwe, aby Cię nie było. Jesteś w nas i poza nami, a najbardziej jesteś w tym co nas łączy. W tym co jest pomiędzy nami jest Twoje tchnienie. Twoja najbardziej zrozumiała obecność.

9.

Poczekalnia lekarza. Pokój wąski, bez okien, w miękkości dywanów — oczekiwanie. Lęk przytłumiony nadzieją. Terkotanie krwi — to zegarki ludzkie o nadwyrężonej sprężynie, pracują szybciej, nierówno. Lustro odbija twarz Bogi zmałą, zwężoną, odmłodzoną, jakby wszystko inne cofnęło się wstecz i tylko ta jedna myśl, jedno oczekiwanie: Co on powie? Co on powie?

— Pana doktora jeszcze nie ma — powiedziała pielęgniarka — ale powiedział, że będzie, spodziewa się pań-

stwa. Zasłania sobą drzwi gabinetu. Jej zawodowa uprzejma obojętność, przyciszony głos wahający się na skraju tajemnicy za którą drzemie przepaść.

Andrzej uśmiecha się.

— A wiesz — mówi — ten Gertz, przypomniało mi się, bo znowu w Nowym Jorku, przysłał Józiowi podobno coś dwadzieścia dolarów, z tej puszkii to też nic...

— Ach tak? Nie wiedziałam, że przysłał, a z puszkii...

Andrzej tak właśnie chce mówić: ślizgając się po powierzchni. Uspokoi Bogę, odwróci jej uwagę, nie można przecież stale o jednym.

A ona owszem podejmuje temat i też odpowiada mu ledwo dotykając powierzchni.

— A wiesz, Paweł znów powiedział mi wierszyk, czekaj, jak to było?

— Coś nowego? To ciekawe. Co?

— Do ogródka wyszłem rankiem, kwitną kwiatki białym wiankiem...

— To śliczne, śliczne... Skąd on te słowa „rankiem”, nie zwykłe „rano” i „wiankiem”. Nigdy tak nie mówi.

— To zdolności, Andrzej, on to tak chwyta z powietrza, jak nuty, dźwięki...

— Moja kochana, moja droga, nie martw się...

— Ale ja wcale o tym nie myślę.

— Myślisz, widzę to!

— Bo jak mogę nie myśleć! Ale nic, nic... Jestem tylko zmęczona. Co ona chciała ta Młodecka? A może ona ma rację? Może ona ma rację? — zamyśla się.

— Która to godzina — mówi Andrzej. — Pewnie go zatrzymali? To podobno bardzo dobry lekarz, bardzo dobry lekarz...

Boga nie słyszy, przemawia do Andrzeja, ale on także nie słyszy. Andrzej, Andrzej, jestem w kręgu samotności, którego nie możesz przekroczyć. Wyciągamy do siebie ręce poprzez tę wysoką zaporę. Dotykasz czubków moich palców i nawet to lekkie drżenie, które jest tylko rezonansem mego wewnętrznego niepokoju, nawet tylko to doprowadza cię do rozpacz. I bezsilność. Za chwilę ON stanie w drzwiach, on, lekarz, o którym dobrze wiemy, że jest bogatszy od nas o kilkadziesiąt tomów przestudiowanych książek, i taki sam jak my. Ale teraz dźwigamy

go czubkami obolałych palców na piedestał wiedzy i wszechmocy. Co on powie? Co on powie?

— Proszę państwa — powiedział lekarz. Stał w drzwiach gabinetu, widać było, jak się niecierpliwił. Ruchy pełne pośpiechu, cenne. Ludzie, którzy zatrzymują się w drzwiach, otaczają się ramą. On też był obrazem.

— Proszę państwa, proszę za mną... — wyciągnął rękę. Oczy zatroskane, ciemne, dojrzałe śliwki, słodycz, miękkość. Usta uśmiechnięte. Musi się uśmiechać. Nic wam nie będzie! Właźcie! No w każdym razie nic wam się nie stanie zaraz, teraz, przy mnie. Spójrzcie na mój uśmiech! Czyż nie podnosi was na duchu? Szkliwo moich dobrze utrzymanych zębów nie różni się od waszego, ale różnica jest w ruchu jakim odsłaniają je wargi. Spójrzcie na moje zęby! Nie bójcie się.

Podał rękę Bodze, Andrzejowi.

— Przecież ja państwa znam! Zaraz... przez kogo?

— Doktor Kubkof...

— No właśnie! No, Kubkof! Ma się rozumieć! To jak urządziliście się? To państwo macie dwóch chłopców! Bliźniacy? No tak, ja już pamiętam. Doskonale. Czym mogę służyć?

Gabinet szeroki. Biurko potężne przesłania go. Za oszkloną ścianą, na półkach dzieła medyczne amerykańskie i gdzieśniedzie; zasuszony liść, rozpadający się preparat-książka o polskim tytule. — Urządził się — myśli Boga. — Emigrant, tak, jak my. Żal? No, nie tak bardzo jak my. Przyjaciel Kubkofa. Lubi zasuszone liście, maskotki, ale życie to te potężne tomiska i dywan miękki i kanapa, biurko. Uśmiech już pewny siebie. Nauczył się chodzić.

La science n'a pas de patrie, la science... Dlaczego mnie to gnębi, dlaczego mnie to prześladowe?

— Spiszemy najpierw sobie trochę informacji. Ile pani ma lat?

— Trzydzieści dwa.

— Co? To niemożliwe! Pani wygląda na osiemnaście.

— Boga uśmiecha się, a uśmiechając krzywi twarz. Chce mi zrobić przyjemność, uspokoić, odwrócić uwagę.

— A co pani dolega?

— Złe się czuję... jestem chora...

— No ale konkretnie. Jakies bóle? Od kiedy?

Od kiedy? — myśli Boga. — Nie wiem. Chyba od zawsze. Mówi głośno:

— Proszę mnie zbadać!

— Jeśli przyjeżdżacie nagle, o tej porze! — Oczy podchodzą blisko, oceniają Bogę. Zna się przecież na psychologii. Wie, domyśla się. Ale nie jest jeszcze pewien. To jedno wie na pewno: w tej chwili nie wolno napierać, później sami powiedzą, teraz jeszcze nie. Ale ja nie mam czasu, mój czas jest drogi! Zaraz zobaczę. Spokojnie, spokojnie.

— Proszę mnie zbadać.

Andrzej dodaje: — Żona czuje się źle od kilku miesięcy, bardzo źle samopoczucie, denerwuję się...

— No to chodźmy, dobrze, zobaczymy. Proszę do tego pokoju, a tam może się pani rozebrać.

Boga spogląda na Andrzeja. Ostatnie spojrzenie poprzez ramię. Myśli: Widzisz, odchodzę. Tak się zaczyna samotność. Gdy wrócę, będziesz wiedział czy przyszłość należy do nas obojga, czy już zaczęła się oddalać. Początkowo będziesz rozpaczał i ja też. A potem będę znikła, będzie mnie coraz mniej, nie wyczujesz nawet czubków moich palców. Kochanie moje, rak... Przecież ja wiem. Badałam pod mikroskopem te zachłanne, drapieżne komórki. Widziałeś, jak rośliny więdną i czernieją. On mnie nie powie, tylko tobie, ale ty jesteś zbyt uczciwy, aby mi tego nie wyznać, zresztą ja i tak będę wiedziała. Patrz na mnie póki jeszcze nie wiem. To jeszcze jestem ja. Jeszcze teraz, jeszcze przez chwilę.

— Proszę, proszę niech się pani rozbiera i moja droga pani niech się pani nie boi! Ja zaraz panią całą zbadam. Wezmę rozmaz na szkiełko, krew pošlemy do badania, będzie trzeba zrobimy biopsję...

Mył ręce odwrócony do niej tyłem, pewny siebie, uspakajający, zdrowy, zdrowy...

Leżała z podwiniętymi pod głowę rękami, myślała: Ja się nic nie boję. Ale to nie ona się bała, to cała maszyna wewnątrz niej, która była nią i jednocześnie nie była, a która chciała nią zawładnąć, dygotała naprężona rozsyłając alarmujące wieści do niespokojnych mięśni: nóg, brzucha, rąk i warg. — Ach Boże, Boże... I znów obojętność, fala łagodzącej narkozy. Ręce lekarza, dotyk świeżo umytej skóry.

— Niech się pani uspokoi, niech mi pani zaufa...

Andrzej wstał z fotela. Przechadzał się po gabinecie. Słyszał: stłumiony szcęk narzędzi, dalekie odgłosy ulicy. Która to godzina? Już po dziesiątej! I ten człowiek jeszcze pracuje! Kocha swoją pracę. Dlaczego nie jestem lekarzem? Co on powie? Nareszcie trzask otwieranych drzwi. Co on powie? Co on powie? Usiadł za biurkiem, spojrzał na nich przenikliwie, nie uśmiechnął się.

— Co wam powiedzieli? Co pani powiedzieli?

Wzruszyła ramionami, spuściła głowę.

— No co? Co? — wybuchnął gniewnie: — Powiedzieli, że pani ma raka? Tak? Nie myślę się, nie myliłem się...

— Tak — powiedział Andrzej. — Czy operacja...

— Nonsens! — krzyknął. — Nonsens! Pani jest zdrowa, jest pani zupełnie zdrowa! — Wstał. — Zdrowa, zdrowa! Przysięgam! Nic! Ale ja mam to stale, ja się z tym spotykam. *Split fee!* Wiecie co to znaczy? Naganianie, dzielenie się honorarium. Otwierają jamę brzuszną, zaszywają i kto ich tam wie? Okropność! Lekarze walczą z tym, uczciwi, etyczni lekarze nie wiedzą, albo walczą, starają się przeciwdziałać. Pani nie jest pierwsza. Więc jak to się stało? No już, już, proszę się uspokoić, pani jest zdrowa, poślę jeszcze krew do analizy, ale nic nie potrzeba... Pani... Boga uczuła chłód twarzy, zimno obejmowało twarz, szyję. Chwyciła się krawędzi biurka, kolan Andrzeja...

— Na dywan! — zawołał lekarz. — Tak, równo, ja już robię zastrzyk! No nic... szok, spokojnie, szok... omdlenie.

10.

Obudziła się. Dom jeszcze spał. Chłodny poranek jesienny i szum wczesnych samochodów. Wstała. Pchnęła drzwi balkonu. Wiatr wpadł jej pomiędzy włosy, szarpał poły pyjamy.

— Północny wiatr — szepnęła. — Suchy, chłodny wiatr z północy.

Z daleka widać było park i zabudowania uniwersyteckie.

— Jestem zdrowa— pomyślała. — Jestem zdrowa, zdrowa! Roześmiała się, podbiegła do łóżka.

— Andrzej! — szepnęła.

Obudził się, przetarł oczy, wyciągnął do niej rękę, przycisnął ją do siebie.

— Co ty wyprawiasz — śmiał się. — Tak rano?

— Jestem zdrowa, mam tyle nowej energii.

— Kochaj mnie.

— Ale chłopcy...

— Wiesz co — powiedział. — Ja dużo myślałem nad tobą, nad nami. Są ludzie, którzy nie potrafią być szczęśliwi bez świata. Ty jesteś taka. Dom ci nie wystarcza. Poczekaj, to nie znaczy, że nie kochasz mnie i chłopców, ale to wszystko wydaje ci się za mało. Można to tłumaczyć instynktem samozachowawczym, chęcią przetrwania, nadmiarem energii... Ja wiem, kiedyś zrozumiesz i wrócisz, ale musisz jeszcze coś przeżyć.

— To znaczy, że już mnie nie chcesz?

— Nie. Ale chcę cię taką jaką jesteś. Chciałaś zawsze iść pomiędzy ludzi, idź! Znajdź pracę! Poznaj ich.

— Tak myślisz?

— Teraz już wiem.

— Andrzej, a mnie się zdawało, że mnie nigdy nie zrozumiesz.

— Wiedziałem od dawna, tylko teraz skapitulowałem. Ale nie myśl, że to będzie takie łatwe. Chcesz zdobywać pracę, pozycję w tym nowym społeczeństwie, zobaczysz, to tylko z daleka tak różowo wygląda.

— Ja wiem, ja sobie zdaję sprawę. Ale zarobię, pomogę ci. Mama zajmie się domem, albo wezmę kogoś do pomocy. Znajdę pracę, może pójde na uniwersytet. Może coś zrobię, czekaj, zobaczysz! Spoglądał na nią półuśmiechnięty, pełen wewnętrznej rezygnacji. Przyglądał jej się, gdy zdejmowała pyjamę, czesała pośpiesznie włosy, wyrzucała ramiona w górę ruchem sprężystym, młodym.

Wyskoczył z łóżka, chwycił ją w pól, podniósł.

— Co ty wyprawiasz? — broniła się.

— Czy ty myślisz, że ja tak mogę spokojnie patrzeć jak się przy mnie rozbierasz? I po tylu tygodniach tej zwa-

riowanej choroby! Nic mnie nie obchodzi... chłopcy, ani cały dom!

Oparła głowę w wżglębie nie jego ramienia i czuła jak drobne, niespokojne fale ciepła zaczynają przepływać w nią, jak zaczynają tętnić twardymi uderzeniami pulsu w skroniach, w piersiach i udach.

— I czy ty myślisz — szepnął jej do ucha — że ja nie jestem zazdrosny?

— O kogo?

— O wszystko. O to wszystko do czego ty tak ode mnie uciekasz.

IV.

— Ja tym Amerykanom nic nie wierzę! — mówi Żuławski. Ale wystarczy spojrzeć na jego nos. Nos rozpodgody, uniesiony w górę już z pewną wyższością. Wia-domo, wierzy. No tak, trafiło się ślepej kurze ziarno. Wypisywał podania, wypisywał i patrzcie co znalazł! Złotą żyłę!

Żuławska też biodrami po kuchni rusza przymilnie i z nabożeństwem się przegina.

— Józiu, jajeczniczkę na bekonie? A może ci kluski kładzione?

— A co tam chcesz, głodny nie jestem.

Jak może być głodny? — myśli Andrzej. — Podniecony, przecież to widać.

— Więc jedziesz? — pyta głośno.

— Jadę!

— To jak to się nazywa?

— Farlex! Milionowa kompania.

— A kiedy telefonowali? — podnieca się Żuławska.

Usta pełne jajecznicy, chleb nerwowo łamie w rękach.

— Kobito, jak ty jesz? Jak ty trzymasz ten widelec?

Niecierpliwy ruch ręką.

— Jem, jak mi się podoba.

— Podpierasz się łokciem, patrzeć nie mogę!

— No już! Kiedy wyjeżdżasz?

— Dziś, dziś w nocy. Co oni tam wyrabiają na górze? Głowa mi pęka, lampa za chwilę spadnie. O patrz,

spójrz Andrzej, jak się chwieje! Na łeb nam zleci! Kowbojskie obyczaje!

— Ale przecież to są dzieci!

Lampa tańczy na suficie. Co oni tam robią? Walą młotkami w podłogę? Skaczą z łóżka?

— Przystaniecie wy tam! — ryczy Żuławski.

— Marek! — krzyczy Andrzej. — Paweł! Bo jak spiorę po tyłkach! — No i co ten Farlex?

— A czy ja mogę mówić? Czy ja mogę rozmawiać? Marek! Jak ty się nie uspokoisz, to ja ci wleję! Ja ci to mówię, wleję ci! — A do Bogi: — Nie powinni oni już pójść do łóżka?

— Chłopcy! — Boga wbiega po schodach. — Myć się i do łóżka! Boże! Wyciągnęli ojca pędzel do golenia i żyletkę! Żyletkę! Natychmiast, natychmiast rozbierać się!

— Jezusie! — wzdycha Żuławski. — Żebym ja spokoju nie miał we własnym domu!

— Tatusz obiecał telewizję — woła Marek. — Obiecał, że zobaczymy *Twilight Zone*.

— O której?

— O dziesiątej! — piszczy Paweł. Podskakuje na jednej nodze.

— Co? Co? O dziesiątej?

— Tatusz obiecał! — wrzeszczy Marek.

— Obiecał! — jęczy płacząwie Paweł.

— No więc co ten Farlex? — dopytuje Andrzej.

— Ech! — wstaje od stołu Żuławski. — Ech, — macha ręką.

— No przecież się zaraz nie obrażaj!

— Mój kochany Andrzej, jak nie umiesz wychować dzieci, żeby się zachowywały po ludzku...

— To są skutki wspólnego mieszkania!

— Ja się mogę natychmiast wyprowadzić! Ja was nie potrzebuję!

— Zobaczymy kto kogo potrzebuje!

— Ale dokończ przynajmniej jajecznicę! — troszczy się Żuławski.

— Kością mi w gardle staję!

— Przeze mnie — krzywi się Andrzej. — Ja już sobie idę!

— Boże święty, Boże święty! — zaczyna popłakiwać Żuławski.

Dopiero wieczorem, gdy chłopcy leżeli już w łóżkach, Żuławski jako tako ochłonał. Pakując walizkę opowiedział jak to się wszystko zaczęło z Farlexem.

2.

Jim Morrison, który przeprowadzał *interview* z Żuławskim w jednym z elegantszych hoteli w Monumental City, zapytał:

— Jak pan to sobie wyobraża, Mr. Ziuski? — Uśmiechnął się. — Jak pan to sobie wyobraża *colonel*?

Jim Morrison mimo niepełnej czterdziestki był już zgorzkniały. Hollywood dało mu porządnie po skórce. Cóż z tego, że zachwycano się jego sylwetką, jego uwodzicielskim uśmiechem i spojrzeniem, w którym nie wygasł gorący błysk południa i tajemnicza mądrość starej rasy? Czyż miał zostać statystą? Zdychać z głodu? Czekać na łaskawe *engagement* poprzez protekcję wpływowych przyjaciół?

Ochłonał. I to wcześnie, w samą porę. Może skończyłoby się na reklamie używanych samochodów w telewizji, albo nie, to za wysokie aspiracje! Może stałby się prowincjonalnym agentem reprezentującym firmę elektrycznych odkurzaczy? Jego prezencja nadawałaby się do tego, umiałby przemawiać do gospodyń. Dobrze więc, że trafił do Farlexu. Przez protekcję, oczywiście, ale sprzedał im ponad sto działek wśród aktorów i ponieważ korporacja była jeszcze młoda, został jednym z dyrektorów. Jim ocenił ludzi z wyglądu i zachowania. Żuławski spodobał mu się. A jego list pisany niepewną angielszczyzną od razu zaintrygował Jima. Miał słabość do starego kraju. Czyż matka jego nie pochodziła z Galicji, a ojciec ze Wschodnich Niemiec?

— Wyobrażam to sobie następująco panie...

— Morrison, Jim Morrison.

— Działki sprzedawać będziemy sektorami.

Jim kiwnął głową: Słusznie!

Jaką on miał głowę! Szlachetną czaszkę rasowego konia! Nie poznali się na nim w Hollywood.

— Przez sprzedaż sektorami wyobrażam sobie grupowanie ludzi w zależności od zawodów. A więc osiedla prawników, lekarzy, oficerów, mamy przecież niedaleko szkołę oficerów marynarki... Grupy narodowościowe osiądą chętnie razem, wspólna kultura, religia...

— Słusznie — potwierdził Jim. — Może pan również rozprowadzić działki wśród gwiazd *base-ball'u*. Monumental kocha swoje „Orliki” i stara się imitować we wszystkim.

— Do *base-ball'u* to ja już...

— No zobaczymy, zobaczymy. Ale nie wiem czy pan zdaje sobie sprawę, *colonel*, co to za nadzwyczajny interes! Floryda to jeszcze teren nietknięty. Za kilka lat te działki, które sprzedajemy teraz po śmiesznie niskiej cenie i na niesłychanie dogodnych warunkach, dziesięć dolarów na miesiąc, wzrosną stokrotnie w cenie. Zwłaszcza emeryci otrzymujący renty, a jak pan wie ustawodawstwo przewiduje zwiększenie pensji starczych i rozciągnięcie okresu *retirement*, zaczną stąd, ze wschodniego wybrzeża przenosić się na południowy cypel, na Florydę. Klimat! Nie potrzeba troszczyć się o opał, o zimowe ubrania, wieczne lato, nieustające wakacje. Chodzi nam, jak pan się chyba domyśla, o zorganizowanie biura sprzedaży w Monumental. Z dotychczasowych kandydatów wyselekcjonowałem czterech. Jest pan pomiędzy nimi. Jest pan — uśmiechnął się. Cóż za zęby, olśniewająco białe. Mógłby śmiało reklamować pastę dentystyczną, albo nawet sztuczne szczęki! — Jest pan na pierwszym miejscu! Pensja dziesięć tysięcy dolarów rocznie na początek, plus *bonusy* co wyniesie — obliczał w pamięci — około osiemnastu tysięcy dolarów rocznie. Co pan o tym sądzi?

Żuławski zapalił papierosa.

— O cholera! — pomyślał i stwierdził, że płomyk zapalki drży mu w ręku. Zapalka zgasła.

Jim podsunął uprzejmie zapalniczkę. Z bliska przyjrzał się nosowi Żuławskiego i jego nastroszonym brwion.

— Tak — rozrzewnił się — jak moi rodzice ze starego kraju. *Dear old mama, dear old papa...*

— *Colonel* — powiedział. — Pan mi się podoba. Trzeba się trzymać razem. Nie zginiemy. Farlex postawi pana na nogi.

— Może — szepnął Żuławski.

Zwykle spał mocno i nie miewał snów. Wydawało mu się jednak, że śni. A może to tylko popołudniowa drzemka?

— Czy decyduje się pan pojechać do Nowego Jorku?

— Do Nowego Jorku? — zdziwił się.

— Na kurs. Musimy pana przygotować, wyszkolić. Koszta pokrywamy.

— O *key*!

Jim wyciągnął rękę. Nie chciało mu się jednak rozstawać z Żuławskim. Nie znał nikogo w Monumental.

— A może zjadłby pan ze mną kolację? — zaproponował.

— Żona czeka na mnie.

— A może jednak?

— Dziękuję, nie.

Jim skinął głową: Rozumiem.

Pomyślał: Oni są jednak sztywni, nieufni. Przecież zapłaciłbym za kolację. Powiedział: — Dam panu znać.

— O *key*, *Good bye*! — skłonił się Żuławski.

Na ulicy zaklął głośno.

— Bujda amerykańska! Tyle go będę widział! Tu mi włosy na dłoni wyrosną!

Pojechał jeszcze do biura, do Wojtkiewicza i zastał tam czekającego na niego Kurowskiego.

Kurowski wyglądał zbiedzony.

— Co tam? — spytał Józef.

— Bo to mówią — poskarżył się Kurowski — że za mało pieniędzy było w kasie po zabawie... Ja nie wzio-
nem, jak Boga kocham, ja bym tam żołnierskie pieniądze
ruszał.

— Mówią, Kurowski, że w pokera gracie.

— No to gram, no to co? Nie wolno?

— Ja nie mówię, że nie wolno. Ja mówię, że gracie.

— Bo to — pochylił się ku niemu Kurowski — takie, panie pułkowniku, życie dyjabelne, człowiek się sharuje, a una na mnie z pyskiem. To ja nawet nie wyrozumiem co una gada. Po szkocku przeklinać zacznie...

— Bo pociście się, Kurowski, żenili ze Szkotką?

— Iii to nie ło to..., tylko tak... a już ja ją podpatrzy-
łem jak mi z kasy podbiera.

Żuławski spojrzał: Jak ten Kurowski skapcaniał! Zaniedbał się.

— Jak to podbiera? Z kasy? Z własnej piekarni?

— Kto ją tam wi? Na dostawców pieniądze dam, pieniędzy ni ma.

Ja do pana pułkownika po co inne. Ja myślałem taki referat wygłosić, pogadankę dla inteligencji. Tak se umyśliłem na to otwarcie czytelní.

— No a o czym — uśmiechnął się Żuławski. Jeszcze ostatni raz pomyślał: A ten Farlex to bujda amerykańska.

Słuchał uważniej Kurowskiego, bo bardziej wydała mu się realna ta rzucona nad zatokę emigrancką rzeczywistość niż parcelowanie Florydy za 18 tysięcy dolarów rocznie.

3.

— A jak to się stało właściwie, że jedziesz? — pyta Andrzej — bo przecież z tym Morrisonem nic żeście konkretnego... — Spogląda na Żuławskiego z respektem. Psińkość, ja to się męczę, a jemu od razu 18 tysięcy dolarów rocznie.

— Józiu — wtrąca się Helena. — Jak już tam się urządzisz to przecież Andrzeja wciągniesz.

— O mnie tam nie myśl!

— Ale dlaczego, dlaczego? — woła Boga. — Dlaczego zaraz odmawiasz?

—...i słuchaj Józiu — poklepuje go po ramieniu Żuławski — o Wojtku nie zapominać! Inżynierowie są potrzebni. Wyjechaliby z Ewą na Florydę, wzięłaby sobie pomoc domową...

— Ewa chce sprowadzić matkę z Polski.

— Mnie się coś zdaje, że ona znów w ciąży.

— Znów? — niedowierza Boga. Myśli o Ewie: Dlaczego nie możemy się zaprzyjaźnić? A przecież tyle mamy wspólnego. Wydaje się, jakby Ewa uciekała od tej wspólnoty do swoich własnych drózek, w przeciwną stronę niż Boga. A może się jednak spotkamy? Tylko teraz każda musi wypróbować życie na własną rękę?

— Czy pozwolicie mi coś powiedzieć? — krzywi się Żuławski.

Kuchnia, w której siedzą, zgromadzeni naokoło stołu, nie może pomieścić postaci Żuławskiego. Jak się rozrósł, zabłysnął! Wydaje się drzewem rodzącym dolary.

— Ach ta Ameryka! — wzdycha Boga — wszystko się tu może przytrafić. I taka posada, taka posada! Myśli: Ale ja takiej nie chcę. A jaką? Nie wiem jeszcze nie wiem. Coś znajdę, coś wyszukam. Teraz, kiedy wiem, że jestem zdrowa.

Andrzej rozważa: No to rzucę fabrykę i w razie czego pójdę sprzedawać działki, a może potem na zastępcę menadżera...

— O wolnego! Ostrożnie! — powstrzymuje go Żuławski. — Pracy tak od razu nie rzucaj. Możesz sobie na razie wieczorami...

— To zaangażujesz Andrzeja? — rozpromienia się Żuławska.

— Dlaczego nie.

— I Wojtką?

— Wojtek przenosi się z Waszyngtonu, zmądrzał. Dlaczego nie? Może pójdzie do Farlexu. Tylko niech ja się najpierw wkręcę.

— No to jak oni zatelefonowali?

— Psiakrew, zatelefonowali. A już myślałem: bujda. I teraz jeszcze nie wierzę. To gangsterzy! Chociaż Morrison bardzo mi się podobał. Polubiłem go aż się musiałem sam powstrzymywać, żeby nie pójść z nim na tę kolację. Bo myślałem, więcej poufałości niż znajomości. Ale podobał mi się.

— No a jak zatelefonował? Co powiedział?

Jan Wojtkiewicz przyjął telefon.

— Panie Zet! — zawołał — telefon z New York!

Józef poderwał się od biurka, gdzie rozmawiał z bratem Kurowskiego. Pomagał mu w napisaniu podania. Starszy Kurowski wyemigrował zaraz po pierwszej wojnie i ożenił się z tutejszą Polką. Gdzie mu tam było do brata! Pokurczony, pofałdowany, choć dostatni. Ameryka siedziała mu już dobrze na karku.

— Przepraszam, panie Kurowski, na chwileczkę.

Kurowski skinął głową i wpatrzył się poprzez wystawę biura w ulicę Szeroką. Niektórzy ludzie chodzili już w płaszczach. Popołudnia były chłodne. Pomyślał, że

zmarznie w marynarce, a chciał iść jeszcze do Św. Stanisława na nowennę.

— Może to i co pomoże, żeby go puścili.

Sprowadzał najmłodszego brata z Polski i stąd te podania i częste wizyty w biurze Wojtkiewiczów.

— Allo? — krzyknął Żuławski. Zawsze krzyczał w tubę telefonu. Został mu ten nawyk z dawnych ćwiczeń wojskowych, gdy musztrował kompanię.

— *Colonel* — powiedział Jim Morrison. — Kurs już się zaczął. Proszę zaraz przyjeżdżać! Czekamy na pana.

— Zaraz! Zaraz! To gdzie? — dopytywał Żuławski.

— Hotel Monopol. Dowie się pan u partiera o pana Hartmana.

— *How do you spell it?*

— H., jak Helen — zaczął Morrison.

Jan Wojtkiewicz odgryzł koniec cygara, splunął, obserwował Żuławskiego.

See — myślał — jakie to interesa już robi przez mój *office*.

Kurowski wahał się: Zawsze taka nowenna pomoże, nie zaszkodzi.

— Panie Janie — powiedział Żuławski — kilka dni mnie nie będzie. Od jutra...

Wojtkiewicz skrzywił się: A jak tamten przyjdzie z metryką?

— No to co? Piotr nie umie tłumaczyć? Ten interes to jeszcze i pana biuro rozwinie.

Wojtkiewicz skinął głową. Ucieszył się. To i dzięki Bogu — mruknął — Niech mu tam będzie.

Starszy Kurowski siedział zakłopotany.

— To teraz niech pan tu podpisze — podsunął mu papier Żuławski. — O tu, gdzie krzyżyk.

Kurowski uśmiechnął się przepraszająco, nieśmiało. Wzruszył ramionami, pochylił się poprzez biurko ku Żuławskiemu.

— Panie — szepnęła. Brunatne oczy zwilgotniały mu z wysiłku. — Panie, ja nie jeźdem taki uczony, jak mój brat.

— Nie może pan podpisać?

— Okularów żem zapomniał. Niech mi pan tą rękę tak pociągnie. Nie chciałby takimi krzyżami podpisać. A tak bez tych okularów tylko ksyże widzę.

— No to — Zuławski ujął rękę Kurowskiego brązową, nieco drżącą, z paznokciami wrosniętymi głęboko w skórę. — No to dalej...

I tak razem, zwolna podpisywali.

4.

Wyjechał o jedenastej trzydzieści wieczorem Szarym Chartem z Monumental City do Nowego Jorku. W autobusie światła przyćmione. Drzemał, budził się i w chwilach ustępującej drzemki, na pograniczu jawy pytał się sam siebie: — Do cholery, czyżby to miała być prawda? Jak to dobrze — cieszył się — że zdałem egzamin na brokera, jak to się, psiakość, przydało. Bardzo był dumny z siebie.

Na stacji w Nowym Jorku rozejrzał się za taksówką, ale zaraz zrezygnował. Wsiadł w autobus, zawsze taniej i pojechał wprost do hotelu Monopol. Miasto już się budziło dniem wietrznym, szaro-błękitnym ku górze, pogodnym, i prędko, niespokojnie, niby oddech chorego otwierały się spękane usta ulic. Zuławski spojrzał w górę, uśmiechnął się.

— Daj Boże — szepnął. — Daj Boże.

Spytał się u portiera o Hartmana, o Morrisona, ale jeszcze spali. Portier sprawdził jego nazwisko, skłonił się uprzejmie, powiedział, że czekają i natychmiast zawiózł go windą do pokoju. Pokój był nieduży z przylegającą do niego łazienką, z telefonem na nocnej szafce, wybity dywanem. Zuławski rozciągnął się na łóżku, czuł w całym ciele zmęczenie. Poderwał się jednak, bał się zasnąć. Spostrzegł pod oknem biurko i to mu uprzytomniło, że przecież przyjechał na jakiś kurs, trzeba się będzie uczyć, zdawać egzamin. Umył się, ogolił, zawiązał muszkę, przygładził brwi i zatelefonował do portierni pytając czy Morrison się obudził. Powiedziano mu, aby zeszedł na dół, na śniadanie. W *dining room*ie większość stolików była już zajęta. Dostrzegł Morrisona.

— *Hallo colonel!* — zawołał Jim. — Prosimy do nas. Jak się panu jechało? Samochód nie nawalił? Nie zatrzymało pana nic w drodze? Podobno na *Turn Pike* był wypadek. Prosimy, prosimy do nas! Przy stoliku siedział osobnik tęgi, w rogowych okularach, łysawy, na wpół wypalone cygaro wydymało lewy policzek. Uniósł nieco ciężką pupę i wyciągnął rękę ku Żuławskiemu.

— Hartman.

Businessman — pomyślał Żuławski — i to jaki! Bez względu, ale jak tu inaczej do czegoś dojdiesz! Poprzez okulary trudno było dostrzec oczy Hartmana, ale to był *businessman*. Ten kark dwukrotnie sfałdowany, wygolone, mięsiste policzki, ten ruch ręką niby przyjacielski, a jednak nonszalancki, pewny siebie.

— Pan Hartman — informował Jim — jest menadżerem rejonowym Farlexu. Mówiliśmy właśnie o mianowaniu pana menadżerem na Monumental. Hartman skinął głową, cygaro poruszyło się. Oceniał Żuławskiego.

— Nie podejmuję się stanowiska menadżera — powiedział Józef. — Nie od razu — dodał.

— No, no nie bądźmy tacy skromni! — Hartman wyjął z ust cygaro, zaśmiał się hałaśliwie. — Tu jest menu, proszę, niech pan dysponuje.

Jim szepnął: Wszystko na rachunek Farlexu, *colonel*, nie ma żadnych ograniczeń!

Żuławski zamówił śniadanie, spojrzał po sali.

— Ładny lokal, co? — roześmiał się Hartman.

Coraz więcej mężczyzn zajmowało stoliki. Dobrze odkarmieni, dobrze ubrani z białymi trójkątami koszuli pod wygolonymi podbródkami.

— To wszystko Farlex! — Jim wyprostował się. Miał bary atlety, wydawało się, mógł objąć nimi całą salę.

— To zależy — mruknął Hartman — to się okaże. Na razie kandydaci. Z całych Stanów! *Colonel*, nasze akcje na giełdzie idą w górę. Możemy panu płacić w akcjach.

— *Colonel* wolalby na razie gotówkę... — przerwał Jim — może następną pensję...

— Czy pan poluje? — Hartman spojrzał na Żuławskiego. — Polował pan, co? Oficerowie europejscy...

— Kiedyś...

— Wybieramy się na polowanie na Florydę. Na

małpy. Prosimy! Żuławski pomyślał: — Zatelefonuję do Gertza.

— Ci trzej — Morrison wskazał ruchem brody odległy stolik — to pana przyszli współpracownicy. Przyjechali z Monumental.

Wykłady trwały cały dzień. Wszystko pod znakiem Florydy: geografia, rozwój ludnościowy, ekonomiczny. Żuławski starał się notować, gromadził kolorowe, informacyjne ulotki. Kręciło mu się w głowie od filmów, przezroczy, od nawałnicy słów angielskich, których sens od czasu do czasu gubił i znów wysiłkiem woli chwycił, odnajdywał.

Podczas *lunch'u* zbliżył się do niego Sam Levy. Był z Monumental. Siwa szczecina, czerwona, zadowolona twarz.

Handlarz bydła — pomyślał Żuławski. Chciał się cofnąć, ale Sam Levy wyciągnął rękę.

— Sam Levy z Monumental. Czy my się przypadkiem nie znamy?

— Nie — mruknął Żuławski.

— Wydaje mi się, że pamiętam pana z łoży...

— Nie. Nie należę do żadnej łoży.

— Nie bywa pan w restauracji Wendla? Robi zawsze doskonały *laszken*.

— Nie, nie bywam.

— Taka znajoma twarz, swoja twarz. Myśmy się gdzieś spotkali. Mówią, że pan ma być menadżerem oddziału w Monumental — mruknął filuternie. — Co pan na to? Gratulacje.

— Mr. Levy — zaczął Żuławski. Cmoknął niecierpliwie, chciał protestować.

— Mów pan, Sam, pułkowniku. Po co to Levy? My tu w Ameryce nie jesteśmy tacy oficjalni, jedno miasto, jedna rodzina...

— Mr. Levy, my się właściwie nie znamy.

— *Now, now, colonel!* Pan jest bardzo ambitny, tak nie można! Ja panu — sciszył głos — powiem coś o Farlexie. To jest firma, która robi krótkie interesy. Każdy o tym wie. *Short business!* Rozumie pan? Ja widziałem co pan dysponował na lunch. Tylko tyle! Tak skromniutko, jakby z własnej kieszeni. Dlaczego nie koniak?

— Panie Levy obejdę się bez koniaku.

— *Listen here*, niech ich pan nie oszczędza. Koszta

własne zapłacą. Niech pan nie stara się być zbyt skrupulatny.

Żuławski wstał od stolika.

— Przepraszam — powiedział — muszę zatelefonować. Chciał pomówić z Gertzem. W hallu zatrzymał go Jim Morrison. Żuławski uśmiechnął się. Sympatyczny chłop, gentleman.

— *Colonel*, wieczorem w barze.

— Muszę się uczyć.

— Ja się o pana nie boję. Te tam egzaminy! Formalność! Dobra wiadomość: nasze akcje skoczyły znów o dziesięć procent. Co pan na to powie?

— Doskonale! — Pomyślał: Gdzie ja, u diabła, wdepnąłem? — Zanim doszedł do budki telefonicznej ktoś chwycił go za ramię. Żuławski otrząsnął się niecierpliwie. Osobnik mały, pękaty przytrzymywał falujący brzuch ręką.

— *Colonel*, chwileczkę! Jestem Mister Ulman z Monumental. Jedną chwileczkę! Pan ma zostać menadżerem...

— Nic o tym nie wiem.

— *Dont' say so!* Każdy wie. Czy nie zechciałby pan zjeść ze mną obiadu?

— Sorry, Mr. Ulman, jestem zajęty.

— Może pójdziemy na *drinka*?

— Panie Ulman, o co właściwie chodzi?

— Mam pewne informacje.

Żuławski zatrzymał się.

— Pan wie kto jest dyrektorem Farlexu?

— Nie.

— Mr. Key. Pan wie kto to jest Mr. Key? To jest właściciel kasyn gry na Kubie. Całą forszę wali teraz w Farlex, w reklamę, organizowanie nowych oddziałów. Robią sztuczny *boom* na giełdzie. Wypuścili akcji na dwa miliony dolarów.

Ulman spocił się. Wyciągnął z kieszeni zmiętą, szarawą chusteczkę. Spodnie obsunęły się nieco na jego okrągłym brzuchu.

— Ale co mnie to wszystko obchodzi? — wzruszył ramionami Żuławski. Spojrzał na zegarek: za piętnaście minut rozpoczynały się wykłady.

— Może przejdziemy do *lobby*...

— Daruje pan, nie mam czasu.

— *Colonel!* — Ulman chwycił go za rękaw marynarki. — To jest *short business!* Niech pan, przepraszam za wyrażenie, nie będzie naiwny i decyduje szybko. My trzej: Levy, Roseman i ja nie zawiedzimy pana. Niech pan powie: O.K. Niech pan powie, że pan chce. Niech pan im powie: Levy, Roseman i Ulman na *assistant menadżerów*.

— Poszaleli! — pomyślał Żuławski. Z podniesionym nosem wszedł do budki telefonicznej. Pewną ręką nakręcił numer telefonu Gertza. Gertz wyskoczył z łodówki i podbiegł do telefonu.

— Kłaniam się!

To Żuławski! — zadrżał Gertz. — Dam mu 25 dolarów. Ale, do diabła, czy ja się umawiałem o termin?

Powiedział: Moje uszanowanie pułkownikowi. Skąd pan dzwoni, panie Józefie? Pomyślał: Ale go przypiliło, że aż z Monumental! Pomimo wszystko powinienem uregulować tę sprawę już dawniej. Pójdę do biura pożyczkowego...

— Nie, nie! Ja z Nowego Jorku. Jestem tu, rozumiecie dyrektorze, w związku z pewnym interesem. Słyszeliście o Farlexie?

Gertz odłożył słuchawkę, zrzucił futro, którym się otulał w łodówce i sięgnął po papierosa.

— Inżynierze! — zawołał — Niech pan z łaski swojej wyciągnie te trzy skrzynki. „A and P” chciało dostawę na jutro rano.

Wrócił do telefonu uspokojony, ożywiony i w lepszym humorze.

— Słucham, słucham, melduję się. Musiałem tylko wydać dyspozycję, ładujemy jutro towar dla „A and P”. Farlex? Widziałem, na dworcu kolejowym mają stoisko.

— Ba! — przechwalał się Żuławski. — Opanowują całe Stany Zjednoczone! Taka kampania idzie... Miliony w to walą...

— A jak pan do nich? W jaki sposób?

— Najzwyczajnie, przez ogłoszenie... Angażuję mnie na menadżera oddziału w Monumental z pensją około 18 tysięcy dolarów na początek.

Gertz poczuł omdłość w nogach, przysunął sobie krzesło, usiadł. Dziś oddam mu 50 dolarów — zdecydował szybko. Powiedział:

— Gdzie pana można łapać, pułkowniku? Miałem przygotowany czek, ale wolałbym zameldować się osobiście.

— No to czekajcie, mój telefon...

— Panie Józefie, a może na małą kolacyjkę do nas?

— Dziękuję, to nie jest możliwe teraz... przepraszam ja już muszę kończyć, rozumiecie dyrektorze, wykłady...

— Życzę powodzenia. A czy tam dla mnie nie ma czegoś?

— Pomyślmy, będziemy kombinowali.

Zuławski zawiesił słuchawkę i ruszył pewnym krokiem na salę wykładową. Zbici w nieforemną grupkę, Levy, Ulman i Roseman śledzili go z daleka.

— Dlaczego on? — szepnął Ulman.

— Oni lecą na reprezentację — tłumaczył Levy. — Żebyś ty, Ulman był wyższy i miał ten krok... Weź Morrison! Co on ma w głowie? Sprzedał 150 działek aktorom i na tym skończy, ale patrz, jak się porusza, jakby miał milion na koncie. Ja wiem, ty wiesz, ale taki, który kupuje nie myśli.

5.

W połowie października lato nawróciło gwałtownie. Słońce wzbijało się wysoko i prażyło nieprzytomnym, namiętym żarem. Złe, wilgotne, zgniłe powiewy szły od zatoki. W południe temperatura dochodziła do 90 stopni. *Indian Summer*. Huragany szły jedno po drugim. Diana oziębiła powietrze na krótko. Łudzono się, że Etna przerwie dopływ upałów, ale i ten huragan przeszedł bokiem pozostawiając krótkotrwałą falę deszczy. To minie — mówiono. — To tylko *Indian Summer*, a zima zaskoczy znienacka. Kurowski martwił się. Sądził, że otwarcie biblioteki zgromadzi najwięcej ludzi właśnie w połowie października. Był to dobry termin: bo już po wakacjach, szkoły dopiero niedawno się zaczęły, chłodniej, jeszcze daleko do Bożego Narodzenia, chociaż już przezorni myślą co dla kogo kupić, już domy towarowe przypominają, że tyle, a tyle dni do *Christmas* — ale termin wydawał się neutralny. A tu

taka gorączka! Ubrał się jednak w czarny, wełniany garnitur jeszcze z Anglii, czarną krawatkę, pomadą przyłśnił włosy i czuł, że mu trochę łydki chodzą, bo zawsze taki występ publiczny... Salka na trzecim piętrze Domu Obywatelskiego długa, wąska, zappełniała się zwolna. Ludzi naprzychodziło dużo, najwięcej z Koła Żołnierzy. Mękała ruszał się najsprawniej, wiadomo prezes. Zona siadła zaraz w drugim rzędzie krzeseł i przyglądała się Mękałce. Takie kurczę przygarnęła i jak to się opierzyło. Przyszedł Piekarczyk taki chłop, jak dąb, tylko po co te baczki sobie zapuścił? Przyszedł z żoną i z dziećmi. Piekarczyk na nocną szychtę robi, stary dom sprzedaje i nowy, w lepszej dzielnicy sobie kupuje. Dzieci zaraz się poderwały z krzeseł. Chłopak Piekarczyka wymusztrowany taki, ojciec go pasem leje, ale za to umie się zachować; chłopiec Szymkiewicza co deklamował wiersz w zeszłym roku na Jasłkach a tak, że aż ci wszyscy co zrozumieli popłakali się; chłopiec Radowskich co był na Jasłkach górą; Marek i Paweł. I tup, bum! Tup, tup, bum! Popędzili na dół do maszyny z Coca Cola i na górę, dalej po schodach i pod krzesłami. Matki uspakajały: Cicho! A będziecie wy się zachowywać!

Kurowskiemu chodziły łydki. Mękała powiedział: — Będziem zaczynać? — Ocierał chusteczką kark.

Żuławski zawołał z piątego rzędu: Nie można tam tego okna otworzyć?

— Hałas straszne z ulicy, panie Żuławski!

A Żuławski: Jestem pułkownikiem Wojska Polskiego, panie Mękała!

— To stół da się ciut, ciut bliżej i będzie lepiej słychać — radził Piekarczyk.

— Panie Bask — odezwał się Mękała. — Niech pan pozwoli do prezydialnego stołu!

Andrzej podniósł się i ruszył w kierunku stołu. Przyglądał się sali: kolorowa, ruchliwa, mężczyźni pykają cygara, kurzą papierosy. Gorąco — pomyślał — trzeba zaczynać!

— Chłopcy! — zawołała Boga — siadajcie! Już wybrudzili kolana! — jęknęła.

— Proszę państwa o ciszę! — zaczął Andrzej.

Piekarczykowa pociągnęła męża za połę marynarki.

— A może by Jadziusia powiedziała ten wierszyk?

— To potem, zobaczymy. Ona tam na ostatku jeszcze się zmyliła.

— Dziś rano mi mówiła i dobrze.

— No zobaczymy! — wyrywał się. — Już tera cicho siedź, bo bedo mówić. Sala uspakajała się. Andrzej dostrzegł reprezentantów starej, zasiedziałej już w Monumental Polonii. Kilku osób nie znał i zastanawiał się skąd przyszli, w jaki sposób dowiedzieli się o zebraniu. Pod ścianą, w końcowym rzędzie dostrzegł twarz młodą, znajomą, uśmiechniętą. Chłopiec przypatrywał mu się uważnie. Skąd ja go znam? — zastanawiał się Andrzej. Ach to Kula, prezes studentów! Podniósł rękę i machnął przyjacielsko w kierunku chłopca. Zgromadzeni na sali wykonali natychmiast półobrót na krzesłach i Kula zarumienił się pod ich spojrzzeniami.

Andrzej myślał: Ale przecież on niewiele zrozumie. Może powinienem? Uśmiechnął się do swoich myśli. Dlaczego nie? Dlaczego nie?

— Proszę państwa... — zaczął. O co tu chodzi? — zastanawiał się. Ja w ogóle nie wiem co ten Kurowski będzie mówił. Kurowski! Boże drogi, Kurowski! No a może, a może? — Proszę państwa, pan prezes Mękała prosił, abym zagaił dzisiejsze zebranie. Witam wszystkich zgromadzonych i dziękuję za przybycie. Liczba zebranych — Andrzej spojrzał uważniej na salę — tylne ławki puste, ale do Kuli przysiadł się młody chłopak i elegancko ubrana młoda dziewczyna — liczba zebranych świadczy o zainteresowaniu się sprawą — otwarciem biblioteki.

Żuławska siedziała przy starszym Kurowskim. Bardzo był wyelegantowany.

— Pani — szepnął trącając delikatnie Żuławską — mój brat będzie mówić.

— Wiem, wiem — uśmiechnęła się Helena.

— A to moja żona, pani.

Kwiecisty kapelusz pochylił się w kierunku Żuławskiej.

— *Nice to meet you*, pani.

— Ona po polsku ni rozumi, ale zawsze sobie posłucha.

— Książka polska — mówił Andrzej — jest tym cudownym instrumentem, który odkrywa nam tajemnicze powiązania pomiędzy nami, a krajem. Kurowski spojrzał

na zegarek. Już teraz i ręce mu latały i w brzuchu czuł dziwne, niepokojące dreszcze.

— Mgli me — pomyślał — po tej baraninie me mgli. Kotleta wieprzowego porządnego to nie robi, albo jakiego bigosu... Sięgnął po karafkę, nalał sobie wody do szklanki.

— Mam nadzieję — mówił Andrzej — że to dopiero początek...

Mękała przeraził się. Co on gada? Dopiero początek? A jeszcze Kurowski ma mówić i Kowalska! To już dla mnie czasu nie starczy. Nie śmiał jednak przerywać Andrzejowi. Dać mu, niech mówi; Głosował na mnie na prezesa! Tylko ten niepokój: kiedy on skończy? Ludzie za długo nie wytrzymają. Pod koniec już nikt nie uważa.

— ...i życzę organizatorom i członkom Koła Biblioteki...

Kowalska siedząca przy stole prezydialnym notowała zawzięcie. Zaraz, jak to szło? — zastanawiała się — tajemnicze powiązania...?

— ...w podanym mi porządku zebrania znajduję referat kolegi Kurowskiego, byłego żołnierza Armii Polskiej, delegata Koła Przyjaciół Biblioteki, kandydata na prezesa...

Mękała poruszył się niespokojnie. Po moim trupie! Już wolę, żeby Piekarczyk...

— ...kandydata na prezesa sekcji kulturalno-oświatowej...

— A to co insze! — rozpromienił się Mękała. — Ale od żołnierzków precz! Karciarz taki, psia jego... pokrzysta...

— ...kolega Kurowski wygłosi referat na temat... O Boże! — drgnął Andrzej, ale odważnie przebrnął do końca — ...na temat kultury polskiej. Kolega Kurowski!

Nieśmiała brawa. Kurowski skłonił się.

— Proszę panów i pań! — Ścisnęło go w gardle, przełknął ślinę. — Witam! — krzyknął i odzyskał równowagę i panowanie nad sobą. — Witam! Witam tu zgromadzone licznie towarzystwo! Bo proszę państwa, jak kupą pójdziem, to kupą zwyciężym!

Oklaski.

— Pani — szturchnął Żuławska starszy Kurowski. — Pani słyszy? To mój brat! Ja nie taki uczony, ja...

— A teraz — mówił głośnym głosem Kurowski — rozpoczniemy serię pogadanek dla inteligencji. Będę dziś

traktował o kulturze polskiej. — Przerwał i zerknął na salę. Było cicho, wszystkie twarze wpatrzone w niego. Nawet dzieci siedziały spokojnie i tylko mała Piekarczykówna żuła *bubble gum* i wydmuchiwała ustami różowego, gumowego balona.

Matka trzepnęła ją po palcach.

— Jadzia! Tak się grzeczna panienka nie zachowuje!

— Bo ta kultura — nabrał oddechu Kurowski — to jak ten chiński mur. Chińczycy to ten mur budowali, żeby do państwa nieprzyjaciela nie puścić! Wara, mówili, od naszego państwa i budowali ten mur.

Zuławski pochylił się ku Bodze:

— Przecież on to wyczytał w niedzielnym dodatku polskiej gazety z zeszłego tygodnia.

— Czego chcesz! — obruszyła się Boga. — Zupełnie niezłe porównanie.

Kurowski wsparł się rękami o przydzielny stół i rozwijał wolno sprawę chińskiego muru. Widownia siedziała zasluchana, tylko dzieciaki tu i ówdzie zaczęły się niecierpliwić i wybiegały to na coca-colę, to na siusiu. A Kurowski płomieniał. Nawet jego szkocką żonę poniósł entuzjazm i wpatrywała się w niego starając się zrozumieć poszczególne słowa.

— To i też taki chiński mur, ale polski, nie chiński powinniśmy sobie wybudować. Bo już nie jeden go budował, żeby tę naszą kulturę utrzymać, a jak mówi nasz słynny poeta Sienkiewicz...

— O jo joj! — jęknął Andrzej — o jej, niech on się tylko za daleko nie zapuszcza!

Ale Kurowskiego nic nie zdołałoby zatrzymać. Nie zwracał już uwagi na poprawność języka, miotała nim pasja reformatora, gnał naprzód niepowstrzymanie.

— A jak się pod Grunwaldem te Turki rzuciły, jak Polak miecza podniósł! Jak muchi jeden przy drugim padały! Inne ze strachu, noga! Uciekają! Dziwią się obce króle, jak Polak Turka na tem polu grunwaldzkim krwią zalaniem bije! A wara wam psu braty od muru chińskiego! Wara wam!

— Pani, pani! — szturchnął Zuławską starszy Kurowski — ale mówi, co? Słwał człowiek dolary i teraz dopiero widzi na co! Jakby mi miód po piersiach spływał!

— Kompromitacja! — jęknął Zuławski.

Kurowski gorzał, jak pochodnia. Pot mu ciurkiem spływał po twarzy, angielska wełna grzała niby piecyk elektryczny, muszka dusiła krtań. Ale mówił! W domu przygotował sobie wiersz na zakończenie, aby uzyskać większy efekt poezją.

— I tak ich wyćwiczyli Polacy, tak im łupnia dali, żeby na Grunwald nie napadali.

Wyprostował się i zarecytował uroczyście:

— I przez pola, lasy okrzyk!

Zadumał się, nabrał oddechu:

— Wieski!

Spojrzał na widownię triumfalnie, ryknął pełną pierśią:

— Niechaj żyje król Sobieski!

Skłonił się.

— Bravo! — poderwał się starszy Kurowski. — Bravo! Niech żyje! — I tak zamasyżycie walił w dłonie, że aż Żuławska odsunęła się, aby nie dostać po głowie. Widownia klaskała rozentuzjasmowana.

Po uroczystości była herbatka towarzyska.

Żuławski przecisnął się do Kurowskiego.

— Słuchajcie Kurowski — szepnął — to co mówiliście to kompromitacja żołnierzy...

— Jak? — zdziwił się.

— No skąd? Sobieski i Grunwald? I po co tyle tego chińskiego muru?

Kurowski wzruszył ramionami, czuł się urażony.

— Panie Żuławski — powiedział — ja tu będę trzymał odczyty. Bo kto inny weźmie?

Starszy Kurowski przysunął się, spojrzał promiennie na Żuławskiego.

— Moja żona to po polsku ni rozumi, a też sobie chwaliła. Jaki to miód mi po pierściach spływa. Żebym to ja taki uczony przyjechał do Ameryki! Chodź Leosć pójdziem na piwo! A może i pan z nami pozwoli? Trza oblać jednym głębszym.

Andrzej rozmawiał z Kulą.

— Ja tu mam jeszcze z sobą dwoje, proszę pana, kolegę i koleżankę. Chciałbym państwa zapoznać. My myśleliśmy, że może pan powiedziałby nam coś kiedyś o Polsce. Tylko, że trzeba by po angielsku.

— Chcielibyście? — ucieszył się Andrzej. Nagle ogarnęło go przerażenie. — Czy dziś wszystko pan zrozumiał?

— Wydawało mi się — uśmiechnął się Kula — że Grunwald to była bitwa z Krzyżakami, rok 1410, dowodził król Jagiello. Widzi pan, studiuję historię i zresztą zawsze interesowała mnie historia kraju z którego... — przerwał — a to kolega Tadzik Woliński i jego siostra Miss Dolores Woliński.

— Ja zaraz zawołam żonę — powiedział Andrzej.

Podszedł do Bogi, pociągnął ją w stronę okna.

— Poznaj ich, poznaj! — entuzjazmował się.

— Kogo?

— Tych młodych, tych studentów!

V.

Boga tak oto czuje Amerykę: świeżość wieczoru, zapowiedź nadciągającej zimy, obietnica chłodnych poranków, dni, jak niebieska, szeleszcząca tkanina przetykana srebrnymi nićmi. Żyje — myśli — jestem zdrowa. Jakże piękne jest życie, gdy nagle zatrzymane, powraca. Ciepło domu. Chłopcy rozłożeni na dywanie odrabiają lekcje, Kapitan zwinięty w kłębek śpi na fotelu. Bliskość Andrzeja gotowa, bezpieczna.

— Co czytasz?

— O, to, zobacz! Zobacz co znalazłam!

— Chcesz tam zatelefonować?

— Zaraz jutro, natychmiast jutro rano.

Boga tak widzi Amerykę: widzi ją poprzez ogłoszenie w gazecie: „Czy chcesz pomagać ludziom samotnym, chorym, sierotom i bezdomnym? Czy nie przeraża cię cudze nieszczęście? Jeśli jesteś jednym z tych, których interesuje człowiek i niesienie pomocy potrzebującym i upośledzonym...”

— Andrzeju!

— Spróbuj! Ale czekaj, zobaczymy jakie kwalifikacje.

— Uznają mi studia, muszą mi uznać studia!

— Poczekaj-no, nie gorączkuj się! Jeszcze nic nie wiadomo o co to chodzi. Pomagać chorym, sierotom... czy to nie jakaś praca w szpitalu?

— Nie wiem, ale czuję, że to jest dla mnie.

— Spokojnie, nic nie wiadomo. Nie pójdziesz przecież pracować do przytułku.

— A gdzie? Wiesz przecież, że nic nie mogę zrobić z medycyną, że uniwersytet odmówił przyjęcia, nie chcą obcych studentów! A to wydaje się najbliższe i ja czuję, czuję, że to jest dla mnie!

— Zajmować się bezdomnymi? Będziesz miała do czynienia z włóczęgami, wyrzutkami społecznymi.

— Ja wiem, że to jest dla mnie.

— Helena! — woła Andrzej — Helena! Boga oszalała, chce iść pracować do jakiegoś przytułku czy domu noclegowego...

— O co chodzi? — stęka Żuławska. — Nóg nie czuję, cały dzień przy kuchni, ja już długo tak nie będę mogła... O co chodzi?

— Mamo — woła Boga — Mamusiu, patrz! Przeczytaj! Obiecałaś, że jak dostanę pracę, zostaniesz w domu. Przecież ty nie możesz tak pracować bez końca!

— Wariatka! Zobacz! Dostała gorączki. Jeszcze nic nie wiadomo czy cię przyjmą.

Helena nakłada okulary, czyta ogłoszenie, wydyma wargi i krytycznie, rozważa.

— Chcesz? A może to i dla niej.

— Czy chcę? To jest wymarzona praca dla mnie, że-bym ją tylko dostała!

— Ale to mogą być gruźlicy, syfilitycy, alkoholicy, brudni...

— A czy to nie ludzie? Czy w szpitalu miałabym innych pacjentów? I jeżeli mogę im pomóc...

— Zaczekaj dziewczyno, jak ty im pomożesz? Zostaw Amerykanom ich kłopoty. Czy nie lepsze to laboratorium chemiczne?

Boga pochmurnieje.

— Nie!

— Posłuchaj Boga — tłumaczy Andrzej. — Ja cię nie trzymam, idź, dowiedz się. Ale Helena słusznie mówi, zostaw Amerykanom ich kłopoty. Gdybyś była we własnym kraju...

— Ja tu nie przyjechałam tylko, żeby brać...

— O! Bardzo dużo bierzesz!

— Zaczekaj, ja chcę coś dać ze siebie, bo inaczej, jak ja się tu poczuję u siebie. Nie można być bez końca obcym, nie można być bez końca cudzoziemcem i zresztą nauka, zresztą nauka...

— Słuchaj kochanie...

Żuławski przystanął w progu pokoju, kapelusz zsunęty z czoła.

— Ho, ho, ho! Znalazła się idealistka! Od własnej rodziny zaczyna! Idealistka! Kto by pomyślał? Ty się mnie słuchaj! Na dolarze tu się wszystko opiera! Nie masz pieniędzy, to cię nie szanują! Ameryki nie zmieniasz.

— Józiu — krzywi się Żuławska — co ty pleciesz? Nie wiesz o co chodzi.

— Jakto nie wiem o co chodzi? Czy ty myślisz, że Wojtkiewicz da mi zarobić? Modli się pod figurą, a diabeł ma za skórą!

— A Farlex?

— Jeszcze złamanego grosza nie widziałem. No, a o co chodzi?

— Boga znalazła ogłoszenie.

— Ile płacą? *Von fifty*?

— Materialista!

— Boga, nie mów tak do ojca!

— Moja kochana, co ty się dziwisz? Wpływ Ameryki! Jajko mądrzejsze od kury. Słuchaj Boga, żebyś ty tyle ludziom pomogła...

— Słyszałam, słyszałam, jak wyrabiałeś posady, jak...

— Józio słusznie mówi, przecież musisz wiedzieć ile płacą. Czy to w ogóle warto.

— Nie wiem.

— Daj-no mi to ogłoszenie. Czy to nie będzie coś w rodzaju Kasy Chorych? Nędzna płaca, długie godziny urzędowania. Taki społeczny urzędołek. Ale idź, zobacz.

— Wiesz — mówi Helena — że Wojtkowie przyjeżdżają na Boże Narodzenie?

Żuławski nasuwa kapelusz na oczy.

— Nie! — I za chwilę: — Pięcioro dzieci w domu! Ja uciekam!

— Ty jesteś dziadek! — drwi Żuławska. — Nie ma co! Wstydzilibyś się! Stary egoista!

— A ty taka młoda!

— A, pleciesz co ci ślina na język przyniesie. Sam nie wiesz co mówisz!

— O patrzcie ją, jaka ważna, że zarabia! Ale czekaj, ja ci jeszcze pokażę! To co Wojtek pisze?

— Masz list i przeczytaj!

— No ale mniej więcej!

— Przeprowadzili się, dostał pracę, odbił tę swoją tezę magisterską, porozumiał się z różnymi fabrykami, potem zrobił taką turę, no i tak dostał pracę... Co ja ci będę mówiła! Przeczytaj!

— Andrzeju — prosi Żuławski — wytłumacz mi o co chodzi, przecież z Heleną mówić nie można. Zła jak jędrza, Boga to samo. Niedaleko pada jabłko od jabłoni!

— Twoja córeczka, ząb za ząb ci odpowiada, język po tobie odziedziczyła.

— Andrzeju, no?

— Wojtek — mówi Andrzej — tak, jak powiedziała Helena, odbił swoją tezę magisterską w kilkunastu kopiach, porozysłał do odpowiednich kampanii elektrycznych w różnych stanach, Odpisali mu. Objechał wszystkie, zbadał na miejscu, zdecydował się na posadę w Noburgu.

— Zmądrzał! — wykrzykuje Żuławski — zawsze to mówiłem, chłopak ma zdrowy rozum, trochę go odurzyło to Stronnictwo, ale przejrzał. Dawajcie mi ten list!

Odchodzi z listem. Odkłada kapelusz otrzepawszy go uprzednio. Wiesza marynarkę w szafie, nakłada okulary. Spogląda krytycznie na naddartą w pośpiechu, nieporządnie kopertę. Cmoka z dezaprobatą. Wyprostowuje list i wolno, ostrożnie czyta.

— Głupi chłopak nie jest — mruczy do siebie — sprytnie to urządził. Podnosi głowę, namyśla się. Gdzie my to bractwo rozlokujemy? Pięcioro! — wzdycha — Paweł, Marek, Ania, Maciej, Helenka! Idę do hotelu, słowo daję, wynajmę sobie pokój w hotelu!

2.

Był to długi, czteropiętrowy budynek z szarych, betonowych bloków. Zajmował narożnik ulicy, a z daleka wydawał się ostrzem nieforemnej, kamiennej strzały godzącej w południowy wschód miasta. Długie rzędy okien przecinały go szklanymi pasmami. Nie usposabiał do marzeń, daleko mu było do melodyjności nowojorskiego

szpitala, nie zatrzymałby też oka malarza. Był ciężki, bezpretensjonalny, nijaki. Na wprost niego, po drugiej stronie ulicy, pięł się ku górze falistością pagórków stary cmentarz. Drzewa i krzewy czerwono-brunatne, gdzieś tam tylko zamierające zielenią bujały ponad żelazne sztachety. W okolo niskie, dwupiętrowe, nadszczerbione domki, małe murzyńskie sklepiki: pralnia mechaniczna, skład ze staryżną, bar o zmatowiałych szybach. Pośpiech aut, autobusów, tramwajów. Cmentarz więc tylko był tu ciszą zamkniętą, barwną, pełna uśpionych, delikatnych melodii. Był to zapewne cmentarz jeden z pierwszych w Monumental, niegdyś leżący daleko wśród łąk na przedmieściu, a teraz niby antyczna, grająca szkatulka pod kloszem nieba, jak w gablotce muzeum — przypominał.

Na murze budynku napis: Wydział Opieki Społecznej.

— To tu — pomyślała Boga.

Było jeszcze wcześniej, godzina wpół do dziewiątej. Do budynku prowadziło troje drzwi. Przed jednymi z nich, podpierając mur stała kolejka ludzi, przeważnie Murzyni, czekali widocznie na otwarciu biura. Przyjrzała im się nieznacznie, ukradkiem. Kobiety z małymi dziećmi, jakiś mężczyzna bez nogi, o kulach, drugi wspierając się na szczudłach kuśtykał ku niemu. Przywitali się, roześmieli. Kurzyli papierosy. Twarze pozostałych były obojętne, zanurzone w oczekiwaniu.

Drugie drzwi umieszczone były nieco wyżej i trzeba było wspinać się do nich po schodach. Weszła. Znalazła się w obszernej, oświetlonej elektrycznością sali. Na ustawionych w kilkudziesięciu rzędach krzesłach siedzieli ludzie. Zaduch ludzki, świadomość zbiorowego oczekiwania.

— Numer dwudziesty siódmy! — zawołała poprzez megafon siedząca za stołem, a na wprost oczekującej widowni, kobieta.

Tuż przy drzwiach stolik, na nim telefon. Boga przystanąła niepewnie. Kobieta z megafonem wydawała się uroczysta i groźna.

— Czy jest numer dwudziesty siódmy? — powtórzyła. — Czy nikt z państwa nie ma numeru dwudziestego siódmego?

Co zrobić? — myślała Boga — zapytać ją? Podchodziła i cofała się. Czy ja też będę wywoływać numery?

— Po raz ostatni numer dwudziesty siódmy!

— To ja! — zaskrzeczał głos.

Człowiek był chudy, spod poplamionego, podartego kapelusza sterczał siwy kosmyk włosów. Twarz ptaka, sucha, starcza, inteligentna. Sztywne od brudu spodnie.

— To ja, to ja...

— Ach to pan! — zawołała kobieta. — To pan, panie Woodby — dodała ciszej. I jakże się pan czuje? Zaraz, zaraz, niech-że pan siada. Zmizerniał pan ostatnio. Co się stało?

Staruszek pochylił się i szeptał jej coś do ucha. Twarz kobiety oficjalna, niemal surowa, zmieniała się, zlagodniała. Słuchała uważnie.

— Niech pan zaczeka, panie Woodby — mówiła przyciszonym głosem. — Jak się nazywa pana *social worker*? Pana *worker* — powtórzyła głośniej.

Kilkadziesiąt par oczu przypatrywało się im: spelzłe niebieskie, zielonawe, brunatne i brązowe podobne do wilgotnych kasztanów. Ktoś drzemał oparty na ręku, ktoś głośno zakaszał, inni pochylali się ku przodowi starając się uchwycić wątek rozmowy, ale Mr. Woodby nie zdejmując kapelusza z głowy, twarzą tuż przy uchu rozmawiającej z nim kobiety, szeptał. Tylko ona wiedziała po co przyszedł tu, czego chciał, na co się skarżył.

— Rozumiem — odpowiedziała. — Nie będzie pan długo czekał, zaraz go zawołam, dobrze, odwiezie pana do domu.

Staruszek podniósł się, przyłożył rękę do kapelusza i opierając się na łasce, odszedł w kierunku swego miejsca na sali.

— Numer dwudziesty ósmy...

Spojrzała na Bogę, dopiero teraz zauważyła ją, a może dopiero teraz zdecydowała się ją zauważyć.

— *May I help you?*

Boga zmieszała się. Spojrzenie było przenikliwe, twarz pełna, policzki nieco obwisłe. Spojrzenie mówiło:

Wiem doskonale po co tu przyszedłeś. Przyjrzyj się i jeśli nie masz ochoty musisz zawrócić od razu, lepiej zdecydować się wcześniej.

— *May I help you?*

— Dział personalny.

— Trzecie piętro, proszę wziąć windę! Numer dwudziesty ósmy!

Stała odwrócona plecami, słyszała.

Nie dostała pani czeku? Jak się nazywa pani *social worker*?

Social worker? — myślała Boga to znaczy, że ja? Ale co robi *social worker*? Opiekuje się, pomaga? Jak? Wysyła czeki? Sekretarka w dziale personalnym miała twarz koloru kawy z mlekiem, usta czerwone, pełne i tylko brunatną siność dziąseł.

— Mrs. Bask? — uśmiechnęła się — proszę najpierw wypełnić *application*. *Application* — westchnęła Boga. — Znow i bez końca podania, podania. Już w tylu miejscach wypełniała *application*: imię, nazwisko, dane personalne, *primary school*, *high school*, *college*, referencje, kogo zawiadomić w razie wypadku, *nationality*... *nationality*... *Polish*, *Polish*, *Polish*...

Pochyliła się nad arkuszem.

I am applying for a position of a caseworker... Co to znowu? — zastanawiała się. No i na pewno strzelę teraz byka w angielskim. Po co to wszystko? I tak mnie nie przyjmą. Ta kobieta na dole przyglądała mi się tak badawczo. Nie podobałam się jej. Zaraz zatelefonuje, aby mnie nie przyjęli. Nie chcemy cudzoziemców. Amerykanie sami potrafią sobie dać radę ze swymi kłopotami. Lepiej będzie pójść do laboratorium chemicznego, lepiej zrezygnuję i ucieknę sama. Nie trzeba narażać się na odmowę. Czy sekretarka nie widzi? Położę niespostrzeżenie *application* na stoliku i wymknę się na palcach. Nikt nie zauważy. Andrzej powie: No i co? Czy to coś ciekawego? Miałaś rację, kochanie, nie powinnam się wtrącać do amerykańskich kłopotów.

— Mrs. Bask!

Drzwi uchyliły się cicho, nie zauważyła kiedy, a już, już gotowa była do ucieczki.

— Nazywam się Miss Grayson, przepraszam, że pani czekała, niecierpliwiła się pani, prawda? Proszę, chodźmy do mego gabinetu.

Drzwi zamknęły się, siedziały na wprost siebie, ale w Bodzie trwała jeszcze chęć ucieczki. Zwolna podniosła głowę. Miss Grayson przypatrywała się jej. Niewątpliwie zauważyła, że Boga chciała uciec. Uśmiechała się. Twarz

pociągła, siwe, rzadkie włosy, dwie brzoźdy od nosa ku kącikom ust, ponad głęboko osadzonymi oczyma — krzacaste, posiwiałe brwi. Usiłowała ją do kogoś przyrównać, utożsamzić z kimś z przeszłości, tak byłoby łatwiej. Czuła się zagubiona, niepewna. Energia Miss Grayson, ostrość jej spojrzenia przeczyły jej wiekowi. Gdy uśmiechała się, jej głowa drżała nieco. Było to nieświadome dygotanie starcze i jednocześnie, jakby nieustanne zdziwienie. Nie, nie zdziwienie, zadziwienie raczej. Przyglądanie się drobi-
nom życia. Każde zaś drgnięcie głowy, powiek, podbródka, policzków wydawało się osobnym wykrzyknikiem pełnym zdumienia i zachwytu podczas gdy oczy odpowiadały spokojnie karcąc młodzieńczą egzaltację. W kącikach uśmiechniętych ust drżała żartobliwa przekora: przecież wiem, przecież wiem. To nic nie szkodzi, cudownie jest dowiadywać się na nowo.

Nie, nie mogła jej do nikogo przyrównać. Ta nierozpoznalność, niemożność utożsamienia ze znanym w przeszłości modelem, onieśmiałą i zaciekawiała jednocześnie. Lubię ją — pomyślała, ale bała się odezwać, milczała.

Głos Miss Grayson był niski, nieco ochryply.

— Jak to miło, że pani do nas przyszła. *How nice* — powtórzyła — *how nice!*

Otworzyła usta, aby odpowiedzieć, zawahała się niedowierzająca jeszcze, nieufna.

— I jak to dobrze, że zdecydowała się pani przyjść. Często pobieramy decyzję w ostatnim momencie, albo też w ostatniej chwili staramy się ją zmienić. Wydaje mi się jednak, że decyzja przemyślana jest wartościowsza. Nie warto od niej zbyt pochopnie odstępować. Cieszę się, że zdecydowała się pani zostać *Social Worker*.

— Ja też — odpowiedziała Boga — ja też się cieszę! — I nagle zerwała się w niej nieprzytomna, szalona radość. — Cieszę się, bo...

— *Go ahead!* — zachęcała Miss Grayson — jej głowa drgała drobnymi ruchami.

— Cieszę się, bo wydaje mi się...

Spoglądała na nią wyczekująco.

— ...że to jest właśnie czego chcę, pracy z ludźmi. Zawsze intrygował mnie, interesował mnie człowiek. Czuję się tu, w Ameryce, nieco na uboczu i myślałam, że po-

przez pracę z ludźmi, pomaganie im, poznanie ich *I will get into American life*.

— Rozumiem. Każdy z nas chce być potrzebny, chce odnaleźć swoje miejsce nie tylko wśród najbliższych, ale i w społeczeństwie. Ale uprzedzam, to nie jest łatwa praca. Bo widzi pani, nie o to chodzi, aby im pomóc, ale pomóc tak, aby sobie sami pomogli.

— Jakto?

— Satysfakcja, poczucie wartości własnej wypływa z osobistych decyzji i dokonań. Pomagać można, ale tylko w taki sposób, aby nie umniejszyć godności własnej i prawa jednostki stanowienia o sobie. To nie jest łatwe, nie jest łatwe dla tego, który pomaga, a trudniejsze jeszcze dla tego, który prosi o pomoc. Ludzie często nie będą przyjemni, schorowani, brudni, niecierpliwi, niewdzięczni. Czy to pani nie przeraża?

— Wydaje mi się — powiedziała Boga — że człowiek pewny siebie, zadowolony, szczęśliwy nosi na sobie pancerz i wtedy nie jest łatwo zbliżyć się do niego.

— Nie zawsze — uśmiechnęła się Miss Grayson — pani też nosi pancerz, a przecież życie w nowym kraju nie od razu jest łatwe.

— Myśli pani, że to, że nie jestem Amerykanką, że będąc cudzoziemką nie potrafię, nie mogę...

— Nie! — zaprotestowała. — Jeśli nauczy się pani rozumieć, wtedy okaże się, że człowiek jest wszędzie ten sam. Tak trudno jest nam zwalczyć w sobie uprzedzenia, chociażby przyznać się do tego, że jesteśmy uprzedzeni. My w Ameryce spotykamy się z tym na każdym kroku: uprzedzenia rasowe, religijne, narodowościowe, klasowe... Ale jeśli potrafimy odrzucić to wszystko, dostrzec prawdę, uczucia okażą się te same. Każdy z nas dąży do szczęścia, chce być kochany, pożądanym, potrzebny, każdy z nas cierpi. Tylko często te czyste uczucia zostają zdeformowane, przytłumione. Sztuka polega na tym, aby umieć je odnaleźć, przemówić do nich wierząc, że istnieją. Nauka o człowieku nie mieści się w granicach państw. Ojczyzną człowieka przecież jest ziemia. Tylko nam uformowanym warunkami zewnętrznymi tak trudno to zrozumieć. Ale to jeszcze długa, długa droga. Przede wszystkim musimy zweryfikować studia. Wymagany jest egzamin. Ja już na to nie mam wpływu. Jeśli studia zostaną uznane, jeśli przejdzie pani

egzamin, przyjmujemy panią do nas. Niech się pani nie zraża. Nie ma przeszkody, której nie można by pokonać, jeśli chce się naprawdę. *Good luck* — wyciągnęła rękę — *Good luck!*

3.

— Synku — powiedziała Helena — spójrz-no tylko, popatrz! Wojtek Zuławski zbliżył się do okna. Drobnym, mokry śnieg osiadał na sztachetach ogródka, na ciemnych krzakach róż i po kilku chwilach topniał, spływał leniwym deszczem na ziemię.

— To ma być zima! — westchnęła Helena. — Pamiętam w Polsce! Śnieg chrzęścił pod nogami, mróz na szybach, dzieci jeździły na sankach. Wczoraj przyjechaliście była ładna pogoda, cieszyłam się, niebo było białe, myślałam — śnieg! Dzieci ulepią bałwana...

— Bo tu jest południe, mamusiu, pojedź na północ, do Stanu Nowy Jork, do Conneticut, nad granicę kanadyjską... Masz i tereny narciarskie i zimę taką, aż trzeszczy.

Zuławska wzruszyła ramionami.

— Gdzie ja tam pojedę! Ugrzęźliśmy tu, w tym mieście. Już nawet nie mam pretensji do wielkich podróży tylko, żeby mieć kawałek jakiejś swojej ziemi, żeby można gdzieś odetchnąć świeżym powietrzem.

— Chcecie coś kupić?

— Ja bym chciała, bardzo bym chciała i Andrzej też i Boga, tylko Józia trudno przekonać... Ale jakby się coś miało swojego to i ty byś przyjechał, Ewa z dziećmi. Ty Wojtusię niedobrze wyglądasz, bo też nie wypoczniesz, o wakacjach zapomniałeś. Przyglądała mu się troskliwie, niespokojnie.

— To co mam zrobić? Co mam zrobić? Dostałem niedawno tę posadę. Mówisz wakacje! Ale przyznaj tak szczerze, który z nas, nowych emigrantów, może sobie naprawdę pozwolić na wakacje? Są tacy co się ustalili, pojadą na tydzień, dziesięć dni, ale wakacje prawdziwe miesięczne wakacje to luksus! Skąd ja bym na to wziął pie-

niądze! Tylko w wyjątkowych miejscach pracy masz prawo do więcej niż tygodnia, no najwyżej dwu tygodni wakacji. Zresztą w moim wypadku to nie jest wyczerpanie fizyczne, to nerwy! Muszę się starać, chcą mi ułatwić zrobienie doktoratu. Dopiero doktorat coś znaczy, a jeśli zacznę się specjalizować w *research*, to doktorat jest niemal koniecznością.

— To dobrze, ja się cieszę, że dostałeś tę pracę. To mądrze, że chcesz coś robić w swoim zawodzie. Trzeba się tu urządzić, ustalić. Wiesz, czasem wydaje mi się, że już nigdy nie wrócimy do kraju.

Patrzyła przed siebie zrezygnowana. Wiedziała: to było pogodzenie. Jeszcze nieraz zerwie się, zaprotestuje głośno, zapłacze, ale już poddawała się. Tak lepiej.

— Chciałabym tylko mieć jakiś kawałek ziemi, tak sobie często o tym marzę. Bo tu nawet nie można pojechać ot tak sobie, do lasu. Wszystko zagrodzone, wszystko *private*.

— Wiesz mamusiu — mówi Wojtek. — Z tym krajem to są takie złudne tęsknoty. Gdybyś pojechała, zobaczyła to pewnie wracałabyś co prędzej do Ameryki. — Spogląda na matkę niespokojnie, nie podoba mu się jej melancholia.

— Nie ja! Ty, Ewa, Boga, Andrzej wahałobyście się. Może nawet i wasze dzieci zawahałaby się przez chwilę. Stanęlibyście na rozdrożu: dwie ojczyzny. Tamta wymarzona i ta realna. Z każdym rokiem wybór będzie trudniejszy. Ale nie ja! Ja to co innego. Powiedz, cóż mnie może tu czekać? Obcość, obcość, samotność, nigdy się z nimi nie żyję. A ty?

— Czasem myślę, że tak, a czasem wydaje mi się — nigdy.

— Wojtuś, słuchaj, a jak z Ewą? Jak wy się z sobą zgrywacie? Lubisz ją? — Żuławska mówi prędko, nie pozwalając dojść synowi do słowa. — Dobra jest dla ciebie? Nie śmiej się! Przecież ja się o ciebie martwię! Jaka ona jest? Ja ją tak mało znam. Wojtuś?

— Ewa jest w ciąży.

— Tak? Tak sądziłam. Ale Maciuś jeszcze taki małutki...

— No co zrobić, spodziewa się dziecka. Maciek już podrośł, biega, daje sobie sam radę.

— Wojtuś, słuchaj-no co ja ci teraz powiem! — Żuławska bierze się pod boki, głos z drżącego, słabego staje się silny. — Stanowczo sprowadźcie matkę Ewy z Polski! Odetchniecie! Ewa nie jest znów taka silna! Wspominaliście przecież, że chcecie sprowadzić matkę.

— Chcemy! Ale skąd ja wezmę tyle pieniędzy? To będzie chyba z tysiąc dolarów!

— Pożycz! Teraz masz lepszą pracę, spłacisz! Ja ci też pożyczę! Może i Andrzej, Boga ma dostać zupełnie niezłą posadę...

— Czekaj! — powstrzymuje ją Wojtek. — Co z Bogą? Co to było? Pisaliście o jakiejś chorobie.

Żuławska załamuje ręce. I znów głos ten silny tubalny, nakazujący, chwieje się, drży. Żuławska skarży się, popłakuje. Oto jak potrafi się zmieniać! Aktor japoński w tańcu z maskami.

— Co ja przeżyłam! Co myśmy przeszli!

— Ale dlaczego? Jak mogliście zaufać obcym ludziom, jak mogliście uwierzyć?

— Wojtuś ty znasz Bogę, wiesz, zawsze chciała być lekarzem. Przyjechała tu, wydawało jej się, uznają jej studia. A tymczasem nic. Patrzyłam na nią, serce mi się krajało. To tu się rwała, to tam. Każdy z nas poszedł do pracy, dzieci do szkoły, a ona w domu. Dnie i wieczory w domu. Mówiła do mnie: mamo, ja tak bym chciała coś zrobić, gdzieś pracować...

— Ewa to samo!

— Więc widzisz, przyzwyczailiśmy się, że kobiecie wystarcza dom i dzieci i koniec. Ale czas zmienia się szybciej niż nasze zapatrywania. To znaczy wiemy, w teorii wiemy doskonale, ale często tylko w teorii. Nie każdej wystarczy tylko dom i rodzina. Szkoła, wyższe studia przygotowują ją do samodzielności, do interesowania się społeczeństwem, nauką i nagle wychodzi za mąż i koniec! Gotuj, sprzątaj, pierz, zachwycaj się mężem.

— Nie bądź złośliwa! Ja rozumiem, że Ewa, że Boga mogą mieć inne zainteresowania. Mogą czytać, należeć do jakiegoś kobiecego klubu...

— To po co się kształciły? Po co zdobywały zawód? Czy ty myślisz, że to tak łatwo wykreślić z życia tamte wszystkie lata? E, ty tak nie myślisz! Więc posłuchaj, z

Bogą to mi się wydaje tak: Boga jak gdyby straciła grunt pod nogami. Chciała czegoś jakiejś pozycji, jakiegoś swego miejsca w nowym kraju, szukała. Mówiła, że interesuje ją człowiek, więc ciągle o tych ludziach, że chce poznać ludzi, a tu nic. Sama, sama. Chłopcy w szkole, albo bawią się na dworze, Andrzej zmęczony. Dziwi się: Boga histeryzuje, Boga nie wie czego chce. A ona siedziała sama, dręczyła się, zaczęła mizernieć i nikt z nas nie zauważył, że wpada w apatię, że się załamuje. Dopiero ta Młodecka...

— Jak się czujesz, Ewo? — pyta Boga.

— Już lepiej — mówi Ewa. Wstaje z tapczanu, obciąża na sobie sukienkę. — Już mi przeszło.

— A może napijesz się mleka?

— Mleko mnie mdli, wolę kawę. Wiesz co, daj mi papierosa, ja rzadko kiedy palę, ale daj mi...

— Schudłaś! Ale schudłaś!

— Schudłam, prawda? — cieszy się Ewa. Ja już się teraz będę pilnować. Już nie dopuszczę do tego stanu, jak przed urodzeniem Maciusia, ja już się będę pilnować. A gdzie dzieci? — podrywa się.

— Usiądź — przytrzymuje ją Boga — dzieci przy telewizji, a mama jest z Wojtkiem w kuchni i w razie czego...

Ewa nie może usiedzieć, podrywa się powtórnie z fotelu. Teraz pudruje nos przed lustrem, odwraca się:

— Ty masz przy sobie matkę, a ja...

— Ewo słuchaj...

Ewa przypudrowuje łzy.

— Ale ja to się teraz tak urządzam: po obiedzie zostawiam Wojtkę z dziećmi i wychodzę. Wiesz zapisałam się na kurs chemii atomowej. W Noburgu na uniwersytecie mają różne kursy, wykłady wieczorne. A do niedawna to dawałam lekcje polskiego. Jeden Amerykanin wyjeżdżał do Polski.

— Ewo słuchaj, podobno twoja matka miała przyjechać?

Ewa odkłada grzebień. Papieros drży w ręce, drgają umalowane wargi.

— Idź — woła — idź i powiedz Wojtkowi!

— Co mam mu powiedzieć?

— Żeby zapłacił przejazd!

— Czy nie macie nic pieniędzy, czy nie możecie...

— No wiesz, Boga, nie bądź naiwna! Wszystko na raty! Ta sukienka też na kredyt, bo Wojtek nie mógł się rozstać z prezesem!

— Ale przecież już dostał posadę, już przenieśliście się do Noburga, więc jednak się rozstał, jednak chciał coś zmienić.

— Bo poczekaj, ty jesteś jego siostra, ale ja ci powiem. Ja już miałam dość. Powiedziałam: Albo znajdziesz posadę jako inżynier, albo rozwód! On wiedział, że ja nie żartuję. Wzięłabym dzieci, zabrałabym się, wyjechałabym do Polski. Albo i tu dałabym sobie radę!

— E, głupstwa pleciesz!

— Słowo daję, że byłam gotowa! — Śmieje się i myśli: Ale jej powiedziałam! Niech wiedzą! Jeśli coś zrobił, jeśli do czegoś dojdzie, to tylko dzięki mnie. Zaróżowiła się, zerknęła w lustro. Ojciec miał rację, mówił: tobie, Ewko, do twarzy w złości. No i przestraszył się rozwodu, zrobił co chciałam. Jeszcze może coś we mnie jest? Spojrzenie padło na usta. Ewa wzdycha; Ach Boże!

Boga pochyla się nad tapczanem, poprawia kapę. Przeciągnęła strunę — myśli — ona go swoim postępowaniem wykończy. Ładnie by wyglądała sama z trojgiem dzieci. Mówi głośno: Uważaj na Wojtkę, on źle wygląda.

— On tak zawsze! Możesz nie wiadomo co w niego wpakować i chudy. Ja to byle co zjem i wszystko widać. Ale teraz, jak przejdę tę ciążę szczęśliwie, zobaczysz, nie roztyję się. Co się stało? Obraziłaś się? A ty się nigdy nie kłócisz z Andrzejem? Nigdy? Bo ja się okropnie kłócę z Wojtkiem. Słuchaj! Na Dzień Ojca kupiłam mu prezent, zrobiłam dobry obiad, upiekłam tort, dzieci nauczyłam, żeby mu powinszowały. Przychodzi Dzień Matki. Czekam. Ja już wiele nie wymagam, ale niech mi da kwiatek! A on zapomniał! Zapomniał! Wszędzie w sklepach takimi literami, jak wół: *Mother's Day*. Ania wiedziała, Helenka wiedziała, mój Wojtuś zapomniał! To ja się wściekałam! Całe rano ryczałam. Zrobiłam taką awanturę, dom wywróciłam do góry nogami. Wojtek poleciał do kwaciarni. Wtrynili mu jakiś badyl. I do mnie: Masz swój kwiatek na *Mother's Day* i przestań się wściekać. Pytam się: ile żeś zapłacił? Bo jasne, że go naciągnęli. Wiesz, w pośpiechu

to tak zawsze. To jeszcze się obraził. Powiedz, czy ja wiele wymagam? A Andrzej co ci dał?

Boga wzrusza ramionami, szala sympatii przechyla się na stronę Ewy.

— Dał? Andrzej też zapomniał. A chłopcy zerwali kwiaty z ogrodu, najładniejsze nierozwinięte pączki róż, podeptali przy tym grządki. Pewnie, że się kłócimy, bo Andrzej ze wszystkiego jest zadowolony, a ja nie! Myśli: A dlaczego ja nie? Czego ja, u diabła chcę? Realnie, konkretnie, nie w chmurach tylko, marzeniach. — Bo ja — mówi głośno. — Chcę brać jakiś udział w życiu, nie dać się zepchnąć, być sobą. Mnie tak wszystko interesuje, ci ludzie tutaj, jacy oni są? Nie na zewnątrz, ale jacy są naprawdę. Chciałabym coś dla nich zrobić i wiem, że mi to przyniesie satysfakcję, zadowolenie, że ta emigracja do Ameryki będzie wtedy miała jakiś sens. A Andrzej mówi, że ja go nie rozumiem, że on się wyrzekł wszystkiego, haruje, że zrezygnował...

— Czekaj, ja z nim pomówię, on musi zrobić coś innego...

— A ja nie chcę rezygnować! Ja nie chcę rezygnować! Chciałam uniwersytet, latałam, starałam się — nic. To próbuję inaczej. A teraz są pewne możliwości, może dostanę pracę...

— Widzisz — przerywa Ewa — ja to samo. Chcę nawiązać kontakt z inteligencją amerykańską. W Noburgu poznaliśmy szalenie zamożnych Amerykanów. Urządziłam party. Ale to kosztuje, trzeba się dobrze ubrać, mieć więcej pieniędzy. Więc jak Wojtkowi dadzą podwyżkę to wtedy naprawdę będę mogła przyjmować. Co to? — Zamilkła, spoglądała przerażona na Bogę.

Józef Zuławski krzychał potężnym, tubalnym głosem:

— Kto gospodarował na moim biurku? Gdzie moje pióro? Gdzie moje ołówki? Kto ruszał mój zegarek?

— Nie przejmuj się — szepnęła Boga — to pewnie Marek. Idę poszukać zegarka, żeby tylko nie rozkręcił — zmartwiła się — bo będziemy mieli całe święta zmarnowane.

— Kto ruszał aparat filmowy Farlex'u? — wrzeszczał Zuławski. — To jest skandal! To jest brak szacunku! To jest wasze amerykańskie wychowanie!

Boga na czworakach wsunęła się pod tapczan chłopców. Wyciągała po kolei: ołówki, pióro, zegarek, paczkę zapalek.

— Ewol — zawołała — leć prędko! Zdaje mi się, że czuję dym. Są w łazience! Ania jest z nimi! Boże drogi! — pomyślała. — Aparat filmowy Farlexu!

— Kto brał moje zapalki? — denerwował się Żuławski.

— Farlex, aparat filmowy Farlex'u — myślała Boga. — Nie, nie możliwe! Odkrzyknęła: Już idę, już idę!

4.

Boga często wracała myślą do Miss Grayson. Starała się ją sobie przypomnieć: jak wyglądała, jak się zachowywała? Odtwarzała w myśli najdrobniejsze szczegóły. Więc wtedy, gdy powiedziałam, że jestem cudzoziemką, że może nie potrafię, ona uśmiechnęła się. Zaraz, jak się uśmiechnęła? Tak jakoś specjalnie, znacząco i powiedziała: Nie. Czy dodała: Nic podobnego — czy też: Niech pani nawet nie przypuszcza, że to mogłoby stanowić różnicę? Nie, tego nie powiedziała. Może nie mogła? Ale przecież wiele powiedziała uśmiechem i drobnymi kiwnięciami głowy.

Miss Grayson z wolna przekształcała się w pamięci Bogi. Mówiła słowa nie wypowiedziane, zapewniała ją, że studia zostaną uznane i że jeśli nawet nie zda egzaminu, w co oczywiście wątpi, i tak przyjmą ją do pracy. Bardzo często też rozmawiała Boga w myśli z Miss Grayson: po angielsku, albo, gdy jej było wygodniej przechodziła na język polski. Mówiła więc: Proszę pani, ja wiem, że ta praca jest dla mnie. Dopuszczcie mnie, a zobaczycie co potrafię. Miss Grayson zgadzała się i Boga szła do pracy. W tym jednak punkcie urywała się jej fantazja. Owszem, widziała siebie w dużej sali wywołującą numery, ale za każdym razem podchodził do niej chudy człowiek w dziurawym kapeluszu. Mówiła: Jak pan się czuje, panie Woodby? Miss Grayson stała obok i kiwała głową, że bardzo

dobrze. Boga uśmiechała się. Ale zadowolenie z samej siebie ustępowało natychmiast. Co dalej? — myślała. — Co ja mam zrobić z takim panem Woodby? Wtedy Miss Grayson podpowiadała: Rozumieć, gdy nauczy się pani rozumieć, gdy nauczy się pani rozumieć.

Ale ja doskonale rozumiem — odpowiadała. — Tylko dlaczego mam akurat zaczynać od pana Woodby? Człowieka najlepiej można poznać w domu. Szła więc do domu, ale i tu stawała niepewna bojąc się nawet zapukać do drzwi. Co powiem? Ja się zachowam? Nie wiedziała, nie mogła sobie wyobrazić, jak wyglądałoby mieszkanie pana Woodby i mieszkania ludzi, którzy siedzieli w rzędach krzeseł na dużej sali, nie wyobrażała sobie nawet jak wyglądają mieszkania ludzi, którzy mijali ją na ulicy. Nie znam ich, nie wiem o czym mówić, nie mogę sobie wyobrazić wnętrza ich domów, a cóż dopiero tego co się w nich samych odbywa. Jak więc mogę im pomóc? To nic nie szkodzi — pocieszała się — nic nie szkodzi. Nauczę się. W takich momentach ogarniało ją radosne uniesienie i widziała samą siebie stojącą w otwartych drzwiach nieznanego mieszkania. Słyszała głosy: Ach to pani przyszła! Potem działo się coś, co należałoby podciągnąć pod określenie „robienia dobrze”, „pomagania” i Boga opuszczała mieszkanie z uczuciem satysfakcji i rozrzewnienia. Gdy w chwilach trzeźwych zastanawiała się krytycznie nad tymi marzeniami, wiedziała, że to, czego naprawdę chciała było zbliżenie do człowieka kierowane ciekawością i efekt zbliżenia — satysfakcja. Sama treść, sam miękki pomagania, bo przecież miała pomagać, przynosić ulgę, był niezbädany i jakby na drugim planie. Owszem, zdawała sobie sprawę, że pomoc ta była warunkiem satysfakcji i celem zbliżenia, ale pozostawała nieuchwytna.

Nauczę się — powtarzała uparcie — nauczę się. Niech tylko dopuszczą mnie do pracy.

Od chwili powrotu z Nowego Jorku czuła, że w życiu jej coś się zmieniło, że zmiana ta przygotowuje grunt pod cały szereg zmian nowych. Ogłoszenie w gazecie wydawało się początkiem tych zmian. Myślała: to jest przeznaczenie.

— Boję się trochę egzaminu — zwierzała się matce.

Zuławska myślała: Jestem pewna, że zda. Pytała: Co to za egzamin?

— Nie mam pojęcia!

Boga stawiała przed egzaminem, jak przed zamkniętymi drzwiami ludzkich mieszkań.

— Wiem tylko, że trzeba odpowiedzieć na pytania.

— Nie możesz się poduczyć, przygotować? — dardała Żuławska.

— Nie wiem z czego — odpowiadała.

Zapisała się jednak na wieczorny kurs języka angielskiego. Czuła, jak w niej samej, ponad jej świadomością zaczynała się umacniać nadwątłona budowla, jakby coś nowego, z czego dotychczas tylko mgliście zdawała sobie sprawę zaczynało się krystalizować. Postanawiała: Ja jednak nie ustąpię! Myślała: Zawsze chciałam dotrzeć do krwi. Po raz pierwszy nie jasne pojęcie „dotarcia do krwi” zaczęło się łączyć z powracającym refrenem *La science n'a pas de patrie*. Gdzie ja to widziałam? Dlaczego zapamiętałam? Czyżby podświadomość zatrzymywała obrazy i wypowiedzi, które kiedyś, w przyszłości staną się sprawami realnymi? Czyżby wytłumaczeniem były słowa Miss Grayson, że nauka o człowieku nie zna granic i że może poprzez tę naukę prowadzi droga do poznania tego co jest w człowieku najistotniejsze, cenne i niezbędne do życia, jak krew. Sama możliwość tylko takiego skojarzenia sprawiała jej ulgę. Zaczynała też, jak gdyby lepiej rozumieć samą siebie. Kieruje mną ciekawość — myślała — ciekawość była motorem wszystkiego. Jest to pobudka egoistyczna. Ponieważ podświadomość moja nie chce zgodzić się na egoizm, uważam, że chcę poznać ludzi, zbliżyć się do nich, gdyż w ten sposób będę mogła im pomóc. Ciekawość moja więc może być zużyta konstruktywnie i nabrać cech altruistycznych. Ponieważ nie znam innych dróg, tą drogą chcę dotrzeć do istoty nowego kraju. Byłam zbyt słaba, aby oprzeć się rozczarowaniu, że nikt mnie nie witał, ani nie zapraszał do współpracy. Wydaje mi się jednak, że to chwilowe załamanie wzmocniło mnie. Wiem teraz, że nikt mi nie wyjdzie na przeciw, jeśli nie zrobię pierwszych kroków sama. Uczę się chodzić. Nie jest to już sztuka kojarzenia mięśni i podpatrywania innych, ale przyglądanie się samej sobie i nieustanne korygowanie. Nie jest to łatwe, a jednak czuję się o wiele szczęśliwsza. Obejmowała w zakres swojej radości dom, dzieci, Andrzeja. Andrzej mówił: Jak ty się zmieniłaś!

— Boję się, że mogę nie zdać egzaminu.

— Ach ty zawsze! — denerwował się. — Głupszy od ciebie zdają. Właściwie nie wiele obchodził go ten egzamin i perspektywa pracy w niewiadomym.

— Zdasz dobrze, nie zdasz to ci wyrobię pracę u nas w fabryce.

— O nie! Nie!

Wzruszał ramionami, odchodził.

— Jak chcesz.

— Poczekaj — zatrzymywała go — nie odchodzi! Nie obrażaj się! My tu nie mamy przyjaciół, znajomych, przez tę pracę wniosę do domu coś nowego. Życie będzie barwniejsze, ciekawsze. Pomogę ci! Może będziesz mógł studiować, może zaczniesz coś innego. Przecież ja wiem, że się męczysz, że ta praca nie jest dla ciebie, mówisz, że się czujesz samotny. Więc jeśli i ja zakopię się, jeśli zrobię to samo co ty...

— Wstydzisz się...

— Co ty pleciesz! Tylko chciałabym czegoś innego. Zrozum, nas stać na coś innego.

— No przecież rób, jak chcesz, ja cię nie trzymam.

— Ale ja także myślę o tobie.

— Nie, nie myślisz. Myślisz o sobie o swojej własnej satysfakcji. Odchodził, rozżalał się sam przed sobą: A ja to mogę.

Chociaż owszem, bardzo chciał żeby dostała to, czego pragnęła, ale czuł się opuszczony, niezrozumiany. Wzdychał: A ja to mogę, a ja to musiałem pójść do byle jakiej pracy.

5.

Farlex objął już całe wschodnie wybrzeże. Na Monumental runęła lawina reklamy. Na szpaltach *Morning i Evening Star*, poprzez radio, na ekranie lokalnej telewizji: Farlex, Farlex, Farlex! Kupujcie działki na Florydzie! Tylko dziesięć dolarów miesięcznie spłaty, a zabezpieczenie się na starość. Nieustające wakacje! Wakacje przez cały rok: morze, plaża, palmy i słońce! Kupujcie póki czas!

— Ja to się boję huraganów — powiedziała Żuławska. — Huragany z Zatoki Meksykańskiej, z Zachodnich Indii walą na Florydę.

— Kupić można, ale nie koniecznie trzeba się osiedlać — zastanawiał się Żuławski. Ilekroć spojrzał na reklamę Farlexu, uśmiechał się nieznacznie sam do siebie. Czy to człowiek przypuszczał, że dolary tak same wejdą w rękę? Nie same, nie same — poprawiał się — moja businessowska żyłka! Wywachałem!

Jim Morrison zniknął, podobno pojechał na Florydę. Żuławski był w kontakcie z Hartmanem. Od niego otrzymywał dyrektywy: wynajęcie lokalu, umieszczenie ogłoszeń w prasie w sprawie werbowania agentów, starania o licencje i inne formalności, które umożliwiłyby otwarcie oddziału. Jedno tylko niepokoiło Żuławskiego: nie otrzymał jeszcze swego uposażenia. To prawda, że zwrócono mu kosztą podróży do Nowego Jorku, że opłacono pobyt w hotelu, załatwiono przyjęcie jego na zastępcę kierownika oddziału, zupełnie tak, jak sobie tego życzył. Ale co z pensją? Tracił czas. Wynajął lokal, rozpoczął remont, załatwiał sprawy z urzędami: z Kompanią Telefoniczną, Gazową i Elektryczną, werbował agentów. Miał już trzech z grupy byłych żołnierzy. Już ich instruował, munsztrował: Kurowskiego, Mękałę i Piekarczyka. Odzyskał u nich respekt wojskowy, stawali na baczność, i nawet Mękała mówił teraz: Rozkaz, panie pułkowniku! A Żuławski, któremu od tych reklam, telewizji, ogłoszeń, od tej reprezentacji, którą mu powierzono zakręciło się w głowie, jak po kilku kieliszkach starego koniaku, strofował Mękałę szorstko, ale po ojcowsku: — Tej koszuli w kratę, to Mękała nie bierzcie! Tego krawatu z kobietą też! Jak będziecie reprezentować Farlex to trzeba elegancko, skromnie, dystyngowanie. Bo i to zawsze, co tu dużo mówić, Polskę też reprezentujecie.

— Zrobi się — obiecywał Mękała — ta koszula też na mój gust nie podchodzi — kłamał. Bo właśnie, że mu się podobała. Taka sobie żywa, wesola.

Levy, Ulman i Roseman telefonowali codziennie i ze swej strony protegowali agentów. Żuławski zaniedbał się w pracy, w biurze Wojtkiewiczów przesiadywał niewiele a jeśli był, to załatwiał głównie sprawy Farlexu. Jan Wojtkiewicz obserwował. Zdecydował się już był kupić

kilka działek na Florydzie, ale uważał, że lepiej zrobi zostając samemu agentem. Wtedy — planował — nie będzie potrzebował płacić prowizji. Żuławski zgodził się na to i zaangażował obu Wojtkiewiczów, zaangażował również Andrzeja, pisał w sprawie sprzedaży działek do Gertza i do Wojtka, a nawet i do Reginy. Z dnia na dzień coraz więcej amatorów na posady agencje zgłaszało się do Żuławskiego. Były to przeważnie emigranckie rozbitki harujące ciężko w fabrykach, rzeźniach, przy piecach wypalających cegły. Poznajdowali się nagle ludzie z wykształceniem, zatrudnieni przy budowach jako rzemieślnicy, przy kopaniu grobów na polskim cmentarzu parafialnym, albo odrabiający uciążliwą, nudną dniówkę przy maszynach. Wszyscy chcieli sprzedawać działki Farlexu na Florydzie. Projektowano stworzenie tam polskiej kolonii.

— Jeszcze nic formalnie nie załatwione — bronił się Żuławski, ale wciągał kandydatów na listę i werbował sobie w ten sposób rodzaj pułku o którego żołnierzy zaczynał się już troszczyć, myśleć o ich wynagrodzeniu, zabezpieczeniu praw. Jednym słowem czuł się jako dowódca moralnie odpowiedzialny.

Na Nowy Rok Hartman zatelefonował z Nowego Jorku składając Żuławskiemu życzenia i obiecał, że w ciągu najbliższych dwóch tygodni będzie, a wtedy dokończy formalności. Nigdy jeszcze od czasu przyjazdu do Ameryki, Żuławski nie czuł się tak szczęśliwy. Może to i dobrze, że przyjechałem — myślał. — Urządzę się tutaj, dorobię i co mnie reszta obchodzi? Pomogę grupie emigranckiej, dojdą do czegoś, pocują się też lepiej. Jacy oni jednak sprytni ci Amerykanie! Jak wyczuli mój zmysł handlowy! Nie kupują kota w worku. Już ja im zorganizuję oddział. Był pełen podziwu sam dla siebie. Jaki to on był przezorny! Uczył się, zdał egzamin, uzyskał licencję broker'a. Bez licencji ho, ho! W ogóle nie chcieliby z nim mówić! Musi przecież zarejestrować biuro na swoje nazwisko. Wywączali własny interes i dlatego tak mnie łapią rękami i nogami. Nie przez sentymenty! Tu się na żadne ludzkie uczucia nie można oglądać! Człowiek mógłby zdychać na ulicy! *Business, tylko business!*

VI.

Przy bocznej, nierównej drodze po której samochód by nie poszedł, wysiedli. Pole z bądrylami kukurydzy sterzącymi poprzez śnieg, niebo większe niż w mieście, ogromne, nasłonecznione. Wiatr chłodny i surowy dopadł ich zaraz i stali trzęsąc się od chłodu, trochę pijani innością powietrza, onieśmieleni. Tylko Kapitan rzucił się na śnieg, oszalały z radości, biegł przed nimi, nawoływał, wydostał z okalających drogę zarośli gałąź i ochrypłym szczekaniem błagał, aby mu ją podrzucić. Żuławski rozejrzał się krytycznie.

— Więc to tu? A gdzie jezioro? Pisali, że ma być jezioro.

Szosa, pole, na którym śnieg stracił nagle barwę czystej białości, niebo i wiatr.

— Przecież to jeszcze nie tu! — zawołała Helena i pobiegła z Markiem i Pawłem naprzód. Wiatr tamował jej oddech, biegła podniecona, rozentuzjasmowana. To był jej pomysł! Jej i Andrzeja. Marek pierwszy zobaczył tablicę na drzewie. Ruszyli wąskim przejściem, utworzonym z jednej strony przez rozgałęzione drzewa, a z drugiej przez wzniesienie pola i krzaki. Zaraz za owym przejściem przystanęli milcząc. I nawet chłopcy ucichli, tak, jak cichli zwykle po przestąpieniu progu kościoła z uszanowania i lęku.

Przed nimi leżała leśna polana. Nad nią stało niebo tak przejrzyste, że widać było na widnokręgu wyraźne szczyty gór Pensylwanii. Wokoło rozsiadł się las. Choin-

ki, przycupnięte pod czapami śniegu, tanecznym, nierównym półkolem okrażały polanę. Za nimi teren wznosił się i drzewa niby wspięte na palcach wyciągały długie ramiona oszronionych gałęzi. Pomiędzy niebem, a śniegiem leżała cisza, przez nikogo jeszcze nie podjęta i mówili półgłosem, jakby w obawie, że obraz rozwieje się i będzie znów szosa i płaskość pustego pola.

Schodzili drogą w dół, popod łukiem gałęzi wyrosłego krzywo buku, brnąc w śniegu gęstym i miękkim, jak wata. Na prawo rzadki las papierowych drzew zbiegał w dolinę. Zeszli z drogi i przedzierali się przez kolczaste podszycie, nagle rozgrzani, młodszy i oczarowani, aż do jeziora zarośniętego na brzegach tatarakiem, wdzięcznego niby zastygła kropla wody, nieruchomego pod powłoką lodu. Szli płosząc skryte w przydrożnych zaroślach zające, kuropatwy podrywały się spośród łądyg ośnieżonej kukurydzy, mignęło kolorowe skrzydło bażanta, a bażancice przebiegały dróżkę drobnym, przerażonym truchcikiem.

Znów minęli pole rozległe, nagie ze sterczącymi nisko pożółkłymi badyłami zeszłorocznej kukurydzy, wykarczowane wśród lasu, który napierał ze wszystkich stron tylko na pozór uśpiony, a przecież pożądlivy, oczekujący niecierpliwie na pierwsze wiosenne drgnienie ziemi, aby rzucić się i zagarnąć, odzyskać tę odebraną przez człowieka przestrzeń.

— Pole trzeba będzie zaraz zaorać traktorem — powiedział Andrzej — dać nawóz, a w marcu posiejemy kukurydzę.

— To żeś już kupił! — Żuławski roześmiał się ironicznie. — Bo ja jeszcze nie.

— Ale kupisz! — krzyknęła Helena. — Kupujemy! — powtórzyła uparcie. Myślała: Bo kiedy, jeśli nie teraz? Łada dzień Józef dostanie pensję z Farlexu. Pieniądze z lanczenety nigdzie nie ulokowane. Boga zacznie pracować, Andrzej dostanie podwyżkę. Ja tu sama wszystko urządzę, nasadzę, kwiatów warzyw, truskawek, malin. Ziemia tłusta, dobra, tłusta ziemia. Po raz pierwszy poczuła się swojsko: nie dusiła jej ciasnota ulic, nie ograniczały ściany kuchni. Przestrzeń, las! Wraciała tą przestrzenią, lasem, polem do swego dzieciństwa, młodości. Tam buraki cukrowe, tu kukurydziane pola, tam krzaczki jagód na polanach, pod lasem, tu drzewa jagodowe. Wszystko tu było

ogromne, rozleglejsze, bujniejsze, nieokiełznane, jak dziki koń, którego zwinny cowboy doścignął w kłusie lassem.

— Ameryka... — rozrzewniła się. — Józiu, kupimy, kupimy! Tutaj tak można odetchnąć! Ja zdecydowałam, kupujemy!

— Moja kochana, ja jeszcze też mam coś do powiedzenia...

— Co ty tam...

— Biada temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi — mruknął Żuławski.

— Et, plecie co mu ślina na język przyniesie. Zrobisz, tak, jak ja mówię!

Dom był daleko za jeziorem w kotlinie, nad strumykiem, chroniony od wiatru wysoką ścianą porośłą lasem. Były i inne zabudowania: kamienne fundamenty, w których szczeliny wczepiły się korzenie drzew obejmując sękatymi paluchami kruszące się kamienie: murowana ściana — pewnie resztki spalonej stodoły. Obok rozwalająca się buda, chlewik, albo kurnik. Drewniane płotki, pordzewiałe druty owinięte zeszlórocznymi bluszczami. Dużo dalej mała, letnia, zaniedbana kabina. Znów jakaś szopa o dachu pochylonym ku ziemi porośłym mchem i krzakami. Wyglądało to, jakby ktoś przenosił się z miejsca na miejsce, budował stale coś nowego, zniechęcony czy nie zadowolony porzucał, nie miał czasu na rozbiórkę, uporządkowanie poprzednich budynków, a wreszcie zrezygnowany, a może i zwyciężony, zostawił wszystko — odszedł. Było to, jak ślady jakiejś walki nierównej, pobojuwisko żałosne, domagające się odwetu. Cisza tajemnicza i niepokojąca, cisza miejsc opuszczonych leżała na śniegu. Zbliżyli się do domu. Drzwi były otwarte, okna zarosłe pajęczynami, naokoło nieład: porozrzucane puszki od konserw, dziurawe kubły, piecyk gazowy, butelki. Stąpali po porozrzucanych na zbutwiałej podłodze albumach rodzinnych, rozdartych książkach, starych, pożółkłych i spuchniętych od wilgoci gazetach. Chłopcy wynaleźli w szufladach kredensu zabawki dziecinne. Ktoś wyprowadzał się stąd w pośpiechu, z zamiarem nie powracania już nigdy. Do kogo należały skrzypce w czarnym futerale? Kto wspierał się na kulach drewnianych niepotrzebnych teraz w kącie, pod oknem u którego framugi nieznany ptak uwił małe, mięciutkie gniazdo? Albo zielnik? Kto zbierał liście dziwaczne, nigdy

nie oglądane? Czyżby te wszystkie drzewa, krzewy, zioła rodziły się tu, na tej zaniedbanej farmie?

— Jak to sobie wyobrażasz Andrzej? — spytał Żuławski. — Konkretność! Oto na czym się wspierał. Zachwycajcie się waszą przyrodą, niebem, przestrzenią. Fakty realne fakty! Bez nich ta cała przyroda zdusi was, oplącze, tak jak dzikie, nienasycone powoje wysysające soki anemicznych cyprysów po drugiej stronie strumyka.

— Spójrz! — zawołał Andrzej. — Zobacz! Cóż to za ogromny dąb! Ja wam mówię, to drzewo ma więcej niż trzysta lat. Takie jedno drzewo to majątek!

— Bardzo możliwe — stwierdził apatycznie Żuławski. Patrzył z rozpaczą na swój kapelusz: był nastroszony kolczastymi, czepliwymi nasionami i igłami choinek. — Następnym razem wezmę beret. O ile następny raz w ogóle będzie. — Powiedział: Ale konkretnie, mój drogi, jak ty to sobie wyobrażasz? Jeździć tu dwadzieścia mil, co tydzień?

— To nic nie jest! Jazda to głupstwo! Mówię ci Józiu, to jest cudo, to jest bajka! To jest uroczy zakątek! To jest okazja! Kupujmy, bo nam sprzed nosa sprzną. Tylko chodzi o pożyczkę.

— Ty mi nie opowiadaj o cudach, o zakątkach, tylko rozumuj po kupiecku. Co z tego można wyciągnąć? Trzy pola kukurydzy i nieużytki!

— Boga! — zawołał Andrzej. — Spójrz na ten dąb! Zrobimy tu pogańskie, starosłowiańskie uroczysko. Święty dąb, święty dąb! Rozpalimy ognisko na święto Kupały. Porozumiem się z Kulą, studenci tu zjadą. Myślał: Założę związek, koło? Nie! Klub! Klub Świętego Dębu! Niech się nauczą prahistorii kraju z którego pochodzą...

— Dla ciebie — irytował się Żuławski — cudo, bajka, święte dęby, a ja zdaję sobie realnie sprawę, że to będzie harówka. Nie miała baba kłopotu...

— Och nie przesadzaj! — zawołała Boga. — Każdy Amerykanin wyjeżdża na *week-end*, chłopcom potrzebne są wakacje. Tu jest ślicznie, dziko, inaczej, jak gdybyśmy po raz drugi przyjeżdżali do Ameryki.

Pończochy miała już podarte, pozahaczane o drobne wystające kolce, we włosach zeszłoroczne, zeschnięte liście. Jak tu ślicznie, jak ślicznie — myślała. — Wystarczy nawet wiedzieć, że tak jest, wystarczy zobaczyć, aby na no-

wo się uśmiechnąć. Niebo przecina ciemna koronka gałęzi, a w powietrzu, w zapachu ziemi, w nagłych, niecierpliwych uderzeniach wiatru: oczekiwanie. Przecucie wiosny.

— Uznali mi studia — myśli Boga — dopuścili do egzaminu. Tylko przejść egzamin, tylko przejść egzamin...

— Tuż przy domu posadzę pnącą różę — myśli Żuławski.

— A jak sobie wyobrażasz spłacanie pożyczki? — Żuławski ogląda krytycznie gruby, o popękanej korze pień dębu.

— Sama farma zawsze coś odrzuci.

— Na przykład co?

— Zasieję kukurydzę, trawę sprzedam na siano, kupię opasy, założę farmę kurzą...

— Słuchaj Andrzej, przecież ty nie masz zielonego pojęcia o rolnictwie. Z ciebie taki rolnik, jak ze mnie ksiądz.

— A o paternach miałem? I co? Czy to filozofia? To leży w instynkcie człowieka, we krwi...

— Cywilizacja — wykrzykuje Boga — zabija najszlachetniejsze ludzkie instynkty, przywiązanie do ziemi...

— Rozmawiajcie poważnie, jak wyobrażacie sobie finansowanie?

Andrzej zapala papierosa.

— No to czekaj, zaraz...

— Tatusiu — przestrzega Paweł. — Ostrożnie! *Prevent forest fire!*

— A gdzie wyście się podziewali? — pyta Andrzej.

— Tam! — wołają. — I tam! Byli już na stryszku domu, w starej szopie, w ruinach, po drugiej stronie strumyka i nawet w letniej kabinie. Zaróżowieni, zdyszani.

— Finansowanie nie będzie takie ciężkie — planuje Andrzej. — Weźmiemy to do spółki. Boga w ciągu najbliższych tygodni zacznie pracę i to, co zarobi można przeznaczyć na farmę. Ty nie potrzebujesz się martwić mając 18 tysięcy z Farlexu. Na zadatek zużyjecie pieniądze z lanczenety i tak tylko się zdevaluują, a ja wezmę pożyczkę w banku.

Zastanów się, Józiu, przyjeżdżasz tu: cisza. Jesteś panem u siebie, powietrze, przyroda... Odbudujemy ten dom.

— Ja to — powiedział Żuławski — myślałbym o skomercjalizowaniu. Wybudować jakiś motel, Farlex, rozumiesz, ma różne możliwości.

— No to bierzemy! — ucieszyła się Żuławska. — Wiedzicie, ja wam mówiłam, że Józio się zgodzi. Chłopcy, słyszycie, to będzie nasza farma! Nasza farma!

Ale chłopcy nie słyszeli. Stali pochyleni nad ujadającym głośno Kapitanem. Pies zaparł się przednimi łapami i szczekał wesoło, nawołując, nieustępliwie.

— Co to? — zawołała Boga. — Co wy tam macie?

Nie odpowiadali, a może nie słyszeli?

Pobiegła w ich stronę, w kierunku ruin starej stodoły. Przebiegła do połowy łąkę, zaczęła wdrapywać się pod górę, przystanąła. Przyłożyła obie ręce do ust i krzyknęła głośno, przeciągle:

— Ma-rek!

Z daleka, gdzieś spoza lasu odpowiedziało echo:

— ...arek!

Zawołała jeszcze głośniejsze, z całej siły i przysłuchiwała się, jak odbity głos jej wrócił.

— ...aweł!

— Echo — cieszyła się — echo!

Biegła dalej rozweselona przeskakując kamienie i kępy zeschłych ostów.

— Tu jest żółw, mamusiu, tu jest żółw!

Paweł klęczał dotykając ręką brunatnej skorupy.

— Widziałeś żółwia! — szeptał zachwycony, przejęty, zdumiony. — Widziałeś, żółwia, widziałeś?

Marek próbował dotknąć żółwia kijem.

— Zostaw! — powtrzymywał go Paweł — to go boli!

— Pawełku — szepnęła Boga — wiesz, możesz napiść wierszyk o żółwiu...

— O żółwiu?

— Tak, że raz Kapitan znalazł żółwia — podpowiadała.

Marek wyduł wargi pogardliwie.

— Ja też umiem.

— Pawełku — nie zwracała uwagi na Marka — ułóż wierszyk, ja mam *bubble gum*...

— Daj mnie! — wyciągnął rękę Marek. — Daj mnie! — sięgnął ręką do kieszeni jej płaszcza.

— Zostaw! — szamotała się. — Albo — zażartowała — jak powiesz mi wiersz...

— Powiem!

— No to, proszę!

— Raz pies w trawie znalazł żółwia...

Boga spojrzała ciekawie na Marka.

— No i co dalej?

— A dasz mi *bubble gum*?

— No i co dalej? Dam.

— Raz pies w trawie znalazł żółwia.

Kapitan ten pies się zwał...

A jak znalazł tego żółwia... Dawaj *bubble gum*!

— To nie jest żaden wiersz! Nie ma rymu!

Marek wziął się pod boki, pyzata zaróżowiona buzia, łobuzersko błyszczące oczy, Paweł podniósł głowę przypatrywał mu się.

— Ty nie umiesz wierszy, ty nie potrafisz...

— Nie!? Czeka! Zaraz! Raz pies w trawie znalazł żółwia

Kapitan ten pies się zwał

A jak znalazł tego żółwia...

To w morde jemu dał! — Dawaj *bubble gum*! Daj, daj teraz!

2.

Szła na egzamin bardzo przejęta, starając się stłumić niepokój. Sala przekreślona rzędami wysokich stołów. Trzeba było siedzieć na okrągłym taburecie o cienkich, drewnianych nogach. Była tak zdenerwowana, że nie mogła wdrapać się na taburet. No już siedzę — odetchnęła, ale natychmiast upadła jej torebka i musiała zeskakiwać znów, na nowo się wdrapywać i wtedy spostrzegła się, że zapomniała ołówka. Zapomniała, albo zgubiła. I co teraz? W sali było około pięćdziesięciu osób: mężczyźni i kobiety, czarni i biali, przeważnie młodzi. Większość z nich znała się widocznie z sobą: porozumiewali się pół-szeptem. Czuła się obco, bardzo osamotniona i ten pech z ołówkiem! Przechyliła się ku swojej najbliższej sąsiadce.

— *Excuse me* — szepnęła. — Czy nie ma pani ołówka?

Odwrociła się. Miała twarz ostrą, jakby naszkicowaną kilkoma pociągnięciami węgla. Uśmiechnęła się, twarz poliniowała się podłużnymi fałdami, zęby wystawały nieco poza nieumalowane wargi. Włosy ciemne, ścięte na grzywkę.

— Ołówek? — powtórzyła. — Oni tu nam zaraz dadzą ołówki. Nie ma co przynosić ze sobą i tak trzeba używać tylko ich ołówka.

— To dobrze.

— Pani, który raz? Ja pani nie pamiętam z Agencji. W którym pani jest dziale?

— Ja jeszcze nie...

— Ja już drugi raz, ale niektórzy...

— Proszę o ciszę! — zawołano.

Wysoka, chuda elegancko ubrana Murzynka stała na wprost tablicy.

— Rozpoczynamy egzamin. Trzy i pół godziny czasu. Zaraz rozdamy papiery. Każdy, jak państwo wiedzą, pracuje indywidualnie. Proszę odłożyć wszystkie książki i papiery.

Przed Bogą położono plik papieru. Była to odbita na powielaczu gruba broszura. Ktoś inny rozdawał ołówki.

— Na mój znak — kontynuowała Murzynka przy tablicy — będą państwo mogli zacząć, proszę jeszcze nie otwierać broszury. Za dwie minuty, za jedną minutę, zaczynamy! Powtarzam, trzy i pół godziny! Co godzina będziemy informowali o czasie. *Good luck!*

Proszę nie używać nazwiska tylko numer wydrukowany w prawym rogu kartki dołączonej do papierów egzaminacyjnych.

Otworzyła broszurę. Była formatu papieru maszynowego. Samo tylko przeczytanie zajęłoby jej przeszło godzinę czasu. Spokojnie — postanowiła. — Będę czytała uważnie. Na pierwszej stronie instrukcja: „Odpowiedzi należy zaznaczać na dołączonej kartce — *answer sheet* — przez wypełnienie ołówkiem wolnej przestrzeni pod literą odpowiadającą wybranej przez siebie odpowiedzi. Np.

Nowy Jork jest

A: wsią

B: stolicą

C: miastem

D: Jednym z największych miast w Stanach Zjednoczonych.

E: Największym miastem w Stanach Zjednoczonych.

Z podanych odpowiedzi, która jest najbardziej charakterystyczna dla Nowego Jorku? Prawdopodobnie będzie odpowiedź E. Zaznacz więc na dołączonej kartce wolną przestrzeń, w rubryce: Pytanie, odpowiedź E.

Jakie to łatwe — ucieszyła się. — Od razu zrozumiałam. Odwróciła stronę i zabrała się do czytania pierwszego pytania egzaminacyjnego. Było to pytanie dotyczące słownictwa:

„Zachowanie się pracownika uznane zostało przez jego zwierzchnika za *picaynnish*. Słowo *picaynnish* może oznaczać: A...

Nie zrozumiała. Nie wiedziała. Nie tylko, że nie miała pojęcia co oznacza dziwaczne słowo *picaynnish*, ale co oznaczają słowa zawarte w odpowiedziach A. B. C. D i E. Spojrzała na zegarek: Dziesięć minut. Zakreślę E i dalej! Następne pytania dotyczyły również słownictwa. Rozejrzała się po sali, każdy pochylony nad swoim papierem, westchnęła.

The Division of Vocational Rehabilitation of the State Department of Education działa jako agent rządu federalnego w sprawach... Ręce jej drżały, czuła skurcz w gardle. Rzucić to wszystko, odejść! Przecież ja nie rozumiem, nic nie rozumiem. Dlaczego nie powiedzieli mi, że powinnam coś przeczytać, dlaczego nie poinformowali z czego należy się przygotować?

„Wczesne ustawodawstwo dotyczące nieślubnych dzieci w różnych stanach było pierwotnie oparte na obawie, że...”

„Weteran-inwalida otrzymujący zasiłek opieki społecznej informuje cię, że jego matka...”.

— Mają państwo jeszcze dwie i pół godziny...

Sto czterdzieści pięć pytań! Jeśli nie zdam egzaminu nie dopuszczą mnie do pracy! A farma? Farma? Zaraz, będę rozumowała logicznie. Odpowiem, tak, jak ja bym postąpiła w podobnym wypadku, chociażby na część pytań muszę odpowiedzieć dobrze, a reszta? Resztę będę zgadywała na chybił trafił. Zobaczę, może akurat będę miała szczęście.

Po trzech godzinach pisania sąsiadka Bogi wstała i oddała swój materiał. Jej miejsce pozostało puste. Co raz więcej miejsc opróżniało się. Boga męczyła się z siedemdziesiątym pytaniem.

„Jeśli osobnik stara się ukryć swe niedociągnięcia w pewnych czynnościach przez okazywanie zbytnej gorliwości w innych, czyni to najprawdopodobniej dlatego po-nieważ...”.

Mam jeszcze tylko pół godziny. Mam czas na przero-bienie porządne najwyżej dziesięciu pytań. A może zdam? A może jeśli nie zdam, zaangażują mnie bez egzaminu i dopiero potem...

„Ekspert w sprawach przestępczości młodzieżowej stwierdza: to nie imigrant jest nikczemny — to dzielnica, w której żyje — *slum*. — Czy w takim razie:

A: Nie powinno się popierać imigracji, gdyż istnieje duża możliwość że dzieci rodziców imigrantów, będą zmu-szone żyć w dzielnicach *slum'u*?”

Oni mi nie wierzą, nawet Miss Grayson, nikt! Jestem imigrantem. Są w stosunku do mnie uprzedzenia nawar-stwione od lat. I chociaż chcą mi wierzyć, przesąd jest silniejszy. Inni zostali przyjęci bez egzaminu, inni mogli się przygotować, wiedzieli z czego. Ja nie! Ale nie wolno mi się oburzać, gdyż we mnie też tkwią przesady. Sądzę że najlepsza będzie odpowiedź E:

„Dzieci imigrantów, które wykazują skłonności prze-stępcze, mieszkają najczęściej w dzielnicach podatnych do tworzenia się gangów młodzieżowych”.

A może zdam? A może jednak zdam?

Oddała ostatnia swojej papiery. Już dawno minęły trzy i pół godziny. Wracała do domu z bólem głowy, wy-czerpana.

— I jak tam? — spytała Żuławska.

— Nie wiem. Egzamin był trudny.

— Ona tak zawsze mówi — drwił Andrzej — a po-tem zdaje. Kiedy wynik? Po wyniku już ci będą mogli przyjąć. A pierwszą tygodniówkę wypłacą ci, czekaj... za-raz... — obliczał w pamięci.

— Nie obliczaj! — skrzywiła się Żuławska.

— Dlaczego nie? W przyszłym miesiącu pierwsza rata za farmę. A co z Farlexem? Czy Józiowi jeszcze nie nie wypłacili?

— A co z Farlexem? — pomyślała Żuławska.
— Już połowa lutego, a w styczniu mieli wypłacić pierwsze pieniądze.

— Co z Farlexem? — myślał Żuławski.

Wynajął już lokal w dobrym punkcie, przy ulicy Karola. Zaangażował robotników do przeprowadzenia remontu, niecierpliwili się przyszli agenci, a Hartman nie przyjeżdżał. Owszem, telefonował od czasu do czasu. Wydawał dyspozycje i zapewniał, że przyjedzie. A ponieważ pisma w Monumental City nie ustawały w reklamach działek na Florydzie zapowiadając otwarcie lokalnego oddziału, nie przejmował się wiele tylko szykował do energicznej i decydującej rozmowy z Hartmanem.

W razie czego mam ich w ręku — myślał. — Podpisali przecież ze mną kontrakt na objęcie stanowiska zastępcy menadżera na 3 miesiące, a pełnego menadżera po upływie 3-ch miesięcy.

3.

Tego dnia, przed południem, Hartman zatelefonował do biura Wojtkiewiczów.

— Colonel — powiedział — czekam na pana w hotelu Plaza. Omówimy otwarcie oddziału.

Do hotelu wchodziło się przez ruchome, szklane drzwi. Po chłodzie ulic — kontrast nagrzanego, suchego powietrza, Hartman czekał w hallu. Pół-wypalone cygaro sterczało ukośnie wydymając lewy policzek.

— *How are you?* — powiedział nie wyjmując z ust cygara. — Chodźmy na *lunch*!

Głos był zniekształcony cygarem i przytłumiony zakatarzeniem.

— Ta różnica temperatur — jęknął.

Usiedli przy stoliku w restauracji hotelowej. Hartman sięgnął po płócienną serwetkę leżącą na stole i wytarł w nią głośno nos, odrzucił.

— No i co? — przechylił się ku Żuławskiemu — jak tam?

— Jest pan przeziębiony, panie Hartman.

- Nic nie szkodzi. Co pan zje?
- Jestem po *lunch'u* — powiedział Żuławski. — Kawę!
- Koniak? Likier?
- Panie Hartman chciałbym z panem omówić prawa agentów.
- Jakie prawa? Wszystko omówione.
- Niezupełnie. Nie mamy żadnej ustawy broniącej praw agenta. Co się dzieje jeśli agent sprzeda działkę?
- Wie pan przecież. Wypłacamy mu tylko dziesięć procent jego komisji i resztę rozdzielamy na miesięczne spłaty.
- Dobrze, ale jeśli po czterech miesiącach firma przestanie istnieć?
- Po co pan się martwi, *colonel*, dlaczego miałyby przestać istnieć?
- Założmy w takim razie, że firma istnieje, ale agent przestaje pracować.
- To niech idzie do diabła!
- Jakto, więc nie gwarantujemy mu, że jego należność zostaje wypłacona nawet jeśli przestanie pracować ze względów od niego niezależnych, z powodu choroby?
- Po co pan się martwi o przyszłość. W razie czego należność agenta przejdzie do pana kieszeni.
- Ja jednak chciałbym w jakiś sposób zagwarantować im dochód.
- Hartman wyjął cygaro z ust.
- *Colonel*, niech pan sobie zapamięta: żadnych gwarancji. Chcą? Ich ryzyko.
- Żuławski nie ustępował.
- Nie mogę ludzi wprowadzać w błąd.
- To się załatwi, to się załatwi... Napije się pan czegoś? A co z rejestracją?
- Panie Hartman, póki nie zostanę pełnym menadżerem, nie mogę rejestrować firmy na moje nazwisko. Pan dobrze zdaje sobie sprawę, że wtedy biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Zresztą to kwestia tylko trzech miesięcy, nawet już teraz dwóch.
- O *key*!
- Sam pan rozumie.
- O *key*. Dziś wieczór zapraszam pana do dobrej restauracji na obiad. Najlepsza w mieście.

Zuławski opuścił hotel w złym humorze. Jaki to zachłanny — myślał o Hartmanie. — Nie chce zagwarantować praw agentom. Zobaczymy! Niech-no ja tylko chwycę to w swoje ręce. Postawił kołnierz płaszcz a ruszył w kierunku wysokich budynków, w których mieściły się urzędy stanowe.

— A co z moją pensją? Nic nie szkodzi, dostanę go dziś wieczór.

Niech-no tylko spróbuje mi nie wypłacić!

Był jednak nachmurzony, nurtowała go obawa, że coś nie jest tak, jak być powinno. Do tego ta pogoda: wietrzno, wilgoć przenikliwsza niż mróz. Cały świat wydał mu się antypatyczny, świat, a więc Ameryka i Hartman.

Nie będę przecież z nim pracował, będę niezależny, tak przecież ustaliliśmy w kontrakcie. Psiakość, nie przysłali mi kopii kontraktu. Ależ to ślimaki, bałaganiarze! Trzeba było zażądać od razu kopii kontraktu! Ale Zuławski nie zwykł był sam siebie oskarżać. Nie zażądałem, bo miałem zaufanie. Ale teraz powiem mu wprost: panie Hartman, kopia kontraktu! Nic się nie stało, nic się przecież nie stało — uspakajał się.

Budynki stanowe była to grupa nowoczesnych, potężnych budowli wzniesiona na miejscu starych, cuchnących domków zamieszkałych do niedawna przez kolorową biedotę, a zniwelowanych niecały rok temu w zakresie wielkiego planu rozbudowy miasta.

Zuławski wjechał windą na ósme piętro. Ruszył korytarzem, skręcił na prawo i zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami z napisem:

Sekretarz Komisji Stanowej Real Estate. Wszedł.

— *May I help you?* — podniósł się znad biurka urzędnik.

— Chciałbym zobaczyć się z panem Sternem.

— Ach to pan, Mr. Ziuawski? *How are you? How is business?*

— *Fine, fine!* — Zuławski roześmiał się tubalnie.

— Pan Stern zaraz będzie. Co słyhać? Był tu niedawno agent, którego przygotował pan do egzaminu.

— Wiem. Podobno zdał?

— Wszyscy pana uczniowie zdają.

— He, he, he! — roześmiał się Zuławski. Bardzo lubił, gdy go chwalono. Stern wbiegł truchcikiem do po-

koju. Był szczupły, nieduży i pomimo podeszłego wieku, ruchliwy.

— *How are you?* — wyciągnął rękę do Żuławskiego.
— Czym mogę służyć?

— Przyszedłem w pewnej sprawie...

— Chodźmy do mego gabinetu.

Żuławski zdjął płaszcz, złożył go w kostkę, a na szczycie umieścił kapelusz, usiadł wygodnie w miękkim, skórzanym fotelu.

— Panie Stern — powiedział — przyszedłem poradzić się pana jako sekretarza Komisji Stanowej...

— Słucham! Zapali pan Mr. Ziutki? Czy dobrze wymawiam pana nazwisko?

— Mniej więcej, wiem, że to nie takie łatwe.

— O co chodzi Mr. Ziutki?

— Proponują mi kierownictwo Farlexu. Co pan o tym sądzi?

— Mówi pan, Farlex?

— Farlex, tak. A dlaczego? — zaniepokoił się Żuławski.

— I co oni chcą od pana?

— Oferują mi posadę menadżera. — Żuławski spojrział na biurko: szerokie, masywne, nowe. Biurko to ma solidne — pomyślał — a ja u Wojtkiewiczów to nawet biurka uczciwego nie mam.

— Farlex chce pana licencję? Tak?

— Nie rozumiem.

— Farlex nie ma *broker'a*, aby zarejestrować firmę, więc chcą pana nazwisko, pana licencję?

Stern wstał, przechylił się poprzez biurko ku Żuławskiemu.

— Mr. Ziutki, *keep your good name!* Ja panu radzę! Nazwisko jest ważne. Niech pan nie zepsuje sobie swego dobrego nazwiska.

— Pan myśli, Mr. Stern, że coś nie jest w porządku? Stern uśmiechnął się, usiadł.

— Mr. Ziutki, tę sprawę czuć! *It stinks!* Rozumie pan? Ciemna, niewyraźna sprawa!

Chce mnie zniechęcić — myślał Żuławski. Powiedział: A to ciekawe!

— Chce pan mojej rady?

— Tak, bardzo proszę.

— Nie pchać się do nich! Niech pan zarabia jedną czwartą tego co miałby pan u nich. Nie pchać się!

— Dziękuję panu. Ja też miałem pewne zastrzeżenia.

— *You welcome*. Niech pan się trzyma od nich z daleka.

Zuławski wyszedł na ulicę. Wiatr nawiewał kurz z sąsiednich, na wpół zburzonych budowli. Na pobliskim placu miał stanąć gmach Towarzystwa Asekuracyjnego, Monumental przekształcało się w zawrotnym tempie.

— I co teraz? — martwił się. Ogarnęło go zniechęcenie. Tyle pracy, kalkulacji, nadziei. Stał na przystanku autobusowym. *Keep your good name!* Dobrze mu tak mówić! Siedzi sobie za biurkiem i co miesiąc inkasuje pensję. Gotowy czek do kieszeni! I co mam z tego, że byłem całe życie uczciwy? Honor, nazwisko, uczciwość, zasady i zdychaj w rynsztoku, albo pod mostem. Rady mi daje! Mądry! A jak bym go spytał o posadę, to: *sorry!* Pomimo wszystko Hartman mi się dziś nie podobał! Ten jego nos! No nos to mniejsza, ale ta sprawa z agentami! Jak to można w ten sposób wykorzystywać ludzi!

Nadjechał autobus. Było tłoczno, młodzież ze szkół zajmowała wszystkie siedzenia. Zuławski przyglądał im się niechętnie. Starsze kobiety stoją, a gówniarze siedzą! Dostaliby się do mnie na przeszkolenie, ja już bym ich popędził! Nie wytrzymał.

— Słuchaj chłopcze — zaczął siedzącego najbliżej. — Siedzisz tu, a ta starsza pani stoi! Nie ustąpiłbyś miejsca?

Chłopiec skrzywił się, na wpół uśmiechnął, był bardzo zażenowany, ale już, już podnosił pupę z ławki, gdy starsza pani, przedmiot trosk Zuławskiego powstrzymała go.

— Och, nie, nie, nie! — zamachała rękami. — Ja postoję, siadaj chłopcze! Nic nie szkodzi, nie trzeba!

Zuławski przecisnął się ku tyłowi. Jak głupia, to niech stoi! Sami tak wychowują swoją młodzież! I stąd różne hartmany i farlexy!

W autobusie było duszno, wszystkie okna szczelnie zamknięte. Mimo zakazu „Nie palić”, starsi chłopcy na tylnym siedzeniu kurzyli papierosy.

— Uważaj, bo mi spalisz płaszcz! — mruknął Zuławski.

Chłopcy szturchnęli jeden drugiego i zaczęli chichotać.

Ja chyba na ten obiad nie pójdę — myślał — zatelefonuje i jutro rano rozmówię się definitywnie z Hartmanem. Pierwsza rzecz, muszą mi wypłacić pensję.

Przyjechał do domu rozdrażniony.

— Widzę, że już ktoś gospodarował na moim biurku!

— Uspokój się! — zawołała Helena. — Nikogo tu nie było. Powiedz lepiej co z Farlexem?

— Później ci powiem! — mruknął.

Położył się w ubraniu na tapczanie i zasnął.

Następnego dnia rano Żuławski pojechał wprost na ulicę Karola do lokalu biura Farlexu. Drzwi były otwarte, ponad drzwiami świeżo wymalowany szyld, na wystawie porozrzucane broszury z krajobrazami Florydy na stronach tytułowych. Wszedł. Świeżość farb i lakierów, puste biurka.

— Mr. Hartman! — zawołał.

Zza przepierzenia wyszedł nieznany mu osobnik.

— Czy nie ma pana Hartmana? — spytał Żuławski.

— Powinien niedługo wrócić! — para grubych okularów skierowała się na Żuławskiego.

Cóż to za pętak, co on tu robi? — myślał Żuławski.

— Pan jest Mr. Ziński? — spytał nieznajomy.

— Tak. A pan?

— Jestem zastępcą menadżera tutejszego oddziału Farlexu, właściwie jestem menadżerem. Czym mogę panu służyć?

— Co takiego? — krzyknął Żuławski. — Gdzie Hartman?

— Przyjdzie, jak pan chce czekać, to proszę tu usiąść dalej to już lokal prywatny — odszedł nie odwracając się.

Żuławski czuł zapach świeżej farby, nowe, jasne biurka stały pod ścianami. Hartman wszedł bezszelestnie. Nie zdjął kapelusza, cygaro podrygiwało w kąciку ust.

— Panie Hartman — powiedział Żuławski — chcę z panem pomówić!

— O *key*.

— Co to ma wszystko znaczyć?

— Nie rozumiem o co panu chodzi?

— Jakto? — podniósł głos Żuławski. — Przecież podpisaliście ze mną kontrakt! Powiedział pan, że od

stycznia będę na liście płacy jako zastępca menadżera, a po trzech miesiącach...

— Wydawało się panu, panie Ziurski. Kto panu o tym powiedział? — Hartman odsunął kapelusz na tył głowy. — Jack! — krzyknął. — Nie było do mnie telefonu?

— Kto mi powiedział? Pan!

— Ja? Pan się myli, drogi panie. Ja panu nic nie obiecywałem. To pomyłka.

Zuławski odwrócił się i wyszedł. Ulica Karola była bardzo ruchliwa. Musiał czekać dłuższy czas na przekroczenie jezdní. Samochody skręcały z bocznej przecznicy hałaśliwym, nieprzerwanym sznurem.

4.

Nakładali *dungarees*, stare swetry, kurtki, buty na gumowych podeszwach odjeżdżali. Spod śniegu, który dawno już stopniał w mieście, ale tu jeszcze bielał nierównymi płatami, wysuwały się zielone, ostre liście konwalii; grube, podługne pęki nieznanych im kwiatów. Woda w jeziorze ożyła: marszczyła się leniwie pod uderzeniami kamyka, tylko w dnie pochmurne ciemniała gniewnie i wydawała się bez dna.

Pewnej niedzieli brzeg strumyka zazieleniał liśćmi wodnych lilii, ale drzewa długo jeszcze były nagie. Na zboczu, tuż przy jeziorze, na bezlistnych konarach wysokich drzew zakwitły liliowe kiście kwiatów, a dzika jabłonka koło domu zaróżowiła się dopiero pod koniec maja. Było to w tym samym czasie, w którym Boga zdawała egzamin po raz drugi. Rozkwitnięcie jabłonki uznała za dobry znak — pewnie tym razem przeszłam. Tamten egzamin, wiadomo — mówiła — to było do przewidzenia. Teraz już wiem z czego się przygotować. Studiowała więc w bibliotece publicznej podręczniki socjologii, ustrój polityczny Stanów Zjednoczonych, podstawy psychologii. Zuławski zgorzkniał jeszcze bardziej. Twierdził, że nikomu nie wierzy, do spotykanych Amerykanów odnosił się z rezerwą. Znow pisał podania, zakreślał ogłoszenia tak

samo uparcie, ale z mniejszym entuzjazmem. Przesiadywał całe dnie w biurze Wojtkiewiczów. Myślał: A gdyby tak założyć interes na własną rękę? Nie miał jednak dość pieniędzy, zarabiał niewiele, farma wyciągała każdy grosz, zadłużył się.

Było jednak w owych podmiejskich nieużytkach, w nierównych pagórkach, w zaniedbanym lesie coś co łagodziło, pocieszało i stawało się niejako rekompensatą za obojętność miasta. Wszystko tu było dzikie, przez lata nietknięte, prawdziwsze. Odnajdywali ze wzruszeniem ślady jelenia i nory lisie, liście poziomek, drzewa jagodowe obsypane drobnymi pączkami, a nade wszystko odnajdywali swoją samotność i jedyność. Ten skrawek Ameryki należał do nich, tylko do nich. Taka więc była zanim się wszystko zaczęło, póki nie spięły ją łuki mostów, nie przewiały wstęgi *high-way*ów, póki smukłe sekwoje drapaczy nie wystrzeliły ku górze i póki budowane na prędce *developments* tandetnych domków ściśniętych w czerwone szeregi nie stały się cuchnącą nędzą, zalążkiem przestępstw — *slumem*.

Taka była dawniej nieokiełznana, bujająca niecierpliwą roślinnością, zbrojna w chytre, napastliwe trucizny: *poison ivy*, *poison oak*, czarne pszczoły, złośliwe węże i czepliwe kleszcze.

W majowe noce świetliki zalegały wilgotną dolinę przed starym domem i łąka wtedy wydawała się zwierciadłem nieba pełnym niespokojnych, migotliwych gwiazd. Wszystko tu było ogromne, rozrosłe, pierwotne. Polne koniki wabiły się śmiałym crescendo, a dzikie powoje odurzały namiętym, słodkim zapachem. Burze zrywały się nagle, jak niespodziewane wybuchy szaleństwa, łąka i ścieżki ginęły pod potokami deszczu. Wiatry waliły drzewa w poprzek drogi. Niebo przejaśniało się szybko, uspokojone, znów promienne. Nikt nie naprawiał uszkodzeń lasu, ani drogi. Połamane gałęzie wspierały się o siebie. Woda żłobiła leje w mokrej ziemi, zmieniał się brzeg strumyka. Po deszczach wybuchała zieloną parą roślinność, owijała nieżywe drzewa, zarastała wyboje. Nad różowymi ostami, nad żółtymi koronami kwiatów i pączkami białymi poziomek unosiły się ogromne motyle o czarodziejskich skrzydłach, a ponad kolczastymi krzakami białokwitnących jeżyn, nad brzegami jeziora szybowały śmigłe ważki, w których

bloniastych skrzydełkach odbijała się podeszczowa tęcza. Taka więc była zanim pierwsza stopa białego człowieka przegięła do ramion sięgające trawy.

Przyjeżdżali z łopatami, sierpem, kosą zbrojni w te narzędzia prymitywne, chcąc nimi ujarzmić puszcę, którą niełatwo przeryłby buldozer.

Andrzej kupił na raty używany traktor. Przeorał nim kukurydziane pola, zasiał trawę i nową kukurydzę.

Uciekali na farmę, chronili się w swoją samotność z daleka od ludzi.

Stary, zaniedbany dom zmienił się. Oczyszczili trawę dookoła, spalili rozwalające się graty, wydobyli spod chwastów ścieżki, belami podparli pochyłą werandę, wstawili brakujące szyby, a ściany wewnątrz pokryli świeżą farbą. Wodę czerpali ze strumyka, albo studni wykopanej pod rozłożystym grabem. Sadzili pomidory i truskawki, krzaki malin i porzeczek, karczowali las, aby uzyskać więcej ziemi. Żuławski znów planował, obliczał, jakto się sprzeda siano, jak uzyska pieniądze za kukurydzę. Smakowała im samotność. Jeśli Boga kiedykolwiek wspomniała o ludziach, o swojej nieustępującej gorączce poznania ich. Żuławski śmiał się ironicznie. Rakieciarze, dolar tylko coś dla nich znaczy. Możesz upaść na ulicy i przejechać koło ciebie obojętnie. Nie daj Boże, coś by się stało na tej farmie, nikt by nie przyszedł z pomocą. Na sobie tylko trzeba polegać, tylko na sobie.

Żuławska nie odpowiadała. Martwiła się o Wojtkę i Ewę. Jak też tam oni dają sobie radę? Jak się urządzili? Jak się czują w nowym mieście? Myślała: Jeśli matka Ewy nie przyjedzie, to chociaż wyrwę się na tydzień, pomogę im. Ach gdyby mogli tu przyjechać, odpocząć, odetchnąć powietrzem nie zatrutym wyziewami benzyny!

Jadąc na farmę mijali domy sąsiadów. Najbardziej okazały był dom i gospodarstwo mleczne Harrisów. Była to rodzina zamożna, matka, córka i zięć, patrzyli spode łba na nowych przybyszów. Obserwowali. Niekiedy zamieniano kilka słów, ale były to zdawkowe grzeczności: rozmowy o pogodzie, później o zbiorach. Wyczuwali jednak ukrytą niechęć. A może to oni tylko tak myśleli? Może niechęć promieniowała od nich? Zbaczając z głównej drogi do bocznicę prowadzącej na farmę nie spotykali już żadnych zabudowań.

Pustka. Ponad sto akrów lasu oddzielało ich od ludzkich osiedli. Gdyby więc stało się coś nieprzewidzianego, nikt nie przyszedłby z pomocą. Ale cóż mogłoby się stać? Indianie odpoczywają i wymierają w rezerwatach państwowych. A jednak któreś niedzieli zastali szyby domu poprzestrzelane, ślady kopyt końskich na ścieżkach.

— Kowboje! — przeklinał Żuławski. — Oni!

Oni — wydawało się obejmować tych wszystkich, którzy ich otaczali. — Ameryka! — dodawał — Ameryka! I cóż mi dali? W czym mi pomogli? Pozwolili mi przyjechać! To wszystko.

Andrzej prowadzi czerwony, huczący traktor. Wiatr rozwiewa włosy, wciska się pod grubą, farmerską koszulę zapach ziemi rozdartej pługiem. Myśli: Nie znaliśmy ziemi, tak, jak nie znamy ludzi. I może nigdy ich nie poznamy, gdyż zazdrośni jesteśmy o siebie samych, skryci, nieufni. Wznosimy wokół siebie chiński mur, Kurowski miał rację. Ale poznam tych młodych, gdyż chcę ich poznać i oni czują to, dlatego Igną do mnie. Może zwołam zebranie, porozmawiam z Kulą, może przez nich będzie łatwiej poznać innych? Tylko dwaj chłopcy: Marek i Paweł wrastali. Tu była ich ojczyzna. Żyli, jak gdyby na dwóch półkulach; w świecie swoich rodziców i swoim własnym. W jakiś przedziwny sposób uczyli się te dwa światy godzić z sobą.

Przygnębiona niepowodzeniami męża, rozrzewniona listem z kraju, Helena płakała. Wtedy Paweł podchodził do niej zażenowany, niepewny:

— Płaczesz babciu, płaczesz za swoją Polską? Spójrz. Ameryka jest piękna!

— Piękna — skarżyła się Żuławska. — Ale ludzie! Ludzie są inni i zresztą piękne, Pawełku, piękne jest to co nauczyliśmy się kochać.

5.

— Chciałabym mówić z Miss Grayson — powiedziała Boga. Trzymała w ręku rozdartą kopertę. Po raz drugi nie

zdała egzaminu. Do wyniku zadawalajacego brakowało jej dwóch punktów.

— W jakiej sprawie?

— Chodzi mi o test. Brakowało mi tylko dwóch punktów. Czy i teraz nie możecie mnie przyjąć?

— Sorry — tłumaczyła sekretarka. — Nasz regulamin...

— Ale ja chcę mówić z Miss Grayson. Proszę mnie połączyć z Miss Grayson.

— Sorry, Miss Grayson jest na urlopie. *May I help you?*

— Wiem przecież dobrze — wybuchnęła — że przyjmujecie ludzi bez egzaminu. Zupełnie nie rozumiem, potrzebujecie pracowników i na każdym kroku takie trudności! To pewnie dlatego, że jestem cudzoziemką!

— Bardzo mi przykro, bardzo mi przykro, mamy wyrażne rozporządzenie, niech się pani nie zniechęca. Niech pani zdaje po raz trzeci. Następny egzamin w październiku.

— O nie! Mam już dość tych testów! Nie chcecie mnie, nie potrzeba! Położyła słuchawkę. Była wściekła. Dwa punkty, tylko dwa punkty! Biuraliści, formalisci! Wracam do Polski! Nie pójdę więcej na egzamin, mam dość! Nie chcą mnie przyjąć, gdyż nie jestem Amerykanką! Pomagać ludziom! Przecież to wariactwo! Pcham się, a oni mnie nie chcą. Nie chcą mojej pomocy! Psia-krew! — zaklęła. I ja mam być gorsza od nich? Nie! Żebym miała sto razy zdawać! Ale zaraz, z czego się przygotować? Żebym chociaż wiedziała z czego się przygotować? Poderwała się nagle, chwyciła słownik, torebkę, wybiegła. Na kartce napisane jest wyraźnie: Mogę przejrzeć papiery, mogę przestudiować pytania. Dlaczego nie zrobiłam tego wcześniej? Jechała autobusem podniecona. Wpadła zdyszana do biura urzędu stanowego.

— Chciałabym przejrzeć moje papiery egzaminacyjne. Urzędniczka spojrzała na nią, roześmiała się.

— Czy na dworze tak gorąco?

— Nie. Dlaczego?

— Jest pani cała spocona.

— Biegłam. Czy mogę zobaczyć moje papiery?

— Naturalnie. Zaraz dam pani papiery egzaminacyjne i prawidłowe wyniki, będzie pani mogła porównać.

Wszyscy tak robią. Uprzedzam tylko, że za każdym razem pytania są nieco inne.

— Nieco inne! — uśmiechnęła się.

Usiadła przy stoliku. Położyła przed sobą słownik. Studiowała pytania. Uczyla się na pamięć pytań i odpowiedzi.

Wieczorem pojechała do biblioteki publicznej. Przeglądała statystyki i amerykańskie ustawodawstwo społeczne.

— Zostaw to — radził Andrzej. — Nie męcz się. Wyrobię ci pracę w fabryce. Przecież właściwie to zależy ci na zarobku, prawda? Chcesz mi pomóc, tak? — Wydawało się, jakby już zapomniał o swoich niedawnych przypuszczeniach, o radach. Wszystko znów stało się zwykłą codziennością.

— Jeszcze ten jeden raz! Ostatni raz! — mówiła, chociaż wiedziała dobrze, że nie ustąpi, że póki czuje w sobie wzmoczone siły, energię nie da za wygraną. Myślała: A co robią inne, te które wyemigrowały tak, jak ja? Czy pozostały na brzegu, czy też ruszyły dalej w głąb Ameryki? Co robi Ewa? Co ona myśli? Ewa zawsze chciała być samodzielną, zawsze chciała coś zrobić sama. Może w inny sposób niż ja, ale nie chciała się poddać.

— Spróbuję jeszcze ten raz — powiedziała. — Nic nie przychodzi łatwo. Nic nam tu nie przychodzi łatwo. My chcemy tak wiele, więcej niż nasi rodzice i więcej niż nasze dzieci. Chcemy połączyć dwa światy. Nie chcemy oddać przeszłości, a jednocześnie zagarnąć teraźniejszość. Chcemy żyć w dwóch wymiarach, jesteśmy zachłanni. Tylko nie wiem, czy to się nam uda. Bo na przykład ty Andrzej, cała twoja bojowa przeszłość, to wszystko czym byłeś, co zrobiłeś nie może zniknąć, stracić na wartości dlatego tylko, że wyemigrowaliśmy do Ameryki...

— Ja już o tym nie myślę, śmieję się z tego...

— Ale tak być nie powinno!

— No to co zrobisz, świat zmienisz? Zresztą to już minęło.

— A co ty sądzisz, co myśli Wojtek? Albo Ewa? Jak oni sobie dają radę? Zaamerykanizowali się?

— Wojtek — westchnął Andrzej — pisał niedawno przecież, że robi doktorat. To nie to co ja. — Odszedł. Otworzył aparat telewizyjny.

Patrząc na ekran odpoczywał, nie potrzebował myśleć. Nie zawsze mu się to udawało. Czasem, nie wiadomo skąd przypomnienie jakichś spraw dawnych: dzieciństwo, lata szkolne i uniwersyteckie, plany na przyszłość, nadzieje, wojna, wędrówki po egzotycznych frontach, odznaczenia i znów nadzieje, plany. Gdy wrócimy, gdy wrócę... W ustach smak goryczy, w oczach ziarna mialkiego szkła. Nigdy bym nie przypuszczał, nigdy... Tu w tej fabryce! Mam dość wszystkiego! Mam dość wszystkiego! Na ekranie film kowbojski: draby w kapeluszach o szerokich rondach rozstrzaskują butelki w saloon nad głową barmana.

Jestem zalakowaną butelką, rzuciłem sam siebie na wodę, wewnątrz zamknąłem swoje bogactwo.

— Andrzej — mówi Boga — ty się martwisz.

— Nie, nie, nie wyobrażaj sobie. Jestem zadowolony.

— Ty się martwisz, bo chciałbyś czegoś innego.

— Ba! Co ja bym chciał!

— Tylko na farmie wydajesz się szczęśliwszy.

Andrzej uśmiecha się.

— Lubię tę farmę, lubię siedzieć na ganku i patrzeć w dolinę, pamiętasz świetliki? A ognisko, które zapaliliśmy w noc Św. Jana? Jestem tam sam, kukurydza, którą posiałem wzrasta, widziałaś jak trawa ślicznie się udała? I pomyśl, sam zasiałem, nie miałem pojęcia. Chciałbym sam coś zrobić, czegoś sam tu dokonać, chciałbym jakiejś satysfakcji, że ja...

— A może zacząłbyś nostryfikować studia, może?

— Na to wszystko potrzebne są pieniądze.

— Poczekaj, ja zarobię!

— Może kiedyś...

Resztę słów zagłusza muzyka telewizji.

VII.

Domek był na przedmieściu. Wybudowany na skarpie wydawał się odległy od ulicy. Kręte, malownicze, kamienne schodki wspinały się niemal poziomo. Listonosz zostawiał pocztę w podłużnej skrzynce na ulicy, u podnóża skarpy. Ewa wiedziała o której godzinie przychodził i gdy spóźniał się zastygła w oknie. To były chwile oczekiwania. Jeśli dzieci przeszkadzały jej wtedy, wpadała w złość. Czy nie dość mają miejsca na trawniku? Czy nie mogą pobiec do sąsiadów? Nawet najmłodszy Mathew, łobuzował się już z dziećmi w sąsiednich ogródkach.

— Zostawcie mnie w spokoju! Idźcie gdzieś! No przecież dość jest miejsca, nie? Mamusia czeka na list od babuni!

Na co ja czekam? — myślała. No przecież na list od matki. Na co ja czekam? Było po jedenastej. O tej porze zwykle przychodził listonosz. Ewa odeszła od okna. Otworzyła drzwi do oszklonej werandy. Rozrzucone na kamiennej posadzce zabawki. Schyliła się, aby podnieść.

— Nie mogę! — krzyknęła. — Nie mogę! — W ostatnim miesiącu ciąży nie mogę się schylić. Wszystko mnie boli.

Poprzez okna werandy widać było ulicę. Leżała w dole — biały wąż pełznący, wydawałoby się, po wierzchołkach drzew.

Lubię te drzewa. Mamusi będzie się tu podobało. Dlaczego ten listonosz jeszcze nie przychodzi? Może coś się stało?

Nagły ucisk pod żebrami, serce stuka gwałtownie. Idzie! Z daleka szara, płaska czapka, szara koszula z czarnym krawatem. Ewa podnosi opadające poły szlafroka. Biegnie niecierpliwie w kierunku schodków. Pnąca róża owijająca płot czepia się rękawów.

— Momy!

— Maciusiu, mamusia zaraz przyjdzie! Maciusiu nie schodź!

— Momy!

— Chodź, do cholery, chodź, trzymaj się mnie. Rozumiesz? Trzymaj się mnie!

Jeśli upadnę teraz, to poronię i Wojtek nie zdąży przyjechać z biura.

— Ostrożnie! Ostrożnie!

— *Good morning Mrs.*

— *Good morning.* Czy ma pan list dla mnie? Nie, nie ten! *Air mail from Poland!*

— Nie mam listu z Polski. *Sorry*, może jutro.

— Na pewno pan nie ma?

Listonosz przegląda jeszcze raz plik listów trzymany w ręku.

— Momy! Momy!

— Cicho synku.

— Momy!

— Przecież widzisz, że nie mogę cię wziąć na ręce... przecież widzisz!

Ewa wchodzi wolno po schodach. Listonosz spogląda za nią. Stoi przez chwilę oparty o zaparkowany przy chodniku samochód. Kręci głową, odchodzi. Szlafrok wlecze się po schodach. Mathew uczepony ręki Ewy.

— *A drink of water.*

Ewa odtrąca nogą porzuconą lalkę, przechodzi przez pokój do kuchni, otwiera lodówkę.

— Może zjesz zupki?

Nalewa do szklanki sok pomarańczowy.

— *A drink of water!*

— Masz!

Stawia karton z soki na kuchennym kontuarze. Pusta szklanka w ręce. Napiję się soku pomarańczowego. Powinam pić sok pomarańczowy. I nagle zaczynają jej drgać usta, trudno opanować to drżenie.

— Maciuś!

Mathew zniknął już. Kołyszą się jeszcze drzwi kuchenne od ogrodu pchnięte jego opaloną rączką. Na kolorowym linoleum, żółta kałuża pomarańczowego soku. Ewa czuje płacz w gardle. Nie było listu. Więc pewnie coś się stało. Tam coś się stało! Na pewno coś się stało!

Pokój podzielony jest oszklonymi drzwiami na część jadalną i *sitting room*. Przez okna jadalni widać ulicę. Ewa rozchyła firankę. Gdyby rano mogło się powtórzyć! Jeszcze raz cofnąć listonosza do dalekiej kępy drzew na zakręcie, śledzić jego kroki, powiększanie się szarej czapki, w piersiach ucisk bolesny i słodki, skrócenie oddechu, oczekiwanie. Na co ja czekam? Na co ja czekałam? Na co ja tak czekałam? Ach na to. Na list od Wojtka. Dwanaście lat temu.

Sitting room jest ciemnawy. Stoi w nim mocno zużyta kanapa i fotele, które Wojtek obił materiałem, ale dzieci pobrudziły na nowo. Na środku podłogi porzucona skarpetka. Ewa schyla się i podnosi ją.

— To skarpetka Ani — myśli.

Wyprostowuje się ciężko, z wysiłkiem.

Kiedy spodziewałam się Ani czułam się lepiej, to czwarte dziecko noszę z trudem. Dlaczego nie było listu? W ostatniej chwili wstrzymali jej wizę? Z kim ja zostawię dzieci, jak pójdę do szpitala? Z Betty? Najlepiej z Betty, zapłacę jej. A jeżeli coś się stało? Jeżeli na przykład umarła? Ewa czuje jak nogi uginają się pod nią... nogi mdleją. Siada na kanapie. Na przeciwległej ścianie półka z książkami, ponad nią pusty, jasno zielony mur.

Wojtek nigdy nie powiesi tych obrazków! Nigdy! Mieszkamy jak dziady. Puste ściany, podłogi nie wypastowane. Jak ja mogę teraz pastować? Co tam się stało? Moja matka nigdy nie zobaczy moich dzieci!

Dygocącą ręką Ewa chwytą słuchawkę telefonu.

— *City Electric Company. May I help you?*

— *Extension 749* — mówi Ewa — *Please!*

— *Extension 749* zajęte. Czy pani zaczeka?

— Zaczekam.

— Momy!

— Teraz-żeście przyszli! Teraz! Maciusiu, gdzie-żeś się tak wybrudził? I rozbił kolano! Jezus, Maria! Nie płacz! Aniu! Aniu!

— Tu inżynier Żuławski. Hallo? Hallo?

— Wojtek!

— Momy! Momy!

Ewa przygarnia jedną ręką syna, w drugiej ręce dygoce słuchawka.

— Ewo, co się stało? Prędko, nie mam czasu!

Ania wślizgnęła się poprzez drzwi werandy, wciska jasną główkę pod pachę Ewy.

— Będzie mówić do tatusia!

— Nie będzie! Teraz mamusia mówi z tatusiem. Wojtek! Wojtek! Ja się strasznie źle czuję... okropnie...

— Masz bóle? Ewo! Ewo! Dlaczego tak dziwnie mówisz?

— Bo nie włożyłam szczęki. Wojtek...

2.

Wojtek Żuławski zatrzymał samochód na czerwonych światłach. W południe ruch w mieście wzrasta. Potężne ciężarówki zatarasowują przejazd. Żółte, brzuchate autobusy niby leniwe, grube robaki posapują ospale, ich trujący odór przenika ściany samochodu. Wojtek nie lubi miasta, nie lubi tego miasta i myśli, że osiadł tu na stałe. Przeszło rok temu zerwał z prezesem. Tak oto skończyły się marzenia o polityce. Czy można wyżyć z niepewnego stypendium Free Europe z czworgiem dzieci? Czy można pozwolić, aby Ewa sprzedawała wieczorami encyklopedie chodząc od domu do domu? No dobrze, zgodził się, ale czy ona, Ewa, myśli, że łatwo mu było odejść od Stronnictwa, jakby odwrócić się na pięcie i powiedzieć „good bye” do tylu lat pracy, powiedzieć „good bye” do siebie samego Wojtka-marzyciela, idealisty, skoczka spadochronowego, prawej ręki prezesa? Gdyby nie to czy w ogóle poznałby Ewę? Czy zdecydowałaby się wyjść za niego za mąż?

Ewa ciągnie opierającego się Mathew na górę do łazienki. Krwawi rozcięte kolanko. Chłopiec boi się jodyny. Wielkie lzy kapią z ciemnych oczu, a Ewę rozczula i irytuje ten strach.

— Nie płacz kotusiu, nic nie będzie bolało.

— *No mamy, no! No!*

— Nie drzyj się bachorze! Gdzie-żeś kolano rozwalił?

— *He was riding the bike!*

To Helenka. Trójkątna buzia w otwartych drzwiach łazienki. Na wpół tylko, ostrożnie wychylone ciało gotowe w każdej chwili do ucieczki. Za nią — Ania wyprostowana, pewna siebie. Ta jodyna nie dla niej! Zresztą w każdej chwili czmychnie. Ewa obmywa kolano. Palce są tkliwe, ale usta drgają niecierpliwie. Ciało jest matczyną tkliwością, a usta jeszcze Ewą, okaleczoną, biedną, bezzębną Ewą. W szklance moczy się sztuczna szczęka.

3.

Stało się to wkrótce po urodzeniu się Helenki. Zębów nie można było już uratować. Pewnie była w tym wina Ewy, że zaniedbała, ale zawsze było coś ważniejszego niż dentysta i ten ciągły brak pieniędzy. Dentysta, który stwierdził, że zęby są stracone musiał ją długo pocieszać.

— Jakto stracone jeżeli jeszcze są?

— Ale zainfektowane, gdyby przyszła pani rok temu...

Ewa płakała. Niech pani nie płacze — pocieszał dentysta — Marylyn Monroe też ma sztuczną szczękę.

Gdybym wiedziała, że będę miała sztuczną szczękę, gdybym wiedziała dawniej, wołałabym nie żyć!

— O, wielka rzecz sztuczna szczęka! — pocieszał Wojtek.

— Nie udawaj, nie staraj się mnie pocieszyć!

— Nie ty jedna...

— Ale ja jestem jedna dla mnie samej. Gdyby były pieniądze na dentystę...

— Znalazłyby się.

— Ale się nie znalazły!

— Ewo!

Ewa nie była nigdy łatwa, a w tym okresie była najtrudniejsza. Czuł, jak mu się wymykała, uciekała w głąb samej siebie, jakby szukając czegoś zupełnie nowego na

własną rękę, bez niego, bez jego uczestnictwa. Wtedy właśnie uzbrojona w swoją sztuczną szczękę, która raniła jej dziąsła, odświeżona i znowu smukła powiedziała mu któregoś wieczoru, że dostała posadę.

— Jakto? — zdziwił się. — Przecież ja pracuję.

— Ale nie zarabiasz wystarczająco.

— A dzieci?

— Ty zostaniesz z dziećmi. Nie martw się będę pracowała wieczorami i w nocy.

Ewa zaczęła pracować jako kelnerka w restauracji otwartej do późna w nocy. Był to okres wzmożonej pracy w Stronnictwie. Nie mógł odejść, nie myślał jeszcze o odejściu i nie wiedział wtedy jeszcze, że wstąpił na drogę wyboru. Uległ po raz pierwszy, ale Ewa zdecydowała już wtedy.

Wojtek zaparkował samochód przed domem. Drzwiczki nie domykały się i musiał je zatrząskiwac kilkakrotnie. Wnętrze samochodu było zrujnowane: naddarte siedzenia, stary dziecinny bucik na poplamionym dywaniku, podarta gazeta, zmięty płaszcz deszczowy.

Pomyślał: Trzeba go wyczyścić przed przyjazdem matki Ewy, nie mogę jej wprowadzić do takiego bałaganu.

Po namyśle wyjął płaszcz deszczowy, ale natychmiast przypomniawszy sobie dlaczego przyjechał do domu o tak niezwyklej porze, odrzucił płaszcz i nie zatrzasnąwszy drzwiczek pobiegł schodkami na górę. Zadyszał się, przystanął. W krzyżu poczuł przykry ból, który dawał o sobie znać przy zdenerwowaniu i zmęczeniu.

— Cholera — zaklął cicho. — Co zrobię z dziećmi? A może ona już... może ona...

Wpadł półprzytomny przez uchylone drzwi werandy do pokoju.

— Ewo!

Zanim usłyszał jej głos, zobaczył ją. Stała przy kucharze kuchennym. Obierała kartofle. Brązowe wężyki obierzyn spadały do papierowej torby.

— Tu jestem.

Podszedł bliżej i zobaczył, że Ewa płacze.

— Zostaw to — powiedział wyjmując jej nóż z ręki — połóż się i... jak? I... czy?

— To nie... to nie to...

Myła ręce nad zlewem. Oparty o lodówkę przyglądał

jej się. Była bardzo mizerna. Gdybym mógł jej pomóc! — pomyślał.

— Gdzie dzieci? — zapytał głośno.

Wskazała ręką ogródek. Niewyraźny, zmęczony gest.

— Chodź, zaraz połów się, zostanie.

Usiadła obok niego w *sitting-room*'ie na kanapie. Głowa opuszczona, przydeptane poły szlafroka, kołysała się w tył i do przodu obejmując ramionami kolana.

— Wojtek, tam się coś stało.

— Gdzie?

— W Warszawie.

— W Warszawie? Co?

— Tam z mamą, albo z ojcem.

— Pisała?

Ewa poderwała się. Stała na wprost niego zapłakana z boleśnie skrzywionymi wargami.

— Właśnie, że nie pisała. Nie było listu.

— I o to płaczesz? — Sięgnął do kieszeni po papierosa. Odetchnął. Ale teraz ona zaczęła oddychać gwałtownie, rumieńce na policzkach, ujęła się pod boki.

— O to właśnie, o to! — krzyknęła. — Ty się nie przejmujesz, ty masz tutaj rodzinę. Wystarczy napisać, wystarczy zatelefonować: ojciec, matka, siostra! Wszyscy!

— Ewo, nie krzycz — podniósł się i zamknął drzwi werandy.

Szła za nim z wyciągniętą ręką, piętnująco wskazując palcem.

— ...a ja nie widziałem mojej matki dwanaście lat! Nie pamiętam jak wygląda... i teraz kiedy już miała przyjechać... kiedy od trzech tygodni nie miałam listu...

— Ewo, uspokój się.

— Właśnie, że się nie uspokoję, właśnie, że się nie uspokoję!

— Ja wychodzę. Wracam do biura.

— Tak, to jest twoja odpowiedź! Wracasz do biura! Możesz pracować jako inżynier. Kto cię do tego zmusił? Kto cię do tego zmusił? Ja też jestem inżynierem, wiesz, że mnie przyjmą wszędzie z pocałowaniem ręki!

— Ewo błagam cię uspokój się. Zaszkodzisz sobie, zrobię ci kawę, połów się!

— Ktoś idzie! — krzyknęła. — To mleczarz! Zapłać mu! Nie chcę, żeby mnie tak zobaczył.

Wojtek podszedł do drzwi. Otwierając zamek trzymał papierosa w zębach.

To nie był mleczarz. Listonosz uśmiechnął się.

— Bye, bye — powiedział.

— Czy to mleczarz? Powiedz mu, żeby zostawił pintę czekoladowego mleka. Wojtek stoi niezdecydowanie pomiędzy rozrzuconymi na werandzie zabawkami. Na prawo widać ustawioną na trawniku huśtawkę. Jutro zetnę trawnik — myśli.

Z daleka dochodzą pokrzykiwania dzieci. Jeśli jest coś złego w depeszy, nie dam jej! Nie powiem jej teraz nic. Nasze życie jest naszym życiem. Chcę żeby dziecko urodziło się zdrowo. Otwiera depeszę.

— Ewo! woła — Ewo! Jego głos jest miękki. Przejęty wzruszeniem opada:

— Ewo, telegram z samolotu!

— Telegram? — Ewa wyciąga rękę. Kartka depeszy drży w ręku. Czyta. Spogląda na Wojtkę, jakby nagle dostrzegła go po raz pierwszy. — Przylatuje dziś wieczór do Nowego Jorku. Czy to możliwe?

Podchodzi do Wojtki, obejmuje go za szyję. Całuje ją delikatnie w policzek.

— Będzie tu przed pierwszą w nocy. Wyjadę na stację.

— Wyczyść samochód!

— Dobrze. Ewo, dlaczego płaczesz? Dlaczego płaczesz? Dlaczego płaczesz!

Ewa leży wyciągnięta wygodnie na łóżku. Przymknięte drzwi sypialni, zasunięta firanka. Wydaje jej się, że zagłębia się w łagodzącą miękkość pościeli, zagłębia się bez końca. Ciężar ciała odpływa, jest teraz tak lekka, jakby nie ważyła absolutnie nic. Z dołu przytłumiony głos Wojtki. Mówi do dzieci: babunia przyjeżdża. Ewa myśli: zapomniałam powiedzieć Wojtkowi, aby położył dzieci po obiedzie. Unosi się na łokciach, woła:

— Połóż dzieci po lunchu'ul

— Słyszę. Śpij! — odkrzykuje Wojtek.

Ewa zamyka oczy. Myśli: Matka przyjeżdża... Wojtek jest dla mnie dobry... mamusia zobaczy dzieci.

Stara się przypomnieć sobie matkę. Jest taka, jak na fotografii: starannie zaondulowane włosy i twarz owalna, nieco uśmiechnięta, młoda.

Jest młoda — myśli Ewa — ale chyba teraz będzie starsza. Biedna mama co ona przeżyła! Aresztowanie ojca... sama musiała pójść do pracy... moje paczki nie wystarczyły... biedna mama. Ewa płacze. Płacz jest cichy i sprawia ulgę, łączy chłodzą gorączkę oczu i policzków. Biedna mama...

— A teraz na górę, pospać po obiedzie! — powiedział Wojtek. — Ale ci-cho, nie budźcie mamusi.

— Ci-cho... — powtórzyła Ania — ci-cho...

Wojtek wszedł ostrożnie do sypialni. Ewa spała. Leżała na wznak, głowa przechylona nieco na bok. Smuga światła przecinała policzek, załamywała się na podbródku. Podeszedł do okna i zasunął szczelnie żaluzje. Lustro komody odbijało jego pochylone nad nią plecy w białej, sportowej koszuli. Na komodzie rozerwana w pośpiechu depesza. Z sąsiedniego pokoju przyciszone głosy dzieci.

Wyjadę o dwunastej w nocy, pociąg przyjeżdża dwunasta, trzydzieści siedem... wyczyszczę samochód... wyjadę o dwunastej.

Podeszedł do drzwi. Ewa westchnęła. Odwrócił się, spała. Zamknął za sobą drzwi. W łazience pozbiierał rozrzuconą dziecinną bieliznę. Mathew spał. Leżał na brzuszku, główka wtulona w poduszkę. Helenka leżała na kocu odwrócona do niego plecami. Podeszedł, zdjął jej z nóg pantofelki. Ania uniosła się;

— Tatu...

— Ci-cho...

— Tatu, kiedy babunia przyjeżdża?

— Zaśnij Aniu.

— Kiedy?

— Późno.

— Kiedy?

— Ci-cho, w nocy.

Wyjadę o dwunastej — pomyślał. Starał się stąpać ostrożnie po schodach. W domu było cicho. Wyczyszczę samochód...

Usiadł na kanapie. Cisza domu rozleniwiała. Poczuł się zmęczony. Ponad półką z książkami pusty, jasno-zielony prostokąt ściany.

Powieszę obrazki... sprzątnę pokój... później. Tylko na chwilę położę się... tylko na chwilę. Podsunął poduszkę pod głowę, wyciągnął nogi. Co za ulga! Tylko na kilka

minut... mam czas... wyczyszczyć samochód. Co ja mam w ręku? Ach, depesza. Jeszcze raz przeczytał depeszę. Przytknął oczy, otworzył. Za oknem oplecionym dzikim winem zielony półcień. Dopiero późnym popołudniem zagląda tu słońce. Co za luksus zdrzemnąć się po *lunch'u*... tylko na chwilę, wyjadę o dwunastej.

4.

— Lieutenant Żuławski, *a telegram for you!*

— Gdzie jest telegram?

— Położyłam w pana pokoju — *landlady* spogląda na Wojtkę. — Jest późno, ale gdyby chciał pan *tea*...

— Dziękuję, jestem po kolacji.

Wojtek wbiega pośpiesznie po schodach, rozrywa depeszę.

„Proszę telefonować bez względu na czas”.

Spogląda na zegarek: jest godzina dwunasta w nocy. Nie zdejmując płaszcza schodzi na dół, nakręca numer.

— Mówi porucznik Żuławski.

— Dostał pan telegram? Rano o szóstej w Ministerstwie.

— Rozkaz.

Myśli: A więc to jutro. Dziś po raz ostatni widziałem Londyn. Trzeba zapakować walizkę, zabrać najpotrzebniejsze rzeczy, trzeba zapamiętać ten miesiąc: kwiecień, rok 1943. W Londynie jest już wiosna, w Polsce potrzebny będzie zimowy płaszcz. Jadę do Polski... lecę do Polski... skaczę do Polski!

Duszno... ból w krzyżu... ucisk w krzyżu. To pas, mam załadowane pieniądze w pasie. Dwieście tysięcy dolarów. Ugniata grube, zimowe ubranie, ciężki zimowy płaszcz... pod płaszczem naładowany walutą pas, w kieszeniach ubrania mikrofilmy.

Jest ich sześciu, stoją na lotnisku, wszyscy obładowani: pod cywilnymi płaszczami ciężkie pasy i rewolwery.

Nie rozmawiają z sobą. Wiedzą. Startujemy o siódmej, w Polsce powinniśmy być o północy.

Wojtek czuje ból głowy, już przed wejściem do samolotu czuje ból głowy. Odmawia whiskey. Pozostali koledzy piją. Są bladzi i zdenerwowani. Ból głowy, męczący mdlący ból głowy...

— Tatu...

Wojtek podrywa się. Spogląda półprzytomnie na Anię. W głowie huczący ból, ucisk w krzyżu.

— Aniu, idź do łóżeczka.

— Tatu, kiedy babunia przyjeżdża?

— W nocy.

— Kiedy?

— Aniu, idź spać, jeszcze dużo czasu.

Ania odchodzi, szczupłe nóżki wydają się nie dotykać podłogi.

— Ty spałeś? — odwraca się.

— Zasnąłem — mruczy Wojtek.

Ciekawe — myśli — dlaczego akurat teraz przypomniał mi się mój skok spadochronowy. Przechodzi do kuchni, otwiera lodówkę. Nalewa mleka do szklanki. A więc przyjazd matki Ewy zrobił i na mnie wrażenie. Przybliżył mnie do czasów odległych. Siada przy stole w stołowym pokoju. Podnosi się, sprząta talerze i filiżanki pozostałe po lunch'u dzieci. Zmyje naczynia — myśli — wy czyszcze samochód. Wraca do stołu. Zapala papierosa. Papieros nie smakuje, dokucza ból głowy, myśli uciekają wstecz. Posiedzę kilka minut, przejdzie mi ból głowy, zabiorę się do mycia naczyń. Myśli uciekają wstecz.

Wystartowali z bazy we Włoszech, z Bari. Było ich sześciu: on skoczek polityczny i pięciu skoczków wojskowych. Siódmy był „wykidajło”, ten który nimi kierował.

Wojtek zgłosił się do służby specjalnej kierowany chęcią przygody i pragnieniem, aby czegoś dokonać. Był kurierem politycznym Polskiego Rządu w Londynie do Delegatury tego rządu funkcjonującego w podziemnej organizacji w kraju. Stał na lotnisku w Bari myśląc tylko o jednym: zaczyna mnie boleć głowa. Podniecenie opuściło go, odmówił kieliszka whiskey którym „wykidajło” często wał skoczków.

Był chłodny, wiosenny wieczór i nad lotniskiem roz-
pinało się pogodne, włoskie niebo. Gdy wieczór przygasł,
zmatowiał, wystartowali. Lecieli długim Liberatorem. Nikt
się nie odzywał. „Wykidajło” pozwolił palić. Wojtek
myślał o swojej misji do Polski. Przemykał oczy i widział
kraj: równina, idzie sam z odkrytą głową ścieżką pomię-
dzy polami, z daleka las pachnie cierpko niedojrzałą wios-
ną. Lecę już inny, bogatszy o trzy lata doświadczeń za-
granicą — myślał — pierwszy kontakt w Warszawie, roz-
mowa z delegatem...

Nad Jugosławią dosięgły ich syreny. Reflektory krzy-
żowały niebo. A potem lecieli już bez ustanku ścigani
dźwiękami syren alarmowych. Wojtek był spokojny, tylko
ból głowy potęgował się, chwyciły go mdłości. Zaczął
chorować. Myślał tylko to jedno: wyskoczyć! Uciskał pas,
ciężki płaszcz, dusił sweter, szarpały nim wymioty. Myślał:
wyskoczyć!

Było duszno, wewnątrz samolotu pulsowało przyspie-
szonymi oddechami skoczków. Zbliżało się niepewne. Ktoś
nerwowo zapalił papierosa, ktoś zacierał ręce, zacierał
ręce od momentu wystartowania z Bari. Bał się. „Wyki-
dajło” czekał na znak pilota. Spojrzenia skupiały się na
nim. Wytrzymywał te strzały wyteżonych spojrzeń pokry-
wając wzruszenie półśmiechem. Wojtek poczuł się lepiej.
Nerwowe podniecenie załogi złagodziło, uspokoiło rozry-
wające go mdłości. Sygnał! „Wykidajło” nałożył słu-
chawki. Odłożył. Pochylił się. Jednym szarpnięciem dłoni
otworzył wieko dziury.

Z nogami spuszczoneymi w otwór dziury, Wojtek
spojrzał. Ziemia wydawała się bliska. Krzyż latarek elek-
trycznych wskazywał pozycje. Była to zaorana polana
wśród lasów. Wokół niej poszarpanym, nierównym wień-
cem płonęły wsie. Odgłos karabinów maszynowych, od
czasu do czasu słychać cięższe działa. Batalion AK osła-
niał zrzuty. Mieli skakać w samo serce bitwy. Siedzieli
na wprost siebie po obu stronach dziury. Czekali komendy.
Samolot skierował się na długie ramię świetlnego krzyża.
„Wykidajło” nie odrywał oczu od świateł sygnalizujących
wewnątrz samolotu. Zielone światło!

— Action station number one, GO!

Number two, GO!

Z podkurczonymi kolanami, wyprostowany, nieruchomy, skoczył. Pęd powietrza ogłuszył go.

Spadł ciężko na świeżo zaorane pole. Człowiek przybiegł zdyszany w kożusku, długich butach, maciejówce. Porwał go w ramiona. Sztywne wąsy, wilgoć cudzych łez na policzku.

— Jezusie, z nieba przyleciał do nas, z nieba!

Odpinał klamrę spadochronu. Spoza lasów słysząc było wyraźnie odgłosy bitwy.

5.

— Wojtek!

Podniósł się od stołu.

— Idę! — odkrzyknął.

Przechodząc przez kuchnię usłyszał, jak gałęzie azalii pukały w szybę.

Wyjrzał: niebo zaciągało się szarym nalotem.

— Wojtek!

Ewa stała w drzwiach sypialni.

— Zbiera się na burzę! Gdzie dzieci?

— Nie ma ich? Psiakrew, zasnąłem. O psiakrew, wymknęły się. Do burzy jeszcze daleko. Jak się czujesz? Która to godzina?

— Czwarta. Wyczyściłeś samochód? Co mamusia o nas pomyśli?

— Spałaś?

Przymknęła oczy, rzęsy rzucały cień na policzki.

— Myślałam...

— Spałaś.

— Wojtuś! — wyciągnęła ręce. Włóż krawat.

— Połóż się jeszcze.

Siadła przed toaletką.

— Boże, jak ja wyglądam! Nie patrz na mnie. Jak ja wyglądam!

— Komu chcesz się podobać?

— Ach. Zostaw, uspokój się. Idź po dzieci! Grzmiało! Słyszałeś? Idź po dzieci!

Wojtek zbiegł po schodach. Stał przed domem, rozejrzał się. Niebo falowało groźnie, wierzchołki drzew drżały, ulica biegła białym wężem. Szedł przez trawnik rozglądając się za dziećmi.

Ewa umyła twarz w łazience. Niecierpliwie pozrzuciła nadbrudzone ręczniki. Rzuciła się na kolana i zaczęła wycierać podłogę, ręce jej drżały. Rozpłakała się.

— Mamusia przyjeżdża...

6.

Matka Ewy, Wanda Wernerowa, jechała do córki z Polski po dwunastu latach rozłąki. Była młoda jeszcze, przystojna i pełna energii. W czasie pobytu męża w więzieniu za sprawy polityczne, nauczyła się samodzielności. To nowe odnalezienie własnych wartości smakowało, tak jakby przeżywała po raz drugi emancypację młodości. Samodzielna podróż do Ameryki, przygotowania, nowe, sprawione na ten cel, sukienki pozwalały jej jeszcze bardziej cieszyć się samą sobą. O Ewie myślała z tkliwością: dziecko, I jeszcze z pełnym podziwu przerażeniem: czwarte, spodziewa się czwartego dziecka. Uśmiechała się do siebie: czwarty wnuczek. Nie czuła się babką. Życie w niej nie ugasło jeszcze. Babka — to już spokój i beznamiętność. Ale ogarniało ją także rozrzewnienie: moje wnuczki. Postanowiła, że pomoże Ewie, zajmie się domem, pokaże. Rozpierała ją energia.

Mąż po zwolnieniu z więzienia, zdziwaczał. Był kapryśny, domagał się nieustannej opieki. Kochał go, ale było to już pogranicze miłości, gdyż stale trzeba się było o niej upewniać, przekonywać i nawracać, aby набrać sił do ponownego dawania. Ten wyjazd, rozstanie konieczne, dla dziecka, w imię dziecka, przyszedł jak ulga, do której można się było przyznać tylko samej sobie. A teraz opierając głowę o wygodne siedzenie luksusowego samolotu, przyznawała się. Ewy nie mogła sobie inaczej wyobrazić, jak w dniu wyjazdu: podnieconą z rozmarzonymi oczyma, uciekającą przez granicę w nieznane, do Wojtka.

Wojtek? — zastanowiła się. — Czy Ewa zrobiła dobrze wyjeżdżając do niego?

Ewa sprzątała *sitting-room*. Dzikie wino szarpane wiatrem, szeleściło. Wojtek przyprowadził dzieci. Siedziały na kanapie i patrzyły na telewizję. Odbiór był zły: trzaski i przerwy. Zbliżała się burza. Wojtek przystanął w pokoju. Niósł pod pachą szczotkę, w ręku ścierkę.

— Idę wyczyścić samochód.

— Teraz? — krzyknęła Ewa. — Myślałam, że przybijesz obrazki!

— Ewo, czy to naprawdę takie ważne?

— Nieważne? — oburzyła się. — To ja przybiję! Zaraz idę po młotek i przybiję! — Podniecenie zaróżowiło jej policzki, przytłumiło brunatne plamy na skroniach.

— Zostaw, ja to zrobię. Chciałaś najpierw samochód...

— Deszcz pada! Aniu, zapal światło!

Wojtek stanął w drzwiach werandy. Oświetlony elektrycznością pokój. Bezceremonialność światła wydobywa każdy szczegół: pęknięty mur nad oknem, ale za szybą zielony szelest, tajemnica wiatru, liści i nadciągającej burzy: kanapa, dwa fotele i półka na książki, ale buzie dzieciinne, rozrzucająca okrągłość policzków, źrenice rozszerzone. Ewa pośrodku pokoju ze ścierką w ręce. Ewa, jej oczy rozstawione szeroko, podbródek zarysowany mocno, linia szyi, w tym miejscu gdzie różowy płatek ucha rzuca na nią cień, znana na pamięć, widoczna przy zmruczeniu oczu.

— Ewo, czy nie lepiej, aby zobaczyła nasze życie takie, jakim jest. Teraz już nic nie zmienisz, nie naprawisz.

— Z tą pustą ścianą! — Ewa załamuje ręce, jak gdyby się wahała, zastanawiała i natychmiast wykrzykuje popędliwie: — Nie, nie!

— Momy — zawołał Mathew — *I want a candy bar!*

— *Me too!* — Helenka podniosła wąską twarzyczkę.

Ania podskoczyła na tapczanie.

— *Me too!*

— Nie ma *candy bar* przed kolacją! Wojtek! Wojtek! Wojtek! — chwyciła go za rękaw koszuli w chwili, gdy przestępował próg werandy. — Wojtek, wróć! Za chwilę lunie! Patrz!

Szedł naprzód ścieżką nie odpowiadając. Widoczne z góry drzewa niby ogromne pędzle malowały horyzont.

Wiatr zatrzęsnał uchylone drzwi werandy.

— O co ci właściwie chodzi?

— Jesteś na mnie zły. Tak, jesteś na mnie zły. Ale ja chcę, żeby wszystko było jak najlepiej.

— Co najlepiej?

— Wszystko — otulała wokoło siebie szlafrok. — Co za wichura! Nie idź tak! Przyniosę ci płaszcz deszczowy.

— Nie potrzeba.

— Jesteś na mnie zły. Teraz kiedy mamusia przyjeżdża musieliśmy się pokłócić. Pomyśli, że nasze małżeństwo jest niedobre.

— Czy jest niedobre?

7.

Wanda Wernerowa spacerowała po peronie oczekując na pociąg. Był spokojny, nieco wilgotny wieczór. Powietrze pachniało mokrym żelazem i spalinami. Latarnie rzucały mdłe światło na szeroki chodnik. Podróżnych było niewiele. Pora późnej wiosny nie jest jeszcze okresem wzmożonego ruchu wakacyjnego. Jest to faza względnego spokoju po gorączce Świąt Wielkanocnych i przyczajenie przed szaleństwem urlopów. Wanda myślała o człowieku, który powitał ją na lotnisku, przeprowadził przez cały labirynt kolejek podziemnych i pożegnał przed chwilą na dworcu nowojorskim. Ponieważ odlot z Polski wypadł niespodziewanie, uradziła z mężem, że nada telegram do jego dawnego znajomego przebywającego od szeregu lat w Nowym Jorku, aby pomógł jej w przejeździe z lotniska na stację. Człowieka tego pamiętała jako niezmiernie dowcipnego młodego inżyniera, który bywał w jej domu przed wojną. Z pewnym wzruszeniem malowała usta pomadką i przeglądała się w lusterku przed wyjściem z samolotu. Poczula, jak serce jej zaczyna bić żywiej, jak każdy oddech przejmował ją falami drobnych drżeń i stwierdziła z satys-

fakcją, że nie jest jeszcze stara, że takich uczuć nie doświadczały kobiety, których namiętność wygasła. Inżyniera poznała z trudem. Roztył się, jakby zmalął, przeplatał rozmowę gęsto językiem angielskim i początkowo niewiele na nią samą zwracał uwagę. Czuć go było przy tym rybami i ten prozaiczny i przykry zapach, ta bezosobowość powitania wygładziły prędko powstałe przy oczekiwaniu podniecenie. Dopiero, gdy usiedli nad filiżanką kawy w restauracji dworcowej, spojrzał na nią z aprobatą.

— Pani zawsze taka sama, młoda...

Roześmiała się wskazując na swoje z lekka na skroniach posiwiałe włosy. Zapach ryb denerwował ją. Chciała już go o to zapytać, gdy niespodziewanie wytłumaczył jej sam. Ale przedtem jeszcze zaproponował, aby nie męczyła się, przespaa noc w Nowym Jorku, że on zaraz porozumie się telefonicznie z Wojtkiem, i że Wojtek niewątpliwie będzie tu jutro rano, aby ją zabrać samochodem do Noburga.

— Nie — broniła się — jadę natychmiast. Wysłałam już zresztą depeszę z samolotu. Ustalili mi wszystko: odjazd pociągu z Nowego Jorku i przyjazd do Noburga. Będę tam po dwunastą. Niech mnie pan nie zatrzymuje — wyciągnęła do niego rękę i cofnęła zaraz.

Inżynier podchwycił ten ruch, uśmiechnął się smutno. Obok nich przesuwali się ludzie szukając wolnych stolików, inni podrywali się z miejsc, gdy megafon obwieszczał przyjazd pociągu. Odczuwało się tempo nieustannego ruchu dążenia gdzieś, spotkań i rozstania.

— Zmieniłem się — powiedział — i czuć mnie „szrympami”.

— „Szrympami”?

— Ja zaraz pani wytłumaczę. Mój znajomy założył tu taką przetwórnię małych raczków-*shrimps*. Pomagam mu. Pracuję dosłownie w lodówce, obieram „szrympy”. Jak tylko otrzymałem telegram, szczęście, że akurat wróciłem wprost do domu, złapałem taksówkę i, nawet nie przebierając się, na lotnisko. Co za spotkanie! Ile mi pani rzeczy przypomniała! — *Another coffees!* — zawołał do kelnerki. — Mamy czas pani Wando.

— Nie pracuje pan jako inżynier?

Spojrzał na nią z pobłażliwym uśmiechem. Jego twarz była blada, policzki obwisłe, z zatartych rysów, jakby

poprzez inglę, przezierając podobieństwo do dawniej znanej jej twarzy.

— Kończymy się — powiedział.

— Dlaczego pan nie wraca?

— Ach, droga pani Wando, chyba nie przyjechała tu pani robić propagandę? Wracać? Gdzie? Dokąd? I to mówi pani, żona człowieka, który... Nie wracam! — trzasnęła rozpostartą dłoń w kolano — na znak protestu! Zupelnie was przerobili — dodał kręcąc głową.

— Nie mówmy o tym! — zawołała.

W tej chwili megafon ogłosił, że pociąg na który czekała zbliża się. Porwała się od stolika podniecona.

— Zaraz, zaraz — uspakajał inżynier — mamy czas.

Ale jej drżały ręce i dygotały usta. I nagle nie wiadomo dlaczego z oczu zaczęły płynąć łzy.

— Jestem wyczerpana nerwowo — szepnęła. — Proszę, niech mnie pan odprowadzi na peron i zostawi samą. Niech pan nie protestuje! Mam tylko dwie walizki. Bardzo pana proszę, bardzo pana proszę...

Szli przez poczekalnię dworcową. Pachniało tytoniem, niezamieszkałą obcością miejsc niczyich. Ludzie siedzieli na drewnianych ławkach pół drzemiąc, albo czytając gazety. Minęła ich jakaś młoda elegantka i pozostała po niej smuga perfum i pudru, która przytłoczona gęstym, nagrzanym i mdłym oparem stacji, znikła natychmiast.

Inżynier szedł obok Wandy milczący, Szeroki kapelusz na jego głowie wyglądał, jak zwiędły grzyb.

— Ile mam czasu?

— Dużo czasu.

— Ile?

— Siedemnaście minut.

— Siądźmy tu na sekundę. Niech mnie pan źle nie rozumie. Wie pan, jedna z moich znajomych jechała z Polski do córki, do Kanady. I wszystko było dobrze, całą drogę okrętem dobrze, dopiero przed wypłynięciem do portu dostała ataku nerwowego, tyle lat, pan rozumie, ludzkie nerwy... Zaraz... zaraz... ja panu jeszcze coś innego, wręcz przeciwnego... Więc płynęła okrętem też do rodziny, do Polski jedna ze znajomych i wszystko było dobrze, dopiero przed samą Gdynią nie wytrzymała. Taka poważna, zrównoważona osoba. Widzi pan, ja nie mogę, ja muszę być spokojna. Ewa lada dzień, lada chwila... i nigdy bym

sobie nie darowała, gdyby się stało coś jej, albo dziecku. Ja się najlepiej sama uspokoję, ja wiem, ja siebie znam. Teraz wyjdę na peron i... bardzo panu dziękuję i... a co z żoną?

— Żona w Angli..

— Jakto?

— Ach...

— Dlaczego?

— Staram się...

— Ile mam minut?

— Jedenaście.

— Ale przecież ona, przecież pan, przecież wy nie...

— Nie, nie!

— To co na miłość boską?

— Ma pani dziesięć minut, pani Wando.

— Dziękuję panu najserdeczniej

— Nie ma za co. Zniosę pani walizki na peron.

— Nie, nie! Już w porządku, jeszcze raz dziękuję.

My się jeszcze zobaczymy?

— Naturalnie.

Inżynier zdjął kapelusz, pocałował Wandę niezręcznie w rękę i odszedł. Wanda zjechała po ruchomych schodach na peron. Łyknęła wilgotnego, przesyconego wyziewami powietrza. Było jej gorąco, odczuwała palące pragnienie. Myślała o inżynierze. Co się z nim stało? Oklapnął, skapcaniał. I ten zapach ryb! Czy ja też się tak zestarzałam? A Wojtek? A Ewa? Co się mu stało, gdy spytałam dlaczego nie wraca do kraju? Czym ja go uraziłam?

Inżynier przeszedł wolno poczekalnię, skierował się sklepionym tunelem do kolejki podziemnej.

Co się stało tej Wernerowej? — zastanawiał się. — Najwyraźniej się bała. Czy nas ktoś obserwował? Ta jej nagła histeria w restauracji! Niewątpliwie wie o tym, że jestem sekretarzem Koła i nie chciała się ze mną pokazać na peronie. No ale dlaczego zadepeszowała? — uśmiechnął się. — Ty stary dwójkarzu — szepnął do siebie — dopiero teraz zorientowałeś się, że to był haczyk. Ta jej zachęta powrotu do kraju. Wiadomo, wszystko było z góry uplanowane. Ale rybka nie połknęła haczyka! Jakimi to drogami reżym sięga po nas. No... no, po co ona przyjechała do Ameryki? I Wernera zwolnili! Nie zwolnili go bez

powodu. Agentka komunistyczna, cholera! Muszą ludzie. Co mają robić? Ale kto by się spodziewał? Taka Wańdzia Wernerowa, fertyczna kobieta, i pomyśleć, tańczyłem z nią przed wojną, bywałem w ich domu. Wierzyć się nie chce... no, wprost wierzyć się nie chce! Ale jej zięć! No tak, zerwał z prezesem. Diabli wiedzą dlaczego zerwał. Taki porządny chłopak.

8.

Na dworze ściemniło się zupełnie. Porywisty wiatr tłucze o ściany domu, trzask łamanych gałęzi, dzwonienie szyb. Burza.

Ewa wyłączyła aparat telewizyjny. Trzeba pojechać jeszcze do „Shopping Center” po chleb — pomyślała. — Boże, co za burza!

Błyskawica przecięła niebo, jej blask padł na pokój. Helenka drżąc przytuliła się do matki. Grzmot runął nagły, bliski, dom zatrzęsł się. Ewa wybiegła na werandę. Woda spływa po szybach.

Gdzie jest Wojtek? Gdzie jest Wojtek?

— Momy! — zapłakał Mathew — Momy! *Where are you?*

Błyskawice oświeślały ogród, krzaki azalii chwiała się w nieprzytomnym, dziwacznym tańcu. Grzmot, jeden, drugi... dom kolebie się, kłękocą szyby. Klocki dziecinne na werandzie rozsypały się, potoczyły, aż do nóg Ewy. Jezus, Maria — szeptała — Jezus... Maria...

Bała się burzy. Nie przyznawała się do tego nigdy, nawet przed samą sobą, ale strach był silniejszy, był poza nią, narzucał się, był, jak poryw wiatru, który zginał drzewa. Czuła się zespólona z dygocącą za oknami przyrodą. Jej głos, gdy uspakajała dzieci, był opanowany.

— Patrzenie, jak ślicznie, o, jaka piękna błyskawica. Nie trzeba się bać!

— Gdzie tata? — zapłakała Ania — gdzie tata?

Ewę porwała złość na Wojtkę. Poszedł, zostawił mnie, poszedł na umyślnie. Właśnie teraz, chciał mnie ukarać. Pobiegnę do niego, pokażę mu, że się nie boję.

— Pójdę po tatusia.

— Nie! — krzyknęła Ania. — Nie idź! — uchwyciła się kurczowo jej ręki. — Nie idź! Stała przez chwilę niezdecydowana. Pochyliła się i zaczęła układać rozsypane klocki. Ten ruch uspakajał. Helenka wyciągnęła starą lalkę spod sterty pudełek z zabawkami. Ania posunęła się ostrożnie w kąt werandy.

— Patrz — zawołała. — Przyniosła do Ewy i położyła przed nią plik zmoczonych książeczek.

— Weranda przecieka — myślała głośno Ewa — chodźmy do pokoju.

— Patrz! — Patrz! — powtórzyła Ania.

Ewa spojrzała. Ania przyniosła jej polski elementarz. Okładka była zupełnie zniszczona. Ewa usiadła na kanapie, rozpostarła na kolanach podłużny elementarz.

— Aniu, chodź poczytać!

— Mmm — pokręciła głową Ania. — Nie!

— Aniu!

Mathew wdrapał się na kanapę.

— *I will.*

— Maciusiu — szepnęła Ewa — dlaczego nie powiesz po polsku?

Chłopczyk wzruszył ramionami.

— Przecież wiesz, przecież rozumiesz.

Mathew uśmiechnął się. — Pierwszych słów nauczył się od dzieci sąsiadów. Nad Anią Ewa pracowała, Ania mówiła po polsku. Z Helenką było trudniej, Helenka po prostu nie chciała. A Mathew... Nazwali go Mathew, ażeby było mu łatwiej. Był to nawet pomysł Ewy, bo przecież dla nich zawsze będzie Maciusiem. Ale Maciej! Któż by wymówił: Maciej. Przecież trzeba dostosować się do warunków. Trzeba się jakoś urządzić, trzeba żyć. Trzeba nareszcie poczuć się tym, czym się jest naprawdę. Błyskawice stawały się rzadsze, grzmoty oddalały się, cichły. Zasłona deszczu przecierała się i widać przez nią było letni wieczór ze skrawkami niebieskości, resztkami słońca i soczystą zielenią, jakby dopiero przeciągniętą świeżym, nie obeschłym jeszcze lakierem.

Wojtek otworzył drzwiczki samochodu. Przeczekał burzę za kierownicą. Deszcz zmył kurz z emalii samochodu i wydobył jej ciemnozieloną barwę. Deszcz drobny i ciepły

wisiał w powietrzu, ziemia parowała. Wojtek wyciągnął dywanik wyścielający podłogę samochodu, rzucił go na chodnik i zaczął czyścić prędkimi ruchami szczotki. Ewa zbliżała się ku niemu, szła otulona w płaszcz deszczowy.

— Przemoczysz nogi! — krzyknął.

— Nie mamy chleba. Pojedziesz po chleb?

— Pojadę.

— Wojtusi, dlaczego uciekłeś w samą burzę?

Wzruszył ramionami.

— Nie stój tak na deszczu.

— Co robiłeś?

— Siedziałem tu sam. Miałem trochę spokoju. Myślałem.

— Denerwowałam się o ciebie.

— Naprawdę? Po tym co mi powiedziałaś myślałem, że wołałaś być sama.

— Co ja ci powiedziałam?

— Że nasze małżeństwo...

— I ty wierzysz w takie głupstwa?

— Myślałem, że może masz rację, że może rzeczywistość nie powinnaś była przyjeżdżać.

— Ach, przestań, przestań!

— Zrezygnowałem ze wszystkiego dla ciebie.

— Zrezygnowałeś?

— No powiedz, czym ja jestem?

— Jakto czym jesteś? Jesteś inżynierem, pracujesz nad doktoratem, robisz karierę.

— I niczego nie dokonałem. Jako Polak...

— Wojtek, nie mów tak! Dla Polski zrobisz więcej jako Amerykanin na wysokim stanowisku.

— Co to kogo obchodzi? Może... chodźmy na górę, daj mi rękę... może...

Schodki były śliskie; z listków pnącej róży sypały się grube krople deszczu, trawnik przed domem rozmiękł.

— Dach werandy zacieka — powiedziała Ewa.

— Gdzie?

— W prawym rogu. Nie wiedziałam, dopiero Ania przyniosła mi książki, poszłam zobaczyć, kałuża wody na posadzce. Wojtuś! Ja zaraz po szpitalu, jak tylko dojdę do siebie, pójdę do pracy. Zobaczysz! W mieście zaczyna się kurs fizyki atomowej, wiesz przy uniwersytecie wieczorem. Może mamusia zostanie? Albo sprowadzimy z

Niemiec jakąś starszą kobietę, Polkę, D.P., zajmie się dziećmi. To wszystko kwestia pieniędzy! Będziesz mógł jeździć na zebrania do Waszyngtonu. No powiedz coś przecież! Odezwyj się!

9.

Pociąg ruszył i natychmiast zahamował gwałtownie, aż podróżna torba Wandy Wernerowej spadła z siedzenia, a ona sama uderzyła głową o oparcie. W wagonie było gorąco. Wstała, zdjęła sweter, zachwiała się, przytrzymała się ręką o oparcie fotelu. Pociąg ruszył. Przez zapotniałą szybę widać było usuwające się zwolna latarnie. Wjechali w tunel. Spojrzała na zegarek. Było trzynaście po siódmej. Po mroku peronu, ciemności tunelu, szaroniebieski, matowy, wilgotny wieczór przypominał jej, że jest jeszcze wcześniej, że dopiero po północy zobaczy Ewę. A spotkanie wydawało się już tak bliskie. Nadejście pociągu poraziło ją niemal, wzbudziło tyle uczuć! Jak gdyby to była już Ewa niecierpliwie oczekująca na peronie, nagląca do pośpiechu, zazdrosna o każdą minutę przedłużającą nieznośnie dwanaście lat niewidzenia. Jak mogła wytrzymać tak długo! Jak mogła przeżyć tę rozłąkę, która teraz wydawała się nie do zniesienia.

Niebo było blade, podmalowane od spodu anemicznym błękitem, już gdzieś tam palily się światła, czerwieńiały reklamy. Przedmieścia, które mijała, były brzydkie, ciągnące się milami nierówne domki, zabudowania fabryczne, wielkie zbiorniki benzyny, cementarzyska starych samochodów. Wanda odwróciła się od okna i zaczęła przyglądać się wagonowi. Wąskim przejściem przepychała się właśnie kobieta z poduszkami pod pachą, proponując pasażerom ich wypożyczenie. Pasażerów było niewiele. Starszy mężczyzna w binoklach o złoczonej oprawie czytał gazetę. Dziewczyna w mundurze oficera marynarki siedziała nieruchomo, z przymkniętymi oczyma. Miała krótko obcięte włosy, mocno zarysowaną brodę, przez niskie czoło i pomiędzy brwiami przebiegała pionowa zmarszczka.

Westchnęła. Wanda przyglądała się jej. Dziewczyna przypomniała jej Ewę. W pewnej chwili nieznajoma otworzyła oczy i napotkawszy wzrok Wandy, uśmiechnęła się.

— *I am so tired* — przeciągnęła się.

Wanda nie rozumiała dokładnie o co chodziło jej towarzyszcze.

— *O yes* — odpowiedziała na wszelki wypadek.

— *You don't mind, do you?* — zwróciła się do niej dziewczyna, po czym zdjęła z nóg pantofle i z westchnieniem ulgi wyciągnęła nogi na przeciwległe siedzenie.

Pociąg kołysał się łagodnie, usypiająco.

— *Would you like a piece of candy?* — zaproponowała dziewczyna.

Wanda nie rozumiała.

— *O please, do!* — dziewczyna wyciągnęła ku niej rękę z otwartą tabliczką czekolady.

— *Thank you very much.*

— *You are not an American* — zauważyła dziewczyna.

Jej uśmiechnięta, młoda twarz wydała się Wandzie niezmiernie sympatyczna. Jak moja Ewa! — pomyślała rozczulona. Moja Ewa zawsze była taka bezpośrednia. Nie jest wiele starsza od niej. Zaczęła dopatrywać się coraz większego podobieństwa pomiędzy nieznajomą, a Ewą. Ta delikatność karnacji skóry, zarys brody, te krótko obcięte niedbale, a jednak z wdziękiem zaczesane włosy. Jak moja Ewa — myślała — Jak moja Ewa.

— *You are not an American?* — powtórzyła dziewczyna.

Wanda pokręciła głową.

— *Poland.*

— *O Gosh!* — pisnęła dziewczyna — *my grandfather was from Poland.*

Wanda zrozumiała. Przymknęła jednak oczy bojąc się dalszej rozmowy, która mogłaby stać się dla niej kłopotliwą. Starła się wyobrazić sobie Ewę, ale twarz i postać córki utożsamiały się z napotkaną dopiero dziewczyną. Do przedziału wszedł konduktor sprawdzając bilety. Gdy odszedł, Wanda usadowiła się wygodnie, oparła głowę o siedzenie i zapadła w pół-drzemkę. Myślała o Ewie.

Ewa była jedynym dzieckiem. Ojciec jej, polonista, profesor historii literatury, od najwcześniejszych lat marzył o karierze naukowej dla córki. Czytywał jej książki, kazał wsłuchiwać się w brzmienie poezji, których treść była jeszcze dla niej nieuchwytna, a gdy nauczyła się czytać dobierał jej lekturę, dyskutował i zachęcał do dyskusji. W domu Wernerów bywali ludzie ze świata naukowego, koledzy uniwersyteccy profesora, dziennikarze i literaci. Na imieniny ojca i matki urządzano wielkie przyjęcia, stoły i kredensy zastawione były kwiatami. Na każde święta rozsuwano długi stół w jadalni i zawsze było za mało miejsca dla przyjaciół, albo niespodziewanych gości. Ewa wychowywała się i wzrastała w otoczeniu, w którym nauka, stopień naukowy, pozycja w świecie były rzeczami niemal tak niezbędnymi do życia, jak tlen. Dopatrywano się też w niej od najwcześniejszych lat zdolności.

Profesor wierzył, że Ewa dokona tego czego on sam zawsze pragnął: napisze jakieś dzieło, pracę o wszechświatowym rozgłosie, poświęci się literaturze czy historii, zapoczątkuje nowy ruch, wniesie świeży powiew do nauki, stanie się prekursorem nieznanych dotąd idei. Ewa interesowała się książkami, umiała układać naiwne wierszyki, ale w miarę rozwoju i nauki w szkole zaczęła zdradzać zdolności matematyczno-fizyczne. Profesor z wolna pogodził się z odmiennymi zamiłowaniem córki. Nie dokona niczego na polu humanistycznym — mawiał — ale za to wybiję się i pokaże co potrafi w innej dziedzinie. Ewa miała umysł trzeźwy, lubiła nauki ścisłe, a literaturę zajmowała się tylko ze względu na ojca. Postanowiła studiować fizykę. Po wybuchu wojny jednak zmieniła zdanie i zapisała się na komplety chemii na uniwersytecie podziemnym. Trzeźwość, zamiłowanie do nauk ścisłych odziedziczyła Ewa po matce. Wanda Wernerowa była przeciwnieństwem męża. Skrupulatna, drobiazgowa i trzeźwa marzyła również o karierze dla córki, ale innej niż osiągnięcia naukowe.

Ewa była jedynaczką rozpieszczoną. Najpierw cudownym dzieckiem, potem wybitnie zdolną uczennicą, jeszcze później doskonale zapowiadającą się studentką chemii. Jej delikatna, dziewczęca uroda podbijała serca, jej humor i bezpośredniość zdobywały jej przyjaciół. Była zawsze otoczona i podziwiana. Jej najpierwsza młodość upływała w cza-

sie wojny, pod okupacją, w tej specyficznej atmosferze ogólnego zbliżenia, wieczorów przy świecy, bliskości śmierci i lekceważenia życia, romantycznych marzeń o poświęceniu, bohaterstwie i miłości. Wszystko otoczone było mgłą tajemnicy. Zakazane smakowało najwięcej. W późne wieczory czytowano komunikaty radiowe z zachodniego frontu. Za każdym zakrętem, na każdym rogu ulicy czaiło się niebezpieczeństwo. Każdy dzień zyskany był zdobyczą bezcenną, utrzymaniem balansu na granicy życia i śmierci. Wyostrzona wyobraźnia stwarzała bohaterów. I właśnie wtedy, któregoś wieczora, przy zasłoniętych czarnym papierem oknach, w nierównym świetle karbidowej lampki rzucającej zmienne, fantastyczne cienie na stół, na pokój, na rozgrzane wiosną i wycieńczone okupacyjnym życiem twarze ludzi — zjawiał się Wojtek.

10.

— Wojtuś! Spójrz, jak się ślicznie rozpogodziło po deszczu. Trawnik jakby jeszcze bardziej pozieleniał! — Ewa stała w drzwiach kuchennych ubrana i uczesana. Sztuczna szczeka zmieniła nieco układ jej ust. Jej twarz była w słońcu, na rękach leżał cień. Cienie uspokojonych gałęzi rysowały chodnik.

— Jak ty bardzo zależysz od przyrody. Nie potrafisz zapanować nad sobą.

— Czuję się taka spokojna.

— I płaczesz...

— Jest mi tak dziwnie dobrze, dobrze i jasno, ale na granicy smutku, aż się boję.

— Czego?

— Nie wiem. Krzyżują się we mnie dziwne uczucia. Żal mi chwil, które mijają i wydają mi się, że na coś czekam, a wiem, że tak nie trzeba. Chodź, usiądźmy w *sitting room*'ie, nastawiłam pieczeń, o dziewiątej wykapiemy dzieci i...

— Ewo, nie powiesiłem obrazków... ale zaraz, zaraz...

— To nie ważne... Czy... chciałbyś, żeby to był chłopiec?

Sitting room rozjaśniał się dopiero o zachodzie słońca. Światło poprzez zielone liście wina sączyło się bogate, stłumione, niby w pół-szepcie.

— Muszę jechać po chleb! Wiesz, że mi wszystko jedno, chodzi mi o ciebie. Jak ty ładnie wyglądasz.

— Pytałeś mnie czy spałam. Myślałam. Wiesz, przypomniało mi się... przypomniał mi się ten wieczór, gdy przyjechałeś. Dziwne, wiedziałam, że coś się stanie. Wtedy wiedziałam na pewno. Powiedz, co myślałeś wtedy, gdy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy? Jakie zrobiłam na tobie wrażenie... jakie?

— Ogromne.

— A jednak żałujesz...

— Nie!

— Żałujesz, bo tamto było dla ciebie wszystkim.

— Stronictwo?

— Tak.

— Nie, to nie to. Ciężko mi żegnać się z tą częścią samego siebie, która wydawała się wszystkim.

— Jak ja wyglądam?

— Ślicznie.

— Czy może lepiej, abym włożyła niebieską bluzkę?

— Nie, tak jest dobrze.

— Widzisz, mamusia... A może trzeba było, ażebyś pojechał do Nowego Jorku?

— Tak...

— Może trzeba było, abyś pojechał do Nowego Jorku!

— Ach tak... przez chwilę zapomniałem. Przepraszam cię, zupełnie zapomniałem.

— Jako?

— Zamyśliłem się, wiesz...

— Zapomniałeś?

— Myślałem o tobie. Może nie powinnaś była przyjeżdżać.

— Ach więc żałujesz!

— Ewo, kochanie, nie nie, nie odchodź! Poczekaj! Ja tylko myślałem, że może nie jesteś szczęśliwa.

— Jestem.

— Powiedz to jeszcze raz.

- Jestem.
- Jak bardzo?
- Tak bardzo, tak bardzo, tak bardzo...

Wanda Wernerowa wstrząsnęła się. Pociąg stał na jakiejś dużej, ruchliwej stacji. Ludzie rozmawiali głośno na peronie. Spojrzała przerażona na zegarek. Jedenasta. To jeszcze nie tu! Nie tu? Nie dowierzała zegarkowi. Poczęła ściągać w pośpiechu walizki z bagażnika. Dziewczyna w mundurze odwróciła się od okna.

— *May I help you?* — spytała.

— Czy to stacja Noburg — krzyknęła Wanda. — Czy to Noburg? powtórzyła.

— Ach nie — uspokoiła ją dziewczyna. — Ja też tam wysiadam. Mamy jeszcze godzinę czasu.

Wanda usiadła. Zadyszana, oddychała prędko.

— O mój Boże spałam, o mój Boże, zasnąłam!

Pociąg ruszył, minęli oświetlone zegary stacyjne wskazujące kilka minut po jedenastej. Znow wjechali w tunel. Wanda chwyciła powietrze z trudem. Twarz jej pałała, przez ciało przepływały fale dreszczów. Było jej duszno. Wydawało jej się, że za chwilę w tym przegrzanym, mimo późnej pory wiosennej wagonie, zabraknie tlenu, a kleista ciemność tunelu potęgowała jeszcze to uczucie. Odetchnęła głęboko, gdy pociąg wyjechał na otwartą przestrzeń. Była jasna, pogodna noc. W świetle księżyca, pod niebem osypanym gwiazdami krajobraz wydawał się jakby nie rzeczywisty, niezwykle uroczy i urozmaicony. Miejscowość była górzysta, o licznych tu i ówdzie rozrzuconych jeziorach. To znow droga zwężała się i widać było ścianę lasu obrastającą wysoki, skalisty zrąb po obu stronach szyn kolejowych. Po takim skalistym korytarzu otwierała się nagle dolina z miasteczkami podobnymi z daleka do dziecinnych, równiutko ułożonych zabawek. I znow narastały góry czarne od lasów, posępne olbrzymy z głowami wciśniętymi w ramiona. Pociąg biegł teraz lekko, bezszelestnie, jak gdyby nastrajał się do otoczenia, jego uśpionej ciszy, jego czarodziejskiej nierealności, przedpółnocnego zadumania przyrody, która, wydawałoby się nieruchoma, nabierała tylko oddechu, przeobrażała się, ginęła i poczyniała samotnie i w ukryciu przed ciekawym okiem dnia.

— O której powinniście tu być? — spytała Ewa.

— Myślę, że kilka minut po pierwszej, nie później.

Rozmawiali szeptem. Dzieci nie spały jeszcze, kręciły się podniecone w łóžeczkach.

— Maciuś już śpi, Helenka zaśnie, ale Ania rozumie najwięcej i strasznie jest przejęta.

— Zaśnie — uspakajał Wojtek.

— Pieczeń będzie bardzo dobra. Kupiłeś wino?

— Nie pamiętam, aby twoja matka piła...

— Ale wino powinno być w domu. Nie pomyślałeś o kwiatach!

— Przecież nie będę na nią czekał z kwiatami na dworcu!

— Właściwie...

— Czy nie wystarczą te róże z ogródka w wazonie?

— Muszę wyprasować serwetę!

— Ewo, o tej porze? Daj, ja ci wyprasuję! Nie dźwigaj deski!

— Wojtuś, jedź już! Spóźnisz się!

— Mam dużo czasu.

— Ale pociąg może przyjść wcześniej, może ci opona trzasnąć w drodze... Wojtek rozkładał deskę do prasowania w stołowym pokoju. W otwartych drzwiach do kuchni majaczył biały prostokąt lodówki. Ania przeskoczyła smugę księżycowego światła padającą poprzez okno kuchenne na linoleum i stała boso, skryta za lodówką. Ewa wygładzała fałdy nakrycia kanapy w *sitting room*'ie.

— Tatu... — szepnęła Ania — tatu...

— Aniu! No co ty tu robisz!

— Tatu, czy babunia już jest?

— Aniu! — zawołała Ewa — włóż szlafroczek, chodź zakręczę ci papiloty.

— *Oh boy!* — ucieszyła się Ania.

— Wojtek, błagam cię, jedź! Zostaw wszystko! Mnie się nic nie stanie, nie prasuj tej serwetki! Błagam cię, proszę cię jedź! Spóźnisz się!

— Czy ci coś jeszcze potrzeba?

- Nic! Jedź!
- Do widzenia.
- Wojtek!

Wojtek podchodzi do Ewy. Ewa krząta się poprawiając serwetkę pod lampą, na stoliku. Wojtek myśli: Oby ten przyjazd za drogo nas nie kosztował. Ewa jest nieprzytomnie zdenerwowana. Mówi:

— Niedługo tu będziemy, ani się obejrzysz.

— To nie to. — Głos Ewy jest stłumiony, mówiąc nie patrzy na Wojtkę. — Wiesz, czas mija... my nie spostrzegamy niczego, dzieci rosną i ja... i ja...

— Wyglądasz ślicznie, wyglądasz ślicznie. Masz takie same oczy, jak tego wieczoru, gdy cię zobaczyłem pierwszy raz.

— Ale ona... umiała zawsze dbać o siebie. Miała tylko mnie jedną. Nawet w najgorszych czasach chodziła do fryzjera, do kosmetyczki, do... dentysty... Och, Wojtuś, Wojtuś...

— Ci-cho... przecież ona wie o tym...

Wojtek wychodzi. Drzwi werandy zostawia uchylone. Noc jest chłodnawa, a powietrze lekkie podeszczową świeżością, wonne słodkim zapachem *honey-suckle*, który rozkwitł niedawno w pobliskich zaroślach, odurza. Ewa wstaje z kanapy, otwiera szerzej drzwi werandy. Jak pachnie!

— Wojtuś! — woła — jedź wolno, uważaj!

U podnóża schodków zapach *honey-suckle* potęguje się, i jeszcze, jakby z oddalenia naniesiony wiatrem dziki jaśmin. W domach sąsiadów już pogasły światła, tylko u Betty, tej, która przyjaźni się z Ewą, przez okna *sitting-room*'u widać jasno niebieską plamę ekranu telewizyjnego. Wojtek wyjmując z kieszeni klucz od samochodu. Ma ochotę zawrócić, usiąść razem z Ewą nad filiżanką kawy. Na jak długo przyjeżdża jej matka? Sześć miesięcy, rok, na stałe? Dręczy go przykre przeczucie, że będzie musiał się dzielić. Ewa jest już częścią jego samego i on przeniknął w nią usuwając zazdrośnie to, co stanowiło ją samą. Jeśli tamto wróci ożywione zjawieniem się matki?

Wojtek zapuszcza motor, samochód rusza zwolna, toczy się z góry, chodniki są białe w księżycowym świetle, uśpione domy kryją się w wysokich drzewach podmiejskiej dzielnicy. Jest to dzielnica średnio-zamożnej inteligencji.

Początkowo, gdy Wojtek otrzymał pracę w mieście, wynajęli domek byle jaki, w pośpiechu, aby Ewę sprowadzić razem z dziećmi jak najszybciej z Waszyngtonu. Było to zeszłego lata. Ewa prosiła:

— Znajdź posadę na północy, wszystko jedno już gdzie, ale żeby można było oddychać, żeby można było spać w nocy. Ten klimat mnie zabija. Waszyngton zrobił wspaniały interes sprzedając te bagna państwu. Niech oni tu cierpią, ale ja nie chcę! Nie mogę!

Ewa przyjechała do Noburga wydręczona wilgotnymi upałami Waszyngtonu i natychmiast postanowiła się tu osiedlić na stałe. Entuzjazmowała się zawsze wszystkim co nowe, aby po kilkutygodniowych lub miesięcznych zachwytach popaść w depresję, popłakiwanie za rodzicami, za Polską, za utraconą karierą, za utraconymi zębami, nad Wojtka zmarnowanymi możliwościami. I znów ożywiała ją czyjaś wizyta, zaproszenie, poznani ludzie, plany studiów wieczornych, czy pracy. Domem, który wynajęli na niedalekim przedmieściu, zachwycała się krótko. Stopniowo zaczęła w nim wynajdywać coraz więcej wad, a ponieważ Wojtek zajęty pracą w biurze i wieczornym dokształcaniem się nie miał czasu na poszukiwanie nowego mieszkania, nauczyła się sama prowadzić samochód. Zwróciła się najpierw do Wojtka z prośbą o nauczanie jej jazdy. Doszło jednak do tak ostrych scysji, że pewnego dnia zdenerwowana Ewa rozbila latarnię i uszkodziła samochód, a po okropnej wynikłej z tego zdarzenia awanturze, zdecydowała się zapisać do specjalnej szkoły prowadzenia samochodu. Ukończyła ją, otrzymała prawo jazdy i odtąd wybierała się sama na poszukiwania bardziej odpowiedniego domku. Ponieważ nie miała nikogo komu mogłaby powierzyć dzieci, zabierała je z sobą. Dzieci, które przy przejażdżkach samochodowych z ojcem baraszkowały i niemal siadały mu na ramionach i na głowie, w czasie szoferowania Ewy zbijały się w spłoszoną gromadkę na tylnym siedzeniu i uspakajały jedno drugie przykładając palce do ust.

Wojtek skręcił z bocznej alei i wjechał na szeroki trakt prowadzący do miasta. Obawa przed przyjazdem matki zaczęła ustępować. Czuł się nawet podniecony. Zalewała go ogromna fala tliwości dla Ewy. *High way* była prawie pusta. Minał zamkniętą już o tej porze białą stację benzynową, przejechał pod niskim mostem, z daleka widać było światła miasta. Przejechała obok niego potężna ciężarówka ciężko sapiąc i zostawiając po sobie smugę smrodliwego dymu.

Wojtek myślał o wieczorze, w którym po raz pierwszy zobaczył Ewę.

Poznał ją w domu jej rodziców, gdy przyszedł tam na umówione spotkanie z profesorem. Profesor był jednym z kontaktów danych mu przez prezesa jeszcze w Londynie. Był wybitnym działaczem Stronnictwa.

Okoliczności, które spowodowały, że Wojtek Żuławski zainteresował się Stronnictwem, a potem do niego przystąpił, były raczej przypadkowe. Decyzja zapadła pewnie jeszcze przed śmiercią jego stryjecznego dziadka w roku 1940, ale sympatie sięgały daleko wstecz. Ów stryjeczny dziadek, Stefan, wywarł niewątpliwie większy wpływ na Wojtkę niż jego ojciec pułkownik Żuławski. Stryj był z pochodzenia chłopem, silnym, zrosłym mocno z ziemią, a przy tym marzycielem, obieżyświatem i w młodości swojej awanturnikiem. Jako student brał udział w rewolucji roku 1905, uciekł potem zagranicę, osiedlił się na krótki czas w Ameryce i wrócił zniechęcony do Zachodu, a jednak przesiąknięty zachodnimi ideami demokracji. Prowadzili razem długie rozmowy tak inne od tych, które Wojtek zwykł miewać ze swymi kolegami na uniwersytecie, albo przyjaciółmi ojca w domu. Stryj nie opuścił Kraju w roku 1939, ale już we wrześniu przystąpił do akcji tworzenia podziemia.

W roku 1940 został uwięziony i rozstrzelany. Po egzekucji stryja Wojtek przyłączył się na krótko do partyzantki w lasach kieleckich i już w roku 1941 przedostał się zagranicę. Tam poznał się z prezesem o którym niejednokrotnie stryj mu wspominał.

Wojtek spojrział na zegarek. Za piętnaście dwunasta. Światła miasta zbliżały się. Pośród kominów fabryk i nierównych sylwetek drapaczy widać było smukłą kolumnę Waszyngtona szerniałą i zapomnianą.

Przypomniał sobie ulice Warszawy wilgotne od wiosennego deszczu, żałosne i zaciemnione, pełne niebezpieczeństw kryjących się w ruinach i pod filarami mostu, gdy szedł nierozważnie, lekceważąc zbliżającą się godzinę policyjną, do domu profesora, a właściwie na spotkanie nieznajomej Ewy. Profesor otworzył mu drzwi zdenerwowany, powiedział, że Wojtka tego wieczoru nie puści, przenocuje go w swoim gabinecie, nie pozwoli na niebezpieczeństwo zatrzymania przez patrol niemiecki. Był to człowiek wzrostu średniego, w za luźnej, zwisającej na nim marynarce, mówił spokojnie, ale widać było, że nie zniósłby sprzeciwu, i że nie warto było mu oponować. Światło karbidówki, którą trzymał w ręce, a następnie postawił na stoliku w przedpokoju, pogłębiało dwie, mocno zarysowane brzozy biegnące ukośnie od nosa do ust. Objął ramieniem Wojtkę i wprowadził go do pokoju. Zgromadzeni przy stole spojrzeli na niego ciekawie. Nikt o nic nie pytał. Profesor przedstawił Wojtkę podając jego przybrane nazwisko, pod którym występował w Kraju.

— Moja żona.

Wanda wyciągnęła rękę, jej twarz była w cieniu.

— Ogromnie się cieszymy — powiedziała.

— Moja córka, Ewa.

Światło padało na twarz dziewczyny, jej policzki wydawały się płonąć, oczy miały barwę zieloną. Spojrzała na Wojtkę wzrokiem tak pełnym zachwytu i uwielbienia, że aż poczuł się zmieszany. Podniosła się niepewna, zażenowana i gdy tak stała na tle zaciemnionych okien bardzo młoda, onieśmielona i jakby oczarowana, wydała się Wojtkowi po pustce ulicy, po gwałtownych przeżyciach w momencie skoku, po długich przygotowaniach do wyjazdu do Polski, jakby symbolem tego za czym tęsknił, nigdy nie nazwanym, ucieleśnionym duchem marzeń o kraju.

Wojtek minął budynek poczty, spojrzał na duży, oświetlony zegar. Było dziesięć po dwunastej, miał prawie pół godziny czasu do nadejścia pociągu. Skreślił na dziedziniec stacyjny, zaparkował samochód. Wychodząc poczuł znowu ból w krzyżu. Skrzywił się niecierpliwie, zapalił papierosa. Bóle w krzyżu była to sprawa stara, datująca się jeszcze od czasu bicia w więzieniu przez gestapowców. Uciekł wtedy niemal cudem. Wydawało mu się: najważniejsze, że żyje. Dopiero od niedawna bóle zaczęły się nasilać. Może przemęczenie? Nie będę ścinał trawy — pomyślał. — Wynajmę ogrodnika. Zaczął obliczać ile będzie kosztował pobyt Ewy w szpitalu. *Insurance* nie pokryje wszystkiego.

Budynek stacyjny był masywnym, szarym, bezpretensjonalnym blokiem, bez jakiegokolwiek stylu, z rodzaju tych, które się spotyka najczęściej w miastach amerykańskich, zlewający się z monotonią otoczenia. Ten jednak można było zapamiętać w skojarzeniu z dwiema ogromnymi reklamami umieszczonymi tuż obok, tylko po drugiej stronie ulicy na wysokim drewnianym rusztowaniu i na tylnej ścianie kamienicy. Jedna z reklam była świetlna: potężnych rozmiarów kufel piwa napelniający się bursztynowym płynem; gdy żarówki tworzące płyn gasły, wyskakiwały z obu stron kufła cyfry: temperatura i czas. I znów gasły, a kufel napelniał się piwem. Druga reklama były to dwie plastikowe mordy krów, wychylające się ciekawie poprzez ogrodzenie. Na szyjach miały obroże z dzwoneczkami i napis gatunku mleka, który reprezentowały. Na reklamy te zwróciła uwagę Wanda Wernerowa zanim wsiadła do samochodu Wojtka. Teraz jednak jechała jeszcze pociągiem zerkając bez ustanku na zegarek i z każdą mijaną minutą czuła, że ogarnia ją stan podobny do paraliżu, że nie będzie się mogła ruszyć z miejsca, nie zdoła wypowiedzieć słowa, że nie potrafi nawet krzyknąć o pomoc. W związku z tym wykonywała szereg niepotrzebnych, dziwacznych i nieskoordynowanych ruchów, które zaciekały siedzącą po przeciwległej stronie wagonu dziewczynę w mundurze oficera marynarki. Od kilkunastu

minut przyglądała się Wandzie, a wreszcie zaniepokojona zawołała:

— *What is the matter?*

Wanda nie odpowiadała.

— *What's worrying you?* — nalegała. Usiadła na wprost Wandy, ujęła jej ręce w obie dłonie i zaczęła łagodnie pocieszać.

Wanda rozplakała się. Z urywanych słów dziewczyna dowiedziała się, że ma przed sobą matkę, która po dwunastu latach rozłąki jedzie do córki. Nie opuszczała już teraz Wandy, przyniosła jej aspirynę, napoiła kawą z termosu, zdjęła walizki z bagażnika, i gdy pociąg zatrzymał się na stacji drżącą i bladą z przejęcia wyprowadziła na peron i oddała w ręce oczekującego Wojtka. Uśmiechnęła się i zniknęła tak prędko w tłumie wysiadających, że nawet Wanda nie miała czasu jej podziękować. Wanda nie od razu zobaczyła Wojtka, ale on poznał ją i szedł na wprost niej z wyciągniętymi ramionami. Ażebym zamaskować wzruszenie, powiedział:

— *Welcome to the free land of Washington!*

Myślał: Dobrze się trzyma, młodo wygląda.

Dodał głośno:

— Ewa już doczekać się mamy nie może, płacze od rana.

Wanda rzuciła się Wojtkowi na szyję. Łzy spływały po jej rozgrzanych policzkach.

— Wojtuś, chłopcze kochany, jakiś ty mizerny!

— Co mam robić, nie młodnieję.

— Bo ty pewnie nic nie jesz! Jak wy się odżywiacie! Ja wiem, wy jesteście zupełnie odwitaminizowani w tej Ameryce. Co to za krowy, Wojtuś? Wyglądają, jak żywe. Mówię ci, o mało nie zemdlalam! Wystaw sobie, co to za przeżycie! To jakieś dobre stworzenie ta dziewczyna... ta wiesz, w mundurze. Acha, inżyniera widziałam. Śmierdział rybami, że strach! Samolot miałam cudowny, do Rygi ani nic... A co Ewa? Chryste Panie, Jedźmy! Może ona tam już w bólach! Śniło mi się tam, w pociągu, małe dziecko, wiesz, w brudnej wodzie. Niedobrze! Ach, ojciec mówił, uściskać ciebie i dobrze żeś od polityki odszedł, chociaż... szkoda, no, ale... No, a co prezes? Matko Święta, człowieku, jakżeś ty ten samochód minął! Śmierć na równej

drodze! Ach ty synu bieruta... Czekaj, znasz to, ty synu bieruta?

— Nie.

— No więc czekaj, to tak idzie: Ty synu bieruta, unra twoja mać, jak cię kopnę w gomółkę to rodzonej osóbkci nie poznasz. Chryste Panie, co ja wygaduje! Mam gorączkę. Wojtuś! Boże jedyny, co ty wyprawiasz! Nie pędź tak, bo żywi do domu nie dojedziemy.

14.

Ewa chodziła po domu zdenerwowana. Czuła się zmęczona. Nogi od bezustannego biegania z góry na dół nabrzmiały.

— Teraz już nic nie zmienię — mruzczała do siebie — teraz już nic nie przeinaczę. Żebym się wściekla, żebym sama siebie w de ugryzła, podłogi w kuchni nie napastuję. Macieja nie nauczę po polsku, piwnicy nie sprzątnę, żeby mi nie odrosną. No już trudno, nie ma co rozpaczać. *Face the fact! Face the fact* idiotko skończona, nie rycz, bo ci nos spuchnie. Ale żeby nie zawiadomić! Żeby tak w ostatniej chwili! Co to Polska na księżycu? Telefonów nie ma? Dzień przedtem nie można zawiadomić? A jak ja nie napisałam to historii! Wyrodna córka! Dla nich tylko jest usprawiedliwienie. Oni cierpią, wiecznie cierpią. Męczennicy! A ja burżujka amerykańska na dolarach siedzę. O Boże mój kochany, dziesięć po dwunastej, kartofle trzeba nastawić.

Ewa spojrzała krytycznie na kuchnię, poprawiła firankę, wygładziła ścierki. Nadsluchiwała. Nie, to nie oni. Za wcześniej, niemożliwe. Zapaliła światło w stołowym pokoju: na świeżo wyprasowanym obrusie wazon z różami. Wojtuś ściał róże, pomyślał, nie zapomniał. Co za noc! Włożę płaszcz, siądę na progu werandy, powiem:

— Spójrz na to niebo jakie bliskie, jakie rozległe. Jesteśmy tu uniesieni ponad Polskę i Amerykę, sami z sobą. Nie żałuję, że przyjechałam. Wcale nie żałuję, mamusi.

Spotkanie nastąpiło pośrodku *sitting-room*'u, bliżej oszklonych drzwi prowadzących do pokoju stołowego. Ewa usłyszała kroki: kroki Wojtka na betonie chodnika i drugie kroki lżejsze, drobniejsze, odgłos, który urzeczywistniał sprawę, wydawałoby się nierealną, odgłos kroków, który umilkł na innym kontynencie i teraz zaczynał się na nowo. Matka!

Biegła na spotkanie niezręcznie, potykając się, płacząc, potrącając meble. Dostrzegła ją. Zatrzymała się. Zatrzymanie to trwało sekundę, może nawet nie było zatrzymaniem, a tylko cofnięciem w czasie wywołanym gwałtowną eksplozją uczuć.

— Mamusiu! — Nie widziała jej poprzez łzy. To był tylko kształt znajomy, ucieleśnienie słowa, którego nie wymawiała tak dawno. Rzuciła się ku niej, w jej szeroko rozpostarte ramiona nie pamiętając o swojej zniekształconej figurze, o swojej zmienionej twarzy.

— Ewo, dziecko moje — szeptała Wanda. Myślała w gorączkowym przerażeniu; ta twarz, co się stało z twarzą? Co jest obcego w twarzy? To Ewa! To nie MOJA Ewa. To Ewa.

Uspakajała ją długo głaszcząc włosy, które nie były włosami Ewy, ramiona, plecy, które utraciły linię dziewczęcą, policzki, z których czas stał pyłek młodości, w oszłomieniu, buncie, rozpacz szukała drogi do tej kobiety, która była jej córką i bardziej żegnała się z dawną Ewą, niż witała z tą, która szlochała nieutulona, jakby przepraszając za to, że sprawiła jej zawód.

Wojtek czekał dyskretnie przed drzwiami werandy.

— Już? — zawołał. — Czy już można?

— Idziemy do ciebie — powiedziała Ewa. — Mamusiu, spójrz, co za niebo...

— Ewo!

— Ewo, co ci jest?

— Ewusiu, dziecko drogie!

— Wojtek, Wojtuś — szepnęła — zabieraj mnie zaraz do szpitala.

— Czekaj, zaraz, może się położyysz?

— Nie, nie mamusiu ja wiem... Wszystko będzie dobrze... Wojtuś, mój płaszcz i walizka!

— Dopiero przyjechałam i już odjeżdżasz.

- Ale przecież wróć.
- Ewo, gdzie walizka?
- W sypialni pod łóżkiem, włóż grzebień... i moja torebka na fotelu.
- Jedziemy!
- Wołowina w piecu!
- Ależ Ewo, ja nie wiem jak się gasi.
- Tam napisane: *off* i *on* z boku...
- Dziecko płacze! Ewa, Wojtek!
- To Maciuś, może się zsiusiał, pyjama wisi w *basemencie* na sznurze... do widzenia mamusiu... Ania ci powie... Wojtek zatelefonuje... do widzenia mamusiu!

15.

Na drugi dzień po przyjeździe matki Ewa urodziła syna. Leżała w szpitalu spokojna i szczęśliwa. Po raz pierwszy nie potrzebowała się martwić o dom, o dzieci, o Wojtkę. Odpoczywała. Tymczasem Wanda zapoznawała się z geografią domu, okolicy i z wnukami. Rozpaczała przy tym na każdym kroku to nad nieporządkami w piwnicy, to nad gnijącymi w schowku ziemniakami, nad stosami brudnej bielizny, a najwięcej nad dziećmi: że zaniedbane, że miszerne, że obdarte, jeść nie umieją, rozpuszczone, jak dzia-dowski bicz, a przede wszystkim, że tylko jedyna Ania umiała jako tako po polsku.

Zabrała się do gruntownych porządków: szorowała i prała, czyściła meble i wnętrza szuflad. Dzieci ujęła krótko. Wprowadziła codzienne lekcje polskiego.

Do domu uporządkowanego, ugładzonego ręką matki Wojtek przywiózł pewnego popołudnia Ewę. W czasie kilkudniowych, pochłaniających czas i energię zajęć, Wanda nie wiele zastanawiała się nad samą Ewą. Co krok ocierała się o przedmioty ustawione ręką córki, bez ustanku korygowała jej porządki, we wnukach odnajdowała rodzinne podobieństwo, krzątała się myśląc o tym, jak to Ewa się

uciesz, jak odetchnie, jak zacznie śmiać się, przekomarzać, jak powróci się jej dawną Ewę. Bo przecież ta zmęczona, ta zniekształcona kobieta na tle drzwi oszklonych, w ostrym blasku elektrycznego światła, to nie była Ewa. Nie była także prawdziwą Ewą ta wycieńczona twarz na poduszce szpitalnej, przelotne, bolesne, przez łzy spojrzenia, które ją żegnały, ten udany humor niby fałszywy ton zerwanej struny.

— Przyjdzie do siebie — myślała. — Każda z nas to przechodzi. Wydobrzeje.

Roztkliwiała się nad Wojtkiem, że długo pracuje, że jeszcze wieczorami jeździ na uniwersytet, że sam musi przywozić prowianty, że zakasując rękawy zabiera się do zmywania.

Była dumna z czwartego wnuka, odczuwała pewien podziw dla córki, że sobie tak dała radę, że taka dzielna, że umiała wszystko pogodzić, a te końcowe nieporządki, a język polski dzieci... ona jej pomoże, zostanie na rok, może dłużej.

— Nie dam się Ewie zmarnować — postanawiała.

Popołudnie było wietrzne. Ewa szła pierwsza, otulona w płaszcz deszczowy, chusteczka na głowie. Za nią Wojtek niósł opatulone w kocyk dziecko.

— Mamusiu! — wykrzyknęła. — Pastowałaś! Czuję! Po co? Przetawiałaś pokój?

— Ty się nic nie martw, niczym nie przejmuj. Obiad gotowy, łóżko świeżo pościelone...

— A dzieci? — Dziękuję ci, ale gdzie dzieci?

— Bawią się u sąsiadów.

— Przecież powinny spać o tej porze! A gdzie wózeczek?

— Mówiłem, że chciałaś tutaj wózeczek, ale mamusia uważa, że będzie lepiej w pokoju przy kuchni.

— Ależ tam zacieka!

Wojtek rozłożył ręce.

— Wojtek, wiesz przecież, że tam zacieka! Chyba — żeś nie naprawił? Nie bardzo to do ciebie podobne!

— Nie zaczynaj! Idź się rozbierz, trzeba nakarmić dziecko.

— Ty mnie nie będziesz uczył kiedy mam karmić dziecko!

— Przy tobie się dość nauczyłem. Rozbieraj się. Odpocznij!

— Mamusiu, jak on się do mnie odzywa.

— Wojtek, nie denerwuj Ewy! Spójrz, jak ona wygląda!

— Bardzo dobrze wygląda.

— No mój drogi, jeżeli ty to nazywasz dobrym wyglądaniami, to w najgorszym okresie podokupacyjnym tak nie wyglądała!

— Ale to było z górą piętnaście latek temu!

— No tak, dla ciebie jestem stara, bezzębna, stara klempa!

— Ewo, dla mnie jesteś śliczna!

— Nie wierzę ci! Słyszysz? Nie wierzę ci!

Wanda zagryzła wargi. Nic się nie będę wtrącać — postanowiła. — Boże święty, jak ta Ewa wygląda! Przede wszystkim jeść, jeść i spać.

— Nakrywam do stołu! — powiedziała głośno.

Wyszła do kuchni.

Ewa rozejrzała się po pokoju. Przyjemnie! Uśmiechnęła się.

— Wojtuś! Kładziesz dziecko do łóżeczka?

— Położyłem.

— Śpi?

— Budzi się.

— Gdzie idziesz?

— Do biura.

— Musisz wracać? Przecież już późno!

— Ewo zrozum, że ostatnio bardzo się zaniedbałem w robocie.

— To nieprawda. Uciekasz! O co ci chodzi?

Wanda stoi przy kuchni, myśli: To wcale nie wygląda tak różowo.

— Mamusiu, Wojtek musiał wrócić do biura. — Ewa otwiera drzwi do ogrodu. — Pójdę po dzieci!

— Nie! — Wanda zastępuje jej drogę. — Idź się położyć! Ja pójdę! Przyniosę ci małego na górę, przyniosę ci obiad do łóżka!

— Kiedy ja się dobrze czuję.

Ewa siada na wysokim stolku kuchennym. Zdjęła płaszcz, za luźna sukienka obwisa na niej.

— A jak siostra Wojtka, Boga?

— Rzadko się widzimy, zwłaszcza teraz od roku...

— Ale jak ona wygląda?

— To znaczy, że ja źle wyglądam! Wiedziałam!

Milczenie. W ciszy słychać drobne terkotanie motoru łódzki.

— Ewo, przecież wiesz, jak ja kocham dzieci, ale czworo, bez żadnej pomocy, ty... ty nieprzyzwyczajona, delikatna, przecież tu jest harówka! Ewo, dziecko drogie, spójrz na twoje ręce, na twoją twarz! Co się z tobą stało! Przecież ty jesteś młoda kobieta...

— Dziecko płacze!

Biegną, pochylają się obie nad łóžeczkiem.

Wojtek idzie w kierunku domu sąsiadów.

— Maciuś, Helenka, Ania!

Betty biegnie do niego poprzez trawnik, Betty, amerykańska koleżanka Ewy.

— *How is Eva? And the baby? Is it anything I can do?*

Wojtek kręci głową. Nie, w tym Betty nie pomoże. Nie można zapomnieć i nie można nie powracać. O szczęśliwi, nie skomplikowani ludzie, gdybyście wiedzieli, co ja teraz myślę!

— Aniu, idź do mamusi, przywieźliśmy nowego bratka.

Wraca okrężną drogą do samochodu.

Biedna Ewa! Teraz będzie chciała wskoczyć w samą siebie sprzed dwunastu lat. Po drodze mija go sąsiad.

— *Hi there! Congratulations! You have a son?*

— *Thank you!* — śmieje się Wojtek. Odchodząc mruczy do siebie:

Jak dorośnie wezmą go na wojnę, do amerykańskiej armii naturalnie. Przeciwno komu? A psiakrew, o takich rzeczach się nie myśli! Zapomniałem pokazać Ewie list od rodziców. No i trzeba będzie urządzić te chrzciny. Uśmiecha się słysząc już gwar znajomych głosów. Inżyniera też zaproszę! A prezes na chrzestnego ojca! No i trzeba będzie polskiego księdza... Ale się matka Ewy będzie chciała wystawić! Ale obżarstwo będzie. Nie była na ślubie, tamtych chrzcin żeśmy wiele nie wyprawiali, tak człowiek żyje samotnie, dziczeje, nawet się z najbliższymi zgrać nie można.

- *Daddy, daddy look!*
- *Look? What?*
- Wojtek!
- Tak.
- Jak ty możesz!
- Wanda prasuje w kuchni, ostry kąt deski do prasowania wystaje poza ścianę kuchenną.
- Co ja mogę? — Wojtek stawia Mathew na ziemi. — Czekaj, zaraz — zwraca się do syna.
- Ja mówię, jak możesz odpowiadać dziecku po angielsku?
- A tam!
- Nie żadne „a tam”, tylko ja widzę!
- Co mamusia widzi? Widzi mamusia, że ja jestem w domu w sobotę rano.
- Ja widzę co tu się dzieje! Dzieci się wynaradawiają!
- Co ja powiedziałem? Co ja, u diabła, powiedziałem?
- Powiedziałeś: *look out!*
- Nie *look out*, tylko *Look? What?*
- Mniejsza z tym! Nie zaprzeczysz, że to po angielsku! I to do Maciusia nad którym ja tak pracuję!
- Wojtek zapala papierosa. „O cholera!” — myśli.
- Wanda stawia żelazko, opiera się o drzwi kuchenne.
- Jak ty łatwo zapomniałeś o całej swojej przeszłości! Syn żołnierza polskiego odznaczonego... syn człowieka, który tyle poświęcił dla Polski, mówi z ojcem swoim w domu po **ANGIELSKU!**
- Nie chcę być ordynarny, ale mam to wszystko głęboko! Kicham na to!
- Kichasz na swoją przeszłość?
- Czy mama na to przyjechała, aby mi odgrzebywać moją przeszłość?
- Mamusiu! Co ci Wojtek powiedział? Dlaczego płaczesz? Zostaw to, pojedziemy na *shopping*. Do Wojtka z wyrzutem: Jak mogłeś?!
- Wanda wyciera oczy chusteczką.
- Powiedział... po co przyjechałam!
- No, na miłość Boską, to jest przekręcanie faktów! Ja tak nie powiedziałem!

— Mamusiu, ubieraj się! Wychodzimy! Najgorsza kuchta ma raz na tydzień wychodne. Wojtek, proszę cię, daj dziecku butelkę o drugiej.

— Nie siedź do wieczora!

— Będziesz miał spokój, twój ukochany spokój!

Ewa startuje samochód. Wanda, oczy jeszcze z łez nie obeschle, usadawia się już tuż obok niej na przednim siedzeniu.

— Pojedziemy do tego najnowszego *Shopping Center* do *East Point*, chcesz?

— A wszystko jedno Ewusiu.

Miasto podobne jest do przekrojonego jabłka o nieco nadgniłym środku. Ta ciemno-brunatna plama wokoło pestek, którą się odrzuca, która nie smakuje — to śródmieście zagęszczone i brzydkie. A naokoło coraz to się przejaśnia: nowoczesne osiedla — komórki zdrowej tkanki nie uległej jeszcze zepsuciu i wyrosłe nagle, nie wiadomo skąd i kiedy przemyślnym postępowaniem techniki, skróceniem czasu od pomysłu do realizacji — centra zakupów. „*Shopping Centers*”. Niedawno było tu jeszcze pustkowienie. Niedawno? Kiedy? Ile tygodni, ile miesięcy temu? A dziś! Potężna, oszklona hala z żywnością, od niej szerokim deptakiem przechodzi się do *Help Yourself* budynku, gdzie jest wszystko oprócz podstawowej żywności... Ruchomymi schodami można zjechać na dół do innych zakładów, sklepów, magazynów. Miasto samo dla siebie, które przyszło do mieszkańców, poszukało ich tu, na skraju przedmieścia. Późnym wieczorem wyludnia się, pozostaje obce, zamknięte. Ale teraz, gdy Ewa jedzie tam poprzez śródmieście z ciągle jeszcze popłakującą matką, *Shopping Center* podobny jest do plastra miodu, do którego dostały się skrzętne, zgłodniałe mrówki.

Ewa mówiła:

— Wojtek jest przemęczony.

— No tak, ale ty też jesteś zmęczona, ty też potrzebujesz odprężenia. Gdybyś, na przykład, była pracującą kobietą w Polsce... Po pierwsze, zorganizowałoby się pomoc domową. Miałabyś leczenie darmo, potem długi kilku, zdaje się, trzy-czteromiesięczny urlop po urodzeniu dziecka, krótsze godziny pracy w okresie karmienia, co roku wyjazd na wczasy...

— Mamusiu, ale ja nie jestem w Polsce. Ja powiem ci, lubię Amerykę.

— Co tu jest do lubienia, moja droga, te luksusy, te maszyny do prania! Polska powoli będzie miała to samo.

— Może... ale to już nie jest ta Polska, ja już nie potrafiłabym zaczynać.

— Ja cię nie namawiam do powrotu. Uchowaj Boże! Tylko patrzę na twoje życie i jakżeś się zmarnowała. Na co te studia? A ojciec...

— Będę pracowała.

— Z czworgiem dzieci?

— Amerykanki mają więcej i pracują.

— Cały twój dochód pójdzie na służbę.

— To zarobię więcej!

— Nie wytrzymasz! Przecież tyś się zmarnowała! Co z ciebie zostało. Ja jestem twoją matką, ja ci dobrze życzę... ruina, ruina została! Uważaj! Samochód!

— Bo nie mów do mnie, nie mów do mnie teraz! Jedziemy przez miasto, muszę uważać, a ty o ruinie! No to dobrze niech będę! Niech mnie cholera weźmie i już! Ale ty nic nie wiesz, ja ci nic nie mówiłam! Jak jechałam do Wojtka to szykowałeś mnie, jak na bal, karierę miałam zrobić, żoną dygnitarza zostać! Nic nie wiesz! Nic nie wiesz, nic nie wiesz co ja przecierpiałam...

— Dziecko kochane, ja wszystko wiem, ja wyczuwałam...

— Głupstwa! Nic nie wiesz! Myślisz, że wiesz, ale ja już jestem innym człowiekiem. Świat już poszedł o tyle kroków naprzód, a my ciągle stoimy u progu mojej młodości. Gdybyśmy mogły przez to wszystko przejść razem! Mamo, dlaczego ja wyjechałam? Dlaczego p o z w o l i - ł a ś mi wyjechać?

— To wróć... teraz...

— Wiedziałam! Wiedziałam, że to powiesz! Wróć! Jak? Sama?

— Ja ci pomogę, dostaniesz pracę! Ewo, to nie jest kraj dla ciebie!

— A dzieci? Mam im odbierać ojczyznę? I powiedz, co im dam w zamian? Legendę? Twór przekształcający się, nieuformowany? Tam trzeba było żyć, to wszystko trzeba było przejść!

— To nieprawda, ludzie są ci sami.

- Ty nie jesteś.
- Ja?
- Agitujesz, namawiasz mnie do powrotu.
- Ewo, jak możesz?
- Przypomnij sobie co mówiłaś w przeddzień wyjazdu.

16.

Ten moment, gdy Ewa zobaczyła po raz pierwszy Wojtkę, powracał. Wyobrażenia narzucała się sama: światło pokoju chybotliwe, zmienne, jak oddech nierówny. Dalekie, pojedyncze strzały poza zaciemnionym oknem, obcość nieznanego, świadomość tej obcości o której się wie i marzy, jak gdyby uchwycenie w dłoń słowa, które naraz ożywa realnym kształtem.

Było to, jak spotkanie się nocy i dnia, zachwyt nad obcością osiągalną tylko w marzeniach. Nie wiedzieli, że padł na nich cień ginącego romantyzmu, że w bliskiej, ocierającej się o nich rozprawie życia ze śmiercią, odwiecznym prawem gatunku w sobie szukali przed śmiercią obrony. Była to miłość krótka, bolesna, nie wyjawiona, zdradzana w niedopowiedzeniach, w spojrzeniu, dotknięciu ręki, miłość, jakby z ustawiczną obawą, że tak być nie powinno. Wojtek zadreślał się, że postępuje nieuczciwie zwracając głowę dziewczynie, ponieważ przyleciał do kraju jako emisariusz i powinien się na swojej misji skoncentrować. Zostawił poza tym w Londynie młodą Angielkę, w której się podkochiwał. Ta dwuznaczność sytuacji męczyła go. Z normalnego życia w Londynie, gdzie wszystko z jego flirtem włącznie miało, pomimo wojny, swoje realne podstawy, wpadł w atmosferę nabożnej egzaltacji, scen z jakichś starych, zapomnianych rycin, przyciszonych rozmów przy świeczce. Poruszał się w kręgu tajemnicy niby w obozie tajnego bractwa. Wydawało mu się czasem, że nagle przeskoczył w średniowiecze. Zmysły były wyczułone, nerwy napięte, przelotne nawet dotknięcie ramienia Ewy przyprawiało go o drżenie. Nie zdradzał się przed nią kim jest naprawdę. Ewa wiedziała o nim wszy-

stko. Utrzymywanie tajemnicy, chwywanie Wojtka na drobnych „zdradzaniach się”, zaznajamianie go, niby od niechcenia, obecną zmianą warunków w mieście, było grą czarującą, ciekawą i przyjemniejszą od zwykłego flirtu.

— Ewo — powiedział profesor — nie zawracaj sobie nim głowy. On musi wracać!

Rozstali się tak, jakby mieli się nigdy nie spotkać: po koleżeńsku, z przymuszonym uśmiechem, z płaczem wewnętrznym, po którym oczekiwało się ulgi zapomnienia. I może nigdy by się już nie spotkali, bo przecież oboje bronili się przed sobą, gdyby nie układ warunków zewnętrznych, zmowa sił obojętnych, które w jakiś przedziwny sposób dążyły do tego, aby ich połączyć.

Dopiero w więzieniu, schwywany przy przejściu granicy, Wojtek naprawdę zakochał się w Ewie. Myślał o niej nieustannie, prowadził z nią długie rozmowy, wspominał każdy jej gest, każde wypowiedziane słowo. Stała się nie tylko duchem tęsknoty do kraju, ale i symbolem wolności, wyobrażeniem życia, niemal że powodem, dla którego warto żyć. Po udanej ucieczce z więzienia i ostatecznym przedostaniu się do Anglii, napisał do Ewy długi, romantyczny list, w którym wyznał, że ją kocha, prosił, aby została jego żoną. List ten wysłał przez kolegę swego — spadochroniarza. Ewa pamiętała Wojtka, ale już nie tak wyraźnie. Podświadome, uśpione uczucia obudził na nowo otrzymany list, ale nie potraktowała go zbyt poważnie. Owszem, było jej przyjemnie, że ktoś o niej myśli daleko za oceanem, że ktoś ją kocha, że można sobie potęsknić, rozmarzyć się, że może... kto wie? Była dumna, gdy ojciec opowiadał jakie to awansy czekają Wojtka, że jest już prawą ręką prezesa, że ho! ho! Daleko zajdzie! Wtedy Wanda odwracała się i spoglądała czule na Ewę:

— No widzisz, widzisz jaką Ewa może zrobić karierę, gdyby tylko chciała.

Ewie nie śpieszyło się do kariery, ani nawet do małżeństwa. Studiowała, podkochiwała się w młodym lekarzu imieniem Janek, który coraz-to znikał na kilka tygodni i wracał tajemniczy i bardzo Ewą zainteresowany. Po upadku Powstania Warszawskiego matka i Ewa zamieszkały w ocalałej części rozwalonego domu, odnalazły ojca, a Ewa wkrótce potem zapisała się na oficjalny uniwersytet.

Nadszedł wtedy drugi list od Wojtka. Był to list pełen troski o całą rodzinę, błagający o wiadomość i upewnijający, że Ewę kocha i na nią czeka. W tym samym mniej więcej czasie odnalazł się, zagubiony po Powstaniu doktor Janek i Ewa zastanawiała się poważnie czy nie wyjść za niego za mąż. W kilka tygodni po uzyskaniu przez Ewę stopnia magistra, profesora Wernera aresztowano. Proces jego był głośny, nieprzyjemny, przyprawiający Wandę o szoki nerwowe. Bała się o Ewę, drżała, że w każdej chwili ją aresztują, wywiozą, zniszczą.

— Słuchaj — powiedziała do niej. — Uciekaj! Ja muszę zostać z ojcem, ale ty uciekaj!

— Gdzie? — płakała Ewa.

— Jedź do Wojtka. Wszystko się zorganizuje. Jest w tobie zakochany. Ty też, przecież pamiętasz, zupełnie traciłaś głowę, podobał ci się.

— A Janek?

— Nie, to nie dla ciebie. Czy ty wiesz co to znaczy być żoną lekarza, przeciętnego lekarza? Ani dnia, ani nocy spokojnej. Wiecznie sama! A on! Skąd wiesz gdzie on lata? A jeszcze ginekolog!

— Kiedy mam — wahala się Ewa — ja sama nie wiem...

— Wyjeżdżaj z tego diabelskiego kraju, wyjeżdżaj z tego piekła! — egzaltowała się Wanda. — Przed tobą jest życie! Ty jesteś młoda, przystojna, inteligentna. Ty powinnaś błyszczeć w towarzystwie, być żoną dyplomaty. Zobaczysz jacy ciekawi są cudziemcy! Będiesz miała służbę. Ty tak pięknie potrafisz przyjmować. Uważaj tylko na nakrycie do stołu, na kwiaty i srebra. Żadna służąca nie potrafi zrobić tego tak, jak pani domu. Przeczytaj co pisze Wojtek! Kocha cię i chce ci ofiarować cały luksus życia. I ojcu będziesz mogła stamtąd pomóc, a jeśli wrócisz tu, to jako żona ministra, ale nie teraz jeszcze, nie teraz. Ewo, dziecko moje, ratuj się! Muszę cię ratować! Już rozmawiałam z kolegami ojca w Stronnictwie. Przeprowadzą cię do Niemiec, stamtąd dasz radę do Anglii, Wojtek ci pomoże!

Ewa myślała o Wojtku, odtwarzała dawne wspomnienia, wracał moment pierwszego spotkania. Szykując się do wyjazdu, była już w nim zakochana.

Wybetonowany *parking* lot szerokim, białym kołnierzem otaczał *Shopping Center*. W głębi, tam gdzie nie sięgała polewa betonu, widać było skopaną buldozerem czerwonawą ziemię, a dalej rzadki, błotnisty las, gdzie o tej porze wiosennej kwitły dzikie azalie. Do Centrum Zakupów dojechać można było tylko samochodem. Cztery nowiutkie, gładkie szosy krzyżowały się tuż obok wjazdu na *parking*. Wszystko tu było nowe, jakby dopiero odwinęte z bibułki, cacko ze szkła i stali, przestrzenne, gładkie i wydawałoby się tak kruche, tak łatwe do zburzenia, jak domki karciane, że tylko dmuchnąć — rozlecą się. Pod jasnym, wysokim niebem ten biały, pomarańczowo-żółto-srebrny *Shopping Center* wyglądał z daleka, jak dziecinny model, który się nigdy nie urzeczywistni, a przy zbliżeniu wydawał się fantastycznym okrętem przestrzeni, który tu, wśród rozkopanego na prędcie lasu wylądował na chwilę i zaraz odfrunie na inną planetę — swą macierzystą bazę.

Ewa zaparkowała samochód.

— Wysiadaż! — powiedziała do matki — zamknę za tobą drzwi.

— Tu jest ślicznie Ewo!

Ewa nie słyszała. Podciągnęła hamulec, wyjęła klucz, zatrzasnęła drzwiczki. Myślała: Nigdy się nie dowie co ja przeszłam.

— Ewo, kiedy oni to wybudowali? Wiesz, Janek, ten doktor, był u nas kiedyś i pokazywał amerykańskie ilustracje i tam właśnie było coś podobnego.

— Co robi Janek?

— Zawsze pyta się o ciebie, ożenił się, świetnie mu się powodzi...

— Chodźmy tędy, najpierw kupimy żywność...

— Ewo, dziecko drogie, ty mi zarzucasz, ty masz do mnie żal, że wyjechałaś.

— Niel

Przecież jest jeszcze powrót. Teraz po Październiku Wojtek też może...

— Wojtek? Żeby mu wymawiali na każdym kroku kim był? Prosić może o łaskę pobytu we własnym kraju? Prosić? Kogo?

— Ewo nie denerwuj się. Jesteście przewrażliwieni. My już dawno nie mówimy o tym. Przeszliśmy, przecierpieliśmy, dostosowaliśmy się, żyjemy.

— My? Kto my?

— No, my, Polacy.

— To już nas podzieliłaś! My Polacy i wy, Emigracja. Moja matka, MOJA matka!

— Z tobą nie można rozmawiać! Za kogo ty mnie masz? Czy ty posądzasz swoją matkę, że jest agentką komunistyczną? Co z ciebie zrobiła Ameryka! Co to za kraj. Dzieci przeciwko rodzicom! Ja wyjeżdżam, zapomnę, że kiedykolwiek miałam córkę!

— Mamusiu nie płacz! Mamu... — Ewa płacze.

Stoją razem przed wystawą piekarni. Przez oszkloną ścianę widać całe wnętrze sklepu czystutkie i kolorowe, jak bombonierka. Płaczą obie w zapachu ciastek i świeżego chleba. Ewa uspakaja się pierwsza. Zaczyna śmieszyć ją ta cała niepotrzebna kłótnia. I o co? I o co?

— Przecież myśmy się dwanaście lat nie widziały — mówi cicho i ujmuję Wandę pod rękę. — Wiesz, to cały czas było przygotowywanie się do nowego życia zanim w ogóle mogliśmy sobie zdać sprawę jakim ono będzie. Zaskoczyło nas, zaskakuje mnie codziennie, codziennie muszę się uczyć muszę się naginać, dostosowywać, nastrojać, i ciągle, niezmiennie jest jeszcze początek. Wojtek zaczął pracować, kupiliśmy meble, dom, na drzwiach powiesiłam wizytówkę: Mr and Mrs Żuławski". Cóż zrobić, tak późno, ale dopiero początek.

— Ewo — pyta Wojtek. — Czy ustaliłaś z matką datę chrzcina?

Ewa przebiera się w sypialni. Dzieci już śpią, a Wanda na dole patrzy na telewizję.

— Niel — odpowiada krótko Ewa. Myśli: Ustalać sam! Śpieszy się, chce obejrzeć film.

— Czy myślałaś kogo zaprosimy?

— Nie jeszcze.

— Pokaż mi się, ładnie wyglądasz dzisiaj.

— Odejdź ode mnie!

— Uciekasz od męża?

— Odejdź ode mnie!

— Dlaczego?

— Bo mam już dość! Mam już dość, nie chcę mieć więcej do czynienia z tobą. Ruina ze mnie została. Nie chcę więcej dzieci!

— O co ci chodzi?

— W Polsce się ludziom dobrze powodzi, służące mają, kobieta pracująca ma trzy miesiące urlopu... a ja tu haruję, zęby straciłam, zdrowie straciłam!

— O cholera, o cholera — mruczy Wojtek wychodząc z sypialni.

— Mamo, co mama jej powiedziała? Co tu się dzieje w tym domu?

— Mój drogi — Wanda odwraca nieprzytomną twarz od telewizji. — Czy mógłbyś poczekać chwileczkę? Zaraz się kończy.

Wojtek chodzi zdenerwowany po pokoju.

— To jeszcze przedwojenny film, to jest jednak rozrywka taki telewizor. Daj papierosa Wojtusi. No mów! O co chodzi?

Wojtek gryzie papierosa pomiędzy zębami. Spokój teściowej podnieca go jeszcze bardziej.

— Dlaczego Ewa histeryzuje? — cedzi słowa. Słowa toczą się kulą, nabierają rozpędu. — Co... co mama jej powiedziała? Dlaczego? — krzyczy — mama ją przeciwko mnie buntuje?

— Ja? A czyś ty oszalał? Ja ją buntuję! W imię Ojca i Syna... ja ją buntuję! Ale tu jest co innego! Ja widzę, że wam ze mną nie dobrze, że ja jestem gość niepożądany w tej waszej Ameryce, że ja wam zawadzam, że ja wam przypominam skąd pochodzicie! A wy byście chcieli się już zamerykanizować!

— To jest kłamstwo!

— Cóżes zrobił z Ewą? Jak ona wygląda?

— A jakby wyglądała w więzieniu Bezpieki? O Ż E N I Ł E M się z nią! Wystarczy to mamie? Ożeniłem się z nią!

— Ja słyszę! — Ewa biegnie z góry po schodach. — To tak, dlatego się ze mną ożeniłeś! To już wiem dlaczego zostawiłeś mnie zaraz po ślubie samą i pojechałeś z prezesem do Paryża! A ja harowałam! Pracowałam nocami. Krew własną sprzedawałam na transfuzje do szpitali! Własną krew, bo nie było pieniędzy!

- Na paczki do Polski dla twoich rodziców!
 - Co za chwili dożyłam, żeby mi te paczki z Ameryki wymawiali! Ja wam tu przysięgam, że pierwszym samolotem odlatuję do Polski!
 - A niech mama leci, niech mama leci!
 - Mamusiu, nie płacz! Wojtek ty podły, jak mogłeś!
- Ja cię nie chcę znać za to!
- Możesz mnie nie znać i nie widzieć!
 - Gdzie idziesz teraz po nocy?
 - Idę spać do samochodu.

Wanda wiesza obrazki w *sitting room*'ie nad półką z książkami.

— Gdzie chcesz, żebym powiesiła tę miniaturkę, którą przywiozłam z Polski?

— Nie wiem — odpowiada Ewa. Czuje się nieobecna, nie związana z chwilami, które upływają. Zeszywa rozdartą koszulkę Mathew.

— Może między oknem, a drzwiami na tej wąskiej ścianie, wygląda pusta?

— Jak chcesz.

— Przecież to jest twój dom, Ewo, trzeba, żeby ci się podobało.

— Czuje się stara.

— Co ty wygadujesz?

— Jakto co? Sama mi mówiłaś...

— Przed chrzcinami pójdziesz do fryzjera, zrobisz sobie trwałą ondulację. Niech cię uczeszą z lokami nad czołem.

— Co to pomoże?

— Janek oglądał twoją fotografię, tę wiesz po magisterium, masz tam loki nad czołem, mówił...

— Nie chcę słyszeć!

Wanda wzrusza ramionami.

— Jesteś przewrażliwiona. Jesteście oboje przewrażliwieni. Bierz witaminy! O psiakość, rąbnęłam się młotkiem w palec!

Ewa nie słyszy. Widzi siebie i Janka: idą ulicą. Ewa spogląda na samą siebie, ma loki nad czołem. A więc zdecydowałaś się? — pyta Janek — jesteś pewna? Jestem pewna — odpowiada Ewa. Czuje, że kocha Wojtkę.

Potrząsa głową.

— Mamo, tak nie może być pomiędzy mną, a Wojtkiem. Przecież ja go kocham. Dlaczego my się kłócimy?

— Wy w ogóle nie żyjecie z ludźmi! Wy się tłamsicie w tym domu sami z sobą! Zdziczeleście!

— To co mam zrobić? — Ewa nawleka igłę.

Pani Szyjka zapukała do drzwi werandy. Jej twarz jest młoda, ale wszystko inne, jakby wczorajsze, odgrzane: ta biała bluzka, kostium i kapelusz i... jeszcze, jakby niedosolone, bez smaku, a przecież zdrowe.

— Pani Leokadio, niech pani wejdzie.

— A to mamusia pani Żuławskiej? Z Polski nowoprzybyła?

— Wernerowa.

— Mamusiu, pani Szyjka jest korespondentką gazety i zaraz o tobie napisze.

Wanda poprawia spódnicę, przygląda włosy, pozuje.

— Ach naturalnie! — uśmiecha się. — Ja przecież pamiętam pani nazwisko z polskiej gazety, tylko tam było Lilian nie Leokadia, prawda?

— O, bo ja „zcentowałam”¹ nazwisko! Leokadia nikt nie rozumie — wyjaśnia pani Szyjka i mruga porozumiewawczo do Ewy: Taka młoda mamusia, no! Jest jasniej, Ewa oddycha swobodniej. Trzecia osoba, jakby rozbiła szkło przez które teraz dopływa powietrze. Pani Szyjka wyjmuje bloczek i ołówek z torebki.

— Jak godność mamusi?

Leokadia Szyjka zjawiała się po raz pierwszy w okresie trudnym. Właściwie Ewa sama ją odszukała. Urządzanie domu, zajęcie się dziećmi — to nie wszystko. Przychodzą takie momenty wieczorem, chwile rozciągnięte niby guma, miasto gdzieś daleko szumi, przedmieście usypia, Wojtek na wykładach wieczornych i tylko chodzić z kąta w kąt. Nie można czytać książki, jakby to była przeszkoda, przed którą brak odwagi, nie można nic. Ręce opadają. Tylko świadomość: jestem sama.

Leokadię, jej nazwisko i telefon wyszukała Ewa w gazecie polskiej. I Leokadia zaraz przyszła. Zainkasowała pieniądze za abonament gazety i poczęła namawiać Ewę

1. Od *change* — zmieniać.

na *insurance*. Dla niej samej, dla męża, dla dzieci. A gdy Ewa broniła się, powiedziała:

— Niech pani Żuławska słucha, ja pani Żuławskiej powiem jedno zdarzenie z Polonii. Poszłam do pani Czyż co miała bratanicę na wychowaniu i z dobroci serca mówię, żeby na dziewczynę wzięła *insurance*. Nie i nie i nie i nie. No dobrze. Mówię: a czy to ja *business* na pani Czyż robię? Radzę, jak swojej, brać nie brać, pani Czyż decyzja. Ale się przekonała, podpisała no i, niech pani Żuławska uważa, będzie może ze dwa miesiące popłaciła, co się dzieje, akuratnie przed samą trzecią ratą dziewczyna umiera. A pani Czyż mi dopiero dziękuję: Pani Szyjka, mówi, szczęście w nieszczęściu. Całe tysiąc dolarów mi zapłacili. I jak ja się pani za to dobre serce odwdzięczę?

Leokadia przyjechała ze wsi podkrakowskiej. Biedę tam klepali. Troje ich wyjechało zagłodzonych do Ameryki i w pióra obrosli, że hej! Jeden brat, organizator taki, głowę miał nie od parady, prezesem został. Ale to nic! Sama pani Leokadia dobrze się wydała za jednego z Polonii, dom kupili, spłacony już cały, a że dzieci nie mieli, a Leokadię ogromne ambicje rozpierały, pchała się na różne kursy, uniwersytety, nauczyła się po angielsku i na maszynie, chociaż nigdy, ku swemu utrapieniu, nie mogła zdać egzaminu państwowego upoważniającego do pracy urzędniczej. No ale została korespondentką gazety. Na wszystkich uroczystościach razem z honorowymi gośćmi przy stole na scenie siedzi. Ale to jeszcze nic! Ten drugi brat większe miał ambicje. Przeszedł, wstyd mówić, na protestantyzm. Pomogły mu te protestanty skończyć uniwersytet, „profesjonalistą”² został, a że go wyrzuty sumienia gryzły, wrócił do katolicyzmu. No i dobrze jest. Chleba z masłem ma po uszy. Tylko ta żona pierwsza, co to z nim na początku w biedzie żyła, i jak studiował pomagała — zwariowała i teraz gdzieś w stanowym szpitalu dla wariatów. Nikogo nie poznaje, to już, jakby nie żyła. No trudno, nic nie poradzi.

Pani Szyjka zaglądała od czasu do czasu do Ewy, wprowadziła ją na uroczystości polonijne, a teraz przyszła poznać Wandę.

2. Od *profession* — wolny zawód, np. lekarz, adwokat itp.

— To jak w tej naszej kochanej Polsce? — pytała wzruszona — bardzo tam ludzi gnymbią?

— No teraz to już nie jest tak źle...

Leokadia tylko przełknęła ślinę. Boi się kobita mówić — pomyślała.

A pani na stałe? — spytała.

— Nie! — otrząsnęła się Wanda.

— To jak pisać? Długo tu pani u nas zabawi?

— Za dwa, trzy miesiące wracam.

— Mamusiul!

— Będzie dobrze, jak napiszę tak: Do państwa Żuławskich zawitał gość z Polski. Będzie dobrze?

— Zawitał?

— A jak?

— Po prostu: przyjechał.

Niech będzie. A tytuł damy taki: Upragniony gość zawitał w progi domu pana inżyniera Żuławskiego, zatrudnionego... Gdzie mąż zatrudniony pani Żuławska?

— Pani Leokadio, po co to „zawitał”?

— Zostaw to pani, Ewo, już pani sama wie.

— A jak będzie lepiej pani Żuławska?

— Po prostu: Gość z Polski.

— O key, ja się nie spieram. Ja lubię każdemu dogodzić. A tu mam bilety na Zabawę Stoliczkową Korpusu Pań Placówki SWAP. Niech pani kupi i zrobi mamusi przyjemność.

Wieczór. Po dniu wtulonym w mgłę wieczór ciemny ciemnością głęboką, wilgotną, przygnębiającą. Wojtek jeździ trzy razy w tygodniu na wykłady. Uniwersytet odległy jest około 30 mil od miasta. Trzydzieści mil w jedną stronę, trzydzieści mil z powrotem. W międzyczasie — wykłady, walka ze zmęczeniem. Czasem: podniecenie: uczę się, rozumiem. Wojtek jeździ na wykłady po pracy w biurze.

— Czy ten doktorat jest mi potrzebny? — myśli.

Wojtek mija ostatnie światła ulicy i wjeżdża w czarny aksamit *high way*.

— Potrzebny — przekonuje sam siebie. — Po co? — chichocze ironicznie. W moim wieku zaczyna obliczać się ile zostało lat do życia. To ja robię takie obliczenie ostatni. Biuro wykalkulowało już dawno, uniwersytet, *insurance* już wie, a na końcu — ja sam. Gdy skakałem do Polski

nie myślałem. Dlaczego? Ile lat zostało mi do życia, aby udoskonalic elektryfikację Stanów?

Wojtek jedzie szybko, nieostrożnie. Pomimo szybkości ruch usypia.

— Psia kość, nie mogę zasnąć! Muszę myśleć! Nie wolno mi zasnąć za kierownicą.

Już miesiąc minął od przyjazdu matki Ewy. Przyływy i odpływy uczuć. Nastroje. Dom wygląda lepiej. Ona jednak robi co może. Zadręcza się Ewą, jedyne dziecko. Zapomina, że to już dwanaście lat. Dwanaście jesieni. Życie opada po listku. W tym czasie wyrastają drzewa i powstają nowe lasy. Jesteśmy formą, przez którą przepływa czas. Był inny tam i inny tu. Wydaje się nam, że jest ten sam, na pozór tylko ten sam. Co się dzieje z Ewą? Jest cierpka, zgryźliwa, skłonna do kłótni, płacze o byle co. Co jest Ewie? — myśli Wojtek, przyciska pedał hamulca. Przed nim sznur samochodów. Zwalniają na zakręcie. Po drugiej stronie szosy przedzielonej pasmem trawnika — długi, nawleczony na ciemność naszyjnik samochodowych reflektorów.

Przyjechała matka, wracają stare wspomnienia. Może powinienem być bardziej wyrozumiały? Tak oczekiwała na nią. Ja też. Nie tylko na nią, nie tylko na matkę Ewy, na coś więcej: na matkę Ewy z Polski. Te kłótnie są skandaliczne. Zamiast zbliżenia — obcość. Biedna Ewa, nie wypowiada wszystkiego co myśli. Przez dwanaście lat żyła połączona pępowiną z czymś, co już nie istnieje i teraz się szarpie, chce się oderwać, nie może.

Wojtek myśli także o sobie: nie jestem już taki jak dawniej. Wchodziłem, aktor na scenę teatru, widownia zamierała w oczekiwaniu: co dalej? Okręcano mnie na ruchomej scenie. Ludzie opuścili teatr, wymknąłem się z nimi po cichu, aby nikt mnie nie zauważył. Jestem bardziej szary niż dawni moi widzowie, których przyprawiałem o dreszcz zachwytu.

Z daleka widać miasto. Ukazuje się w tym miejscu na krótką chwilę; światła, a za nimi odgaduje się życie, nieustanną zmienność.

No przecież się starzeję! Stąd te myśli! Jestem zazdrosny o własną młodość, znika mi sprzed oczu, jak światła miasta.

Zapala papierosa.

Jednak jestem niewyrozumiały. Ja mam tu swoją rodzinę, świadomość, że są, że kontakt nie został przerwany. Papieros pomaga mi myśleć, jak gdyby ogrzewał mnie dym.

Ulice miasta są puste. Przytulność znanych reklam i wystaw. Światła. Piękna noc — uśmiecha się Wojtek. Uśmiecha się do reklam, pustych chodników, oświetlonych wystaw. Dobrze jest znaleźć się znów u progu domu. Od tego momentu wszystko jest znane na pamięć i ta świadomość swoistości uspakaja. Nieprzyjemnie jest jechać *high way* em samotnie nocą walcząc ze snem, za którym czyha śmierć.

Ewa oczekiwała go u podnóża schodków.

— Denerwowałam się.

— Wiesz przecież, że muszę czasem zostać w bibliotece.

— Telefonował twój ojciec.

— Tak?

— Przyjadą wszyscy na chrzciny.

— No to...

— Wszyscy!

— Dobra!

— Mówię: WSZYSCY. Pies też. Powiedziałam: dobrze.

Wojtek śmieje się. Obejmuje Ewę, jej ciepło jest przyjazne, bliskie.

— Pies też! To dobre! A niech biorą!

— Mamusia zrobiła pierogi z jagodami. Ja nie mam cierpliwości. Narobiła dwa półmiski pierogów. Inżynier pisał. Wiesz, przenosi się do Waszyngtonu, dostał posadę w bibliotece. Ja się jeszcze nie mogę zdecydować, jak nazwać małego. Józef po twoim ojcu? Józef jest strasznie pospolite! Chciałabym: Wojtek. Ale ty masz dość tu kłopotów ze swoim imieniem. Mark? Możemy go nazywać w domu Marek? Nic nie zauważyłeś?

— Włosy?

— Ach nic nie zauważyłeś!

— Zauważyłem, byłeś u fryzjera.

— Acha. No i co?

— Muszę cię zobaczyć przy świetle.

— Przycisz telewizję — powiedziała Helena Żuławska do męża — chłopcy śpią.

— A jak ja pracuję to mogą wywracać dom do góry nogami!

— Co ty tam pracujesz!

— Jeszcze nie jestem na twoim utrzymaniu!

— Prawie! — Żuławska odłożyła książkę kucharską. Od czasu sprzedaży „lanczenety” nabrała do siebie większego zaufania. Udało jej się przecież dostać pracę zarządzającej w *Drive In* gospodzie. Była dumna. Żuławski wstał posłusznie od biurka, przyciszył telewizję, wrócił do pisania podań. Żuławski teraz pisze podania, wyszukuje ogłoszenia, wypełnia *applications*, chodzi, jeździ na *interviews*. Wszystko bez skutku. W domu, na biurku piętrzą się stosy kopii podań, do każdej przyłączone wycięte z gazety ogłoszenie, równo, dokładnie. No i co z tego? Nikt go nie chce przyjąć.

— Bo ty nie wyjeżdżaj zaraz ze swoją przedwojenną szarżą! — woła Żuławska. W głosie przewaga człowieka, który zarabia dolary.

— Poczekaj-no, mam czas — uspakaja Józef.

Wie, nie ma czasu i nie ma *American experience*.

— Czas! Nie wyobrażaj sobie Józiu, że dostaniesz dyrektorskie stanowisko. Najgorsze to, że ty w sobie nie wierzysz.

— Poczekaj-no, ja ci jeszcze pokażę!

— Telefonowałeś do Wojtka?

Żuławski kiwa głową.

— Acha.

— To kiedy jedziemy?

— Kiedy chcecie.

Żuławska siada na łóżku, włosy potargane.

— Co to znaczy: kiedy chcecie?

Żuławski w pyjama, okulary na nosie, studiuje polsko-angielski słownik.

— Powiedziałem, jedźcie kiedy chcecie. Zabieraj się z Andrzejem, Bogą i chłopcami. Ja tu z Kapitanem zostanę.

— Czyś ty oszalał człowieku! — wykrzykuje Żuławska. I za chwilę: Co ci Ewa powiedziała?

— Nie mam przekonania do ludzi, którzy nie lubią psów — mruczy Żuławski.

— Cicho! Pomyliłem się.

Żuławska wyskakuje z łóżka, narzuca szlafrok.

— A ja ci oświadczam — woła wymachując rękami.

— Ja ci oświadczam, że pojedziesz!

— Cicho.

— Nie chcesz, bo prezes ma być chrzestnym ojcem... nie chcesz...

— Nie chcę! Przez niego i jemu podobnych tułam się po świecie!

— Nie pleć! Przedtem przez Roosevelta, teraz przez niego... skończ raz z tym wszystkim do cholery!

— Niby z czym? Że Wojtek wplątał się w politykę to ja mam też ulec?

— A ja ci mówię, że on zrobił dużo dobrego. Historia...

— Ja swego zdania nie zmieniam! Podpalacze Warszawy!

— Podpalacze Warszawy! Nie mów za dużo jakżeś sam tam nie był! Żeby o tobie tego nie powiedzieli! Ja byłam...

— Wiem, wiem...

— O ś w i a d z a m ci, że pojedziesz!

— Wpuść Kapitana, drapie do drzwi.

— Pies nie będzie spał na łóżku!

— E...e...e...e...

— Manierujesz każdego psa!

— E...e...e...e... Mrs. Ziński.

— Pojedziesz! — mówi Żuławska.

Józef nie odpowiada. Schował oczy poza okularami, schował się cały poza okularami, wtłacza się w ogłoszenie w gazecie. Pisz „na brudno” odpowiedź:

Dear Sir: I am referring to...

Do żony:

— Bądź cicho, widzisz, że pracuję.

— Tyś nie był wtedy w kraju, ty nie pamiętasz, ludzie płakali, gdy przyjechał...

— Mówię ci — Żuławski odkłada pióro — że jemu

zawdzięczam, że dziś siedzę w Ameryce. Sprzedali Polskę!
Ja się nie prosiłem na przyjazd! Ja...

— A ty jesteś niewinny! Ty nic! W trzydziestym
dziewiątym roku kto uciekał przez granicę?

— Mówisz rzeczy, o których nie masz pojęcia.

Boga puka do drzwi.

— Czy nie moglibyście ciszej rozmawiać? Dzieci śpią.
dzieci się budzą!

— Boga, uważaj, żebym ja ci czegoś nie powiedział!

— oburza się Żuławski.

Gdzie Andrzej?

— Drapie od pół godziny Marka po plecach. Marek
nie może zasnąć. Wiesz przecież! — w głosie Bogi ton
wymówki.

Andrzej drapie syna po plecach. Myśli: Jakie to
dziecko nerwowe! A ja to nie?

Na dworze wilgotna noc, brak powietrza. Nie, to
tylko powietrze jakby zgęstniało, jest mazistą, lepką ciecżą.

— Podrap mnie po rączce — grymasi Marek.

— Przecież chciałeś po plecach.

— Oh, *never mind!* — Marek wzdycha.

Andrzej myśli: Gdy ojciec mój wracał z pracy, wszy-
scy chodzili koło niego na palcach. Ta myśl jest, jak
przełknięcie łyż, o której Andrzej nie wie.

Świat się zmienia — tłumaczy sobie. — Zmiana ról.
Od mężczyzny wymaga się teraz więcej, przejął na siebie
część obowiązków kobiety.

Urywek piosenki telewizyjnej rozbudza Marka:

I know that some day you want me to want you...

— Poczekaj synku — mówi Andrzej. — To nie-
możliwe! W tych hałasach dziecko nie może spać! I do
tego się kłóć!

— Chodź, chodź Andrzejku — zaprasza Helena.

Andrzej nie ukrywa zdenerwowania. Boga uspakaja
go, podnosi się z krzesła:

— Już... już idę do Marka, a Paweł?

— Śpi.

— Usiądź Andrzejku — zaprasza Żuławska — wy-
tłumacz Józiovi...

— On mi nie potrzebuje nic tłumaczyć! — Żuławski
chodzi po pokoju. Rozłożone na biurku papiery podnosi pęd
powietrza z zainstalowanego w oknie wiatraka.

— Nie pokłóć się — myśli Żuławski — Andrzej mu wytłumaczy.

— O co chodzi? — pyta Andrzej. — Jestem zmęczony, chciałbym odpocząć.

— Józio nie chce jechać na chrzciny, bo prezes...

— A daj spokój, Helenko! — Żuławski cmoka niecierpliwie.

— Co chcesz od prezesa? — pyta Andrzej.

— Co chcę? — wybucha Józef. — Dlaczego pozwala, aby nasi generałowie pracowali jako windziarze?

— A co on ma do generałów? Co oni jego, i co on ich obchodzi?

— Z racji swego stanowiska.

— Stanowiska się skończyły. Jesteśmy Emigracją.

Andrzej myśli: Do diabła, mam tego dość! Dajcie mi spokojnie pracować. Żuławski nie może wyjść z kręgu rzeczy nieaktualnych.

Mówi głośno: To jest normalny człowiek. Traktuj go jak normalnego człowieka. Reprezentuj...

— On mnie nie reprezentuje! — wykrzykuje Żuławski.

— Cicho! Dzieci! — uspakaja Żuławski.

— Chciałem powiedzieć, reprezentuj sam siebie.

— Ty mnie nie potrzebujesz uczyć!

Andrzej uśmiecha się.

— Czy nie możecie dyskutować spokojnie? — wzdycha Helena.

— No więc, daj mi skończyć... — zaczyna Andrzej.

— Proszę!

— Nikt tu nikogo na Emigracji nie reprezentuje, każdy sam siebie, my mamy dość polityki...

— O przepraszam cię bardzo. Emigracja jeszcze coś znaczy...

— Znaczyła!

— Cicho! Marek nie może zasnąć.

— Nie ma co dyskutować.

— No widzisz, nie ma co dyskutować. Amerykanie są mądrzy, polityka ich niewiele obchodzi. Takie dyskusje w domu amerykańskim są nie do pomyślenia.

— Ich obchodzi *base-ball*!

— Może i lepiej.

— No wiesz Andrzej, gdybym nie wiedział, że byłeś oficerem odznaczonym...

— Zapominasz, że jestem także normalnym człowiekiem!

— Znam twój stosunek do oficerów.

— Skończcie! — załamuje ręce Żuławska — na miłość boską, skończcie!

19.

Sobotnie popołudnie. Widać dach domu na skarpie. Zieleń zasłania mur i okna. Z daleka widać tylko zieleni, kawałek czerwonego dachu i niebo. Niedługo świerszcze odezwą się głośnym jazzbandem. Ale teraz nie słyszeć świerszczy. W pokoju stół nakryty wykrochmalonym przez Wandę Wernerową obrusem. Goście słuchają. Ksiądz podniósł się od stołu, przemawia. Ewa przechyliła głowę na bok. W oczach prawie że szczęście, nie zupełnie, ale szczęście. Jak to dobrze czuć wokoło siebie tyle ludzi. Helena przerwała rozmowę z Wandą. Zaraz nawróca do tego samego tematu, ale teraz słuchają. Inżynier podsunął papierosy Żuławskiemu:

— Proszę pułkowniku.

Andrzej przerwał dyskusję z prezesem. Prezes patrzy na zgromadzonych. Czuje się samotny. Czy kiedykolwiek nie czuł się samotny?

Wojtek spogląda na niego: pochylone nieco ramiona, zmęczona twarz. Prezes jest kroplą goryczy. Każdy z nas jest osobną kroplą goryczy. Cieszymy się tym podobieństwem.

Ksiądz mówi:

— Wznoszę ten toast na cześć rodziców, którzy wychowali taką wspaniałą polską młodzież, młodzież, która tu, na Emigracji, nie zapomniała religii i tradycji, której związek z krajem naszych ojców...

Andrzej dostrzega spojrzenie Wojtka. Ledwie, ledwie zauważone mrugnięcie.

Helena i Wanda przelknęły łzę. Inżynier wyprostował się. Żuławski z uwagą spogląda na księdza. To kapelan wojskowy — myśli.

— ...Polska nad Wisłą leży, to prawda, ale tu, w tym wspaniałym, polskim domu gdzie miłość, zgoda i zrozumienie, gdzie hasła: Bóg, honor i Ojczyzna nie przebrzmiały, tu, najdrożsi moi, wiara przodków naszych z ojczyzną naszą ukochaną gości. Wznoszę więc toast na cześć rodziców, a specjalnie na cześć matki-Polki...

W tym momencie Wanda Wernerowa rozplakała się. Przez niemal dwa miesiące pobytu w domu Ewy i Andrzeja popłakiwała, ale były to łzy krótkie, łzy wzburzenia, poirytowania. Spływały po powierzchni, ale nie rozwierały głębi. Ewa siedziała na wprost niej odmłodzona, nieśmiało sama siebie usuwająca na drugi plan. To Wanda decydowała o przyjęciu gości, ona czyniła honory pani domu nie zdając sobie nawet sprawy, że dwanaście lat rozłąki kurczyło się, że w tym momencie toastu przy stole nie zostało z nich nic. Ewa jest znów jej córką, a ona, Wanda, gospodynią domu. Nie istnieją pomiędzy nimi nieporozumienia i żale. Czas przycisnął się, zamarł. Teraz dopiero poczuła całą tęsknotę rozłąki, znikomość spraw, które mogły ją z Ewą rozdzielać. Jakże mogła podejrzewać, jak mogła pomyśleć, że jej dziecko odeszło, że może być coś silniejszego na świecie niż to uczucie dwóch istot związanych z sobą najstarszym prawem natury. Dopiero teraz witała się z Ewą. A jednak wiedziała, że będzie musiała odejść. Będzie musiała odjechać. Więc jakże to pogodzić? Jak nie naruszyć związku, przekazać samą siebie? Jak utożsamić decyzje pozostania z decyzją odejścia?

— Pani Wando — szepnęła Helena Żuławska — pani jest zmęczona, pani się tyle napracowała, tak pięknie przygotowała pani to przyjęcie.

Wanda wytarła oczy chusteczką. Ujęła drżącą ręką kieliszek.

Inżynier pochylił się do Żuławskiego:

— ...bo na przykład dlaczego pułkownik nie stara się o pracę w bibliotece? Rzuciłem „szrympy”, za kilka dni wyjeżdżam do Waszyngtonu, będę pracował, jak człowiek, z inteligentami, przy biurku...

— Ale te stosunki personalne...

— No to co? Raz pan zaprosi na obiad szefa, od czasu do czasu na kolacyjkę z wódeczką, jeszcze pomogą w tłumaczeniach, przez palce będą patrzeć...

— Wojtek — szepnął prezes — ja będę musiał odjeżdżać.

— Odprowadzimy pana prezesa razem z Andrzejem.

Wanda podniosła się z krzesła, chciała wyjść do kuchni, spojrzała: prezes się żegnał. Pomyślała: Jak on zmizerniał. Chory? Dogoniła go na werandzie, znaleźli się na chwilę sami.

— Jak tam? — spytał.

— Pan sam wie najlepiej — odpowiedziała.

— Profesor?

— Zmienił się. Najgorsza jest niepewność.

Przed domem na ścieżce bliźniacy i Mathew strzelali z plastycznych karabinów maszynowych. Prezes uśmiechnął się, wskazał ruchem brody na chłopców.

— Rosną!

— TU rosną — szepnęła Wanda.

— Może i lepiej. Kiedy pani odjeżdża?

— Za kilka miesięcy wracam do Polski.

— Proszę pozdrowić...

— Tak?

— Proszę pozdrowić ode mnie... p... profesora.

Wojtek i Andrzej wracają do domu. Odprowadzili prezesa do samochodu. Wojtek szczupły i ciemny. Andrzej niższy o pół głowy, dotykają się ramionami. Świadomość bliskości, rozleniwienie i poczucie swobody: nie trzeba dobierać słów.

— Jak ci się podoba chałupa? — Wojtek patrzy na dom, spod oka obserwuje Andrzeja.

— Dobrze zrobiłeś!

— Ty wiesz, nie miałem nawet pieniędzy na *down payment*. Pożyczili mi, mają już do mnie zaufanie. Obcy mają do mnie zaufanie. Co u ciebie Andrzej?

— No co? Pracuję.

— Chłopie, ty się weź za coś innego, marnujesz się!

— A ty? Jak ty?

— Lepiej.

— Co lepiej? Lepiej nie mówić?

— Krzyż mi dokucz, zemdlałem w laboratorium, ale nie mów Ewie.

— No jasne. Uważaj na siebie!

— Jak tam z ojcem?

— Nie jest łatwy, wiesz...

— Co ty mi mówisz? Czy ja nie wiem? Ale jego też trzeba zrozumieć, od najmłodszych lat w wojsku, uciekł do Legionów, wiesz przecież, nie zmienisz go. Ich nie zmienisz. My jeszcze, ale oni...

— Andrzej, dlaczego nie chcesz studiować psychologii, masz przecież magisterium...

— Co z tego?

— Czekaj-no, idź na uniwersytet, znam jednego, czekaj, dam ci adres w domu.

— Dobra, a jak matka Ewy?

— A niech to cholera! Te dwanaście lat, jak przepaść. Co zbudujesz jaki taki most to ci się w niespodziewanym miejscu zawala. Ja też mam nerwy... mam swoje lata, a dla niej ciągle jesteśmy dziećmi. Przyszłością narodu.

— Przyszłością narodu bez narodu, ale właściwie to jesteśmy początkiem.

Żuławski popija kawę. Przyczajony pod stołem Mathew obserwuje. Marek i Paweł ukryci za kanapą. Zaraz wyskoczą, zaterkoczą karabiny maszynowe... Żuławski poderwie się od stołu, zawoła: NO, na miłość boską!

Inżynier uśmiecha się.

— Pani ma wypieki — woła poprzez stół do Wandy.

Wanda promienieje. Nie ma już czasu, są znowu młodzi, jest to co było dawniej, tylko przeszłość.

— Bez męża rozpuściła się! — komentuje Żuławski.

— Nawet czułym okiem na mnie spogląda! — brnie dalej inżynier. Podnosi się.

— Obiadek cudowny! — całuję Wandę w rękę.

— Inżynierze, troszkę coca-coli! — broni się.

— Ile procent ma ta coca-cola?

— No dajcie spokój, — śmieje się Żuławski — do męża napisz! Niech przyjeżdża!

— Emigruj!

— Wy już tego chleba emigracyjnego nie próbujcie!

— Ciastka, ciastka emigracyjnego — woła Wanda — to wy nie jęćcie tylko wracajcie!

— My już tam...

— Wam ciężko zostawić te auta, te domy...

— Tu chodzi o rzeczy zasadnicze.

Helena Żuławska wtrąca się do rozmowy:

— Nie możemy operować kategoriami sprzed dwunastu lat, wtedy...

Marek i Paweł zaatakowali. Mathew wyskoczył spod stołu.

— *Help! Help!*

Terkocą karabiny maszynowe.

— Boga! — krzyczy Żuławski — Boga!

Żuławska nachyla się do Wandy:

— Jak w Polsce? Jak wygląda życie przeciętnego człowieka?

Wanda zamyśla się.

— Nie ma przeciętnych, każdy jest ważny. Jak nie ma ładnego mieszkania, samochodu, nie może bawić się nad stan, uważa, że jest pokrzywdzony, nie przebiera w środkach:

— A ja myślałam...

— Tak, to też. Ta niepewność, brak przyszłości. Boga ładnie wygląda, moja Ewa biedactwo...

— Cóż pani chce? Dwanaście lat bez matki.

— Ja wiem, ja widzę.

— Nie powinna była pani jej puszczać samej, dziecko wyjechało w świat...

Wanda wstaje, jest urażona. Jak ci ludzie mało rozumieją.

— Zajrzę do małego — usprawiedliwia się.

Ewa zaparza kawę w kuchni. Boga wyciera filiżanki.

— To dobrze, że masz córki, pomogą ci...

— Ania już pomaga.

— Ewo, Wojtek źle wygląda.

— Bo posłuchaj, myśmy się nigdy tak nie kłócili. Mama przyjechała i wszystko wróciło na nowo.

W przylegającym do kuchni pokoju — dziecinny wózek. Chłopczyk śpi. Pochylona nad nim Wanda płacze:

Kiedy ja go znowu zobaczę? — myśli.

Helena wsuwa się cicho, staje obok niej. Wanda jeszcze młoda. Włosy Heleny, te włosy okalające czoło i skronie — siwe.

— Ja płaczę — tłumaczy Wanda — bo tak... bo nie mogę patrzeć. Proszę pani, co tu za gospodarka! Ile tu się rzeczy marnuje. Jak przyjechałam to ledwie wszystko mogłam doprowadzić do ładu i... Ewa, Ewa jedynaczka.

Chuchaliśmy na nią, Ewusiu nie wchodzi do kuchni, Ewusiu nie przemęczaj się...

— Chodź Boga — mówi Ewa — siądziemy sobie w *sitting-room*'ie, odpocznimy. Trzeba będzie niedługo wołać dzieci.

Przechodzą przez pokój stołowy. Józef Żuławski rozmawia z inżynierem: — ...przychodzę do nich, na drzwiach szyld „Kościuszko”, mówię co i jak, rozkładają ręce, nic, panie, nic. Taka ta wasza polskość, mówię, napisaliście „Kościuszko”, bo nic nie kosztuje, czekajcie...

W *sitting-room*'ie jest już słońce, spóźnione popołudniowe słońce pada poprzez liście dzikiego winna na wypastowaną podłogę i na obrazki ponad półką z książkami. Ewa stwierdza z satysfakcją, że jest miło, przytulnie. Na jak długo? W głębi, niby delikatne dotknięcie bólu świadomość oczekiwania. Na co ja czekam?

— Wiesz — szepcze — ja bym tak chciała zrobić coś sama, czegoś dokonać. Ojciec mój zawsze myślał.. A ty?

— Wydaje mi się — mówi Boga — jakbyśmy żyli w cieniu. Trzeba się przez to przedrzeć, trzeba raz narzeczcie stanąć w pełnym słońcu, zacząć się uśmiechać. Bo my bez ustanku spodziewamy się czegoś...

— Chciałabyś wrócić?

— Teraz? Czasem tak, czasem nie. Bo my jesteśmy ludzie z kresczką pośrodku. Nie wiadomo gdzie czterdzieści, gdzie sześćdziesiąt. Trudno się wyrwać, zacząć na nowo.

— Wojtek już się wyrwał, kłóć się z moją mamą. On w ogóle nie chce słyszeć o przeszłości. Ma to za przeproszeniem wiesz gdzie? On już sobie dał radę z tym całym okresem niepewności. Ja jeszcze przeżywam, nie mówię mu, ale przeżywam, i teraz kiedy mamusia przyjechała...

— Ja myślę, że Andrzej też. Nawet wspominać nie chce. Tylko ojciec nie może się rozstać z wojskiem, a wydaje mi się, że Andrzej zapomniał, nigdy, już nigdy nie wspomina...

Wojtek i Andrzej siedzą na stopniach werandy. Świerszcze śpiewają głośno. Wieczór zbliża się na pal-

cach, niewidoczny poza wierzchołkami drzew. Andrzej mówi:

— Podczołgaliśmy się pod wzgórze dwudzieste drugie. W pierwszym rzucia szedł na prawym skrzydle mój pluton, na lewym skrzydle pluton z pierwszego szwadronu. Myślałem sobie, że jeśli potrafię poderwać żołnierzy tak szybko, że przeskoczą pędem, uniknę strat zabitych. Trzeba było wykorzystać zaskoczenie wroga. Poderwałem się sam pierwszy z piekielnym, nieludzkim wrzaskiem: „Naprzód na s...synów!” I tak ciągle krzycząc „Naprzód, naprzód!” poderwałem innych.

VIII.

Odala się, ucieka, niknie sprzed oczu Monumental City. Tuż, nad zatoką grzeje się w październikowym słońcu ulica Szeroka. Ale już jej nie widać. Nie widać pomnika Waszyngtona, ani ulicy Karola. Pozostała za nimi Aleja Północna, skończyła się Uniwersytecka, jadą. Jadą na północ, daleko od miasta. A oto przedmieścia: rozrzucone wokół *High'way'u* długie, wytworne *ranch houses* w obramowaniu jesiennych liści.

Kapitan obu łapami wsparł się na ramionach Andrzeja. Dyszy niecierpliwie, rozpoznaje drogę.

— Marek! — denerwuje się Żuławski — nie depcz mi po nogach!

— Bo zatrzymajmy się na coca-colę!

— Teraz nie ma czasu, trzeba dokończyć malowania werandy. Paweł nie wychylaj się!

W oknach domów żółto-pomarańczowe dynie. Czerwone drzewa wybiegają na drogę. Coraz więcej drzew. Tańczą barwnym pióropuszem. Wiatr gra, wiatr ślizga się po pustych kukurydzianych polach. Przejechali granice miasta. Mijają most na rozległym jeziorze. Samochód pnie się pod górę.

— Trzeba będzie dokończyć malowania werandy — mówi Andrzej. — Trzeba przed zimą, zanim zaczną się deszcze, uszczelnić dach.

— A co z sianem? — pyta Boga.

— Za tę śmieszną cenę? Nie, nie sprzedam!

— A ci mówię, że warto! — radzi Żuławski.

— Nie sprzedam! Niech gnije! Będzie nawóz na przyszły rok.

— A z czego spłacisz ratę pożyczki?

— Na przyszły rok — planuje Żuławska — Wojtek i Ewa przyjadą. A może jeszcze w tym roku? Trzeba będzie sprzątnąć, liście, gałęzie, stare graty popalić. I może trzeba będzie zaprosić sąsiadów? Wiecie, tych Harrisów. Ja coś upiekę, zrobię herbatę...

— A oni cię zaprosili? — drwi Żuławski. — Ty już lepiej zostaw tych Amerykanów! I po co ty w ogóle planujesz? Nie wiadomo z czego będziemy spłacać pożyczkę. Marek, uspokoisz ty się?

— Józiu!

— No dobrze! Ale jak tak można? Pokopał mnie! Kręci się, jakby miał robaki. Zabierajcie go sobie na przednie siedzenie, albo ja wysiadam!

— Co ty tak kraczesz! Boga teraz pewnie zdała egamin, zacznij pracować. Sam mówiłeś, że coś wychodzi z tym adwokatem...

— Kobito, co ty masz za język! Ja tym łajdakom nie wierzę!

Boga myśli: Nic im nie powiem, nic im jeszcze nie powiem.

Poza miastem, za zalesioną drogą — wachlarz pól, farmy w białych opłotkach, szosa zwęża się, skręca, faluje. Minęli dom Harrisów — szeroki *cottage* w dolinie.

— Może wypadaloby wstąpić?

— Ja nie! — zastrzega się Żuławski.

— Nie trzeba im przeszkadzać — mówi Andrzej — dzisiaj jest *Halloween* — noc czarownic i duchów. Pewnie urządzają zabawę.

Czuje się nagle osamotniony. Oni mają swoje święta: *Halloween*, *Thanksgiving*, *Christmas* barwne, rozdzwonione, a ja? A my? Czy przyszedł ktoś złożyć mi życzenia na imieniny? Przeszły, jak zwykły dzień. Lepszy obiad wieczorem, prezenty od Bogi, od chłopców, ale nikt nie zaproszony nie przyjdzie. Tu u nich odwiedzają się w święta rodziny, kuzyni, przyjaciele, znajomi, koledzy szkolni. A do nas? Kartki świąteczne. Nikt nie przybiegnie, nie wyciągnie ręki, a nawet gdyby chciał, powstrzymam

go odmownym gestem. Karnawał i post, zima i lato wszystko zlewa się w jedną, szarą strużkę życia. Smutno mi, czasem mi tak smutno. A może jednak zrobię coś ze studentami? Może trzeba? Może warto? Bo jeśli ja sam nie zrobię pierwszego kroku... Ale nie wiem jak, nie chcę mi się.

Zatrzymał samochód przy bocznej drodze.

— Czy nie pojedziesz dalej, bliżej domu?

— Nie będę ryzykował samochodu, to nie możliwe. Już raz scharatałem podwozie. Po tej drodze można tylko jeździć traktorem.

Szli wolno przystając, zrywając z krzaków ostatnie jeżyny. Boga przysiadła na brzegu łąki. Stóg siana zbrazowały, nierówno związany sześcian. Nikt nie chce go kupić. Cena ofiarowywana przez jedyne go reflektanta o połowę niższa niż cena kosztów.

— Ale ściałem ślicznie! — cieszy się Andrzej.

— To co z tego? — mruczy Żuławski. — Myśli: Mogłbym ostatecznie pożyczyć pieniądze i założyć biuro na spółkę. Z tych podań nic nie wyjdzie, trzeba się prześcać ludzi. Tylko czy jemu można wierzyć?

— Chodźmy, chodźmy! — przynagła. Rusza pierwszy w kierunku domu. Żuławska biegnie drobnym truchcikiem. Chłopcy ociągają się, wyszukują jeżyny. Boga i Andrzej patrzą na łąkę.

— Pomyśl, nikt tu do nas nigdy nie przyszedł. Raz tylko postrzelali nam okna. Co to jest? Dlaczego?

— Może i dobrze — mówi Andrzej.

— A przecież tu są ludzie, obserwują nas, wiedzą o nas.

— Jesteśmy cudzoziemcy, dziwacy, pełni kompleksów, wydajemy się im pewnie niesympatyczni...

Idą lasem, brzegiem jeziora, pachnie grzybami, szeszczą opadłe liście.

— Ale sprzedaliśmy kukurydzę! Udała mi się, prawda? Ty myślisz, że nie potrafię! Ale ja jak się uprę, jak się zawezmę! Tylko chodzi o to, aby zacząć. Najtrudniejsze jest to pierwsze przełamanie się. Z daleka, poprzez puste kukurydziane pole, widać dom.

— Uporządkuję dziś wszystko koło domu — mówi Boga.

Na wprost nich drugie pole kukurydziane zarośnięte obręczą lasów. Las otacza ich teraz dookoła. Cisza. Tylko naszczekiwanie Kapitana. Nawet głosy chłopców nikną, maleją w przestrzeni. Na brzegu kukurydzianego pola, tuż przy wąskiej, ocienionej orzechowymi drzewami alejce prowadzącej do domu rośnie stare, rozłożyste drzewo. Uschnięte. Rozpłatanym, pewnie niegdyś rażonym piorunem pień. Wydaje się wyciągniętą ku górze, sękatą ręką czarownicy o zakrzywionych krogulczo paluchach.

Zanim doszli do domu, Żuławski porządkował już poletko malin. Chłopcy huścili się na sznurze zawieszonym na gałęzi grabu. Andrzej zapuścił motor traktora. Odjechał kosić dziką łąkę za domem. Kapitan wygrzewał się w słońcu.

Boga chwyciła grabie. Zgarniała zeschnięte osty, dawniej już skoszone, gałęzie, liście.

— Pomóżcie! — zawołała chłopców. — Rozpalimy ognisko!

Wiatr rozwiewał liście, podrzucał aż na werandę domu. Gdy stos był już wysoki, ukłękła i walcząc z wiatrem, starała się podpalić. Płomień, zrazu nieśmiały, zaczął coraz odważniej przerzucać się z jednej gałązki na drugą. Chłopcy pozostawili huśtawkę i znosili coraz więcej gałęzi. Żuławska nadbiegła podniecona.

— Czekaj-no! — zawołała. — Pomóż mi przytaszczyć tę starą skrzynię zza domu! Może się spali. I te korzenie, i te śmieci!

Płomień biegł w górę coraz odważniej. Ale jeszcze im było mało. Dorzucili stare, rozwalające się krzesło, połamane ostatnią wichurą gałęzie, nosili w pośpiechu zgrabione naręcze liści.

— Co wy tam tak palicie? — krzyknął Żuławski.

— Chodź zobacz, chodź zobacz! Jak się ślicznie pali! Chodź zobacz jakie zapaliłam ognisko!

Jasny, trzaskający płomień ogarnął cały stos. Ale nagle spod stosu zaczęły pełznąć małe wężyki ognia. Czepiały się źdźbeł suchej trawy, przeskakiwały prędko dalej, dalej w kierunku kukurydzianego pola. Już objęły wysokie zeschnięte osty, już dobrały się do krzaków na murach starej stodoły.

— Gaś! Gaś! — krzyknęła Żuławska.

Rzuciły się na trawę, zaczęły deptać rozprzestrzeniający się ogień.

— Józiu, na pomoc!

Wiatr unosił tlejącą trawę i liście z ogniska, podrzucał iskry, niósł w miejsca oddalone. Już paliła się łąka, już płomyki pęzły w kierunku domu.

— Mam gaśnicę w domu! — Biegnij na pomoc Żuławski.

Andrzej zostawił traktor przy strumyku i biegł w ich kierunku. Chwycił łopatę, chciał okopywać ogień. Chwycił kubek, chciał biec po wodę. Maleńkie, niewidoczne zrazu płomyczki pęzły po trawie. Już dobrały się do jabłunki, już lizały stopnie werandy. Rzucali się nieprzytomnie tu i tam próbując gasić. Jabłonka rozpałała się jasnym, nierównym płomieniem. Płomień ogarniał belki werandy. Smiesznie mała gaśnica Żuławskiego nie działała.

— Nasza farma! — rozplakał się Marek. — Nasza farma!

— Musimy uciekać! — krzyknął Andrzej. — Jeśli pożar dostanie się do lasu, jesteśmy odcięci! Ale nie, skądże miałby dostać się do lasu! Odgradza nas pole kukurydzy!

Biegli. Poza nimi płonął dom. Marek i Paweł potykali się, zanosili głośnym płaczem.

Prędkiej, prędkiej! Żebyśmy tylko dostali się na pole, a potem do drogi! Prędkiej! Pole nie przepuści pożaru. Biegli przerażeni, zrozpaczeni, a poza nimi i przed nimi biegły wężyki ognia. Zdyszani dopadli kukurydzianego pola. Po zeschniętych kikutach kukurydzy, poprzez całą długość pola pęzły nikle, niebieskawe płomyczki. Najbliższe krzaki okalające pole płonęły. Spoglądali bezradnie na palący się dom, na ogarnięty ogniem próg lasu. Nie mogli ryzykować teraz powrotu, pożar dogoniłby ich w drodze przez las. Byli odcięci. Stali zbici w gromadę, pies tulił się do nóg Andrzeja. Chłopcy drżeli przerażeni, zapłakani. Żuławski nie odwracał się, nie chciał patrzeć na dom.

— No cicho, cicho, przecież nic się nie stanie — uspakał Andrzej. Na niebie pogodnym, wysokim, bladoniebieskim różową łuną zachodziło słońce. Na brzegu pola zapalało się suche, rażone piorunem drzewo.

Syrena samochodu? Nie, to wydawało się im, to tylko trzask palących się gałęzi! Syrena samochodu, trąbki

samochodów, słyhać odgłos motorów. Andrzej wbiegł na szczyt pola. Droga nieobjętą jeszcze pożarem sunęły jeden, za drugim: sznur samochodów. Ciężarówki i auta prywatne. Ludzie z gaśnicami zaczęli wysypywać się na drogę. Biegli. Biegli grupami komenderując głośno. Eleganckie, nowiutkie auta jechały po wyboistej drodze. Biegli do nich, w ich kierunku. Całe kukurydziane pole zaroilo się ludźmi. Otoczyli ich.

— Czy nic się wam nie stało? — dopytywali się troskliwie. Gdzie dzieci? Czy nic się nie stało chłopcom? Gromady mężczyzn gasiły zapalający się las. Andrzej pobiegł z nimi w kierunku domu. Żuławski przytączył się do innej grupy, pomagał gasić. Żuławska, Boga i chłopcy znaleźli się nagle w gromadzie.

— Zabieramy was, jedziecie do nas, zabieramy was na kolację!

Zwolna zapadał wieczór. Jeszcze tu i ówdzie strzela język ognia, ale pożar gaśnie już, cichnie. Zza drzew wychyla się pomarańczowa tarcza księżyca.

Jechali w szeregu aut po wyboistej drodze znaczonej światłami reflektorów. Gałęzie drzew uderzały w okna.

Samochód Harrisów zatrzymał się przed ich szerokim, drewnianym domem. Okna były oświetlone, w jadalni, na owalnym stole przygotowana kolacja. Żuławski przyglądał się ludziom: mieli twarze ogorzałe, zwichrzone włosy, oczy pełne jeszcze błysków ognia.

Harris przysiadł się do niego.

— *And how do you like America?* — spytał. — Żle mówią o nas zagranicą, prawda? Nie jesteśmy tacy źli, trzeba nas tylko poznać.

Żuławski już otworzył usta. Ja jestem Europejczyk — chciał powiedzieć, ale jakoś mu się nie udało.

— Początek nie jest łatwy. Sprzątaliśmy ten dom...

— Naprawi się, pomożemy. Początek zawsze jest trudny. Ile myśmy tu mieli pożarów! A pan co robi w mieście?

— Teraz — zaczął Żuławski — to zdecydowałem się otworzyć biuro na własną rękę. Spotkałem pewnego człowieka, który... co tu dużo mówić, który bardzo mi się podoba, porządny, uczciwy...

— Jedzcie! — zachęcano.

Andrzej mówi: Ta blizna? Ach to już dawno, to jeszcze pod Tobrukiem...

Młody chłopak w obcisłych *dungaree* i flanowej koszuli wpatruje się w niego.

— Pod Tobrukiem, proszę pana? I jak to się stało?

— Stare dzieje...

— Niech pan opowie!

— Miałem wtedy granat w ręku, biegłem na przodzie. Koło mnie biegł długonogi ułan, nazywał się Ciastko. Miał siedemnaście lat. Krzyczał: Jezus Maria! Przede mną otwarty bunkier z karabinami maszynowymi. Cała linia już biegła. Chmury zakryły księżyc, Niemcy nie mogli celować do poszczególnych żołnierzy... Widziałem, jak nasi zaczęli padać... rzuciłem granat. Dostałem bagnetem w ramię, drugi dziabnął mnie w nogę. Z jakichś innych bunkrów rzucali granaty, jeden wybuchnął pod moimi nogami. I ostatni moment: W blasku wybuchu widzę, że żołnierze zajęli wzgórze. Wtedy pomyślałem o matce i straciłem przytomność.

— Ja się nazywam Margaret — mówi kobieta — Margaret Harris. Przecież mnie pani pamięta? Tylko nie chcieliśmy się narzucać, myśleliśmy może sami przyjdziecie... Mamy dziś tańce w stodole. Mój mąż, Jim i ja będziemy prowadzić *Square dance*. Zostaniecie?

Na parapetach okien pomarańczowe dynie. W wydrażonej dyni wycięto oczy, usta i nos. W środku pali się świeczka.

Zuławska rozmawia z gospodynią domu. Jest tak zajęta opowiadaniem o Europie, że nie zwraca uwagi na swój angielski najeżony, kamienisty, nierówny, jak wąska droga na farmę.

Paweł i Marek zapomnieli już o strachu. Przygoda.

— A widziałeś, jak się paliło? — opowiadają. — Widziałeś?

— Zostaniecie na tańcach? — pyta Margaret.

Boga waha się, późno.

Andrzej podnosi się.

— Podjadę tu samochodem.

— Przejdę się z tobą — mówi Boga.

Noc jest chłodna, w ciemności bieleje szosa.

— Nie zimno ci? — pyta Andrzej. — Masz kurtkę,

okryj się. Samochód jest już tu, niedaleko. Harris chciał mnie podwieźć, ale miałem ochotę na spacer.

— Co to by było, gdyby oni nie przyjechali z pomocą?

— Jakoś byśmy przeżyli. Są straty, Ale wiesz, dziwne, wydaje mi się, jakby to wszystko było potrzebne. Tylko szkoda mi domu...

— Nie powiedziałam ci... — mówi Boga.

— Co?

— Nie powiedziałam ci. Zdałam egzamin.

— Nie! No gratuluję!

— Czujesz?

— Tak. Zapach spalenizny.

— To od nas, z farmy.

— Tak, czuję wyraźnie.

Stoją pośrodku szosy. Przed nimi wije się kręta, daleka droga. Nad nimi niebo rozległe, pełne gwiazd. Za kilka godzin zbudzi się nowy dzień.

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 17 AVRIL 1961
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII*).

Dépôt légal : 2^e trim. 1961



